

Gage Elizabeth

Mistrzowskie posunięcie

Scena międzynarodowego biznesu, gdzie miesza się władza i żądze... Gdzie kobieta obdarzona inteligencją i urodą walczy o supremację z bezlitosnymi magnatami, rozpętując potężną falę chciwości, pasji i pożądania...

Gra jest niebezpieczna, stawka oszałamiająca, gracze gotowi na wszystko. Reguły zmieniają się po każdym nieoczekiwanym posunięciu.

OD AUTORKI

Autorka pragnie podziękować za współpracę i doradztwo w przygotowaniu powieści następującym instytucjom i osobom: Departamentowi Handlu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, Radzie ds. Dzieci Utalentowanych (Edukacyjne Centrum Informacji Źródłowych), Korporacji IBM, Apple Computer, Inc., Nowojorskiemu Towarzystwu Historycznemu, Pomocy Dzieciom USA oraz dr. med. Ernstowi H. Huneckowi.

Akcja powieści rozgrywa się w kilku stolicach europejskich, a jej tło stanowi przełomowy moment w historii międzynarodowych finansów i technologii. Nigdy nie zdołałabym z powodzeniem zbadać tak złożonego tematu bez pomocy ekspertów z tej dziedziny. W Paryżu nieocenioną pomoc okazała mi pani Marie-Claire Lalande, otwierając przede mną drzwi urzędów i dostarczając niezbędną dokumentację. W Londynie pan Anthony MacAndrew był cierpliwym i kompetentnym przewodnikiem po zawiłościach brytyjskich finansów. W Lozannie pani Antoinette Vuillemin wspaniałomyślnie podzieliła się ze mną wspomnieniami na temat rozwoju powojennej gospodarki i jej oddziaływania na europejski biznes.

Kieruję z serca płynące wyrazy wdzięczności pod adresem pani Tiny Gerrard i pana Jona Kirsha za nieustrudzoną i gruntowną pomoc w moich badaniach. Dziękuję także panu Billowi Grose i pani Claire Zion, moim wydawcom z Pocket Books za nieocenione rady i wsparcie. Wreszcie serdeczne dzięki Jay Garon, mojej agentce i przyjaciółce.

PROLOG

1961

Stary człowiek patrzył na leżącą na jego kolanach gazetę.

Siedział w fotelu na kółkach, niezdolny do odwrócenia strony. Gazetę położono mu na kolanach chwilę temu. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko gapić się na nagłówek i zamieszczoną obok fotografię.

„Tegoroczna nagroda Biznesmena Roku przypadła po raz pierwszy w historii jej istnienia kobiecie. Frances Bollinger, prezydent i dyrektor generalny korporacji CompuTel, odebrała dziś tę nagrodę podczas bankietu w hotelu Waldorf-Astoria. W uroczystości towarzyszył jej mąż”.

Starzec spojrział na fotografię. Ukazywała dwoje młodych ludzi: dumnego męża u boku pięknej żony. Jej twarz była zdumiewająco świeża i śliczna, o mlecznobiałej karnacji, okolona ciemnymi, gęstymi włosami spływającymi na ramiona. Oczy błyszczały dumą z własnych dokonań i pokorą wobec wielkiego zaszczytu, jaki przypadł jej w udziale. Żałował, że nie może zmiąć gazety silnymi rękoma i roze-drzeć na strzępy. Kilka lat wstecz, kiedy jeszcze istniała po temu szansa, powinien był udusić tę dziewczynę. Lecz teraz jego ręce były kompletnie bezużyteczne, bezwładne i bez czucia, jak dwa nie należące do niego kawałki bladego mięsa ułożone na udach. Nie był w stanie nic nimi zrobić, nawet odwrócić strony w gazecie, żeby zobaczyć, co jeszcze napisano w artykule.

Mógł jedynie siedzieć bez ruchu, mając przed oczyma jak szydercze przekleństwo jej twarz, naigrawającą się z niego.

— Czy mam odwrócić stronę?

Do pokoju weszła atrakcyjna, młoda kobieta. Drobną, kruchą w swym pięknie, o jedwabistych blond włosach, stanowiła przeciwieństwo wysokiej brunetki z fotografii. Uniósł głowę i spojrzał w jej oczy. W jego czarnych jak węgiel tęczówkach zapłonęła nienawiść i frustracja. Dziewczyna zauważyła to i bez słowa odwróciła stronę gazety. — Sądziłam, że będziesz chciał to zobaczyć — odezwała się. — Mimo wszystko, ona przeszła długą drogę. Zasluguje na tę nagrodę.

W tonie jej głosu pobrzmiewało ożywienie z wyraźnym odcieniem sadyistycznej satysfakcji. Wiedziała, na czym polega kłopotliwość jego położenia i cieszyło ją to.

Mężczyzna nie odpowiedział. Mógł, co prawda, mówić. Mówienie było jedyną czynnością, jaką jego zrujnowane ciało było w stanie sprawnie wykonywać. Doszedł jednak do wniosku, iż w obcowaniu z nią milczenie jest jedynym sposobem na zachowanie resztek godności i jedynym sposobem walki.

Prawdę mówiąc, nie na wiele się to zdało, ponieważ nawet pielęgnując jego bezradne ciało, myjąc go i ubierając, prowadziła z nim chłodną, sztucznie przyjacielską konwersację, pod powierzchnią której zawsze słyszał jej bunt i triumf. Był całkowicie zdany na jej łaskę.

Przeniósł wzrok na gazetę. Dalszy ciąg artykułu opisywał dokonania tej Bollinger, jej małżeństwo, jej sukces. Doprowadzony tym do wściekłości, zamknął oczy.

Widząc to, dziewczyna zawróciła i zabrała gazetę z jego kolan.

— Cóż, może będziesz chciał to przejrzeć później — powiedziała.

Odczuł ulgę. Brunetka z fotografii i śliczna blondynka obok niego stanowiły podwójną torturę. Teraz już tylko blondynka będzie stanowiła źródło jego męczarni.

— Czas na kąpiel — stwierdziła.

Zaskakująco silnymi ramionami uniosła go z inwalidzkiego fotela i ułożyła na łóżku. Silnymi ramionami?... A może dlatego było jej tak łatwo, że jego ciało było obumarłe, wysuszone?

Rozebrała go, zdejmując piżamę stanowiącą obecnie jego jedyny strój.

Zaczęła go dokładnie obmywać gąbką. Nie czuł tego. Wiedział tylko, że gdzieś tam, w dolnych partiach ciała dotyka

jego seksu, zmywając bezwolnie oddawany mocz i widzi, że jego członek nie reaguje, że nie ma w nim męskości, dla której jej dotknięcia byłyby interesujące i podniecające.

Najgorsze jednak było to, że jego żądze nie umarły wraz z czuciem. Gdzieś w środku czuł się jak zawsze podniecony jej obecnością, zapachem, świeżością ciała.

To stanowiło najdotkliwsze źródło męczarni. Choć sprawność seksualna odeszła na zawsze, samcze instynkty pozostały nienaruszone. I dlatego obsesja na jej tle rosła w nim proporcjonalnie do niemożności zrobienia czegokolwiek w tym kierunku. Mógł się jedynie dusić we własnym sosie, kiedy ona drażniła go swą bliskością. I była tego doskonale świadoma. Jakże by mogło być inaczej? W końcu знаła jego żądze i zachcianki lepiej niż ktokolwiek inny.

Ta świadomość jaśniała w strojach, jakie na siebie wkładała, w kolorach, o których wiedziała, że tak bardzo je lubił w dawnych czasach, w tkaninach, które otulały miękko jej drobne piersi. Emanowała z jej ruchów, kiedy paradowała przed ustawionym w sypialni szpitalnym łóżkiem. Śpiewała w jej głosie, kiedy nuciła znajome melodyjki, popychając go na fotelu do solarium na codzienną lekturę gazet i magazynów, których strony musiała dla niego odwracać.

Tak, wiedziała doskonale. Nawet delikatność, z jaką troszczyła się o zaspokajanie jego podstawowych potrzeb, była jak wbijanie noża w jego ciało.

Zazdrośnie trzymała go dla siebie. Nie pozwalała zbliżyć się do niego nikomu, z wyjątkiem żony. Wszyscy mówili, że jest tak pełna poświęcenia, tak wspaniała. Tylko on wiedział o zemście, którą delectowała się powoli, oblegając go w jego bezradności.

A dziś, kiedy mogła mu pokazać obraz sukcesu tej Bollinger i dręczyć go nim, jej triumf osiągnął szczyt.

Leżąc nago na łóżku, obserwował jej zabiegi. Odczuł na nowo dawno zapomniany, dziecięcy dreszcz, jaki odczuwał, kiedy matka pielęgnowała go w taki sam sposób. To było siedemdziesiąt pięć lat temu.

Życie zatoczyło pełne koło. Niegdyś z jego powodu drżeli prezydenci, szefowie państw przychodzili do niego na kolacjach, możni tego świata kurczyli się przed jego potęgą.

A teraz to wszystko było już za nim, przepędzone przez twarz z fotografii, przesłonięte chłodną, uśmiechniętą twarzą dziewczyny obmywającej jego obumarłe ciało.

— *W porządku — odezwała się. — Teraz cię ubierzemy i zwieziemy na dół. Możesz sobie pooglądać telewizję. Patrzył na nią, kiedy unosiła jego pośladki, żeby wciągnąć spodnie od piżamy. Gdzieś w głębi jej oczu czaiła się nienawiść, którą żywiła do niego przez tak długi czas, a którą mogła się teraz jawnie rozkoszować.*

— *Gotowe — uśmiechnęła się.*

Samotna łza napłynęła do jego oka i stoczyła się w dół po wymizerowanym policzku.

— *Chyba nie jesteś smutny? — spytała z udawaną troską. — Me ma powodów, żeby się smucić. Rozchmurz się. Dziś jest piękny dzień.*

Najgorsze było to, iż wiedziała świetnie, że ta łza nie jest łzą smutku, tylko nienawiści i bezsilności. Wiedziała także, że na zawsze ma go w swojej mocy.

— *Chodź — powiedziała. — Zejdziemy na dół i poczytamy gazety. Jestem pewna, że chcesz doczytać ten artykuł do końca.*

Powstrzymując jęk wściekłości, który parzył mu gardło, poczuł, jak pcha wózek w kierunku kolejnej piekielnej godziny jego przeznaczenia.

ROZDZIAŁ 1

Nowy Jork, sześć lat wcześniej

Dla każdego, kto interesował się karierą w biznesie, korporacja Magnus Industries była jedynym celem godnym naśladowania.

Korporacja ta była nie tylko liderem we wszystkich dziedzinach finansowych i produkcyjnych, w których zdecydowała się działać w latach swego ogromnego rozwoju, posiadała również prestiż, z którym rywalizowały jedynie zakłady General Motors, IBM i garstka podobnych im korporacji na całym świecie. Jej akcje utrzymywały się stale na bardzo wysokim poziomie, wykazując tendencję wzrostową. Klasyfikacja finansowa firmy była przez trzydzieści lat szacowana maksymalnie wysoko i zaliczana do kategorii A1, bez jednego nawet kwartału, w którym by odnotowano straty, nawet w czasach Wielkiego Kryzysu.

Jako agresywny innowator i pionier we wprowadzaniu nowych produktów i metod w inżynierii, wytwarzaniu i zbycie, stanowiła prototyp wielonarodowego konglomeratu z filiami w czterdziestu krajach, z których każda była liderem w ekonomii na bazie własnego kraju.

Siedziba korporacji mieściła się przy Szóstej Alei, w siedemdziesięciopiętrowym wieżowcu, skonstruowanym ze stali i szkła, zaprojektowanym w 1931 roku przez Wallaca Harrisona. Budynek był tak przyszłościowy jak firma, której dawał schronienie. Od błyszczącej fasady po elegancki westybul, miejsce to głosiło prestiż, spokojną dumę z osiągnięć i niezachwianą pewność siebie.

Garstka osób odwiedzających tę w pewien sposób bezosobową budowlę nieświadoma była mrocznej obecności człowieka narzucającego marszowy krok wszystkim tu pracującym. Magnus Industries zostało założone w 1921 przez Antona Magnusa, wówczas barczystego, o chłopskim wyglądzie imigranta ze Szwajcarii i rozbudowana jego osobistym wysiłkiem do rozmiarów imperium. Plotka głosiła, że zaczynał niemal od zera, od serii ciemnych transakcji na giełdzie przeprowadzanych za cudze pieniądze. Jego machinacje cechowała elegan-

cka strategia i bezwzględność. Podbijał jedno terytorium po drugim, niszcząc kolejnych rywali, aż w połowie lat dwudziestych Magnus Industries stało się jedną z najszybciej rozwijających się korporacji w Nowym Jorku. Jednakże okresem, w którym Anton Magnus zbił fortunę, były lata Wielkiego Kryzysu. Wykorzystując szczególny klimat w biznesie, kreowany przez trudności finansowe, przejął dziesiątki zbankrutowanych i zadłużonych przedsiębiorstw, przeprowadził je przez chude lata, by w roku 1939 wypłynąć jako właściciel ogromnego zlepku zakładów o dużych wpływach finansowych.

Przejął wszystkie te interesy, operując sprytnie staroświeckim urokiem i żelazną ręką okazywaną wtedy, gdy się tego najmniej spodziewano. Posiadał zdolność zyskiwania sobie zaufania ludzi, wyszukując jednocześnie ich słabe punkty tak, że stawali się zbyt uzależnieni od niego w taki czy inny sposób, zbyt zastraszeni, by odmówić, kiedy prosił ich o coś trudnego lub nieprzyjemnego. Słabszych od siebie po prostu przeskakiwał, silniejszych oskrzydlał tak długo chytrymi manipulacjami, aż ich siła zmieniała się w słabość, którą mógł wykorzystać.

Jako wytrawny szachista, który już w wieku trzynastu lat był w starym kraju nad podziw dojrzałym mistrzem, Anton Magnus nie zapomniał lekcji strategii pobieranych podczas swojej ukochanej gry. Potrafił przewidywać ruchy rywali i atakować bez litości, kiedy ich instynkt samoobrony słabł.

Anton Magnus grał, żeby wygrać. Niejeden z jego wrogów w biznesie popełnił samobójstwo powodowany ruiną finansową, do jakiej doprowadził go Magnus. Plotka głosiła, że lubił on upokarzać ludzi i że nie był usatysfakcjonowany sukcesem, dopóki nie upewnił się, że niesie on ze sobą wieczną karę dla rywali.

Samotne podboje w czasach Wielkiego Kryzysu stanowiły dopiero początek. Będąc emigrantem z Europy, Magnus dostrzegł znaczenie rozwijającego się tam ruchu nazistowskiego i przewidział wojnę. Na długo zanim Niemcy zaatakowały Polskę, zainwestował w przemysł ciężki, który, jak słusznie sądził, będzie zaangażowany w produkcję uzbrojenia dla amerykańskich sił zbrojnych. Kiedy nadeszły gigantyczne kontrakty rządowe, był gotowy do ich realizacji.

Pod koniec wojny Magnus Industries było gigantem. Gdy Amerykanie zaczęli dopomagać w odbudowie zniszczonych

wojną krajów europejskich, Anton Magnus stanął na pierwszej linii tej odbudowy. Zaczął za pół darmo przejmować zubożałe europejskie przedsiębiorstwa, tak jak czynił to z amerykańskimi w czasach Wielkiego Kryzysu. Z tamtego właśnie okresu datowała się potężna sieć europejskich filii jego korporacji.

Mówiąc krótko, Anton Magnus zrobił równie duże pieniądze na powojennej pomocy „Siłom Osi” jak na pomaganiu swojej przybranej ojczyźnie w bombardowaniu ich i niszczeniu. I zarobił na wojnie tyle, co na kryzysie. Z kryzysu, który zrujnował innych biznesmenów, on wyciągnął sukces i potęgę.

Magnus nie był osobą publiczną. Utrzymywał życie prywatne w takiej tajemnicy jak strategie, dzięki którym znajdował się zawsze o krok przed konkurentami. Chociaż wizerunek jego imponującej twarzy z przenikliwymi oczyma, ciemnymi brwiami i srebrzystymi włosami znany był opinii publicznej z dziesiątek fotografii, na których wymieniał uściski dłoni z najbardziej liczącymi się przedstawicielami biznesu, władcami, senatorami i prezydentami, to jego życie prywatne nie było tematem publicznych komentarzy. I o to właśnie Magnusowi chodziło.

Przez jego łóżko przewinęły się tabuny kochanek, gdyż kobiety nie mogły się oprzeć jego potężnej osobowości i atrakcyjnym, nieprzystępnym rysom oraz błyskawicznie rosnącemu bogactwu.

Mając lat trzydzieści kilka, ożenił się z Victorią Wetherell, spadkobierczynią kolosalnej fortuny, córką potężnego producenta i armatora. Samo małżeństwo stanowiło zdumiewająco śmiałe posunięcie jak na obcokrajowca, jakim był Magnus, bez rodowodu i odpowiedniego wychowania, tym bardziej że Cartan Wetherell, ojciec Victorii, był szlachetnie urodzonym snobem i wcześniej już zaręczył córkę z młodym bostończykiem, którego rodzina stanowiła filar społeczeństwa Nowej Anglii od 150 lat. Nikt spośród możnych tamtych dni nie wyobrażał sobie, by ojciec taki jak on mógł zezwolić na małżeństwo uwielbianej córki z imigrantem z chłopskim rodowodem.

Szeptano po kątach, że Magnus naciskał Wetherella jakimiś wyrafinowanymi i niezbyt legalnymi sposobami, aby wymusić od niego jedyną córkę. Wetherell, pochodzący ze „starych pieniędzy”, został pokonany przez całkowite zaskoczenie. Pewnego dnia najbliżsi doradcy poinformowali go, że Magnus przefiltrował fortunę Wetherellów tak dokładnie, iż mógł do-

prorowadzić niechętnego mu teścia do bankructwa, gdyby tylko zapragnął. Otrzymałszy tak przerażającą informację Cartan Wetherell nie miał innego wyboru, jak tylko skapitulować przed przebiegłym zalotnikiem.

W latach, które nastąpiły po otoczonym przesadną atmosferą skandalu ślubie, państwo Magnus doczekali się trojga dzieci. Najstarsza, Gretchen, była łagodnie wyglądającą dziewczyną, która, zanim poślubiła młodego Trowbridge'a z Filadelfii, stała się cenioną znawczynią koni.

Jack, absolwent St. Paul, Yale i Harvardu, wyróżniał się jako agresywny, młody pracownik na kierowniczym stanowisku w Magnus Industries i przygotowywano go do przejęcia rządów, kiedy ojciec zdecyduje się przejść na emeryturę.

W wieku trzydziestu dwóch lat przystojny Jack był już uprzywilejowaną figurą. Miał za sobą wiele romantycznych przygód z pięknymi kobietami z show-businessu i świata artystycznego, a także z tzw. towarzystwa. Uważano go za najlepszą partię w Nowym Jorku.

Najmłodsza z trójki, Julie, była bardziej niż dopuszczają konwenanse rozwiedziona i zdemoralizowana, no i stanowiła „problem” dla rodziny, problem, którego istnienia nie podejrzewali ludzie spoza jej sfery, gdyż Anton Magnus sprawnie kontrolował doniesienia prasowe o nim, jego rodzinie i towarzystwie.

Stanowili znakomitą i szczęśliwą rodzinę. Cartan Wetherell o wiele więcej zyskał niż stracił, wydając jedynaczkę za wówczas jeszcze nieznanego, lecz silnego i budzącego respekt Magnusa. W kolejnych latach Magnusowie wydawali przyjęcia przyciągające oczy wszystkich z towarzystwa, zapraszając na nie artystów, pisarzy i intelektualistów tworzących tak pikantną kombinację, że w krótkim czasie zawstydziła ona wszystkie rywalizujące z nimi salony w Nowym Jorku.

Dom Magnusów, ekstrawagancka marmurowa rezydencja przy Park Avenue, będąca niegdyś siedzibą upadłego siostrzeńca Corneliusa Vanderbilta, był umeblowany w stylu godnym pałaców królewskich. Obok zgromadzonych przez Antona antyków znajdowały się w nim kolekcje malarstwa, porcelany i rzeźby tak wspaniałe, że wydawany prywatnym nakładem katalog zbiorów Magnusa doczekał się dwunastu wydań.

Anton Magnus dbał o to, by jego wystawne przyjęcia organizowali i obsługiwali najlepsi profesjonaliści na Manhattanie. Letnie przyjęcia w Southampton stanowiły jeszcze więk-

szą galę, z setkami gości przemierzających leniwie sześćo-akrowy trawnik wiejskiej rezydencji. Natomiast przyjęcia wydane w Grosvenor Ball dla uczczenia uzyskania przez jego córki pełnoletności przeszły do historii. W Magnusach nie było śladu nowobogactwa. W gruncie rzeczy rodzinę tę cechowała taka elegancja i oryginalność, że nawet najbardziej wybredni członkowie klubów i damy z towarzystwa nie mogli oprzeć się pokusie zobaczenia na własne oczy, jacy oni naprawdę są. Victoria Magnus była co dnia zasypywana wizytówkami osób zaliczających się do śmietanki towarzyskiej.

W ciągu niespełna dziesięciu lat, dzięki sile osobowości i ambicji Antona, dom Magnusów stał się miejscem, gdzie zbierała się cała elita. Uzyskanie doń zaproszenia poczytywano sobie za punkt honoru. Magnus wyrósł wysoko ponad swoje skromne korzenie i stał się instytucją. Na balach u niego pojawiali się prezydenci, senatorowie i głowy wielu obcych państw. Słynna była historia o tym, jak Edward, książę Windsoru i jego żona, z domu Wallis Simpson, spędzili w 1931 roku całe popołudnie w domu w Southampton w asyście hostessy Magnusa, która oprowadzała ich po pokojach, starając się za wszelką cenę uniknąć spotkania z ambasadorem brytyjskim, skłóconym z księciem i jego małżonką. Zastosowanie tej sprytnej choreografii było konieczne z tego powodu, że ani książęca para, ani ambasador, nie znieśliby świadomości, że ominęło ich przyjęcie u Magnusa.

To był początek dynastii. Wiedzieli o tym wszyscy należący do wyższych sfer i wszyscy spoza nich. Zarówno rodzina jak i imperium Magnusa błyszczały taką wypolerowaną gracją jak żadna inna porównywalna do nich instytucja. Wydawało się, że przyszłość społeczeństwa, a także amerykańskiej gospodarki i finansów spoczywa w rękach klanu Magnusów.

Zaczynając od zera, stali się w ciągu jednego pokolenia najlepszymi z najlepszych.

Tego czerwcowego dnia biura Magnus Industries na Manhattanie tętniły pracą jak zawsze. Dział Personalny zatłoczony był pełnymi nadziei, młodymi absolwentami uczelni, chętnymi podjąć ryzyko znalezienia pracy w jakimkolwiek wymiarze w tym gigancie amerykańskiego biznesu.

Panna Althea Drake, główna asystentka wiceprezesa do spraw personalnych, zajmowała w instytucji pozycję znacznie ważniejszą, niż wskazywałby jej tytuł. Współpracownicy nazywali ją „cerberem w spódnicy”, ponieważ nikt z ubiegających się o posadę u Magnusa nie mógł przystąpić do ostatecznych rozmów z szefami poszczególnych działów, dopóki Althea Drake nie przekazała im akt z osobistą rekomendacją.

Osiągnęła tę pozycję z kilku względów. Po pierwsze, pracowała w firmie od jej zarania. Pięćdziesięcioletnia stara panna oddała swoje życie bez reszty Antonowi Magnusowi i jego przedsiębiorstwu. Nigdy nie brakowało jej ani nie pragnęła męża czy rodziny. Raz w roku odwiedzała zamężną siostrę w Phoenix i to jej wystarczało. We wczesnych latach firmy była dla Magnusa czymś w rodzaju Piętaszka, pracując niezmordowanie od świtu do zmroku nad każdym zadaniem, jakie jej powierzył. Jej lojalność była fanatyczna, a energia niewyczerpana.

Oczywiście, Anton Magnus od początku zdawał sobie sprawę z jej ograniczonej wyobraźni i twórczego podejścia. Na jej niekorzyść przemawiała też płeć. Magnusowi nigdy nie przyszłoby do głowy powierzanie ważnych obowiązków kierowniczych kobiecie. Tak więc w miarę upływu lat przenosił ją z jednej posady administracyjnej na drugą, zawsze trzymając nad nią jakiegoś odpowiedzialnego urzędnika, lecz zawsze gwarantując jej wystarczającą władzę, by mogła się czuć ważną dla korporacji bez obawy, że jej zaszkodzi.

Obecnie wyższe rangą stanowiska w firmie obsadzone były pracownikami o najwyższych kwalifikacjach. Panna Drake zajmowała się selekcjonowaniem takich właśnie osób na przyszłe posady. Tutaj jej rozeznanie było cenne, gdyż wiedziała, jakiego typu ludzi poszukuje Anton Magnus: młodych, bystrych absolwentów college'ów, zdolnych do wszelkich poświęceń dla firmy, jeśli będzie to konieczne. Wszystkich takich aplikantów odsyłała do ludzi odpowiedzialnych bezpośrednio za zatrudnianie personelu. Tych, którzy jej się nie spodobali, odprowadzała z kwitkiem.

Panna Drake studiowała właśnie akta leżące na jej biurku. Po jakimś czasie podniosła znad nich wzrok. Przed nią siedziała delikwentka, której akta te dotyczyły.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie unieść brwi. Młoda kobieta po drugiej stronie biurka była niezwykle atrakcyjna. Miała nieco ponad dwadzieścia lat, gęste, ciemne włosy

i przejrzyste, zielonkawe oczy błyszczące wyraźną inteligencją. Miała też śliczną cerę i kształty modelki. Krój żakietu podkreślał małe, zaokrąglone piersi. Jej nogi były długie, a figura wysportowana i prosta. Ogólnie sprawiała wrażenie służbiście spokojnej i gotowej do ciężkiej pracy, dokładnie takie wrażenie, jakie chce sprawiać ktoś, kto ubiega się o odpowiedzialną posadę.

Panna Drake zerknęła ponownie w akta. Dziewczyna nazywała się Frances Bollinger, była absolwentką Uniwersytetu w Pensylwanii, gdzie uzyskała dyplom na wydziale biznesu. Dodatkowo ukończyła kursy języków obcych i matematyki. Akta pełne były entuzjastycznych rekomendacji wystawionych przez jej profesorów z college'u, zawierały też dokumentację ukazującą jej znaczące osiągnięcia jako studentki.

Jasne było, że dziewczynie niczego nie brakuje. Może ma nawet wszystkiego w nadmiarze, pomyślała Althea Drake, patrząc znad papierów na siedzące naprzeciwko piękne stworzenie.

Zamknęła teczkę i odchrząknęła.

— Panno... Bollinger. Pani kwalifikacje są imponujące. Pozwoli pani, że zapytam, dlaczego zdecydowała się pani ubiegać o pracę w Magnus Industries?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Niemal od początku nauki w college'u moją ambicją było pracować dla Magnusa. Jeden z moich profesorów, doktor Fiedler, pracował dla waszej firmy podczas wojny, kiedy Dział Badań pomagał marynarce wojennej opracować system naprowadzania torped na cel, wykorzystany później w trakcie inwazji w Normandii. On mnie bardzo zainspirował. Zawsze uważałam, że nie ma drugiej tak dobrej firmy jak Magnus. Jesteście po prostu najlepsi i dlatego pragnę tu pracować.

Panna Drake pokiwała głową ze zrozumieniem. Potem przesunęła akta po biurku w kierunku dziewczyny.

— Doceniamy pani uczucia odnośnie do naszej firmy, lecz obawiam się, że nie mamy wolnych miejsc dla kogoś z pani specjalizacją. Wszystkie posady są obsadzone. Niech pani spróbuje zimą lub wiosną przyszłego roku. Do tego czasu może się u nas trochę poluźni.

Nie próbowała w żaden sposób złagodzić swojego uderzenia. Oczywistym było, że odrzuca jej kandydaturę bez ogródek.

Przez moment na twarzy dziewczyny odbiło się szczere rozczarowanie. Piękne rysy, tak naturalnie energiczne i radosne, przyćmił uderzający smutek. Po chwili jednak rozchmurzyła

się, jak gdyby świadoma, że to urzędowe otoczenie wyklucza okazywanie jakichkolwiek emocji.

— Cóż — powiedziała. — Nigdy nie zaszkodzi spróbować. Dziękuję za rozpatrzenie mojego podania.

Wstała i wyciągnęła rękę. Althea Drake była pod wrażeniem stanowczego uścisku jej dłoni i szybkich, pełnych gracji kroków, jakimi opuszczała biuro.

Starsza kobieta została sama. Usiadła, patrząc przez okno na rysujące się na tle nieba wieżowce środkowego Manhattanu.

Mogła, oczywiście, posłać tę dziewczynę na górę, do biura pana Fraska, przepuszczając ją tym samym przez pierwszą barierę. Frask przedyskutowałby z nią jej ambicje i dałby jej do rozwiązania plik testów, które bez wątplenia przeszłaby śpiewająco. Po dwudziestu czterech godzinach miałyby etat jako stażystka w dziale organizacji lub badań.

Lecz rynek pracy był rzeczywiście nieco przepelniony. Firma nie zatrudniała w tej chwili nikogo nowego, ponieważ jej pozycja wymagała właściwych ludzi na właściwych stanowiskach. A Althea Drake, rozumiejąc, jak sprawy stoją, czuła, że nie jest to odpowiedni czas, by podejmować ryzyko obsadzania młodych dziewczyn na ważnych posadach. Nie można było im ufać. Wychodziły za mąż, zachodziły w ciążę, brały zwolnienia, porzucały pracę. Podchodziły emocjonalnie do problemów zawodowych. Wikłały się w romanse z przełożonymi. Magnus Industries potrzebowało ludzi, co do których można by mieć pewność, iż przedłożą absolutne poświęcenie dla firmy nad życie osobiste.

Ludzi, którzy nie będą sprawiać trudności.

A ta dziewczyna, sądząc po wyglądzie, mogła sprawiać kłopoty.

Althea Drake przeciągnęła się za biurkiem. Na swój mały sposób wyrządziła firmie przysługę. Utrzymała ją na właściwej drodze, wycinając z niej maleńką komórkę, która mogłaby osłabić całość. Wyeliminowała to, co nieprzewidziane i zachowała to, co bezpieczne i przewidywalne.

— Mary — rzuciła do intercomu — przyślij następnego aplikanta.

Cztery tygodnie później ruch w interesach był większy niż zwykle. Althei Drake kręciło się w głowie od nawału pracy i od nowych twarzy, z których wiele zatrudnionych zostało przez jej biuro.

Stąd zamurowało ją niemal, kiedy dostrzegła twarz, której nie powinno tu być.

Weszła właśnie do hallu w gorący czerwcowy poranek i pierwszą osobą, która rzuciła jej się w oczy, była Frances Bollinger, ta sama, której podanie osobiście odrzuciła. Szła w kierunku wind z dwiema innymi dziewczynami pracującymi na dwudziestym drugim piętrze.

Jedna z nich nazwała ją Francie. Panna Bollinger uśmiechała się. Pod pachą niosła aktówkę, a na sobie miała prostą spódnicę i żakiet otulający jej wspaniałe ciało. Z ramienia zwieszała się mała torebka. Kiedy tak stała w otoczeniu pospolicie wyglądających koleżanek, jej jaśniejsza uroda sprawiała, że przypominały one brzydkie kaczątka przy przepięknej łabędzicy.

Oczywiste było, że nie przyszła tu z wizytą. Energiczna postawa w połączeniu z urzędowym strojem mówiły jasno, że przybywa do pracy.

Althea Drake pospieszyła na górę i zaczęła przeglądać akta personalne w poszukiwaniu nazwiska dziewczyny.

Znalazła je bez trudu. Wyglądało na to, że tydzień temu zatrudnił ją jeden z jej asystentów. Człowiekiem, który to spowodował, był pan Wilbur z Działu Produktów Krajowych, a podanie dziewczyny zostało włączone do akt, nie przechodząc przez biuro panny Drake.

Althea wpatrywała się w formularz ze ściągniętymi brwiami. Jak ta dziewczyna to zrobiła?

Zacisnęła wargi. Przed oczyma stanęły jej te świeże policzki, bujne włosy opadające na ramiona, inteligentne spojrzenie, dojrzałe biodra i długie nogi.

Pan Wilbur był mężczyzną żonatym i sumiennym pracownikiem. Ale wszyscy faceci tracą głowę na widok ładnej buzi. To ogólnie wiadoma rzecz.

Wzdychając głęboko, panna Drake zamknęła teczkę.

ROZDZIAŁ 2

To wszystko nie było takie proste.

Trzy tygodnie po tym, jak Althea Drake odprawiła Francie z kwitkiem, Raymond Wilbur siedział za swoim dyrektorskim biurkiem w Dziale Produktów Krajowych, potrząsając rozpaczliwie głową.

Raymond Wilbur był oddanym, ciężko pracującym dyrektorem działu, może nawet najlepszym w nowojorskim oddziale Magnusa. Tkwił w firmie od szesnastu lat, wykonując swoje obowiązki sumiennie i z poświęceniem. Posiadał wygodny dom w Westchester, kochającą żonę i dwóch synów, którzy niedługo mieli rozpocząć naukę w college'ach.

Żył nieźle ze swoich zarobków. Jednakże dalsze kształcenie synów wymagało nakładów finansowych, tak więc nie był to z pewnością czas na jakiegokolwiek zmiany.

A jednak jakieś zezowate szczęście sprawiło, że pomimo usilnych starań, by tego uniknąć, Ray Wilbur znalazł się w tarapatkach.

Zarządzany przez niego Dział Produktów Krajowych nie wykazywał w ostatnich siedmiu kwartałach żadnych zysków. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się działo. Rynek był silny, personel dobry i wydajny, produkty od dawna zaakceptowane przez klientelę. Konkurencja nie była zbyt agresywna.

A mimo to nie było zysków, a produkcja zaczęła wykazywać alarmującą tendencję spadkową. Ray Wilbur dostrzegł ten problem już po pierwszym kwartale, który przyniósł straty. Zwołał wówczas pilne zebranie i wraz ze współpracownikami radzili, jak zmienić stan rzeczy.

Lecz ani tamto, ani inne zebrania nie przyniosły owoców. Nikt bowiem nie był w stanie zrozumieć przyczyn załamania w najsilniejszym dotychczas dziale Magnus Industries, nikt też nie potrafił znaleźć skutecznego rozwiązania.

Rayowi Wilburowi przypadł w udziale przykry obowiązek złożenia niepomyślnego sprawozdania kwartalnego zwierzchnikom. Tak więc któregoś poniedziałku ubiegłej wiosny stawiał się na cholernie dla niego nieprzyjemnym zebraniu Zarządu. Starał się jak mógł wyjaśnić zgromadzonym brak osiągnięć i spadek wydajności Działu, przytaczając jako argumenty brak stabilności na rynku, konkurencję, ogólne trudności gospodarcze. Jednakże sceptyczny wyraz na twarzach szefów świadczył dobitnie, że jego samoobrona nie zrobiła na nikim wrażenia. Tymczasem co dnia w biurze musiał oglądać zadowoloną z siebie gębę Gordona Hillera, swojego głównego asystenta i faceta, który w razie jakiegokolwiek wstrząsu najprawdopodobniej przejąłby po nim zarządzanie działem. Gordon nie próbował nawet ukryć przyjemności, jaką znajdował w obserwo-

waniu pogłębiającej się z tygodnia na tydzień rozterki Raya. Po prostu przyczał się i czekał z nadzieją, że ci tam, na górze, wkrótce zdecydują rozwiązać problem w Produktach Krajowych poprzez zmianę dyrektora.

Ray Wilbur czuł, że wrzód nabrzmiewa coraz bardziej. Od miesięcy nie przespał spokojnie ani jednej nocy.

Zmartwienie gryzło go do tego stopnia, że nie był nawet w stanie kochać się z żoną. Podczas weekendów jeździł bez celu po okolicy swoim fordem z 1948 roku, wpatrując się błagalnie w podmiejski krajobraz, jakby w nim mógł znaleźć odpowiedź na nękające go pytania.

Wiedział, że czas działa na jego niekorzyść. W wieku czterdziestu siedmiu lat miałby wielkie kłopoty ze znalezieniem nowej pracy w innej firmie, gdyby Magnus go wyrzucił.

W ciągu jednego krótkiego roku jego niegdyś tak bezpieczna sytuacja zmieniła się z problematycznej w krytyczną. Nigdy dotąd w swojej karierze nie ślizgał się po tak cienkim lodzie.

Czas najwyższy, żeby zdarzył się jakiś cud.

Cud objawił mu się w postaci zdumiewająco ślicznego, młodego gościa, który odwiedził jego biuro.

Sekretarka zaanonsowała go jako pannę Frances Bollinger.

— Nie jest umówiona, proszę pana. Mówi, że to dotyczy krzywej surowców krajowych. Ona jest jakaś... no cóż, ona bardzo nalega, proszę pana.

Wzdychając z irytacją, Wilbur zgodził się przyjąć dziewczynę.

Kiedy wkroczyła do biura, wyciągając na powitanie rękę, stanął jak wryty, oszołomiony jej urodą. Była wysoka, a jej ciało emanowało czymś pośrednim pomiędzy wysportowaną siłą a dziewczęcą delikatnością. Z jasnych oczu biła szczerść i uczciwość. W dotyku ręki było uwodzicielskie, kobiece ciepło.

— Czemu zawdzięczam tę przyjemność? — spytał, tłumiąc pobrzmiewającą w głosie nutę podenerwowania. — Mój czas jest ograniczony, panno... przepraszam, jak się pani nazywa?

— Bollinger — uśmiechnęła się. — Przyjaciele nazywają mnie Francie.

— Cóż zatem mogę dla pani zrobić? — zapytał, wskazując krzesło dla gości.

Dziewczyna odłożyła torebkę na podłogę i otworzyła aktówkę.

— Zdaje się, że mam pomysł na rozwiązanie niektórych problemów nękających pański dział — stwierdziła dwuznacznie. — W pewnym sensie jestem specjalistką w dziedzinie problemów wymiany międzynarodowej. Zajmę panu tylko minutę.

Zaintrygowany Ray gestem dał jej do zrozumienia, żeby zaczynała.

Wręczyła mu wyjętą z aktówki kartkę z fachowym wykresem oraz kilka diagramów.

— Krzywa po lewej przedstawia wydajność pańskiego działu w ostatnich ośmiu kwartałach. Druga krzywa ilustruje rozwiązanie, nad którym pracuję, oparte na obliczeniach z użyciem teorii zbiorów i wzorów z wyższej matematyki — uśmiechnęła się. — Matematyka była moim drugim przedmiotem na Uniwersytecie w Pensylwanii. Przepraszam, jeśli nie wyrażam się jasno.

— Co to wszystko znaczy? — Ray zerkał niepewnie na skomplikowane diagramy.

— To znaczy — nie przestawała się uśmiechać — że ujemna wydajność pańskiego działu ma swoje korzenie w czynniku dotyczącym rynku. Widzi pan, to jest tutaj, na wykresie. Naturalnie nikt by nie pomyślał, by szukać go właśnie tam, ponieważ na powierzchni rynek wygląda zdrowo, a gospodarka kwitnie. Niemniej jednak, to jest właśnie to. Jedynym sposobem na odwrócenie tendencji spadkowej jest wzięcie tego czynnika pod uwagę przy obliczeniach i skompensowanie go.

— Skompensowanie, jak? — spytał Ray sceptycznie.

— Cóż, moim zdaniem — odparła dziewczyna, skupiając wzrok na leżącym przed nim papierze i pochylając się nad nim, by wskazać odpowiednie liczby — właściwą procedurą jest obcięcie nakładów na siłę roboczą w X^2 z jednoczesnym zwiększeniem zaangażowania w Y^2 . W tym samym czasie procent zapasów jako funkcji zbytu w górnej części wykresu powinien wzrosnąć o co najmniej trzydzieści procent w okresie sześciu miesięcy. W rezultacie przed drugim kwartałem przyszłego roku uzyskamy czysty zysk.

Ray Wilbur patrzył na wykres w osłupieniu. To, co ona sugerowała, nie miało z punktu widzenia biznesu żadnego sensu.

— Wiem, że to brzmi zwariowanie — powiedziała, jakby wyczuwając jego niedowierzanie — ale liczby nie kłamią. Wkładacie za dużo w X, a o ponad połowę za mało w Y. To

stare zagadnienie w teorii zbiorów, lecz z tego co wiem, nie było jeszcze stosowane w ekonomii, gdyż tego nie wymagały warunki. Jednak w gospodarce powojennej stan rzeczy uległ zmianie.

Wilbur wyprostował się na krześle. Spojrzał w okoloną czarnymi włosami twarz Frances Bollinger. Jej wyraz nie zmienił się. Nadal pozostawał służbisty i pełen szacunku. Lecz w głębi oczu wyczuwał inteligencję oraz wiarę w liczby i własne słowa. Wiedziała, co robi.

— Skąd ta pani pewność? — zapytał. — Mamy specjalistów pracujących nad tymi samymi problemami. Żaden z nich nie zasugerował niczego podobnego do tego, co pani proponuje. Szczerze mówiąc, młoda damo, to kłóci się z wszelkimi znanymi mi regułami biznesu.

Wzruszyła ramionami. Widoczne było, że jego słowa nie zbiły jej absolutnie z tropu.

— W każdej dziedzinie jest zawsze miejsce na nowe pomysły. Cała historia Magnus Industries bazuje na podejmowaniu ryzyka w interesie długofalowego rozwoju. Ja jednak naprawdę nie widzę w moim rozwiązaniu żadnego ryzyka. To raczej konieczność.

Wilbur ponownie spojrzął na diagram. Logika kryjąca się za jej liczbami była ekscentryczna, lecz zbyt pobudzająca do myślenia, aby odrzucić ją bez dokładniejszego przestudiowania.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie pani obecnie pracuje? Uśmiechnęła się.

— Nigdzie. Prawdę mówiąc szukam pracy.

Ray przeanalizował błyskawicznie swoją sytuację. Na papierze leżącym przed jego nosem znajdowała się być może nieć Ariadny, która mogłaby wyprowadzić jego dział z impasu, uratować jego posadę i odstawić Gordona Hillera z powrotem na jego miejsce.

To mogło być światelko na końcu przerażającego tunelu, w którym czołgał się przez dwa straszliwe lata.

Musiał jedynie pójść wskazanym mu śladem.

Lecz nie był w stanie zrobić tego samodzielnie. Będzie mu do tego niezbędna Frances Bollinger ze swoją słodką twarzą, promiennym optymizmem i niesłychaną logiką. Nie może pozwolić jej odejść.

I nikt nie może wiedzieć o jej planie. To będzie sprawa wyłącznie między nimi.

— Co by pani powiedziała na pracę u nas? — zapytał, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej obojętny ton. — Oczywiście w moim dziale?

Podniosła się z uśmiechem, kłując go w oczy wspaniałymi kształtami młodzieńczego ciała.

— Myślałam, że nigdy pan o to nie zapyta.

ROZDZIAŁ 3

Raymond Wilbur nie mógł wiedzieć, że ta piękna, przekonywająca istota, która pojawiła się bez uprzedzenia w jego biurze, zaskoczyła w równym stopniu samą siebie, co jego.

Decydując się na ominięcie w jakiś sprytny sposób przeszkody w postaci Althei Drake i dążąc mimo wszystko do otrzymania posady w Magnus Industries, Francie była zdumiona własną chłodną determinacją. Nigdy nie uważała się za osobę agresywną i przebiegłą. A jednak teraz zachowywała się jak zaprawiona w biznesowych szachrajstwach weteranka.

Spędziła długie godziny w Bibliotece Publicznej w Nowym Jorku i różnych stanowych i federalnych biurach informacji rządowej, szukając słabego ogniwa w monolicie, jakim było Magnus Industries. Nie było to zadanie łatwe, gdyż duże korporacje nie lubią afiszować się niepowodzeniami i po mistrzowsku tuszują problemy finansowe jednego działu zyskami innego.

Mimo to Francie znalazła upragniony słaby punkt. Objawił się jej on w deszczowe popołudnie, w dziesięć dni po rozmowie z Altheą Drake, na kilka minut przed zamknięciem czytelní. Był nim bilans zysków i strat Działu Produktów Krajowych Magnus Industries, udostępniony do publicznego wglądu na mocy ustawy o jawności, lecz zagrzebany pod górą papie-rzysk, przez którą Francie przekopywała się od trzech dni.

Bez wątpienia znalazła to, czego szukała. Dział Produktów Krajowych Raymonda Wilbura padł ofiarą tajemniczego spadku produkcji i zysków. Zaczął przysparzać kłopotów korporacji. A sam Wilbur stał się kłopotliwy dla wymagających zwierzchników.

Raymond Wilbur był człowiekiem zagrożonym zaprzepaszczeniem kariery. Właśnie kogoś takiego Francie szukała.

Mając już w rękę tę informację, musiała przeanalizować problemy, które dotknęły dział Wilbura i znaleźć ich rozwiązanie. Już samo to stanowiło wyzwanie, które zniechęciłoby każdą inną dziewczynę w jej położeniu i odwiodłoby ją od realizowania ambitnego celu.

Lecz Francie właśnie to wyzwanie zdopingowało do działania.

Siedemnaście lat przed zetknięciem się z Magnus Industries Francie była rezolutną, psotną pięciolatką, uważaną w przedszkolu za geniusza w dziedzinie liczb. Chociaż pod każdym innym względem była normalnym dzieckiem, posiadała niebywale wysoki iloraz inteligencji. Zdolnością rozwiązywania matematycznych i technicznych problemów dorównywała bez mała studentom college'u.

Rodzice początkowo nie wiedzieli, co począć z tą zdumiewającą, nad wiek rozwiniętą zdolnością córki. Marcus „Mac” Bollinger, skromny murarz i majsterkowicz z małego miasteczka w Pensylwanii, gdzie urodziła się Francie, nie znał się na matematyce. Jego żona, Helen, córka miejscowego farmera, również nie miała pojęcia, jak pokierować tak utalentowanym dzieckiem.

Dumni, aczkolwiek skołowani rodzice szukali rady zarówno u nauczycieli Francie, jak u ekspertów w zakresie edukacji dzieci uzdolnionych. Wkrótce zdecydowali, że nie będą małej przeciążać wiedzą, w której była „specjalistką” ani odrywać jej od kolegów z klasy, żeby umieścić ją w jakiejś specjalnej szkole. Francie rozpoczęła pierwszą klasę zgodnie z planem i ukończyła edukację w szkole publicznej w tym samym czasie, co jej rówieśnicy z sąsiednich miasteczek i farm. Jediną rzeczą wyróżniającą ją spośród innych dzieci była maksymalna średnia ze wszystkich przedmiotów oraz specjalne kursy matematyczne, na które uczęszczała dwa razy w tygodniu do pobliskiej szkoły eksperymentalnej, gdzie wykładali profesorowie z uniwersytetu stanowego.

Francie traktowała swój niezwykle dar jako coś naturalnego. Matematyka ją fascynowała. Będąc małą dziewczynką lubiła kształty liczb i była przesądna. Ojciec wykonał dla niej w swoim warsztacie gigantyczną piątkę z drewna.

Ustawiono ją przy ścianie w jej sypialni, a ona co wieczór przed zaśnięciem odczuwała emitowane przez nią tajemnicze wibracje.

To dziwaczne powinowactwo z cyfrą 5 już jej zostało, a wkrótce dołączyły do tego specjalne uczucia do innych liczb: 6 — liczby, która oznaczała dla niej spokój i sen; 7 — magicznego numeru tajemnicy i przesądu; 4 — smutnej i poważnej, pełnej sekretnej mądrości i 3 — cyfry, która w jakiś nieodgadniony sposób uosabiała ją samą. Każda z dziesięciu liczb jednocyfrowych posiadała własną, unikalną osobowość. A kombinacje liczb były jak kosmiczne małżeństwa. Mariaż 2 i 5 tworzył 25, kojarząc się Francie ze związkiem dwóch domowych kotów, złocistego i czarnego, które wzięte razem tworzyły tygrysa. Cyfry były dla niej jak towarzysze zabawy.

Absorbowały jej aktywny umysł, stając się równie bliskie jak rodzice czy przyjaciele.

Do najtrudniejszych obliczeń i zadań matematycznych podchodziła ze stoickim spokojem. Stanowiły rozrywkę, drażniły umysł, a rozwiązywanie ich sprawiało jej radość. Poza tym czuła, że liczby są jej przyjaciółmi i nie tają przed nią swych sekretów. Stąd to, co inni ludzie uważali za zdumiewający geniusz, Francie traktowała jako hobby i obronę przed samotnością, ponieważ będąc jedynaczką, musiała sama wypełniać sobie czas wymyślając własne zabawy.

Helen Bollinger umarła w okrutnych męczarniach, kiedy Francie miała 14 lat. Dziewczynka została tylko z ojcem, który w niedługim czasie znalazł szorstką Irlandkę o nazwisku Mollie Maguire do pomocy w prowadzeniu domu i w opiece nad córką. Chociaż Mac Bollinger był pełnym poświęcenia, kochającym ojcem, zapewniającym jej domowe ciepło i wsparcie, dorastanie okazało się dla Francie ciężką próbą. Rozkwitła wczesnie, stając się zwinną, wysportowaną istotą rzadkiej piękności. Przyjaźniła się co prawda z dwiema dziewczynkami z sąsiedztwa, lecz pozostałe koleżanki ze szkoły trzymały się od niej z daleka. Nigdy nie odgadła, czy powodem tego były jej zdolności, czy nieprzeciętna uroda.

Jeśli chodzi o chłopców, to byli oni beznadziejnie zafascynowani jej niezwykłą aparycją: długimi, bujnymi włosami, mleczną karnacją i przyprawiającymi o zawrót głowy zielonymi oczyma, tak przepelnionymi intelektem, że nie mieli odwagi zaproponować jej randki. Choć tryskała humorem, traktowała ich serdecznie i przyjaźniła się z wieloma z nich, nie mogli jednak w jej obecności przezwyciężyć onieśmienia i tym sposobem nigdy nie zaangażowała się w żaden romantyczny związek.

Ten brak pozostawił na Francie piętno. Obserwowała, jak brzydsze i głupsze od niej w sprytny sposób uwodziły wpadających im w oko chłopców. Wkrótce zrozumiała, że to, co nauczyciele nazywali u niej „siłą intelektu”, nie obejmowało tej instynktownej kobiecej inteligencji, dzięki której wiedziało się, jak manipulować chłopakami, żeby tańczyli tak, jak im się zagra.

O dziwo, Francie nie zazdrościła koleżankom. Nie miała ciągotek do mamienia płci przeciwnej swą urodą. Chciała być kochana za to, że jest sobą. Fantazjowała na temat mężczyzny, który pewnego dnia zawładnie jej sercem, kogoś miłego i przystojnego, kto połączy swoje życie z jej życiem w niemal mistycznym związku, podobnym do fascynujących ją tak bardzo związków między liczbami. Doszła do wniosku, że los jeszcze nie zdecydował o wprowadzeniu wielkiej miłości w jej egzystencję.

Tak więc skoncentrowała się na przygotowaniach do studiów, co należało do rzadkości w rodzinie Bollingerów. Pragnęła jednak tego dla niej matka, a dla Maca Bollingera było to marzeniem, które zamierzał urzeczywistnić za wszelką cenę mimo własnego ubóstwa.

Jak się później okazało, poświęcenie finansowe Maca nie było potrzebne. Dzięki doskonałemu świadectwu i maksymalnej liczbie punktów uzyskanych w teście, przyznano Francie pełne stypendium w Uniwersytecie Pensylwanii. Podejmując w nim studia zdecydowała, że jej głównym kierunkiem nie będzie matematyka, gdyż stanowiła ona w takim stopniu część jej natury, iż kariera profesora w tej dyscyplinie nauki nie wchodziła w rachubę. Chciała wyjść naprzeciw prawdziwemu światu, gdzie wyzwania były mniej abstrakcyjne, bardziej nieprzewidywalne i emocjonujące.

Jako przedmiot wiodący wybrała więc biznes, a matematykę i języki obce jako przedmioty towarzyszące. Wkrótce stwierdziła, że w przeciągu niespełna roku jest w stanie opanować bez wysiłku język obcy, w związku z czym do znanych ze szkoły francuskiego i hiszpańskiego dołożyła niemiecki i włoski.

Nieszczęście Francie, wówczas zachwycającej pięknnością osiemnastolatki, polegało na tym, że jej zdolności intelektualne odstraszały młodzieńców studiujących matematykę tak, jak wcześniej chłopców w szkole średniej. Tylko niektórzy z nich ośmielali się z nią rozmawiać, a zaledwie kilku odważyło się zaproponować jej randkę.

Studenci z grupy biznesu, gdzie Francie była jedyną dziewczyną, byli bardziej agresywni, ale w ostatecznym rozrachunku ich towarzystwo ją nudziło. Umawiali się z nią, ale w końcu okazywali się beznadziejnymi uwodzicielami żądnymi wyłącznie jej ciała, nie zainteresowanymi w najmniejszym stopniu jej osobowością. Odparowywała ich umizgi z uśmiechem, a z garstką z nich udało jej się nawiązać platoniczne przyjaźnie. Byli to ci, których nie irytowała zbytnio jej nieprzeciętna inteligencja i którzy nie czuli się zdeprymowani w jej towarzystwie. Doszło do tego, że na obu wydziałach Francie była uważana za coś w rodzaju wybryku natury, nieporównywalnego w swej piękności i mądrości, lecz nietykalnego, mimo okazywanej wokoło przychylności. Była postacią popularną, ale nikt nie wiedział, jak bardzo samotną pod radosną powierzchownością. Powodem było to, że nie spotkała jeszcze tego wymarzonego mężczyzny, któremu zależałoby na poznaniu jej nadziei, marzeń i rozczarowań, jakie mogłaby chcieć z nim dzielić.

Samotność Francie rosła z każdym dniem. Ukrywała ją skrzętnie przed ojcem i przyjeżdżając do domu na wakacje, zapewniała go, że ma w szkole mnóstwo przyjaciół. Ukrywała ją także przed samą sobą, koncentrując wysiłki na wymogach programu studiów i snując wspaniałe plany na temat przyszłej kariery w biznesie.

W dodatku pojawiły się przed nią nowe, zaskakujące możliwości, wypełniające jeszcze bardziej jej czas.

Traf chciał, że na Uniwersytecie Pensylwanii mieściła się też Szkoła Inżynierii Elektrycznej, w której zaledwie kilka lat wcześniej zaczęła się w błyskawicznym tempie rozwijać nowa, rewolucyjna dziedzina nauki — komputery. To właśnie tu John Mauchly i J. Presper Eckert zaprojektowali i wprowadzili w życie legendarny już ENIAC.

Współlokatorka Francie, Dana Salinger, śliczna studentka kierunku technicznego, uczęszczała na kursy w tej szkole i namówiła na to samo Francie. Ta już po kilku zajęciach złapała się na tym, że stała się niewolnicą tej trzydziestotonowej, pełnej cyfr i nieograniczonych możliwości obliczeniowych maszyny.

W miarę upływu czasu zainteresowanie Francie komputerami rosło, a ona sama zyskiwała doświadczenia na coraz bardziej wyrafinowanych maszynach dostępnych w uniwersytecie. Wybrała się też z kilkoma innymi studentami zobaczyć

UNIVAC, komercyjny komputer zaprojektowany przez Mauchly'ego i Eckerta w 1951 roku. Słuchała wykładów legendarnego Johna van Neumanna w Instytucie Studiów Zaawansowanych i przeczytała wszystko, co było do przeczytania na temat oprzyrządowania komputerów i nowej dziedziny programowania.

Po ukończeniu studiów, jako świeżo upieczona absolwentka uniwersytetu, Francie miała głowę przepelnioną pomysłami dotyczącymi biznesu, matematyki i wiedzy komputerowej, które wirowały jak kolory w kalejdoskopie. Posiadała też pewien zasób wyobrażeń odnośnie do własnej przyszłości w ekscytującym świecie interesów, gdzie nie tylko znajdzie spełnienie zawodowe, do którego przygotowywała się przez te wszystkie lata, ale także spotka długo wyczekiwanego mężczyznę swoich snów.

Opuszczając uczelnię, zabrała również ze sobą dossier pełne entuzjastycznych rekomendacji wystawionych przez nie mogących wyjść z podziwu profesorów. Wykładowca biznesu, profesor George Fiedler napisał, że była ona „bez wątpienia najbardziej błyskotliwą studentką, jaką miałem zaszczyt uczyć w ciągu 25 lat pracy w akademii. Pisana jest jej wielka kariera w każdej dziedzinie, jaką wybierze”.

Rekomendacja ta, której treści Francie nie znała, mogła zapewnić jej natychmiastowe kierownicze stanowisko w każdym przedsiębiorstwie w kraju. Nie wywarła jednak wrażenia na Althei Drake z Magnus Industries.

Takie potraktowanie strasznie rozczarowało Francie, która marzyła o podjęciu pracy w Magnus Industries od początku studiów, kiedy to po raz pierwszy usłyszała o znakomitych osiągnięciach badawczych zakładów Magnusa, ich nieskazitelnej opinii wśród innych firm oraz o rozrzuconych po całym świecie filiach zagranicznych zlokalizowanych w krajach, których nigdy nie widziała, lecz których językami potrafiła już płynnie władać.

Na widok Althei Drake zamykającej z zimnym uśmiechem jej teczkę osobową i oznajmiającej, że drzwi Magnus Industries są dla niej zamknięte, coś we Francie pękło. Odkąd pamiętała, jej szczerze starania jako studentki zawsze były nagradzane wysokimi ocenami i pochwałami ze strony nauczycieli. Lecz świat odbijający się w bezdusznych oczach Althei Drake był światem zupełnie nowym i innym od tego, który Francie znała.

Jakby za sprawą czarów, do wielu wrodzonych zdolności Francie dołączył nowy talent. Czy raczej nie tyle talent, co jakiś wewnętrzny ogień, który teraz wybuchł jasnym płomieniem po okresie niezauważalnego tlenia się przez całe jej dzieciństwo.

Mówiąc wprost, nie miała zamiaru przyjmować odpowiedzi odmownej z Magnus Industries. Intuicja podpowiadała jej, że biuro panny Drake nie jest jedynie zwyczajnym pomieszczeniem w dużym budynku na Manhattanie. Stanowi monumentalną bramę do świata, w którym nie przydarza się nic dobrego, dopóki nie osiągnie się tego dobra samemu, w którym przeszkody nie usuwają się z drogi, dopóki albo nie zlikwiduje się ich, albo nie obejdzie przy pomocy sprytu i inicjatywy.

Ta świadomość wytyczyła Francie drogę marszu.

Kiedy wkroczyła do biura Raymonda Wilbura, ubrana w wyrafinowane zmysłową, urzędowo wyglądającą sukienkę zakupioną specjalnie na tę okazję i uzbrojona w tabele i wykresy ilustrujące szczegółowo rozwiązanie nękających Wilbura problemów, czuła się jak zupełnie nowa kobieta. Nawet trema, wywołana nietypowym postępowaniem, ukryta była pod energiczną, kompetentną powierzchownością. Przygotowała się do wykorzystania każdej broni ze swego arsenału, byle tylko osiągnąć cel.

I po raz pierwszy w życiu złapała się na tym, że mobilizuje wszystkie babskie sztuczki w pikantną mieszankę, mającą wyrzeć odpowiednie wrażenie na słabym samcu. Zaaranżowała z detalami sposób bycia, mówienia, poruszania się tak, aby do przygotowanej przez siebie chłodnej, matematycznej prezentacji dodać ledwo uchwytny sygnały kobiecego czaru.

Stojąc jakby obok siebie obserwowała, jak Raymond Wilbur zaczyna ulegać złożonemu urokowi jej fizycznej prezencji i niezaprzeczalnej fachowości.

Skonfrontowany z tak starannie wyostrzonym przed tym spotkaniem orężem Wilbur skapitulował. Zaproponował jej pracę. Zdobyła to, czego chciała.

I nie była zaskoczona.

Dawną Francie zdumiałby taki obrót sprawy i własna agresywność, która do tego doprowadziła.

Lecz dawna Francie przestała istnieć. Jej miejsce zajęła nowa osoba, uzbrojona w nadspodziewane umiejętności i być może narażona na nowe niebezpieczeństwo.

Francie odczuła lekki dreszcz tej wewnętrznej metamorfozy, kiedy potrząsając ręką Wilbura, wyrażała zgodę na przyjęcie nowej posady. Miała wrażenie, że przeszłość wyslizguje się spod jej stóp tak zdecydowanie jak trampolina spod nóg skoczek, który rzuca się w rozrzedzone powietrze.

Tamtego pierwszego wieczoru zadzwoniła do ojca do Pensylwanii, żeby podzielić się z nim dobrą nowiną. Kiedy jej gratulował, w jego głosie słyszała ulgę.

— Jestem taki szczęśliwy z twojego powodu, Frannie_

zwrócił się do niej pieszczotliwym zdrobnieniem, jakiego używał wobec niej od najmłodszych lat. — Zawsze wierzyłem, że zwrócisz na siebie uwagę tych nowojorczyków i pokażesz im, co potrafisz. Jestem z ciebie taki dumny.

— Dzięki, tatusiu — powiedziała, maskując nienaturalnym podnieceniem nie dopowiedzianą do końca prawdę. Nie wyznała ojcu, że Magnus Industries odrzuciło ją, kiedy po raz pierwszy złożyła podanie o zatrudnienie. Nie powiedziała też nic o desperackim gambicie, jaki musiała zastosować, by osiągnąć cel.

— Nie pozwól, żeby to wielkie miasto dobrało ci się do skóry — ostrzegł ją. — Dbaj o siebie i bądź szczęśliwa. Skrywanie niepokoju pod pokrywką ufności i pewności w rozmowach z córką było typowe dla Maca Bollingera. Od czasu śmierci żony była wszystkim, co miał na tym świecie, starał się jednak usilnie respektować jej niezależność i unikać nad-opiekuńczości.

— Nie martw się o mnie, tatku — uspokoiła go. — Nic mi nie będzie. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Odkładając słuchawkę, nie mogła się oprzeć refleksji, że wielkie miasto, mimo wszystko, już wycisnęło na niej swoje pierwsze piętno. Po raz pierwszy zadzwoniła do domu nie tylko po to, by przekazać ojcu dobre wieści, lecz także po to, by zataić przed nim prawdę o metodach, jakimi tego dokonała.

Po raz pierwszy okłamała ojca tak poważnie.

Przed zaśnięciem długo rozmyślała nad tym faktem. Lecz kiedy się nazajutrz zbudziła, perspektywa stojących przed nią zadań sprawiła, iż zapomniała o swoim kłamstwie. Skupiła całą uwagę na otwierającej się przed nią przyszłości. Lecz żeby wszystko mogło toczyć się po jej myśli, musiała się jeszcze wiele uczyć.

ROZDZIAŁ 4

Początkowo zdawało się, że wszystko idzie gładko.

Przystąpiła do pracy z lekkim sercem i wielkimi nadziejami na przyszłość. Ray Wilbur przygotował dla niej osobne biuro, w którym umieścił ją z poleceniem ekspresowego usystematyzowania planu reorganizacji finansowej, by przy najbliższej nadarzającej się okazji mógł zaprezentować go Zarządowi. Zabronił jej rozmawiać o szczegółach wykonywanej pracy z młodszymi rangą pracownikami z sąsiednich pokoi. Pod koniec każdego dnia miała mu dostarczać efekty całodziennych zajęć, aby mógł je zabrać do domu i zapoznać się z nimi, zanim przekaże swoim przełożonym.

Ta aura kamuflażu jednocześnie bawiła i pobudzała Francie. Podobało jej się, że pracuje nad czymś poufnym i ważnym, nad czymś, co predystynuje ją do specjalnego traktowania przez szefa działu.

Jednak sytuacja ta niosła ze sobą pewną izolację zarówno w dziale, jak i w całym Magnus Industries. Jako asystentka dyrektora była odseparowana od zwykłych wydziałów, w których ludzie pracowali w grupach. Wykonywała swoje zadanie samotnie i składała relacje tylko jednemu człowiekowi, Rayowi Wilburowi. Miała własną sekretarkę, przyjaźnie nastawioną i stojącą mocno na ziemi dziewczynę nazwiskiem Marcia Bonner, lecz nawet ona traktowała ją z pewnego rodzaju rezerwą, jakby Francie była dziwnym stworzeniem, ni to pies ni wydra, do którego nie wiadomo jak się odnosić.

Główna siedziba firmy była pięknym budynkiem z lśniącymi korytarzami, dyskretnym, łagodzącym stresy oświetleniem i wystawnie umeblowanymi biurami. Panowała tu cisza. Nigdy nie słyszało się uniesionych złością głosów ani nie widziało twarzy zniekształconych emocjami.

Lecz już po krótkim czasie Francie zrozumiała, że ta powłoka niczym nie zmaćconej efektywności kryje zimne i bezduszne towarzystwo, które nie wita nowych pracowników z otwartymi ramionami.

Nieliczni urzędnicy, z którymi Francie zetknęła się w ciągu pierwszych tygodni pracy, nie byli przyjaźnie nastawieni. Rzucali jej czujne, szacujące spojrzenia, a ich wyszukana grzeczność nie miała w sobie krzty ciepła. Ciekawa była, czy orientowali się, w jaki sposób zdobyła tę posadę. Być może podejrzewali, że jest kochanką Wilbura.

A może jej młody wiek w zestawieniu z odpowiedzialnością, jaką ją obarczono, powodował, że czuli się zaniepokojeni. Jakie by nie były przyczyny, traktowali ją jak obcą. Pozostawiona sama sobie w małym biurze, przybywała do pracy wcześniej rano, siadała nad swoim planem i wychodziła dopiero po złożeniu codziennego raportu Wilburowi bądź jego sekretarce.

Niebawem jednak nadeszła odpowiedź na wszystkie jej pytania.

15 września, trzy miesiące po rozpoczęciu przez Francie pracy, pan Wilbur przedstawił jej propozycję Zarządowi, a ten ją zaakceptował. Reorganizacja finansowa Działu Produktów Krajowych została zatwierdzona i rozpoczęło się jej wdrażanie. Pan Wilbur pofatygował się osobiście do biura Francie z gratulacjami.

— Zrobiłaś świetną robotę. Tylko tak dalej. Bardzo mnie to cieszy.

Jego oblicze promieniowało zadowoleniem z siebie, sugerując, że „góra” była pod wrażeniem dokonania Francie. Dobrze samopoczucie Francie prysnęło jednakże jak bańka mydlana, kiedy ukazał się wewnętrzny biuletyn firmy zapowiadający reorganizację i publikujący badania, które do niej doprowadziły. Nie było w nim najmniejszej wzmianki o Francie. Opisano co prawda szczegółowo jej analizy i zalecenia, ale wszystko to przypisano panu Wilburowi i jego „personelowi”.

Jako nowicjuszka w firmie, Francie nie była pewna, czy powinna robić z tego aferę. Wahala się przez jakiś czas, lecz w końcu górę wzięła jej uparta i dumna natura, która nie pozwalała jej przemilczeć czegoś, co ją denerwowało.

Poszła więc wyklócić się do Wilbura.

— Nie twierdę, że powinnam być gwiazdą w tym programie — oświadczyła. — Ale naprawdę wydaje mi się, że skoro pomysł był mój i sama też wykonałam całą pracę, można było przynajmniej wymienić moje nazwisko.

Ray Wilbur uśmiechnął się kwaśno.

— Czas, żebyś się obudziła, Francie, i dostrzegła pewne sprawy dotyczące naszej korporacji. Wszystko tutaj dzieje się zgodnie z hierarchią. To szef zbiera zaszczyty i pochwały za wszystko, czego dokonano pod jego kierownictwem. Jak myślisz, kto teraz przypisuje sobie zasługi z tytułu twojej pracy? Wiceprezes do spraw finansów, a jeszcze wyżej Anton Mag-

nus. Nikt nie dziękuje Rayowi Wilburowi za dobrą robotę. Ty też możesz pchać się w górę, jeśli chcesz. Może któregoś dnia sama zostaniesz szefem i wtedy będziesz zbierać laury. Fancie popatrzyła mu w oczy.

— Nie chciałabym przypisywać sobie zasług z tytułu czegoś, czego nie zrobiłam — powiedziała twardo. — Ani wtedy, ani teraz.

W odpowiedzi Wilbur wzruszył jedynie ramionami.

Następnego dnia dzięki plotkom, roznoszonym przez sekretarki Wilbura, wszyscy wiedzieli o małym starciu Francie z szefem.

— Miałaś rację, robiąc mu awanturę — skomentowała przekonana wreszcie do Francie Marcia Bonner. — To banda padalców. Za nic w świecie nie uznaliby zasług kobiety...

Francie słuchała zaskoczona.

— A więc to o to chodzi?

— A o cóż by innego? — odrzekła gorzko Marcia, zdumiona naiwnością tej skądinąd inteligentnej dziewczyny. — Tak właśnie nazywa się ta gra w starym, dobrym Magnusie.

Francie była autentycznie zszokowana. Nigdy jakoś nie przyszło jej do głowy, że to wszystko mogło mieć związek z jej płcią. Sądziła, że tym, co zaważyło o jej losie, była wyłącznie kwestia hierarchii, jej niski status w firmie.

— Skąd ta pewność? — zapytała Marcie z pewnym niedowierzaniem. — Czy mężczyznę potraktowałiby inaczej?

Na wargach Marcii pojawił się smutny uśmiezek.

— Widzę, Francie, że ktoś musi otworzyć ci oczy. Powiedz, ile ci płacą rocznie jako specjalnej asystentce dyrektora?

Francie wymieniła sumę.

— Wiesz, ile dostaje tutaj facet jako początkujący kierowniczy w pierwszym roku pracy? — spytała Marcia.

Potrząsnęła przecząco głową. Kiedy Marcia podała kwotę, jej twarz pobraźla z gniewu. Było to prawie dwa razy tyle, ile wynosiły jej pobory.

— Rozumiesz teraz, o czym mówię? — w pytaniu Marcii przebijała gorycz. — Magnus Industries nie ceni wysoko umiejętności płci żeńskiej. Ta korporacja prędzej awansowałaby sprzątaczkę na wiceprezesa, niż doceniła inicjatywę kobiety na kierowniczym stanowisku. Taka jest natura tego potwora.

Marcia pokazała Francie kilka artykułów w tym samym biuletynie, który opisywał sprawę Raya Wilbura i plan reor-

ganizacji. W większości z nich wyrażano uznanie dla osiągnięć młodych stażem pracowników płci męskiej, podczas gdy na temat Francie nie było ani słowa.

Po tamtej rozmowie z Marcją postanowiła rozejrzeć się dokładniej wokół siebie w firmie. Zauważyła, że nie ma ani jednej kobiety na prawdziwie odpowiedzialnym stanowisku. Jedynymi, które dostrzegła, były takie, jak Althea Drake, kobiety z szumnie brzmiącymi tytułami, lecz obsadzone w mniej newralgicznych działach i nie posiadające żadnego wpływu na ważne decyzje wykonawcze.

Jeśli chodzi o samą Francie, obdarzono ją imponująco brzmiącym tytułem ukrywającym fakt, że jej pensja była niewiele wyższa od pensji sekretarki. I to pomimo rozbudowanego planu finansowego, który samodzielnie opracowała, planu, który zrewolucjonizuje strukturę finansową jednego z najważniejszych działów Magnus Industries.

Świadomość, że płeć wpłynęła tak decydująco na jej los, przytłoczyła Francie całkowicie. Rozsadzała ją złość spowodowana odczuciem, że płeć jest skazą, którą musi dźwigać ze sobą, dokądkolwiek się uda, skazą naznaczającą ją jako mniej kompetentną niż otaczający ją mężczyźni.

Nie mogąc dłużej znieść dławiącej wściekłości, wybrała się po raz kolejny na rozmowę z panem Wilburem.

Wyraziła swoje wątpliwości co do sposobu, w jaki ją potraktowano i zebrała się na odwagę, by wspomnieć o pieniądzach.

— Odwaliłam dla tej firmy kawał roboty, której skutkiem są poważne zmiany na korzyść. Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego zarabiam zaledwie połowę tego, co otrzymuje mężczyzna na podobnym stanowisku, nawet jeśli nie legitymuje się żadnymi osiągnięciami?

Twarz Raya Wilbura pociemniała. Przemówił łagodnym, ostrzegawczym tonem.

— Posłuchaj, Francie. Musiałem się solidnie nagimnastykować, żeby cię zatrudnić z pominięciem obowiązujących formalności. Czy to do ciebie dociera, czy nie, twoja sytuacja w Magnusie jest dobra. O ile pamiętam, żadna kobieta nie dokonała tutaj tego co ty. Miej jednak na względzie, że jeśli zaczniesz wygadywać takie rzeczy, jakie słyszałem przed chwilą, znajdziesz się za bramą, zanim zdążysz się obejrzeć. Przyjmij moją radę, młoda damo, i nie rozpętaj burzy. To będzie twoja zguba.

Z wyrazem ogromnej troski w oczach obserwował, jak dziewczyna odwraca się na pięcie i opuszcza jego biuro.

Ray Wilbur żywił nadzieję, że tym poważnym ostrzeżeniem zamknał sprawę Francie Bollinger raz na zawsze. Nie przyszło mu nawet do głowy, że w ten oto sposób sprowokował jeden z najbardziej dramatycznych epizodów w historii Magnus Industries.

Natknąwszy się na kamienny mur, o który rozbijały się jej skargi, Francie wróciła rozgoryczona do normalnego trybu zajęć, który bardzo szybko stał się dla niej nie do zniesienia.

Pracowała samotnie. Jediną garstkę przyjaciół w Magnusie stanowiły dla niej sekretarki poszczególnych kierowników z działu Wilbura. Te młode kobiety nie miały jej za złe wygórowanych ambicji, lecz raczej jej współczuły.

Nikt nie wpadał do jej biura, żeby powiedzieć „cześć” czy pogadać dla zabicia czasu. Raz po raz w kawiarence czy na korytarzu podchodzili do niej młodszy kierownicy i traktując ją jak sekretarkę protekcyjnym tonem proponowali jej schadzki, z oczywistym podtekstem. Kiedy odmawiała, skonfundowani odwracali się plecami ze wzruszeniem ramion. Nie przywykli do otrzymywania kosza. Ostatecznie wszyscy wiedzieli, że w tej firmie jedyną szansą przebicia się jest dla kobiety okazywanie względów i uległość wobec mężczyzn wykazujących zainteresowanie jej osobą.

Marcia Bonner współczuła Francie i opowiadała jej potworne historie o niewinnych dziewczynach, które często zwiedzione obietnicą małżeństwa, ulegały takim typkom. W większości przypadków były potem porzucane, albo jeszcze gorzej. Wkrótce stało się dla Francie oczywiste, że Marcia wiedziała wszystko o zakulisowych scenach rozgrywających się w świątku pracowników Magnusa i była czymś w rodzaju kwoki przygarniającej pod swe skrzydła te z dziewcząt, dla których przygody miłosne w pracy zakończyły się nie chcianą ciążą czy inną katastrofą osobistą.

Marcia nie musiała ostrzegać Francie przed ewentualnymi konsekwencjami przyjęcia zaproszenia na randkę. Zresztą te i tak się urwały, gdyż pogłoska o jej konflikcie z Rayem Wilburem rozniosła się po całej firmie. Nie uważano jej już za wartą grzechu kobietę, lecz za dziwaczkę, której lepiej unikać. Zdaniem kadry kierowniczej, składającej się z samych mężczyzn, została uznana za *persona non grata*.

Francie próbowała zapomnieć o kłopotach, pograżając się bez reszty w pracy. Jednakże teraz, kiedy reorganizacja Produktów Krajowych była już w fazie wdrażania przez kierowników i księgowych, nie miała zbyt wiele do roboty. Powiedziano jej, że wkrótce otrzyma nowe projekty do opracowania, lecz gdy spytała pana Wilbura, czego one dotyczą i kiedy mogłaby zacząć, ten bąknął coś wymijająco pod nosem i czym prędzej odszedł.

To wszystko było patykiem na wodzie pisane. Jedyne, czego mogła oczekiwać, było papierkowe uzupełnianie własnej pracy nad reorganizacją i grzebanie się w tym, co Wilbur dla niej wynajdzie dla zabicia czasu. Same pozorowane działania. Nie tylko nigdy nie otrzyma oficjalnego podziękowania za swoje zasługi, ale też nie ma co marzyć o awansie, który normalnie takie dokonania nagradzał.

W gruncie rzeczy, może nawet zostać zwolniona z powodu „aroganckiego” zachowania, a co za tym idzie, złej reputacji w firmie. Już niemal czuła, jak korporacja wypina się na nią. Rozpętując burzę, zniweczyła swoją karierę w Magnusie. Prawdopodobnie wyleją ją, jak tylko zakończy się wprowadzanie w życie opracowanego przez nią planu. Wykorzystają ją do końca, a potem wyrzucą.

Francie długo i poważnie rozmyślała nad swoim położeniem. Uświadomiła sobie, że mrzonki o świetlanej przyszłości na łonie Magnus Industries były z gruntu fałszywe. Jej wyśniona kariera nie miała się spełnić.

Każda inna młoda kobieta na jej miejscu poddałaby się i zaakceptowała swoją sytuację, bądź poszukała innej pracy. Ale nie Francie. niesprawiedliwość, doświadczona od firmy, dotknęła jej czułego punktu, tego samego, którego dotknęła Althea Drake, informując ją zimno, że drzwi Magnusa są dla niej zamknięte.

Francie nie należała do osób, które akceptowały takie traktowanie. Czuła instynktownie, że musi walczyć i zmienić ten stan rzeczy za wszelką cenę.

Nie widziała jednak wyjścia. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by wyegzekwować swoje prawa, i przegrała. Teraz była jedynie maleńkim trybikiem w monstrualnej maszynie korporacji, zapomnianym i niezdolnym nic zmienić.

Przynajmniej tak się wydawało.

ROZDZIAŁ 5

Kto jest kim w świecie korporacji amerykańskich

wydanie 55

MAGNUS, Johan F. (Jack), syn Antona Magnusa. Urodzony w 1923. Obecnie wiceprezes d/s rozwoju filii zagranicznych Magnus Industries. Studiował w St. Paul, Yale B.S. i Harvardzie. Spędził trzy lata w Europie jako dyrektor filii Magnusa, po czym wrócił, by ponownie objąć wiceprezesurę. Uważany za główną siłę nowatorską w konglomeracie założonym przez ojca i przygotowywany do objęcia po nim zarządzania całą korporacją. Rzetelny i sprawiedliwy dyrektor, ponad wszystko stawiający dobro firmy. Plotki o długotrwałym rozdźwięku między nim a ojcem na tle polityki firmy i jej rozbudowy nie znalazły potwierdzenia. Niechętnie udzielający wywiadów prasowych i mało mówny na temat swoich idei i planów nawet wśród współpracowników, Jack Magnus jest człowiekiem czynu.

Towarzyszące notatce o Jacku Magnusie zdjęcie przedstawiało przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę, wykazującego interesujące podobieństwo do ojca. Obaj mieli ciemne brwi i dociekliwe oczy błyszczące w opalonej twarzy. Lecz w przeciwieństwie do starszego Magnusa, który był przysadzisty i męski, nie będąc wcale przystojnym, jego syn był niezwykle urodziwy i fotogeniczny. Jego posagowa męskość była tak atrakcyjna, że mógłby być modelem.

Francie spędziła sporo czasu nad tą fotografią.

Postawiła sobie za cel zdobycie jak najwięcej informacji o Jacku Magnusie. Dotarła do wszelkich możliwych źródeł zarówno w firmie, jak i poza nią.

To, czego się dowiedziała, zaintrygowało ją niepomierne.

Pozornie Jack Magnus zdawał się celowo wykreowanym do symbolizowania Magnus Industries w przyszłości, tak jak w przeszłości jego ojciec. Dorastał wraz z firmą i odniósł w niej błyskotliwy sukces. Udowodnił, że jest przebojowym, ciężko pracującym szefem, wykazującym imponujące zyski i produktywność we wszystkich działach, którymi kierował po ukończeniu studiów.

Encyklopedyczna wiedza na temat korporacji oraz zdolność rozwiązywania sytuacji problematycznych przyczyniły

się do tego, że powierzano mu coraz to nowe, trudniejsze zadania. W imieniu ojca podróżował po świecie, nawiązując stosunki pomiędzy główną siedzibą Magnusa w Nowym Jorku a wieloma filiami, o które firma bezustannie się powiększała. Mówił płynnie kilkoma językami i w krótkim czasie stał się ekspertem w tajnikach zarówno środkowoamerykańskiego, jak i europejskiego biznesu.

W tym sensie Jack był faktycznie „człowiekiem firmy”, oddanym korporacji noszącej jego rodowe nazwisko, genialnym, młodym szefem ucieleśniającym opinię o Magnusach jako nowatorach, a przede wszystkim inteligentnych i agresywnych konkurentach. Zapowiadał się na doskonałego następcę swego ojca.

Z drugiej jednak strony istniały subtelne przesłanki pozwalające domniemywać, iż sprawy pomiędzy Jackiem a ojcem nie układały się wcale tak gładko.

Jack cieszył się sławą człowieka niezależnego. Ilekroć czyniono go za coś odpowiedzialnym, przystępował do działania na własny sposób, często za cenę ostrych konfliktów z przełożonymi reprezentującymi wolę jego ojca. Zatargi te prowadziły niekiedy do ostrych sprzeczek z Antonem Magnusem. Ich treść jednak nigdy nie wydostała się poza ściany jego gabinetu.

Plotka głosiła, że Jack czerpał przyjemność z dochodzenia do sukcesu poza oficjalnymi kanałami, szydząc z uznanych mądrości, podejmując niebywale ryzyko. I tak, na przykład, w swojej pierwszej pracy na stanowisku kierowniczym, jako szef nowo założonej firmy konsultingowej w Atlancie, wylał z pracy całe kierownictwo zatwierdzone zaledwie dwa lata wcześniej przez jego ojca i obsadził ich stanowiska ludźmi z własnego wyboru. Wywołało to falę oburzenia w Zarządzie, lecz już po roku firma, o której mowa, wykazała stuprocentowy wzrost produktywności, a Jackowi przebaczone drastyczne posunięcie.

I tak było na okrągło. Niektórzy obserwatorzy uważali, że Jack stawiał się celowo, żeby zademonstrować niezależność od ojca i „Magnusowego stylu” zarządzania. Szeptano też, że strzeże zazdrośnie stref swoich wpływów i nie cierpi rad czy wtrącania się kogoś postronnego.

Byli tacy, którzy wątpili w to, iż Jack, będąc tak niepokornym synem, przejmie kiedykolwiek rządy w Magnus Industries. Podejrzewano, że pragnienie niezależności trawi go do

tego stopnia, iż zechce założyć własny interes. Lecz ci, którzy tak twierdzili, nie potrafili wyjaśnić, dlaczego wobec tego pozostawał przez tak długi czas przy ojcu. Ostatecznie już dawno stuknęła mu trzydziestka.

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Lecz bunt Jacka miał dodatkowe podłoże. Wszyscy wiedzieli, że Anton, jako zapobiegliwy ojciec, wybrał już narzeczoną dla syna. Mając na względzie interes korporacji (tak jak w przypadku własnego małżeństwa z milionami Wetherellów i wprowadzenia córki, Gretchen, w dynastię Trowbridge) upatrzył sobie dla Jacka Belinę Devereaux. Mariaż z imperium naftowym rodziny De-vereaux, zamierzającym przejąć kontrolę nad dziedziną komunikacji, byłby najbardziej genialnym posunięciem już i tak gigantycznego Magnus Industries w tym punkcie historii amerykańskiego biznesu.

Jednak małżeństwo to nie zostało zawarte. Odkładane z dnia na dzień przez ostatnie sześć lat, zaręczyny stały ciągle pod znakiem zapytania. Tymczasem coraz głośniej było o podbojach miłosnych Jacka, skutkiem czego wiele osób nabrało przekonania, że Jack nie ma w najbliższym czasie zamiaru ożenić się ani z Beliną Devereaux, ani z żadną inną.

W oczach świata Jack pozostawał zapracowanym, oddanym pracownikiem Magnusa, mającym już miejsce w Zarządzie. Nigdy jednak publicznie nie oświadczył, iż zamierza jako dyrektor generalny przejąć schedę po starzejącym się ojcu.

Ani że się ożeni. Przynajmniej nie teraz.

Studiując życie osobiste i zawodowe Jacka Magnusa, Francie zaczęła odnosić wrażenie, jakby go znała. Był bystrym i ostrożnym facetem. Większość wiedzy zawodowej zaczerpnął z Magnus Industries, lecz, jak wytrawny biznesman, był otwarty na wszelkie ewentualności. Jeśli będzie mu to pasowało, być może pewnego dnia przejmie firmę. Może też poślubić Belinę Devereaux, ale tylko o ile i kiedy samo tym zadecyduje. Nieustannie doskonalił swoje umiejętności oraz gromadził w ręku coraz większą władzę i wpływy, ale nie pozwalał, by inni dyktowali mu, co ma robić. W tym był nieodrodnym synem swego ojca, upartym, zdecydowanym, twórczym. Jednakże paradoksalnie te właśnie cechy doprowadzały do rozdzwieków między nim a ojcem.

Można sobie jedynie wyobrazić frustrację Antona Magnusa na widok tego, co wyrosło z jego potomka.

Była to jedna z dwóch przyczyn, dla których Francie interesowała się teraz tak bardzo Jackiem Magnusem. Drugim powodem, bardziej praktycznym, był fakt, iż Jack miał aktualnie pod sobą filie Magnusa w Europie. Od czasu wojny głównym celem Antona Magnusa było zakupienie jak największej liczby upadających przedsiębiorstw europejskich. Znajomość gospodarki europejskiej i stale rosnąca moc nabywczą Magnus Industries pozwoliły mu zająć silną pozycję wyjściową do utworzenia imperium finansowego w Europie, mogącego z powodzeniem kreować historię biznesu w mających nadejść dziesięcioleciach, w dziesięcioleciach, w których miał nastąpić ogromny rozwój związany z odbudową Starego Kontynentu ze zniszczeń wojennych. Dla nikogo nie było zaskoczeniem, że Anton powierzył zaufanemu synowi nadzór nad stosunkami i współpracą w ciągle rosnącej sieci filii europejskich. Przez ostatnie pięć lat Jack wkładał w to zadanie całą energię, latając tam i z powrotem przez Atlantyk, aby składać Zarządowi raporty ze swoich poczynań. Jack był doskonałym managerem i jeszcze lepszym specem od dostrzegania i rozwiązywania problemów. Lecz, co ciekawe, nawet jego niezwykle zdolności nie mogły zmienić faktu, że w Europie nie działa się dobrze. Filie Magnusa, z których wiele było starymi przedsiębiorstwami z nową załogą lub walczącymi o przetrwanie młodymi firmami z niedoświadczonym kierownictwem, były rozrzucone w dziesiątkach krajów oddzielonych od siebie barierą językową, walutową i obyczajową. Wiele z tych krajów stało po przeciwnych stronach podczas wojny. Dyrektorzy filii nie ufali sobie nawzajem i fakt ten utrudniał, czasem nawet uniemożliwiał, efektywną komunikację. W nowej Europie, ze wspólnymi siłami NATO, kooperacja gospodarcza miała być koniecznością. A Anton Magnus był zdecydowany wykorzystać rozwój tego kontynentu dla celów własnej korporacji. Lecz do tej pory jego europejskie przedsiębiorstwa zachowywały się bardziej jak obcy sobie kochankowie, którzy przypadkowo znaleźli się razem w łóżku, żeby nie powiedzieć jak zacięci wrogowie, niż jak żołnierze wcieleni do jednej armii. Ich rozwój zdawał się jedynie zwiększać wzajemną wrogość. Trwonili bezsensownie pieniądze, nie wykorzystując możliwości wzajemnej pomocy w zakresie surowców, informacji i innych elementów, a były to kwoty niebaga-

telne, które można by zaoszczędzić przy prawidłowo funkcjonującej łączności.

Mówiąc obrazowo, filie europejskie zachowywały się jak sfera żrących się między sobą psów, którym ruchy ograniczały smycze oplątane beznadziejnie wokół nóg macierzystego przedsiębiorstwa.

Ten stan rzeczy, zbyt chaotyczny, by ująć go w optymistyczny raport Magnusa dla akcjonariuszy, dotarł do świadomości Francie dokładnie w momencie, kiedy desperacko potrzebowała jakiegoś nowego wyzwania.

Mając za sobą długie studia nad językami, tak jak i zasadami biznesu, Francie wyczuwała, że zamęt panujący w filiach europejskich nie jest złem koniecznym. Mógłby zostać zredukowany do dających się pokierować proporcji, gdyby wynaleziono nowe metody analizowania i uporządkowania tego bałaganu.

Dysponując obecnie dużą ilością wolnego czasu, Francie zaczęła w praktyce szukać rozwiązania, które teoretycznie już rysowało się w jej przenikliwym umyśle.

Poświęciła długie godziny badaniu filii europejskich. Przeczytała wszystkie przeznaczone do użytku wewnętrznego materiały i publikacje dotyczące przedsiębiorstw Magnusa we Francji, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Belgii, Holandii, Niemczech Zachodnich, Włoszech, Hiszpanii i Portugalii. Przystudiowała ich zarządzanie, produktywność, koszty, zagmatwane stosunki ich rywalizacji i szczątkowej kooperacji. W skład tych filii wchodziły banki, zakłady produkcyjne, firmy zajmujące się księgowością, kopalnie, sklepy, stocznie, hotele, a nawet przedsiębiorstwa rozrywkowe. Razem tworzyły zwariowany zlepek będący miniaturowym obrazem szybko rozwijającej się, lecz chaotycznej gospodarki europejskiej.

Głowa Francie pękała od nadmiaru informacji. Jednakże pociągało ją to wyzwanie, a także rosnące poczucie, że zasób posiadanej wiedzy podsuwa jej oto rozwiązanie problemów w Europie.

Z pomocą przyszło jej to, czym z takim zapałem zajmowała się w okresie studiów — komputery.

Doszła do wniosku, że nękające filie kłopoty można by wyeliminować drogą komputerowej obsługi ich wzajemnych powiązań. Język komputerowy różni się przecież od języków, jakimi posługują się ludzie. Formalizuje wszystko, czego dotyka,

i umożliwia przekazywanie informacji w nowy sposób. Różnice w językach i walutach nie są dla komputerów taką przeszkodą jak dla przeciętnego człowieka. Jeśli można by połączyć europejskie przedsiębiorstwa za pomocą techniki komputerowej, obejmując tym inwentarz, zyski i straty, surowce, a nawet listy płac, umożliwiłoby to w przeciągu kilku zaledwie miesięcy osiągnięcie bezproblemowej współpracy omijającej bariery językowe i geograficzne, co w każdy inny sposób wymagałoby długich lat walki.

Z każdym dniem Francie była bardziej przejęta swoim pomysłem. Rozmyślała nad nim w wolnych chwilach w pracy, a wieczorami czytała wszystko, co dopomogłoby jej przyoblec go w nadającą się do realizacji formę.

Biura Magnusa wzbogaciły się ostanio o nowy komputer UNIVAC o wielkiej mocy, który zainstalowano na 45 piętrze. Do tej pory maszyna stała prawie nie używana, gdyż technika komputerowa była tak nowa, że nie odkryto jeszcze sposobów jej efektywnego zastosowania dla potrzeb korporacji.

Francie udało się uzyskać pozwolenie na korzystanie z komputera dla własnych celów. Zaczęła eksperymentować ze specjalnym programem zaprojektowanym w celu utworzenia skutecznej łączności pomiędzy filiami europejskimi. Praca była wyczerpująca i trudna, lecz w sukurs przyszła jej nieprzeciętna inteligencja i wrodzony upór. Po zaledwie kilku tygodniach prób utwierdziła się w przekonaniu o użyteczności programu.

Płonąc teraz z podniecenia, zaczęła zmieniać swój sekretny projekt w konkretną propozycję zmian w Europie, podobnie jak wcześniej dla działu Raya Wilbura. Wyrysowała tabele i diagramy, które były tak pomysłowo skoordynowane, że ilustrowały większość zasadniczo odmiennych problemów marketingowych i finansowych nękających Dział Europejski. Co najważniejsze, zgrała swój wzorcowy program komputerowy i sporządziła długi opis jego logicznych i praktycznych cech wewnętrznych.

Jej celem było wykreowanie takiej prezentacji proponowanego przez siebie systemu, która nie tylko byłaby łatwa do zrozumienia nawet dla najmniej „technicznych” umysłów z kierownictwa, lecz także miałaby perfekcyjny sens z punktu widzenia biznesu. Zamierzała przedstawić swój schemat w taki sposób, żeby wygrać dla siebie każdego, komu go pokaże.

A to przede wszystkim oznaczało Jacka Magnusa.

Francie wiedziała wystarczająco dużo na temat Jacka, by nie oczekiwać entuzjastycznego przyjęcia. W końcu już od pięciu lat walczy z tym europejskim bałaganem i nie będzie zachwycony, kiedy ktoś z zewnątrz, jakaś przemyślana stażystka, podsunie mu pod nos swoje wycieczki. Z pewnością będzie sceptyczny.

Z drugiej strony, celem Jacka Magnusa w ostatniej dekadzie było wprowadzenie innowacji w obrocie towarowym. Znany był z tendencji do wybierania najbardziej niekonwencjonalnych metod. Tak więc, niezależnie od irytacji, jaką wywoła u niego wtrącanie się osoby postronnej w jego sprawy, będzie niewątpliwie zaintrygowany jej oryginalnym podejściem do problemu.

A co najważniejsze, Jack posiadał ogromne wpływy w korporacji. O ile pomysł Francie mu się spodoba, będzie mógł pchnąć go do realizacji szybciej i skuteczniej niż ktokolwiek inny z Magnus Industries.

To było kluczem do całego planu Francie.

Dziesiątego listopada Francie ukończyła szczegółowy projekt skomputeryzowanego sprzężenia w zakresie finansów i zarządzania dla filii Magnus Industries w Europie.

Teraz istniał tylko jeden sposób postępowania. Jako kobieta, w hierarchii Magnusa Francie nigdy nie zostanie wysłuchana. Każda próba przeforsowania jej sugestii kanałami służbowymi zostanie z pewnością zignorowana.

Musi więc dotrzeć ze swym pomysłem bezpośrednio do Jacka Magnusa.

To zadanie nie należało do łatwych. Jack był wysoko postawioną, nader ważną figurą, otoczoną takim mistycyzmem jak jego ojciec. Jako członek Zarządu stykał się blisko na jego zebraniach z ludźmi posiadającymi największą władzę i wpływy.

Jednak, jeśli Francie chce awansować i wyrwać się z rutyny, w jaką popadła, musi znaleźć sposób na przyciągnięcie jego uwagi i zainteresowanie go swoim pomysłem.

Rozważywszy wnikliwie wszystkie możliwości, zdecydowała się zacząć od najbardziej banalnego, aczkolwiek bezpośredniego podejścia. Wystosowała notatkę służbową do Jacka Magnusa:

Szanowny Panie Magnus!

Od kilku miesięcy pracuję nad zagadnieniem łączności komputerowej pomiędzy europejskimi filiami Magnus Industries. Jak Pan wie, stosunki między nimi są dość napięte, zarówno z punktu widzenia finansów, jak i zarządzania. Efektem moich badań jest konkretna propozycja reorganizacji sieci komunikacyjnej, łączącej te przedsiębiorstwa, przy użyciu techniki komputerowej.

Załączony prospekt wyszczególnia zapotrzebowanie na oprzyrządowanie i specyfikację programową dla proponowanego przeze mnie systemu, a także procedurę wdrażania go i przewidywane korzyści za trzy najbliższe lata podatkowe. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciał Pan poświęcić nieco uwagi tej propozycji. Jeśli uzna ją Pan za interesującą, proszę o kontakt ze mną.

Z poważaniem Frances Bollinger Specjalna Asystentka Dyrektora Działu Produktów Krajowych 2235 B, tel. wew. 415

Włożyła obszerny prospekt i notatkę do firmowej koperty i wysłała ją do biura Jacka Magnusa. Teraz nie pozostawało nic innego, jak czekać.

ROZDZIAŁ 6

Minał tydzień.

Potem dziesięć dni, potem dwa tygodnie.

Francie знаła na tyle mechanizmy rządzące korporacją, by zdawać sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

Wysłała do biura Jacka Magnusa drugą notatkę z zapytaniem o los pierwszej. Nie otrzymała odpowiedzi.

Później wystosowała trzecią notatkę. Znow bez echa.

W końcu zatelefonowała bezpośrednio do biura Jacka Magnusa.

— Mówi Frances Bollinger z Produktów Krajowych — przedstawiła się zaabsorbowanej sekretarce. — Usiłowałam skontaktować się z panem Magnusem, wysyłając notatkę służbową na temat opracowanego przeze mnie raportu o stosun-

kach między filiami europejskimi. Mamy podstawy przypuszczać, że nie dotarła ona do pana Magnusa. Czy wie pani coś o tym?

— Czy może pani powtórzyć, jak się pani nazywa? Francie musiała przeliterować swoje nazwisko.

— Postaram się zorientować, w czym rzecz — odparła sekretarka. — Zadzwońię do pani tak szybko, jak to będzie możliwe.

„Tak szybko jak to możliwe” okazało się następnymi dwoma tygodniami, pod koniec których Francie otrzymała jedno-zdaniową notatkę z podpisem sekretarki.

Jej treść brzmiała: *Raport pani zostanie rozpatrzony w odpowiednim czasie.*

Ton notatki nie napawał nadzieją.

Odczekawszy jeszcze tydzień, Francie przystąpiła do działania.

Któregoś poranka wkroczyła do biura Jacka Magnusa i spytała siedzącą przy najbliższym biurku sekretarkę, z kim mogłaby porozmawiać na temat Raportu Wewnętrznego nr 4756 AA, gdyż takim właśnie numerem opatrzono jej raport.

Zagadnięta panienka najwyraźniej nie orientowała się w sytuacji. Wykonała kilka telefonów, po czym wyszła z pokoju.

Wreszcie wróciła, uśmiechając się niepewnie.

— To będzie pan Otis. Na końcu korytarza. Pokój 511.

— Dziękuję.

Francie przeszła długim korytarzem do pokoju 511, gdzie zastała młodego, zmieszanego stażystę w okularach, sprawiającego wrażenie, że nie ma zielonego pojęcia o jej raporcie.

— Przykro mi, panno... Jak się pani nazywa?

— Bollinger — Francie zmusiła się do uśmiechu. — Jestem z działu pana Wilbura.

Młody człowiek przeglądał leżący przed nim na biurku stos papierów.

— A, jest tutaj — odezwał się po chwili z odcieniem satysfakcji. — Raport Wewnętrzny nr 4756 AA, na temat komputerowego połączenia filii europejskich.

— To właśnie to — uśmiechnęła się kwaśno Francie.

— Przeglądamy go aktualnie. Dowie się pani o rezultatach, kiedy zostanie do końca przestudiowany.

— A kto go studiuje?

— Hm... no, cóż... ja — odparł z nieco głupawym wyrazem twarzy.

— I co pan o tym, jak dotąd, sądzi? — spytała Francie nie przestając się uśmiechać.

Wyglądał na kompletnie ogłupiałego.

— Wie pani... Za wcześniej jeszcze na komentarze... Francie spojrzała na zawalone stosami papierzyk półki.

Piętrzyły się tam góry raportów i rejestrów.

— Niech mi pan coś powie, panie Otis — zagadnęła, bardziej rozbawiona głupotą młodzieńca niż sfrustrowana jego niekomunikatywnością. — Proszę mi wierzyć, nie będę zła. Czy nie jest przypadkiem tak, że jest pan jedyną osobą odpowiedzialną za przeczytanie mojego raportu? I czy to prawda, że pan jeszcze nawet do niego nie zajrzał? I że nie zabierze się pan za to w najbliższej przyszłości? Mam rację?

Młody człowiek zrobił się zimny jak lód, przybierając pozę rasowego biurokraty.

— Nie, nie ma pani racji. Marnuje pani czas zarówno mój, jak i swój, panno... jak tam się pani nazywa. A pani raport zostanie rozpatrzony tym szybciej, im szybciej opuści pani to biuro i pozwoli nam pracować.

Francie z uśmiechem zebrała się do wyjścia. Wiedziała, że jej raport nigdy nie zostanie przeczytany. Przekazano go gap-kowatemu urzędniczynie, który wyraźnie nie kwapił się do jego przestudiowania.

Biurokratyczna machina skutecznie pogrzebała nadzieje Francie.

Znalazła się znów w punkcie wyjścia.

— W porządku — powiedziała do siebie z determinacją. — Ale mnie nie tak łatwo zrobić na szaro. Przyjmuję reguły gry. Jeszcze pan o mnie usłyszysz, panie Jacku Magnus.

Jack Magnus mieszkał w apartamencie na trzydziestym pięttrze budynku przy Wschodniej 68 Ulicy. Mieszkanie posiadało doskonałą lokalizację ze wspaniałym widokiem na centrum, Park Centralny i East River.

Jednakże jego właściciel niewiele czasu poświęcał na podziwianie widoków. Jack Magnus był człowiekiem, który co wieczór zabierał pracę do domu i często spędzał pół nocy na przeglądaniu raportów, projektów i notatek służbowych, ledwie znajdując czas na zaparzenie sobie filiżanki kawy. Kładł się do łóżka dobrze po północy, regenerując siły przed kolejnym dniem harówki.

Oczywiście, Francie nie miała pojęcia o tych intymnych faktach, kiedy pewnego poniedziałkowego wieczora zmierzała do tego budynku ze swym projektem w aktówce, otulona wełnianym płaszczem, chroniącym przed dokuczliwymi podmuchami grudniowego wiatru.

Dotarwszy na miejsce stwierdziła z konsternacją, że budynek strzeżony jest przez portiera. Zobaczyła go przez nowoczesne, przeszklone ściany, siedzącego w foyer i czytającego gazetę. W tyle, za nim, znajdowały się trzy windy.

Weszła do foyer, ciągnąc za sobą smugę zimnego powietrza.

— Przyszłam zobaczyć się z panem Magnusem — zaczęła. — Mieszka na trzydziestym piętrze.

— Wiem, gdzie mieszka — odparł portier z ironicznym uśmiechem. — Czy on pani oczekuje?

— Widzi pan, i tak, i nie...

— Nazwisko proszę — przerwał jej opryskliwie.

— Bollinger. Frahces Bollinger. Jestem z Magnus Industries..

Portier odwrócił się i powiedział coś do wiszącego za nim na ścianie telefonu. Zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu, więc nie mogła rozróżnić ani słowa.

Po chwili odwiesił słuchawkę i zwrócił się do niej.

— Nie była pani umówiona, więc nie mogę pani wpuścić. Następnym razem niech pani spróbuje najpierw zadzwonić.

— Ale ja...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, telefon na ścianie zadzwonił i portier odwrócił się, by go odebrać.

Stał do niej plecami. Znów usłyszała, jak stłumionymi monosylabami odpowiada swojemu rozmówcy. W jego głosie pobrzmiwał uniżony ton.

Sprawił wrażenie, jakby zapomniał o dziewczynie. Może myślał, że już wyszła.

Francie zerknęła na windy. Portier stał do nich tyłem. Bez chwili wahania postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję.

Szczęśliwym trafem pierwsza z brzegu winda stała na parterze. Drzwi otworzyły się i zamknęły za nią, nim portier zdążył podjąć próbę powstrzymania jej. Nacisnęła guzik na piętro Jacka Magnusa i winda z cichym szumem wystrzeliła w górę.

Wysiadła na okazałym korytarzu, którego jedyne umeblowanie stanowiło ogromne lustro. Za oknem, na tle srebrzystego nieba pysznił się profil Nowego Jorku.

Ruszyła powoli korytarzem. Było w nim tylko czworo drzwi. Pomyślała, że znajdujące się za nimi apartamenty muszą być bardzo duże.

Celem jej podróży okazały się pierwsze drzwi, do których podeszła. Wisiała na nich wygrawerowana tabliczka J. MAGNUS

Obok znajdowała się mała kołatka.

Francie zagapiła się na enigmatyczną tabliczkę. Od panującego w korytarzu ciepła zaczęło jej się robić gorąco. Stała tak, obarczona płaszczem, aktówką i torebką.

Nagle, pchnięta impulsem, pobiegła z powrotem do lustra przy windach i popatrzyła na swoje odbicie. Wiatr potargał jej włosy. Przyglądała je starannie. Policzki miała zaróżowione od zimna. Wyjęła z torebki puderniczkę i przypudrowała twarz. Wreszcie stwierdziła, że wygląda tak jak powinna, wróciła pod drzwi apartamentu i zastukała delikatnie kołatką.

W mieszkaniu panowała cisza. Wsłuchiwała się z natężeniem, lecz nie usłyszała absolutnie nic. Może Jack Magnus nie jest sam. A może nie zawraca sobie głowy odpowiadaniem na pukanie nie zapowiedzianego gościa.

Po chwili jednak zza drzwi dobiegły stłumione odgłosy. Stała na wprost wizjera, zastanawiając się, jak musi wyglądać oglądana z drugiej strony. Naraz poczuła się zakłopotana i przestraszona. Jack Magnus był sławnym i potężnym człowiekiem. Co ją napadło, żeby nachodzić go tak bezwstydnie?

Gotowa była wycofać się w pośpiechu, kiedy gałka się przekreśliła i drzwi powoli stanęły otworem.

Francie zamarła z przerażenia.

Przed nią stał najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała.

ROZDZIAŁ 7

Jack Magnus był bez marynarki, w rozpiętej pod szyją koszuli. W rękę trzymał otwarty segregator z jakimiś papierami i spoglądał z ukosa na swojego gościa, jakby jego oczy usiło[^] wały przestawić się z zadrukowanych kartek na stojącą w drzwiach dziewczynę.

— Czym mogę pani służyć? — zapytał z wyraźną irytacją w głosie.

— Przepraszam, że niepokoję pana w domu — uśmiechnęła się nieśmiało. — Nigdy bym się nie ośmieliła, ale pańskie biuro wykazało tak wiele pomysłowości w zbywaniu mnie przez ponad pięć tygodni, że dłużej już naprawdę nie mogłam tego znieść.

— Moje biuro?

— Tak — roześmiała się. — Opracowałam plan łączności komputerowej pomiędzy filiami Magnusa w Europie, obejmujący cyfrowy zapis inwentarza, kosztów, płac, a co najważniejsze schematyzację pozycji na rynku, bez względu na rodzaj produktu czy usług. Plan wymagałby zastosowania trzech dużych komputerów o średniej mocy, umieszczonych w punktach centralnych, powiedzmy w Paryżu, Londynie i Lozannie oraz systemu zapisu i odczytu informacji, który już zresztą zaprojektowałam. To system eksperymentalny, ale jestem przekonana, że zadziała. Przesłałam go do pańskiego biura, ale tam odłożono go do jakiejś szuflady i daję sobie głowę uciąć, że nigdy nie ujrzy światła dziennego, tak więc zdecydowałam się...

— Chwileczkę — wpadł jej w słowo, zupełnie oszołomiony. — Wolnego. Czy może pani powtórzyć swoje nazwisko?

— Francie. To znaczy Francie Bollinger. Pracuję w dziale pana Wilbura. Produkty Krajowe. Tak jak mówię, przeprowadziłam wiele badań nad problemem europejskim, a moją specjalnością są komputery i matematyczne schematyzację zastosowane do produkcji. Gdyby poświęcił mi pan kilka minut, byłabym w stanie wyjaśnić...

— Czy mogłaby pani trochę zwolnić, na litość boską! Francie zamilkła. Zaczęła się baczniej przyglądać stojącemu przed nią mężczyźnie. Zdjęcia nie oddawały w pełni jego rzeczywistego wyglądu. Wysoki, wysportowany, z gracją matadora. Miał gęste, czarne włosy i przenikliwe, ciemne oczy, wlepione w nią teraz z rosnącym zainteresowaniem. Zauważyła wyraźnie świeżą opaleniznę i pomyślała, że chyba jeździł na nartach.

Pod rozpiętą koszulą widać było ciemne owłosienie na piersi. Takie same ciemne włosy zarastały silne nadgarstki, z których jeden przyozdobiony był zegarkiem marki „rolex”. Była w nim jakaś brutalna gotowość, która jej imponowała.

— Jak pani się tu dostała? — spytał. — Jakim cudem udało się pani sforsować portiera?

Uśmiechnęła się ponownie figlarnym uśmiechem czarującej pensjonarki.

— Rozmawiał przez telefon — wyjaśniła z ujmującą prostotą — a ja... no cóż, udało mi się prześliznąć.

Przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niej oczu. Ciekawa była, czy teraz zaprosi ją do środka, zatrzaśnie jej drzwi przed nosem, czy też może każe ją aresztować.

— Chyba będzie lepiej, jak pani wejdzie — powiedział w końcu, cofając się o krok, żeby otworzyć szerzej drzwi. Weszła do apartamentu i stanęła jak wryta, oczarowana przepysznym widokiem. Za szklaną ścianą rozpościerał się w całej krasie Manhattan, jarząc się tysiącami świateł tworzących fenomenalny spektakl. Na wierzchołkach parkowych drzew leżał śnieg, a alejki migotały w blasku ulicznych latarni jak srebrzyste wstążeczki.

— Proszę dać mi swój płaszcz — zwrócił się do niej Jack. Pomógł jej zdjąć okrycie. Na ramionach poczuła lekki dotyk jego palców.

— Proszę, niech pani usiądzie — powiedział, podchodząc do wieszaka, żeby powiesić jej płaszcz.

Przycupnęła na głębokiej, skórzanej kanapie i rozejrzała się po mieszkaniu. Umeblowanie było proste: skórzane kanapy i fotele, szerokie, niskie stoliki, białe ściany z malarstwem abstrakcyjnym i puszyste dywany w delikatnym, niesprecyzowanym odcieniu, mieniające się ciepło w świetle lamp.

Francie uśmiechnęła się w myślach, porównując powściągliwy luksus tego miejsca z ciasnotą swojego mieszkania na West Side, którego okna wychodziły na hałaśliwą, ruchliwą ulicę. Jej biuro w Magnus Industries nie miało w ogóle okien. Nie była więc przyzwyczajona do takich widoków jak ten, który się teraz przed nią roztaczał.

Po chwili Jack pojawił się ponownie. Wydawał jej się tak niezmiernie przystojny, że z trudem mogła oderwać od niego wzrok. Spodnie i koszula na jego ciele wyglądały bardziej elegancko niż smoking na jakimkolwiek innym mężczyźnie.

Kiedy zbliżył się do niej, uderzyła ją myśl, że „na żywo” podobieństwo do ojca jest mniej zauważalne niż na fotografiach. W gruncie rzeczy, wszystkie cechy ojca zacierały się, przyćmione zdumiewającą urodą Jacka. Był jedyny w swoim rodzaju, perfekcją twarzy i ciała nie przypominając nikogo prócz siebie samego. '

— Napije się pani czegoś? — zapytał.

Potrząsnęła odmownie głową.

Usiadł na krześle naprzeciw kanapy i patrzył na nią wyczekująco. Obracała nerwowo w dłoniach swój raport. Jego wzrok niespiesznie i beznamiętnie przesunął się po jej bluzce, spódnicy, nogach, zatrzymując się na butach na wysokich obcasach.

— A więc? — odezwał się po chwili.

Zapadło milczenie. Przez moment Francie nie mogła znaleźć słów, choć wiedziała, że ma tak dużo do powiedzenia i tylko tę jedną jedyną szansę, żeby to wyartykułować.

Wyczuł chyba zmieszanie dziewczyny, gdyż pospieszył jej z pomocą.

— Zatem pracuje pani dla Raya Wilbura.

— Tak — pokiwała głową. — Zajmuję się marketingiem. Zrobiłam... to znaczy pracowałam też nad schematem reorganizacji finansowej Działu Produktów Krajowych.

— Znam to. To był genialny plan. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się, że Raya i jego ludzi stać na coś takiego.

— Myślałam... to znaczy nie przypuszczałam, że słyszał pan o tym projekcie.

— Byłem członkiem komisji, która to zatwierdzała. Decyzja była prosta. Plan Raya, czy raczej powinienem powiedzieć, plan opracowany przez jego dział — dodał znacząco — był jedyną drogą wyjścia z krytycznej sytuacji. Francie uśmiechnęła się, ośmielona. Zauważyła, że zainteresowanie Jacka jej osobą rośnie.

— Co panią do mnie sprowadza? — zapytał. — Dlaczego interesuje się pani filiami europejskimi? Przecież to nie leży w gestii pani działu, prawda?

Przygryzła w zamyśleniu wargę. Przewidziała to pytanie, ale nie mogła na nie udzielić prawdziwej odpowiedzi. Na prawdę przyjdzie jeszcze czas.

— Widzi pan, interesują mnie problemy łączności. Na uniwersytecie zajmowałam się dużo matematyką i komputerami, a...

— Europa nie ma nic wspólnego z Działem Produktów Krajowych — przerwał jej. — Czy na swoim stanowisku ma pani aż tyle czasu, żeby zajmować się czymś zupełnie innym na własną rękę?

Zawahała się.

— W pewnym sensie tak. Teraz, kiedy reorganizacja już ruszyła, żyję jakby w zawieszeniu między jednym projektem a drugim. Pan Wilbur mówi...

— Pani pozwoli, że o coś zapytam — przerwał jej ponownie. — Jak dostała się pani do pracy u Raya Wilbura?

— No... złożyłam podanie o przyjęcie...

— Jaki jest pani tytuł służbowy?

— Specjalna asystentka dyrektora. To niewiele mówi...

— Odpowiedziała pani na ogłoszenie, czy też ktoś panią zarekomendował?

Potrząsnęła głową.

— Poszłam bezpośrednio do pana Wilbura. Miałam pewne pomysły na rozwiązanie problemów jego działu i pokazałam mu opracowany przez siebie projekt. Pan Wilbur był na tyle uprzejmy, że...

— Magnus Industries nie przyjmuje ludzi do pracy w taki sposób — jego usta wykrzywił cień ironicznego uśmiešku. — Zatrudniamy wyłącznie przez Dział Kadr lub z bezpośredniego polecenia.

— Szczerze mówiąc — przyznała Francie — kadry mnie odrzuciły. Ale pomyślałam sobie, że pan Wilbur będzie zainteresowany...

— No i był — dokończył za nią.

— Owszem, tak.

Przyglądał się jej teraz uważniej. Jego ciemne oczy zwiężyły się.

— A teraz pani sądzi, że ja mógłbym być zainteresowany innymi pani projektami?

Francie niespokojnie pokiwała głową. Krótkie, obcesowe przesłuchanie zważyło w gruzy misternie przygotowany kamuflaż i ujawniło w prosty sposób całą jej agresywność, niepokorność i niekonwencjonalność.

— Wygląda pani na energiczną osobkę. Obdarzyła go uśmiechem niewiniątka.

— Od początku studiów moją ambicją było pracować dla Magnus Industries. Kiedy w kadrach odrzucili moje podanie, nie przyjąłem tego do wiadomości. Musiałam dostać tę posadę. Pomyślałam sobie, że może mi się to uda, kiedy pokażę, że potrafię zrobić coś dla firmy. Wiem, że to trochę nietypowe...

Zapadła cisza. Badawcze, ciemne oczy niemal przenikały ją na wylot.

— Zdaje się, że przypominam sobie zamieszczony w naszym biuletynie raport dotyczący reorganizacji. Widzi pani, mam dobrą pamięć do nazwisk, a pani nazwisko nie zostało tam wymienione, prawda?

Po chwili namysłu Francie spojrzała mu w oczy.

— Nie, nie zostało — odpowiedziała zwyczajnie.

Znów zapanowało milczenie, tym razem dłuższe niż poprzednio. zaproponował jej papierosa ze srebrnej papierośnicy, a gdy odmówiła, zapalił sam, po czym wyprostował się na krześle, wpatrując się w nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Żałowała, że nie potrafi czytać w jego myślach.

— A więc — odezwał się w końcu — chce mi pani opowiedzieć o połączeniu komputerowym filii europejskich przez zastosowanie, jak to pani ujęła...? cyfrowej formalizacji inwentarza i schematyzacji pozycji rynkowej, niezależnie od rodzaju produktu czy usług?

Uśmiechnęła się. A więc zapamiętał każde słowo wypowiedziane przez nią przy drzwiach, pomimo widocznej irytacji, w jaką wprawiło go to niespodziewane najście.

Przytaknęła ruchem głowy.

— W porządku — oświadczył. — Zamieniam się w słuch. Zadała sobie pani dużo trudu, żeby do mnie dotrzeć, więc zasługuje pani na wysłuchanie. Proszę mi powiedzieć dokładnie, na czym to wszystko ma polegać.

Odłożył papierosa, przesiadł się na kanapę i rozparł się wygodnie z rękoma splecionymi na karku. Sprawiał wrażenie bardzo spokojnego, lecz równocześnie bardzo czujnego i skupionego.

Nie otwierając przyniesionego ze sobą projektu, którego treść znała na pamięć, Francie odchrząknęła i zaczęła referować.

Mówiła przez pół godziny, które wydało jej się zaledwie kilkoma zapierającymi dech minutami. Jack Magnus nie poruszył się ani razu. Siedział, słuchając jej bez komentarza i nie spuszczać z niej wzroku. Początkowo trudno jej było wytrzymać to spojrzenie z obawy, że zakłóci jej koncentrację. Po chwili jednak rozluźniła się, spojrzała odważnie w czarne, wlepione w nią oczy i pozwoliła ćwiczonemu przez blisko dwa tygodnie słowom płynąć nieprzerwanym potokiem. Wyczuwała intuicyjnie ich sensowność i logiczność, chociaż Jack Magnus nie wykazał żadnych oznak, że czuje się nimi przekonany.

Kiedy skończyła, jeszcze przez moment patrzył na nią bez słowa. Potem przemówił.

— Jest pani nadzwyczaj piękna.

Słowa te wypowiedziane były chłodno, jak obserwacja poczyniona przez naukowca. Francie zmarszczyła czoło.

— Czy mój wygląd ma coś wspólnego z moją propozycją? — spytała ostrym tonem.

Uśmiechnął się.

— Magnus Industries nie jest zbyt łaskawy dla młodych kobiet wybijających się jako ekspertki do spraw marketingu. A tym bardziej jako specjalistki od formalizacji matematycznej czy komputerów. Uważają to za domenę mężczyzn. Pani działa trochę wbrew naturze, prawda, panno Bollinger?

Francie spojrzała na niego niepewnie.

— Staram się wykonywać dobrą robotę w dziedzinie, którą znam najlepiej. A odpowiadając uczciwie na pańskie pytanie: tak, trudno mi robić to w Magnus Industries.

Pokiwał w zadumie głową. Potem jego twarz ponownie rozjaśnił rozbijający uśmiech.

— No cóż, szanuję ludzi działających wbrew utartym regułom. Nasza korporacja powinna wykorzystywać jak najwięcej takich osób.

Odpowiedziała także uśmiechem. Wskazał gestem jej raport.

— Czy mógłbym to przeczytać?

— O nic innego nie zabiegałam równie usilnie przez ostatnich pięć tygodni — odparła zaskoczona własną szczerością.

— No i udało się pani. Zwrócę go po przejrzaniu. Czy na raporcie jest numer pani biurowego telefonu?

— Tak.

Spojrzał na zegarek.

— Czy na pewno nie chce się pani czegoś napić? Może kawy?

Potrząsnęła odmownie głową.

— Zabrałam już panu wystarczająco dużo czasu. Jestem wdzięczna za wysłuchanie mnie. Może pan zatrzymać tę kopię. Mam jeszcze jedną.

Jack podniósł się, wyszedł z pokoju i wrócił z jej płaszczem.

— Proszę — przytrzymał dla niej okrycie, by łatwiej mogła je włożyć.

Po raz drugi poczuła na ramionach dotyk jego dłoni, jedyny fizyczny kontakt między nimi od momentu, gdy pojawiła

się przy drzwiach. Kiedy stanął bliżej, w nozdrza uderzył ją ostry, męski zapach, będący połączeniem woni wody kolońskiej z aromatem tytoniu. Wyczuwała w nim siłę woli i inteligencję. To wszystko, w zestawieniu z zakończonym przed chwilą desperackim przemówieniem sprawiło, że odczuła dziwną miękkość w kolanach. Jack Magnus był nie tylko najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, z jakim kiedykolwiek się zetknęła, ale także najpotężniejszym z nich.

— Przepraszam za to, jak potraktowało panią moje biuro. Staram się być otwarty na nowe pomysły, zwłaszcza ze strony własnych pracowników. Nie ma żadnego usprawiedliwienia na to, jak panią zbyli.

— Nie ma sprawy. Ostatecznie wszystko się dobrze skończyło.

— Tak — w jego oczach błysnął cień porozumienia.

— No cóż, ja... — wydukała niepewna, jak powinna się teraz zachować. Nigdy dotąd nie żegnała się z mężczyzną w jego mieszkaniu.

— A zatem, do zobaczenia — wybawił ją z kłopotliwej sytuacji, wyciągając rękę.

Obserwowała, jak jej własna drobna ręka znika w jego dużej dłoni. Słabość w kolanach potęgowała się. Czuła, że na policzki wypływa jej rumieniec.

— Tak, do zobaczenia.

— Dziękuję, że pani przyszła. Wkrótce się odezwę. Odprowadził ją do windy, po czym wrócił do mieszkania.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer portierni.

— Seth — zwrócił się do portiera — na dół zjeżdża młoda dama. Ubrana jest w ciemny, wełniany płaszcz i ma aktówkę. Wezwij dla niej taksówkę i zapłać kierowcy.

— Tak jest, proszę pana — dobiegł z dołu głos zabarwiony nutką porozumiewawczego humoru.

— I jeszcze jedno, Seth. Następnym razem rozmawiając przez telefon rzuć od czasu do czasu okiem na hall. Nigdy nie wiadomo, kto się może wśliznąć.

— Tak jest, proszę pana — głos w słuchawce zrobił się naraz powściągliwy.

Uśmiechając się pod nosem, Jack odłożył słuchawkę i stanął przy oknie, patrząc na rozpościerające się w dole miasto.

Nowy Jork, zadumał się, jest mimo wszystkó ciekawym miejscem.

ROZDZIAŁ 8

Francie nie podejrzewała nawet, że krótka godzina spędzona z Jackiem Magnusem zmieni jej życie.

Po wizycie w jego apartamencie zabrała się do rutynowej pracy i czekała z pewnym sceptycyzmem, aż Jack oceni jej raport i przekaże ewentualne uwagi.

Ku swemu zdumieniu pięć dni później odebrała telefon od jego osobistej sekretarki, która przekazała jej, by po południu stawiała się w jego biurze.

Kiedy Francie przyszła, sekretarka już na nią czekała. Pokój przyjęć w biurze Jacka był lśniący i nowocześnie umeblowany, z cudownym widokiem na dolny Manhattan.

— Panno Bollinger — zwróciła się do niej sekretarka, rozpoznając Francie, mimo iż nigdy jej nie widziała. — Pan Magnus oczekuje pani.

Po chwili pojawił się Jack i zabrał Francie do swojego prywatnego gabinetu. Pomieszczenie to zaskoczyło ją prostotą wystroju. Na ścianie za biurkiem wisiały długie półki, na których piętrzyły się stosy raportów, prospektów i publikacji z dziedziny biznesu, wiele z nich z pozaginanymi narożnikami i dziesiątkami zakładek. Błat biurka był uprzątnięty. Znajdował się na nim tylko jakiś folder reklamujący cygara, kalendarz i popielniczka.

Jack stanął za biurkiem, przyglądając się, jak dziewczyna zajmuje miejsce na krześle dla gości. Był bez marynarki, tak jak wówczas w domu, lecz tym razem pod szyją miał krawat. Fakt ten, w połączeniu z emanującą od Jacka energią, sprawiał, że wyglądał na jeszcze bardziej tryskającego wigorem.

— Przeczytałem pani raport — powiedział. — Jutro po południu jest zebranie Zarządu. Udało mi się wcisnąć panią w porządek obrad.

Francie odebrało mowę z wrażenia.

— Ja... jak to... tak od razu...? Uśmiechnął się.

— Kazaliśmy już pani czekać przez sześć tygodni. Czy to nie jest wystarczająco długo?

Była zbyt zszokowana, by docenić jego poczucie humoru.

— Spotykamy się o drugiej. Omówi pani wyniki swoich badań i zreferuje projekt, a Zarząd to rozpatrzy.

— Ja? Mówi pan o mnie?

Jack uniósł brwi, patrząc badawczo zza biurka na zdumioną dziewczynę.

— Przecież to pani praca, prawda? Pani w tym siedzi. Jest pani osobą wystarczająco inteligentną, by wyjaśnić wszystko Zarządowi i odpowiedzieć na ich pytania.

Francie zbladła.

— Ależ ja nie miałam czasu, żeby to jakoś wygładzić, doszlifować, żeby przygotować jakieś pomoce, wykresy, plan-sze...

— To jest dostatecznie wygładzone. Pani raport jest doskonale zrozumiały i przekonujący. Nic dodać, nic ująć. Oni też zrozumieją.

— Ale czy oni nie będą... nie będą do niego nieprzychylnie nastawieni? Przecież dla nich jestem niedoświadczoną nowi-cjuszka — broniła się, myśląc o tych egzaltowanych ludziach debatujących nad jej podejściem do niesłychanie skomplikowanego problemu.

Uśmiechnął się. Był to uśmiech niewymuszony, jakby rozbawiło go coś, co powiedziała.

— Jeśli będą wrogo nastawieni, będzie ich musiała pani do siebie przekonać, zdobyć ich sobie. W końcu to leży w pani interesie, czyż nie?

Francie niepewnie pokiwała głową.

— No tak, chyba tak.

— Więc do zobaczenia jutro. Sala posiedzeń Zarządu jest na 65 piętrze. Przyjedzie pani windą. Nie może pani zabłądzić. Proszę być punktualnie o drugiej. Moja sekretarka zajmie się przygotowaniem kopii pani raportu dla członków Zarządu.

Nie siadał. Jego milczenie było sygnałem, iż czas podziękować i wyjść. Francie czuła się jak sparaliżowana. Nigdy, w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że jej raport spotka się z tak szybkim oddźwiękiem.

Zaczęła się zbierać do wyjścia, lecz zawahała się.

— Ja... Czy mógłby pan... to znaczy chciałabym wiedzieć, co pan o tym sądzi. Mam na myśli mój projekt.

Spuścił wzrok, zerkając na leżący na biurku folder.

— Jest oryginalny — stwierdził obojętnie. — I prowokacyjny. Czy sprawdzi się w praktyce, nie wiem. Zobaczymy, co powie Zarząd.

Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony. Jasne było, że nie powie nic więcej.

— Dziękuję, panie Magnus — jej głos brzmiał głucho. — Zatem do zobaczenia jutro.
I na tym się skończyło. Kompletnie oszołomiona przeszła przez hall do windy.
Dojeżdżając do dwudziestego drugiego piętra zaczęła dochodzić do siebie. Wieczorem będzie musiała zrobić odbitki tablic i wykresów, żeby zaprezentować swój plan Zarządowi z najlepszej strony.
Spojrzała na zegarek. Druga trzydzieści.
Miała jeszcze trochę czasu, żeby kupić jakiś odpowiedni kostium na tę okazję.
Z totalnym mętlikiem w głowie Francie przygotowywała się do najważniejszego momentu w życiu.
Spotkanie Zarządu odbyło się zgodnie z planem.
Francie zjawiała się punktualnie o drugiej, wystrojona w nowy ciuch. Włosy upięła z tyłu, uwydatniając tym samym prawie zupełnie pozbawioną makijażu twarz.
Obecnych było co najmniej dwudziestu członków Zarządu, Byli to onieśmielająco starzy, siwowłosi mężczyźni w bardzo kosztownych garniturach i okularach, które obracali w dłoniach, przysłuchując się wypowiedziom. Wielu z nich paliło cygara. W pomieszczeniu doskonale jednak działała klimatyzacja, więc atmosfera utrzymywała się chłodna i przyjemna
Nie było kobiet. Nawet funkcję protokolanta pełnił mężczyzna w średnim wieku, w eleganckim, dwurzędowym garniturze.
U szczytu stołu, pomiędzy dwoma osobnikami,, których twarze Francie zapamiętała z dziesiątek fotografii, siedziała figura, której bezruch zdawał się stać w sprzeczności z ewidentną władzą, jaką sprawowała nad wszystkimi w tym pokoju. Był to Anton Magnus. Francie widziała go z bliska po raz pierwszy. Był milczący i jakby kulił się na krześle z wysokim oparciem. Miał srebrzyste włosy, czarne oczy i czerstwą cerę. Ręce trzymał złożone na blacie stołu. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie dobrego ojczulka, prostodusznego i skromnego. Lecz przyglądając się wnikliwiej, zauważało się, że ta poza to tylko kamuflaż. Tłące się w czarnych źrenicach światło zdradzało dominację nad wszystkim i wszystkimi wokół
Francie, onieśmielona, odwróciła wzrok. Przysłuchiwała się protokolowi z ostatniego zebrania i starała się nie zaru-

mienić, gdy ogłaszając porządek dzisiejszych obrad wymieniono ją jako drugą w kolejności.

— Zaczniemy od pana MacNamary — oznajmił przewodniczący zebrania, siedzący w drugim końcu stołu, naprzeciw Antona Magnusa.

— Dziękuję, panie przewodniczący — rzekł dystyngowanie wyglądający mężczyzna.

Słuchała w skupieniu jego raportu na temat polityki krajowej, ustawy podatkowej i bieżącej sytuacji finansowej.

Rozumiała za ledwie w połowie, o czym mówił. Obserwowała zasłuchanych członków Zarządu. W ich twarzach bez wyrazu, nad którymi unosił się dym z fajek i cygar, czaiła się straszliwa potęga. Padło kilka pytań.

Z każdą mijającą chwilą Francie czuła się bardziej nie na miejscu. W tej gigantycznej korporacji, jednej z najgroźniejszych i najbardziej poważanych na kuli ziemskiej, ona była nic nie znaczącą, nieopierzoną nowicjuszką. I ośmielała się proponować swój plan komputerowy ludziom nawykłym do obracania milionami dolarów.

Przeczuwała, że ci niesłuchanie poważni dorośli potraktują ją jak smarkulę.

Pan MacNamara kontynuował wystąpienie. Francie odkryła w jego zachowaniu pewną nutkę nerwowości, której towarzyszył narastający przyływ elokwencji. Widocznie jego plan podatkowy reprezentował nadzieje wielu ważnych ludzi z korporacji.

Odważyła się zerknąć ponownie na Antona Magnusa. Wyglądał teraz nawet bardziej niepozornie niż przedtem. Z cygarem w palcach robił wrażenie dobrodusznego, zmęczonego życiem starca. Nie widziała podobieństwa między nim a synem. Anton uosabiał starość w całej jej subtelności i złożoności, podczas gdy siedzący parę metrów dalej Jack stanowił obraz męskiej atrakcyjności w pełnym rozkwicie młodości i siły.

Traf chciał, że kiedy Francie wlepiała wzrok w starszego Magnusa, ten dał ledwie widoczny znak jednemu z sąsiadów. Było to coś w rodzaju błysku spod wpół przymkniętych powiek połączonego z niemal niedostrzegalnym ruchem ręki.

— Wystarczy, panie MacNamara — odezwał się natychmiast mężczyzna, przerywając mówcy. — Sądzę, że usłyszeliśmy wystarczająco dużo.

Wszyscy obecni zrozumieli, iż znaczy to, że pan Magnus usłyszał wystarczająco dużo.

— Zarządzam głosowanie przez podniesienie rąk — rozległ się głos przewodniczącego.

Ku zdumieniu Francie, wynik głosowania brzmiał dwadzieścia do zera na niekorzyść pana MacNamary. Z przebiegu głosowania, z zachowania ofiary i reszty zgromadzonych wywnioskowała, że plan ten nigdy nie miał szans.

Wyczuwała podświadomie, że to Anton Magnus uśmiercił go milczącą siłą języka znaków.

A jaką ja mam szansę? — zadała sobie pytanie z sercem w gardle.

Nadeszła kolej na nią.

— Panna Frances Bollinger, asystentka dyrektora Działu Produktów Krajowych, przestudiowała problemy naszych głównych filii europejskich i nakreśliła plan ich koordynacji komputerowej. Prosimy, panno Bollinger.

Obserwując, jak kopie jej raportu wędrują wokół stołu i docierają do rąk zebranych, Francie odchrząknęła. Ręce miała zimne jak lód. Cudem zdołała zapanować nad drżeniem palców.

— Witam panów — odezwała się cicho. — Jestem tutaj, -żeby przedstawić plan połączenia komputerowego naszych filii w Europie.

— Czy mogłaby pani mówić głośniej? — dobiegł ją skądś donośny bas. — Zarząd nie słyszy pani.

Francie zaczęła od początku. Starła się, by słowa brzmiały dobitnie i przekonywająco. Wczoraj przez wiele godzin pracowała nad złagodzeniem technicznego języka raportu, starając się uczynić go maksymalnie komunikatywnym. Chciała, aby był zrozumiały dla każdego, nawet jeśli nie jest ekspertem od komputerów. Teraz te wielokrotnie przećwiczone zdania wydawały się suche i bez wyrazu.

Mówiła, korzystając z notatek. Raz po raz wstawiała, żeby zilustrować wypowiedź wykresami, zamieszczonymi na planszach. Przenosiła wzrok z jednej strony stołu na drugą, szukając jakiejś przyjaznej twarzy. Niektórzy członkowie Zarządu wyglądali na znudzonych, zatopionych w myślach. Jednakże byli i tacy, którzy bacznie śledzili jej tok rozumowania. Później okazało się, że byli to ci mniej lub bardziej odpowiedzialni za operację europejską i dlatego zainteresowani sukcesem bądź upadkiem jej planu.

Kiedy skończyła mówić, zapadła martwa cisza. Nikt się nie uśmiechał. Nikt nie wydawał się poruszony jej projektem ani

nią samą. Nie miała odwagi spojrzeć na Antona Magnusa czy na siedzącego nie opodal Jacka.

Nagle jeden z zebranych machnął okularami i przemówił.

— O ile mnie pamięć nie myli, to koncern Central Electric też próbował czegoś podobnego i wszystko spaliło na panewce. — Nie zwracał się do Francie, lecz do kolegów.

— Mówi się, że technika nie obroni się w konfrontacji z warunkami pracy — dodał inny członek Zarządu, spoglądając na przedmówcę. — Jakieś elektronowe lampy próżniowe... tranzystory... Tak czy inaczej, to brzmi trochę jak science fiction.

— Obawiam się, czy ta już i tak zła sytuacja jeszcze się nie pogorszy — oświadczył trzeci. — Europejczycy nie potrafią dobrze współpracować nawet w najbardziej sprzyjających układach. Co się stanie, kiedy wymieszymy cały ich inwentarz w jakimś elektronicznym mózgu, którego żaden z nich nie będzie w stanie zrozumieć? To będzie cyrk! Francie wyczuwała narastający opór przeciwko swemu pomysłowi. Co gorsza, nikt nie zwracał się bezpośrednio do niej, nikt nie zadawał pytań, dzięki którym mogłaby się wybronić. Zachowywali się tak, jakby jej tu w ogóle nie było. Jack Magnus nie patrzył na nią. Jego oczy były jednak czujne, kiedy zerkał to na jednego, to na innego uczestnika zebrania.

— Pozostaje jeszcze kwestia nakładów finansowych — zabrał głos kolejny z nich. — Te komputery kosztują miliony. Już i tak przekroczyliśmy limit wydatków na kontynencie. Skąd pewność, że koszty tej całej inwestycji nam się zwrócą?

— Co o tym sądzisz, John? — zapytał następny dyskutant jednego ze swych kolegów. — Masz przecież doświadczenie w tej dziedzinie. Potrzebujemy pewnego objaśnienia kwestii kosztów.

Na te słowa Francie zaczerwieniła się ze złości. Protekcyjność członków Zarządu w stosunku do jej osoby była ewidentna. Była dla nich nikim. Ci, którzy nie spoglądali na siebie nawzajem, zerkali z ciekawością na jej ciało, a potem znów na swoje notatki.

Nagle zrozumiała przyczynę tej zbiorowej wrogości. Była nią jej płeć. Ci nadęci mądrale nie lubili, kiedy kobieta dyktowała im, jak mają postępować.

— Przepraszam panów — odezwała się gwałtownie z pałającymi gniewem oczyma. — Jeśli zechcą panowie zajrzeć na

stronę 77 prospektu, znajdą tam panowie szczegółowy wykaz kosztów wyjściowych i globalnych. Sądzę, że zauważą panowie, iż wszystkie zmienne, między innymi awarie oprzyrządowania, zostały wzięte pod uwagę. Dołączam też załącznik dotyczący przeciętnej długości funkcjonowania elektronowych lamp próżniowych oraz bieżącego stanu techniki komputerowej. Mogę to streścić teraz w kilku słowach.

Szybko wyjaśniła wszelkie niejasności i przedstawiła argumenty przemawiające na korzyść jej planu. Nie zawahała się użyć języka technicznego, aby wykazać, że wątpliwości, jakie pojawiły się w pytaniach, zostały już wcześniej wzięte pod uwagę w treści jej propozycji. Utrzymujący się w jej głosie gniew przyćmiony został tonem szorstkiej pewności siebie. Oczywiście było, że wie, o czym mówi.

— Nie prosiłabym panów o rozpatrzenie planu w jego obecnej postaci — konkludowała — gdybym nie potrafiła udowodnić, że stanowi on ryzyko do przyjęcia dla każdego przedsiębiorstwa, które zechce go zastosować. Wierzę, że plan ten zwiększy produktywność w Europie o dwadzieścia procent w ciągu roku lub dwóch. Co ważniejsze, trzeba patrzeć w przyszłość. Technika komputerowa w najbliższej dekadzie zrewolucjonizuje księgowość i inne dziedziny. Jeśli nie udoskonalimy tej techniki i nie wykorzystamy jej dla własnych celów, zrobi to konkurencja. To osłabiłoby naszą pozycję nie tylko w Europie, ale na całym świecie.

Cisza, jaka zapanowała po jej wystąpieniu, była bardziej dwuznaczna niż poprzednio. Francie czuła, że siedzący wokół stołu mężczyźni, chociaż sceptyczni z powodu jej młodego wieku i płci, nie mają innego wyboru, jak tylko uszanować jej fachowość.

Jack Magnus nadal nie zabierał głosu. Podobnie jego ojciec.

Intuicja mówiła Francie, że wszyscy tu obecni są aż nadto świadomi jego milczącej obecności w końcu stołu. Żaden nie odważy się zaryzykować ostatecznej opinii, dopóki nie pozna zdania wielkiego Antona Magnusa.

A wielki Anton Magnus milczał.

Po chwili przewodniczący odchrząknął. Najwidoczniej odebrał skądś sygnał do zaingerowania w sytuację.

— Panno Bollinger — zwrócił się do Francie — dziękujemy za pani prezentację. Zarząd rozpatrzy tę sprawę. Poinformujemy panią o wyniku.

— Dziękuję panom za poświęcenie mi uwagi.

Francie wstała, zebrała swoje papiery i odwróciła się do wyjścia. Jack rzucił jej ukradkowe spojrzenie, ale nie podniósł się, żeby ją odprowadzić. Był teraz jednym z nich.

Zamykając za sobą drzwi do sali posiedzeń, oczyma duszy widziała, jak zgromadzeni za nim mężczyźni pochylają się nad stołem, by przedyskutować jej propozycję.

Dopiero kiedy znalazła się na korytarzu, dotarło do niej, że nie przeprowadzili głosowania w jej obecności, tak jak w przypadku nieszczęsnego planu podatkowego MacNamary.

Nie miała jednak siły, by się nad tym głębiej zastanowić. Nie obchodziło jej to. Czuła się doszczętnie wyczerpana nerwowo wystąpieniem przed rżącym wrogią publicznością.

Chciała być sama.

Zjechała windą do swojego biura i usiadła na krześle. Przez pół godziny, które wydawało jej się wiecznością, wsłuchiwała się w oszalałe kołatanie własnego serca. Potem uświadomiła sobie, że przez cały dzień nic nie jadła. Zeszła na dół do kafeтерии i wzięła kanapkę, lecz nerwy do tego stopnia ścisnęły jej gardło, że nie mogła przełknąć ani kęsa. Wyszła więc na zewnątrz, żeby przespacerować się w zimnym, grudniowym wietrze po Szóstej Alei. Nie odświeżyło jej to jednak. Czuła się, jakby miała zemdleć.

Uciekając przed ruchem ulicznym i spieszącymi się przechodniami wróciła do biura. Nalała sobie filiżankę kawy i usiadła na biurku obserwując ulatniającą się z niej parę, niezdolna wypić choćby łyka. Paraliżował ją strach.

Przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie wyleci z pracy. Myślała o tym, że ktoś z Zarządu wytyka w tym momencie słabe punkty jej planu, fatalny i poniżający dowód braku doświadczenia. Słyszała niemal, jak podejmują decyzję o wyrzuceniu całego pomysłu na szmelc i pozbyciu się jego domorosłej wynalazczym. Wyobrażała sobie, jak ci tam, na górze, dowcipkują na temat jej zuchwałości i absurdalności jej propozycji.

Podobnie czarne myśli dręczyły ją aż do czwartej, kiedy to rozległo się obcesowe pukanie do drzwi. Francie skoczyła na równe nogi, omal nie strącając zimnej już kawy.

To był Jack Magnus. Wszedł do pokoju, nie zwracając uwagi na jego mizerny wystrój. Nadal miał na sobie jedwabny garnitur, w którym wystąpił na posiedzeniu. W tym formalnym

stroju wyglądał tak perfekcyjnie, że aż nierealnie. Sprawiał wrażenie, jakby urwał się z weselnego przyjęcia.

Kamienna twarz nie ujawniała nic z jego myśli.

— A więc? — spytała. — Proszę nie trzymać mnie w niepewności.

Intensywność jego spojrzenia sprawiła, że Francie zaczęła drzeć z niecierpliwości. Miała ochotę chwycić go za te szerokie bary i wytrząsnąć z niego całą straszną prawdę.

Wreszcie przemówił. Usta wykrzywił mu nikły uśmiezek.

— Czeka panią dużo pracy.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że kupili to. Wszystko, bez wyjątku. Dokładnie tak, jak pani to zaproponowała. Ni mniej, ni więcej. I chcą, żeby pani tym pokierowała. Ma pani nowy tytuł: doradca wiceprezesa do spraw kontaktów międzynarodowych. Będzie pani osobiście organizowała sieć komputerową. Zarząd zatwierdził trzy komputery centralne: w Paryżu, Londynie i Lozannie. Dostanie pani tylu ludzi, ilu pani potrzebuje i te pieniądze, o które pani wystąpiła. Ma pani pięć miesięcy na wprowadzenie systemu do działania.

— Czy to znaczy... czy chce pan przez to powiedzieć, że im się spodobało? — jąkała Francie niezdolna ogarnąć tylu dobrych wiadomości na raz.

Jej reakcja najwyraźniej go rozbawiła.

— Niech pani nie mówi: spodobało. W biznesie nie istnieje pojęcie „podość się”. Albo coś kupują, albo nie kupują. Proszę mi wierzyć, kupowanie to rzecz zdecydowanie bardziej konkretna niż wyrażanie podziwu. A odpowiadając na pani pytanie, rzeczywiście „spodobało” im się, co zresztą wyrazili poprzez głosowanie. Weszła pani do interesu, panno Bollinger.

Wyskoczyła zza biurka i rzuciła mu się na szyję. Poklepał ją po plecach. Był to zwyczajny, bezosobowy gest. A mimo to komunikował szczęście, które wstydział się wyrażać zbyt otwarcie, a także coś na kształt dumy z jej wyczynu. Przez materiał marynarki wyczuwała ciepło twardych ramion. Zapragnęła oprzeć się na nim, by zyskać trochę z jego siły. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo była przerażona, oczekując na decyzję Zarządu.

Nagle zdała sobie sprawę ze swej zuchwałości i oderwała się od niego zmieszana. Spoglądał na nią z zaciekawieniem i uśmiechnął się nieznacznie.

— Niech pani wpadnie do mnie jutro rano — powiedział po chwili. — Omówimy niektóre szczegóły. A tak, przy okazji, rozumiem, że włada pani kilkoma językami europejskimi?

Pokiwała głową.

— Znam francuski, hiszpański, włoski, niemiecki i trochę portugalskiego.

— Proszę się nauczyć holenderskiego. To powinno załatwić sprawę. Za dwa, trzy tygodnie wyjeżdża pani do Europy. Do zobaczenia jutro.

Oniemiała z wrażenia, patrzyła z otwartymi ustami, jak Jack zamyka za sobą drzwi.

Nie wiedziała, że w tym samym momencie, czterdzieści pięter wyżej, sam wielki Anton Magnus rozmyśla o niej, siedząc w swoim biurze.

Na ogromnym orzechowym biurku leżał jej raport. Kartkował go bezwiednie przez jakiś czas, po czym zamknął.

Anton Magnus tkwił w biznesie ponad pięćdziesiąt lat. Podejmował decyzje, w które zaangażowane były niezliczone miliony dolarów oraz kariery zawodowe setek błyskotliwych, ambitnych ludzi. Wybił się, żerując na wyselekcjonowanych radach udzielanych przez mających jak najlepsze intencje podwładnych, które dostosowywał następnie do własnych potrzeb i na ich bazie dokonywał samodzielnie często brutalnych posunięć. Nauczył się poświęcać wszystkie logiczne, finansowe i osobiste względy jednemu nadrzędnemu celowi: dobru korporacji.

Dzisiaj, pozwalając Zarządowi zaaprobować plan tej Bollinger, podjął właśnie jedną z takich decyzji.

Lecz nie podjął jej pochopnie. Zrobił to z pełną świadomością swego rozumienia rynku i otaczających go ludzi.

Chociaż plan dziewczyny skonstruowany był bardzo zręcznie, nie potraktował go jako dopuszczalnego ryzyka.

Pomysł wybiegał daleko naprzód. Zbyt daleko. Magnus był zbyt potężną korporacją, żeby pakować się w tak niepewne przedsięwzięcie. Może za kilka lat, kiedy już dostatecznie dużo mniejszych firm wypróbuje ten pomysł na sobie.

Tak więc pierwszą reakcją Antona Magnusa po wysłuchaniu propozycji była chęć odrzucenia jej bez zastanowienia.

Na niekorzyść dziewczyny przemawiały dodatkowo jej młody wiek, brak doświadczenia oraz niska pozycja w hierarchii.

A mimo to coś go powstrzymywało. Za tym planem kryło się coś więcej. Po pierwsze, już sam fakt, że został on pospiesznie włączony do porządku dzisiejszego posiedzenia, był pewną rzadkością. Po drugie, obserwując wnikliwie przebieg dyskusji i pierwsze głosowanie, Anton Magnus wysnuł niezaprzeczalny wniosek, iż jego syn całym sercem popiera to przedsięwzięcie. Z pewnością przed zebraniem użył jakiejś potężnej perswazji, aby nastawić przychylnie silną grupę członków Zarządu do pracy tej dziewczyny.

Jack był bezpośrednio odpowiedzialny za Europę. Musi być przekonany, że ten plan zadziała. Dlatego przygotował sobie grunt, zapewniając mu większość głosów. A Jack nigdy nie robił nic bez powodu. Lub bez kilku powodów. Anton Magnus postanowił odkryć te powody. Dlatego właśnie nie wykorzystał swojej władzy, żeby utracić cały ten plan jednym ruchem palca. Zdecydował dać tej Bollinger szansę na doprowadzenie go do realizacji w terminie dziewięciu miesięcy.

Obracając się w świecie biznesu, Anton Magnus łączył cierpliwość wędkarza z wyczuciem strategii arcymistrza szachowego. Wykorzystywał te cechy do manipulowania ludźmi, zarówno kolegami jak i konkurentami, zmuszając ich do działania zgodnie ze swą wolą. Nie natknął się jednak nigdy na bardziej przebiegłego i stanowczego przeciwnika niż własny syn, człowiek, którego osobiście wybrał do przejęcia po nim miejsca w Magnus Industries. A teraz Jack, błyskotliwy, zdecydowany i bezwzględny człowiek interesu, chciał tego planu komputerowego. Chciał go w całej rozciągłości swojej władzy.

Tak więc Anton zamierzał mu na to pozwolić. Któregoś dnia, może już wkrótce, ten drobny podarunek da mu podstawy do szukania rekompensaty u syna, dzięki której dzisiejsze ustępstwo stanie się więcej niż opłacalne. Nie można przewidzieć przyszłości. Dzisiejsze poświęcenie może się okazać jutrzejszym zyskiem.

Ponadto istniała zawsze jakaś szansa, odległa, aczkolwiek realna, że zaprojektowany przez Frances Bollinger system rzeczywiście zadziała. Konsekwencje finansowe i technologiczne takiego wydarzenia mogły być ogromne i nieprzewidywalne. Należało to wziąć pod uwagę.

Lecz w tym momencie Anton Magnus miał co innego w głowie.

Nie myślał o planie tej dziewczyny ani o jej elokwencji czy inteligencji.
Myślał o kryjących się pod eleganckim kostiumem smukłych, dojrzałych kształtach. Ta mała była piękna i niezwykła. Jej uroda wpływała w równym stopniu z ciała jak z uczciwości i zalet umysłu.
Przypomniawszy sobie, jak Jack patrzył na nią w czasie zebrania. Wyraz jego twarzy trudny był do określenia. Starał się usilnie przybrać jak najbardziej obojętną minę. Lecz ojciec zna swojego syna.
Niekiedy lepiej niż syn samego siebie.
Z obrazem dziewczyny przed oczyma Anton Magnus wstał i podszedł do narożnika pokoju, gdzie obok okna stała mała szachownica. Popatrzył na milczące figury i uśmiechnął się.
Frances Bollinger, śliczna i niewinna, może stać się idealnym pionkiem.
A pionki były ważne w grze. Można przegrywać lub wygrywać, w zależności od ich ruchów.
Lecz pionki muszą zostać poświęcone, kiedy już wykonają swoje zadanie.

ROZDZIAŁ 9

27 grudnia 1955

Francie ciągle dochodziła do siebie po zebraniu Zarządu i roztrząsała jego niespodziewany rezultat, kiedy zdarzyło się coś, co miało mieć daleko idące konsekwencje dla jej życia. Miotła się właśnie między przygotowaniami do podróży, sprzętem komputerowym i poleceniami dla holenderskiego „opiekuna” jej projektu, gdy do jej biura zatelefonował Jack z zaproszeniem na przyjęcie w domu jego rodziców przy Park Avenue.

— Okazja jest podwójna — powiedział. — Moja starsza siostra, Gretchen, urodziła dziecko. To pierwszy wnuk mojego ojca, więc chce to uczcić. Po drugie, Magnus przejął właśnie kolejną stocznię dzięki Trowbridge'om, teściom Gretchen. W rzeczywistości więc sprawa przedstawia się tak, że ojciec i Graham Trowbridge świętują zyskanie dwojga nowych pociech.

Francie była ciekawa, dlaczego Jack pomyślał przy tej okazji o niej, lecz przełknęła szybko tę zagadkę i ochoczo przyjęła zaproszenie.

— Będzie tam wiele osobistości — dodał Jack. — Niektóre bardzo sławne. Ale niech to pani nie onieśmiela.

Dopiero w wieczór przyjęcia Francie miała zrozumieć, co kryło się pod słowami Jacka.

Rezydencja Magnusów przy Park Avenue sprawiała niesamowite wrażenie. Sześciopiętrowe, marmurowe cudo projektu Greciana zostało trzydzieści lat temu sprzedane miastu przez Vanderbilta, gdyż nawet oni nie mogli sobie pozwolić na płacenie podatków od tak okazałej nieruchomości. Lecz Anton Magnus zakupił ją, kiedy jego korporacja znalazła się na trzeciej pozycji w rankingu najlepszych firm w kraju. Jego osobisty majątek osiągnął wówczas tak astronomiczną wysokość, że niebezpiecznie było ujawniać ją publicznie.

Odrestaurował dom, przywracając mu dawną świetność, a nawet ją przewyższając. Wszystkie marmury, parkiety, boazerie i dekoracje, a także cała armatura, sprowadzone zostały z Europy. Obrazy na ścianach stanowiły jedną z najwspanialszych prywatnych kolekcji w Ameryce. Francie rozpoznała rzeźby, gobeliny, orientalne dywany, chińską porcelanę i meble, które widziała w zakupionym z ciekawości katalogu zbiorów Magnusa.

Było to zdumiewające miejsce, odbijające tuzin różnych stylów i okresów. A jednak, pomimo tej różnorodności, nosiło wyraźne piętno osobowości Antona Magnusa. Emanowała z niego szczególna męska elegancja, kryjąca się pod warstewką staroświeckiego uroku. Subtelność przedmiotów ani na moment nie przyćmiewała woli mężczyzny, który je zgromadził. Ludziom wchodzącym do tego domu zapierało dech, gdyż czuło się tu przerażającą potęgę jego gospodarza, potęgę, która nie musiała wystawiać się na pokaz, tak pewna była dominacja nad wszystkimi, którzy znajdowali się w jej zasięgu.

Francie pojsiwiła się tam w asyście Jacka, który uparł się, by stanowić jej eskortę.

— Będzie pani potrzebowała towarzysza — powiedział — a mnie z kolei nie przychodzi na myśl nikt inny, z kim chciałbym przebywać w domu mojego ojca. Zrozumie pani, o czym mówię, gdy już będziemy na miejscu.

Przyjechał po nią do domu i na wstępie pochwalił jej sukienkę, klasyczny model układający się miękko na jej kształtnej figurze. Nie potrafiła ukryć, że komplement ten sprawił jej niemałą satysfakcję.

— Miło z pańskiej strony, że bierze mnie pan pod swoje skrzydła — powiedziała, kiedy już wchodzili do rezydencji. Podjazd zatłoczony był limuzynami, co sprawiało, że czuła się jak Kopciuszek na balu u króla.

— Wcale nie — uśmiechnął się Jack. — To pani wyrządza mi przysługę. Unikam w miarę możliwości przebywania pod tym dachem. Ponieważ dzisiaj nie udało mi się wykręcić, chciałem być z kimś, do kogo czuję szacunek. Może mi pani wierzyć lub nie, lecz to raczej rzadki towar w Magnus Industries.

Francie była mile połączona, lecz także zmieszana jego słowami. Przebijał z nich smutek, żeby nie powiedzieć samotność, sprawiające dziwne wrażenie u mężczyzny z taką reputacją jak Jack Magnus.

Przestała się jednak dziwić i podziękowała opatrznosci za towarzystwo Jacka, kiedy zobaczyła gości zaludniających dom Antona Magnusa.

Byli wśród nich różni dygnitarze, łącznie z delegatami do ONZ, lokalni i stanowi politycy, obaj senatorowie z Nowego Jorku, zastępca gubernatora oraz przedstawiciel samego prezydenta z opatrzonym prezydencką pieczęcią podarunkiem dla Gretchen.

Była też cała śmietanka towarzyska. Niektórych ludzi Francie nie rozpoznawała, lecz Jack przedstawiając ich objaśniał ją półgłosem, tak więc rozumiała, z jak ważnymi osobistościami ma do czynienia. Znajdowali się tam między innymi członkowie najstarszych i najbardziej szanowanych rodów w kraju, takich jak Auchincloss, Gouverneur i Van Rensselaer z Nowego Jorku, Converse i Biddle z Filadelfii, Spreckel i Li-vermore z San Francisco, Thayer, Endicott i Wetherell z Bostonu, McCormick, Pulitzer oraz Kettering z Chicago i Środkowego Zachodu. A wyraz ich twarzy mówił jasno, że przybycie tutaj nie stanowiło dla nich ujmy, wręcz przeciwnie, zaproszenie na to przyjęcie uważali za zaszczyt.

Przesuwający się bez ustanku korowód egzotycznych i sławnych postaci był niemal niewiarygodny w swym dostojństwie. Francie rozpoznawała wielkie gwiazdy Broadwayu i Hollywoodu, piosenkarzy, malarzy, poetów, pisarzy, wydawców, producentów filmowych.

Pomiędzy tymi rzadkimi okazami przewijał się jeden gatunek ludzi, których pochodzenia Francie, nie będąc dostatecznie wytrawną znawczynią, nie potrafiła początkowo rozgryźć. Lecz Jack wyjaśnił jej, kim byli: prezesami i dyrektorami generalnymi najważniejszych korporacji; korporacji o nazwach takich jak IBM, General Electric i General Motors.

Ta konstelacja gwiazd stanowiła przekrój wszystkich grup społeczeństwa, reprezentowanych wyłącznie przez najlepszych. Francie z trudem wierzyła własnym oczom.

— Niech się pani nie da zwariować — powiedział Jack, lawirując z nią przez zatłoczone salony, gdzie pobrzmiwające tony cichej muzyki i grube dywany tłumiły już i tak przyciszone odgłosy rozmów. — Oni są tylko ludźmi, pomimo wielkich nazwisk i równie wielkich kont bankowych. I powiem pani coś w sekrecie. Dziewięciu na dziesięciu z nich to tacy, którzy zawdzięczają coś mojemu ojcu lub obawiają się, co mogło by się stać, gdyby popełnili błąd i odmówili przyjęcia jego zaproszenia. Niech się pani nie łudzi, że patrzy pani li tylko na ludzki status i osiągnięcia. Patrzy pani na władzę i strach, wymieszane na wiele skomplikowanych sposobów. Im głębiej pani w to wejdzie, tym mniej będzie to pani imponowało i tym bardziej będzie pani zdegustowana.

Francie zaskoczyła gorycz zawarta w jego słowach. Zawsze jej się wydawało, że ludzie na szczycie drabiny społecznej są lepsi od zwykłych śmiertelników. Być może kapiące przepychem pokoje rezydencji Antona Magnusa rzeczywiście pełne były wszelkich ludzkich słabostek. I być może Jack wiedział tyle na temat grzeszków kryjących się pod tymi pięknymi maskami, że uważał to wszystko za przygnębiające.

A jednak dla Francie był to zaczarowany świat. Zapomniała o zakłopotaniu, ściskając sławne dłonie, wsłuchując się w sławne głosy i delektując się oglądaniem „na żywo” twarzy, które do tej pory podziwiała wyłącznie w czasopismach czy na ekranach kin.

Była tak przejęta, iż nie przyszło jej nawet do głowy, że ona sama stanowi obiekt zainteresowania niektórych osób. W końcu jednak zauważyła, że śledzi ją wiele par oczu. Widocznie jej pojawienie się u boku Jacka zaintrygowało jego znajomych, którzy potraktowali ją jako nową zdobycz bogatego lowelasa. Słyszała o jego reputacji kobieciarza, lecz do tej

pory nie zaprzętała sobie tym głowy. Nigdy nie próbowała nawet wyobrazić sobie tej niewidzialnej strony jego życia, istniejącej poza jej kilkoma spotkaniami z nim. Znała go jedynie z tych paru fragmentarycznych zetknięć, które już i tak wystarczająco absorbowały jej myśli.

Przepychając się przez gwarne pokoje, dotarli do salonu, gdzie mała, siwowłosa dama gawędziła z kilkoma rówieśniczkami.

Przedstawił ją jako swoją matkę. Francie nigdy dotąd jej nie widziała, lecz obiała jej się o uszy plotka o historii jej małżeństwa z Antonem. Mówiono, że Victoria Wetherell, absolwentka uniwersytetu Vassar była już prawie zaręczona z potomkiem kosmetycznego klanu Binghamów, kiedy w 1920 roku ni stąd, ni z owąd pojawił się Anton Magnus i dosłownie wygarnął ją z kochających ramion rodziny. Złamał opór jej ojca i poślubił ją, podczas gdy ona obserwowała w milczeniu pojedynek pomiędzy dwoma mężczyznami.

To legendarne już teraz małżeństwo wyniosło Victorię Wetherell na szczyty sławy, jakiej mimo swej uprzywilejowanej przeszłości nigdy sobie nie wyobrażała, a która, zdaniem przeciwnych od początku temu związkowi krewnych, miała stać się jej klęską.

Mówiono też, że bitwa z Antonem Magnusem zniszczyła Cartana Wetherella, który kompletnie wyczerpany zmarł niedługo po ślubie Victorii, jedynej córki i ukochanego dziecka. Gwałtowność, z jaką Anton wdarł się w jej życie, osłabiła również dumny charakter Victorii. W miarę jak jej kontrowersyjne małżeństwo zaczął pokrywać kurz zapomnienia, stawała się coraz to słabszym okazem swej płci, maleńkim duszkiem snującym się po pokojach gigantycznego domu, podczas gdy rodzina rosła w siłę.

Narodziny dzieci dokończyły rozpoczętego w dniu ślubu procesu ztrącenia własnej wartości. Nie rościła sobie praw do wychowywania ich, pozostawiając to niańkom i prywatnym nauczycielom. Kiedy konieczne było ich ukaranie, zdawała się na Antona, jemu także powierzając kierowanie ich losami. Jako pani domu oddawała się mało ważnym obowiązkom towarzyskim i raczej niepewnemu komenderowaniu służbą oraz spędzała długie popołudnia przy telefonie na rozmowach ze swą matką i garstką zaufanych kuzynek, z których żadna nie brała jej zbyt serio.

Jak wzgórze o istotnym znaczeniu strategicznym, zdobywane podczas bitwy, a potem porzucane przez armię, która

tak zaciekle walczyła o jego zajęcie, Victoria Magnus była pustą skorupką pozostałą z zawieruchy wojennej, w której stracił życie jej uwielbiany ojciec. Kiedy, będąc w gruncie rzeczy inteligentną kobietą, zrozumiała to, świadomość ta spotęgowała jedynie uczucie bezradności.

Francie domyśliła się tego wszystkiego, zanim poznała starszą panią. Teraz, rozmawiając z nią, zauważyła, że Victoria Magnus skurczyła się do zera w cieniu przerażającej potęgi męża i ledwie była w stanie rozmawiać słabym głosem. Cechowała ją uprzejmość i dobre maniery przystające osobie z jej środowiska. Wydawała się jednak tak przestraszona wszystkim i wszystkimi, że Francie odczuła głębokie dla niej współczucie.

Nie mogła nie zauważyć, że starsza pani wydaje się szczególnie zaalarmowana jej obecnością u boku Jacka. Gdy ten oznajmił jej, że muszą ją opuścić, gdyż Francie powinna poznać jeszcze wiele obecnych na przyjęciu osób, w oczach jego matki zabłyśło dziwne światło troski, a może nawet dezaprobaty.

— Czy mi się wydaje — spytała Francie, kiedy wychodzili z pokoju — czy pańska matka nie była zachwycona spotkaniem ze mną?

Jack nie odpowiedział od razu. Wpatrzony był w grupę ludzi stojących obok schodów w głównej sali balowej.

— Będzie pani musiała odpowiedzieć sobie sama na to pytanie. Przykro mi, że w tak krótkim czasie musi się pani tak dużo nauczyć o naszej uroczej rodzinie, lecz proszę o cierpliwość i wyrozumiałość.

Zbliżyli się do ładnej, młodej kobiety o kasztanowych włosach i orzechowych oczach, która oderwawszy się od grupy gości wyszła naprzeciw Jacka, by się z nim przywitać i poznać jego towarzyszkę.

Jack pochylił się i ucałował zaróżowiony policzek dziewczyny, a następnie przedstawił ją Francie.

— Belinda Devereaux. Belindo, poznaj Francie Bollinger. Pracujemy wspólnie nad projektem dotyczącym Oddziału Europejskiego.

Z kolei zwrócił się do Francie.

— Belinda jest jedną z najbliższych przyjaciółek naszej rodziny — jego głos brzmiał odrobinę nieswojo.

Następnie przeprosił obie panie na chwilę i odszedł, zostawiając je same. Francie próbowała nawiązać pogawędkę na

temat korporacji i obecnych na przyjęciu gości, lecz Belinda była nieobecna duchem, wodząc wzrokiem za Jackiem witającym kogoś w drugim końcu sali. Po trzech czy czterech minutach Francie zauważyła z ulgą, że Jack wraca. Kiedy zabrał ją i ruszyli do drzwi prowadzących do następnego pomieszczenia, czuła na plecach wzrok Belindy.

— Jest bardzo miła — oznajmiła Jackowi.

— Tak, chyba tak — westchnął.

Przeszli kilka metrów w milczeniu. Potem Jack gestem poprosił kelnera o dwa kieliszki szampana i tak sprytnie manewrował w tłumie, iż wkrótce dotarli do pustego jakimś cudem pomieszczenia.

— Nigdy nie korzystają z tego pokoju w czasie przyjęć. Powiadają, że tu straszy. Ponoć w czasach, gdy mieszkali tu Vanderbiltowie, miały w nim miejsce jakieś mrożące krew w żyłach sceny. W każdym bądź razie, nie używa się go. Bawiłem się tutaj jako chłopiec, kiedy chciałem być sam.

Usadził Francie na kanapce, a sam siadł naprzeciwko z kieliszkiem szampana w ręku.

— Chcę, żeby miała pani pewne pojęcie o tym, co się tutaj dzieje. Dawno temu mój ojciec zdecydował, że zajmę jego miejsce w firmie, kiedy on przejdzie na emeryturę. Wybrał też Belindę Devereaux na moją przyszłą żonę. Jej rodzina posiada najwięcej szybów naftowych i kopalni miedzi w tym kraju. Tato uważał, że mój związek z Belindą będzie dokładnie tym, czego potrzeba Magnus Industries. Jak pani widzi, przywykłem do decydowania za innych.

Westchnął, odstawił kieliszek i przeciągnął ręką po włosach.

— Posłałem go do wszystkich diabłów. Dodałem też, że nie zamierzam być jego następcą w Magnusie.

Posprzeczałyśmy się wtedy dość poważnie. Mówiąc dokładniej, była to cała seria kłótni. W końcu w jednym punkcie poszedłem na kompromis. Powiedziałem mu, że zostanę w korporacji do jego siedemdziesiątych urodzin. Będzie miał dość czasu na znalezienie kogoś na swoje miejsce. Ja pójdę dokądkolwiek, lecz będę nadal zasiadał w Zarządzie. I poślubię, kogo będę chciał i kiedy będę chciał.

Francie patrzyła na niego niepewnie, jakby zastanawiając się, po co jej to wszystko mówi.

— I na tym stanęło — podsumował. — Staruszek ma teraz sześćdziesiąt dziewięć lat. Cały czas czeka, żebym zmienił

zdanie. Jako argument wykorzystuje swój podeszły wiek. Nie wie pani, Francie, jaki on jest przebiegły, jaki pomysłowy, jaki nieustępliwy. Nie cofnie się przed niczym, żeby postawić na swoim. Jest starym, doświadczonym szachistą. Nauczył mnie i moje siostry grać w szachy, ale żadnemu z nas nie udało się go pokonać. Ja byłem najbliżej...

Uśmiechnął się smutno i ponownie westchnął. Najwyraźniej temat był dla niego bardzo męczący.

— Jeśli chodzi o Belinę — ciągnął dalej, marszcząc czoło — nigdy jej nie widuję, za wyjątkiem takich okazji jak ta. Ale ona nie wychodzi za mąż. Ona czeka, rozumie pani? Czeka jak wszyscy, żeby zobaczyć, czy stary mimo wszystko postawi na swoim. Całe towarzystwo, jak gromada gapiów, obserwuje z napięciem tę rozgrywkę, ponieważ jest dla nich niezrozumiałe, że ktokolwiek może postawić się Antonowi Magnusowi.

Francie spojrzała na niego jasnymi oczyma.

— Dlaczego pan mi to wszystko mówi? Przecież to nie moja sprawa.

Pokiwał głową w zadumie.

— Chcę po prostu, żeby zrozumiała pani niektóre oglądane dziś obrazki. Żeby zrozumiała pani, w co panią wpakowałem. Ludzie widzą mnie z tak piękną kobietą jak pani i zaczynają mleć jęzorami. Moja matka widzi panią i niepokoi się. Potem pojawia się Belinda i śle dziwne spojrzenia. Chcę tylko, żeby pani zrozumiała, że nic z tego nie dotyczy pani. To jedynie niezbyt piękne prywatne życie rodziny Magnusów.

— No tak. Dziękuję, że mnie pan oświecił, lecz to naprawdę nie było konieczne. Pańskie życie jest pańską sprawą. Jack pochylił się do przodu.

— Jest jeszcze jeden powód. Odwaliła pani kawał świetnej roboty dla naszej firmy. Już dwukrotnie udowodniła pani, że jest kimś niezwykłym, kimś, kto zasługuje na awans i zaufanie. A teraz ja władowałem panią w cały ten europejski bałagan. Jednak nadejdzie dzień, raczej wcześniej niż później, kiedy ja odejdę z firmy, a pani w niej zostanie. Nie chcę, żeby powiązania ze mną pracowały wówczas na pani niekorzyść. Polityka korporacji to niebezpieczna rzecz, Francie. Bardziej niebezpieczna, niż pani sądzi. To, co dziś wydaje się drobnostką, może przypomnieć się za kilka lat w wyjątkowo nieprzyjemny sposób, kiedy paru osobników zamieni się miejscami. Ludzie, którzy mnie nie lubią, mają długą pamięć.

Francie ściągnęła brwi.

— Nie zawracam sobie głowy takimi sprawami. Jeśli wydarzy się coś złego, uporam się z tym. Ale nie umiem przeżywać swojego życia w cieniu potencjalnych wrogów. Potrafię jedynie ciężko pracować i mieć nadzieję na najlepsze. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

Uśmiechnął się.

— Podziwiam panią za to. To takie odświeżające podejście. Być może nie najbezpieczniejsze, ale przynajmniej uczciwe.

Francie studiowała sylwetkę mężczyzny, zafascynowana mimo woli jego urodą. Teraz mogła dostrzec, że nos odziedziczył po matce. Podobieństwo do niej widniało też w jego brodzie i włosach. Lecz ono, podobnie jak cechy przejęte od ojca, było przyćmione jego własną, unikalną aparycją, tak że zdawało się, iż wziął się znikąd, mężczyzna doskonały bez przeszłości, zainteresowany wyłącznie przyszłością, którą zamierzał zdominować siłą woli i wielkim talentem.

— Pański ojciec jest potężnym człowiekiem — odezwała się. — Mam wrażenie, że wszyscy się go boją. Czy to możliwe, żeby jedna osoba była tak potężna?

Uśmiech Jacka zniknął. W jego oczach pojawił się wyraz śmiertelnej powagi.

— Nawet pani nie przypuszcza, jaki jest potężny. I jaki niebezpieczny.

Francie nic nie powiedziała, zgłębiając wyraz jego oczu. Była w nich determinacja i wyzwanie, jakby wiedział, kto jest jego wrogiem i zdecydował się go pokonać. Ta walka zdawała się sprawiać mu rozkosz.

Wobec jego tak mrocznych, osobistych uczuć po plecach Francie przebiegł dreszcz.

Uświadomiła sobie jednocześnie, że nie spotkała jeszcze tego, o którym rozmawiali, Antona Magnusa.

Zadała sobie pytanie, dlaczego.

W tym samym momencie, w odseparowanym od reszty domu cichym gabinecie, w ogromnym skórzanym fotelu, ze wzrokiem utkwionym pokornie w Antona Magnusa, siedział burmistrz Nowego Jorku.

Na twarzy wypisane miał błaganie, a w dłoniach nerwowo miał kapelusz.

— Panie Magnus — zaczął. — Anton... — w jego głosie, kiedy użył imienia gospodarza, brzmiało wahanie. Z nieprze-

niknionego spojrzenia Magnusa niemożliwym było wyczytanie, co sprawia mu przyjemność, a co wręcz przeciwnie. Burmistrzowi nie w smak była rola petenta, ale wiedział, że musi ją dziś odegrać do końca.

— Anton — powtórzył niespokojnie — chciałbym wierzyć, że doszliśmy do porozumienia w sprawie tych obligacji. Pragnąłbym wyjść stąd ze świadomością, iż mogę powiedzieć moim ludziom o pańskim poparciu. To dla nas wszystkich cholernie ważne.

Magnus zaciągnął się cygarem, patrząc w przestrzeń. Jego oczy miały niesamowicie zimny, niemal nieludzki w swej pustce wyraz.

Anton Magnus myślał szybko i precyzyjnie.

Wiedział, że biedny burmistrz jest między młotem a kowadłem. Przez ostatnich pięć lat miejski bilans płatniczy stawał się coraz bardziej niekorzystny, a chaotyczna struktura podatkowa miasta i stanu nieumiejętnie administrowana i skorumpowana łapówkami jeszcze sytuację pogarszała.

Krótko mówiąc, było to „zasługą” prowadzonej polityki. Jej trendy pozostawały niezmiennie. Lecz ostatnio w mieście działo się niedobrze.

Teraz Anton Magnus miał odegrać rolę zbawcy. Mógł wykorzystać swoją pozycję, żeby wstrząsnąć mającą wobec niego różnorakie zobowiązania grupą inwestorów tak, by włożyli kilkaset milionów dolarów w specjalny fundusz obligacji, który miał postawić miasto na nogi. Wystarczyłoby jedno jego słowo. Lecz pakowanie pieniędzy w te obligacje nie było zbyt lukratywnym interesem wobec innych możliwości lokaty kapitału, oferowanych w tym sezonie na Wall Street. Pieniądze nie zwróciłyby się inwestorom ani tak szybko, ani w tak dużej kwocie. Tak więc była to wyłącznie kwestia ich dobrej woli i poczucia obywatelskiego obowiązku. No i „przyjacielskiej” perswazji Magnusa.

Anton wyczekiwał na ten moment od lat.

Dawno temu, kiedy burmistrz był zaledwie ambitnym radnym, zabiegającym na wszelkie sposoby o poparcie elektoratu, umyślił sobie obrzucić błotem korporację Magnusa jako krwiożerczego monopolistę, który wykorzystuje specjalne ulgi podatkowe, drenując do cna kasę miejską. Swoją pierwszą kampanię na urząd burmistrza oparł na obietnicy ukrócenia nieuczciwych praktyk grupy rekinów finansowych. I dzięki temu wygrał.

Naturalnie, po objęciu urzędu zapomniał o składanych w trakcie kampanii obietnicach tak szybko, jak o kanapkach jadanych przed obfitym obiadem w Sali Imperialnej (był ewidentnym obżartuchem, spaślakiem lubującym się w żarciu i picciu) i nigdy już do nich nie wracał.

Lecz Anton Magnus wcale nie zapomniał zniewagi, a tym bardziej „przysługi” oddanej mu swego czasu przez burmistrza. Wiedział, że wielu popleczników burmistrza nadal postrzega go jako obrońcę przeciwstawiającego się złu wyrządzanemu przez wielkie korporacje, który może w każdej chwili pod ich presją wystąpić o nowe niekorzystne antymonopolowe ustawodawstwo.

Tak więc Anton Magnus od dawna patrzył w przyszłość. Dostrzegał problemy finansowe miasta o wiele wcześniej, niż zauważyli je miejscy planiści budżetowi. I z wolna, krok po kroku, zmierzał do zajęcia pozycji, z której mógłby we właściwym momencie wywrzeć maksymalny wpływ na sprawy miasta.

Teraz ten moment nadszedł. Miasto dzielił zaledwie rok lub dwa od zupełnej niewypłacalności, a burmistrz na kolanach przyszedł prosić o pomoc. Jego doradcy wyczerpali swoje ograniczone możliwości, próbując wypracować alternatywne plany ratunku. Magnus był jedynym, do którego mógł się zwrócić.

Tak więc dziś, po wielu latach, Anton mógł dyktować warunki. Nareszcie był górą. I o to mu chodziło.

Znalazł się na pozycji, do której zawsze dążył.

— Panie burmistrzu — odezwał się z udawanym szacunkiem — doskonale rozumiem pańską sytuację. I chciałbym pomóc. Lecz niech pan zrozumie, że będę zmuszony prosić moich towarzyszy, a jednocześnie doświadczonych inwestorów, aby wpakowali pieniądze w coś, co w sposób oczywisty narazi ich na straty. Na tym etapie gospodarczej historii kraju nie jest to błaha prośba.

— Bez pańskiej pomocy miasto czeka zagłada — burmistrz był wyraźnie rozdrażniony, gdyż będąc z natury typem bojownika nie znosił takiego traktowania. — A wtedy wszyscy będziemy w kłopotcie.

Anton Magnus rzucił mu twarde spojrzenie.

— Nie wszyscy, panie burmistrzu. W obecnym stanie rzeczy przepisy podatkowe w Nowym Jorku są dość uciążliwe.

Tymczasem mam ofertę z Kalifornii. Chcą zbudować dla nas wieżowiec w centrum Los Angeles i pozwolą nam w nim działać bez płacenia czynszu. Oto jak bardzo nasi przyjaciele z Zachodniego Wybrzeża pragną widzieć Magnusa u siebie.

Burmistrz poczerwieniał.

— Mam nadzieję, że pan odmówił. Magnus uniósł ciemne brwi.

— Oczywiście, że odmówiłem. Ale pan wie, jak to jest w interesach, panie burmistrzu. Wczorajsze „nie” może być jutrzejszym „tak”.

Burmistrz wyjął chusteczkę i otarł czoło.

— Anton — powiedział — co mam zrobić, żeby pan zmienił zdanie? Co mam zrobić, żeby przekonać pana o mojej przyjaźni. Wie pan, jak ważne są pańskie zakłady dla naszego miasta. Przez lata usiłowałem dać panu do zrozumienia, że ma pan we mnie przyjaciela.

— Nie wiedziałem, że ma pan przyjaciół wśród monopolistów i „złodziejskich baronów” — stwierdził Magnus z sarkazmem.

Burmistrz poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że wierzył w to wszystko. Anton, przecież to była tylko polityka. Nie mógł mnie pan" za to winić. Nie wini mnie pan, prawda?

Magnus odwrócił skromnie wzrok.

— Co mogę zrobić? Proszę, Anton... — w głosie burmistrza brzmiało błaganie.

Magnus odchrząknął.

— Moi akcjonariusze czują się przeciążeni przepisami podatkowymi nakładanymi na naszą firmę. Uważają, że w Nowym Jorku nie idzie nam tak dobrze jak mogłoby i powinno. Na przykład WR 52, podatek od zysków kapitałowych...

Nie musiał dodawać nic więcej. Burmistrz wiedział od samego początku, że ten podatek będzie kością niezgody. Rok temu swoim podpisem nadał mu moc prawną i od tej pory przyniósł on miastu miliony dolarów od Magnusa i podobnych mu korporacji. Była to dla miasta pierwsza linia obrony przed rozkładem finansowym.

— To dla dobra miasta, Anton. Pozwala zahamować proces staczania się. Wspomaga kasę...

Magnus pokiwał głową, unosząc brwi.

— Ale ja naprawdę rozumiem pański problem — kontynuował burmistrz. — Niech mi pan pozwoli porozmawiać z moimi ludźmi. Jestem pewien, że da się coś zrobić.

— Przed końcem roku podatkowego? — spytał Magnus łagodnie.

— Absolutnie. Daję na to osobiste słowo honoru.

Gospodarz wstał i wyciągnął rękę. Wyciągnął ją po królewsku, wnętrzem dłoni w dół, prawie tak, jakby oczekiwał, że jego rozmówca ją ucałuje. Zgrzytając zębami z upokorzenia, burmistrz ujął tę rękę, odwrócił ją o dziewięćdziesiąt stopni i potrząsnął z entuzjazmem.

— Proszę się nie martwić — powiedział. — I liczyć na mnie. Mogę obiecać dużo rozsądniejsze podejście ze strony urzędników zajmujących się podatkami stanowymi.

— Doceniam pańskie zrozumienie — odparł Magnus. — Ono dużo dla mnie znaczy. W przyszłym tygodniu spotkam się z moimi partnerami i zobaczymy, czy da się coś zrobić z tymi obligacjami.

— Dziękuję, Anton. Bardzo dziękuję. Przrzekam, że nigdy nie będzie pan tego żałował.

— Jeszcze jedno. — Magnus jakby sobie coś nagle przypomniał. — Moja żona umiera z ciekawości, żeby zobaczyć rezydencję Gracie. Wie pan, jakie są kobiety.

— Ależ oczywiście, Anton — burmistrz aż podskoczył, dostrzegając możliwość wyrządzenia małej przysługi. — Gdybym tylko wiedział o tym wcześniej! Zaproszę was oboje natychmiast. Jaki termin odpowiada panu najbardziej?

— Nie mnie. Mojej żonie. Może mogłaby zjeść lunch z twą małżonką, burmistrzu. Z tym, że wie pan, jaka jest prasa. Niewątpliwie zaraz się zwiedzą i będą chcieli, żeby Victoria powiedziała parę słów...

_ Oczywiście — burmistrz doskonale zrozumiał podtekst

zawarty w słowach przebiegłego Magnusa. — Każę sekretarce prasowej niezwłocznie się tym zająć. Chcę, żeby miasto wiedziało, jak ważni jesteście, pan i pańska żona, dla jego egzystencji. To będzie wielkie wydarzenie.

— Niezwykle to uprzejme z pańskiej strony. A zatem będzie pan obecny, żeby ją powitać.

Burmistrz przełknął upokorzenie i wściekłość.

— Całym sercem. Wszelkie przygotowania proszę pozostawić mnie. Uprzedzę też prasę.

— A więc w porządku. Cieszę się, że doszliśmy do porozu-

mienia. — Magnus wstał i wskazał gestem drzwi. — Muszę wykonać kilka telefonów, a potem do pana dołączę. Proszę przekazać ukłony żonie. Może przez ten czas przedstawi ją pan pani Magnus? Do zobaczenia za parę minut. — Oczywiście — burmistrz zbierał się do wyjścia ze świadomością, iż odprawienie go w taki sposób jest obelgą dla jego urzędu. Magnus powinien był przynajmniej odprowadzić go do drzwi, a on tymczasem nawet nie ruszył się z biurka.

Musiał jednak przeboleć i to. Wychodząc na korytarz, myślał o tym, jak niewiarygodną potęgę reprezentuje człowiek, którego przed chwilą opuścił. Gdyby zechciał użyć swych wpływów, mógłby w przeciągu tygodnia dostarczyć kasie miejskiej miliony dolarów. I wycofać je, jeśli okazywanie względów borykającej się z trudnościami metropolii uznałby za niewłaściwe.

Ocierając pot z czoła, burmistrz wrócił na przyjęcie, zatrzymał pierwszego z brzegu kelnera i zgarnął z jego tacy dwa kieliszki martini.

Zanim kelner zdążył się odwrócić, wlał w siebie pierwsze martini i odstawił pusty kieliszek na jeden z inkrustowanych orzechowych stołów w stylu Jerzego III. Z drugim drinkiem w garści ruszył na poszukiwanie żony, aby podzielić się z nią dobrymi wiadomościami.

W centralnym punkcie głównego pokoju przyjęć, niedaleko kręconych schodów prowadzących do znajdującej się na piętrze sali balowej, Gretchen Magnus Trowbridge witała gości i przyjmowała ich gratulacje.

Była sympatyczną, delikatną i zaskakująco nieśmiałą kobietą po trzydziestce. Francie pomyślała, że gdyby nie staranny makijaż, fryzura i wieczorowa suknia, która musiała kosztować fortunę, Gretchen można by wziąć za zahukaną gospodynię domową. Jej maleńka córeczka spała obok w przepysznej kołysce, zupełnie obojętna wobec odbywającej się na jej cześć gali.

Z docierających do niej niekiedy biurowych plotek, Francie wiedziała już co nieco o siostrach Jacka. Pierworodną Gretchen od początku przeznaczono do znakomitego zamążpójścia. Jako kilkunastoletnia dziewczynka była spokojną i dobrze ułożoną panią, lecz w wieku dojrzewania stała się źródłem kłopotów. Zaczęła się buntować, kilkakrotnie ucieka-

ła z domu i odstawiała rodzicom takie numery, że zmuszeni byli wysłać ją do specjalnej szkoły, będącej w gruncie rzeczy poprawczakiem dla panien z wyższych sfer.

Szkoła ta nie utemperowała jednak ślicznej nastolatki o kasztanowych włosach, mleczej cerze i bujnej figurze. Jej liczne wyskoki w tym przybytku doprowadziły w końcu do rodzinnego dramatu, jaki rozegrał się na rok przed oficjalnym wprowadzeniem jej do towarzystwa.

Otóż podczas podróży z rodzicami przez Atlantyk poznała młodego mężczyznę z Chicago, syna urzędników żyjących z państwowych pensyjek. Zapalała do niego namiętym uczuciem, skrywanym skrętnie przed rodziną. Będąc z natury osobką nader inteligentną ustatkowała się i wykorzystując cały swój spryt i mądrość, pokierowała sprawami tak, że przeniesiono ją do dobrej szkoły dla dziewcząt w Lake Forest, na północ od Chicago. Tam ustabilizowała się na dobre, nawiązała wiele przyjaźni i uzyskiwała wyśmienite oceny. Magnusowie byli tak zadowoleni, iż skłonni byli pozwolić jej na ukończenie tam edukacji. Ich czujność uspił dodatkowo fakt, że zaprzyjaźnione rodziny z Północnego Wybrzeża miały oko na Gretchen i donosiły im o jej postępach.

A potem wybuchła bomba. W któryś weekend zatelefonowano ze szkoły, że Gretchen zniknęła. Anton Magnus wysłał na jej poszukiwanie całą armię prywatnych detektywów, którzy ostatecznie odnaleźli ją w północnym Wisconsin, niedaleko granicy z Kanadą. Dziewczyna spędzała tam miesiąc miodowy z poznanym na oceanicznym liniowcu młodzieńcem z Chicago. Byli już po ślubie. Okazało się, że zaplanowali ucieczkę dużo wcześniej i zaaranżowali wszystko tak, by nieobecność Gretchen w szkole nie została szybko zauważona. Gretchen sfabrykowała liścik od rodziców, wzywający ją na dziesięć dni do domu w ważnej sprawie rodzinnej.

Naturalnie, słysząc to wszystko, Magnus wściekł się. Za zgodą rodziców chłopca małżeństwo zostało bez rozgłosu anulowane. Gretchen natychmiast zabrano ze szkoły, gdyż wyszło na jaw, iż pojechała tam wyłącznie po to, by być bliżej swojego wybranka. Dzięki wpływom Magnusa na prasę, całą aferę zatuszowano, nie dopuszczając do skandalu.

Jedyny sęk w tym wszystkim stanowił fakt, że Gretchen była w ciąży. Lecz i z tym problemem uporano się dyskretnie, wysyłając ją na zabieg do Szwajcarii.

Po tym epizodzie dla Gretchen skończyły się dni swobody. Musiała odtąd pojawiać się obowiązkowo na zgromadzeniach rodzinnych, dokończyła edukację w Vassar i wreszcie wyszła za mąż za wybranego przez ojca Eliota Trowbridge. Podłoże tego małżeństwa stanowiły oczywiście interesy i układy towarzyskie, jako że o fortunie Trowbridge'ów krążyły legendy.

Gretchen przeobraziła się w uległą, młodą żonkę o nieco zaokrąglonych kształtach, przyjemną w rozmowie, aczkolwiek zawsze „trochę nieobecną”, używając określenia jej przyjaciół. Wypełniając sobie czas błahostkami, zabawiała rodzinę i znajomych, a jedynym momentem, kiedy wykazała odrobinę autentycznego ożywienia i zainteresowania życiem był dzień, w którym dowiedziała się, że jest w ciąży i nosi swoje pierwsze „legalne” dziecko, tę właśnie małeńką dziewczynkę, będącą bohaterką dzisiejszej fety.

Chociaż po wyjściu za mąż Gretchen nie angażowała się w nic, poza pozorowaniem aktywności towarzyskiej i sporadyczną działalnością charytatywną, to obowiązki związane z prowadzeniem domu traktowała poważnie, niemal za poważnie. Jej dom był tak wymuskany, że nikt nie czuł się w nim swobodnie. Sprzątała i czyściła bez ustanku, paradując przez całą prawie dzień ze ścierką w ręku. Jej mąż, rozpieszczony maminsynek, miłośnik alkoholu i hazardu, zdawał się w ogóle tego nie zauważać. Ci, którzy znali Gretchen najlepiej, bardzo jej współczuli. Jej dawna inteligencja przebłyskiwała jedynie w nielicznych zjadliwych uwagach na temat najnowszych premier na Broadwayu. Pisywane do przyjaciół listy były tak bezosobowe jak urzędowe notatki.

Dziecko stało się dla niej nowym bodźcem. Przyjaciele i rodzina uważali, że przywróci ją na powrót do aktywnego życia. A przynajmniej mieli taką nadzieję. Inni, mniej życzliwi i optymistyczni sądzili, iż jest na to już za późno. Widzieli w Gretchen symptomy bojaźliwości jej matki. Sprawiała wrażenie osoby lękającej się życia, nie zaangażowanej. Tak jak wiele bogatych dziewcząt, miała niegdyś szansę, by stać się niezależna i w polityce godny sposób zaprzepaściła ją w krótkotrwałym, młodzieńczym buncie. Teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko grać rolę udzielającej się towarzysko żony i matki.

Usłyszawszy o nieszczęśliwej przeszłości Gretchen, Francie natychmiast ją polubiła. Było w tej dziewczynie coś zwyczajnego, słabego, co ją ujęło.

— Musi pani być bardzo przejęta nową rolą — zagadnęła Francie, spoglądając na śpiące maleństwo i czując ukłucie zazdrości na widok dumnej matki.

— Długo na to czekałam — odparła Gretchen. — Próbowaliśmy przez długi czas, ale bez skutku. Przetestowałam na sobie chyba wszystkie możliwe leki na bezpłodność. A teraz zwyczajnie odczuwam ulgę.

Gretchen szybko nabrała sympatii do Francie i już po chwili raczyła ją opowiastkami o dolegliwościach związanych z ciążą. Nagle jej twarz pociemniała. Francie odwróciła się odruchowo, żeby zobaczyć, co było tego przyczyną.

Ujrzała Antona Magnusa, który wyrósł jak spod ziemi i teraz zbliżał się do córki.

— Cześć, tato — powitał go Jack, stając pomiędzy ojcem a dwoma kobietami. — Chciałbym, żebyś poznał Francie Bollinger. — Francie, to Anton Magnus.

Po raz pierwszy Francie miała okazję spojrzeć z tak bliska na wielkiego Antona Magnusa. Był średniego wzrostu i budowy, z szeroką klatką piersiową i pobłyskującymi metalicznie siwymi słowami. Pod szerokimi, ciemnymi brwiami pały czarne oczy. Był opalony. Trzymał się z taką samą imponującą wyniosłością jak na zebraniu Zarządu.

— Dużo o pani słyszałem — zwrócił się do Francie. — Raport przedstawiony Zarządowi był doskonały.

Oczekujemy od pani wielkich dokonań. Życzę powodzenia z tymi pani komputerami.

Przenosił już uwagę na Gretchen, lecz zanim puścił rękę Francie, wyczuła w jego spojrzeniu zdumiewającą przenikliwość, jakby chciał wwiercić się oczyma w jej duszę, zadając jednocześnie bez ogródek pytanie, na które nie znała odpowiedzi.

— Gretch, kochanie — zagadnął do córki — jak się czujesz? Mam nadzieję, że to przyjęcie zbytnio cię nie męczy? Reakcja Gretchen na jego zapytanie była zaskakująca. Zdołała zakomunikować swoje grzeczne „nie” ani nie patrząc na ojca, ani nie odzywając się do niego. Gapiała się po prostu przed siebie z twarzą bez wyrazu. To zdumiewające przedstawienie wywarło na Francie ogromne wrażenie.

— Maleństwo śpi zdrowo? — Anton pochylił się nad kołyską.

Gretchen ponownie udzieliła mu tej dziwacznej, milczącej odpowiedzi, zawierającej niezbędne informacje. Wzrok

miała wbity w jakiś punkt ponad tłumem kręcących się wokół gości.

Magnus zwrócił się do Francie.

— Moja pierwsza wnuczka. Najchętniej trzymałbym ją cały czas przy sobie.

Napięcie między ojcem a córką zgęstniało do tego stopnia, że można by je kroić nożem. Francie zauważyła, że Gretchen ani razu nie spojrzała mu w oczy ani nie odezwała się choćby słowem. Jej poza nacechowana była nad wyraz bolesną desperacją i uporem.

Mimo to Anton ciągle zachowywał pozory ojcowskiej troski.

— Jeśli można, chciałbym ją przez chwilę potrzymać. Gretchen zbladła jak trup, lecz nie drgnęła nawet, kiedy zrobił krok i podniósł śpiące dziecko. Malutkie piąstki zaciskały się i rozwierały, gdy przytulił je do piersi. W małej gromadce zapadła głucha cisza. Magnus zagruchał coś do niemowlęcia, uśmiechnął się i położył je na powrót do kołyski. Potem zwrócił się do Jacka.

— Czy mogę zamienić z tobą parę słów, synu?

Spojrzenie, jakie wymienili ojciec i syn było równie nasycone treścią jak to między Antonem a córką, chociaż dalece różne. Było to spojrzenie poważnego porozumienia dwóch mężczyzn, świadomych jakiegoś ważnego stanu rzeczy, łączącego ich niezależnie od tego, czy im się to podoba, czy nie. Spojrzenie nie pozbawione wrogości, a mimo to wyrażające zaangażowanie, tak jak w przypadku skłóconych współmałżonków, którzy rozpoczynając jakąś ważną, wspólną misję, muszą zapomnieć o wzajemnej niechęci.

Francie nie miała ochoty zgłębiać tych mrocznych odczuć i spędziła przyjemne dziesięć minut na pogawędce z Gretchen, która wyraźnie się rozluźniła, jak tylko ojciec zniknął z jej pola widzenia. Im bardziej Gretchen się rozkręcała, tym wyraźniej wychodziła z niej udręczona, lecz wysoce inteligentna i serdeczna młoda kobieta.

Prawdopodobnie zdążyłyby się zaprzyjaźnić, gdyby nie powrót Jacka.

— Kilka osób chce panią poznać — poinformował Francie. — Zobaczymy się później, Gretch.

A więc taki jest ten nieśmiertelny Anton Magnus w domu, pomyślała Francie. Do tej pory miała dwukrotnie okazję przyjrzeć mu się. Pierwszy raz widziała go na zebraniu Zarządu, jako milczącego, niedostępnego władcę, otoczonego tłum-

kiem nerwowych pachółków. Teraz, przy drugim zetknięciu, odgrywał rolę dobrodusznego ojca rodziny, który jednak mimo całej swej pozornej łagodności budził wyraźny strach u zamężnej córki.

Francie wyczuwała, że Gretchen obserwuje ich z daleka z tym samym odcieniem zapytania, jaki czaił się dziś wieczór w oczach tak wielu innych osób. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Pochlebiali jej niewymownie, iż jest gościem tak atrakcyjnego i stanowiącego wyśmienitą partię mężczyzny. Jednak coś z atmosfery tego domu, w połączeniu z wrażeniami wobec korporacji i znajdujących się tu dziś sławnych ludzi, sprawiało, że czuła się mocno podenerwowana. Pomyślała o rodzinnym miasteczku w Pensylwanii i przez moment zapragnęła znaleźć się znów z ojcem na starym ganku, gdzie wszystko było takie znajome i gdzie ciepło jego miłości uspokajało ją i napawało poczuciem bezpieczeństwa.

Jack prowadził ją schodami na górę. Minęli salony wypełnione gawędzącymi i popijającymi szampana gośćmi.

— Jakie wrażenia jak dotąd? — zapytał.

— Ma pan cudowną rodzinę — odpowiedziała dyplomatycznie.

— Oni wszyscy śmiertelnie boją się starego — wzruszył pogardliwie ramionami. — A sprawa z Gretchen zakrawa na parodię. Jak się pani zapewne domyśla, wybrał jej męża. I to właśnie świętujemy dzisiaj: owoc jego swatania.

Biedna Gretch nie widziała swojego mężulka od dnia narodzin dziecka. Siedzi na Rivierze. To hazardzista. Przykre, ponieważ Gretch jest z gruntu miłą dziewczyną. Obawiam się, że czeka ją los matki. Kobiety nie są partnerami dla mężczyzny takiego jak tata.

— W każdym razie polubiłam ją — odparła Francie z uśmiechem.

— Najlepsze jeszcze przed panią. Albo najgorsze, w zależności od punktu widzenia.

Błądzili w niekończącym się labiryncie salonów, saloników, czytelni, wypełnionych elegancko ubranymi ludźmi na tle równie eleganckiego umeblowania. Miała wrażenie, że Jack czegoś szuka. Po drodze szeptał Francie do ucha historyjki o niektórych sławnych gościach i ich powiązaniach z Magnusami.

W pewnym momencie dotknął jej łokcia, kierując ją do pomieszczenia stanowiącego widocznie cel ich wędrówki.

Tutaj,

z wysmukłym kieliszkiem do szampana w jednej i z papierosem w drugiej dłoni, stała piękna, młoda kobieta o lśnących blond włosach spiętych z tyłu diamentową klamrą i gawędziła z kilkoma młodzieńcami wyraźnie urzeczonymi jej urodą i osobowością.

Francie zamarła z podziwu. Nigdy dotąd nie widziała dziewczyny z wyższych sfer, która w taki sposób uosabiałaby wszystkie możliwe zalety i wdzięki.

Julie Magnus, Francie rozpoznała ją natychmiast przypomniawszy sobie zdjęcia oglądane w prasie, była niemal zbyt śliczna, żeby być prawdziwą. Filigranowa, krucha, o perfekcyjnej figurze, miała na sobie sukienkę od Diora, podkreślającą drobną talię i szczupłe ramiona. Z szykowną kreacją kontrastowały białe stopy. Obok na dywanie poniewierały się wzgardzone buty. Porcelanowa cera i przeźrocyste, błękitne oczy nadawały jej wygląd żywej lalki. Wrażenie to potęgowała dziwna ociężałość, niemal bezruch, z jakim prowadziła chłodną konwersację z zamponotyzowanymi jej czarem adoratorami.

Przypominała księżniczkę w otoczeniu dworzan. Najwyraźniej przywykła do rozkazywania, upoważniona do tego olśniewającą urodą i pozycją, i grała tę rolę bez najmniejszego potknięcia. Podobnie jak Jack, który wyglądał niekiedy, jakby wyszedł prosto od najlepszego krawca, ona również sprawiała wrażenie, jakby zeskokczyła z wdziękiem do tego zacisznego saloniku wprost z okładki „Vogue”.

Lecz wyczuwało się tu jeszcze coś, coś trudnego do zdefiniowania. Coś w rodzaju nasycającej powietrze elektryczności, jakby ci nadskakujący Julie lalusie zdawali sobie sprawę, że spod jej układnej powierzchowności wycieka coś niebezpiecznego. Ich postawa nacechowana była wyczekiwaniem, a nawet lękiem.

Na widok Jacka i jego towarzyszek Julie przeprosiła swoich przystojniaków i podeszła do brata.

— Braciszku drogi, dawno się nie widzieliśmy. Poufale, żartobliwie, poklepała go po policzku. Potem jej inteligentne oczy przeniosły się na Francie i zmierzyły ją z ciekawością.

— Julie, to jest dziewczyna, o której ci opowiadałem — oznajmił Jack z nutą dumy w głosie. — Francie Bollinger, moja siostra, Julie.

— Nie nazywaj mnie tak — zbesztła go, po czym zwróciła się do Francie. — Lubi mnie drażnić tym ohydny imieniem,

które wybrali dla mnie, gdy byłam jeszcze zbyt mała, żeby się obronić. Myślę nawet, iż Magnusowie podejrzewali, że kiedy dorosnę, zechcę poślubić jakiegoś Romea i pokrzyżuję ich plany wobec mnie. W każdym razie jestem zachwycona, mogąc panią poznać — powiedziała z rozbijającym, przyjaznym uśmiechem, wyciągając rękę. — Brat opowiadał mi o pani dokonaniach. Z jego słów wynikało niezbicie, że jest pani najwspanialszym nabytkiem tej firmy.

— Przesada — odparła skromnie Francie, ściskając drobną dłoń. — Miło mi panią poznać. Tak wiele o pani słyszałam...

Urwała w pół zdania na widok znaczącego uśmiešku na ustach dziewczyny. Obie doskonale wiedziały, że cokolwiek Francie usłyszała, nie było to z pewnością nic pochlebnego.

Fala plotek na temat Julie Baker Magnus wymknęła się spod kontroli zbyt dawno temu, by ją teraz wyciszać. W szeptanych od ucha do ucha opiniach była ona kwintesencją wyuzdanej, bogatej pannicy, a nawet jeszcze gorzej. Wydalano ją ze wszystkich możliwych szkół. Zadawała się z tyloma pospolitymi typkami, ilu wpadło jej w ręce. Im gorszą dany delikwent posiadał reputację, tym chętniej z nim poprzestawała. Obecnie znów przerwała naukę, gdyż po romansie z profesorem od francuskiego, który nie mógł się oprzeć jej powabnemu ciału i zgubnym wdziękowi, poproszono ją uprzejmię, by opuściła college Smitha, uczelnię, gdzie z dużym trudem udało się ją ulokować zaledwie kilka miesięcy wcześniej.

Od ukończenia dziewiątego czy dziesiątego roku życia wymyślała niezliczone psoty i pakowała się we wszelkie możliwe tarapaty. Przyłapano ją na kradzieży w sklepie. Aresztowano ją za dewastowanie mienia publicznego. Karano ją za chuligańskie wybryki w szkołach, między innymi za podpalenie kolekcji, peruk należącej do dyrektorki jednej ze szkół dla dziewcząt.

Jak tylko uzyskała prawo jazdy, zaczęła nagminnie rozbijać należące do rodziny samochody, wyrządzając ogromne szkody. Zdekompletowała w ten sposób ojcowskie serie ben-tley'ów, rolls royce'ów, ferrari i mercedesów. Kiedyś, prowadząc po pijanemu, poważnie zraniła przechodnia. Wytoczono proces, lecz wysoko opłacani adwokaci Magnusa zdołali wyciszyć i zatuszować całą sprawę.

Bardzo wcześnie motorem napędowym ekscesów Julie stał się alkohol. Pojawiała się pijana w miejscach publicznych, wszczynając burdy, w których musiała interweniować policja,

przy czym znieważała oficerów słownie, a nawet fizycznie. Krążyły pogłoski, że eksperymentowała nawet z niebezpiecznymi narkotykami, łącznie z kokainą i benzedriną, używaną powszechnie jako środek przeciw depresji i przez to łatwo dostępną na recepty.

Julie nie wykazywała żadnej skruchy ani woli poprawy. Co więcej, zdawała się działać z pełną premedytacją i jak najbardziej spektakularnie. W swoich eskapadach nigdy nie starała się ujść przed pościgiem organów sprawiedliwości. W gruncie rzeczy była swego rodzaju rekordzistką, jeśli chodzi o liczbę przyłapań na gorącym uczynku. Co bardziej stateczni lub przynajmniej świadomi kary przyjaciele ze szkoły już dawno przestali angażować się w jej wybryki, ponieważ było jasne jak słońce, że wpadnie, a oni razem z nią. W rezultacie jej towarzystwo stanowili ludzie coraz to gorszej konduity — dziewczyny narwane jak ona sama lub zbyt głupie, by przestać się z nią zadawać. Przypadkowe towarzyszki dążące do samounicestwienia, wyjęte jak i ona w naturalny sposób spod prawa. Teraz, będąc nieco starszą, prowadziła podwójne życie w kontaktach damsko-męskich. Często umawiała się z młodzianami z najlepszych rodzin, którzy nie mogli się oprzeć kombinacji jej urody i nazwiska. Pomimo rozwodrzenia, uważana była za doskonałą partię dla każdego, kto miałby odwagę nią pokierować. Jednocześnie otaczała się żigolakami, pieczeniarczami i mętami z wyższych sfer, w charakterze kompanów swoich awanturniczych wypadów.

Jej poczynania poza rezydencją Magnusów były zbyt nieobliczalne, by stanowić temat kulturalnych rozmów. Z każdym dniem staczała się niżej i tylko wpływom ojca zawdzięczała, że nie miała kartoteki na policji.

Jedyną rzeczą, jakiej udało jej się uniknąć, było zajście w ciążę. Czy był to rezultat stosowania środków antykoncepcyjnych, fizyczna ułomność, czy ślepe szczęście, tego nikt nie wiedział.

Mając w pamięci wszystkie te plotki, Francie była zdumiona układnością i uprzejmością stojącej przed nią dziewczyny. Najbardziej uderzającą cechą Julie Magnus poza urodą była niezaprzeczalna inteligencja. Ujawniła się ona w całej okazałości, kiedy Jack przeprosiwszy dziewczęta oddalił się, by powitać kilku gości, a Julie zaczęła rozmawiać z Francie. Nie zwracając uwagi na zawiedzionych zalotników, ujęła Francie pod ramię i przechadzając się z nią, wypytywała o jej pracę.

Ku zaskoczeniu Francie, Julie знаła szkołę Moore. Miała niezłe pojęcie o komputerach, z którymi zetknęła się u Smitha i zgłębiała ich tajniki pod kierunkiem młodego profesora wpajającego jej, że komputery zupełnie zdominują przyszłość. Tak więc gawędziło im się zupełnie sympatycznie. Julie przyjmowała z powagą wszystko, co Francie mówiła i odpowiadała ze zrozumieniem wskazującym, iż niezależnie od swego „pokręconego” życia naprawdę słucha Francie i naprawdę ma to dla niej znaczenie.

Kiedy na pytanie, jak jej się podoba praca w Magnusie, Francie poruszyła temat chłodnego traktowania kobiet i nikczemności w stosunku do nich, Julie okazała wyraźne współczucie.

— Jesteś niezwykle odważna — powiedziała. — To jest dżungla, w której całą broń posiadają mężczyźni. Wykorzystają twój umysł i pokażą ci drzwi. Lecz choć korporacja jest bezlitosnym i ambitnym zwierzęciem, brakuje jej sprytu. To będzie pracować na twoją korzyść.

Wskazała wiszące na ścianach bezcenne obrazy.

— Proszę zwrócić uwagę na nasze portrety — uśmiechnęła się sarkastycznie. — Nie uderzają zbyt podobieństwem do nas, prawda? To dlatego, że oni wszyscy są Wetherellami. Nie możemy chlubić się portretami Magnusów, ponieważ to same nędzne kmiotki, pochowane Bóg wie gdzie. Widzi pani, mamy tu wszystko, co łączy się z dobrym pochodzeniem, oprócz samego pochodzenia. I dlatego ojciec robi wszystko, żeby świat o tym zapomniał.

— Nikt by o tym nie pomyślał, patrząc na was — stwierdziła Francie. — Jesteście tacy... tacy dystyngowani.

Po tych słowach w oczach Julie pojawił się jakiś dziwny wyraz, zamigotał przez moment i znikł.

— No cóż, pochodzimy z długiej linii bandytów i morderców. A przynajmniej tak to sobie wyobrażam. We krwi mojego ojca musi być coś z bandyty, skoro udało mu się doprowadzić nas tak wysoko.

Znów coś niesamowitego, ostrego jak pazur kota, zabłysło w jej lodowato niebieskich źrenicach. Był to głęboko zakorzeniony wstręt do rodziny i ojca, zabarwiony jednak niechętnym podziwem. Jak gdyby budowla, której nienawidziła, była tak ogromna i odrażająca, że nie mogła nie uszanować jej potęgi.

— Jesteśmy wszyscy dumni, że Gretchen udało się począć dziecko z tym jej mężulkiem — podsumowała. — Lecz Anton

Magnus nadal nie posiada wnuka płci męskiej, który mógłby dziedziczyć jego nazwisko, prawda? Ta mała robótka leży teraz w gestii mojego przystojnego braciszka.

Z kolei spytała Francie o jej życie prywatne. Ze zdumiewającą chciwością usiłowała wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji. Francie opowiedziała jej pokrótce o śmierci matki, o spokojnej egzystencji ojca, o własnym oddaniu dla niego, o latach na uniwersytecie i odkryła, że Julie słucha z jakąś milczącą pasją.

— Cóż, to nie jest ciekawe życie — roześmiała się sztucznie, zaniepokojona niebywałym, niezdrowym wręcz zainteresowaniem słuchaczki.

— Wręcz przeciwnie — zaprotestowała Julie. — To najciekawszy rodzaj życia. I najbardziej niezwykły. Szczęśliwe życie... To rzadkość, Francie... Czy mogę ci mówić po imieniu?

— Ależ oczywiście, mów mi Francie.

— Może powinniśmy zjeść kiedyś razem lunch... — zaczęła Julie.

Francie już miała odpowiedzieć, kiedy spostrzegła, że wyraz twarzy jej towarzyszki uległ tak totalnej i gwałtownej zmianie, iż przeczył kompletnie jej słowom.

Stała się spięta, przygotowana do obrony i jakaś przestraszona. Łączący je przyjacielski, beztroski nastrój nagle prysnął.

Francie odwróciła się, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. W ich kierunku zmierzali Anton Magnus i Jack. Ojciec, niższy od syna, trzymał dłoń na jego ramieniu, manewrując nim w kierunku dziewcząt. Z jego postawy była władczość, choć na wysokim, wysportowanym i dumnym Jacku zdawała się ona nie robić zbytniego wrażenia.

Pozwalał się ojcu prowadzić w ten sposób jedynie z szacunku, nie ze strachu.

Kiedy szli obok siebie, Francie dostrzegła, że jest w nich mimo wszystko pewne podobieństwo. Ledwo widoczne, jak zmyty przez falę rysunek na piasku, ale jednak istniało. Dziedzictwo Magnusów łączyło tych dwóch mężczyzn jak tajemnicze więzy. Jednakże Jack zdawał się zacierać to podobieństwo sposobem zachowania, zmazywać je z siebie, jakby to była plama, którą pragnął usunąć ze swego ciała.

— Co to ma znaczyć? Zostawili panią zupełnie samą? Nie puszczę tego płazem! — uśmiechnął się Jack, odgrazając się żartobliwie.

Zaskoczona Francie odwróciła się, by zagadnąć do Julie. Lecz za nią nie było nikogo. Widząc zbliżającego się ojca, Julie Magnus zwyczajnie rozpląnęła się w powietrzu.

Reszta wieczoru upłynęła w przyjemnej atmosferze musującego szampana, przyciszonej muzyki i relaksującej rozmowy. Jack był tak doskonałym gospodarzem, że Francie czuła się naprawdę odprężona. Zaczęła go lepiej poznawać, choć możliwość rozmowy w cztery oczy była ograniczona przez dziesiątki sławnych i znaczących osobistości, które, zdaniem Jacka, musiała obowiązkowo poznać.

Sielankę zakłócił tylko jeden zgrzyt, nieopisanie bulwersujący dla Francie.

Ona i Jack przechodzili przez górny hall obok dużego pokoju, kiedy zauważyli, że w środku dzieje się coś niedobrego. Jack dotknął ramienia towarzyszki.

— Sam się tym zajmę. Proszę na mnie poczekać. Zniknął w salonie, gdzie panowała przeraźliwa cisza, będąca zawsze następstwem jakiejś szokującej sceny. Francie stała na zewnątrz, zachodząc w głowę, co tam się może dziać.

W chwilę później pojawił się Jack z siostrą w ramionach. Niósł ją do schodów prowadzących do sypialni. Dwóch z młodych mężczyzn, zabawiających wcześniej Julie, obserwowało to z konsternacją, podczas gdy trzeci z nich asystował Jackowi.

Przejęta do głębi Francie śledziła to zajście nic z niego nie rozumiejąc. Julie nie zemdląła, ale jej ciało było zupełnie bezwładne. Wyglądała jak sparaliżowana. Mimo to z jej bladej, niemal przezroczystej twarzy przebijała determinacja i poczucie osiągniętego celu.

Na mgnienie oka Francie napotkała jej wzrok.

Wyblakłe oczy zionęły pustką. Nie dostrzegła w nich najmniejszej oznaki rozpoznania, najmniejszego śladu niedawnej poufałości. Ta przemiana była zdumiewająca i niesamowita. Jack trzymał w ramionach robota, zwłoki.

— Czy ona jest chora? — spytała Francie jednego z młodzieńców.

— Nie, po prostu pijana — odparł obojętnie. — Prawdopodobnie zażyła wcześniej jakieś pigułki. Taka mieszanka może dać nieobliczalne skutki.

Francie zamilkła. Przecież zaledwie chwilę temu rozmawiała z trzeźwą i czarującą Julie Magnus.

— Czy to... czy to się często zdarza? Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Podczas każdego przyjęcia. Postępuje jakby zgodnie z utartym schematem, szczyt przypada zawsze około północy.

Jej rodzice wyszkolili się już do tego stopnia, że przed tą godziną czarownic usuwają z jej otoczenia co wrażliwszych gości.

Dostrzegł zmartwienie malujące się na ślicznej buzi swojej rozmówczyni.

— Niech się pani tak nie przejmuj. Rano, po szklaneczce „krwawej Mary” i kilku aspirynach znów będzie w wyśmienitej formie. To po prostu jej sposób na dobrą zabawę.

Francie zmusiła się do uśmiechu. Odnosiła wrażenie, że nieruchoma Julie Magnus to symbol protestu, ma stanowić z założenia problem dla rodziców, nawet teraz zabawiających gości o pokój czy dwa dalej. Było to interesujące z psychologicznego punktu widzenia, lecz widok Julie w pijackim otepieniu wstrząsnął Francie, jako obraz rozmyślanej dezintegracji ślicznej i inteligentnej dziewczyny. Trudno będzie o tym zapomnieć.

Po kilku minutach Jack wrócił.

— Przepraszam za moją siostrę. Proponuję, żebyśmy oddalili się na bezpieczną odległość od miejsca przestępstwa.

Ujął jej ramię i wyprowadził z nadal zatłoczonego korytarza. Przeszli w kierunku spokojniejszej części domu.

Zamierzała zapytać go o tę nagłą niedyspozycję Julie, ale wyczuła podświadomie, że on nie ma ochoty o tym mówić.

— Tędy — odezwał się w pewnym momencie. — Pokażę pani jedną z moich tajnych skrytek.

Przemierzali skomplikowany ciąg pokoi, łącznie z sypialnią, dużą spiżarnią i czymś w rodzaju strychu. Podążała za nim posłusznie, oszołomiona nieskończoną ilością zakamarków tego imponującego domu.

W końcu znaleźli się w maleńkiej komórce z niedużym świetlikiem wychodzącym na główną salę balową. Widzieli stąd wszystkich gości i stojącego między nimi Antona Magnusa, gawędzącego przyjaźnie z mężczyzną wyglądającym na jakiegoś ambasadora.

— Niezły widok, co? — spytał Jack. — Anton Magnus i jego świat. Niech się pani jednak nie da zwieść pozorom.

Większego oszustwa już pani w życiu nie zobaczy.

— Nie przepada pan zbyttnio za swoim ojcem, prawda? — zapytała cicho.

Spoważniał gwałtownie, a jego twarz przybrała niemal surowy wyraz. Ujął obie jej ręce.

— Proszę posłuchać mojej rady, Francie. Niech pani trzyma się od niego z daleka. Nikt, kto zadaje się z moim ojcem,

nie wychodzi z tego bez uszczerbku. To jest prawo dżungli. Niech pani zawsze o tym pamięta. Z jego rysów emanowało coś pośredniego pomiędzy nienawiścią a wymuszonym szacunkiem. Przy następnych słowach jego twarz złagodniała.

— Obawiam się, że jest pani nami zde gustowana. To dekadencje bogactwo i to wszystkp...

Potrząsnęła głową w półmroku.

— Cudze nieszczęście powoduje, że sama czuję się nieszczęśliwa. Boli mnie myśl, że nie czuje się pan tu dobrze. Spojrzał w dół na tłum.

— Tak czy inaczej, to już niedługo — mruknął. Nagle roz pogodził się.

— Tak sobie myślę, że kiedy odejdę, pani mogłaby pójść ze mną. Oczywiście, o ile usatysfakcjonują panią moje warunki. Będę potrzebował maksymalnie dużo zdolnych, przebojowych ludzi. Może uda mi się panią skusić?

Francie uśmiechnęła się. Do głowy nie przychodziła jej żadna odpowiedź.

— Widzi pani, ja też nie chcę, żeby pani była nieszczęśliwa. Nie pasuje pani do świata Antona Magnusa! Nie odezwała się.

Jack ponownie popatrzył w dół, na gości.

— Odkryłem to miejsce, kiedy %łem chłopcem. Gretch nigdy się o nim nie dowiedziała. Tak samo rodzice. Wiedział o nim jedynie architekt i być może niektórzy ze starych Vander-biltów; oni też niegdyś byli dziećmi. Przychodziłem tu i podglądałem dorosłych, kiedy celebrowali te swoje przyjęcia. Mój Boże, wtedy wydawali mi się członkami rodziny królewskiej. Te bale, te orkiestry, te wspaniałe kreacje dam, te dźwięki muzyki wibrujące w powietrzu... W tamtych dniach myślałem, że ich świat jest zaczarowany.

Zadumał się. W jego rysach odbijał się wyraźny ból. Odwrócił się do Francie.

— Żałuję, że pani tu wtedy nie było — powiedział. Słowa te zasmuciły ją. Nagle uświadomiła sobie, jak samotne musiało być życie chłopca w świecie Magnusów.

Jack patrzył teraz głęboko w jej oczy.

— Żal nie jest chyba najlepszym lekarstwem — stwierdził filozoficznie.

W zamyśleniu, gestem pełnym współczucia, dotknęła jego policzka.

Poczuła na ramieniu jego dłoń i palce muskające delikatnie jej kark. Ogarnęło ją dziwne rozleniwienie, łagodne i kuszące. Ni stąd, ni zowąd, jak pod wpływem magnesu, którego istnienia nigdy nie podejrzewała, znalazła się w jego ramionach z ustami rozchylonymi na przyjęcie najgłębszego pocałunku w życiu.

Przywarła do niego, opasując go mocno w pasie, czując ogarniające ją fale płomieni. Silne ciało mężczyzny napierało na nią coraz gwałtowniej. Przez jej nogi, do koniuszków palców, przebiegły dreszcze słabości. W ułamku sekundy poczuła, jak jego opiekuńczość przeobraża się w kwintesencję pożądania, a ona nie potrafi się temu przeciwstawić, gdyż czeka na ten moment od czasu, gdy dwa tygodnie temu ujrzała go w drzwiach jego mieszkania. Podświadomie pragnęła tego pocałunku wszystkimi zmysłami, choć nie miała odwagi przyznać się do tego sama przed sobą.

Nie próbowała opierać się czy wyrywać. Zakazane rytmy kobiecej żądz sprawiały, iż drżała przytulona do jego piersi. Z rozkoszą zanurzyła palce w jego włosach. W odpowiedzi przycisnął ją jeszcze mocniej.

Zaczęła sobie uświadamiać, że jej namiętność jest groźniejsza niż podejrzewała. Chciała kazać mu odejść, a nawet odepchnąć go. Ale jej ciało rwało się do jego ciała, dotykając go we wszystkich newralgicznych miejscach. Uda przy udach, piersi przyciśnięte do jego piersi, biodra pieszczące jego biodra, przemawiające pod pokrywającą je tkaniną własnym językiem miękkiej skóry i ciepłem ciągle rosnącego pożądania.

Nagle dłonie Jacka znalazły się poniżej jej talii, przyciągając ją ze straszliwym głodem do centrum jego męskości. Płomień jego żądz przeskoczył na nią ogarniając ją całą i naraz, jak spazm pierwotnego instynktu, z jej ust wyrwał się jęk ekstazy, mimowolna pieśń rozkoszy, która zamarła na jego piersi. Zaszokowana własną reakcją przytuliła się do niego mocniej, żeby nie zobaczył jej twarzy. Jej urywany oddech był jedynym odgłosem mącącem ciszę.

Wreszcie ją puścił. Jego sylwetka majaczyła przed nią jak duch w ciemnościach, a widoczne teraz rysy były tak samo nieprzeniknione jak przed tym fatalnym i cudownym pocałunkiem.

Pozwolił jej odsunąć się o krok, lecz nadal trzymał ręce na jej ramionach.

Przepraszam — powiedział cicho. — Nie powinienem był tego robić. Prawie mnie pani nie zna.

— Nie, nie ma pan za co przepraszać. To ja powinnam

przeprosić. Nie rozumiem, co się ze mną stało. W gruncie rzeczy jestem staroświecką dziewczyną. Proszę nie myśleć, że mam zwyczaj rzucać się na wszystkich mężczyzn. To się już nie powtórzy.

Odwróciła głowę, patrząc w przestrzeń, lecz on ujął jej brodę i zwrócił ją twarzą do siebie. Jego uśmiech był tak wyrozumiały, iż zdobyła się na odpłacenie mu tym samym. Jej dłoń, niczym kierowana własną, nieśmiałą wolą, powędrowała z ramienia mężczyzny do karku, pieszcząc go poufale. Poprawiła mu krawat.

— Ma pan szminkę na wargach — zauważyła.

— Czyżby? — spytał, jakby zachwycony tą informacją.

Wyjęła chusteczkę z jego kieszeni i wytarła mu usta. Nawet ten niewinny kontakt wydawał jej się niepokojąco intymny. Zanim zdążyła złożyć chusteczkę i wsunąć ją na swoje miejsce, chwycił oba jej nadgarstki, unieruchomił i pocałował ponownie, tym razem mniej namiętnie, aczkolwiek równie uwodzicielsko.

Kiedy skończył, popatrzyła mu w oczy.

— Powinniśmy już wracać. Pańscy rodzice będą się zastanawiać, gdzie jesteśmy.

Zmarszczył czoło.

— Chyba ma pani rację.

— Nie jestem potargana? Muszę pewnie poprawić makijaż?

— Nic pani nie musi. Jest pani perfekcyjna pod każdym względem.

Spojrzał na nią przeciągle. Wydawał się zaintrygowany, zaciekawiony. Mimo to pozostało w nim coś z wcześniejszego, młodzieńczego smutku. Dotknął palcem jej policzka i pogładził włosy, sprawiając, iż zamknęła oczy z przyjemności.

Gdy schodzili na dół, stapała niepewnie na miękkich nogach. Zobaczyła więcej ze świata Magnusów niż się spodziewała, a w osobie przystojnego Jacka Magnusa świat ten dotknął w niej tego miejsca, którego nigdy nie zamierzała wystawiać na dotyk.

Kiedy Jack odwoził ją do domu, odczuwała ulgę, że zostawia ten świat za sobą. Ale kiedy pocałował ją na dobranoc, zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście zostawiła go za sobą. Ponieważ czuła podświadomie, że zagnieździł się on w tej zbyt intymnej, zbyt słabej części jej jestestwa, w punkcie, z którego trudno go będzie wyrugować.

Zapadając w niespokojny sen, ze zmysłami przepełnionymi zapachem i smakiem Jacka Magnusa, Francie po raz pierwszy zrozumiała, co to znaczy żyć niebezpiecznie.

ROZDZIAŁ 10

O drugiej trzydzięci nad ranem Julie Magnus usłyszała ciche pukanie do drzwi.

Wiedziała, że przyjęcie się skończyło. Słyszała, jak wychodzili ostatni goście, gdyż obudziła się mniej więcej w godzinę po tym, jak Jack ulokował ją w łóżku. Szampan nigdy nie trzymał jej długo. Wprawiała się w stan totalnego upojenia, trwającego wystarczająco długo, by zdążyła narozrabiać, ale potem pijackie otumanienie mijało, pozostawiając po sobie wyczerpanie i ból głowy.

Dziś było tak, jak we wszystkie inne noce. Po przebudzeniu połknęła kilka aspiryn i włożyła piżamę. Potem położyła się do łóżka w oczekiwaniu na sen, oszołomiona, ale niezdolna odpłynąć w niebyt. Słyszała, jak dom cichnie i służba sprząta po przyjęciu. Myślała o ludziach widzianych wieczorem i o zamieszaniu, jakie spowodowała. Gapiła się w przestrzeń, jakby wypatrując przyjaznej ręki Morfeusza, która przeprowadzi ją do krainy sennych marzeń. To czekanie mogło trwać godzinami.

Delikatne pukanie do drzwi sprawiło, że zamarła.

Drzwi uchyliły się powoli i jakaś postać wsunęła się do pokoju. Usłyszała szcęk przekręcanego klucza.

— Julie...

To był ten sam stary głos, pełen przeproszenia za to, że ją niepokoi, pełen nieśmiałej wymówki, troski o jej dobro, a nade wszystko smutku z powodu tego, co zaszło.

Nie zareagowała.

Ojciec podszedł bliżej i usiadł na brzegu łóżka.

— Jak się czujesz, Julie?

Poczuła kościste palce zaciskające się wokół jej nadgarstka. Zesztywniała, lecz nadal się nie odzywała.

— Twój brat przeprosił wszystkich w twoim imieniu. Nie sędzę, żeby ktokolwiek miał ci za złe.

Jej milczenie stawało się coraz bardziej kłopotliwe.

— Wiesz, Julie, wszyscy cię lubią. Wszyscy nasi przyjaciele. Nie musisz robić z siebie widowiska. Wszyscy cię cenią. Wiemy, że jesteś wspaniałą osobą. Gdybyś tylko bardziej się szanowała...

Patrzyła w otepieniu na rysującą się w ciemności sylwetkę. Czowała znajomy zapach brandy, drogiej wody kolońskiej i najlepszych cygar, który fascynował ją, gdy jako mała dziewczynka siadywała mu na kolanach, kiedy czytał gazetę.

— Gdy byłaś małą dziewczynką — mówił dalej, najwyraźniej czytając w jej myślach — byliśmy tacy dumni. Nie wierzyłem własnym oczom. Gretch była już duża, a Jack chodził do szkoły. I nagle pojawiło się to małe zawiniątko pełne blond uroku... Tak, byłaś dla nas zaczarowaną, malutką wróżką z bajki.

Zamilkł, nie puszczać jej ręki. Dłoń miał spoconą, ale on sam był oschły, oschły i opanowany jak zwykle.

Przyjmowała jego monolog z rodzajem bolesnej fascynacji. Słyszała go już wielokrotnie.

— Spróbuj wziąć się w garść, Julie. Stać cię na to. Zaslugujesz na wiele więcej. Nie zamierzamy wypominać ci przeszłości. Ważne, żebyś odrzuciła przeszłość i pomyślała o przyszłości. Możesz robić, co chcesz i być, kim chcesz. Pomyślisz o tym?

Był zbyt taktowny, by powiedzieć jej wprost, że marnuje życie, zadając się z bezwartościowymi, przypadkowymi chłystkami. Co więcej, kiedy sprowadzała ich do domu, odnosił się do nich kurtuazyjnie i uprzejmie, skrywając po mistrzowsku niesmak. Anton Magnus był uosobieniem taktu. I nawet kiedy córka wystawiała jego cierpliwość na największą próbę, zachowywał spokój.

— Twoja matka uważa, że przydałaby ci się zmiana otoczenia. Dlaczego nie wybierzesz się na kilka tygodni do Biarritz? Możesz zostać tam nawet dłużej, jeśli chcesz. Weź ze sobą jakąś przyjaciółkę. A ja postaram się wygospodarować trochę czasu i przyjechać tam z matką na weekend. Tęsknimy do ciebie, gdy jesteś długo poza domem.

Zdrętwiała, słysząc te słowa, lecz nie cofnęła ręki, patrząc z nienawiścią jak spoczywa w jego dużej dłoni.

— Dam ci czas na przemyślenie tego. Chcę twego szczęścia, Julie. Pamiętaj o tym. Jesteś piękną dziewczyną i chcemy dla ciebie jak najlepiej.

Chwycił kołdrę przy jej szyi i odciągnął ją powoli. Spod kołdry wyłoniła się połyskująca niebieskawo w półmroku piżama. Staromodna, flanelowa, podobna do tych, jakie noszą małe dziewczynki.

— Powiedz, że spróbujesz — mruknął przymilnie. Nie odpowiedziała.

Sięgnął do górnego guzika bluzy od piżamy i rozpiął go. Potem, guzik po guziku rozpiął całą bluzę. Zapięła w milczeniu obserwowała, jak rozchylając poły piżamy obnaża jej piersi.

— Julie... — wyszeptał ochryple. — Moja słodka Julie...

Szeroko otwartymi, pustymi oczyma gapiała się w ciemność. Nie drgnęła nawet wtedy, kiedy pochylił się i zaczął całować jej sutki.

ROZDZIAŁ 11

W saloniku małego wiejskiego domku znajdowało się troje ludzi. Matka z robótką w dłoniach siedziała na starym krześle z wysokim oparciem. Córka, szczupła czternastolatka, leżała na brzuchu na plecionym dywaniku, gryząc ołówek i studiując podręcznik do historii. Z nogawek dżinsów wystawały bose stopy, którymi wymachiwała leniwie w powietrzu, koncentrując się na robieniu notatek.

Ojciec w roboczym ubraniu siedział na kanapie, ignorując mruczące radio i ogarniając wzrokiem swoją małą rodzinę. Ani żona, ani córka nie podniosły głowy, nie chcąc widzieć wyrazu wyczerpania w jego szarych oczach. Był mężczyzną o imponującym wzroście i posturze. Z daleka ludzie sądzili, że jest groźny, ale kiedy podchodzili bliżej, natychmiast wyczuwali jego marzycielską naturę i już wiedzieli, że Mac Bollinger nie mógłby być czymkolwiek wrogiem.

W gruncie rzeczy, od czasu kiedy dorósł, w okręgu uważano go za nieco zbzikowanego faceta, którego myśli są niezupełnie z tego świata. W zażyłości Maca z przedmiotami, w zamięłowaniu do drewna i poetyckim wyczuciu jego struktury było coś niesamowitego. Dzięki tej właściwości z genialną pomysłowością rozwiązywał problemy stolarskie i konstrukcyjne, co czyniło z niego poszukiwanego fachowca.

Mac był kimś w rodzaju poety drewna i kamienia, artystyczną „złotą rączką”. I, jak wszyscy poeci, był marzycielem. Załatwiał swoje sprawy w nieco osobliwy sposób i o nieco nietypowych porach, lecz ludzie z okręgu rozumieli to i akceptowali, a ich stosunek do niego można by określić jako wręcz opiekuńczy.

Lecz dziś Mac Bollinger nie patrzył na swoją rodzinę jak marzyciel. Patrzył jak mężczyzna postawiony twarzą w twarz z bezlitosną, trudną do zniesienia rzeczywistością.

Helen zerknęła znad robótki na Francie, a potem znów na swoje kolana. Jej oczy spotkały się na ułamek sekundy z oczami

ma Maca i zmęczone tęczęwki zdawały się rozbłyskać uśmiechem. Później pograżyła się na powrót w pracy. Jakże niewinnie jawił się ten moment! Żona i córka oddające się codziennym zajęciom, podczas gdy mąż i ojciec odpoczywa po całodziennym harówce w zbudowanym własnymi rękoma domu. Rodzinna sielanka. A jednak los sprawił, że były to pozory. Helen dziergała sweter o kilka rozmiarów za duży dla Francie. Dziewczynka ciągle rosła i obecnie miała bardzo dużo rzeczy. Helen dziergała ten sweter dla większej Francie, dla Francie, której w nim nigdy nie zobaczy.

Ponieważ Helen wkrótce umrze. Wszyscy o tym wiedzieli. To będzie jej ostatnie lato z mężem i córką. Dziergała ten sweter jako kruchą więź z przyszłością, której nie będzie z nimi dzielić i jako protest przeciwko zżerającej ją chorobie.

To było typowe dla Helen. Chociaż łagodna, miała kręgosłup ze stali i cięte, choć ponure poczucie humoru wobec okrutnych absurdów tego świata. To było w jej stylu siedzieć tutaj spokojnie przygotowując odzież, która zostanie wykorzystana dopiero po jej śmierci.

Matka i córka były do siebie podobne w ciekawy sposób. Nie było to podobieństwo fizyczne. Helen nie przekazała puszystych, brązowych włosów i brązowych oczu Francie, która była zdecydowaną brunetką o błyszczących, zielonych tęczęwkach. Nie przekazała też córce owalu twarzy i bladej cery. Dziewczynka odziedziczyła swe niezwykle piękne rysy po rodzinie Maca.

Nie, to podobieństwo było bardziej subtelne, niemal duchowe. Tym, co odcisnęło piętno na Francie był charakter Helen. Spokojny, zdecydowany sposób podchodzenia do świata i tendencja do kierowania własnym losem wbrew wszystkiemu, co niesie ze sobą życie. Chęć walki o własne szczęście i dążenie do zwycięstwa.

Lecz tam, gdzie siła Helen stapiła się z pewną melancholią przechodzącą w smutek, tam osobowość Francie była promienna i radosna. Po ojcu odziedziczyła kreatywność. Wszyscy mówili, że jej geniusz do cyfr i działań matematycznych wypływał z talentu Maca jako wynalazcy przeróżnych „gadżetów” i projektanta rozmaitych ulepszeń w domach i na farmach. Nie przejęła jednak jego tendencji do popadania w stan letargu. Mac był marzycielem lubiącym przesiadywać i obserwować, jak świat przesuwa się obok. Francie budowała swoje

szczęście na stałym, energicznym działaniu. W tym była nieodrodną córką swojej matki, pełną werwy, zdecydowaną, nieugiętą.

Mac myślał niekiedy z ojcowską dumą, że być może Francie otrzymała po obojgu rodzicach to, co w nich najlepsze, a oszczędzono jej ich słabostek.

Takie właśnie optymistyczne myśli powstrzymywały go od popadania w rozpacz, kiedy patrzył w tych dniach na żonę i córkę. Helen z każdym dniem robiła się słabsza i chudsza. Poranny rytuał stawiania jej na wadze stał się koszmarem, odbierającym mu niemal całą odwagę do stawienia czoła reszcie dnia. Z każdym tygodniem w jej oczach widniało więcej bólu, bólu, którego nie wyrażała słowami, bólu, który brał się bardziej ze smutku spowodowanego nieuchronną koniecznością opuszczenia rodziny, aniżeli z fizycznych męczarni, które tak dzielnie znosiła.

Jedynie skupiając się na Francie i upewniając się o jej sile, która krzepła w walce z czasem i uporczywym smutkiem, Mac był w stanie obserwować agonię Helen. Dzięki niej czuł, że zdoła znieść fakt, iż przeżyje żonę i sam będzie musiał dokończyć dzieła wychowania córki.

Spojrzał teraz na Francie. Leżąc w milczeniu na dywaniku, zdawała się wyczuwać jego dylemat. Podniosła głowę i uśmiechnęła się. Z wysiłkiem posłał jej ledwo widoczne mrugnięcie, będące zawsze oznaką dobrego humoru i łączącego ich koleżeństwa.

Podziwiał ją tak bardzo, jak podziwiał Helen. Ale nie mógł przestać się o nią martwić. Pomimo promiennych uśmiechów i tryskającej energii była tylko podatną na ciosy dziewczynką. I choć była geniuszem w dziedzinie liczb, nie posiadała naturalnego oręża przeciw ludzkiemu okrucieństwu czy nieuczciwości świata. Potwierdził to jej samotny, nieśmiały status w nacechowanym rywalizacją światku szkoły średniej.

Zaszczepiona jej przez Maca pewna doza romantyzmu też nie stanowiła najlepszej obrony przed podstępami, do jakich byli zdolni napaleni faceci. Tak, uroda mogła ją wystawić na bolesne próby, o których Mac nie chciał nawet myśleć.

Świadomość, że ktoś mógłby skrzywdzić jego ukochane dziecko, była dla Maca nie do zniesienia. A Francie wyczuwała to w nim od lat i wypracowała specjalnie dla niego uspokajający, niemal matczyzny uśmiech, mający być lekarstwem na jego obawy.

Lecz teraz miała zostać skrzywdzona jak nigdy dotąd. A Mac nie mógł zrobić nic, by temu zaradzić, by ją przed tym ochronić. Ponieważ i jego własny świat miał niebawem, wraz z odejściem Helen, runąć w gruzy.

Przeniósł wzrok z umierającej matki na dorastającą córkę, będącą nadal zaledwie embrionem dorosłej kobiety. Czym Francie przyplaci odejście Helen? Co z niej wyrośnie, kiedy naturalna więź między córką a matką zostanie rozerwana przez śmierć? Czy ukryje ból i rozczarowanie pod promiennym uśmiechem tak, jak Helen ukrywała je pod pogodną powierzchownością? Czy też wycofa się w niedostępną dla innych krainę swego intelektu, podobnie jak Mac chował się w niewidocznym świecie własnych marzeń?

Któż może przewidzieć, co się z nią stanie po wkroczeniu na niebezpieczną ścieżkę prowadzącą ku dorosłości? Mac nie wiedział, nie był w stanie przewidzieć. Nie mógł jej ochronić.

Z drugiej strony, Francie była odważna i łatwo się przystosowywała. Wrodzony upór już nieraz dopomógł jej zdystansować się od bólu i rozczarowań i stawić czoła trudnym wyzwaniom z wiarą, jakiej ani ojciec, ani matka nigdy naprawdę nie posiadali.

Urodziła się, żeby być szczęśliwą. I zdawała się mieć tego świadomość i być przygotowaną na zwalczanie nieszczęścia wszelkimi środkami swego genialnego umysłu i prężnej osobowości. Być może dzięki temu znajdzie własne rozwiązanie przerażającego dylematu: jak żyć.

Pomimo tych optymistycznych myśli Macowi było ciężko na sercu. Niebawem zostanie mu odebrane jedyne miejsce na ziemi, będące od zawsze jego naturalnym środowiskiem, ten dom i serce Helen. Zastanawiał się, czy on sam może być dla Francie rodziną, kiedy Helen odejdzie. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał stawić czoła takiemu wyzwaniu.

Postanowił wykrzesać z siebie siły, by pomóc córce uporać się z przyszłością. Podobnie jak dziergany teraz przez Helen sweter, będzie czekał, aż Francie dorośnie do włożenia go, ostatnie i najlepsze siły Maca będą czekać na córkę jako azyl i dowód miłości.

Helen ponownie zerknęła na niego znad robótki i dostrzegła wyraz, z jakim patrzył na córkę. Ich oczy spotkały się i Mac wiedział, że ona zrozumiała. Na krótką, lecz cenną chwilę jego troski przybladły. Czuł, że miłość połączyła ich ze sobą nawzajem i z Francie.

Potem ciałem Helen znów zawładnął ból i żeby ukryć zniekształcone cierpieniem rysy pochylała się nad robótką. Czytająca na podłodze między rodzicami dziewczynka nie zauważyła niczego. W jej delikatnym ciałku młodość i nadzieja śpiewały swoją odwieczną pieśń. A w sercu przyglądającego się jej ojca nadzieja i rozpacz toczyły walkę na śmierć i życie.

12 stycznia Francie wyjechała do Europy.

W głównej siedzibie Magnus-France, największej filii Magnusa w Europie, założono dla niej biuro. Z tego centrum dowodzenia w Paryżu miała osobiście nadzorować prace nad zainstalowaniem trzech głównych komputerów: na miejscu, w Lozannie i w Londynie. W jej gestii leżało uruchomienie komputerów, zatrudnienie i przeszkolenie operatorów i doprowadzenie całej sieci do funkcjonowania przed przypadającym na jesień ostatecznym terminem zakończenia prac.

Przerażona takim ogromem odpowiedzialności, Francie od początku stycznia niecierpliwie czekała na wyjazd.

Chciała jak najszybciej opuścić Nowy Jork.

Znaleźć się z dala od Nowego Jorku i od Jacka Magnusa.

Te dwa tygodnie po przyjęciu na cześć Gretchen minęły jak sen. Francie pracowała do późna, dzieląc czas pomiędzy wstępną korespondencją z łącznikami w Europie, a wyjazdy do Armonk, gdzie spotykała się z przedstawicielami IBM w celu przedyskutowania wymogów technicznych trzech głównych komputerów, które w najbliższych miesiącach miały być zainstalowane w Europie.

Jej dni wypełnione były tysiącami szczegółów, które absorbowwały umysł, nie pozostawiając miejsca na myśli o czymkolwiek innym, jak tylko stojącym przed nią ogromie zadań.

Lecz noce były męczarnią. Co wieczór, kiedy leżała już w łóżku, kłopoty całego dnia odpływały jeden po drugim usuwane w cień wizją Jacka Magnusa. Jego obraz uporczywie jawił się pod przymkniętymi powiekami, uniemożliwiając zaśnięcie.

Przypominała sobie każde słowo Jacka wypowiedziane podczas przyjęcia, każdy jego uśmiech i gest. Przywoływała do pamięci dziwną, gorzką szczerłość, z jaką mówił o swojej rodzinie, niemal ojcowską łagodność, z jaką traktował Gretchen, choć ta była jego starszą siostrą i troskę o Julie, która na oczach Francie zalała się w trupa.

Ciągle miała przed oczyma elegancki garnitur, który miał na sobie tamtego wieczoru, jego opaloną twarz i sposób, w jaki się uśmiechał, przedstawiając ją gościom i członkom rodziny. Wspomnienie rzucanych jej przez cały wieczór ukradkowych spojrzeń przyprawiało ją o mimowolny dreszcz. Wszystko to tkwiło w jej pamięci z nienaturalną ostrością.

A ciąg tych obrazów prowadził nieuchronnie do gwałtownego, niespodziewanego momentu intymności w ramionach Jacka, ponad głowami uczestników przyjęcia, w małym, ukrytym przed ich wzrokiem kąciku, gdzie on bawił się dawno temu jako psotny chłopiec.

Wspomnienie tamtego pocałunku nie dawało Francie spokoju. Nigdy przedtem nie doświadczyła niczego podobnego. Kiedy błyszczący świat Antona Magnusa rozpostarł się pod ich stopami jak teren oglądany nocą w świetle błyskawic, wydawało się, jakby cała jego siła krążyła w żyłach Jacka, w jego wargach, języku i palcach, udzielając się także jej i rozpalając ją do białości. Czuła, że przegrywa siebie, traci kontrolę w sposób, o jakim nigdy jej się nawet nie śniło.

Nawet teraz czuła jeszcze jego smak, twardość ciała i gwałtowność przyciągających ją rąk. Na myśl o jękach ekstazy, jakie wyrwały się wówczas z jej gardła, poczuła zawrót głowy.

Niezaprzeczalnie kontakt z jej ciałem sprawił i jemu przyjemność. Odczuł też niewątpliwie, że i jej jego pieczyta nie była wstrętne ani nawet obojętne. Świadczył o tym niedwuznacznie paroksyzm rozkoszy, który wstrząsnął nią od stóp do głów. Własne ciało splątało jej figła. Została wzięta przez zaskoczenie jak dziewczynka, która odkrywa swoją kobiecość, zanim jeszcze jest do niej gotowa. I ta właśnie kobiecość oddała się Jackowi, nim Francie zdążyła ją zmierzyć, wypróbować i ściągnąć jej cugle.

Przypomniała sobie swoje idiotyczne, wstydlive słowa: „jestem staroświecką dziewczyną” i przeklinała ich smarkatą niewinność nie mniej niż gorące, fizyczne poddanie się w ramionach Jacka. Co on teraz o niej myśli? Czy uśmiecha się na wspomnienie jej rozpasanej zmysłowości stojącej w sprzeczności z otwartą aluzją na temat dziewictwa? A może sądzi, że uległość Francie była zapłatą za zainteresowanie jej projektem?

Ta myśl napelniła ją smutkiem. Była dumną kobietą i od samego początku w Magnusie liczyła wyłącznie na siebie. Choć

wdzięczna była Jackowi za pomoc w przeforsowaniu jej planu, desperacko pragnęła sama dźwigać swój ciężar, być sądzoną według zasług i dokonań, a nie sponsorowaną przez kogoś innego. Świadomość, że Jack mógłby interpretować sobie jej przychyłność jako symboliczną spłatę długu wobec niego lub jako dziewczęce zaślepienie jego potęgą, była dla niej nie do zniesienia.

Wmówiła jednak sobie, że ostatecznie to, co się wydarzyło, było niczym więcej jak tylko pocałunkiem dwojga dorosłych ludzi. Nic z tego nie wynikało. Zupełnie nic.

Pomyślała o czarującej, nieśmiałej Belindzie Devereaux. Wszystko wskazywało na to, że zgodnie z wolą rodziny zostanie ona żoną Jacka. Już to jedno dowodziło, że Jack ma własne życie i że dla Francie nie ma w nim miejsca. A jeśli, jak głosiły plotki, istniał jakiś konflikt pomiędzy Jackiem a jego ojcem na tle tego małżeństwa, to z pewnością nie dotyczył on Francie. Nie bardziej w każdym razie niż inne konflikty, które zdawały się wyciekać spod dostojnej powłoki okrywającej rodzinę Magnusów.

Wszystko to, powiedziała sobie twardo, nie jest jej sprawą. Powinna więc zbagatelizować to, co zaszło między nią a Jackiem i skupić się na ciężkiej, czekającej ją pracy.

Mając te wnioski na uwadze, Francie unikała Jacka przez ostatnie dwa tygodnie, komunikując się z nim jedynie za pomocą notatek służbowych, w których informowała go o postępach swoich przygotowań do wyjazdu. I, ku jej zaskoczeniu, a także skrywanemu rozczarowaniu, on przyjął warunki tej niepisanej umowy i nie szukał kontaktu z nią.

Podczas samotnych wieczorów w domu spoglądała mimowolnie na telefon. A kiedy nie dzwonił, przeklinała jego uparte milczenie i własne, dziecinne wyczekiwanie.

Nie mogła się doczekać wyjazdu. W jakiś ironiczny sposób nawet nie znana Europa będzie teraz dla niej pewniejszym gruntem niż biura Magnusa, gdzie Jack był oddalony zaledwie o kilka pięter lub o jedną rozmowę telefoniczną i gdzie fantazje na jego temat stwarzały stałe napięcie dla jej już i tak starganych nerwów.

Tak więc czyniła pospieszne przygotowania do podróży. Lecz kiedy zdrowy rozsądek ponaglał ją, by wsiadła w samolot tak szybko jak to tylko możliwe, jej ciało rwało się do tego, by podnieść słuchawkę, usłyszeć głos Jacka, znaleźć jakiś pretekst do spotkania z nim sam na sam i złapania go w szpony swego pożądania. Jedynym ratunkiem była ucieczka.

Nie było ani minuty do stracenia.

Lot do Paryża trwał dziewięć godzin. Francie była zbyt przejęta, żeby spać w samolocie, więc przez całą podróż studiowała gramatykę holenderską i przemyśliwała nad szczegółami swojego programu komputerowego.

Kiedy o szóstej rano samolot wylądował w Paryżu, była wyczerpana, lecz podniecenie spowodowane stojącym przed nią wyzwaniem i blaskiem Europy niwelowało zmęczenie.

Czekała właśnie na swój bagaż, kiedy dziwnie znajomy głos zagadnął do niej po francusku.

— *Mile. Bollinger? Vous permettez...*¹

Odwróciła się i ujrzała przystojnego Francuza w nieskazitelnie skrojonym garniturze i płaszczu, wyciągającego rękę na powitanie i uśmiechającego się promiennie.

— Ja... jak pan mnie rozpoznał? — spytała zdumiona.

— *Moi nowojorscy „szpiedzy” uprzedzili mnie, że jest pani uderzająco piękna* — odpowiedział po angielsku. —

Pani pozwoli, że się przedstawię. Roland de Leumes.

— A więc to pan! — uśmiechnęła się.

Z Rolandem de Leumes komunikowała się listownie od czasu, gdy Jack skontaktował ją z Magnus-France. Był on wiceprezesem francuskiej korporacji, a dla niej nieocenionym przewodnikiem we wstępnej orientacji w nowym otoczeniu.

Teraz zrozumiała, dlaczego jego głos zabrzmiał tak znajomo. Słyszała go dwukrotnie przez telefon, kiedy dzwoniła do Magnus-France, by potwierdzić szczegóły swego przyjazdu.

Roland de Leumes uosabiał wszystko to, czego amerykańskie dziewczęta oczekiwały od Francuza. Opalony, elegancki, młodzieńczy i wysportowany czterdziestopięciolatek, miał ciemne włosy z odrobiną siwizny na skroniach i ciemne oczy, w których kryła się zarówno senna zmysłowość, jak i wielkie ciepło oraz inteligencja. Mówił doskonale po angielsku, z ledwo zauważalnym obcym akcentem i traktował Francie z delikatnością i pewnością siebie, wynikającą z wielopokoleniowego dobrego pochodzenia.

Należącym do firmy Citroënem zawiózł Francie do atrakcyjnego apartamentu na lewym brzegu Sekwany, przy ulicy du Cherche-Midi, gdzie miała mieszkać podczas pobytu w Europie. Budynek był czarujący i bardzo stary. Ogromne drzwi prowadziły na dziedziniec z lożą konsjerżki i małym trawni-

¹ **Pani pozwoli...**

kiem, pośrodku którego na kamiennym cokole umieszczona była statuetka kobiety-sfinksa.

Apartament mieścił się na najwyższym piętrze. Winda była maleńka i Roland musiał zjeżdżać dwukrotnie, żeby przetransportować cały bagaż Francie na górę. Samo mieszkanie było cudowne. Niegdyś pełniło funkcję atelier jakiegoś artysty, miało więc ponad trzymetrowej wysokości okna, za którymi widniały naznaczone małymi kominami dachy Paryża, a kilka przecznic dalej pyszniły się bliźniacze kopuły kościoła Saint-Sulpice. Widok był zachwycający i zdawał się zawierać w sobie kwintesencję Paryża.

Kiedy wszystkie torby Francie zostały bezpiecznie ulokowane w salonie, Roland de Leaumes zaczął się zbierać do wyjścia.

— Bardzo się cieszę, że dotarła pani bez przeszkód — powiedział.

— A pan był niezwykle uprzejmy, odbierając mnie z lotniska. Nie miałam zamiaru zrywać pana tak wcześnie rano.

— To była przyjemność. A teraz zapewne życzy sobie pani trochę odpocząć. Mógłbym potem do pani zadzwonić.

Francie potrząsnęła energicznie głową.

— Chciałabym natychmiast zabrać się do pracy. Nie jestem wcale zmęczona.

— Jest pani tego zupełnie pewna? Różnica czasu przy międzykontynentalnych lotach może być bardzo wyczerpująca.

— Jestem pewna.

— A zatem, doskonale. Powiadomię moich kolegów, że mają się spotkać z panią na lunchu. Powiedzmy, o pierwszej. Przyjadę po panią osobiście.

— Brzmi to cudownie!

Następne trzy godziny Francie spędziła na przeglądaniu przywiezionych ze sobą materiałów i zastanawianiu się, od czego najlepiej zacząć rozmowę z francuskimi urzędnikami. Później wzięła prysznic, wyszczotkowała starannie włosy oraz włożyła konserwatywną spódnicę i bluzkę, wybrane specjalnie na tę okazję.

Roland stawił się po nią punktualnie o pierwszej.

— Proszę się nie zrażać, jeśli początkowo niektórzy moi koledzy nie będą do pani zbyt przekonani — ostrzegł ją, kiedy zbliżali się do wyznaczonej na spotkanie restauracji. — Musi pani pamiętać, że nasz kraj ciągle jeszcze dochodzi do siebie po wojnie. Poza tym nie jesteśmy tacy nieustraszeni jak

wy, Amerykanie, jeśli chodzi o wprowadzanie nowych metod w biznesie.

Zatrzymał samochód, wysiadł i z uśmiechem otworzył drzwi dla Francie.

— Tak czy inaczej, pani wdzięk i znajomość rzeczy szybko rozproszą ich obiekcje — podsumował.

Nie było to jednak takie proste. Zrozumiała to, jak tylko zasiadła do lunchu z ośmioma pełnymi rezerwy Francuzami, których chłodna postawa zdradzała jawną niechęć do wdzierającej się do ich świata intruzki.

— *Mademoiselle* — witali ją kolejno, ściskając jej dłoń bez śladu uśmiechu na twarzach.

— *Tr&s content...*¹

— *Enchanti...*²

Potem, bez dalszych ceregieli, rozpoczął się sąd Boży.

Francie stwierdziła z zaskoczeniem, że opór Francuzów wobec jej planu jest jeszcze bardziej zacięty niż ze strony Zarządu w Nowym Jorku. Co gorsza, kierowane pod jej adresem pytania zadawane były szybko w idiomatycznym francuskim, przez obcokrajowców, którzy najwyraźniej poddawali ją próbie.

— *Si Mademoiselle avait bien voulu se renseigner sur les besoins de l'Europe...*³ — powiedział jeden z nich protekcjonalnym tonem.

— *R faudrait quand meme considerer les convenances...** — stwierdził inny.

— *L'ordinateur est une machine infernale, entiirement inouie dans le commerce*⁵ — obstawał trzeci, marszcząc brwi i wydmuchując dym ze swojego gitane'a.

Delikatnie rzecz ujmując, szefowie Magnus-France byli niebywale ostrożni co do nowego planu komputerowego, który miał im być narzucony przez budzącą lęk macierzystą korporację, a jeszcze bardziej podejrzliwi w stosunku do młodej, niedoświadczonej dzierlatki, którą obarczono tak kolosalną odpowiedzialnością.

¹ **Bardzo mi miło...**

² **Jestem zachwycony...**

³ **Jeżeli zechciałaby pani zasięgnąć informacji na temat europejskich potrzeb w tej dziedzinie...**

* **Należałoby jednak wziąć pod uwagę uwarunkowania...** ⁵ **Komputer jest szatańskim wynalazkiem, zupełnie nie nadającym się do prowadzenia działalności handlowej.**

Francie usiłowała reagować na ich zastrzeżenia spokojnymi, rozsądnymi wyjaśnieniami na temat szczegółów systemu, udogodnień, jakie ze sobą niesie. Zapewniła ich też, że wprowadzenie go pociągnie za sobą jedynie minimalne zmiany w rutynie ich pracy. Zdawała sobie sprawę, że w postępowaniu z nimi najważniejszy jest takt, starała się więc nie zrazić rozmówców, okazując im sympatię i chęć współpracy.

Z ogromną konsternacją odkryła, że w jej płynnym francuskim brakuje niektórych technicznych wyrażeń, koniecznych do zrozumiałego opisanie zasad techniki komputerowej. W toku składanych przez siebie wyjaśnień niejednokrotnie łapała się na tym, że nie może znaleźć odpowiednich słów. Zmęczenie całonocnym lotem dawało się we znaki, kiedy próbowała sformułować odpowiedź w obcym języku. Ciężki, gryzący dym z francuskich papierosów szczypał ją w oczy, a duszna atmosfera restauracji zaczęła przybierać mgliste, nierealne formy.

Na szczęście z pomocą przyszedł jej Roland de Leaumes. Posiadał cały podstawowy zasób słownictwa dotyczący tego co Francuzi nazywają *les ordinateurs*¹ i ratował ją nie tylko terminami technicznymi, lecz także własnymi wyjaśnieniami, które miały na celu wzbudzić zaufanie i uspokoić podnieconych kolegów.

Pod koniec spotkania osiągnięto coś na kształt sytuacji patowej. Francie udało się, co prawda, zaimponować francuskim partnerom fachowością i przyjaznym nastawieniem, lecz oni ze swej strony przyjęli postawę „poczekamy, zobaczymy”, nieskłonni uwierzyć w komputeryzację, dopóki nie sprawdzi się ona w praktyce.

W końcu zaczęli się żegnać. Każdy z nich skomplementował jej doskonałą znajomość francuskiego, co ją zaskoczyło, gdyż mówiąc do nich, przez cały czas odnosiła wrażenie, że ma usta pełne kamieni. Uśmiechnęła się w podziękowaniu i obiecała wkrótce spotkać się z nimi ponownie.

— Dziękuję, że wspierał mnie pan w tej batalii — zwróciła się do Rolanda w drodze powrotnej. — Głupio z mojej strony, że nie doszlifowałam żargonu technicznego.

— Wręcz przeciwnie — uśmiechnął się. — Pani francuski jest wspaniały. A te potknięcia na słownictwie technicznym dodały pani jedynie wdzięku. Niech mi pani wierzy, moi koledzy zrozumieli, że jest pani poważną osobą. Spisała się pani cudownie. Ale teraz musi pani odpocząć.

¹ komputery

Jego przystojna twarz zdradzała troskę widokiem jej wyczerpania.

— Spotkamy się jutro w biurze — powiedziała na pożegnanie, kiedy szarmancko ucałował jej dłoń pod drzwiami domu przy du Cherche-Midi.

— Czekam z niecierpliwością.

Upewnił się, że konsjerżka wpuści ją do środka, po czym pomachał jej na do widzenia i odjechał.

Francie wjechała windą na górę i usiadła na łóżku. Po popołudniowych wysiłkach dzwoniło jej w uszach. Pomimo zmęczenia czuła jednak, że nie zaśnie.

Stała przy oknie, patrząc na dachy domów. W słońcu późnego popołudnia Lewy Brzeg wyglądał fantastycznie niezajomo i zapraszająco. Pchnięta impulsem zdecydowała, że zamiast do łóżka, uda się na penetrację okolicy.

Według przewodnika znajdowała się o kilka przecznic od Bulwaru Saint Germain i od Dzielnicy Łacińskiej.

Zakończy dzień relaksującą przechadzką, później, po lekkim obiedzie, położy się i prześpi aż do jutra.

Zdjęła formalny strój, włożyła spodnie i sweter. Wyjęła dużą torebkę, zapakowała do niej aparat fotograficzny i już była gotowa do wyjścia.

Raptem ogarnęło ją dziwne rozleniwienie, podobne do tego, jakie odczuwała podczas lunchu. Teraz jednak było silniejsze, rozprzestrzeniało się na wszystkie zmysły, osłabiając wolę opuszczenia przytulnego pokoju. Położyła się na chwilę z myślą, że moment odpoczynku przed spacerem dobrze jej zrobi.

Zamknęła oczy. Przez ułamek sekundy pod jej przymkniętymi powiekami zamajaczyła twarz Jacka Magnusa.

Jednak teraz, kiedy dzielił ich ocean, wydawała się bardzo odległa i nierealna.

A mimo to jego usta przybliżały się, ramiona obejmowały ją w uścisku, a ostry, męski zapach, który rozpałił ją tamtej nocy na przyjęciu znów przenikał jej zmysły...

Z tym zakazanym obrazem, wciskającym się w najgłębsze zakątki jej marzeń, Francie zapadła w ciężki sen.

Kiedy się obudziła, było po północy. Ulice za oknami były ciche i puste. Całe sąsiedztwo spało.

Przez długą chwilę leżała oszołomiona, niezdolna się poruszyć. Uświadomiła sobie, że cały czas śniła o Jacku i że odległość trzech tysięcy mil nie wystarczała, by przepędzić go z myśli.

W końcu usiadła, próbując wziąć się w garść. Ciągłe czuła się otumaniona i kręciło jej się w głowie, lecz była już zupełnie rozbudzona i wiedziała, że nie zaśnie ponownie. Wewnętrzny zegar jej ciała był jeszcze daleki od przestawienia się na czas paryski.

Tak więc zabrała się do pracy. Wyjęła część papierów i zaczęła je porządkować. Skreśliła też po francusku notatkę służbową, z zamiarem przesłania jej rano kolegom. Myślała nad skompletowaniem nowego zespołu, który miałby z nią pracować.

Po paru godzinach, kiedy uświadomiła sobie, że nowy dzień przyniesie ze sobą więcej trudów, próbowała się zdrzemnąć, lecz bez powodzenia. I tak zeszła jej cała noc.

Punktualnie o ósmej była już w siedzibie Magnus-France przy Bulwarze Montparnasse, porządkując rzeczy w swoim nowym biurze.

Jej sekretarka, atrakcyjna, młoda Francuzka o imieniu Antoinette, po ciepłym powitaniu oprowadziła ją po budynku.

— Czy jeszcze coś? — spytała, kiedy Francie przygotowywała się, żeby zasiać do pracy.

— Tak, jedna rzecz, Antoinette. Chciałabym, żebyś poszła na Sorbonę i wyszukała dla mnie te artykuły na temat komputerów — wręczyła dziewczynie długą, przygotowaną w nocy listę. — Większość z nich, o ile nie wszystkie, jest łatwo dostępna w publikacjach technicznych. Wypisałam też kilka czasopism w holenderskim, hiszpańskim, niemieckim, włoskim i portugalskim. Postaraj się do nich dotrzeć. Nie musisz się spieszyć. Będę cię potrzebowała dopiero po południu.

— *Oui, mademoiselle* — odpowiedziała zdumiona dziewczyna.

Francie uśmiechnęła się i usiadła przy biurku. To tyle, jeśli chodzi o żargon komputerowy w językach obcych, pomyślała.

Po tamtym pierwszym zwariowanym popołudniu w Paryżu, Francie nigdy tak naprawdę nie wróciła do normalnego, biologicznego rytmu dnia i nocy. Jej wewnętrzny „rozkład jazdy” był ustawicznie zakłócany przez inność Europy i presję nałożonych na siebie obowiązków.

Będąc jednak w głębi duszy żołnierką, Francie wykorzystywała całe to czasowe poplątanie dla własnych celów. Praco-

wała do późna w nocy, kiedy Europejczycy już spali. Odwalała całe góry roboty, kiedy w pobliżu nie było żywego ducha. Zasypiała dopiero wtedy, gdy ogarniało ją zmęczenie.

Bardzo szybko założyła w paryskiej siedzibie skutecznie funkcjonujące komputerowe biuro koordynacji. To właśnie tu zamontowano pierwszy IBM 650, a Francie osobiście nadzorowała instalatorów i operatorów.

Potem wyruszyła do Lozanny i Londynu, by zainstalować tam dwa pozostałe komputery, a także złożyła dość długie wizyty w Rzymie, Madrycie, Lizbonie i Hadze, gdzie spotkała się z szefami innych filii Magnusa i krótko objaśniła im działanie systemu, podkreślając wypływające z niego korzyści.

Podczas jej nieobecności w Paryżu funkcjonowania biura doglądał w jej imieniu Roland de Leaumes. Szybko zrozumiała, że jest on dla niej zbawieniem. Choć na jego barkach spoczywała ogromna odpowiedzialność kierownicza w Magnus- France, to, jako najlepiej ze wszystkich Francuzów obeznany z techniką komputerową, znajdował czas na spotkania z jej ludźmi i dopilnowanie, żeby ci wypełniali dokładnie jej polecenia.

Francie łąpała się na tym, że dzwoni do niego niemal codziennie, by zrelacjonować mu własne postępy i usłyszeć jego sprawozdanie z sytuacji w Paryżu. W niedługim czasie uświadomiła sobie, że oczekuje dźwięku jego miłego, głębokiego głosu nie tylko po to, by usłyszeć suche fakty, lecz również dla uzyskania moralnego wsparcia. Niemał instynktownie stał się dla niej powiernikiem i obrońcą.

— *Tenez bon*¹ — reagował żartobliwie, kiedy opowiadała mu o problemach, jakie napotykała w takiej czy innej z europejskich grup. — Uszy do góry, jak mawiacie wy, Amerykanie. Nic się nie martw. Pokonasz ich w mgnieniu oka.

Francie rozpaczliwie łaknęła każdej możliwej zachęty. Zgodnie z jej wcześniejszymi obawami, nie było łatwo wytłumaczyć Europejczykom, że komputeryzacja połączeń między firmami ułatwi, a nie utrudni im życie.

Większość z odpowiedzialnych za te sprawy urzędników postrzegała komputery jako futurystyczne, elektroniczne mózgi, wypełnione złowieszczymi i tajemniczymi zespołami obwodów elektrycznych.

Urzędnicy ci, z gruntu nieufni wobec Magnus Industries, oddalanej o tysiące mil macierzystej korporacji, szybko prze-

¹ **Trzymaj się (franc.)**

nieśli to uczucie na błyskotliwą, inteligentną dziewczynę, objaśniającą im swoją innowację w ich ojczystym języku. Niekiedy Francie odnosiła wrażenie, że uważali ją za zbyt młodą, zbyt ładną i zbyt „cudzoziemską”, żeby brać ją poważnie.

Jednakże, w miarę zacieśniania kontaktów, ich podejrzliwość w stosunku do niej topniała. Natomiast o wiele gorszą sprawą był ich lodowaty brak zaufania wobec siebie nawzajem.

W Rzymie, gdzie zabrano ją na atrakcyjną wycieczką do Watykanu, Colosseum i Narodowej Galerii Sztuki Antycznej, a potem na uroczysty obiad do restauracji „Andrea”, musiała wysłuchiwać, jak niemożliwi są Hiszpanie. W Hiszpanii, podczas zwiedzania bezcennej kolekcji Velazqueza w muzeum Prado, bajkowego Escorialu i starożytnego miasta Aranjuez na Równinie Kastyljskiej, opowiadano jej, że Anglicy to barbarzyńcy, nie znający się kompletnie na nowoczesnym biznesie.

W Londynie, gdzie spędziła trzy cudowne dni, odwiedzając elegancką dzielnicę Mayfair, Muzeum Brytyjskie i ogrody w Regens Park, uprzejmi pracownicy Magnus Britain Ltd. poinformowali ją, jak beznadziejną sprawą jest konieczność prowadzenia interesów z Francuzami (z którymi przez ostatnie sześćset lat, za wyjątkiem kilku minionych dziesięcioleci, Anglicy niemal ustawicznie pozostawali w konflikcie wojennym).

Natomiast gdy wróciła do Paryża, oprowadzono ją po Dzielnicę Łacińskiej, liściastych alejkach Lasku Bulońskiego, czarujących wyspach Cité i Św. Ludwika oraz malowniczych wzgórkach Montmartre'u, mówiąc jej jednocześnie, jak trudno jest utrzymywać stosunki z Włochami, którzy kontrolują trzy ogromne firmy wydobywcze Magnusa i są bandą niecywilizowanych kanciarzy i bandytów.

Pod koniec tego pierwszego objazdu filii Francie uświadomiła sobie, jak tragiczne podziały istnieją między Europejczykami. Chociaż geograficznie ulokowani mniej więcej tak blisko siebie jak stany amerykańskie, różnili się zasadniczo podejściem do wielu spraw i patrzyli na siebie z nieufnością, niekiedy nawet wrogością, bazującą na wiekach konfliktów.

Jednakże głębia tej nieufności utwierdziła Francie w przekonaniu, że zaprojektowana przez nią sieć komputerowa będzie przełomową innowacją, zdolną zrewolucjonizować sposób prowadzenia interesów między filiami oraz zwiększyć ich zyski i produktywność.

Nawet najbardziej sceptyczny z Europejczyków, którym przedstawiła swój plan, musiał przyznać, że dla komputerów nie będą przeszkodą różnice walutowe i językowe, a w jeszcze mniejszym stopniu różnice w temperamentach i kulturze poszczególnych narodów.

Stopniowo, przez cierpliwość i takt, Francie zdobywała coraz więcej sprzymierzeńców. Niewątpliwie pomogła jej w tym znajomość języków, a także fakt, że objaśnienia wychodziły ze zmysłowych ust pod błyszczącymi oczyma, pełnymi tak zniewalającej kobiecości, jak i intelektu.

Jedyny zgrzyt w obracającym się gładko mechanizmie jej nowego życia nadszedł z kierunku, którego nie przewidziała. Z własnego serca.

Europejczycy, co do jednego, znali i bardzo poważali Jacka Magnusa! To tylko dzięki jego fachowości, niewyczerpanej energii i dyplomacji skłócone filie były w stanie tak dobrze funkcjonować przez ostatnie pięć lat. Co więcej, świadomość, że Francie posiada pełną aprobatę Jacka, była głównym powodem, dla którego w ogóle zgadzali się jej słuchać.

W rezultacie, nazwisko Jacka nie schodziło z ust ludzi, z którymi Francie pracowała. Obsypywali go pochwałami, wypytywali, co u niego słychać i kiedy zamierza przyjechać do Europy.

Myśl o ponownym spotkaniu z Jackiem napawała Francie mieszanymi odczuciami. Generalnie rzecz biorąc nie obawiała się jego przyjazdu. Chciała, aby zobaczył jej nowy system, gdy ten już będzie gotowy. Czekwała z radością na jego oko sędziego. Cieszyła się też, że stworzy coś, co go zadowoli i zrobi na nim wrażenie.

Lecz ta jej skwapliwość miała podwójny wydźwięk. Pragnęła po prostu ujrzeć go znowu, być blisko niego i być może znaleźć się w sytuacji, w której pożądanie przeważałoby nad jego wrodzoną powściągliwością, jak tamtej nocy na przyjęciu w domu jego ojca.

Francie była wściekła na siebie za te idiotyczne tęsknoty. Nie było dnia, żeby intymne miejsca jej ciała nie przypominały o sobie, domagając się jego dotyku. Noce nawiedzane były jego wizerunkiem i wspomnieniem jego uścisku.

Zastanawiała się, o czym myślał, odbierając raporty o jej poczynaniach tutaj. Czy wspominał tamten pocałunek? Czy wspomnienie to wywoływało u niego tylko uśmiech, czy też może króciutki dreszczyk pożądania?

Robiła, co mogła, by przepędzić te myśli. Wmawiała sobie, że jest niezależną, stanowiącą o sobie indywidualistką i żaden facet nie jest w stanie jednym pocałunkiem sprowadzić jej do roli tłumoka pełnego erotycznych fantazji. Niemniej jednak wiedziała, że któregoś dnia Jack zjawi się w Europie, by obejrzeć efekty jej pracy. I ten wymagany dzień stał przed oczyma jej duszy jak rozświetlony słońcem sen o grzesznej przyjemności. Usuwając na siłę ten niepokojący obraz ze świadomości, Francie rzuciła się zaciekle w wir pracy.

ROZDZIAŁ 12

Nowy Jork, 13 stycznia 1956

Julie Baker Magnus w kreacji bez ramion, na tyle prostej, by w oczach ignorantów uchodzić za zwykłą sukienkę, za to przez osoby wtajemniczone natychmiast rozpoznawanej jako bezcenny oryginał od Coco Chanel, wkroczyła do lokalu przy Trzeciej Alei, noszącego niezwykle nazwę „Ofelia”.

Była sama i niczym nie skrępowana. Przesiedziała popołudnie w swoim pokoju, czytając *Pożegnanie z bronią* i delectując się panującą w domu ciszą. Matka unikała jej w obawie, że zbyt ingerencja w jej sprawy może zakończyć się sceną podobną do tej, jaką Julie odegrała w ubiegłym tygodniu. Była to karczemna awantura, podczas której rzucała ryszotokowym słownictwem i rozbiła drogocenną wazę Wedgwooda, po czym zniknęła z domu na dwa dni i dwie noce.

Ojciec był oczywiście w pracy. Julie rozważyła najpierw pomysł złożenia wizyty Gretchen i jej małżeństwu, ale ostatecznie zrezygnowała. Nigdy, nawet za najlepszych czasów, nie czuła się dobrze w towarzystwie dużo starszej siostry. A dziecko, takie małe i bezbronne, działało jej na nerwy.

Tak więc siedziała w ciszy swego pokoju nad Hemingwayem, na przemian to uśmiechając się ze świadomego manieryzmu pisarza, to marszcząc brwi w koncentracji, gdy dostrzegała sedno tego, o czym starał się napisać. Pałała papierosa za papierosem, popijając małymi łykami zimną herbatę i otwierając co jakiś czas okno, żeby wypuścić dym, a przy okazji rzucić okiem na przechodniów na Park Avenue.

O czwartej zamknęła książkę i zaczęła nerwowo przemierzać pokój tam i z powrotem, nie mogąc zebrać myśli. Narastające w niej przez całe popołudnie napięcie doszło do punktu krytycznego. Musi się ruszyć. Musi coś zrobić. W trakcie obiadu odegrała po mistrzowsku scenę stosunkowo dobrego nastroju i zmęczenia. Gawędzacy o Gretchen i rodzinie ojciec i matka nie zauważyli, że ich córkę znów „nosi”.

Ojciec, słuchając jednym uchem narzekań matki na jakichś jej krewnych ze strony Wetherellów, zerkał na nią ukradkiem. Może stary zbereźnik miał znów jakieś nieczne zamiary?

Kiedy obiad dobiegł końca, Julie udała się do swojego pokoju, włożyła tę sukienkę, dobrała do niej kolczyki, naszyjnik i bransoletkę i wyszła bocznym wyjściem nie mówiąc nawet nikomu dobranoc. Przespacerowała się do rogu 65 Ulicy, złapała taksówkę i kazała kierowcy jechać w kierunku centrum. Przez jakiś czas jeździli w kółko, aż dotarli do tej raczej nieciekawej części Trzeciej Alei, gdzie zatrzymali się przed dość obskurnie wyglądającą knajpką.

Teraz siedziała przy barze, popijając wytrawne martini i obserwując bywalców w umieszczonym nad barem lustrze. Julie bawiła się w grę, którą wymyśliła dopiero niedawno. Polegała ona na tym, że studiując odbijające się w lustrze postacie stałych bywalców, analizując ich zachowania i podsłuchując urywki rozmów, starała się odgadnąć, który z nich jako pierwszy zdobędzie się na odwagę, by do niej podejść. Celowo ubierała się tak, by intrygować przeciętnych facetów. Robiła z siebie przynętę, lecz nie dla pierwszego lepszego, ale dla mężczyzny dostatecznie zuchwałego lub zdesperowanego, żeby ją poderwać.

Wiedziała, że jedynie kogoś odrobinę niezwykłego lub szalonego stać będzie na oderwanie się od tego tłumu i wyjście jej naprzeciw. Tak więc siedziała i gapiała się beznamiętnie w lustro, czekając aż z półmroku wyłoni się jej zaczarowany książę.

Zobaczyła go, kiedy był już niecałe trzy metry od niej. Zaskoczył ją, wynurzając się z kąta, którego nie widziała w lustrze. Lecz rozpoznała po jego chodzie i spojrzeniu, że to mężczyzna dla niej.

— Postawić ci drinka? — zagadnął poufale z brooklińskim akcentem, niskim, słodkim głosem, w którym czaiło się coś niebezpiecznego.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Był młody i cholernie przystojny. Facet po dwudziestce, ze starannie ufryzowanymi, odrobinę przydługimi włosami. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę i niedbale narzuconą na ramiona sportową marynarkę. Podejrzewała, że trenuje podnoszenie ciężarów.

Silny nadgarstek opasywała bransoleta z łańcuszka. Wydawało jej się, że na przedramieniu zauważyła tatuaż. W nie-zwykle ciemnych oczach tlił się ogień i pobłyskiwała arogancja. Miał długie, piękne rzęsy, tak długie, że dodawały jakiegoś dziecinnego uroku opalonej twarzy, choć w gruncie rzeczy służyły jedynie podkreśleniu w przewrotny sposób wybujałej męskości.

Zaintrygowana jego zwierzęcą gotowością, spojrzała mu prosto w oczy.

— Mam już drinka.

Zmysłowe usta mężczyzny wykrzywił uśmiech. Czarne oczy patrzyły na nią porozumiewawczo. Skrzyżował ramiona na piersi. Ten nonszalancki gest miał jej dać możliwość oceny walorów jego ciała, czego nie omieszkała uczynić. Pod wyjątkowo obcisłymi spodniami rysowała się wyraźnie jego męskość. Nie ulegało wątpliwości, że lubił się nią chępić.

— A zatem, przespacerujmy się — zaproponował nie zbity z tropu jej ripostą.

— A dokąd pójdziemy? — spytała pozornie obojętnie, mierząc go od góry do dołu.

— Do ciebie. Do mnie — roześmiał się. — To bez znaczenia.

— Masz bardzo wysokie mniemanie o sobie, prawda? — Julie nie przestawała sączyć martini.

— Inwestuję tylko w to, co może mi przynieść korzyści — odparł bez wahania.

Najwyraźniej nie dawał zbić się z pantafyku. W umiejętności odgryzania się stanowił dla niej godnego przeciwnika.

Pod szorstką powierzchownością kryła się inteligencja. Wyraz jego oczu upewnił ją o tym.

Inteligentny, lecz niewykształcony. Gładki, seksowny, ale nie wyrafinowany.

Jak dotąd nie popełnił żadnego błędu gramatycznego. Zdążyła już zauważyć, że szczycił się elegancją swojego sposobu bycia. Chociaż jego maniera wykreowana została z myślą o imponowaniu kobietom egzystującym o dziesięć klas niżej niż ona i chociaż zdradzała ograniczenie horyzontów i ambicji, to ujawniała przepyszne męskie ciało i dorównujące jego wdziękowi ego.

— Dlaczego uważasz, że szukam towarzystwa? — spytała.

— Och, powiedziała mi to mała ptaszyna — odparł. Myślała przez chwilę, a potem popatrzyła na niego badawczo.

— Ufasz swojemu instynktowi, co?

— A ty nie? — odciął się dwuznacznie.

— Marcel Proust kiedyś napisał, że życie jest nieustającą pomyłką.

Roześmiał się. Następnie pochylił się do jej ucha i spytał konspiracyjnym szeptem.

— Czy on jest tutaj? — słowem tym towarzyszyło szelmowskie mrugnięcie.

Odniesienie do literatury nie zbiło go absolutnie z tropu. Przeciwnie, zdawał się tym doskonale bawić.

Mimo woli Julie uśmiechnęła się. Obserwował, jak jej usta zmieniają kształt. Podziwiał śliczną buzię i zapach kosztownych perfum.

— Tak czy inaczej, ty się nie pomyliłaś — powiedział. — Przyszłaś we właściwe miejsce.

Pod rozpiętą koszulą widziała owłosioną pierś i czuła ostry, pociągający zapach, a także siłę czyhającą w twardych mięśniach. Zaczęła się zastanawiać, czy skórka warta jest wyprawki.

Postanowiła się przekonać.

— Nie możemy pójść do mnie — oświadczyła.

— Tak to zwykle bywa — błysnął zębami w uśmiechu. — Ale nie martw się. Świat pełen jest przytulnych kątek.

Pomógł jej zejść ze stołka. Jego uchwyt był stanowczy, władczy. Dotykane przez niego jej łokcie było w pewien sposób aktem bardziej intymnym, niż pójście do łóżka z większością znanych jej mężczyzn.

Kiedy dochodzili do drzwi, zatrzymała się.

— Nie wiem, jak się nazywasz.

— Johnny — wyciągnął rękę. — Johnny Marrante. Do usług.

Znów zdawał się pokpiwać z niej swoim tupetem. Tak, był bystry, musiała mu to oddać.

— A ty? — spytał, nadal trzymając jej dłoń. Zawahała się.

— Mniejsza o to, dziecinko — uśmiechnął się ironicznie na widok jej zmieszania. — Nie męcz się wymyślaniem imion na mój użytek. Masz dziś wieczorem ważniejsze sprawy na głowie.

— Mów mi Julie — powiedziała na to, jakby zawstydzona swoim tchórzostwem.

— Ładne imię — jego uśmiezek świadczył dobitnie, że nie bardzo w nie wierzy. No, to chodźmy, Kopciuszk.

Mamy tylko dwie godziny do czasu, kiedy powóz na powrót zamieni się w dynię.

W jakiś niewytłumaczalny sposób słowo „dynia” w jego ustach dopowiedziało jej ostatnią rzecz, jaką jeszcze chciała wiedzieć.

On będzie dobry. Bardzo dobry.

Nie zawiódł jej.

Zabrał ją własnym samochodem do swojego mieszkania, oddalonego zaledwie o kilka minut jazdy od lokalu. Było bogato udekorowane wiszącymi na ścianach kobiecymi aktami i akcesoriami mającymi sugerować, iż gospodarz jest prawdziwym pozeraczem serc niewieścich. Na całość składał się salonik, mała kuchnia i duża sypialnia z królewskim łóżem.

Nie zdążyła przyjrzeć się dokładniej salonowi, ponieważ zgasił światło niemal natychmiast po zamknięciu drzwi.

Objął ją od tyłu ramieniem tuż poniżej piersi i przyciągnął jej pośladki do swojego seksu, przesuwał delikatnie nosem po jej karku.

Julie pomyślała, że to dziwny uścisk. Stał za nią, unieruchamiając ją potężnym ramieniem i całując miękką skórę poniżej policzka. Z kolei jego wolna ręka ześliznęła się po jej biodrze. W jego oddechu wyczuła zapach burbona i tytoniu. Ręka przesuwała się gładko, jakby triumfująco po drobnym, krągłym biodrze, a twarde członek spoczywał w miękkim wgłębieniu między jej pośladkami. Nie popychał, nie pocierał, ale po prostu spoczywał tam, dając tym świadectwo swej obecności i przeznaczenia.

Mimo woli z westchnieniem przymknęła oczy, czując w sobie uległość, która już była o wiele głębsza, niż wszystko co zamierzała odczuwać dzisiaj wieczoru.

Wiedział, że już ją ma i jawnie delectował się tą przewagą. Trzymając ją za ramię, krok po kroku przesuwał się w kierunku sypialni. Ustawił ją przed sobą i bez pośpiechu, metodycznie, zaczął rozbierać. Najpierw sukienka. Złożył ją pieczołowicie na krześle. To samo zrobił z bielizną. Dotyk jedwabnych fatałaszków sprawiał mu wyraźną przyjemność.

Zanim się spostrzegła, była naga, a on znów stał za jej plecami. Niewidzącymi oczyma patrzyła przez okno na ciemną ulicę. Poczula, jak dłonie mężczyzny ześlizgują się z jej ramion do ud i z powrotem w górę do talii, jakby oceniając jej filigranowość, gdyż przy wzroście 157 centymetrów i niespełna 48 kilogramach wagi, Julie była drobnutką dziewczyną, mającą w sobie coś z kruchości porcelany.

Potem usłyszała odgłos rozpinanego zamka i szelest materiału. Zaczęła szybciej oddychać, ponieważ świadomość, że on również się rozbiera, wprawiła ją w stan niezwyklego podniecenia.

Odwróciła głowę, chcąc zobaczyć ich nagie ciała w lustrze. Johnny stał za nią. Pomiedzy nogami sterczał dumnie wyprężony, ogromny członek. Coś w pełnym napięcia oczekiwaniu tego organu sprawiało obscenicznie melodramatyczne wrażenie. Ale to jeszcze potęgowało jego erotyzm.

Ciepłe ręce spoczęły na ramionach Julie, masując je z perfekcyjnym wyczuciem. Język mężczyzny wsunął się do jej ucha w tym samym momencie, w którym koniuszek jego seksu zaczął pocierać jej pośladki.

— Chodź, Kopciuszkule — wyszeptał. — Czas na bal.

Po raz pierwszy od lat Julie Magnus została zaskoczona przez faceta. Johnny okazał się ekspertem w uwodzeniu. Przeciwnie niż niezdarni, podpici lalusie z towarzystwa, nieporadnie dobierający się do niej na tylnych siedzeniach samochodów, przeciwnie niż podrzędni żigolacy, z którymi się zadawała, żeby zrobić na złość rodzinie, Johnny był artystą najwyższych lotów w doprowadzaniu kobiety do orgazmu.

W pieszczotach był dokładny, zdecydowany i męski. Łaknął każdej cząstki jej ciała i ciągle był nienasycony. Lecz to odkrywanie jej było powolne i metodyczne. Upewniał się, że posiada ją w każdym zakazanym miejscu, szukał potwierdzenia, że ona go tam akceptuje, a nawet krzyczy o więcej.

Po jakimś czasie miała wrażenie, że cały Johnny jest jednym, potężnym, podniecającym członkiem. A on przyjmował jej westchnienia i jęki z dziwną poufałością, jakby znał ją na wylot od urodzenia.

Później rozsunął jej nogi i zaczął penetrować dokładnie i triumfująco samo centrum jej kobiecości. Wchodził w nią coraz głębiej, czując jak łydki dziewczyny oplatają się z rozkoszą wokół jego pasa. Niemal przy pierwszych jego ruchach wstrząsnął nią potężny orgazm. Stało się to tak szybko, że nie zdążyła sobie uświadomić, iż nadchodzi.

A każdy ruch Johnny'ego był na swój sposób gwałtem, może nawet profanacją, gdyż domyślał się, z jakich wysokich kręgów społecznych pochodzi wijąca się pod nim dziewczyna. Wiedział, że kochając się z nim, daje mu jałmużnę, spełnia dobry uczynek dla biedaka. Dlatego zamierzał dać jej nauczkę.

Nie prosił jej, by go dotykała, ani razu nie poprowadził do siebie jej ręki czy ust. On był panem, ona niewolnicą, oddającą się w całości własnej uległości, własnym jęklwym błaganiom o więcej, więcej, więcej...

Nie wiedziała, jak długo to trwało, ponieważ zatraciła się zupełnie w przyjemności. Lecz jej podniecenie stale rosło. Z każdym kolejnym orgazmem czuła się bardziej rozpalona. Aż wreszcie, kiedy wyczuła, że wpycha się w nią do samego końca, nadal powoli, nadal perfidnie świadomie i obojętnie, niemal oszalała z podniecenia.

— O, Boże... — wyjęczała, dygocząc pod nim jak opętana, szarpiąc rękoma jego biodra, żeby wciągnąć go głębiej.

— O, Boże...

— Spokojnie, dziecinko — mruknął z uśmiechem. — Spokojnie.

Te pełne ironicznej litości i wyższości słowa spowodowały u niej ostatni wstrząs, tak gorący, że krzyczała w ekstazie, wbijając się paznokciami w jego ciało.

— Mój Boże — mamrotała z twarzą wtuloną w jego pierś, ciągle jeszcze nie mogąc złapać tchu, choć było już po wszystkim.

— Co jest? — zapytał obcesowo.

— Nigdy nie czułam się tak... — szukała delikatnego określenia, ale żadne nie przychodziło jej do głowy. — Tak totalnie wypieprzona.

— Po to tu jestem, dziecinko — szepnął z ustami na jej czole.

— Jesteś niezły — westchnęła. — Powiem więcej, jesteś bardzo dobry.

— Tak, jak mówię — wrócił do swego ironicznie okrutnego tonu — daję kredyt tym, którzy mogą go spłacić.

Mruknęła jak kotka i sięgnęła pomiędzy jego nogi, chwytając męski klejnot.

Nagle, po raz pierwszy w życiu, poczuła się zupełnie do niczego, kompletnie beznadziejna.

— Czy byłam...? — spytała nieśmiało.

Roześmiał się głośno, słysząc w jej głosie tak ogromny brak

pewności siebie. Wyraźnie spuściła z tonu. Teraz wiedział, że ma ją tam, gdzie chciał ją mieć, gdyż utorował sobie drogę przez całą jej dumę do drzemiącej w niej, drżącej i wystraszonej dziewczuszki i jest teraz cała przejęta swą nowo odkrytą niewinnością. A on był tym, który jej uświadomił, jak była dotąd zielona; był jej mistrzem.

— Jesteś słodziutka — powiedział. — Potrzebowałaś po prostu, żeby przeleciał cię prawdziwy mężczyzna, to wszystko.

Pochylił się i z uśmiechem pocałował ją w policzek.

— Nic się nie martw, Kopciuszk. Zostaw mi tylko swój pantofelek, a zjawię się, żeby dać ci więcej.

— Mam nadzieję — odparła ze szczerością świeżo rozprawiczonej dziewczycy, która zasmakowała w tego typu doznaniach.

Nigdy dotąd tak się nie czuła. Przypomniała sobie odbicie jego przystojnej twarzy w lustrze nad barem. Oczekiwała wówczas kogoś trochę bardziej zuchwałego, może trochę bardziej szalonego niż inni.

Lecz otrzymała o wiele więcej, niż się spodziewała.

Podobnie jak Kopciuszek, znajdowała się teraz z dala od znanego sobie świata, w miejscu, gdzie czekały ją nowe, odurzające przyjemności, a może i niebezpieczeństwa, których nie była w stanie przewidzieć.

Lecz niebezpieczeństwo w osobie Johnny'ego Marrante było dokładnie tym, czego pragnęła.

ROZDZIAŁ 13

Paryż, 15 lipca 1956

Nadszedł wreszcie ten wielki dzień.

Główne komputery w Paryżu, Lozannie i Londynie były gotowe i obsadzone operatorami, osobiście wybranymi przez Francie. Ludzie ci spędzili ostatnie dwa tygodnie, przygotowując maszyny i wprowadzając do nich dane ze wszystkich filii europejskich, z których każda posiadała obecnie małe biuro służące specjalnie przekazywaniu danych przez łącza dalekopisowe do baz komputerowych.

Nadszedł czas, by uruchomić system i sprawdzić, czy działa.

Francie w towarzystwie Rolanda de Leumes i około tuzina obserwatorów znajdowała się w centrum komputerowym w Paryżu. Wiedziała, że w dwóch innych głównych punktach podobna publiczność niecierpliwie oczekuje na to, co się wydarzy. Najwyżsi „oficjele” Magnusa w całej Ameryce, tak jak i ich konkurenci, przypatrywali się sceptycznie eksperymentowi z komputeryzacją na dużą skalę. Ich zdaniem tak ekscentryczny pomysł nie miał szans powodzenia.

Francie uśmiechała się, lecz miała serce w gardle. Była przeraźliwie świadoma, że jest inicjatorką i projektodawczynią całej tej operacji. Na niej też spoczywa cała odpowiedzialność. Jeśli system nie zadziała sprawnie, będzie mogła winić wyłącznie siebie.

Była też świadoma, że na rezultat dzisiejszej próby czeka Nowy Jork. Dotarła do niej nieoficjalna informacja, że Zarząd przygląda się jej poczynaniom ze szczególnym zainteresowaniem, i to nie tylko dlatego, że jej misja wywoływała tyle kontrowersji. Sukces bądź niepowodzenie systemu odbije się poważnie na Jacku, jako jego sponsorze. O wiele bardziej znacząco niż na losie Francie Bollinger.

Poza tym istniał jeszcze jeden, ogromnie ważki powód. O ile system Francie rzeczywiście zagra tak jak powinien, będzie to miało kolosalny wpływ na całą koncepcję łączności w biznesie. Może spowodować rewolucję w światowych interesach, a konsekwencje finansowe i praktyczne mogą być nieobliczalne.

Tak więc dzisiejszy dzień miał być przełomowy.

Francie stała obok Rolanda de Leumes. Łącza dalekopisowe otwarte były na Lozannę i Londyn. Na znak Francie wszystkie trzy komputery zaczną pracować według programu, a główny operator tutaj, w Paryżu, wyda komputerowi pierwsze polecenie. Zostało ono wcześniej ustalone. Będzie to proste zadanie dotyczące porównania stanu inwentarza dwóch filii Magnusa, we Włoszech i w Portugalii. Odpowiedź powinna pojawić się na wydruku w przeciągu nie więcej niż dwóch sekund.

Francie spojrzała na Rolanda. Uśmiechnął się, dodając jej otuchy. Był spokojny. Jego ciemne oczy świeciły wiarą w powodzenie. Cieszyła się, że ma go przy sobie w tym krytycznym momencie. W ostatnich miesiącach stała się regularnym gościem w jego pięknym domu w Passy i zaprzyjaźniła się z jego żoną i córkami. Rodzina Leumesów była jej bardzo bliska tu,

w Paryżu, a Roland był najbliższym jej przyjacielem. Teraz potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek.

— Londyn jest gotowy i czeka — oznajmiła sekretarka ze słuchawką przy uchu, uśmiechając się do Francie.

— Lozanna również jest gotowa — dodała druga sekretarka.

— W takim razie w porządku — uśmiechnęła się słabo Francie, ściskając kciuki na szczęście. — Zaczynamy.

Obserwowała sekretarki przekazujące telefonicznie informację o starcie. Główny operator nacisnął szereg przycisków i za pomocą klawiatury przekazał rozkazy komputerowi.

Zapadła cisza. Światelka na poszczególnych wskaźnikach mocy zamrugały krótko. Kiedy wystukane na klawiaturze polecenie tłumaczone było na język komputerowy, poruszyły się czytniki taśmy magnetycznej. Po kilku sekundach wydruk zaterkotał krótko i zamilkł.

Operator podniósł się z miejsca, popatrzył bezradny na komputer, a potem na Francie. Pospieszyła do niego i spojrzała na wystający z drukarki kawałek papieru.

Było tam tylko jedno zdanie.

BRAK DANYCH. SPRAWDZIĆ POLECENIE.

Zdenerwowana Francie zmarszczyła brwi.

— Co mówi Londyn? — zwróciła się do sekretarki.

Ta powiedziała coś do telefonu, po czym popatrzyła niepewnie na Francie.

— Nic nie działa.

Francie przeniosła pytający wzrok na drugą sekretarkę. Z jej twarzy wyczytała, że odpowiedź z Lozanny brzmi dokładnie tak samo.

— Wprowadźmy polecenie jeszcze raz — zadysponowała. — Zrobię to sama.

Usiadła przy klawiaturze i ze skupieniem wpisała instrukcję do komputera.

Rezultat był taki sam.

BRAK DANYCH, odpowiedziała maszyna bez wahania. SPRAWDZIĆ POLECENIE.

Sekretarki znów rozmawiały z Londynem i Lozanną, potrząsając głowami na znak, że komputery nie funkcjonują.

Francie po raz trzeci wprowadziła instrukcję do maszyny. Polecenie było tak absurdalnie proste, tak podstawowe, iż nie do pomyślenia było, aby komputer nie potrafił go wykonać.

Odpowiedź nie różniła się od poprzednich. **BRAK DANYCH. SPRAWDZIĆ POLECENIE.**

Na policzki Francie wystąpiły rumieńce. Zerknęła na obserwatorów zebranych w pomieszczeniu. Większość wydawała się zakłopotana. Lecz na niektórych twarzach widać było także źle skrywany triumf. Ludzie ci byli w duchu zachwyceni, że imponujący plan, który pochłonął tyle czasu i pieniędzy, rozpada się na ich oczach w proch, a jego ambitna, pewna siebie autorka doznaje upokorzenia, na jakie w pełni zasłużyła swoim brakiem doświadczenia i skromności.

Chciała zrewolucjonizować biznes dla czterdziestu firm, w krajach, które po raz pierwszy zobaczyła na oczy kilka miesięcy temu! Chciała dyktować wszystkim, co mają robić! Zamierzała zmienić świat...

No cóż, to tyle jeśli chodzi o rewolucję komputerową.

Francie czuła wokół siebie ten fałsz i radość z jej klęski.

Próbując opanować nerwowe drzenie, zwróciła się do otaczających ją osób. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wyszło z nich ani jedno słowo. Cała znajomość francuskiego zawiodła ją tak jak komputer, w którym ulokowała wszystkie nadzieje.

Widząc jej stan, Roland de Leumes pospieszył jej z pomocą.

— *Allez, les enfants!*¹ — zwrócił się rozkazująco do zgromadzonych. — *Au boulot.*² Wracajcie do pracy. Nie widzieliście nigdy wypadków? Nie ma się na co gapić. Damy wam znać, kiedy system zacznie prawidłowo funkcjonować.

Uśmiechając się pod nosem i mamrocząc kąśliwe uwagi, obserwatorzy jeden po drugim opuścili centrum komputerowe.

Roland spojrzął na Francie. Z jego ciemnych oczu przebijała troska.

— Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Nie, dziękuję — Francie siliła się na spokój. — Pozwól mi popracować nad tym przez resztę popołudnia.

Zobaczę, czy uda mi się wykryć, w czym rzecz.

— Jesteś pewna? Może mógłbym ci zaoferować choć wsparcie moralne?

Potrząsnęła głową.

— Zanudziłbyś się na śmierć.

— Chcesz powiedzieć, że przeszkadzałbym ci — roześmiał się. — Ale jesteś zbyt dobrze wychowana, żeby to wyrazić wprost. W porządku, zrozumiałem. Ale nie przepracowuj się. Obiecujesz?

¹ **No, dzieci (franc.)**

² **Do roboty (koniec zabawy) (franc.)**

— Obiecuję. Skończę przed siódmą.

— Dobra — uśmiechnął się. — I nic się nie martw. Na pewno szybko znajdziesz ten feler.

Cmoknął ją w policzek i wyszedł. Francie odprawiła obu operatorów i zabrała się do pracy. Zadowolona była, że nie ma tu nikogo, kto mógłby zobaczyć drzenie jej rąk zbliżających się do maszyny.

Reszta dnia była dla niej torturą, natomiast dla tych z Magnus-France, którzy od początku podchodzili sceptycznie do jej innowacji i postrzegali ją jako atrakcyjną, lecz niepożądaną przedstawicielkę macierzystej korporacji, był to czas cichego triumfu.

Francie pracowała samotnie przy komputerze, wpisując do niego polecenia, studiując reakcje programu i telefonując z instrukcjami do Londynu i Lozanny. Wiedziała, że wielki biurowiec aż trzęsie się w tej chwili od plotek na temat klapy jej systemu i jej osobistej porażki. Zmuszała się jednak, by o tym nie myśleć.

Już po godzinie uświadomiła sobie, gdzie leży problem. Tkwił on w schemacie programu przekazywania danych i w decydującym fakcie, że komputer nie zrozumiał prawidłowo logiki tej schematyzacji.

Lecz zlokalizowanie problemu nie równało się wyeliminowaniu go. Ze wstydem skonstatowała, że dzisiejsze fiasko nie było wypadkiem, lecz wyniknęło z wady w samym programie. A co gorsza, doświadczenie Francie jako specjalistki w dziedzinie komputerów było zbyt nikłe, by podsunąć jej rozwiązanie tego problemu. Będzie musiała odważnie improwizować, żeby to rozgryźć. Oczywiście, o ile ten problem był w ogóle do rozwiązania.

Zaabsorbowana pracą straciła poczucie czasu. Miotła się między monitorami, robiąc notatki w dużym, żółtym zeszyte, kiedy przypadkowo jej wzrok padł na zegar.

Była prawie północ.

Nagle opuściła ją cała nerwowa energia i osunęła się na obrotowe krzesło przed tablicą kontrolną komputera. Uświadomiła sobie, że jak na jeden dzień, postawiła przed sobą zbyt dużo zadań. Czeka ją praca będzie ciężka i żmudna. Jeśli ma się powieść, musi wszystko właściwie rozplanować, narzucić sobie odpowiednie tempo i rozłożyć siły tak, by starczyły na, być może, wiele tygodni.

Wyszła z centrum komputerowego i skierowała się do win-

dy. Zjechała na siódme piętro. Otworzyła kluczem drzwi, minęła biurko Antoinette i weszła do własnego biura. Z zaskoczeniem zauważyła na blacie biurka ogromny bukiet kwiatów.

Był do niego dołączony bilecik, napisany francuskim charakterem pisma, lecz po angielsku.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, przeczytała. Wielu szczęśliwych powrotów.

Podpisano *Jack*.

Francie stała jak wryta. Kompletnie zapomniała o swoich urodzinach. W przyszłym tygodniu skończy dwadzieścia trzy lata. Skąd Jack o tym wiedział? Dlaczego fatygował się wysyłaniem życzeń z odległego kontynentu?

Nagle dostrzegła dalszy ciąg liściku i zarumieniła się.

P.S. Zamierzam spędzić ten dzień z panią, o ile nie ma pani innych planów. Do zobaczenia w przyszły czwartek.

Kartka drżała w ręku Francie. Jack przyjeżdża tutaj, żeby się z nią spotkać!

Opadła na krzesło przy biurku i oniemiała wpatrywała się w kwiaty.

Jack przyjeżdża!

To nie sam fakt jego przyjazdu był dla niej takim szokiem. Szok stanowiło zestawienie tego faktu z wydarzeniami sprzed kilku godzin. Wiedziała, czy raczej podejrzewała, iż przyjeżdża dlatego, że Europa jest jego „działką” i jej operacja podlega bezpośrednio jemu.

Szokiem było też to, że przyjeżdża akurat teraz, kiedy jej kariera zawodowa stoi pod znakiem zapytania.

Będzie musiała wyjaśnić mu spektakularną klęskę systemu, systemu stworzonego i wprowadzonego do realizacji pod jego egidą. Niepowodzenie to dotyka wszystkie firmy europejskie, za których kondycję Jack odpowiada.

Dlatego niewątpliwie wpłynie ono jakoś na jego pozycję w korporacji.

Tym sposobem wstyd Francie przypadnie w udziale człowiekowi, któremu zawdzięczała jedyną dobrą rzecz, jaka ją spotkała w Magnus Industries.

Człowiekowi, o którym nie przestawała marzyć od sześciu miesięcy, od chwili opuszczenia Nowego Jorku.

A wszystko z powodu jednego niezapomnianego pocałunku! Być może Jack dawno puścił to w niepamięć, lecz w zmysłach Francie pocałunek ten tlił się zarem rozpalanym jeszcze upływem czasu i pogłębianiem się jej obsesji.

A teraz Jack przyjeżdża. Będzie musiała go przekonać, że jest w stanie doprowadzić system do prawidłowego funkcjonowania i że jej szumne obietnice o komputeryzacji nie były jedynie mrzonkami. Co więcej, będzie musiała sprawić, aby zapomniał, że dziewczyna, którą pół roku temu obdarzył zaufaniem, jest teraz autorką wielkiej klapy, jak mówiło się w Magnus-France.

To będzie największa rola w jej życiu. Francie była znakomitą matematyczką, lecz nie znakomitą aktorką. Nie wiedziała, czy jej się uda.

Wszystko zależało od Jacka.

Z tą myślą włożyła drżącymi rękoma liścik z powrotem do koperty i schowała do szuflady.

Lecz drżenie palców rozprzestrzeniło się już na całe jej ciało.

Jack tutaj, w Paryżu! Aby wspólnie z nią świętować jej dwudzieste trzecie urodziny! I, z całą pewnością, aby sprawdzić postępy w jej systemie komputerowym.

Może jednak, zadumała się, w jego przyjeździe jest coś jeszcze? Może nie zapomniał tamtego wieczoru i przyjeżdża do niej, przynajmniej po części, jako mężczyzna, a nie jedynie jako pracodawca?

To była najczarowniejsza i najbardziej kusząca myśl ze wszystkich.

Trudno się było od niej oderwać i wrócić do rzeczywistości. W końcu jednak oprzytomniała.

A zatem niech przyjeżdża, pomyślała, wstając zza biurka. Co ma być, to będzie.

Tymczasem trzeba się trochę przespać, żeby jutro ze świeżą energią zabrać się za szukanie słabych punktów zaprogramowanych w jej systemie.

ROZDZIAŁ 14

Jack po raz kolejny zaskoczył Francie, pojawiając się niespodziewanie w drzwiach jej biura.

Było środowe popołudnie, dzień przed jej urodzinami. Oczekiwała, że przyleci jutrzejszym porannym lotem TWA z Nowego Jorku.

Tymczasem on był już tutaj, ubrany w szary, jedwabny garnitur, opalony jak zawsze i uśmiechnięty.

— Co pan tu robi? — spytała idiotycznie, usiłując opanować drżenie kolan i głosu. — Spodziewałam się pana dopiero jutro.

— Przyleciałem wczesniejszym lotem — odparł krótko, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. — Co u pani, Francie?

— Bardzo dobrze, dziękuję—uśmiechnęła się niepewnie.—A u pana?

— Doskonale. A jak sprawy zawodowe?

Czuła, jak fasada jej pewności siebie rozpada się w drobne kawałki. Jack zmierzał bezpośrednio do sedna sprawy.

— W tej chwili niezbyt dobrze—zdecydowała powiedzieć mu całą prawdę. Wiedziała, że nie jest typem człowieka, który ceni fałszywe zapewnienia.

— Naprawdę? Jakież problemy?

— Chciałabym to panu pokazać, jeśli można. Nie jest pan za bardzo zmęczony lotem, żeby mnie wysłuchać?

— Świetnie sypiam w samolotach. Ruszajmy. Zaprowadziła go do centrum komputerowego i wyniszczyła szczegółowo, na czym rzecz polega. Możliwie jasno i zwięźle wyjaśniła, że pojawił się jakiś „wirus”, jeszcze nie zidentyfikowany, i że robi wszystko, co potrafi.

Kiedy skończyła, stanęła na wprost niego.

— I to tyle — powiedziała. — Bardzo mi przykro z tego powodu, panie Magnus. Jeszcze tydzień temu byłam pewna, że system jest gotowy. Obecnie nie pozostaje nic innego, jak zbadać jeden po drugim wszystkie elementy, a potem skorygować program. Proszę mi wierzyć, to, co się stało, było dla mnie zupełnym szokiem...

Patrzył na nią badawczo.

— Czy sądzi pani, że uda się to zrobić przed ostatecznym terminem?

Z trudem wytrzymała jego wzrok.

— Nie wiem, mogę jedynie spróbować.

Przeniósł spojrzenie z niej na komputer i z powrotem.

— Wydaje się pani zdenerwowana.

Uśmiechnęła się króciutkim, wymuszonym uśmiechem, pełnym widocznego przerażenia.

— Jestem zdenerwowana... — chciała jeszcze coś dodać, ale słowa nie przychodziły. Czuła się jak uczennica przyznająca się do błędu surowemu i szanowanemu nauczycielowi.

— Zbyt zdenerwowana, żeby ukończyć tę robotę? — w jego pytaniu przebijał jakby cień zaniepokojenia.

Poczuła, że do oczu zaczynają jej napływać łzy, ale dzielnie wzięła się w garść. Jediną rzeczą na świecie, jakiej by nie zro-

biła, było okazanie swoich uczuć, a przede wszystkim słabości, Jackowi Magnusowi. On przyjął ją do pracy. Musi zachowywać się tak, by zaskarbić sobie jego szacunek.

— Nie — odparła twardo. — O to nie musi się pan martwić. Jack wskazał gestem na program.

— Czy jest pani do końca przekonana, że to wypali?

Podążyła za jego wzrokiem do stosu papierów i notatników, w które tak wiele zainwestowała, a które kryły zasadniczą, dotąd nie zweryfikowaną wadę.

Odetchnęła głęboko.

— Moim zdaniem z systemem jest wszystko w porządku. Błąd tkwi gdzieś w mechanizmie wdrażania, a to można naprawić. Jestem tego pewna.

To nie była do końca prawda i Francie o tym wiedziała. Wada w jej programie tkwiła tak głęboko, że mogła zagrażać samej koncepcji, na której program bazował. W istniejącej logice programowania nie było żadnych reguł ani wskazówek, które mogłyby ją wyprowadzić z dylematu. Inny programista już dawno by się poddał i rzucił cały ten plan w diabły.

Lecz Francie odczuwała wewnętrzne przekonanie, iż rozwiązanie, którego potrzebuje, znajduje się pod jej nosem, aczkolwiek znalezienie go przypomina szukanie igły w stogu siana. Instynkt matematyczny, który od dzieciństwa nigdy jej nie zawiódł, podpowiadał, że jest w stanie rozwiązać ten problem, o ile odejdzie od utartych schematów i spojrzy na to z nowego punktu widzenia. Teraz kluczem była kreatywność, a nie mechaniczne działanie. Nie może się poddać, dopóki nie wykryje, gdzie popełniła błąd.

Niemniej jednak okłamywała Jacka, zapewniając go o czymś, czego w rzeczywistości sama nie była zupełnie pewna. Wiedziała, że Jack jest odpowiedzialny za Europę i to od niego zależy decyzja, czy inwestować w ten projekt dodatkowy czas i pieniądze, czy też uciąć to i zapomnieć, ile kosztował zmarnowanego wysiłku.

Jack nie spuszczał z niej wzroku. Niemal czuła, jak usilnie stara się ocenić, na ile może polegać na jej wyjaśnieniach. Człowiek z jego pozycją jest na pewno wystarczająco doświadczony, żeby przejrzeć na wylot fałszywe zapewnienia podwładnych.

— W porządku — powiedział w końcu. — To mi wystarczy.

Zaskoczona Francie gapiała się na niego jak sroka w kość.

— To znaczy... To znaczy, że nie zamierza pan?... Roześmiał się serdecznie.

— Wylać pani? Urwać pani głowy? Wziąć kogoś innego i zacząć od samego początku? Widzę, że nie zna się pani zbyt dobrze na zarządzaniu, Francie. Dobry manager wie, jak pozyskiwać najlepszych ludzi i pozwala im wykazywać się w pracy. Nie popada w panikę, kiedy pojawiają się opóźnienia czy niepowodzenia. Gdyby tak postępował, nigdy nie doprowadziłby niczego do końca.

Położył rękę na programie.

— To, co pani tu robi, jest niezwykle skomplikowane i niezwykle ważne. Problemy były raczej nieuniknione. Niech się pani tego trzyma. Wierzę, że to będzie funkcjonowało.

Oceniała wagę jego słów. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Tak... doceniam... dziękuję za zaufanie...

— Nie byłoby pani tutaj, gdyby pani na to nie zasługiwała — jego głos był spokojny i powściągliwy.

Zapadło milczenie. Jack spojrzał na wiszący na ścianie zegar.

— Zostawię teraz panią sam na sam z pracą. Muszę się jeszcze spotkać z kilkoma ludźmi. Czy zje pani ze mną obiad?

— Ja... z przyjemnością.

— Przyjadę po panią o ósmej wieczorem. Skinęła głową.

— Czy wie pan, gdzie?...

— Sekretarka dała mi adres. Znam nieźle Lewy Brzeg. Znajdę panią bez problemów.

Ponownie nastąpiła przerwa. Francie kontemplowała jego zdumiewające opanowanie i nieziemską przystojność. Na jej ustach błąkał się mimowolny uśmiezek zachwyty.

— A zatem, do zobaczenia — powiedział.

— Tak.

Wstała, żeby podać mu rękę. Jego uśmiech był na poły służbowy, na poły osobisty. Nie była w stanie odgadnąć, co to oznacza.

Potem skinął jej głową i wyszedł.

Pozostawiona sama na samą z komputerem, Francie odetchnęła głęboko.

Czy to możliwe? Jednym posunięciem Jack Magnus pojawił się w jej proggu, odpuścił grzechy i przywrócił do życia, a co najważniejsze, zmienił jej katorżniczą harówkę w radość, jakiej nie zaznała od czasu, gdy widziała go po raz ostatni.

Wstrząśnięta do głębi, rozkoszowała się swoją ulgą i szczęściem.

I faktem, że wieczorem znów spotka się z Jackiem.

Przyjechał po nią o umówionej godzinie i zabrał na obiad do „Lasserre”. Legendarna restauracja urządzona była w stylu Ludwika XVI. Aksamity, kandelabry, kelnerzy w liberiach i cały ten przepych zdeprymowały Francie. Czując się nieswojo, zapytała go, dlaczego przywiózł ją do tak eleganckiego lokalu.

— Żeby podkreślić rangę tego wieczoru — odparł. — Chyba pani nie zapomniała?

Patrzyła na niego zakłopotana.

— Pani urodziny, pamięta pani?

— A! O to chodzi! — roześmiała się. — Co, u licha, sprawiło, że pamięta pan o moich urodzinach?

— Powiedzmy, że jestem wścibski — uśmiechnął się — i wiem o swoich pracownikach więcej niż powinienem. Tak czy inaczej, jestem tutaj.

Uniósł kieliszek z szampanem i trącił nim lekko jej kieliszek. Zarumieniła się mimo woli, odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech.

Obiad upłynął w miłej atmosferze. Urozmaicali go sobie ploteczkami o ludziach z wyższych sfer i obojętną pogawędką, która nijak nie mogła uciszyć burzy w zmysłach Francie. Uczucie ulgi, wywołane pozytywną oceną jej pracy przez Jacka, ustąpiło miejsca dziwnemu podnieceniu, potęgowanemu przez jego bliskość i dyskretność tego ekskluzywnego lokalu.

Zadowolona była, kiedy po obiedzie wyszli na świeże powietrze. Należącym do firmy samochodem Jack obwiał ją wokół Placu Zgody, potem pojechali wzdłuż Pól Elizejskich do Łuku Triumfalnego, aż w końcu przez most l'Alma wjechali w wąskie uliczki lewego brzegu Sekwany.

Jako że w pobliżu jej domu nie było miejsca do zaparkowania samochodu, jeździli wolno dookoła, dopóki Jack nie znalazł wolnego skrawka przy malowniczej Rue du Dragon, wąskiej uliczce, pełnej sklepów z antykami.

Przespacerowali powoli do rogu Bulwaru Saint-Germain, poobserwowali chwilę toczące się tam nocne życie, potem zawrócili do de la Croix Rouge z gnieźdzącymi się przy niej maleńkimi sklepikami i w końcu weszli w zaciemnioną ulicę du Cherche-Midi.

— Czy chciałby pan zobaczyć, jak mieszkam? — spytała Francie nieco nerwowo. — To śliczny, mały apartament. Roland de Leumes wynajął go dla mnie na cały czas pobytu tutaj.

Na wzmiankę o Rolandzie w oczach Jacka zamigotał jakiś dziwny wyraz, który natychmiast znikł. Francie nie wiedziała, co o tym myśleć. Spojrzenie, jakim obrzucił ją zaraz potem, było nieprzeniknione, obojętne.

— Nie jestem pewna, czy będę miała czym pana poczęstować. A niewątpliwie zasługuje pan na drinka po tak królewskim obiedzie.

— Nie chciałbym pani męczyć — odparł. — Zdaje się, że zbyt ciężko pani pracuje. Jest pani bardzo chuda.

— Och, proszę, nie mówmy o tym. — Skwitowała tę uwagę wzruszeniem ramion.

Minęli kantorek portiera, przeszli przez hall i stanęli przed drzwiami windy. Blask *minuterie*, włączanych tylko na określony czas świateł, funkcjonujących we wszystkich francuskich budynkach mieszkalnych, rzucał dziwne światło na twarz Jacka. Wszystko wokół miało ciemnozłoty kolor.

— Chyba jednak pozwolę pani pójść spać — powiedział. Nic nie odpowiedziała, ale niespodziewanie się do niego uśmiechnęła, uśmiechem, który zdawał się rozwiewać wszystkie cienie hallu.

Akurat dotykała guziczka przywołującego windę, gdy światła zgasły.

Małe foyer w kącie hallu zaległo w kompletnej ciemności. Gdzieś przed nią, na ścianie, znajdował się przełącznik.

Nie dotknęła go już, bo gdy poruszyła się, aby go poszukać, znalazła się w ramionach Jacka.

Nie było czasu na zastanawianie się, czy to ona uczyniła pierwszy krok, lub czy to te długie męskie ręce wyciągnęły się w jej kierunku. Wiedziała jednak, że pocałunek, który zmienił jej życie w rezydencji Antona Magnusa znów spoczywa na jej ustach, jeszcze gorętszy, jeszcze bardziej intymny, wszechogarniający niczym ogon komety, w którego iskrach spędziła tyle czasu, marząc o Jacku; od tego pierwszego pocałunku.

Jakiś głos ostrzegał ją, że czyni coś, przed czym nie ma już odwrotu. Siła jego pocałunków jednak głos ten uciszała.

Przyciskała Jacka do siebie, czuła jak drży i jej i jego ciało; słyszała swój własny jęk, wśród ciemności i ciszy wydobywający się z jej gardła.

W jakiś sposób, zupełnie niespodziewanie, znaleźli się w windzie. Jej ciasnota zmuszała ich do jeszcze większego zbliżenia, a gorączka we Francie eksplodowała tym szybciej, im wyżej winda sunęła w górę szybu. Zamknęła oczy, lecz ręce, kierowane własną mądrością, pieściły go i zachęcały. Znalazły drogę pod marynarką do jego muskularnej piersi i gubiły się w sprężystości jego ciała.

W miarę jak winda unosiła ich coraz wyżej, pocałunek stawał się bardziej namiętny. Ręce Jacka objęły ciasno talię dziewczyny. Ich dotyk doprowadzał ją do szaleństwa. Zaczęła poruszać się rytmicznie, kusząc go każdym ciałem swego ciała. Drzenie jej bioder podpowiedziało mu, że może sobie pozwolić na jeszcze bardziej intymny dotyk i twarde ręce ześliznęły się poniżej talii, przyciskając ją mocno do wypukłości w spodniach. Wsunęła język w jego usta, drażniąc go delikatnymi pchnięciami, aż zaczął pomrukiwać z rozkoszy.

Później zastanawiała się, jak wysiedli z windy i doszli do mieszkania, jak znalazła klucze, żeby otworzyć drzwi. Nigdy sobie tego nie przypomniała, gdyż namiętność pozbawiła ją świadomości wszystkiego dookoła, prócz Jacka. Jedynym wspomnieniem, jakie zachowała, była ciemność. Jego ręce na jej ramionach, piersiach i udach oraz niemal bolesne pragnienie jej skóry, by obnażyć się przed nim całkowicie. A jedynym dźwiękiem, jaki kojarzył jej się z tym wieczorem, były ich przyspieszone pożądaniem oddechy i cichy szelest dłoni badających nawzajem swoje ciała. Francie wiedziała, że wydarzy się coś straszliwego i długo oczekiwanego. Gdyby nie niespodziewana mądrość jej ciała, które od dawna przygotowywało się do tego momentu i teraz dokładnie wiedziało, co robić, umarłaby ze strachu.

Włożyła dłonie pod jego marynarkę, przesunęła je wyżej po jego piersi do ramion i marynarka zsunęła się z łatwością. Pocałowała go znowu, rozpinając jednocześnie guziki koszuli. Poczula, jak i jej sukienka poluźnia się. Wszystkie oddzielające ich od siebie części garderoby opadały, jakby powodowane własną wolą niczym płatki z kwiatów.

Poprowadziła go powoli do sypialni, co kilka kroków zatrzymując się, by go całować i dotykać. Kiedy kładła się na łóżko, była już zupełnie naga. Obserwowała, jak stojący nad nią Jack pozbywa się resztek ubrania. Jego sylwetka rysowała się na tle paryskiej nocy jak posążek bożka z członkiem w stanie erekcji.

Wyciągnęła do niego ramiona.

Nakrył ją sobą, a jego język wypełnił jej usta w tym samym momencie, w którym twardość między jego nogami dotknęła jej drugich warg.

Opanowało ją coś w rodzaju niepojętego wyuzdania, tak że jej nietknięte dotąd przez mężczyzną ciało stało się świadome i wręcz zuchwałe. Czowała jego podniecenie narastające szybko do punktu szczytowego, lecz nawet ta ostra gwałtowność męskiego pożądania nie zaskoczyła jej, gdyż jej ciało nagle wiedziało, jak reagować.

Chwyliła go za biodra i zaczęła wolno przyciągać do siebie, całując jednocześnie coraz namiętniej. Dygotała jak szalona, kiedy gorący członek dotknął jej najintymniejszego miejsca i napierał na nie coraz to mocniej. Potem, targnięta potężnym dreszczem poczuła, że wchodzi w nią.

Nawet potworny ból, jaki temu towarzyszył, był dla niej przyjemnością. Usłyszała narastający w gardle Jacka jęk, do którego wkrótce dołączyły jej własne okrzyki rozkoszy, kiedy oddawała mu się do końca, wyginając biodra, żeby go przyjąć głębiej, palcami muskając jego twarde uda, wypinając piersi, by poczuć szorstkie włosy, porastające jego tors, na swoich sutkach.

A potem wszystko zdawało się eksplodować. Ten Jack, o którym marzyła tak długo, zagubił się w szalejącej w niej burzy, a wszystkie jej myśli o sobie zostały pogrzebane przez gorący spazm docierający do każdej cząstki jej ciała. Nie wiedziała, kim jest, ani co to wszystko znaczy, lecz było jej to obojętne. Jej ciało już do niej nie należało.

Nie mogła widzieć tego, co widział leżący na niej Jack: ślicznej, smukłej nimfy odmienionej rozkoszą, z falującym uwodzicielsko ciałem, z gorącymi, różowymi sutkami tańczącymi w rytm jego pchnięć. Nie mogła widzieć słodkich, kobiecych rączek spoczywających miłośnie na jego biodrach i długich, gładkich ud, pieszczących go w zmysłowych, porywających rytmach.

Lecz zdawała sobie sprawę z tego, że jej uległość podsyca trawiący go ogień. Ogień ten płonął również w niej, przenikając ją coraz głębiej z każdym jego pchnięciem, podniecając ją tak, że nawet krzyki ekstazy ginęły w tumultach zmysłów.

W pewnym momencie już nie wiedziała, czy to wina jej zapamiętania, czy też on stracił kontrolę, oddalił się od swojego rzeczywistego świata i przyłączył się do niej w tym szaleńczym tańcu ciał, w tym triumfie rozkoszy nad rozsądkiem.

Myślała, że to się nigdy nie skończy. A jednak jego końcowe pchnięcia zaskoczyły ją, wynosząc ją na takie wyżyny szaleństwa, o jakich nigdy nie śniła, nawet w najgrzeszniejszych fantazjach. Wchodził w nią coraz głębiej, a potężny spazm jej ciała otworzył mu ostatnie drzwi.

Usłyszała jego krótki, ochrypliwy okrzyk. Nagle rozlał się w niej słodki, gorący strumień, a jej kobiecość napięła się z gwałtownym drganiem, żeby go przyjąć. A potem było po wszystkim.

Leżała w jego ramionach, bezwładna i wyczerpana.

Najpierw jeden, potem kolejne pocałunki zaczęły muskać jej czoło, powieki, policzki. Przygarnęła go mocno.

Teraz wiedziała, na co czekała przez całe życie.

Noc minęła jak we śnie. Nie wiedziała, ile razy się kochali. Wiedziała jedynie, że za każdym razem było inaczej i za każdym razem oddawała mu się cała w inny sposób. To było tak, jakby cud jego dotyku kreował jej nowe ja, kreował je po to, by należało do niego, by podniecało go, by zadowalało go na różne sposoby. Nigdy nie przypuszczała, że jest do czegoś takiego zdolna.

Był to długi, piękny proces zatracania się. A dla Francie, która przez dwadzieścia trzy lata żyła w dziewictwie, samodzielna i niezależna, było to przerażające doświadczenie, ponieważ stanowiło ono oddanie się w najpełniejszym sensie tego słowa. Lecz miała za to Jacka, który tulił ją mocno i raz po raz przeganiał jej filozoficzne rozważania pięknem swego ciała. Był równie nienasycony jak ona i czuła, że coś w nim poddaje się również, kapituluje wobec tej wyuzdanej pożądliwości, przyciągającej ich do siebie coraz silniej.

Potem oboje ogarnęło rozkoszne zmęczenie. Leżała obok Jacka i wpatrywała się w jego szlachetne rysy skąpane w bladym świetle księżyca. Śpiąc, wyglądał jeszcze bardziej tajemniczo i atrakcyjnie. W jego drzemce było coś enigmatycznego i niemal dzieciennego.

Jakiś zły sen odbił się niepokojem na jego twarzy. Poruszył się i wyciągnął ramię, przygarniając ją do siebie.

Odważyła się ucałować jego policzek i wargi. Przyciągnął ją bliżej. Żałowała, że nie może towarzyszyć mu we śnie, dzielić jego myśli tak, jak przez całą noc dzieliła jego przyjemność.

Zastanawiała się, czy on wie, jak bardzo ją zmienił. Po dzisiejszej nocy już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

I cieszyła się, że to on był mężczyzną, najwspanialszym ze wszystkich, który odebrał jej dziewictwo i uczynił z niej kobietę.

Nie wiedziała, co to wszystko oznacza i do czego prowadzi, wiedziała jedynie, że przeszłość minęła bezpowrotnie, a przyszłość rozpościera się przed nią jak bezgraniczny ocean czystej rozkoszy.

Z tą myślą zapadła w piękny, nie zmacony żadnymi majakami sen.

Kiedy się obudziła, była w łóżku sama.

Zaniepokojona usiadła i rozejrzała się dookoła. Zegar wskazywał siódmą rano.

Czuła się oszołomiona i dezorientowana. Czyżby to wszystko jej się przyśniło? Czy to możliwe, że przyszła tu sama i zapadła w jakieś chore, senne urojenia, leżąc samotnie w łóżku?

Lecz płonący w jej ciele żar przypominał, iż to wszystko miało miejsce w rzeczywistości.

Zbierała powoli myśli, czując, jak prześcierała piesczą jej nagość. Nasłuchiwała jakiegokolwiek dźwięku, świadczącego o obecności Jacka w mieszkaniu. Nie usłyszała nic.

Wstała i przeszła do łazienki. Spojrzała na swoją twarz w lustrze. Włosy miała w nieładzie. Rysy nosiły ślady namiętności. Nagie ramiona i piersi należały do niej, a mimo to wyglądała jakoś obco.

Targnął ją strach, którego źródłem było utrzymujące się nadal pulsowanie w zmysłach. Wiedziała, że to, co zrobiła z Jackiem, było nie do cofnięcia. A teraz on odszedł. Zostawił ją samą, żeby mogła dokładnie rozważyć, co zaszło.

Stała przez chwilę bez ruchu, gapiąc się na odbicie w lustrze. Teraz ta twarz naprawdę ją denerwowała, ponieważ należała do nieostrożnego stworzonka, które doprowadziło Francie do nieodwracalnych posunięć i namiętności, jakich nie miała prawa odczuwać.

Odwróciła się od szklanej tafli, weszła pod prysznic i odkręciła kran. Czuła, jak gorący strumień kłujących kropelek oczyszcza jej skórę. Lecz nie mógł zmyć jej wspomnień. Miała świadomość, że gdziekolwiek Jack teraz znajduje się, wie, jaka ona jest naprawdę.

Wychodząc z łazienki w płaszczu kąpielowym, z białym

ręcznikiem zawiniętym wokół głowy, była przekonana, że popełniła największy błąd w życiu. Już nigdy nie będzie mogła spojrzeć w twarz Jacka Magnusa z taką samą pewnością siebie jak przedtem.

Kiedy weszła do maleńkiej kuchenki, omal nie krzyknęła.

Jack siedział przy stole i patrzył na nią.

Uśmiechnął się.

— No proszę, co za spotkanie — powitał ją żartobliwie.

— Myślałam... — wydukała. — Myślałam, że ty...

Nie odpowiedział. Ogarnęła wzrokiem całą jego sylwetkę. Miał na sobie spodnie i koszulę rozpiętą pod szyją, odsłaniającą szeroki tors, który wczoraj pokrywała pocałunkami. Wlepione w nią czarne oczy wiedziały już wszystko. W ich głębi widziała niemal odbijającą się szaloną nimfę, jaką była ostatniej nocy.

— Ja... — zaczęła zakłopotana. — To znaczy... Zauważył jej zmieszanie i wstał. Drżała na całym ciele, niezdolna się opanować. Położył dłonie na jej ramionach i przyciągnął do siebie. Przez aksamit szlafroka poczuła ciepło jego ciała. Niemal natychmiast do bólu targających nią emocji dołączyło gorące pożądanie.

Już miała zacząć go błagać, żeby zostawił ją w spokoju i zapomniał, gdy wziął ją w ramiona, uniósł lekko jak dziecko i przeniósł delikatnie do sypialni. Ułożył ją na łóżku i stanął nad nią z czułym uśmiechem.

Potem wyciągnął opaloną rękę i dotknął z miłością jej policzka, brwi i mokrych włosów. Jego oczy wyrażały coś pośredniego między tkliwą melancholią a szczęściem. To spojrzenie zahipnotyzowało ją.

Nie przerywając kojących pieszczot, zdawał się penetrować jej uczucia. Choć pozostawał dla niej ciągle tak samo tajemniczy, wiedziała, że nie jest mu obojętna. Czytała to w jego spojrzeniu.

Ujął obie jej ręce i przytrzymał delikatnie. Jego wargi rozchyliły się. Zastanawiał się, co powiedzieć, żeby uciszyć jej niepokój. A może tylko szukał taktownych słów na złagodzenie jej smutku, zanim od niej odejdzie.

Słowa, które padły, zaskoczyły ją kompletnie.

— Kocham cię.

Oczy Francie otworzyły się szeroko ze zdumienia. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

— Czy wyjdiesz za mnie? — spytał cicho, ściskając mocniej jej ręce.

Francie osłupiała. Zdanie to zabrzmiało tak, jakby nadeszło z innej planety, z innego życia. Gdyby nie trzymające ją mocno ręce, bałaby się, że jej książkę nagle zniknie, jak powóz i konie Kopciuszka z wybiciem północy.

— Nie dasz mi kosza, prawda? — spytał błagalnie. — Ponieważ gdyby tak się stało, byłbym skończony.

Wpatrywał się w nią wyczekująco. Przez jej twarz przewinęły się błyskawicznie po sobie następujące uczucia, od szoku i niepokoju, do coraz większego, nieodpartego szczęścia.

Uśmiech, który uwieńczył tę huśtawkę nastrojów, był jak uśmiech dziecka, a światło w zielonych oczach, jak brzask nowej ery.

— Ależ Jack... — wyszeptała. — O, mój Boże... Przyciągnął ją do siebie gwałtownie, splatając dłonie na jej plecach. Jej twarz spoczywała na jego piersi. Słyszała przyspieszone bicie jego serca.

— Powiedz to — poprosił ochryple. — Cokolwiek to będzie, proszę, powiedz. Muszę wiedzieć. Kocham cię, Francie. Pokochałem cię od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię na korytarzu przed moimi drzwiami. To było tak, jakbym stracił oddech. I z każdym dniem było gorzej. Nie mogłem wyznać ci tego wtedy, bo przecież dopiero co się poznaliśmy, a ty byłaś taką nowicjuską w korporacji. Nie chciałem komplikować ci życia, narażać cię na rozterki... Ale nie mogę już dłużej czekać. To mnie zabija. Proszę, Francie...

— Tak.

Słowo to wyśliznęło jej się niezależnie od jej woli, tak pewne siebie, jak namiętność ciała ubiegłej nocy, potwierdzając iż zatraciła rozsądek, iż jej ciało kierowało się własną, niezależną od rozumu mądrością. To jedno małe słówko bez trudu ominęło jej udręczony umysł, ujawniając sekrety, które przez cały ten czas usiłowała ukryć przed sobą samą, ale których dłużej nie mogła się wypierać.

— Tak, wyjdiesz za mnie? Tak, kochasz mnie?

— Tak, tak, tak — powtórzyła z radosnym uniesieniem. Przytulił ją mocno, kołysząc w ramionach. Miała wrażenie, że ziemia rozpada się pod nią jak najcieńszy lód. A mimo to czuła, że on jest dla niej gruntem, po którym od dziś będzie mogła pewnie stapać. Jack i tylko Jack, na zawsze.

Uścisk stawał się coraz silniejszy. Blask rozświetlający umysł Francie sprawiał, że ledwie mogła oddychać. To samo działo się z jej kochankiem, którego serce biło przy jej piersi.

Objawienie, jakie nastąpiło między nimi, było zbyt intensywne do zniesienia.

Wolno opuścił ją na prześcieradła. Przez moment patrzyli na siebie jak zahipnotyzowani. Potem jego ręce rozsunęły aksamitny szlafrok, a oczy delektowały się pięknem jej nagiego ciała. Było w nich zdumienie i nieskończony zachwyty.

Przez ułamek sekundy pomyślała o tym zawirowaniu losu, które w przeciągu jednej krótkiej nocy oderwało ją od własnego życia i umieściło w odosobnionym miejscu, o całe światy odległym od marzeń, jakie towarzyszyły jej przez całe życie. Takie zatracenie się zabiłoby ją, gdyby nie wpatrzone w nią teraz oczy, oczy obiecujące nowe życie i nowe marzenia, tak piękne, że mogła dla nich poświęcić wszystko, czym była dotychczas.

I tak, żegnając się z dobrze znaną przeszłością i witając nieznaną, lecz upragnioną przyszłość, Francie przygarnęła Jacka Magnusa do piersi.

ROZDZIAŁ 15

Nowy Jork, 27 lipca 1956

Belinda Devereaux siedziała przy stole w domu rodziców przy Sutton Place, spoglądając na pogrążone w rozmowie matkę i Victorię Magnus.

Chwilę wcześniej Anton Magnus i Brent Devereaux, ojciec Belindy, odeszli od stołu, przechodząc do biblioteki na cygaro i szklaneczkę porto. Pozostawione same sobie kobiety siedziały niemrawo nad deserem, po czym pozostawało im jedynie przejść do saloniku, gdzie mogły dalej plotkować. Sarah Devereaux robiła jednocześnie na drutach sweter dla siostrzenicy, a Victoria Magnus kartkowała magazyny.

Tak było za każdym razem, kiedy Magnusowie przychodzili z wizytą. Choć Brent Devereaux i Anton Magnus byli potężnymi ludźmi, a ich żony chętnie widywano w najlepszych salonach kraju, te dwie pary zachowywały się jak starzejący się drobnomieszczanie, nawykli do komfortu i nudy.

Spotkania odbywały się zawsze tutaj, chyba że Magnusowie zabierali Belinę i jej rodziców do restauracji „Plaza” lub „Pierre”. Przyjmowanie Belindy w domu przy Park Avenue

pod nieobecność Jacka bywało kłopotliwe, tym bardziej, że Julie mogła w każdej chwili urządzić jakąś scenę. Tak więc tutaj wydawało się bezpiecznie.

A Belinda musiała to znosić, czując się jak okropne i niezdarne piąte koło u wozu i marząc cały czas o Jacku. Jack był ukrytą przyczyną tych zniechęconych przez nią obiadów, milczącym duchem unoszącym się nad nimi, a jednocześnie żywym człowiekiem, który za nic w świecie nie chciał ich zaszczyścić swoją obecnością.

Dziś Jack był w Paryżu i rozwiązywał jakieś problemy związane z nowym systemem komputerowym zakładanym przez Magnus-France. Ale nawet gdyby był w Nowym Jorku, nie przyszedłby tutaj. Zawsze znajdował wymówki, żeby uniknąć tego typu zgromadzeń. Nie miał zamiaru rezygnować ze swego niezależnego życia dla uczestnictwa w obowiązkowym obiedzie z przyszłymi teściami, nawet jeśli taka była wola jego ojca.

Nie, silna i niezależna osobowość Jacka nie dopuszczała takiego ograniczenia jego wolności. Ironia losu polegała na tym, że Belinda, wbrew własnym uczuciom, szanowała, a nawet podziwiała go za to.

Gdyby ona sama posiadała ten rodzaj odwagi! Kto wie, dokąd taka wartość mogłaby doprowadzić ją w życiu?

Ale ponieważ jej nie posiadała, ponieważ niezdolna była oderwać się od nikłej nadziei, że Jack w końcu jakimś cudem ją zechce, ponieważ była niewolnicą przyszłości zaplanowanej dla niej przez Antona Magnusa i ojca, musiała znosić cierpliwie ten niekończący się rytuał.

Dzisiejszy obiad niczym nie różnił się od innych. Uprzejme pogaduszki przy koktajlu zdominowane przez panów. Przyjacielskie powitanie z panią Magnus, istotą tak lękającą się wszystkich i wszystkiego, że sprawiającą wrażenie ptaka drżącego w złocistej klatce. Ojcowski pocałunek w policzek od Antona Magnusa, którego oczy spoglądały na Belindę z odcieniem współczucia i znaczącej mądrości, jakby chciały powiedzieć: „Ty i ja jesteśmy tu najważniejsi. Ty i ja mamy do sfinalizowania interes i jestem tu po to, by doprowadzić go do pomyślnego zakończenia”.

Pogawędki przy koktajlu, wystawny obiad przygotowany przez kucharza państwa Devereaux, a w końcu znudzone milczenie mężczyzn, kiedy w rozmowie zaczęły dominować ploteczki żon. Potem nagłe zniknięcie panów, niewątpliwie w celu

pogadania o męskich interesach. I, oczywiście, nieuniknione w takich sytuacjach plotki pozostawionych samym sobie pań. O setkach wspólnych znajomych i krewnych.

— Gay Swinerton i Rollie rozwodzą się — powiedziała matka. — Czy możesz w to uwierzyć, po tych wszystkich latach?

— Boże mój, a sądziłam, że oni żyć bez siebie nie mogą — odparła pani Magnus. — Dopiero co ich widziałam w Newport, chyba w ubiegłym miesiącu. Ich dzieci wyglądały tak słodko.

— No cóż, wiesz, jaka jest Lea Widener. Gdy zagnie parol na jakiegoś faceta, ten nie ma szans. Nawet taka miernota jak Rollie. Co za wstyd.

— Osobiście nie mam pojęcia, jak ona to robi. W końcu wygląda na swój wiek. Nawet te operacje plastyczne, jedna po drugiej...

Belinda nie mogła się zmusić do włączenia w tę pustą paplaninę. Nie była z natury plotkarką, lecz łaknącą intelektualnej stymulacji spokojną dziewczyną.

Posiadała dyplom ukończenia filologii angielskiej w Swarthmore, a przez ostatnie cztery lata uczęszczała na kursy doktoranckie w uniwersytecie Columbia. Gdyby zaistniała taka konieczność, to znaczy, gdyby Jack nie zdecydował się z nią ożenić, zamierzała zostać profesorem angielskiego i wykładać literaturę, którą kochała, przede wszystkim literaturę romantyczną. Pasjonowały ją szczególnie siostry Bronte, George Sand i Byron.

Sytuacja Belindy stawała się coraz bardziej denerwująca, męczyła ją z każdym dniem okrutniej. Ponieważ tak naprawdę nie pragnęła zostać profesorem. Pragnęła wyłącznie Jacka Magnusa.

Wiedziała jednak, że wyjdzie za niego tylko w przypadku, gdy jego ojciec wygra bitwę z jego dumą i uporem. Kiedy Jack podda się, nie będzie musiała już myśleć o nauczaniu literatury. Będzie za to musiała się martwić tym, że jest żoną człowieka, który jej nie chce. A to otwierało drzwi do niewyobrażalnych cierpień.

Z drugiej strony, gdyby Jack mimo wszystko jej nie poślubił, zrobi doktorat i będzie nauczać. Spędzi życie na przekazywaniu studentom wzlotów romantyzmu, które tak porywały ją w dziełach ulubionych autorów. Będzie to niewątpliwie życie samotne, ale nie bezużyteczne. Być może znajdzie w nim ukojenie i rekompensatę za to, co straciła.

Oba rozwiązania niosły ze sobą ryzyko. Trudno powiedzieć, co było gorsze. Bezpieczna, samotna droga bez Jacka, czy życie u jego boku, lecz bez jego miłości.

Belinda balansowała więc na kruchej żerdzi, mając pod sobą z jednej i drugiej strony przepaść. Przysłuchując się jednym uchem idiotycznej, czczej paplaninie matki i pani Magnus, przypominała sobie, w jaki sposób uwikłano ją w całą tę kołomyję z Jackiem.

Była zdrowym, normalnym, może tylko nieco małomównym dzieckiem. Od początku wykazywała o wiele więcej inteligencji niż reszta rodzeństwa, pozostawała też najbardziej z nich wyizolowana. Być może powód był taki, że dwie siostry, dużo od niej starsze, wżeniły się już dawno w bogate rodziny. Dlatego też nauczyła się bawić sama, wymyślała własne zabawy, dekorowała samodzielnie swój pokój, sama wybierała dla siebie książki i zatracala się w swoich fantazjach, nie dopuszczając ingerencji świata zewnętrznego. Samotność przyniosła pewnego rodzaju niezależność.

Potem pojawił się Jack. Miał już wówczas dwadzieścia lat i był błyskotliwym, obdarzonym fantazją studentem uniwersytetu. Zaproszono go wraz z rodzicami na ślub Simone, starszej siostry Belindy. Belinda pamięta, jak przedstawiono ich sobie na trawniku domu w Southampton.

Nigdy nie zapomni tego dnia, ponieważ sprowadził on na nią zarówno radość, jak i przekleństwo, które od tamtej pory zawisło nad jej spokojną egzystencją.

Dla trzynastoletniej Belindy dwudziestoletni Jack był najprzystojniejszym mężczyzną w świecie. Był doskonałością wcieloną w męskie ciało, żywą rzeźbą Michała Anioła reprezentującą młodość i męskość. Jej dziewczęce serduszko, dotąd obojętne na wdzięki płci przeciwnej, przebudziło się z drzeniem i oddało się bez reszty Jackowi. Istnieje tylko jedna pierwsza miłość, a dla Belindy był nią Jack.

Nieśmiało zaproponowała mu wówczas, że oprowadzi go po domu w Southampton. Wydawał się uszczęśliwiony, mogąc oderwać się od weselnych gości. Wypytywał o jej zajęcia w szkole, o zainteresowania. Z dziecięcą szczerością pokazała mu swój pokój. Na biurku leżało wypracowanie z angielskiego, zatytułowane „Czym jest dla mnie poezja”. Przeczytał je uważnie, zadając jedno czy dwa pytania o zawarte w nim myśli. Miała wrażenie, że ją polubił. Posunął się nawet tak daleko, że zaczął się z nią trochę przekomarzać. Świadczące

o sympatii żartobliwe uwagi powodowały, że co chwila oblewała się ceglastym rumieńcem.

Czuła, że rodzi się między nimi pewna nieśmiała zażyłość. Kiedy wyszli z sypialni i ruszyli w dalszą wędrówkę po domu, wiedziała już, iż bardziej niż czegokolwiek w świecie pragnie go poznać i zostać jego przyjaciółką.

A potem wybuchła bomba. Wrócili na trawnik, gdzie oczekiwali ich Anton Magnus i jej ojciec. Obaj uśmiechali się szelmowsko, obserwując zbliżającą się parę. Jack zauważył wyraz ich oczu i zwrócił się do Belindy. Zniknął gdzieś przyjazny nastrój przekomarzania się, zniknął uśmiech. Wyraz przystojnej twarzy stał się nagle lodowaty.

Później nie odezwał się do niej ani słowem. Odniosła wrażenie, że on wie coś, o czym ona nie ma pojęcia, coś, co zupełnie zmieniło jego stosunek do niej.

Wyszedł z przyjęcia wcześniej, bez pożegnania.

Dopiero po jakimś czasie, z rzucanych pod nosem uwag matki oraz z telefonu jednej ze szkolnych przyjaciółek, dowiedziała się prawdy. Na tamtym przyjęciu weselnym ojciec i Anton Magnus ubili interes. Belinda miała być zarezerwowana dla Jacka Magnusa. Dla Brenta Devereaux, któremu udało się już świetnie wydać za mąż dwie starsze córki, byłaby to nie lada gratka. Mówiono, że i Magnusowie zachwyceni byli tym planem.

Wszystko zostało zaaranżowane.

Jednakże po tamtym pierwszym dniu stosunek Jacka do Belindy zmienił się diametralnie. Nie okazywał jej nic, prócz niechętnego zainteresowania. Odeszła na zawsze czarująca zażyłość, z jaką wspólnie czytali wypracowanie, łagodnie ironiczny wzrok, niski, pełen szacunku głos i ciekawość jej osoby. A najboleśniej było to, że zniknęła cała jego sympatia.

Odtąd nigdy nie traktował jej poważnie, ani nie uśmiechnął się szczerze, od serca. Ponieważ to nie Jack ją wybrał. Zrobił to jego ojciec.

Stała się pionkiem w rozgrywce między mężczyznami, zdecydowanymi wyprowadzić się nawzajem w pole.

Mężczyznami, z których żaden nigdy się nie poddaje.

I od tamtej pory stale pozostawała na tej pozycji.

Tamten feralny dzień wyniósł serce Belindy na niewyobrażalne wyżyny, a potem cisnął je w śmiertelną otchłań, której w tak młodym wieku nie była w stanie ogarnąć rozumem.

Przez długi czas zastanawiała się, jak poradzi sobie z ciężarem, który musiała dźwigać. Potem wkroczyła w wiek dorostania i zmuszona była spotykać Jacka przy setkach towarzyskich okazji, widząc w jego oczach samą tylko obojętność. Wtedy to znalazła jedyne możliwe rozwiązanie swojego problemu.

Strzegła troskliwie swej miłości do Jacka i nie chcąc jej rozmieniać na drobne, nie zwracała uwagi na innych mężczyzn. Zachowywała też dla niego swoje ciało.

Fakt, że Jack nie chce jej miłości, był dla niej bez znaczenia, zwiększał jedynie szlachetność jej pobudek. Zamykając się jak zakonnica w klasztorze, delectowała się swoim uczuciem, nie żądając niczego w zamian.

W głębi jej romantycznej duszy zrodziło się przekonanie, że skoro poświęca się dla niego tak całkowicie, wyrzekając się wszystkiego i rezerwując dla niego serce, to może los któregoś dnia wynagrodzi ją, łącząc ich mimo wszystko ze sobą.

Wykoncypowała sobie też, że jeśli Anton Magnus w końcu zwycięży i zdoła zmusić Jacka do poślubienia jej, wówczas moc i czystość jej miłości zatriumfują powoli nad obojętnością jej ukochanego.

Belinda naczytała się opowieści o krajach, gdzie małżeństwa aranżowane są przez rodziców. Opowieści te napawały ją otuchą, kiedy wynikało z nich, że z czasem przeznaczeni sobie niezależnie od ich woli żony i mężowie dojrzewali do pokochania się nawzajem tak bardzo, jakby to oni sami wybrali siebie na partnerów.

Belinda pieściła to marzenie dla siebie i Jacka. Nie wiedziała, czy się kiedykolwiek spełni, ale z myślą o nim zachowywała czystość. Jej miłość rosła z każdym dniem, a sam fakt, że musiała rosnąć w tajemnicy przed mężczyzną będącym jej obiektem, dodawał jej odwagi. O ile Jack kiedyś zaakceptuje ją, wniesie mu w posagu uczucie dość potężne, by skruszyć jego bunt przeciw ojcu.

Nie pozostawało jej nic innego, jak czekać na ten dzień. A tymczasem żyła tylko połowicznie, nie była kompletną jednostką, na jaką wyrosłaby w innych okolicznościach. Ale również tego poświęcenia dokonywała dla Jacka.

Tak więc i dzisiaj wieczorem siedziała tu jak zawsze ze świadomością, że jej samotność i upokorzenie są widoczne dla wszystkich, że plotki wymieniane przez matkę i panią Magnus mają pełnić funkcję parawanu dla jej kłopotliwego położenia,

że mężczyźni wycofali się do biblioteki, by nie być świadkami jej wstydu. A ona akceptowała tę sytuację, ponieważ kochała Jacka i ponieważ ta miłość była w stanie przeprowadzić ją przez jeszcze gorsze próby.

Lecz dzisiejsza próba była najgorsza ze wszystkich. Dlatego, że Jack bawił w Paryżu, gdzie pracuje obecnie piękna Francie Bollinger.

Francie. Śliczna, zmysłowa dziewczyna, która wspierała się na ramieniu Jacka podczas przyjęcia Gretchen i widok której niemal złamał serce Belindy. Tworzyli tak dobraną parę! Oboje wysocy, energiczni i mądrzy. Stworzeni do tego, by razem przefrunąć przez ekscytujące życie, stworzeni dla siebie, gdyby tylko pozostawiono im wolność wyboru.

Tamtego wieczoru Belinda czuła się jak trędowata. Nie tylko z powodu nadzwyczajnej urody Francie oraz blasku, jaki zauważyła w oczach Jacka, kiedy na nią patrzył, lecz dlatego, iż wiedziała, że na jej twarzy, jak szkarłatna litera, widnieje piętno osoby niechcianej. Piętno widoczne dla wszystkich, którzy byli świadkami sceny zapoznawania się dwóch kobiet.

Zakończyła wówczas rozmowę najszybciej, jak to było możliwe i wyniosła się chyłkiem z ich towarzystwa.

Przyjęcie otworzyło w jej sercu ranę, która odtąd piekła nieznośnym bólem i nigdy tak naprawdę się nie zagoiła.

A dziś, jak wszyscy wiedzieli, Jack był w Paryżu, Belinda natomiast grała towarzyszkę dla kwartetu starzejących się, stroskanych, pełnych nadziei rodziców, którzy ze swej strony usiłowali dodać jej otuchy swoją błahą paplaniną i bagatelizowaniem całej sytuacji.

Lecz Belinda zniesie nawet to. Zniesie nawet to najgorsze z upokorzeń, dla Jacka.

W końcu Magnusowie zaczęli się żegnać. Anton Magnus z typowym dla siebie spokojem wyszedł z biblioteki.

Ojciec Belindy sprawiał jak zwykle wrażenie onieśmiałego i stłamszonego przez swego gościa, choć o wiele przewyższał go wzrostem. Kiedy całował Victorię Magnus i potrząsał dłonią Antona, na jego twarzy błąkał się pełen uniżoności uśmieszek.

— Wkrótce znów się spotkamy — mówili wszyscy na raz. — Zadzwon do mnie w przyszłym tygodniu...

Wyśmienity obiad... Dziękuję... Dziękuję...

Anton Magnus oderwał się od grupki i podszedł do Belin-dy. Ujął ją za rękę i ucałował delikatnie w policzek.
— Ślicznie wyglądasz, moja droga — powiedział. — Jak zawsze zresztą.
I pochylając się bliżej, by nie słyszeli go pozostali, dodał:
— Odwagi, moje dziecko. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.
Pokiwała głową ze słabym uśmiechem. Ujął ją pod brodę jak małą dziewczynkę i mruknął:
— Już niedługo będziecie razem. Zaufaj mi.

ROZDZIAŁ 16

Paryż, 20 sierpnia 1956

Kochany Tatusiu!

Mam dla Ciebie wspaniałą nowinę. A przynajmniej jest ona wspaniała dla mnie i myślę, że czytając to również będziesz uszczęśliwiony.

Mój system komputerowy wreszcie zadziałał! Wlokło się to długo, ale teraz już wszystkie problemy zostały rozwiązane i za kilka tygodni nastąpi próbny rozruch.

Przez cały ten czas bardzo za Tobą tęskniłam. Często wieczorami wyglądam przez okno ponad dachy Paryża i myślę o Tobie i o tym, jak kołysaliśmy się razem na ganku pod koniec dnia. Paryż to ekscytujące i cudowne miejsce, lecz to nie to samo co dom. Domu nic nie może zastąpić.

Nie mogę się doczekać sfinalizowania tego wszystkiego tutaj, żebym mogła nareszcie wrócić do Pensylwanii i do Ciebie. Dziękuję za Twoje listy (wiem, że nie należysz do tych specjalnie „piszących”, więc tym bardziej dziękuję).

Dziękuję też za zdjęcia, które przysłałeś. Rozbudziły we mnie tęsknotę za domem, ale też uszczęśliwiły.

Twoja kochająca jak zawsze Francie

Francie zakleiła kopertę. Chciała wysłać list do ojca, zanim poinformuje kogokolwiek o przełomie, jaki dokonał się w jej pracy. Chciała, żeby był pierwszym, który usłyszy tę radosną wiadomość.

Trzy dni temu, pracując samotnie nad zawiłościami programu, znalazła brakujące logiczne ogniwo, które spowodowało załamanie się systemu. Problem był o wiele poważniejszy, niż sądziła. W celu jego rozwiązania musiała zaprojektować całkowicie nowy język programowania i wpisać go do pamięci komputera. Cała edukacja, jaką odebrała w dziedzinie komputerów, nie przygotowała jej do sprostania temu zadaniu. Musiała zdać się na własną inspirację i szukać samodzielnych rozwiązań.

Inwencja, jaką wykazała w tym zakresie, zaskoczyła ją samą i mogłaby być dumna z siebie, gdyby nie paraliżująca myśl o tym, jak blisko była totalnej klęski.

Nigdy nie powiedziała ojcu o nieudanej próbie, która tak ją upokorzyła wobec francuskich kolegów i sprawiła, iż zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest zdolna doprowadzić system do funkcjonowania. Odkryła, że o wiele łatwiej było opowiadać tatusiowi o sprawach, które szły gładko, niż przyznawać się do tego, jak chwiejna była jej egzystencja od czasu przybycia do Magnusa.

Dlatego też nie powiedziała ojcu o Jacku. Przez to czuła się jeszcze bardziej niezręcznie i zastanawiała się, czy ta nieszczerłość przebija z jej listów.

Jack wymógł na niej przysięgę zachowania ich zaręczyn w całkowitej tajemnicy. Chciał, aby zakończyła prace nad swoim systemem, zanim świat dowie się o ich planach małżeńskich.

— Mój ojciec nie pogodzi się łatwo z tym, że postąpiłem wbrew jego woli — powiedział. — Chcę mu przedstawić nasze małżeństwo jako fakt dokonany. Nie mam zamiaru wdawać się w walkę z nim, używając ciebie jako broni. Chcę cię utrzymać poza tym wszystkim. Przed ślubem musisz uruchomić system. To zasadnicza sprawa dla ciebie i twojej kariery. Ty to zrobiłaś i ty, nie kto inny, zasługujesz na zaszczyty i pochwały.

— Jeszcze nie zrobiłam — zaprotestowała z uśmiechem.

— Ale zrobisz. Nie wątpię w to. Nic ci nie może przeszkodzić. Musimy postawić mojego ojca wobec dwóch faktów: po pierwsze, że wykonałaś wspaniałą robotę dla jego firmy, a po drugie, że jesteś moją żoną. Wtedy będzie musiał skapitulować.

Francie zaakceptowała te warunki.

Dlatego teraz, kiedy kwestia systemu była już prawie rozwiązana, miało to dla niej podwójnie radosne znaczenie. Przede wszystkim, jej wielkie wyzwanie stawało się rzeczy-

wistością. Nie miała już najmniejszych wątpliwości, że system będzie pracował dla całej Europy. Jako inżynier wiedziała, iż znalazła rozwiązanie.

Wiedziała też, że teraz już nic nie stoi na przeszkodzie jej małżeństwu z Jackiem.

Po tamtej pamiętnej nocy jego pierwszej wizyty u Francie, Jack wracał do Europy dwukrotnie. Próbowwała mu to wyperswadować argumentując, iż jego pracownikom może się to wydać podejrzane, ale on zbył jej skrupuły wzruszeniem ramion.

— Nikt w Magnusie nie mówi mi, co mam robić. Przyjeżdżam i wyjeżdżam, kiedy mam ochotę. Poza tym — dodał z uśmiechem — nie mogę być tak dłużej od ciebie. Oszałabym.

Każde ich kolejne spotkanie było bardziej czarowne niż poprzednie. Jego wizyty trwały krótko, lecz ta krótkotrwałość pogłębiała jeszcze niezwykłą zażyłość, jaka łączyła go z Francie. Sycili się swoimi ciałami z niemal desperackim głodem. Fizyczna strona ich bliskości była tak przytłaczająca, że odsuwała w cień wszelkie myśli.

Coś ostrzegało Francie, że takie tracenie gruntu pod nogami jest niebezpieczne. Lecz nic nie mogła na to poradzić.

Dźwięk głosu Jacka w słuchawce, widok jego pisma w przysyłanych jej króciutkich liścikach, paraliżowały jej wolę. A kiedy był przy niej i oplatał ją ramionami, cały świat przestawał dla niej istnieć.

Gdy wyjeżdżał, śniła o nim całe noce i przywoływała jego wspomnienie podczas pracy, rozpamiętując każdy szczegół ukochanej twarzy i ciała. Lecz kiedy stawał przed nią, odkrywała, że ten pamięciowy obraz nigdy nie korespondował dokładnie z porażającą rzeczywistością jego ramion, pocałunków i pieszczot. Nareszcie zrozumiała, co znaczy stracić głowę dla mężczyzny. To było jak oszalamiający lot w dół, nabierający prędkości do momentu, w którym aż zapierało dech.

A gdy się kochali, wyczuwała w nim obsesję na tle jej ciała i namiętności, taką samą jak pierwszej spędzonej wspólnie nocy. W tym kochaniu się było coś nienasyconego. Jack zdawał się chłonać ją wszystkimi zmysłami, jakby przez całe życie czuł się niespełniony, a jego męskość przebudziła się dopiero wskutek spotkania z nią.

W prowadzonych półgłosem nocnych rozmowach poznawała jego opinie, marzenia, nadzieje na przyszłość. Dowiedziała się też o jego trudnym dzieciństwie, o dorastaniu w cieniu ojca i o walce o odnalezienie samego siebie jako człowieka, o uniezależnieniu się od silnej woli i manipulacyjnej osobowości Antona Magnusa. Jack był jedynym członkiem rodziny, który ośmielił się przeciwstawić ojcu. Wobec matki i sióstr odczuwał coś pomiędzy opiekuńczością a litością. Jego pozycja w rodzinie była pozycją samotnika.

Francie dowiedziała się o Jacku tego i wielu innych rzeczy. Lecz, paradoksalnie, jego tajemniczość zdawała się pogłębiać wprost proporcjonalnie do ilości uzyskiwanych o nim informacji i do stopnia zażyłości. Był człowiekiem strzegącym swej prywatności, nie nawykłym do wyjawiania zamiarów, człowiekiem, któremu łatwiej było wyrażać siebie czynami niż słowami. Jedynie w ogniu miłosnych uniesień Francie czuła, że udaje jej się dotykać głębin jego jestestwa.

Dlatego miała wrażenie, że zna go dobrze, niemal zbyt dobrze i że nie zna wcale. I ta nierozwiązana zagadka zwiększała jeszcze jej pragnienie zostania jego żoną, tak by mogła poznać go do końca i pokochać w nim wszystko, czego dotąd nie rozumiała. Pragnęła pomóc mu zaleczyć rany, jakie pozostawiło w nim życie w świecie Magnusów. Chciała dodać mu sił do zerwania z tym światem.

Wielki dzień był już blisko. Wkrótce będzie należała do niego całkowicie i na zawsze.

Kiedy zeszła na dół, by wysłać list do ojca, odczuła znów ukłucie, które przenikało ją za każdym razem, kiedy pisała do niego, od czasu przyjęcia oświadczeń Jacka. Zastanawiała się, czy Mac Bollinger, człowiek z intuicją, znający ją prawie tak dobrze jak ona sama, wyczuwa z tych listów, że jest zakochana. Starła się nadawać im możliwie beztroski i spokojny ton, lecz podejrzewała, że wypełniająca ją bezgraniczna radość i tak pobrzmiwa w każdym słowie.

Dyskomfort psychiczny był tym gorszy, że tęskniła, by podzielić się wreszcie tą nowiną z ojcem. W tym nowym, wielkim kroku, jaki właśnie stawiała, potrzebowała jego wsparcia.

Poza tym czuła się winna, ukrywając przed nim prawdę. W głębi duszy była rzeczywiście troszkę staroświecka i przywiązywała wagę do tradycyjnych zachowań. Odziedzyczyła to po

ojcu. I dlatego wiedziała, że Mac chciałby spotkać się z jej wy-brankiem, poznać go, upewnić się, że jego jedyna córka jest kochana i udzielić jej tradycyjnego błogosławieństwa. W każdym innym układzie zabrałaby narzeczonego do domu do Pensylwanii, gdzie poprosiłby Maca Bollingera o jej rękę.

Lecz dla dobra Jacka musi milczeć. Przed ich związkiem piętrzyły się potężne przeszkody. Dopiero gdy ślub stanie się faktem dokonany, będzie mogła obwieścić wszystkim o swoim szczęściu.

Z głową zaprzątniętą tymi i podobnymi myślami wrzuciła list do skrzynki, po czym wróciła pospiesznie do domu, by natychmiast zadzwonić do Jacka do Nowego Jorku.

Pora ku temu była doskonała. W Paryżu była czwarta, a w Nowym Jorku dziesiąta rano. Jack był w biurze.

— Kochanie! — niemal krzyknęła do słuchawki. — Udało mi się. To będzie działać. Jestem już pewna.

— Cudownie — głos Jacka brzmiał nienaturalnie wyraźnie. — To wspaniała nowina. Muszę jednak wyznaczyć, że nie jestem zaskoczony. Przeczuwałem, że prędzej czy później tego dokonasz.

— I jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Kocham cię.

Usłyszała jego stłumiony śmiech.

— Mam nadzieję, że nikt nie podsłuchuje — powiedział.

— Wszystko mi jedno czy ktoś słucha, czy nie! — krzyknęła spontanicznie, czując jego bliskość. — Kocham cię! Kocham! Kocham!

— Tak samo tutaj — odpowiedział raczej powściągliwie. Być może, pomyślała Francie, nie był sam. — Tylko że podwójnie — dodał z uśmiechem w głosie.

— Zaplanowałam rozruch próbny na przyszły tydzień — poinformowała go, opanowując emocje. — Jeśli wypali, będziemy mogli już wkrótce zacząć wprowadzać cały system.

— Chcę przy tym być — oznajmił Jack. — Dla mnie jest to tak samo ważne jak dla ciebie.

— Tak — przytaknęła z gorączkowym uniesieniem radości. — Chcę, żebyś był ze mną, kiedy to ruszy. Kochany, najdroższy...

— Spokojnie — zaśmiał się. — Uważaj na siebie i bądź ze mną w ścisłym kontakcie. Wkrótce do ciebie zadzwonię.

Pożegnali się. Przez dłuższą chwilę Francie ścisnęła słuchawkę w rękę, delektując się magią głosu, który dopiero co z niej wypływał.

Potem wróciła na ziemię i wykręciła numer biura Rolanda de Leumes, żeby i z nim podzielić się dobrą wiadomością.

— System działa — oświadczyła z dumą. — Chcę, żebyś powiadomił wszystkich, że od dziś za tydzień przeprowadzimy kolejną próbę.

— Już biegnę — przyrzekł uradowany Roland.

Francie dziękowała za niego swojej szczęśliwej gwiazdzie. To właśnie Roland ustawicznie zapewniał szefów filii Magnusa w całej Europie, że mimo początkowego niepowodzenia plan Francie okaże się wielkim sukcesem. Dzięki jego niezmordowanym zabiegom Europejczycy uwierzyli, że w komputeryzacji leży przyszłość ich firm. Poza Jackiem, Roland był jedynym prawdziwym sojusznikiem Francie w korporacji.

Płonąc z podniecenia, złożyła dokumentację i postanowiła, że należy jej się trochę odpoczynku. Od miesiąca sypiała nie więcej niż pięć godzin na dobę i była totalnie wyczerpana. Rozkoszując się myślą o osiągniętym tak wielkim kosztem sukcesie, a także o rychłym ślubie i miesiącu miodowym na Wyspach Greckich, zapadła w głęboki sen. Szczęście zaślepiło ją do tego stopnia, iż nie przyszło jej nawet do głowy, żeby schować program pod klucz.

ROZDZIAŁ 17

Nowy Jork, 24 sierpnia 1956

W jednym z pomieszczeń biurowca Magnusa przy Szóstej Alei, po dwóch stronach ogromnego biurka, siedziało naprzeciwko siebie dwóch mężczyzn.

Na blacie między nimi leżały dokumenty, dostarczone cztery dni temu przez specjalnego posłańca z Paryża.

Siedzący w skórzanym fotelu przed biurkiem gość spoglądał ponad papierami na gospodarza. Czekał na pytanie, które było powodem jego bytności tutaj.

Wreszcie padło.

— Jak pan uważa — spytał mężczyzna zza biurka — o czym my tu rozmawiamy?

Gość odchrząknął.

— O czymś o wiele ważniejszym, niż pan myśli. Na moment zapadła cisza.

— Jak ważnym? — mężczyzna za biurkiem zmrużył oczy. Gość poruszył się niespokojnie w fotelu. Przerzął go nieco

fakt przebywania w obecności tak potężnego człowieka, a jednocześnie był świadomy własnej pozycji i ważności. Nazywał się Alexander Caulfield i piastował stanowisko wiceprezesa do spraw badań i rozwoju w jednym z największych zakładów produkujących komputery. Sprowadzono go tutaj, gdyż był najlepszy w swojej dziedzinie. Żaden śmiertelnik nie posiadał większej wiedzy o komputerach i ich zastosowaniu. Miał na swym koncie kilka publikacji z zakresu przyszłego wykorzystania komputerów i zaledwie garstka ludzi mogła się poszczycić przeanalizowaniem tego zagadnienia tak dokładnie jak on.

A teraz dano mu do przeczytania dokumentację i zapłacono ogromną w jego pojęciu sumę pieniędzy, żeby zachował zarówno jej zawartość, jak i własną opinię, w absolutnej tajemnicy.

Wskazując nieznacznym gestem na papiery, przemówił dobitnie.

— Aby zrozumieć doniosłość sprawy takiej jak ta, należy sobie uświadomić, że nauka o komputerach jest młoda, prawie jeszcze w powijakach. Ale ma przed sobą kolosalną przyszłość. Dziś komputery są fenomenem, ciekawostką techniczną. Za dziesięć, piętnaście lat staną się czymś tak powszednim, jak obecnie telewizory. Co to oznacza w przeliczeniu na pieniądze, trudno oszacować.

Przerwał, szukając odpowiednich słów dla wyrażenia myśli. Mężczyzna za biurkiem milcząco wpatrywał się w niego przenikliwymi, ciemnymi oczyma.

— Wszyscy wiemy, ile wart jest dziś patent na kineskop zwykłego telewizora — mówił dalej Caulfield. — Każdy, kto produkuje telewizory, musi płacić za niego krocie. Z tym, co pan mi pokazał, jest podobnie. Pozornie jest to system o specyficznym przeznaczeniu, mający połączyć kilka firm europejskich. Ale sam program zawiera pewne logiczne tajemnice, które, zgodnie ze stanem mojej wiedzy, są czymś absolutnie nowym w technice komputerowej. Nikt dotąd o nich nie pomyślał, choć gdyby pomyślał, wiele rzeczy mogłoby ulec zmianie na lepsze.

Splótł dłonie w zadumie.

— Za kilka lat istnieć będą dziesiątki systemów łączności, nie tylko w biznesie, lecz także w edukacji, zarządzaniu, wojskowości, bankowości i tak dalej, a wszystkie one będą musiały zawierać to logiczne powiązanie, które widzimy tutaj. Skoro założymy, że ten program będzie chroniony przez prawo patentowe lub prawo o tajemnicy handlowej, jego autorowi trzeba będzie płacić majątek za każdorazowe wykorzystanie tego albo podobnego mu systemu.

Mężczyzna za biurkiem chrząknął i zapytał.

— Ile?

— Chodzi panu o to, ile jest wart? — upewnił się Caulfield. Jego rozmówca przytaknął ruchem głowy.

Caulfield wzruszył ramionami, zmarszczył brwi i zapatrzył się w okno, na rysujące się na tle nieba wieżowce.

— Co najmniej dziesiątki milionów. Możliwe, że setki milionów. To zależy od tego, jak szybko będzie postępował rozwój komputeryzacji i jak dobrze produkt będzie chroniony.

Oparł się wygodnie w krzesło, pozwalając słowom wywrzeć odpowiedni efekt.

Nastąpiła przerwa, która Caulfieldowi wydawała się nieskończenie długa. Mężczyzna za biurkiem nie przestawał się w niego wpatrywać.

W końcu wskazał na dokumentację.

— Jaka jest pańska opinia o osobie, która to stworzyła? Caulfield uśmiechnął się.

— To proste. On jest geniuszem, ktokolwiek by to nie był. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę z tego, czego dokonał.

Dałbym wiele, żeby go kiedyś spotkać.

Chciałeś powiedzieć „ją”.

Mężczyzna zza biurka nie wypowiedział tych słów głośno.

W chwilę później Alexander Caulfield wyszedł. Jego rozmówca pozostał samotny przy biurku, zapatrzony w okno.

Setki milionów... Jakże nie docenił tej dziewczyny!

Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy, podsumował. Podniósł słuchawkę telefonu.

— Tak, proszę pana — dobiegł go głos sekretarki.

— Każ Johnowi Dorrance z działu patentów stawić się po południu w moim biurze. Nie później niż o trzeciej.

— Tak, proszę pana.

— I jeszcze coś. Przygotuj wypłatę z mojego osobistego konta. Nikt nie ma prawa się o niej dowiedzieć. Czy to jasne?

— Tak, proszę pana. Dla kogo mam to przygotować?

— Roland de Leumes, Magnus-France. Masz jego adres domowy w kartotece. Każ to doręczyć poufnie. Nie kanałami służbowymi.

— A ile, proszę pana?

— Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

— Zrozumiałam, proszę pana.

Odłożył słuchawkę. Przez kilka minut siedział zamyślony. Teraz wszystko się zmieniło. Było tak dużo spraw do rozważenia. Spraw, które jeszcze godzinę temu nie były pewne. Spraw, które mogły zupełnie zmienić bieg wielu rzeczy.

Schwycił ponownie za słuchawkę.

— I jeszcze jedno.

— Słucham, proszę pana.

— Umów mnie na lunch z Belindą Devereaux. Powiedz jej, że to ważne. Ustal najwcześniejszy możliwy termin. Najlepiej jutro.

— Tak, proszę pana.

Z westchnieniem ulgi odsunął telefon i przymknął oczy. Belinda, pomyślał. Oczywiście.

Trzeba ją powiadomić. O ile Alexander Caulfield był pierwszym krokiem, to Belinda jest drugim.

ROZDZIAŁ 18

Paryż, 2 września 1956

Do oficjalnej inauguracji systemu Francie pozostały dwa dni.

Drugi test komputerów okazał się sukcesem, który odbił się szerokim echem w całej korporacji. Wszystkie elementy programu funkcjonowały perfekcyjnie, potwierdzając triumf Francie nad logicznymi i matematycznymi trudnościami, z którymi musiała się zmierzyć. Teraz nadszedł czas, aby całą operację wprowadzić w czyn i rozpocząć nową erę skutecznej, oszczędnej komunikacji między europejskimi filiami Magnusa.

Francie była tak przejęta, że ledwie mogła skupić się na pracy. W ostatnim tygodniu sypiała bardzo mało, ślęcząc godzinami nad programem, bądź prowadząc zakrojone na szeroką skalę rozmowy telefoniczne z technikami, którzy, kiedy nadejdzie właściwy moment, będą odpowiedzialni za kierowanie systemem.

A kiedy nie myślała o programie, myślała o Jacku.

W każdej chwili spodziewała się wiadomości o jego przylocie do Paryża. Wiedziała, że Jack chce przekonać się na własne oczy, iż jej system działa bez zarzutu. A zaraz potem wykradnie ją z Paryża na krótki miesiąc miodowy do Grecji. Wszystko będzie utrzymane w największej tajemnicy. O tym, że są małżeństwem, obwieszczą dopiero po powrocie.

Tak to zaplanował Jack. Obstawał przy twierdzeniu, iż jest to jedyny bezpieczny, a zarazem najbardziej romantyczny sposób. Pozwoli wyeliminować wszelkie obiekcje względem ich ślubu ze strony ojca, a jednocześnie zapewni mu całkowitą prywatność i swobodę razem z Francie.

— Nie chcę ślubu w kościele św. Bartłomieja w Nowym Jorku — mówił — w asyście tych wszystkich Magnusów i Wetherellów, a także całej tej pozał się Boże elity, która uważa, że nasze małżeństwo jest ich sprawą. To nie tak chcę rozpocząć nasze wspólne życie.

Jack pragnął, by jego małżeństwo z Francie stanowiło ostatni i definitywny krok w wychodzeniu poza świat Magnusów. Francie nie sprzeciwiała się, ponieważ wiedziała, jak bardzo łaknął uniezależnienia się od rodziny, a szczególnie od ojca.

Poza tym chciała mieć Jacka tylko dla siebie.

A teraz ich długie oczekiwanie dobiegło końca. Marzenia jej, a także Jacka, miały stać się rzeczywistością.

Porządkowała właśnie papiery na swoim biurku, kiedy doręczono jej telegram z Nowego Jorku. Jego treść brzmiała:
**PROSZĘ NATYCHMIAST WRACAĆ DO NOWEGO JORKU STOP ZAWIESIĆ WSZELKIE PLANY
ZWIĄZANE Z OPERACJĄ DO CZASU KONSULTACJI STOP**

W podpisie widniało nazwisko Stanforda Ewella, wiceprezesa do spraw krajowych i, jak wszyscy wiedzieli, głównego asystenta Antona Magnusa oraz jego prawej ręki w Zarządzie.

Francie spróbowała bezzwłocznie skontaktować się telefonicznie z korporacją, chcąc przekazać panu Ewell, że teraz może opuścić Paryża. Jego sekretarka poinformowała ją jed-

nak, że szef jest nieobecny i że zostawił instrukcje, iż natychmiast, niezależnie od wszystkiego, ma przyjeżdżać do Nowego Jorku.

Skołowana kompletnie usiłowała dodzwonić się do Jacka. Lecz on również był nieosiągalny. Tak więc zarezerwowała bilet, spakowała małą torbę, poleciła Rolandowi, aby kazał programistom i operatorom utrzymywać system w gotowości, dopóki nie przekaże im dalszych instrukcji i ruszyła w podróż do Stanów.

Lot był długi i męczący. Sytuację pogarszał targający nią niepokój i ustawiczne zadręczanie się pytaniem, o co może chodzić. Pomyślała, że może zapadły jakieś decyzje na wysokim szczeblu odnośnie do Europy i to wpłynęło na zmianę terminu uruchomienia jej systemu. A może Zarząd zażądał od niej w ostatniej chwili sprawozdania, zanim wyrazi ostateczną zgodę na wdrożenie systemu.

O piątej po południu, oszołomiona i wyczerpana, przybyła na miejsce i udała się prosto do siedziby Magnusa.

Wszystkie biura były zamknięte. Po prostu spóźniła się.

Pojechała do swojego mieszkania na West Side. Po długiej podróży miejsce to sprawiło dziwne wrażenie. Nie widziała go od ośmiu miesięcy i wydało jej się obce, odpychające.

Usiłowała dodzwonić się do apartamentu Jacka, lecz nikt nie odbierał telefonu. Wyszła więc, kupiła trochę jedzenia, wróciła, włożyła zakupy do lodówki i wzięła gorący prysznic. Przygotowała sobie skromny obiad i ponownie zadzwoniła pod numer Jacka. Nadal nie było odpowiedzi.

Usiadła przed telewizorem w salonie. Nadawali właśnie jakiś wczesnowieczorny show, który wydał jej się dziwny i surrealistyczny. Po pewnym czasie uświadomiła sobie, że doświadcza szoku związanego z nagłym przeskokiem z jednej kultury do drugiej, bez uprzedniego przygotowania. Ubiegłej nocy znajdowała się w uroczym apartamencie na Lewym Brzegu w Paryżu, słuchając w radio Mozarta oraz wiadomości o paryskiej pogodzie i polityce, przekazywanych miłym głosem francuskiego prezentera.

Teraz oglądała Lucille Bali i Desi Arnaz, odgrywających swawolną komedię przed wyjąca ze śmiechu publicznością w studio.

Tego było za dużo dla Francie. Wyłączyła telewizor, zgasiła wszystkie światła i położyła się do łóżka.

Wokół niej intensywnym wyciem syren policyjnych, trąbieniem klaksonów samochodowych i piskiem opon huczał Nowy Jork, o całe światy odległy od ciszy i spokoju ulicy du Cherche-Midi. Czowała się samotna i zdezorientowana. Żeby chociaż Jack był przy niej! Potrafiłby wszystko wyjaśnić, uspokoić jej umysł, ukoić skołatane nerwy. I wzięłby ją w ramiona...

Po dwóch kolejnych bezowocnych próbach złapania go telefonicznie, Francie dała za wygraną. Opuściła ją cała energia. Zamknęła oczy i zapadła w ciężki, niespokojny sen.

Następnego ranka wcześniej pospieszyła do siedziby Magnusa.

Strażnikowi przy bramie pokazała swoją kartę identyfikacyjną. Ku jej zdziwieniu kazano jej poczekać na dole. Po chwili z windy wyłonił się mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziała, i wyciągnął do niej rękę.

— Howard Aldrich — przedstawił się. — Reprezentuję korporację, panno Bollinger. Muszę z panią zamienić dwa słowa, zanim spotka się pani z kimkolwiek innym. Może wejdziemy do mojego biura?

Wprowadził ją do pustego pomieszczenia na parterze, oddalonego zaledwie o kilka kroków od stanowiska strażnika. Tam wskazał jej masywne, drewniane krzesło.

Jego twarz była poważna.

— Panno Bollinger, powiem prosto z mostu. Magnus Industries z chwilą obecną rozwiązuje z panią umowę o pracę. Jestem tu, by pani pomóc i dopilnować, żeby wszystko przebiegło gładko. Proszę mi wierzyć, to, jak się pani dziś zachowa, opuszczając ten gmach, będzie miało nieobliczalne konsekwencje dla pani przyszłej kariery. Radzę więc nie robić scen.

Na twarzy Francie odbiło się niedowierzanie. Nie pojmowała zupełnie tego, co do niej mówił. Pokazał jej jakiś papier.

— Proszę to przeczytać. To rekomendacja podpisana przez wiceprezesa do spraw kadrowych.

Wzięła od niego kartkę i próbowała skupić wzrok na tekście.

Niniejszym zaświadcza się, że Frances Bollinger była zatrudniona w Magnus Industries, Inc. od 25 czerwca 1955 r. do 3 września 1956 r. Przez cały ten okres praca panny Bollinger

dla korporacji oceniana była jako wzorowa. Dała się poznać jako niezmordowana i oddana pracownica, z ogromną energią i skutecznością służąca interesom korporacji.

Polecamy gorąco pannę Bollinger do pracy na każdym stanowisku, jakie zdecyduje się wybrać i skłonni jesteśmy potwierdzić tę rekomendację telefonicznie na żądanie.

Francie była zbyt oszołomiona tym, co się dzieje, by zauważyć, że ta efektowna rekomendacja nie zawiera najmniejszej wzmianki o jej pracy przy komputerach ani o specjalnym projekcie opracowanym dla korporacji.

Popatrzyła na mężczyznę.

— Nie rozumiem — powiedziała. — Jeśli mają o mnie tak wysokie mniemanie, to dlaczego mnie wylewają?

W jej głosie nie było sarkazmu, lecz autentyczne zdumienie.

— Nikt nie jest w stanie odgadnąć, co dzieje się w mózgach wielkich korporacji — uśmiechnął się. — Powiedzmy po prostu, że nie pasowała pani do ich planów.

Francie pomyślała o Paryżu.

— Zostawiłam w Europie bardzo skomplikowaną operację — na chwilę zapomniała o emocjach. — Jutro wprowadzamy w życie niesłychanie ważny, nowy system. Musiałam się od tego oderwać, żeby stawić się tutaj, a to niezwykle trudna sprawa do pokierowania. Nie jestem pewna, czy tamtejsi ludzie będą wiedzieli, co robić, jeżeli pojawią się jakieś problemy.

Chłodny uśmiech mężczyzny, którego nazwiska już nie pamiętała sprawił, że zaczynała rozumieć swoją sytuację.

— O wszystko się zatroszczymy. Nie musi się pani o to martwić.

— No cóż, chyba najlepiej będzie, jeśli opróżnię swoje biuro.

Potrząsnął głową.

— To już zostało zrobione. Pani rzeczy są spakowane i dostarczymy je pani do domu, czy gdziekolwiek pani każe, jak tylko da pani słowo, że nie będzie robić kłopotów.

Francie zbladła i spojrzała mu w oczy.

— W Paryżu również zostało dużo moich rzeczy...

— To wszystko jest w tej chwili zbierane — w jego ciemnych oczach mignął źle skrywany sadyzm. — Zostanie pani dostarczone tutaj. Apartament w Paryżu wróci do korporacji.

Dodam jeszcze, że cofnięto pani świadectwo lojalności zarówno w Europie, jak i tutaj. Oczywiście nie kwestionujemy pani uczciwości. To rutynowy środek ostrożności.

Francie zrozumiała. Od tej chwili była w Magnusie *persona non grata*. Nie mogła już wrócić do swojego centrum komputerowego w Paryżu ani wejść na górę do tego budynku. Na przykład do biura Jacka...

— W porządku — popatrzyła w bezduszne oczy stojącego przed nią, obcego człowieka, czepiając się jednocześnie kurczowo myśli o Jacku. Chciała się jak najprędzej stąd wydostać. Jack będzie wiedział, co się za tym wszystkim kryje. Musi z nim natychmiast porozmawiać.

Mężczyzna odprowadził ją do bramy i przytrzymał dla niej furtkę, kiedy wychodziła na chodnik Szóstej Alei.

Była zbyt roztrzęsiona, by się z nim pożegnać. Sprowadzono ją z Europy do ojczyzny po to, by w trybie przyspieszonym wylać ją z pracy i wyprowadzić pod eskortą z budynku firmy.

Złapała taksówkę i podała kierowcy swój adres.

Gdy tylko znalazła się w domu, złapała za telefon. Wykręciła numer Magnus Industries. Kiedy odezwała się recepcjonistka, poprosiła o połączenie z Jackiem Magnusem.

Rozległo się brzęknięcie, a po nim kilka dzwonek.

— Biuro pana Magnusa.

— Halo! Ja... Czy pan Magnus jest w biurze?

— Kogo mam zaanonsować?

— Frances Bollinger. Nastąpiła dziwnie znacząca pauza.

— Przykro mi, panno Bollinger — głos sekretarki był teraz lodowaty. — Obawiam się, że pan Magnus jest nieosiągalny.

— To naprawdę bardzo pilne — powiedziała Francie szybko. — Wczoraj ściągnięto mnie z Europy. To dotyczy nowego systemu komputerowego, który wprowadziliśmy pod kierunkiem Jacka, to znaczy pana Magnusa. Ja naprawdę muszę z nim niezwłocznie porozmawiać.

— Niestety, nie mogę pani pomóc. Pan Magnus wyjechał z kraju. Nie ma możliwości skontaktowania się z nim. Ręka Francie trzymająca słuchawkę zadrżała.

— To naprawdę strasznie ważne. Czy mogłaby pani podać mi jakiś adres, pod którym mogłabym go złapać?

— Nie, nie mogę tego zrobić. On jest... On sobie tego nie życzył.

Zapadło milczenie.

— Powiem pani, ale w tajemnicy — dodała po chwili sekretarka. — On wyjechał w podróż poślubną. Francie zamarła.

Dziewczyna po drugiej stronie linii mówiła jeszcze coś, ale dla niej był to już tylko niezrozumiały szwargot. Potem po prostu odłożyła słuchawkę.

Odwróciła się do okna i popatrzyła na ulice miasta. Nic nie wyglądało znajomo, nie witało jej serdecznie. Nigdy tak naprawdę nie mieszkała tutaj. Szybkie, intensywne życie w Magnusie nie pozwoliło jej się zadomowić.

Teraz wyglądało to jak inny świat.

— Nie miała pojęcia, jak długo tak siedziała. Zmęczenie mieszało się z szokiem, wywołując kompletne otępienie.

Przeplływające szaleńczo przez głowę myśli nie zawierały żadnej treści, podobnie jak otaczające ją przedmioty.

Zadzwoił telefon. Rzuciła się zachłannie na słuchawkę z nadzieją, że nadchodzi jakaś pomoc. Lecz było to jedynie przedsiębiorstwo transportowo-magazynowe, wynajęte do przechowania jej rzeczy. Pytali, kiedy mogą dostarczyć je do mieszkania. Zupełnie zamroczona odpowiedziała, że mogą przyjechać po południu.

W godzinę później tragarze wniesli kartony z książkami, notatkami i przyborami do pisania z jej biura w Magnusie, biura, którego nie widziała od ośmiu miesięcy. We wszystkim, co się teraz działo, była jakaś brutalna sprawność.

Pokwitowała odbiór rzeczy, popatrzyła na odchodzących robotników i usiadła otępiała, gapiąc się bezmyślnie w piętrzące się na podłodze salonu pudła.

Po pewnym czasie zauważyła, że na jednym z kartonów leży plik poczty. Większość korespondencji stanowiły notatki służbowe i jakieś stare listy. Lecz między nimi znalazła jedną kartkę bez daty, zapisaną znajomym charakterem pisma.

Rozwinęła ją drżącymi palcami.

Najdroższa Francie!

Piszę, żeby Ci przekazać najważniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek miałem do powiedzenia.

Niegdyś próbowałem Cię ostrzec przed niebezpieczeństwami czyhającymi zarówno na Ciebie, jak i na mnie, w Magnus Industries. Teraz, zbyt późno, zrozumiałem, że nie doceniłem ich.

Mój ojciec jest potężnym człowiekiem. Potężniejszym, niż oboje myśleliśmy. Dlatego i tylko dlatego wszystko ułożyło się tak, a nie inaczej.

To nie jest tak, jak się wydaje. Moje małżeństwo z Belindą trudno nazwać małżeństwem. Któregoś dnia uwolnię się z tego, a wtedy odzyskam Cię i spróbuję zyskać Twoje przebaczenie i zasłużyć ponownie na miłość.

Do tego czasu nie mam prawa komplikować Ci życia swoją w nim obecnością.

Nie proszę, żebyś mi wybaczyła, pragnę tylko, byś uwierzyła, że to, co się wydarzyło, nie jest prawdziwe. Nie tak, jak my byliśmy i jesteśmy prawdziwi.

Chcę Ci także powiedzieć, że nadal Cię kocham i zawsze będę kochał bardziej niż siebie samego, bardziej niż własne życie.

Jack

Francie wpatrywała się w liścik. Był mokry od jej łez. Potem zgmiotła go, przycisnęła na długą chwilę do piersi i rzuciła do kosza na śmieci.

Opadła na kanapę i obojętnie obserwowała pełną obok niej popołudnie. Mijające minuty dziesiątkami noży wbijały się w jej serce, które już i tak było jedną krwawiącą raną. Wszystko inne przestało istnieć.

Kiedy wieczór mrocznym cieniem wkradł się do pokoju, wstała, wyjęła z kosza list, rozprostowała go i włożyła między stronicę ulubionej książki. Coś jej mówiło, że musi go zachować.

W małym mieszkaniu robiło się coraz ciemniej. Powoli zaczynała wracać do siebie. Pomimo targającego nią bólu, umysł nie przestawał pracować.

Ten krótki liścik zawierał w sobie nauczki. A co ważniejsze, nauczka było również to, co ją spotkało. Była jednak zbyt młoda, zbyt niewinna, zbyt naiwna, żeby ją teraz właściwie zrozumieć.

Być może zrozumie za jakiś czas.

Przecież miała teraz mnóstwo czasu.

Ale czy na pewno?

Było coś, o czym Jack nie mógł wiedzieć, pisząc swój list. To „coś” poraziło teraz świadomość Francie z taką siłą, że poczuła zawrót głowy.

Francie była w ciąży.

ROZDZIAŁ 19

Western Union, 4 września 1956

NADAWCA: Anton Magnus, Nowy Jork ADRESAT: Jack Magnus, na pokładzie M.S. Kungsholm, w drodze do Aten

DROGI JACKU

GRATULACJE STOP CIESZ SIĘ SWOIM MIESIĄCEM MIODOWYM STOP MAM NADZIEJĘ, ŻE NIE ŻYWISZ URAZY STOP

TATUŚ

NADAWCA: Jack Magnus, na pokładzie M.S. Kungsholm ADRESAT: Anton Magnus, Nowy Jork

DROGI TATO

BEZ URAZY STOP BIZNES TO BIZNES STOP BELINDA BARDZO SZCZĘŚLIWA STOP DO ZOBACZENIA PO POWROCIE STOP SERDECZNOŚCI

JACK

Księga II
GAMBIT KRÓLOWEJ

ROZDZIAŁ 20

„Wall Street Journal”, 10 września 1956

Magnus ogłasza przełom w dziedzinie komputeryzacji.

Rzecznik prasowy Działu Europejskiego Magnus Industries obwieścił rewolucyjne połączenie komputerowe między europejskimi filiami korporacji. Jest to pierwsze tego typu połączenie w świecie.

Robert A. Bach zreferował to podczas wczorajszej konferencji prasowej. Według Bacha, specjaliści od komputerów z Magnusa tutaj oraz w Paryżu, Londynie i Lozannie, wykorzystali komputer IBM w zmodyfikowanej formie i opracowane przez siebie programy, aby połączyć dane o marketingu, surowcach i zasobach finansowych wszystkich ośrodków europejskich, omijając barierę językową i walutową.

Spodziewamy się, że w wyniku całej tej operacji produktywność podniesie się o co najmniej 20% w następnych trzech kwartałach. A może nawet dużo więcej, powiedział Bach. Przeczuwamy, że nasi specjaliści dokonali epokowego przełomu, który wpłynie na całą przyszłość światowego biznesu.

Francie siedziała samotnie w mieszkaniu, wpatrując się w milczeniu w artykuł w „Journalu”.

Rozmyślała nad dziwnym faktem, że w artykule nie wymieniono nazwiska Jacka Magnusa. Była to wyrafinowana ironia, gdyż Jack był mózgiem całej tej historii, podobnie zresztą jak i sama Francie.

Świat wirował wokół niej, krystalizując się w formy, o jakich jej się nigdy dotąd nie śniło. Wszystkie reguły uległy zmianie. Wszystkie założenia odnośnie do niej samej, jej przeszłości i przyszłości, celu w życiu, runęły w gruzy. Na ich miejsce pojawiło się coś nowego i przeszywająco bolesnego, jak pęknięte lustro, w którym zniekształcone odbicie jest jedyną prawdą.

A jądrem tej prawdy była zdrada.

Obok artykułu w „Journalu” położyła zawiadomienie o ślubie Jacka i Belindy z „Timesa”. Zostało opublikowane tydzień

temu, ale ona miała mnóstwo czasu, poszła więc do biblioteki publicznej, gdzie otrzymała egzemplarz gazety. Zawiadomienie o ślubie było krótkie. Zawierało zdjęcia obojga narzeczonych, wzmiankę o ich sławnych rodzinach i, oczywiście, kilka słów na temat wybitnej kariery Jacka w Magnus Industries. Nie było ani słowa o długotrwałym, nieformalnym okresie narzeczeństwa. Nikt nie domyślał się historii kryjącej się za tym długo odkładanym ślubem. Czy sama Francie ją знаła?

Z tą myślą wstała, podeszła do półki z książkami, wyjęła tom, w którym ukryła liścik Jacka i wyciągnęła z niego złożony kawałek papieru. Chociaż jego dotyk sprawił, że zrobiło jej się niedobrze, zmusiła się, by go ponownie przeczytać.

Niemal natychmiast znalazła linijkę, której szukała.

To nie jest tak, jak się wydaje.

Francie roztrząsała to zdanie przez długi czas, po czym zestawiała je w myślach z artykułem z „Journalu”, zawiadomieniem o ślubie z „Timesa” i zdjęciami Jacka i Belindy, prawie tak, jakby to były elementy twierdzenia, które mogła zrozumieć dopiero po złożeniu ich w jedną całość.

Patrząc na fotografię Jacka, uświadomiła sobie, że jego podobieństwo do ojca było naprawdę uderzające. Dziwiła się, jak mogła przedtem tego nie widzieć. Coś w spojrzeniu ciemnych oczu łączyło ojca i syna o wiele bardziej, niż samo podobieństwo ich rysów. Ostatecznie, byli ulepieni z tej samej gliny.

Kiedy studiowała to zdjęcie, jej spojrzenie stawało się coraz zimniejsze, podobnie jak i jej serce. Przypomniła sobie słowa Jacka, gdy w Paryżu zaprzysięgał ją do milczenia na temat ich związku i planów małżeńskich.

Zachowajmy nasze plany w tajemnicy, mówił wtedy.

Uśmiechnęła się na myśl o własnej naiwności. Ta niemal biblijna sentencja „nie jest tak, jak się wydaje”, była perfekcyjnie ukuta, by ukarać jej głupotę i hańbę.

Teraz rozumiała, dlaczego Jack kazał jej przysiąc, że nie powie nikomu o ich miłości. Teraz rozumiała, dlaczego nie było pierścionka ani żadnego innego konkretnego drobiazgu, który świadczyłby o uczciwości zamiarów Jacka.

Nigdy nie zamierzał jej poślubić!

Cóż zatem zamierzał?

Chcę, żebyś ukończyła swój system, zanim obwieścimy światu nasze plany.

Po raz pierwszy od poznania Jacka logiczny umysł Francie odwrócił się od jego przystojnej fizjonomii, a skoncentrował na jego działaniach i ich konsekwencjach. Teraz wszystko było jasne. Wystarczyło spojrzeć na końcowe efekty jej przygody z Jackiem, by zrozumieć kierujące nim od samego początku motywy. Dzięki tajemnicy programowania, z takim trudem odkrytej przez Francie, Magnus Industries miały swój rewolucyjny system komputerowy.

A Jack ożenił się z Belindą.

Dlatego zaplanował sobie, żeby Francie skończyła system komputerowy przed ślubem. Z tym, że nie miał to być ślub z nią. Chciał też jak najdłużej czerpać przyjemność z ciała Francie i z jej namiętności, zanim nadszedł nieuchronny moment zdrady.

Taki nieunikniony, niemal matematyczny wniosek wypływał z wydarzeń, które kosztowały Francie utratę środków do życia i złamały jej serce.

A wszystkiego tego dokonał Jack.

Obcując z nim, Francie była ślepa jak dziecko. Teraz przestała być dzieckiem.

Od powrotu z Europy minęły dwa tygodnie. W ciągu tych dwóch tygodni praktycznie nic nie jadła i prawie nie sypiała, spędzając noce na analizowaniu potwornych faktów o sobie, o Jacku, o Magnus Industries.

Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że zło może posiadać taką głębię. Lecz kiedy już raz się z tym zetknęła, zasłona spadła jej z oczu. Zaczynała widzieć pewne sprawy jaśniej i klarowniej.

Wiedziała, że musi jakoś przetrwać ten epizod i żyć dalej. Wiedziała, że jest zrobiona z mocniejszego materiału, niż totalna, ogarniająca ją teraz rozpacz. Jest jeszcze młoda. Całe życie przed nią. Najważniejsza rzecz to nie pozwolić, by to, co zrobił jej Jack, złamało ją. Musi przetrzymać.

To dostrzegała z absolutną jasnością, jakby patrząc na siebie z boku.

Ale widziała też coś jeszcze, coś straszniejszego i bardziej naglącego.

Nie może zacząć żyć, zanim nie zniszczy innego życia. Ponieważ kradnąc jej serce, żeby je złamać, Jack posiał w niej swoje nasienie.

I to nasienie musi wyrwać ze swego łona, zanim zdąży zaowocować.

20 września Marcia Bonner, pracująca nadal jako sekretarka w Dziale Produktów Krajowych Raya Wilbura, usłyszała w słuchawce znajomy głos.

— Marcia, mówi Francie.

— Francie! Cudownie, że... To znaczy, cieszę się, że dzwonisz. — Marcia starała się usilnie ukryć zmieszanie. — Jak ci leci?

Na linii zapanowała cisza.

— Marcia — odezwała się po chwili Francie chłodnym, zrównoważonym tonem — kiedyś powiedziałaś, że jeśli będę potrzebowała czegokolwiek, pomożesz mi, pamiętasz?

— Ja... no jasne, Francie.

Marcia przypomniała sobie tamtą rozmowę. Miała ona miejsce dawno temu, kiedy Francie była zupełną nowicjuszką w Nowym Jorku i w Magnus Industries. Zaofiarowała się wówczas dzielić z nią swoją znajomość miasta wraz z jego najgorszymi i najlepszymi stronami. Teraz, po błyskawicznym awansie, a zaraz potem upadku Francie w firmie, była szczerze zaskoczona, słysząc starą przyjaciółkę na linii.

— Zrobię wszystko, co będę mogła — dodała. — Naprawdę. To będzie dla mnie przyjemność.

Między dwiema młodymi kobietami ponownie zapadła cisza. Kiedy Francie w końcu przemówiła, jej głos brzmiał tak głucho, że Marcia zaczęła podejrzewać, na czym polega jej kłopot.

— To nie będzie przyjemność dla żadnej z nas. Czy mogłybyśmy się spotkać dziś wieczorem u ciebie? Powiedzmy, około ósmej?

— Ależ oczywiście — odparła Marcia nieco nerwowo. — Do tego czasu nie rób głupstw, dobrze?

— Nie martw się o mnie. Do zobaczenia o ósmej.

Dziesięć dni po telefonie do Marcii Bonner, Francie zjawiała się w gabinecie doktora Brandta, internisty, z którym kontaktowała się półtora roku wcześniej, wykonując rutynowe badania przed podjęciem pracy. Młody, przystojny lekarz powitał ją ciepło, przypominając sobie krótkotrwałe, beznadziejne zadurzenie, jakie spadło na niego w trakcie jej pierwszej wizyty. Lecz jego uśmiech znikł, gdy zobaczył wyraz jej oczu i niebywałe wycieńczenie.

— Wszystko w porządku? — spytał ostrożnie. — Żadnych dolegliwości?

— Chcę, żeby pan mnie zbadał — odparła obojętnym tonem.

Po kilku minutach lekarz wiedział już, w czym rzecz i zrozumiał, dlaczego ta młoda, zdrowa kobieta znalazła się w jego gabinecie.

— Co się stało? — jego głos wyrażał głęboką troskę.

Wyraz jej oczu zdumiał go. Było to najzimniejsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek widział. Znając Francie jako pogodną, przyjazną dziewczynę, doktor Brandt nie wierzył własnym oczom. Wydawało mu się, że ma do czynienia z zupełnie inną osobą.

— Wypadek — odpowiedziała cicho.

Odmówiła dalszych wyjaśnień. Doktor zbadał ją dokładnie i stwierdził z ulgą, że aborcja wykonana została przez osobę kompetentną i nic nie wskazuje na zakażenie. Skierował ją do ginekologa praktykującego w tym samym budynku, a następnie zalecił dziesięciodniowy odpoczynek w łóżku. Po upływie tego terminu miała stawić się do kontroli.

Przyszła ponownie, zgodnie z jego zaleceniem, po dziesięciu dniach. Lekarz stwierdził, że wszystko dobrze się goi. Niepokoiło go jednak nadal jej zachowanie. Był w niej niemal nieludzki spokój. Wyglądała niewiarygodnie pięknie z tą swoją bladością, ale jednocześnie sprawiała wrażenie nawiedzonej, jakby doświadczyła czegoś zbyt potwornego, by można to było ujawnić.

Doktor nie mógł wiedzieć, że Francie, wychowana w wierze, iż aborcja jest niewybaczalnym przestępstwem, przeżyła poprzedni tydzień, zatracając się w nieskończonej nienawiści do wszystkiego, co uczyniono jej ciału i znajdującemu się w nim nienarodzonemu dziecku. To ciężkie przejście zmieniło ją w sposób, którego ona sama nie była w stanie zgłębić. Wiedziała, że na zawsze utraciła dotychczasową ufność, lecz nie wiedziała jeszcze, jaka cecha zajmie jej miejsce. Przyszłość miała pokazać, kim się stanie, jakiego rodzaju osobowość umożliwi jej przetrwanie. Ponieważ zamierzała przetrwać. Miała do załatwienia jedną niedokończoną sprawę.

Młody lekarz był już na wpół zakochany we Francie półtora roku temu. Teraz jego serce rwało się do niej jeszcze bardziej, a jednocześnie bał się o nią. Niepokoiła go intensywność w tych zielonych, pałających oczach. Świadczyła o niezwyklej zdolności do kochania, ale także do nienawiści.

Postanowił nie zgłaszać nikomu o tej ewidentnie nielegalnej aborcji. Przerażała go niemal myśl o kolejnych wizytach Francie w jego gabinecie. Cieszył się, że nie wie nic więcej o jej historii.

Kiedy w końcu obwieścił jej, że jest zupełnie zdrowa, podziękowała mu grzecznie, ucisnęła jego dłoń i więcej się nie pokazała. A on nadal śnił o niej podczas samotnych nocy. Lecz teraz fantazje na temat jej urody przyćmione zostały współczuciem dla jej cierpienia oraz lękiem o to, co wyniknie z zimnej determinacji, która zastąpiła jej radosną osobowość.

Przez następne tygodnie Francie bardzo dbała o siebie. Dobrze się odżywiała, łykała witaminy, gimnastykowała się. Odbywała długie spacerunki po Manhattanie, ciesząc się podmuchami jesiennego wiatru i starając się złapać jak najwięcej promieni słońca.

Potem zadzwoniła do ojca. Powiedziała mu, że ściągnięto ją do kraju, gdyż poważnie zachorowała, lecz teraz już wraca do zdrowia. Podczas jej rekonwalescencji, jak mu oświadczyła, paryska operacja komputerowa jest kierowana przez innych. Dodała, że jest to dla niej doskonałą sposobnością do złożenia wizyty w domu. Był wyraźnie zachwycony tą perspektywą.

Mac Bollinger wyszedł po córkę na stację. Nawet jeśli zauważył, jak bardzo się zmieniła przez ostatnie miesiące, nie dał tego po sobie poznać. Zabrał ją do domu, ulokował w jej starym pokoju i pomógł przygotować obiad.

Przez dziesięć dni niemal nie rozstawali się ze sobą. Cofnęli się do czasów, które niegdyś były ich wspólnym życiem. Francie uszyła dla Maca kilka rzeczy, robili razem zakupy, odbywali przejażdżki po okolicy. Mijali rodziny Amishów, poruszające się powoli po wiejskich drogach swoimi wozami. Na drzewach płonęły kolory jesieni, a powietrze przesycone było przenikliwym zapachem tej pory roku, pory śmierci i niewidzialnego odrodzenia. Gęste kępy sosny i brzoza strzegły granic pastwisk jak milczący strażnicy. Pensylwania była dla Francie najpiękniejszym miejscem na świecie.

Wieczorami siadywali na ganku. Kołysząc się w bujanych fotelach, rozmawiali o wszystkim, odrabiając zaległości ostatnich miesięcy.

Słaba kondycja psychiczna sprawiała, że Francie trudniej było okłamywać ojca. Niemniej jednak każde słowo o doświadczeniach w Magnus Industries było kłamstwem. Kłamstwem, w które musiała brnąć, skoro już raz zataiła prawdę o tym, jakim sposobem otrzymała posadę w Magnusie, a które rozrastało się teraz do monstrualnych rozmiarów. Opisywała ojcu swój paryski sukces, charakteryzowała przyjaciół tam i w innych krajach, mówiła o nagłej chorobie, wskutek której znalazła się we francuskim szpitalu, zanim wróciła do Stanów. Zdołała mu wmówić, że po tym krótkim urlopie czeka ją dalsza, obiecująca kariera w nowojorskim oddziale Magnusa.

Inwencja i pomysłowość, jaką musiała z siebie wykrzesać przy tak wielu łgarstwach, wyczerpały ją totalnie. Do tego stopnia, że przez pierwszych kilka dni miała wrażenie, iż robi się coraz słabsza, zamiast nabierać sił. Snuła się po domu, robiąc dobrą minę do złej gry.

Później poczuła się lepiej.

Mac nie mógł wiedzieć, że ta odzyskana energia płynie z nowych pomysłów, rodzących się w jej płodnym umyśle. Francie zaczynała snuć plany.

Do przeszłości należały burzliwe wydarzenia minionego roku. Zamknęła za sobą rozdział bólu i słabości. Teraz mogła odcinać kupony od swoich blizn i swojej siły.. Plan śmiałego działania przybierał już realne kształty. ^x

Po dziesięciu dniach pożegnała Maca Bollingera, mówiąc, że musi wracać do pracy. Dodała też, że jej numer telefonu ulegnie zmianie i że wkrótce przekaże mu nowy. Oczywiście, adres domowy pozostanie taki sam.

Zasnucona rozstaniem z ojcem, lecz szczęśliwa, że wreszcie wypłatała się z pajęczyny serwowanych mu kłamstw, Francie wróciła na Manhattan.

Od razu zabrała się za studiowanie w gazetach ogłoszeń o pracy. Zakupiła trochę nowych fatalasek i jadła na potęgę, żeby jak najszybciej przybrać na wadze i zdrowo wyglądać. Potem zaczęła składać podania o pracę w różnych wielkich firmach.

Proponowano jej posady niemal wszędzie, gdzie się udała. Lecz ona odrzucała te oferty.

W każdym z tych wielkich przedsiębiorstw dostrzegała wyraźnie, na pierwszy rzut oka, to samo uprzedzenie do kobiet, które było tak nieodłączną cechą Magnus Industries. Mogła z łatwością otrzymać pracę, ale jej pozycja i zarobki były-

by o niebo niższe, aniżeli w przypadku mężczyzny. Walka o awans i uznanie byłaby powolna i frustrująca. Nie chciała zaczynać wszystkiego od początku.

To zmusiło ją do ponownego przemyślenia i zrewidowania swoich planów. „Rozkład jazdy”, jaki sobie ustaliła, nie dopuszczał tak powolnego pięcia się w górę.

Postanowiła spróbować innego sposobu.

Pewnego wietrznego listopadowego dnia, osiem tygodni po utracie dziecka, dwa i pół miesiąca od zdrady, która zmieniła jej życie, Francie pewnym krokiem wkroczyła do Izby Handlowej na Manhattanie. Ubrana była w klasyczny kostium, a jej wyszczotkowane włosy lśniły jak bujna grzywa w mdłym świetle biurowych lamp.

— Chciałabym się dowiedzieć, w jaki sposób mogłabym rozkręcić własny interes na Manhattanie — zwróciła się do urzędnika.

— Nie ma sprawy. Wszystkie potrzebne informacje znajdzie pani w naszych broszurach. Pani pozwoli, że wręcę kilka.

Z uśmiechem odebrała materiały. Zafascynowanemu jej urodą urzędnikowi nie przyszło nawet do głowy, że dziękująca mu piękna dziewczyna widzi nie jego, lecz zupełnie inną twarz.

Była to twarz Jacka Magnusa.

A za nią, w tle, widniało oblicze Antona Magnusa.

ROZDZIAŁ 21

Anton Magnus został pogrzebany żywcem.

Trumna była ciaśniejsza, niż sobie wyobrażał. Niemożliwe było poruszać się czy oddychać. Wyściełana atlasem, cuchnąca i obrzydliwa, otaczała go ze wszystkich stron.

Nie mógł się bronić, nie mógł krzyżeć, nie mógł zrobić nic, by wydostać się z tego ohydneho więzienia. A jednak żył!

To była pomyłka, monstualna pomyłka. Uległ jakiemuś błahemu wypadkowi, a może zwykłemu omdleniu czy atakowi jakiejś choroby. Był żywy, choć sparaliżowany. Ale ci idioci lekarze wezwani na konsultacje, w tych swoich okularkach i ze stetoskopami, oznajmili w swej zbiorowej niekompetencji, że nie żyje. Pomrukiwali przy tym coś do siebie ściszym, za-

troskanym tonem, wiedząc, że jest on ważną osobistością i że jego śmierć jest ważnym wydarzeniem. Potem kazali umieścić go w tej trumnie.

Przez całe życie uczył się nie ufać nikomu, poza sobą samym, ponieważ wiedział, że wszyscy ludzie to słabeusze i głupcy. A jednak teraz, wskutek okrutnego zrządzenia losu jego życie znalazło się w rękach takich właśnie ludzi, a oni w swej przerażającej głupocie złożyli go do grobu.

Był ważnym człowiekiem, najważniejszym ze wszystkich. I dlatego trumna była z bezcennego drewna i metalu, najlepszego, jaki można kupić za pieniądze. Została wykonana na zlecenie pogrążonej w smutku rodziny. A teraz on spoczywał w środku, bezradny, niemy, lecz żywy.

Przysypane ziemią, kosztowne pudło z wypolerowanymi deskami i drogocennymi materiałami, nie było w stanie oprzeć się powolnemu atakowi przeróżnych żyjątek, korodujących gazów, bakterii i grzybów. Skrzynia próchniała, nie będąc już schronem, tylko więzieniem.

Panujący w niej odór nie dawał się porównać z niczym, co wachał w najgorszych czasach na ziemi. Gorszy niż wszelkie smrody z okresu wojny, nędznej młodości, przerażających nocnych koszmarów. Słodkawy, dojrzały i niewiarygodnie przenikający. Wpełzał w głąb niego i otulał go jak całun.

Teraz uświadomił sobie, dlaczego ten odrażający fetor jest mu tak znajomy. Był to smród jego własnego rozkładu, powolnego rozpadania się komórek, gnicia mięśni. Ciche, ohydne unicestwienie całego jego jestestwa.

Byłby wypłakał sobie oczy z wściekłości, zdał płuca, rycząc w panice i bólu, gdyby nie bezgłos i bezruch będące kwintesencją tej kary. Nie mógł się poruszyć, nie mógł nawet zakwilić. A mimo to jego nerwy napięte były do granic wytrzymałości. Całe jego istnienie znajdowało się w ostatniej fazie szaleńczej ucieczki, kiedy organizm wie, że spełniły się jego najgorsze lęki, że drapieznik dopadł go wreszcie w obrzydliwym triumfie.

Ale on nie mógł uciekać. Mógł jedynie leżeć tutaj i doświadczać ostatecznego, wyjącego paroksyzmu strachu, gdy rozciągająca się w nieskończoność chwila trawiła go jak cicho wgryzający się robak.

I teraz dotarł do niego prawdziwy horror tej sytuacji. Ponieważ robak nie był jedynie wymysłem. Był rzeczywistością. Długi, falujący, oślizły robal, wygrzebujący sobie z nieskoń-

czoną cierpliwością drogę, z wolna przemierzający gnijące drewno skrzyni, torujący sobie dojście przez szpary, przezuwający z łatwością pikowany atlas, dopóki nie dotrze do bezbronnego, unieruchomionego ciała.

A to nie był jeden robak. Były ich setki, tysiące. Wszystkie dążące do jego więzienia, zbliżające się coraz bardziej, skrętami obłego ciała przebijające się przez ziemię, drewno, atlas. Wyraźnie słyszał odgłosy ich poruszania się, pocierania, wgryzania.

Ponieważ one mają zęby. Małeńkie, silne ząbki, które rozrywają i mielą na proch. Mają też soki trawienne, które kończą dzieło unicestwiania. Nie są słabymi żyjątkami, lecz potężnymi niszczycielami, potężnymi pożeraczami padliny.

Podchodziły coraz bliżej. Pierwszy już włożył na jego pierś, przesuwając się do gardła, do policzka, przepełnając z ohydny falowaniem wzdłuż nosa, zmierzając z niezawodną cierpliwością i precyzją w kierunku oka...

Anton Magnus zerwał się z krzykiem.

Przez chwilę rozglądał się dokoła niewidzącymi oczyma, ciągle oślepiony przerażającym, nękającym go od lat koszmarem.

Ciężko dysząc, zaczął rozpoznawać otoczenie. Był w swoim gabinecie, w domu, usadowiony wygodnie w fotelu przy szachownicy. Musiał się chyba zdrzemnąć po obiedzie, rozgrywając partię pomiędzy Capablancą a Czerniakiem z mistrzostw w Buenos Aires w 1939.

Spojrzał na zegar. Północ. Spał zatem przez półtorej godziny. Nikt oczywiście nie zastukał do drzwi. Wydał ściśle instrukcje, zgodnie z którymi nikomu nie wolno było, pod żadnym pozorem, przeszkadzać mu, gdy wchodził sam do gabinetu. Chyba, że zaszłoby coś nadzwyczajnego.

Wieczory takie jak ten, spędzane samotnie nad szachownicą, były okazją do przeanalizowania tysięcy szczegółów i wyrobienia sobie poglądu na różne sprawy, tak by następnego dnia lub tygodnia był gotów do podjęcia decyzji, która mogła wpłynąć na tysiące ludzi i miliony dolarów.

Lubił siadywać ze starym calvadosem, ostrą, jabłkową brandy przypominającą mu młodość na farmie, i z namaszczeniem rozgrywać wielkie partie szachowe, partie, których ru-

chy znał na pamięć. Lubił chłodny spokój figur szachowych, połączony w rzeczywistości z brutalną siłą, wypływającą z ich pozycji na szachownicy.

Szachy to, mimo powierzchownej elegancji, okrutna gra. Przesuwając niepozornymi ruchami małe, bezduszne ludziki na planszy, można było zacisnąć sznur na szyi przeciwnika i wydusić z niego życie.

W prawdziwym świecie było tak samo. Szachy już dawno nauczyły Antona Magnusa, jak wykorzystywać potęgę wrogów na ich niekorzyść, jak obracać przeciwko nim ich własną siłę, jak sprawiać, żeby padali, potykając się o własną inicjatywę i intelekt. To dzięki szachom Anton Magnus był zawsze górą. On zadawał śmiertelne ciosy, zaciskał mocniej pętlę i dobijał ofiarę, zabierając do domu swoje zwycięstwa.

Anton Magnus westchnął, patrząc na ukochane figury szachowe. Komplet ten wykonany został specjalnie dla niego przez najlepszych rzeźbiarzy we Włoszech. Figurki zrobione były z turkusów, jadeitów, onyksów i innych drogocennych kamieni. Szachownica była marmurowa. Na suficie nad nią zainstalowano specjalny zestaw lamp tak, by rzucał światło na te przepiękne, miniaturowe dzieła sztuki, wydobywając ich kształty i kolory, nie męcząc jednocześnie oczu grających.

Estetyczna przyjemność płynąca ze spoglądania na figurki dorównywała niemal przyjemności z samej gry. Anton odprężył się. Nocny koszmar odpłynął; był bezpieczny w domu, w swoim gabinecie, niepokonany jak zawsze. Studiował szachownicę, scenę zjadłej, niemej walki. W samym środku rozgrywki Czerniak odparł atak Capablanki serią desperackich posunięć i wydawał się o krok od zakończenia gry. Lecz Capablanca, zawsze wyczulony na subtelne słabości w strategii przeciwnika, powstrzymał go pojedynczym ruchem skoczka i wykończył go po trzynastu dalszych ruchach.

To była wielka gra, arcydzieło logiki i strategii. Dla Antona Magnusa była jak nauczyciel i stary przyjaciel. Lecz w miarę, jak się starzał, wydawała się mniejszym ideałem do naśladowania niż obraz jego własnego życia, stanowiący pomnik jego geniuszu.

Ponieważ Anton Magnus był, na swój własny sposób, geniuszem.

Zamknął teraz oczy i przypomniał sobie pierwszy ruch, dzięki któremu wszedł do biznesu i zapoczątkował Magnus Industries.

To było takie proste! Był wówczas dwudziestoczteroletnim imigrantem, którego oszczędności życiowe nie wystarczały na zakup starego modelu forda. Jego ofiarą był niejaki James Q. Fitzgerald, przebiegły i chciwy biznesman z Chicago, który zamierzał zrobić szybkie i łatwe pieniądze.

Fitzgerald posiadał lukratywną sieć sklepów detalicznych na Obwodnicy Chicagowskiej. Zatrudnił Magnusa jako kierownika nowego sklepu na State Street. W zamian za swoją wspaniałomyślność oczekiwał, że Magnus włoży w firmę trzysta dolarów, dokładnie tyle, ile wynosiły jego marne oszczędności. Pieniądze miały być zwrócone, jak tylko sklep zacznie przynosić zysk.

Prawda była taka, że Fitzgerald chciał zagarnąć gotówkę. Po jakimś przyzwoitym okresie zwolniłby Magnusa i znalazł nową ofiarę, kolejnego nic nie podejrzewającego imigranta, który z pocałowaniem ręki przyjąłby oferowaną posadę i zapłacił za przywilej. Na takiej właśnie taktyce Fitzgerald zbił swoją fortunę.

Ale Magnus przejrzał jego machlojki i sam obmyślił pewien plan.

James Fitzgerald był zadurzony w ślicznej katolickiej kelnerce, Mary O'Shea. Nadskakiwał jej od jakiegoś czasu, ale ona odrzucała jego zaloty, przypominając mu z jednej strony o żonie i trzech synach, z drugiej zaś czyniąc aluzje do swego dziewictwa. Strzegła go, jak twierdziła, dla bliżej nieokreślonego Księcia z Bajki, za którego kiedyś spodziewała się wydać. Lecz ogniki w jej oczach i subtelna mowa ciała w obecności Fitzgeralda dawały mu nadzieję i utrzymywały jego pożądanie w punkcie wrzenia.

Anton Magnus wywiedział się o dziewczynie i spędził z nią wieczór. Oczarował ją niezwykłą uprzejmością i omotał pięknymi słówkami, jaskrawo kontrastującymi z gburowatymi umizgami Fitzgeralda.

Pod koniec tego wieczoru plan był gotowy. Kiedy następnym razem Fitzgerald zaczął nagabywać Mary, ta zgodziła się spędzić z nim noc. Umówili się na środę w szykownym hotelu przy Michigan Avenue. Fitzgerald, nie posiadając się z radości, nie zadał sobie trudu, by odgadnąć, co spowodowało tak raptowną zmianę w sercu dziewczyny.

Rozkosz, jakiej doznał

w czasie schadzki, wynagrodziła mu z nawiązką długie oczekiwanie. Mary była nieśmiałą, ale obdarzoną intuicją kochanką i oddawała mu się na tak wymyślne sposoby, że omdlewał z przyjemności.

Rankiem po tym spotkaniu Fitzgerald odkrył, że z kółka z kluczami zniknął klucz do jego biura sąsiadującego z giełdą walutową. Wezwał ślusarza, by ten wpuścił go do własnego lokalu, po czym stwierdził, iż w nocy skradziono mu zbywalne papiery wartościowe o wartości kilku tysięcy dolarów.

Zaczął natychmiast podejrzewać Mary O'Shea. Nie mógł jednak kazać jej aresztować, nie ujawniając przy okazji ich intymnego związku. To, że dowiedziałyby się jego żona, było dla niego bez znaczenia, ale wszystko doszłoby także do jego matki i ojca w Starym Kraju. A dobra opinia rodziców i rozgałęzionej rodziny była czymś, bez czego nie mógłby żyć.

Tak więc Fitzgerald udał się osobiście do wynajętego pokoiku młodej damy, zamierzając nakłonić ją do zwrotu papierów wartościowych w zamian za obietnicę, iż nie wystąpi przeciwko niej na drogę sądową.

Lecz Mary O'Shea wyprowadziła się ze swojego locum, nie pozostawiając żadnego adresu.

Fitzgeraldowi nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się ze stratą i wrócić do interesów.

Podczas gdy Fitzgerald przeklinał swojego pecha, Anton Magnus sprytnie inwestował na giełdzie skradzione papiery, zamieniając kilka tysięcy Fitzgeralda w sto tysięcy.

Wówczas nadszedł czas na mistrzowskie posunięcie.

Magnus przyszedł do Fitzgeralda i przyznał się otwarcie do kradzieży. Nadmieniając o swym ubóstwie i pragnieniu odbicia się od dna, opowiedział mu o dokonanych przez siebie inwestycjach i zwrócił „pożyczone” papiery wartościowe.

W tym momencie poczynaniami Fitzgeralda zaczęła kierować chciwość. Zażądał od Magnusa zwrotu 90% kapitału uzyskanego w wyniku kradzieży, za co obiecał nie meldować o niczym władzom.

Usta Antona wykrzywiły się wtedy w uśmiešku, na widok którego w przyszłości najpotężniejsi ludzie mieli się kurczyć ze strachu. Jego ciemne oczy przewiercały Fitzgeralda na wylot, kiedy składał mu swoją ofertę. On, Magnus, wykupi Fitzgeralda i stanie się wyłącznym właścicielem sieci sklepów za sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów, stanowiącą w przybliżeniu jedną czwartą ich rzeczywistej wartości.

Jak było do przewidzenia, stary wyga roześmiał się w twarz aroganckiemu imigrantowi.

Przestał się śmiać, kiedy zobaczył asa atutowego Magnusa.

Była nim koperta zawierająca fotografie dokumentujące namiętny wieczór spędzony przez Fitzgeralda w ramionach pięknej Mary O'Shea. Aparat fotograficzny przepięknie uchwycił najintymniejsze części ich nagich ciał i urozmaicone pozycje miłosnych igraszek.

Do zdjęć dołączony był kontrakt przewidujący transfer własności sieci sklepów Fitzgeralda Antonowi Magnusowi. Anton oświadczył Fitzgeraldowi, że ma dwie minuty na podpisanie kontraktu. W przeciwnym razie odbitki kompromitujących fotografii zostaną opublikowane w następnym wydaniu chicagowskiej „Trybuny”, wraz z obszernym wywiadem, w którym Mary O'Shea wyznaje, iż została uwiedziona przez biznesmana i zmuszana do czynów nierządnych.

Podpis Fitzgeralda znalazł się na kontrakcie w przeciągu minuty.

Magnus był teraz jedynym posiadaczem lukratywnej sieci sklepów oraz pięćdziesięciu tysięcy dolarów, jakie pozostały mu z pieniędzy zarobionych na giełdzie.

W ciągu następnego roku Magnus zrobił ze swoich pięćdziesięciu tysięcy milion. W ciągu pięciu lat zamienił sieć sklepów w imperium handlowo-produkcyjne, rozciągające się na całym Środkowym Zachodzie. Wkrótce dodał do swego stanu posiadania kopalnię srebra w Nevadzie i dwa pozornie wyschnięte szyby naftowe, z których niedługo potem popłynęła ropa.

Pod koniec dziesięciolecia Magnus Industries, bo taką nazwę przyjęło powstałe ze zlepku firm imperium, miało wartość trzydziestu milionów dolarów.

Mniej więcej w tym samym czasie zapomniany dawno przez świat biznesu James Fitzgerald, zrujnowany człowiek, który rozpił się i przepuścił wszystkie oszczędności przy stołach gry, popełnił bez rozgłosu samobójstwo, wkładając głowę do piecyka i odkręcając gaz.

Tak to Anton Magnus wykorzystał zarówno chciwość, jak i seksualne słabostki swojej ofiary przeciwko niej.

Przeprowadził bardzo skrupulatne rozpoznanie, zanim zrobił pierwszy ruch. Wiedział wszystko o praktykach

Fitzgeralda w biznesie, o jego metodzie wykorzystywania biednych imigrantów do napychania własnych kieszeni.

Wiedział też o układach mał-

żeńskich i o tym, jak bardzo zależało mu na dobrym zdaniu rodziny na jego temat.

Co więcej, pierwsza rozmowa z Mary O'Shea ujawniła, że jej dziewczęctwo to mit, że już dawno złożyła z niego ofiarę na ołtarzu życia w wielkim mieście.

Po epizodzie z Fitzgeraldem Magnus porywał się na coraz to większe rzeczy. Lecz pozostał wierny pierwotnej strategii: nigdy nie walczył z przeciwnikiem bez wcześniejszego, dogłębnego rozeznania się w jego słabościach. I nigdy nie brał jeńców. W ciągu pierwszych dziesięciu lat działalności zawodowej doprowadził do śmierci co najmniej tuzina facetów, ponieważ tam, gdzie w grę wchodziły pieniądze, nie uznawał kompromisów. Chciał mieć wszystko.

Dziś, po czterdziestu latach, Anton Magnus miał wielu wrogów. Lecz mogli oni jedynie lizać zadane przez niego rany, ponieważ jego potęga wykluczała możliwość jakiegokolwiek zemsty. Magnus dokonał największej sztuki, jakiej może dokonać człowiek w biznesie: wszyscy się go bali. A ponieważ strach rodzi uległość, nikt nie ośmielał się powiedzieć mu „nie”.

Los był łaskawy dla Antona Magnusa. Miał żonę pochodzącą z jednej z najlepszych rodzin w kraju (niemało wysiłku kosztowało wydarcie jej ojcu), wspianego syna oraz dwie urocze córki. Był bardzo szczęśliwy.

Czerpał z życia pełnymi garściami. Miał wszystkie kobiety i wszystkie przyjemności, jakich zapragnął. Ale nic z tych rzeczy nie dorównywało grze w szachy, jaką było samo życie. Ludzie podobni Magnusowi nigdy nie żyją dla samej tylko przyjemności. Żyją dla wyzwania i po to, by spełnić się, dokładając osiągnięcie do osiągnięcia.

Nienasycona żądza dokonań czyni ich wielkimi, podczas gdy ludzie mniejszego kalibru, łatwo satysfakcjonowani przez zwierzęce przyjemności, przemijają bez śladu.

Anton Magnus był uosobieniem sukcesu.

Co prawda od wielu lat nawiedzał go senny koszmar, w którym był grzebany żywcem, ale to w niczym nie przeszkadzało. Ten straszny sen przyśnił mu się po raz pierwszy jakoś tak pod koniec pierwszej dekady jego pobytu w Ameryce. I od tamtego czasu go nie opuszczał. Pogodził się już z tą niedogodnością, ponieważ za każdym razem, kiedy się budził, uświadamiał sobie, że to tylko sen i że na jawie może robić to, co mu się żywnie podoba.

Z drugiej strony, lata mijały. Zbyt wiele ich minęło w cichym przepływie, którego nie był w stanie zatamować. Jak wszyscy ludzie o ogromnej władzy, Magnus musiał żyć z okrutną świadomością, że jego wpływy na świat nie rozciągają się na własne ciało ani na upływ czasu, który je stopniowo osłabia. Ironia losu polegała więc na tym, że za swoje miliony nie mógł kupić młodości.

I dlatego ten znajomy koszmar napawał go coraz większym lękiem, przypominając mu o tym, co go czeka, gdy nadejdzie śmierć.

Z tego też powodu już dawno temu zdecydował, iż po śmierci jego ciało ma zostać poddane kremacji. Wydał dokładne instrukcje, jakie badania medyczne mają zostać przedtem przeprowadzone, a nawet ustalił nazwiska lekarzy, którzy mają je wykonać. Tę klauzulę testamentu stale modernizował. Precyzowała ona także, że kremacja ma zostać dokonana w godzinę po wystawieniu świadectwa zgonu.

Pewność, iż w ten sposób uniknie losu z nocnych koszmarów, zapewniała mu komfort psychiczny. Wstydział się uczucia strachu, które nim kierowało, ale tłumaczył sobie, że każdy ma prawo bać się śmierci.

Tak długo, jak zachowa oddech i umysł, będzie dominował nad otaczającym go światem. Również po śmierci zostawi niezatarty ślad na świecie i ludziach. A dla tych, którzy go skrzywdzili czy ściągęli na siebie jego gniew, zarezerwuje długofalową zemstę, za pomocą różnych planów sprytnie wkomponowanych w jego interesy. Zostawił swoim przybocznym wiele obowiązujących instrukcji, w myśl których ci „niegodziwcy” wpędzeni zostaną w skrajną nędzę. Ukarze ich nawet zza grobu.

Żywy czy martwy, Anton Magnus był potęgą, z którą należało się liczyć.

Spojrzał znad szachownicy na antyczny zegar stojący na półce. Kwadrans po dwunastej.

Na drugim końcu miasta wyczerpana opieką nad maleństwem Gretchen już pewnie dawno śpi. Ciekawe, czy jej nic nie wart mężulek jest w domu? Prawdopodobnie nie. Prawdopodobnie pieprzy gdzieś teraz jakąś gwiazdkę filmową lub siedzi przy karcianym stoliku. To małżeństwo okazało się totalną klapą. Lecz pod względem finansowym spełniło swój cel.

Jack jest pewnie albo w domu, z Belindą, albo w biurze. Nikt nie pracuje ciężiej od niego.

A to dlatego, że nikt nie wie lepiej od niego, na czym polega biznes. Nauczył się tego od swojego ojca i nigdy nie zapomni.

Anton Magnus był dumny z syna. Ale to nie oznaczało, że mu ufał. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że Jack zakończył romans z tą ślicznotką Bollinger i ożenił się mimo wszystko z Belindą, gdyż rozumiał, że nie był to odpowiedni moment na narażanie się ojcu. To czysta strategia, wymuszone posunięcie.

Jack grał na wyczekiwanie. Spełnił łaskawie wolę ojca, bo wiedział, że od niego zależy przekazanie rządów największej korporacji w kraju w ręce syna, kiedy nadejdzie nieunikniony moment przejścia na emeryturę.

Jack wierzył, zresztą prawidłowo, że czas pracuje na jego korzyść. Uszczęśliwił na krótką metę ojca po to, by z jego zniedołężniałych rąk przejąć ster Magnus Industries. A wtedy będzie mógł postępować po swojemu, nie przejmując się nikim i niczym. W głębi duszy Jack, tak jak wcześniej jego ojciec, troszczył się tylko o siebie.

Takie postawienie sprawy odpowiadało Antonowi, ponieważ chciał, żeby korporacja została w rodzinie i żeby na jej czele stanął ktoś, kogo zna i czyje działania jest w stanie przewidzieć.

Była to interesująca rozgrywka szachowa między ojcem, którego siły były nadszarpnięte przez czas, lecz intelekt i przebiegłość pozostały nienaruszone, a sprytnym synem, który wierzył, iż wystarczy jedynie przeczekać, a klucze do królestwa przejdą w jego ręce.

Mimo podeszłego wieku Anton zamierzał wygrać tę partię. Podziwiał zdolności Jacka i pragnął wykorzystać je maksymalnie. Miał odnośnie do Jacka i Magnus Industries dalekosiężne plany, obejmujące nawet okres po swym przejściu na emeryturę. Jako mistrz szachowy uważał, że jego obowiązkiem jest pociągać za sznurki, nawet kiedy osobiście nie będzie już szefem.

Jack miał oczywiście inne wyobrażenia. Nie mógł się doczekać, kiedy pozbędzie się ojca i zacznie działać po swojemu.

Lecz Jack, jakie by nie były jego zalety, nie był nawet w połowie takim człowiekiem jak jego ojciec.

A gdzie jest w tej chwili Julie?

Pewnie gdzieś się szlaja, w towarzystwie jednego z tych swoich żigolaków. Jest niewątpliwie zalana, jak zwykle. A może tym razem dla odmiany próbuje narkotyków? Znow wpakuje się w jakąś kabałę.

Tak czy inaczej, niedługo wróci do domu.

Anton postanowił, że złoży jej dzisiejszej nocy wizytę.

Cofnął się myślami do wcześniejszych lat swojego małżeństwa, kiedy już dawno stracił pociąg fizyczny do żony i kiedy zaczęły go nudzić łatwe podboje w kręgach młodych, chętnych, ambitnych dam.

To właśnie wówczas złapał się na tym, że fascynuje go mała Gretchen.

Była prawidłowo rozwijającym się, inteligentnym i afektowanym stworzonkiem. Może właśnie to, w połączeniu z osobliwym widokiem wrzecionowatych, dziewięcioletnich nóżek, delikatnych rączek i specyficznym dziecięcym zapachem, pociągało go w niej najbardziej.

Początkowo tylko myślał o tym, by spróbować z nią seksu i myśl ta bawiła go. Potem rozważył wszystko dokładnie i opamiętał się. Ostatecznie ona była jego ciałem i krwią. Bezbronnym dzieckiem...

Opamiętanie trwało jednak krótko. Którejś nocy zakradł się do jej pokoju, zbudził i uwiódł.

Oddała mu się z uległością, z oczyma pełnymi przerażenia, bez słowa przyjmując jego ostrzeżenie, że nie wolno jej nigdy i nikomu wspomnieć o tym, co między nimi zaszło. A przyjemność, jaką dało mu jej drobne ciało, była niczym w porównaniu z podnieceniem wywołanym złamaniem tajemnego prawa zakazującego kazirodztwa. Nie odczuwał żadnych skrupułów.

Z czasem Gretchen stawała się coraz bardziej niespokojna, zaszczuta, a on wiedział, że przyczyna tego stanu leży w tym, co z nią wyczynia nocami. Lecz to go nie powstrzymało. A gdy Julie miała sześć lat i stała się o niebo piękniejsza od Gretchen i o wiele bardziej od niej rozgarnięta, zrobił z nią to samo.

Z Julie pikantne poczucie grzechu i niebezpieczeństwa było nawet większe, ponieważ za odrazą i strachem w jej oczach kryło się coś dzikiego, podniecającego. Kiedy dorosła, ta dzikość stała się nadzwyczaj gwałtowna, destrukcyjna. Była motorem jej postępowania, wpędzając ją w coraz to gorsze tarapaty.

I to także działo się za przyczyną Antona Magnusa.

Kiedy jego dziewczynki stały się starsze — Gretchen niezmiernie zastraszona i pasywna, a Julie zuchwała i wymykająca się spod kontroli — niekiedy zadawał sobie pytanie, czy w końcu spadnie na niego jakaś kara za to, co im zrobił. Ostatecznie kazirodztwo jest grzechem śmiertelnym. Nawet człowiek tak arogancki jak Anton Magnus czuł się trochę nieswojo na myśl, iż zrobił coś wbrew naturze, powodując nie dające się oszacować szkody. Z drugiej jednak strony łamanie tabu to cecha wielkości.

Myśl ta łechtąła jego dumę.

Naszła go refleksja, że w wielu społecznościach, nawet w społeczności chrześcijańskiej, zaledwie kilkaset lat temu kazirodztwo postrzegano jako prawo mężczyzny, który był królem na swym własnym zamku. Dopiero w czasach współczesnych prohibicja stała się uświęconym zwyczajem, a kazirodztwo jest uznawane za ohydny zbrodnię.

Anton uważał się za jednostkę z cechami pierwotnymi z czasów, kiedy mężczyźni wolno było robić co chce ze swoim „inwentarzem”, ze wszystkimi tymi babami pod jego dachem.

W ten sposób usprawiedliwiał się. Nie był zwyczajnym facetem i dlatego nie musiał przestrzegać zwyczajnych reguł. Tak więc zaspokajał swoje zboczone popędy z Gretchen, a potem z Julie, nie nękany wyrzutami sumienia.

W końcu, jak czasem mawiał do siebie, one były tylko kobietami. Nie robiłby tego ze swoim męskim potomkiem. Przecież nie robił tego z Jackiem.

Z tą myślą podniósł się, by wziąć prysznic, a potem poczytać w łóżku, czekając na powrót Julie.

Z westchnieniem zadowolenia zgasił światło nad szachownicą. Pionki były dokładnie tam, gdzie chciał je mieć.

Ustawił je tam i tam pozostaną, dopóki nie postanowi ponownie ich przesunąć.

Był mistrzem swojego świata.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy Anton Magnus ziewał przy szachownicy, jego córka Julie leżała na brzuchu wśród skotłowanej pościeli, a z jej ust wyrwały się tłumione westchnienia rozkoszy.

Johnny był w niej, wciśnięty tak głęboko, iż zdawało się, że wziął w posiadanie całe jej ciało. Jego powolne pchnięcia tak

porażały ją swą siłą i intymnością, że jej cichutkie okrzyki stanowiły zmysłową mieszankę cierpienia i rozkoszy. Pracował na niej płynnie, nie tak jak inni faceci, pompujący tylko w jej drobne lędźwie, lecz próbując, badając, rozpalając każdą cząstkę jej ciała, udowadniając każdym pchnięciem, że ona jest jego rzeczą, jego niewolnicą, że żadne z jej sekretnych miejsc nie zapomni nigdy jego dotyku i nie przestanie się go domagać.

— No chodź, maleńka — zamruczał i wbił się w nią głębiej, jakby chciał ją przebić na wylot.

— O Boże! — krzyknęła w poduszkę. — O Boże...

Lecz jej jęki nie były w rzeczywistości skargami. Były krzykami upojenia, upojenia dumnej dziewczyny, która nie lubi rezygnować z wolności dla żadnego mężczyzny i której poddanie się jest tym samym gorętsze i bardziej pikantne dla rzadkiego okazu samca, który potrafi je na niej wymusić.

— Kochanie — zaczął się przymilać, widząc, że dziewczyna jest na krawędzi orgazmu i że to pełne napięcia wyczekiwanie sprawia jej przyjemność. — No już. Daj to tatusiowi.

Jego słowa odniosły skutek. Wypłakując swoją przyjemność w prześcieradła, podarowała mu ostatni jęk i spazm, po czym oklapła ze strumieniami łez spływającymi po policzkach.

Dopiero teraz wepchnął się powoli do samego końca i trzymając ją pewnie i spokojnie dużymi dłońmi, wypuścił w nią białą rzekę rozkoszy.

— O Boże, Boże... — wyrwało się jej mimo woli.

Przez dłuższą chwilę pozostawali w tej pozycji, jego ręce na jej pośladkach, jego seks pulsujący w niej, jakby nie miał zamiaru skurczyć się i wycofać. Cieszyła go świadomość, że tak całkowicie ją wypełnił i że tak całkowicie ją posiadał.

Spojrzał w dół na jej małe ręce zaciskające się i rozwierające na prześcieradłach. Studiował kształt jej pleców, kruchy kręgosłup, szczupłe ramiona i śliczne półkule, między którymi pogrzebany był jego członek. Jakże ona jest zachwycająca! Tak uległa w jego ramionach, a jednocześnie z tak silną wolą w tych chłodnych, niebieskich oczach. Z wolą, którą tak lubił łamać. A także z tak błyskotliwą inteligencją, inteligencją, którą mógł zredukować do ocieźiałego, zwierzęcego poddaństwa, jeśli miał taki kaprys.

Ale to wszystko nie było takie proste.

Teraz, znając Julie lepiej, łapał się na tym, że pragnie jej inaczej niż pozostałych kobiet. Fascynowała go jej filigranowość, jej gładka, niemal porcelanowa skóra. Imponowała mu też perwersyjność, z jaką akceptowała go we wszystkich zakazanych miejscach.

Była kimś niezwykłym, nie tylko w obrębie własnego, cieplarnianego światka, lecz także dla faceta takiego jak Johnny, który pochodził spoza niego. Rzadki i podniecający kwiat.

— Dość długo się nie widzieliśmy, księżniczko — odezwał się. — Co porabiałaś w tym czasie?

Westchnęła, przewracając się na plecy i wkładając rękę pod głowę. Przeciągnęła się jak kotka zadowolona ze swej miseczki mleka.

— Nic specjalnego — odparła.

Ta wymijająca odpowiedź zirytowała Johnny'ego. Już wcześniej zauważył, jak rygorystycznie oddziela własne życie od schadzek z nim. Opowiedziała mu, co prawda, o swojej rodzinie, w kilku kipiących pogardą słowach. Był jednak świadomy, że ta zwięzłość nie wynikała jedynie z nienawiści do rodziny. Oznaczała pragnienie trzymania go z daleka od jej życia.

Początkowo takie podejście bardzo mu odpowiadało. Cieszył się, że jest jej bliższy niż ci wszyscy pętający się koło niej spedaleni palanci z towarzystwa. Jej zachowanie w łóżku nie pozostawiało co do tego cienia wątpliwości. Lecz teraz chciał czegoś więcej. Fakt, dzieliła się z nim tą częścią siebie, której nie znał żaden inny facet. Lecz reszta pozostawała odgradzona od niego murem.

I ta niewidoczna część nie dawała mu spokoju.

— Nic specjalnego, powiadasz. Trudno mi w to uwierzyć. Nie odpowiedziała. Patrzyła na niego z lekkim niepoko-
jem, lecz z pewnością bez strachu.

— A więc? — nalegał.

Jej śliczne brwi ściągnęły się w wyrazie irytacji.

— Czy ja cię wypytuję o twoje prywatne życie? — parsknęła. — Chyba nie jesteś już zazdrosny, co, kochasiu? Tylko dlatego, że popieprzyliśmy się trochę na jakimś zadupiu?

Johnny zmarszczył czoło. Jej ton był protekcyjny.

Studiował ją wzrokiem. Jakże różniła się od zwyczajnych, pospolitych dziewczuch, które przeleciał w swoim życiu.

Była w niej delikatna, rzeźbiona elegancja, jakiej nigdy dotąd nie wi-

dział u kobiety. A pod nią kryło się maleńkie żądło, które dodawało takiego smaczku jej słowom, uśmiezkom, gestom. Była skomplikowanym stworzeniem. Nietrudno było zauważyć, że ktoś ją kiedyś zranił. Pod cyniczną powłoką była niesłychanie wrażliwa. I ta wrażliwość sprawiała, że jego serce rwało się do niej. Nigdy jednak nie wyraziła tej wrażliwości słowami.

I istniał ku temu powód. Julie była dumną dziewczyną z wyższych sfer. Johnny był dla niej outsiderem, którego łaskawie obdarzała swoimi wdziękami, ale który nigdy nie będzie należał do jej świata i ani razu nie zobaczy go od środka. A on był tego boleśnie świadom.

Co więcej, wiedział, że przynależy ona do swojej klasy każdą cząstką ciała i każdym zakątkiem duszy. Była jej tworem, to ona ją uformowała. A z punktu widzenia tego towarzystwa, niezależnie od tego, jak bardzo Julie się nim brzydziła i jak bardzo się przeciw niemu buntowała, Johnny był zerem, człowiekiem z rynsztoka.

To, jak podejrzewał, stanowiło integralną część przyjemności, jaką sprawiała jej obcowanie z nim. Było dla niej czymś egzotycznym, zwiedzaniem slumsów. Rozumiała, że żaden nadęty bubek z jej sfery nigdy nie zadowoli jej w łóżku tak jak on. Lecz ten fakt, a nawet idąca z nim w parze pożądliva, zroszona łzami uległość, nadal świadczyły o tym, że traktuje go jak kaprys, rodzaj ogiera zrodzonego z innego gatunku niż ona, fenomen seksualny, którego nieodłącznymi elementami są brookliński akcent, zapach taniej wody kolońskiej i brak ogłady.

I stąd, chociaż sprawiał jej przyjemność, a nawet dominował nad nią, ani przez chwilę jej się nie śniło, by okazać mu szacunek, jakim mimo wszystko darzyła mężczyzn ze swej sfery. A kiedy nadejdzie czas, jeden z tych facetów, tych gładkich, pustych, arystokratycznych dupków zostanie jej mężem, a ona będzie niańczyć jego dzieci.

Takie i podobne myśli napęły Johnny'ego frustracją i niesmakiem. Brzydził się własną wrażliwością i miał za złe Julie, że przez nią targają nim takie mieszane uczucia.

Tak więc teraz puścił ją, usiadł, zapalił papierosa i oparł się wygodnie o wezglowie łóżka.

Wyczuła jego podenerwowanie. Podniosła się i również zapaliła. Była taka śliczna.

Lecz jej spojrzenie wyrażało niepokój. Wyczuwała kobiecym radarem, że Johnny'ego coś dręczy, że odseparował się od niej. Siedziała paląc i patrząc na niego.

— Jesteś gdzieś bardzo daleko — zagadnęła. — Królestwo za twoje myśli?

Nie odpowiedział, obserwując dym z papierosa, który zawisł jak ekran pomiędzy nim a nagą dziewczyną.

— Przestań, kochanie — schyliła się, drapiąc go delikatnie w kolano. — Byłeś bombowy, jak zawsze. Co cię nagle napadło?

Popatrzył na nią. Nie znajdował słów, by wyrazić, co czuje. Cierpiał, lecz duma nie pozwalała mu przyznać się do żadnych słabości czy uczuć.

Nagle odezwał się.

— Opowiedz mi o swoim ojcu.

— O moim ojcu? — wyglądała na zakłopotaną.

— Tak. Jaki on właściwie jest?

Podniosła na niego złe, udręczone oczy. Wyczuł, że ten temat to tabu. Zapewne dlatego nie mówiła o nim wcześniej. I chyba dlatego, intuicyjnie, Johnny poruszył go teraz, żeby ją potrząsnąć, zniszczyć jej spokój.

— Dlaczego tak ci na tym zależy? — Była wyraźnie spięta.

— Chcę wiedzieć — w jego głosie zabrzmiała teraz nuta uporu.

Julie westchnęła z rezygnacją.

— To dupek. Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie? Po chwili namysłu Johnny powoli pokręcił głową.

— Niezupełnie, dziecińko. Jakiego rodzaju dupek? Westchnęła ponownie. Najwyraźniej ten temat był dla niej niewygodny.

— Najgorszego gatunku. Najgorszego na świecie... Na litość boską, Johnny, dlaczego musimy o nim rozmawiać?

Uśmiechnął się. Nie zamierzał ustąpić.

— Jest twoim ojcem. A ja jestem twoim facetem. Twoim jedynym facetem. Mam prawo o niego zapytać.

W półmroku widział, jak na jej policzki wypełza rumieniec złości.

— Prawo? — spytała.

Czuł, że narasta w niej bunt. Z rzucanych mimochodem w przeszłości uwag wnioskował, że Julie nienawidzi i boi się ojca. Był to w stanie zrozumieć, gdyż dla niego Anton Magnus był również odstręczającą figurą. Lecz chciał poznać przyczyn-

ny, chciał wniknąć do jej myśli tak, jak wniknął do ciała. Intuicja podpowiadała mu, że wzmianka o ojcu wyprowadzi ją z równowagi, a wówczas, być może, otworzy się przed nim.

Widział, że jest zła i zdenerwowana. Postanowił iść za ciosem.

— Tak, prawo — patrzył na nią prowokacyjnie. — Jestem częścią twojego życia. Mam prawo wiedzieć co nieco.

Gadanie o prawach do niej zirytowało ją maksymalnie. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

— I tu się mylisz, kmiotku — powiedziała jadownicę. Jej usta wykrzywił dziwny grymas.

— Mam ogiera w stajniach w Forest Hills. Każda przejażdżka na nim to wspaniałe przeżycie. Wozi mnie lepiej niż jakikolwiek inny koń w okręgu. Ale to nie znaczy, że ucinam sobie z nim pogawędki od serca o moich problemach.

Przemyśl to, Johnny.

Ostatnie słowa smagnęły go jak nóż. Popęłniła błąd, nie doceniając jego inteligencji. Nigdy na to nie pozwalał i nigdy nie pozwoli.

Wyciągnął powoli rękę, dotknął pieczotliwie jej ramienia, a potem schwycił ją za włosy. Przyciągnął jej głowę do łóżka tak gwałtownie, że krzyknęła. Z twarzą wciśniętą między rozwarte kolana jęczała z bólu.

— Posłuchaj, koteczku — wysyczał przez zaciśnięte zęby. — Nie jestem ogierem. A jeśli tak myślisz, możesz się znaleźć w poważnych kłopotach.

Puścił jej włosy i nim zdążyła zareagować, uderzył ją z całej siły w twarz. Duża dłoń trzepnęła jej ucho, policzek i wargi. Był zaskoczony, ujrawszy krew spływającą z kącika jej ust. Nie zdawał sobie sprawy, że cios był tak silny. A ona była taka mała, taka krucha... Oczy Julie wypełniły się łzami. Na ten widok poczuł przypływ tkliwości.

Lecz w jej oczach strach mieszał się z czymś nieskończenie bardziej dla niego bolesnym. Była oszołomiona siłą uderzenia i jego złością. Ale spoglądała na niego ze straszliwego dystansu, niemal protekcyjnie, ze zgrozą i pogardliwym przerażeniem. Tak sto lat temu musiała patrzeć biała pani na wystawionego na sprzedaż dużego, czarnego niewolnika. W jej strachu nie było respektu. Jej zdumienie nie wyrażało uszanowania. Patrzyła na niego ze środka wieży z kości słoniowej, jaką była jej sfera, wieży, do której nigdy nie będzie mu dane się wedrzeć tak, jak wdarł się w jej delikatne ciało.

— A więc? — jego ręka poruszyła się niebezpiecznie, jakby chciała jej ponownie dosięgnąć.

— To jest pierwszy raz, kiedy mnie uderzyłeś — powiedziała twardo.

— Prawdopodobnie nie ostatni — odparł. — Wiedziałaś, czego możesz się spodziewać, Kopciuszku. Takie jest prawdziwe życie, wiesz?

— Co to ma znaczyć? — spytała.

Oszacował ją wzrokiem. W jego oczach pojawiło się coś na kształt pyszałkowatości.

— On nie może być aż tak twardy — z uporem maniaka wracał do osoby jej ojca. — Ile trzeba, żeby wydoić ludzi z pieniędzy i zastraszyć bandę śliniących się bałwanów? Założę się, że niewiele.

Wyczuł, że zjeżyła się wewnątrz. Jednak nadal milczała.

— Może spotkam go kiedyś — ciągnął dalej. — Być może będę miał do niego jakiś interes...

— Nigdy nie zbliżysz się na tyle, by wykrzyczeć „hello” przez Times Square — zareagowała wreszcie. — A gdyby ci się to nawet udało, on rozgniecie cię jak pluskwę.

Niemal natychmiast pożałowała tych słów. Powinna była złagodzić jego gniew, ugłaskać urażoną dumę i zapewnić go, że znaczy dla niej więcej niż Anton Magnus. Lecz słowa wymknęły jej się z ust jakby pchane własną wolą. A teraz było za późno.

Johnny chwycił ją silną ręką i przyciągnął do swoich kolan. Uścisk dłoni na jej ramieniu był tak bolesny, że krzyknęła. Wiedziała, że jednym skrętem nadgarstka może złamać jej ramię. Drugą dłoń wsunął w jej włosy i szarpnął mocno. Z jej gardła wyrwało się dziecinne kwilenie.

Zamierzył się, żeby ją uderzyć. Da tej małej nauczkę.

Lecz spojrzał na nią, bezradną, rozzłoszczoną, małą nimfę z delikatnym ciałem i słodkim miejscem między nogami. Przerazenie i ból w jej oczach poruszyły go.

Przyciągnął jej twarz do swojej. Z kącika ust nadal sączyła się krew. Powoli, trzymając ją za włosy, zaczął zlizywać tę krew. Smakowała cierpko i obco. Lizał ją jak kot, czyszcząc zadaną własnoręcznie ranę.

Jej oczy zaszły mgłą. Z ust wyrwało się westchnienie. Potem mały języczek dziewczyny wysunął się i połączył z językiem mężczyzny. Języki baraszkowały ze sobą przez chwilę, aż w jej gardle zaczął nabrzmiwać jęk, jęk, który znał nawet za dobrze.

Pchnął ją na prześcieradło. Złość i ból na jej ślicznej buzi ustępowały z wolna miejsca pożądaniu i znikwały tak, jak znikął strumyczek krwi obmyty jego śliną.

Potarł delikatnie jej sutki, obserwując reakcję. Przesunął palcem w dół brzucha i nacisnął guziczek pępka, łagodnie, żeby jej nie przestraszyć, lecz tak zmysłowo, że poczuł przebiegający przez jej skórę dreszcz.

Uśmiechnął się. Palec zatrzymał się, muskając pokryty meszkiem brzuch, a potem popęłznął niżej, pieszcząc skórę poniżej pępka, aż dotarł do złocistego futerka. Hipnotyzując ją wzrokiem, przesunął palce jeszcze niżej, znajdując wilgotny rowek, gorący i gotowy na jego przyjęcie.

— I co teraz? — zapytał miękko.

— Proszę, Johnny — powiedziała błagalnie. — Przepraszam, że cię rozwścieczyłam. Chodź. Nie drażnij się ze mną.

Palec badał delikatnie miękki seks, ożywiony pragnieniem jego dotyku. Poczuł, że jej plecy wyginają się w łuk, zobaczył, że zuchwałe, małe piersi drżą i zauważył maleńką kropelkę świeżej krwi w kącie jej ust.

Jego język dosięgnął czerwonej plamki i zlizął ją dokładnie. W tej samej chwili jego członek znalazł drugie, ukryte wargi i wśliznął się między nie płynnie do samego końca.

Jęknęła niemal rozpaczliwie.

— Och... O, Boże... Johnny... Proszę...

Pewien teraz jej uległości umieścił dłonie na jej biodrach, uniósł je i zaczął ją metodycznie posuwać. Drżała i krzyczała, wyśpiewywała swoje poddanie, szarpiąc się i wijąc w jego uścisku. Przemoc, jaką wobec niej zastosował, sprawiła, że zaczęła szybko szczytować. To namiętne spółkowanie stanowiło akt ich pojednania.

Ból i bunt dziewczyny spowodowały, że także Johnny dochodził szybciej, ponieważ czuł potrzebę dania jej przyjemności, by delektować się w zamian jej doznaniem. Nie da się ukryć, że ta mała nie była mu obojętna.

Przestała być bogatą panną z towarzystwa, którą chełpił się przed koleśami. Liczyła się dla niego, ze swym ciałem, gniewem i bólem.

I po raz setny, kiedy miał ją całą, a jej ciało drżało w niewyczerpanym pożądaniu, poczuł, że jakaś maleńka jej cząstka wymyka mu się, ta jedna jedyna cząstka, której nijak nie mógł dotknąć, do której w żaden sposób nie mógł dotrzeć.

Pomyślał o jej ojcu. Gdzieś w tych głębinach, gdzie ukrywała się Julie, ojciec, odległa figura z niezliczonych fotografii,

w garniturze za tysiąc dolców, zabawiająca się z koronowanymi głowami i politykami, ten ojciec zamieszkiwał i posiadał ją na własność. Potwierdzał to w tej chwili wyraz jej oczu, choć drżenie ciała było dowodem na dominację Johnny'ego.

Johnny nie zapomni tego. To, co zaszło dziś między nimi, dało mu dużo do myślenia. Choć wydarzyło się właściwie przez przypadek, spowodowało pierwszy rozdźwięk między nimi. Może lepiej, żeby do tego nie doszło. Ale teraz było za późno.

Złość na nią łączyła się nierozdzielnie z drgającą w mm niebezpiecznie zakazaną czułością, czułością, która pragnęła nie jedynie fizycznego oddania, lecz miłości.

Ostrze zazdrości ukłuło go dotkliwie w tym samym momencie, w którym nasienie wytrysnęło na łono Julie. Kiedy targnął nim ostatni spazm, Johnny był wstrząśnięty jak nigdy przedtem. Starając się za bardzo, dał z siebie za dużo. A stworzenie w jego ramionach, bardziej enigma niż kobieta, ukradło jego nasienie, ukrywając przed nim swoją duszę. Jakże cudownie było czuć jej delikatne ciało w objęciach. Jednakże wściekłość, która spowodowała, że kilka minut temu ją uderzył, powróciła i zamieszkała na stałe w trzymających ją teraz ramionach. Nie da rady jej przepędzić. Zagnieździła się na dobre.

Z tą dręczącą myślą Johnny przyciągnął Julie bliżej i pocałował w usta.

ROZDZIAŁ 23

Nowy Jork, 25 stycznia 1957 Minęło osiem tygodni.

Był zimny i wietrzny poniedziałkowy ranek. Miasto zdawało się kurczyć w sobie pod ponurym niebem, przygotowując się do przetrwania pierwszego prawdziwego ataku zimy.

W małym pomieszczeniu z oknami wychodzącymi na 40 Ulicę, niedaleko od Siódmej Alei, przy sfatygowanym biurku stanowiącym miejsce jej pracy, siedziała Francie.

W kantorku, prócz tego biurka, znajdowało się jeszcze kilka nędznych sprzętów. Stary obrotowy fotel, szafki na dokumenty, drewniane krzesło dla klientów ze stojącą obok popie-

Iniczką, stół do pracy, parę plakatów na ścianach, reklamujących komputery IBM.

W oknie wisiał starannie zaprojektowany i wykonany przez samą Francie szyld:

COMPUTEL, INC. Konsultanci do spraw komputeryzacji

Francie wynajęła to miejsce kilka dni temu, za oszczędności z rocznej pracy w Magnus Industrie. Wiedziała, że bez jakiegoś kontraktu nie przetrwa w biznesie dłużej niż trzy, cztery miesiące.

Po urządzeniu swojego „biura” zamieściła w prasie fachowej małe anonsy i teraz czekała na zgłoszenia. Żeby zabić napięcie płynące z bezczynności, pograżyła się w lekturze technicznych czasopism i publikacji naukowych, mających cokolwiek wspólnego z komputerami. Chłoneła wszystko, co tylko możliwe o postępach w technice komputerowej i programowaniu. Wiedziała, że zdobycie środków utrzymania może zależeć od tego, czy będzie w posiadaniu wszelkich dostępnych faktów.

Wiedziała też, że w szczęśliwym przypadku, gdyby ktokolwiek zgłosił się do niej po konsultację, będzie musiała napisać program w jak najkrótszym czasie, zawierając w nim wszystkie konieczne dane. Jej płodny umysł zdołał już zaprojektować koncepcję, bazującą luźno na jej dorobku w Magnusie, załatwiająca tę sprawę.

Pozostawała jeszcze kwestia sprzętu. Francie nie posiadała oczywiście komputera i mogłaby mówić o szczęściu, gdyby zgłosiła się do niej firma dysponująca takowym. Dowiadywała się o możliwości korzystania z komputerów miejskich i uzyskiwała informację, że można je wynajmować na godziny, lecz za bardzo wysoką stawkę. Musiałaby wtedy wliczyć ten znaczący wydatek w cenę swoich usług, a to z kolei odstraszyłoby mniej zamożnych klientów.

Z tym problemem Francie, mimo swej wybitnej inteligencji, nie mogła się uporać.

A jednak zamierzała wytrwać, dopóki nie znajdzie sposobu na wyprowadzenie swojej firmy na prostą. Wiedziała, że komputery są przyszłością amerykańskiego biznesu i postanowiła utrzymać się w czołówce tej dziedziny. Przetrwa, dopóki nie nadejdzie właściwy moment.

Miewała jednak i chwile zwątpienia, kiedy martwiła się, że będzie musiała zwinąć interes, zanim obsłuży pierwszego klienta.

Ostatkiem sił zachowywała spokój, bo przecież przez te tygodnie jej progu nie przekroczył ani jeden interesant. Jedyne odwiedzającym był listonosz z rachunkami za telefon i mało ważną korespondencją. Jedyne telefony okazywały się pomyłkami lub pochodziły od handlarzy usiłujących sprzedać jej wyposażenie biurowe. Dni były męczarnią. Siedziała samotnie w biurze, nasłuchując dobiegających zza okien odgłosów ruchu ulicznego. Noce mijały na niespokojnej drzemce, wypełnionej obrazami z przeszłości, której nie miała siły roztrząsać na jawie. Niekiedy śniła jej się też przyszłość, nieodgadniona jak ściemniała kryształowa kula. Wiedziała, że jej największym wrogiem jest utrata nadziei. Starła się temu zapobiec, spoglądając na wycinki z gazet, które przypięła na swojej tablicy informacyjnej, opisujące przełom w komputerowym systemie łączności, dokonany przez Magnus Industries. To był jej wynalazek, owoc jej intelektu. Stworzyła go samodzielnie dla Magnusa, zrobi to samo i dla innych przedsiębiorstw. Miała pomysły i talent. Jestem coś warta, wmawiała sobie raz po raz. Jestem wartościową jednostką. Potrafię niejednego dokonać. Coraz trudniej jednak było jej w to uwierzyć. Tego dnia siedziała jak zwykle przy biurku, zgrzytając zębami w poczuciu bezsilności i obserwując kątem oka przechodniów, mijających obojętnie jej biuro. Jednocześnie próbowała skoncentrować się na trzymanym w rękę czasopiśmie technicznym. Ku jej zaskoczeniu jedna z przechodzących postaci zatrzymała się przed witryną, gapiąc się na szyld. Był to młody mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu lat, w dżinsach i skórzanej kurtce. W jaskrawym słońcu wyglądał nieco niechlujnie. Popatrzył na szyld, a potem przyklepił twarz do szyby. Miał chyba jakieś wątpliwości. Jednak po chwili pchnął skrzypiące drzwi i wszedł do środka. Dzwoneczek nad drzwiami brzęknął cicho, anonsując jego przybycie. Francie podniosła wzrok na gościa i uśmiechnęła się. — Czym mogę panu służyć? Przybysz przyglądał się plakatom na ścianach i starym meblom.

— Prawdopodobnie niczym — powiedział. — Sądząc z pani ogłoszeń w gazetach myślałem, że to większe przedsięwzięcie.

Francie uniosła brwi.

— Wystarczy na to, co robimy — jej uśmiech miał zatuszować zmieszanie i wyrazić pewność siebie.

Podszedł bliżej biurka i stał wpatrując się w nią, z rękoma zaciśniętymi na oparciu krzesła dla gości. Nie siadał. -T- I co to ma być? — spytał.

— Słucham?

— Jakiego rodzaju konsultacje przeprowadzacie? — w jego głosie pobrzmiwał sceptycyzm.

Francie odchrząknęła, przygotowując się do wygłoszenia kłamstwa doskonałego.

— Ja... to znaczy my — zaczęła — projektujemy systemy komputerowe dla biznesu. Piszemy programy dostosowane do potrzeb każdego indywidualnego klienta. Jesteśmy w stanie przygotować program, który sprostą wszelkim pana zapotrzebowaniom. Wynajmujemy sprzęt w mieście, o ile nie posiada pan własnego.

Stał, zerkając na nią spod oka. Najwyraźniej to starannie wypracowane kłamstwo nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

Potem zadał pytanie, którego obawiała się najbardziej.

— Dla kogo już pracowaliście?

Francie znów odchrząknęła, po czym udzieliła jedynej odpowiedzi, jakiej mogła udzielić. Nie było to zupełnie zgodne z prawdą, ale nie było też pełnym kłamstwem.

— Wykonaliśmy pewną robotę dla Magnus Industries. Może słyszał pan o tym? System łączności dla ich filii europejskich; 99% tego projektu to nasze dzieło.

Na jego twarzy pojawił się wyraz powątpiewania.

— Nie wiedziałem, że firma taka jak Magnus korzysta z usług ludzi z zewnątrz.

— Tym razem skorzystali. — Francie usilnie starała się powstrzymać wypływający na twarz rumieniec.

Na szczęście dla niej, zmienił temat.

— Ilu ludzi zatrudniacie?

— Siedmiu, licząc ze mną — odpowiedziała, unikając jego wzroku.

Odsunął krzesło i usiadł. Obserwując to Francie stwierdziła, że jej gość ma trochę nadwagi potęgującej wrażenie jego

niecو niechlujnego wyglądu. Jego włosy były niesprecyzowanego, piaskowego koloru, a oczy ciemnobrązowe, inteligentne. Patrzyły one teraz na nią z większą uwagą.

— Nie wciska mi pani kitu, co?

— Nie wiem, co pan ma na myśli.

— To czy nie pracuje pani tu sama.

— Dzisiaj jestem sama — odparła odważnie. — Wszyscy są w terenie. Ktoś musi siedzieć w biurze.

— Rozumiem — w jego oczach zamigotał błysk rozbawienia. — No cóż, cieszę się, że tak dobrze wam się powodzi. Z tego wynika, że trafiłem w niewłaściwe miejsce.

— Czyżby? — Francie starała się ukryć rozczerowanie. — Czy na pewno nie możemy panu pomóc?

— Nie, o ile nie macie dla mnie roboty. Prawda jest taka, że szukam pracy. Zobaczyłem ogłoszenie w gazecie i pomyślałem, że może potrzebujecie kogoś.

Francie zrzęda mina.

— No tak, w takim razie rzeczywiście nic nie możemy dla pana zrobić. Nie zatrudniamy nikogo nowego. Nie w tej chwili.

Zmierzył ją wzrokiem. Odniosła wrażenie, że w jego uśmiechu jest coś ironicznego. Nie spuszczać z niej oczu, wyjął papierosa i zapalił.

— Byłbym bardzo ciekaw usłyszeć o tej pracy, którą wykonaliście dla Magnusa. Podejrzewam, że było to raczej skomplikowane zadanie.

Francie nie odpowiedziała. Zastanawiała się, dlaczego on nie wychodzi.

— Czy zabieram pani czas? — zapytał. — Jest pani bardzo zajęta?

— Ja... nie. No więc, praca dla Magnusa był to głównie problem programowania. Mieliśmy sprzęt z IBM i napisałam... napisaliśmy programy na połączenie poszczególnych zakładów.

— Jaki rodzaj automatycznego kodowania wykorzystaliście?

Francie uniosła brwi.

— Wersję 422 — odparła. — Z algebraicznym kompilatorem, który sami zaprojektowaliśmy.

Kontynuowała opis, używając z premedytacją języka technicznego, ponieważ chciała pokazać mu, że zna się na swojej dziedzinie i że jej praca była oryginalna.

Przerwał jej kolejnym pytaniem, potem następnym, a każde z nich dotyczyło bezpośrednio sedna tego, co zrobiła dla Magnusa. Operował równie fachowym językiem jak ona i kilkakrotnie musiała dokonywać szybkich przeskoków myślowych, żeby za nim nadążyć. Pod koniec rozmowy nie miała już żadnych wątpliwości, że stoi przed nią ekspert od komputerów. Widziała, że on także zaczął traktować ją poważnie.

Zdusił niedopałek w popielniczce.

— Nie docenili was odpowiednio i nie opisali waszych zasług w prasie, prawda? — zapytał.

— Tak bywa. Ale to długa historia. Nie zainteresowałaby pana.

Rzucił jej kolejne badawcze spojrzenie.

— No tak — powiedział, rozglądając się po nędznym otoczeniu. — Grunt, że sobie nieźle radzicie.

Francie pokiwała głową, uśmiechając się blado.

— Ale — dokończył, podnosząc się — skoro nie zatrudniacie nikogo, to nic tu po mnie. Dziękuję za rozmowę.

Odwrócił się do wyjścia. Francie wstała, żeby go odprowadzić do drzwi. Przy okazji uderzyło ją coś dziwnego w jego postaci. Chociaż był opalony jak budowlaniec i na takiego wyglądał w tych swoich wytartych dżinsach i skórzanej kurtce, było w nim również coś łagodnego i marzycielskiego. To „coś” promieniowało z rozmarzonych, brązowych oczu. Nie był z pewnością idolem z poranków filmowych, lecz epatował jakimś męskim spokojem, takim z jakim nigdy dotąd się nie zetknęła.

W pewnym sensie myśl o jego odejściu była jej przykra. Cieszyło ją, że miała okazję przewietrzyć „zapuszkowane” wspominki o pracy w Magnusie i było jej przyjemnie oglądać wrażenie, jakie wywarła na nim jej wiedza.

Być może czytał w jej myślach, bo zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił się do niej.

— Wie pani co? Skoro nie może mi pani dać roboty, to może chociaż zjadłaby pani ze mną obiad?

Francie zawahała się.

— To poprawi mi samopoczucie — dodał. — Jeśli kiedykolwiek szlifowała pani chodniki, wie pani, jak czuje się człowiek szukający pracy.

Zerknął na biurko za jej plecami.

— Rozumiem, że dopóki nie wrócą pani koledzy, musi pani trwać na posterunku. Może więc spotkalibyśmy się później? Powiedzmy, około siódmej.

Francie spojrzała na zegarek.

— Chyba będę mogła się wyrwać. A dokąd chciałby pan pójść?

— Bar „Automat”, na rogu Czterdziestej Drugiej i Trzeciej. Odpowiada pani?

Popatrzyła na niego niepewnie.

— My, bezrobotni, musimy oszczędzać swoje portfele — dodał, jakby tonem usprawiedliwienia, uśmiechając się od ucha do ucha.

Wyraz jego oczu był nadal zabarwiony ironią, lecz widniało w nich także opanowanie, które intrygowało Francie. Jego znajomość zagadnień komputerowych zrobiła na niej duże wrażenie. To wszystko i wzmianka o „Automacie” wystarczyło, by podjęła decyzję.

— Jesteśmy umówieni — powiedziała.

Trzy godziny później Francie siedziała przy jednym z pokierszowanych stolików w „Automacie”. Sam Carpenter, ponieważ tak brzmiało nazwisko jej nowego przyjaciela, pochłoniął właśnie ogromną porcję spaghetti i kawałek szarlotki, podczas gdy ona zdołała wcisnąć w siebie kanapkę z serem. Teraz sączyła kawę i obserwowała, jak Sam zapala trzeciego już papierosa.

— Za dużo palisz — powiedziała.

Pokiwał leniwie głową, chowając opaloną twarz za kłębam dymu. Zauważyła, że jego dłonie są prawie tak szorstkie, jak dłonie robotnika.

— A ty za mało jesz — odgryzł się.

Uśmiechnęli się oboje. Jak dotąd rozmowa nie kleiła się. Od czasu do czasu, między jednym a drugim kęsem, wymieniali uwagi na temat pogody i drożyzny życia w Nowym Jorku.

— Opowiedz mi o sobie — poprosiła teraz Francie. Wzruszył ramionami.

— Co tu opowiadać. Dorastałem w Ithaca, nad jeziorem Cayuga. Studiowałem w Zachodnio-Północnym Instytucie Technicznym. Tam ożeniłem się z dziewczyną ze Środkowego Zachodu. Potem, jak zaczęło się to wszystko w Korei, wzięli mnie do wojska.

Przerwał, zaciągając się papierosem.

— W armii pracowałem nad zagadnieniem toru pocisków dla rakiet ziemia-ziemia. To było skomputeryzowane...
mój

pierwszy kontakt z komputerami. Kiedy wróciłem do domu, żona czekała na mnie z pozwem rozwodowym. Stwierdziła, że czas nas rozdzielił. Ładnie powiedziane, co? Nie robiłem jej wstrętów. Jej oczy mówiły wyraźnie, że ma innego faceta. Znowu przerwał.

— Nie mieliście dzieci? — spytała Francie. Potrząsnął głową. Z błysku w jego źrenicach wywnioskowała, że bardzo tego żałował.

— Tak czy inaczej, zdobyłem wówczas wielkie doświadczenie w kwestii komputerów. Zdecydowałem więc nie wracać na studia i poszukać sobie roboty. Dostałem ją w jednej z dużych firm tutaj i przez parę lat powodziło mi się zupełnie nieźle. Potem zacząłem sobie uświadamiać, że tutejsze dżungle są tak samo złe jak tamte, w Korei. A nawet gorsze. W czasie wojny wiedziałem, kto jest moim wrogiem. W wielkiej korporacji człowiek zaczyna się zastanawiać, czy w ogóle ma przyjaciół.

Słyszając te słowa, Francie stłumiła gorzki uśmiech. Jakże doskonale oddawały one jej własne doświadczenia!

— Tak więc zwolniłem się — kontynuował Sam. — Zaczepiałem się tu i tam, pracowałem trochę z doskoku i próbowałem w paru innych dużych przedsiębiorstwach. Później wyjechałem do domu. Przez jakiś czas miałem się różnych robót w rodzinnej okolicy i łowiłem ryby. A teraz wróciłem i znowu szukam.

Zwrócił wzrok na Francie.

— A ty?

Odchrząknęła. Nie chciała mówić mu całej prawdy, a już z pewnością nie o Magnusie. Podejrzewała, że i on nakreślił własne przeżycia tylko w ogólnym zarysie.

— Cóż — zaczęła — urodziłam się w małym miasteczku w Pensylwanii, w kramie Amishów. Mój ojciec miał się różnych prac, głównie budowlanych. Był taką miejscową „złotą rączką”. W gruncie rzeczy jest nią nadal. To typ wędrownego druciarza i marzyciela. Założę się, że polubiłbyś go — popatrzyła w rozleniwione oczy Sama, wyobrażając sobie tych dwóch mężczyzn łowiących razem ryby. — Nie jest zbyt praktyczny. Lubi pracować, ale nie wyznaje się za bardzo na pieniądzach. Tym kierowała matka, dopóki nie umarła. Gdyby nie trzymała go krótko, spędzałby całe dni, opowiadając historyjki i dowcipy z farmerami.

— Kiedy umarła? — spytał Sam.

— Gdy miałam czternaście lat — na jej twarzy pojawił się smutek. — To było dziesięć lat temu. Wydaje się, że więcej.

Przerwała na moment, wyczuwając, że on ją doskonale rozumie, po czym mówiła dalej.

— Moja historia jest bardziej banalna od twojej. Poszłam na Uniwersytet Pensylwański, a stamtąd prosto do Magnusa. Spędziłam tam bardzo pracowity i owocny rok...

— Kto był twoim szefem w Magnusie? — przerwał jej nagle Sam.

Francie zaczerwieniła się.

— Kto...? Co...? Przepraszam...?

— Chodzi mi o to, kto uruchomił ten cały europejski plan i pomógł ci wystartować. To musiało kosztować ogromne pieniądze.

Rozpaczliwie szukała jakiegoś wykrętu. Nie chciała mówić o Magnusie. Z drugiej strony, pytanie Sama wymagało prostej odpowiedzi i nie mogła tak zwyczajnie odmówić jej udzielenia.

— Zdaje się, że Jack Magnus — powiedziała z wystudiowaną obojętnością. — W każdym bądź razie to jego ludziom przypisano wszelkie zasługi. Ale pomysł był mój. Tak, jak mówisz — dodała marszcząc czoło — korporacje to dżungle...

Zamilkła na chwilę. Za wszelką cenę chciała zmienić temat.

— Czy on nie jest synem właściciela? — dotarło do niej pytanie Sama. — Zdaje się, że czytałem o nim w prasie.

Przytaknęła ruchem głowy. Rumieniec przybrał na intensywności, wprawiając ją w jeszcze większe zakłopotanie.

— Tak czy inaczej — podsumowała — odprawili mnie. Przez jakiś czas zastanawiałam się, co robić i w końcu założyłam CompuTel.

Odważyła się spojrzeć w oczy Sama. Chociaż utrzymywał się w nich wyraz rozmarzonej ciekawości, wyczuwała, że analizuje to, co usłyszał i wyciąga wnioski, które nie są jej na rękę. Uzmysłowiła sobie, że powiedziała mu więcej, niż zamierzała, a tym samym wyszły na wierzch niektóre kłamstwa, których dopuściła się wcześniej w biurze.

Nic jednak nie powiedział. Obserwował w milczeniu zduszony niedopałek, tłący się w taniej, metalowej popielniczce.

— Jesteś zupełnie inna niż ja — odezwał się w końcu. — Ja na twoim miejscu pojechałbym do domu, do Pensylwanii i przepękał rok lub dwa, łowiąc ryby. Ty od razu zaczęłaś walczyć.

Rozważała jego słowa. Dotknął w niej czegoś, z czego nie do końca zdawała sobie sprawę. Była rzeczywiście przedsiębiorczą indywidualistką. Brakowało jej marzycielskiej rezygnacji, jaka cechowała jej ojca. Nie była stworzona do bujania się w fotelu na ganku czy siedzenia z wędką w łódce i obserwowania, jak świat przechodzi obok. Odziedziczyła raczej trzeźwą determinację matki do kierowania biegiem spraw, lecz oprócz tego posiadała jeszcze dużą dozę ambicji.

Patrząc przez stół na Sama pomyślała, że ma przed sobą młodzieńczy wizerunek własnego ojca. Cechowała go osobliwa kombinacja wielkiej inteligencji i obojętności wobec uczestniczenia w wyścigu do sukcesu. Zazdrościła mu niewzruszonego spokoju.

— Czy masz rodzeństwo? — spytała. Pokręcił głową.

— A ty?

Francie zaprzeczyła.

Znowu siedzieli w milczeniu. Wyglądało to tak, jakby każde z nich powiedziało już wystarczająco dużo. Te kilka słów spowodowało, że stali się sobie dziwnie bliscy. Chociaż Francie ledwo go znała, czuła się mniej samotna niż przed kilkoma godzinami. Zdawał się dzielić jej samotność, nie narzucając się. To było przyjemne uczucie. A pozbawiony romantyzmu „Automat” stanowił idealne tło dla takiego związku.

Francie spojrzała na zimną kawę w filiżance. Poczowała ukłucie bólu. Uświadomiła sobie, jak bardzo była samotna przez ostatnie trzy miesiące, a w gruncie rzeczy także przedtem.

Sam popatrzył na nią badawczo. Jego twarz była poważna, lecz uprzejma.

— W twojej firmie nie ma żadnych innych ludzi, prawda? To było tylko takie niewinne kłamstewko?

Francie zawahała się. Jakaś część w niej chciała zerwać się i uciec od tego człowieka. Ujawniła mu już zbyt dużo, zbyt szybko dała się złapać w zastawione przez niego sidła.

Jednak sympatia w jego oczach powstrzymała ją.

— Nie ma nikogo więcej — powiedziała odważnie.

Pokiwał głową i powiódł wzrokiem po zmęczonych bywalcach „Automatu”, przeżuwiających mechanicznie jedzenie bądź gapiących się w przestrzeń.

Potem pochylił się do niej.

— Bardzo się spieszysz do domu?

Francie spojrzała na zegarek. Była ósma trzydzieści.

— Czy ja wiem... A co masz na myśli?

— Jeśli miałabyś czas, żeby przejechać się ze mną metrem do Spring Street, to jest tam coś, co chciałbym ci pokazać.

— Czy... czy ty tam mieszkasz? — nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

— Tak, ale nie chodzi o to, o czym myślisz — uśmiechnął się. — Nie mam zamiaru „pokazywać ci kolekcji znaczków”, bo, zdaje się, na to ostatnio podrywa się dziewczyny.

— A zatem co? — spytała po chwili przerwy.

— Komputer.

Po raz pierwszy od chwili poznania Sama Carpentera zobaczyła w jego oczach wyraz chłopięcego podekscytowania. Pół godziny później Francie stała na przestronnym, zimnym strychu z zamarzniętymi oknami, za którymi majaczyły w ciemnościach fabryki i domy mieszkalne dolnej West Side.

Strych był ogromny i zagracony, oddający w swoim nieładzie roztargnioną osobość lokatora. Pośrodku, zajmując ponad cztery metry kwadratowe, królowało coś, co tylko mgliście przypominało komputer. Był to cały szereg skrzyń, kabli, elektrycznych tablic kontrolnych i innego oprzyrządowania, zrzuconych na kupę, jak części wynalazku chłopca eksperymentującego w garażu.

— Czy to jest to, co chciałeś mi pokazać? — spytała Francie.

Sam skinął głową.

— Nazywam go 9292 — powiedział. — Przez pamięć na mój stary adres w Ithaca. To pełnosprawny komputer wysokiej mocy przetwarzania. Zmontowałem go na bazie zmodyfikowanych przeze mnie, przestarzałych analizatorów, zdobytych tutaj, a także w Bostonie i New Jersey. Nie wygląda imponująco, ale potrafi zrobić wszystko to, co zaawansowany IBM czy UNIVAC, a nawet o bit więcej.

Francie patrzyła na maszynę zafascynowana.

— Bęben magnetyczny, jak przypuszczam? — spytała.

— Dwa tysiące słów pamięci rdzeniowej — przytaknął. — Potrafi wykonać mnożenie w ciągu dwóch milisekund.

Dziewczyna była teraz zupełnie oczarowana. Zarówno rozmiar maszyny, jak i pewność siebie jej twórcy, robiły na niej ogromne wrażenie.

— Często się psuje?

— Od czasu do czasu. Składa się w około pięćdziesięciu procentach z elektronowych lamp próżniowych, reszta to półprzewodniki. Nawala, gdy lampy słabną. Ale ja go naprawiam. Rozumiemy się nawzajem.

Francie wpatrywała się w wielką, z pozoru byle jak skleconą maszynę.

— On jest bardzo duży, prawda? — podświadomie przyjęła styl Sama, który mówił o swoim komputerze jak o człowieku.

— Powinnaś była go widzieć cztery czy pięć miesięcy temu — odparł Sam z dumą. — Był prawie dwa razy większy niż teraz. Eksperymentuję na nim z monolitycznym układem scalonym. To niewiarygodne, ile funkcji możesz wcisnąć w maleńką przestrzeń zajmowaną przez elektronowe lampy próżniowe. A ja dopiero zacząłem. Za rok 9292 będzie prawdopodobnie nie większy niż ford fairlane albo przynajmniej lincoln Continental.

Francie była niewymownie przejęta. Zdawała sobie sprawę z kolosalnej wagi dokonań Sama.

— W Europie — odezwała się — korzystaliśmy z trzech IBM 650 z czytnikiem taśmy magnetycznej i łączem dalekopisowym. Potrzebowaliśmy dużo pamięci.

Pokiwał głową, wyjmując papierosa.

— 9292 może to dla ciebie zrobić w pojedynkę — powiedział z całkowitym przekonaniem.

— Oczywiście — dodała — to, co chcę robić dla tutejszych przedsiębiorstw, jest znacznie mniej ambitne. Moim celem jest, żeby średniej wielkości biznesmen mógł skomputeryzować swój inwentarz i rachunkowość bez konieczności posiadania własnej maszyny. Myślałam o wynajęciu jakiegoś centralnie ulokowanego komputera, ale oczywiście koszt takiego przedsięwzięcia byłby horrendalny.

Sam uśmiechnął się.

— Nigdy nie byłem zbyt dobrym programistą. Moją domeną jest sama maszyna, jej możliwości, oprzyrządowanie. Ale rozumiem, do czego zmierzasz. Z twoimi programami i 9292 tutaj...

Umysł Francie pracował z potrójną szybkością. Lecz nawet teraz Sam Carpenter wyprzedzał ją o krok swoim tokiem myślenia. Czytał z wyprzedzeniem w jej myślach. A w tym pomieszczeniu znajdował się sprzęt, którego tak bardzo potrzebowała.

Podniosła na niego wzrok. Palił beznamiętnie papierosa. Jakże swojsko wyglądał na tle tych wszystkich drutów i skrzyń. Był po prostu w swoim żywiole.

— Czy myślisz o tym samym, co ja? — spytał po chwili.

— Może — odparła. — Moja potencjalna klientela z pewnością nie będzie mogła pozwolić sobie na wynajęcie czy zakup dużych komputerów. Lecz gdybym dysponowała sprzętem i programem oraz świadczyła usługi za miesięczną opłatą...

— Zgrałabyś podaż z popytem — dokończył za nią. Popatrzyła na 9292.

— Ale on jest twój — powiedziała. — Nie mogę wymagać od ciebie, żebyś...

— Podejdź do tego z innej strony — wtrącił. — Ty potrzebujesz komputera, a ja potrzebuję pracy. Czy to nie wystarczy, żebyśmy połączyli siły?

— Myślisz, że to by się dało zrobić? — w jej głosie było wahanie. Lecz także ukryta nadzieja.

— Możemy spróbować — uśmiechnął się. — Przecież nie boisz się ryzyka, prawda?

Patrzyła na niego z namysłem. Opierał się o sfatygowany stół; z papierosem żarzącym się między palcami, pogodny i luźny jak wówczas, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. I proponował jej, zaledwie pięć godzin po zawarciu znajomości, żeby stawiając na niego odmieniła swoje życie.

Lecz jego logika była nie do odparcia.

— Za dużo palisz — powiedziała z lekkim uśmiechem. Wzruszył ramionami.

— Mógłbym się ograniczyć. Może ty będziesz miała na mnie dobry wpływ.

Jego poczucie humoru rozbroiło ją do reszty.

— Umowa stoi? — zapytał. Prawie go nie znam, pomyślała.

Lecz czuła podświadomie, że zna już Sama Carpente-ra wystarczająco dobrze, aby na niego postawić. Poza tym, jej własne perspektywy były tak mizerne, że powinna być mu wdzięczna za to, iż otwiera przed nią nowe horyzonty.

Przeszła przez pokój i podała mu rękę.

— Skoro chcesz ze mną zaryzykować, postawię moje pieniądze na nas dwoje i na 9292.

— Brzmi to nieźle — uścisnął jej dłoń.

Był to ich pierwszy fizyczny kontakt. Jego ręka była ciepła i sucha, a uścisk stanowczy, lecz delikatny. Spokojne, brązowe oczy, które od pierwszej chwili wywarły na niej takie wrażenie, były teraz skupione na niej, przepełnione inteligencją i czymś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać. Może było to poczucie humoru, a może zwykła uprzejmość. Francie czuła, że znalazła przyjaciela. Postanowiła postawić na własną intuicję.

ROZDZIAŁ 24

Johnny Marrante rozluźnił uścisk na nagim ramieniu kobiety i wygiął powoli grzbiet. Jedyne kontakty pomiędzy nim a dziewczyną stanowił jego penis, wbity w nią po same jądra.

Przysłuchiwał się jej westchnieniom, wpychając w nią twardy trzonek ruchem korkociągu. Pachniała tanimi perfumami i piżmową wonią napalonej kobiety, zawsze tak cholernie go podniecającą.

Miała utapirowane włosy mysiego koloru i wulgarny makijaż, a jej kształtom dużo brakowało do doskonałości, szczególnie w biodrach. Jej atut stanowiły natomiast piękne, ogromne piersi z sutkami jak pączki róż, które uwielbiał ssać, dopóki nie zaczynała jęczeć i błagać go, by w nią wszedł.

Miała na imię Angela i pochodziła z sąsiedztwa, z Brooklynu, niedaleko od miejsca, gdzie się urodził. Była niezłą cizią, z tym że, niestety, nieokrzesaną prostytutką. Łaknęła seksu natarczywie, w niemal zwierzęcy sposób.

Przychodził do niej, kiedy miał ochotę na seks w najbardziej wulgarnym i dzikim wydaniu.

Lecz dziś, chociaż gwałtowność jej pożądania rozgrzała go jak zawsze, nie był usatysfakcjonowany. Nie słuchał ochrypłych krzyków dziewczyny, nie patrzył w dół, na jej nieco sflaczały brzuch i rozchylone, brązowawe uda.

Myślał o Julie.

Nie widział jej od czasu wściekłej kłótni na temat jej ojca, kłótni, która zakończyła się naznaczonym krwią, wyuzdanym kochaniem, ciągle jeszcze wyciskającym piętno na wszystkich jego zmysłach.

Po tamtym starciu chadzał co wieczór do „Ofelii” w nadziei spotkania Julie. Nie pojawiła się jednak.

Podejrzewał, że to, co między nimi zaszło, rozzłościło ją, a może zawstydziło bardziej niż myślał. Chciał się z nią pogodzić i wynagrodzić jej krzywdę.

W końcu, odczuwając rozpaczliwą potrzebę spotkania, zatelefonował do niej.

— Panienci nie ma w domu — powiedział z angielskim akcentem szorstki głos gospodyni. — Czy mogę spytać, kto dzwoni?

Za pierwszym razem pytanie to sprawiło, że stracił głowę i odłożył słuchawkę. Lecz później doszedł do wniosku, że zachował się idiotycznie, dając się zastraszyć zwykłej gosposi. Zadzwoił więc raz jeszcze i zostawił swoje nazwisko, pan Marrante. Julie nie oddzwoniła.

Zatelefonował ponownie, a angielska gospodyni zapewniła go, że przekazała jego pierwszą wiadomość.

— Przekazałam panience, że pan dzwonił, panie Marran-tee — powiedziała, przekręcając jego nazwisko z odcieniem protekcjonalności. — I teraz też jej przekażę pańską informację.

Potem jeszcze kilkakrotnie próbował do niej dotrzeć. Bez rezultatu. Najwyraźniej nie było jej w domu dla niego. To rozsierdziło Johnny'ego. Po raz kolejny uzmysłowił sobie, że Julie ma własne życie, którego strzeże zachłannie przed wtargnięciem z jego strony.

Z każdym dniem był bardziej wściekły. Ponieważ szalenie tęsknił za Julie.

A teraz, kiedy złaknione lędźwia Angeli wsysały i ścisnęły jego pulsujący seks, to nie Angela go podniecała. To była Julie. Jej delikatny blond wizerunek przyćmił całkowicie obraz zwykłej dziewczyny piszczącej w jego ramionach, i to dla niej pracowicie posuwał, wpychał się i wycofywał, odczuwając straszliwy ogień wyskakujący mu z lędźwi.

— Królu złoty — skamlała przymilnie Angela. — Daj mi to wreszcie! Proszę, kochany! Ooo...

Patrzył na nią obojętnie, postrzegając jej nagie ciało jako substytut złocistego wizerunku, który rozpałił w nim gwałtowny i niespodziewany płomień.

Ni stąd, ni z owąd, zaskakując samego siebie, szczytował z wielkim wytryskiem w Angeli. Ogromny dreszcz orgazmu wstrząsnął jej ciałem i odpłynął, pozostawiając ją bezwładną i jęczącą. Johnny z irytacją słuchał jej krzyków i kwilenia. Zamknął oczy i skupił całą uwagę na obrazie Julie.

Nazywał ją Kopciuszkiem, początkowo tylko dla zabawy. Ale czyż mimo wszystko nie było w niej czegoś zaczarowanego, czegoś z bajkowej istoty, której atrakcyjność wywodzi się z faktu, że nie jest zupełnie prawdziwa, że nie pochodzi ze zwyczajnego świata pospolitych kobiet, takich jak biedna Angela?

I dlatego nie mógł jej zapomnieć. Nawiedzała go, jak bajkowy Kopciuszek, którego wdzięki zmusiły księcia do szukania jej pomiędzy tymi wszystkimi zwykłymi kobietami w królestwie.

Johnny odczekał przyzwoitą chwilę, wyśliznął się z Angeli i zapalił papierosa. Przywarła do niego silnymi kończynami, a w nozdrza uderzył go lepki zapach jej włosów. Poklepał ją bezwiednie po ramieniu i dotknął piersi.

— Dziękuję, kochanie — zamruczała. — Jesteś najwspanialszy.

— Nie dziękuj mi, dziecinko — westchnął, zaciągając się głęboko. — To ty byłaś jak dynamit.

— Mam nadzieję, kotku. Dla ciebie chcę być dynamitem. Zawsze.

Jej uległość rozżłościła go. Była tak płytka i prosta. Bez prawdziwego kręgosłupa, prawdziwego charakteru. Po prostu jeszcze jedna łatwa cipka z Brooklynu, szybka dziewczyna, wystarczająco luźna, żeby oderwać się od sztywnego kodeksu seksualnego rodziny i otoczenia, której ciało raz złożone w ofierze jego żądzom nie stanowiło już dłużej nagrody.

Wywodziła się z jego środowiska. Byli do siebie podobni jak dwa ziarenka grochu. I podobną jej kobietę poślubi pewnego dnia, z tym, że będzie to dziewczyna, która odda swoją cnotę dopiero w małżeńskim łóżu mężczyźnie, będącemu później jej panem do końca życia.

Kobieta z oliwkową skórą, niegramatycznym angielskim, tanimi ciuchami i równie tanimi gustami oraz z zasobem włoskich wierzeń, przesądów i zwyczajów tak przewidywalnych jak tłusty zapach chodnika, dymu silnika i restauracji, wypełniający ulice starego sąsiedztwa.

Takie było przeznaczenie Johnny'ego. Na nic innego nie mógł liczyć.

Może dlatego czuł dziś w sobie narastający bunt, nie tylko przeciw znajomemu ciału dziewczyny w jego objęciach, lecz przeciw całemu światu, jaki sobą reprezentowała, przeciw przeszłości i przyszłości.

I być może dlatego wizerunek Julie, dziewczyny pełnej tajemnic, która oddała mu się z mieszaniną zgrozy, buntu, a może nawet samounicestwienia, wziął dziś w posiadanie jego żądze.

Ponieważ Julie pochodziła z innego świata. Tamtego wieczoru, kiedy ją spotkał, uzmysłowił sobie, że ta młoda dama szuka nieustraszenie przygód poza własną sferą, że pcha ją do tego jakiś tłący się w niej element szaleństwa. To podniecało go niemal tak mocno jak jej słodkie ciało.

Zapragnął wtedy zerznąć ją tak, żeby zapamiętała to do końca życia. Udało mu się i był dumny ze swej waleczności. Lecz Julie, mimo tej fizycznej uległości, załazła mu za skórę. Dlatego, że nie wyrzekła się swej odmienności, nie podarowała mu jej tak jak ciała. Nawet w najsilniejszym z jego uścisków pozostała egzotyczna i w pewien sposób niedostępna.

A teraz Johnny doszedł do wniosku, że gdyby nie nawinął się tamtej nocy, znalazłaby innego, podobnego mu faceta, który zaspokoiłby jej zachcianki. Mógł to być pierwszy lepszy palant, dysponujący odpowiednimi przymiotami fizycznymi i z odpowiednio niskich sfer, a jego zadanie polegałoby wyłącznie na uprzyjemnieniu jej nocy.

Potem odeszłaby tak, jak odeszła od Johnny'ego i zamknęłaby się bezpiecznie w czterech ścianach swojego zamku przy Park Avenue. Traf chciał, że na jej drodze stanął wtedy Johnny i że dla niego stała się Kopciuszkiem.

Problem polegał jedynie na tym, że tak samo jak bajkowy Kopciuszek, znikając w ciemnościach nocy, zabrała ze sobą serce księcia. A teraz wypadało mu, tak jak księciu, przetrząsnąć królestwo z jej pantofelkiem w dłoni, w próbie jej odnalezienia.

Ale czy ta metafora nie była zbyt pochlebna dla niego? Czy to nie raczej sam Johnny był tym, który, jak Kopciuszek, został znobilitowany przez kilka upojnych nocy, za każdym razem widząc, jak jego złudzenia pryskają o północy, a on sam jest odrzucany na powrót do własnego lepkiego, ohydneho świata, gdzie żył nadzieją, iż ona przyjdzie i odszuka go, kiedy najdzie ją taki kaprys?

Tak, ona była księżniczką, ukrytą za granitowymi murami swojego zamku, a on żebrakiem, nie mogącym się wdrzeć na te mury.

W dodatku ona gniewa się na niego. Nie za fizyczne okrucieństwo, które raczej przypadło jej do gustu, lecz za ciekawość względem jej ojca.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Wycofała się do zaczarowanego świata, pełnego przystojnych, bogatych adoratorów, a jego przepędziła tutaj, do marnej egzystencji z Angellą i jej podobnymi.

Wypuszczając kłęby dymu z papierosa i sięgając po stojące obok na stoliku piwo, Johnny podjął postanowienie.

Zburzy te mury i dostanie ją. Nie tak łatwo go odstawić, jak jej się wydawało.

Johnny Marrante nie jest niczym ogierem. Jest istotą ludzką.

Nadszedł czas, żeby pokazać jej, kto tu jest panem.

ROZDZIAŁ 25

Przez pierwsze kilka tygodni wydawało się, że połączone wysiłki Francie i Sama Carpentera nie przynoszą większych efektów.

Nie było klientów i nie było już pieniędzy na dalsze reklamowanie CompuTelu jako nowej, rozwijającej się firmy. Idea komputeryzacji była tak nowa i niesprawdzona, że biznesmeni patrzyli na nią nieufnie. Komputery kojarzyły im się z kosztującymi miliony dolarów „elektronicznymi mózgami”, będącymi raczej wyjętą żywcem z science-fiction groźbą zagłady dla obecnego społeczeństwa, aniżeli użytecznymi narzędziami mającymi ułatwić codzienną pracę. Francie i Sam próbowali wszystkiego, by pozyskać klientelę. Objeżdżali duże, średnie i małe firmy, proponując usługi. Wkładali w tysiące skrzynek na listy ulotki reklamujące bezkonkurencyjne usługi CompuTelu. Godzinami wymyślali slogany reklamowe, mające przełamać podejrzliwość przeciętnego biznesmena w stosunku do komputerów. Dyżurując na zmianę w biurze, schodzili sobie nogi, próbując znaleźć jakąś szparę w obojętności miasta na ich propozycje.

Nic nie pomagało. Zaczynało wyglądać na to, że CompuTel to poroniony pomysł, idea zbyt awangardowa, by przetrwać w obecnym świecie biznesu.

I wtedy nadszedł przełom.

W któryś poniedziałek, gdzieś tak w połowie marca, Sam wpadł do biura z wyrazem podniecenia na twarzy. Miał ze sobą egzemplarz „New York Timesa”.

— Popatrz na to — dopadł rozgorączkowany do Francie.

Otworzył gazetę na stronie z ogłoszeniami i oczom zaskoczonej dziewczyny ukazała się całostronicowa reklama sieci sklepów z artykułami chemicznymi pod nazwą Discount Drugs. Strona była ściśle zadrukowana nazwami artykułów, jakie można było korzystnie nabyć w tym tygodniu, od środków czyszczących, poprzez zabawki, do leków sprzedawanych bez recepty. Duży nagłówek reklamował obniżkę cen także na leki na recepty.

— Dlaczego mi to pokazujesz? — zdziwiła się Francie.

Wszyscy znają Discount Drugs. Ja sama kupuję u nich kosmetyki.

— Z dwóch powodów — odparł Sam. — Po pierwsze, pomyśl, z jakimi problemami z inwentarzem musi się borykać taka sieć. Pięćdziesiąt sklepów w samej tylko stolicy. W każdym sklepie tysiące różnych artykułów, nie wspominając o ogromnym asortymencie leków. Czy możesz sobie wyobrazić bardziej idealnego klienta do skomputeryzowania?

Francie pokiwała głową.

— Wiem, o czym myślisz. Są dla nas doskonałym materiałem. Gdyby udało się ich pozyskać, byłby to duży krok do przodu.

Sam uśmiechał się pod nosem.

— No dobra — popatrzyła na niego. — A jaki jest drugi powód?

— Oni są w poważnych tarapatach. Podczas weekendu rozmawiałem z Solem Sapersteinem. To właściciel całego tego interesu. Przyszła mi taka fantazja, żeby go poznać. Okazało się, że to nie było takie trudne. To sympatyczny facet, mocno stojący na ziemi. Znalazłem go w sobotę w jednym z jego biur na Manhattanie. Chyba udało mi się go zainteresować. Musimy jednak dorzucić coś na wagę, żeby szala przechyliła się na naszą stronę.

— To już zadanie dla ciebie — odparł Sam, uśmiechając się od ucha do ucha.

Sol Saperstein siedział w biznesie farmaceutycznym od trzydziestu lat, z czego piętnaście utrzymywał się w ścisłej czołówce swojej profesji.

Wykształcił trzech synów na studiach, wzenił córkę w jedną z najznamienitszych rodzin żydowskich w mieście i łożył fortunę na utrzymanie własnej, licznej rodziny, a także rodziny żony, łącznie z opłatami za dom starców, w którym aż do śmierci matki cztery lata temu przebywali jego rodzice.

Był dobrym, wiernym mężem, być może nawet za bardzo pozostającym pod pantoflem żony. Ona osobiście prowadziła całą księgowość wszystkich sklepów Discount Drugs i pracowała z nim ręka w rękę, żeby utrzymać biznes na wysokim poziomie konkurencyjności.

Miała na imię Irena i była małą, energiczną kobietką. W młodości odznaczała się wyjątkową urodą, a w miarę upływu lat stała się niezwykle skrupulatna w doborze strojów i kosmetyków, mających ratować nieuchronnie blaknącą piękność. Wiele produktów kosmetycznych nabywała we własnych sklepach i dbała o ich zaopatrzenie również z punktu widzenia własnej urody. W gruncie rzeczy to właśnie bogaty asortyment w dziale kosmetyków zapewniał Discount Drugs pozycję o krok z przodu przed głównym konkurentem, Potamkin Pharmacies. Ta konkurencyjna sieć od dziesięciu lat rozrastała się nieubłaganie na Manhattanie, dorównując pozycji zajmowanej przez Discount Drugs.

Sol wiedział, że wszystko, co ma, zawdzięcza Irenie.

Była jego powierniczką i partnerem w interesach. Lecz była także srogą i wymagającą żoną, która ujeżdżała na nim bez litości. A Sol był zmęczony. Walka o zbudowanie firmy z niczego zabrała mu wszystko, co najlepsze. Druga bitwa, o utrzymanie się z przodu, przed Potamkin Pharmacies i ich agresywnym właścicielem Philem Potamkinem, podkopała do reszty jego energię.

Sol był człowiekiem spragnionym wypoczynku.

Sam Carpenter zdołał uzyskać większość tych informacji w trakcie jednej, przeprowadzonej naprędce rozmowy z Solem Sapersteinem, jako że Sol z natury lubił narzekać.

— Popatrz na to — powiedział wtedy, machając ręką w kierunku ogromnego pomieszczenia sklepowego. — Trzydziestu pracowników, akcje wartości miliona dolarów, rosący co miesiąc czynsz i złodziej za każdym rogiem. Jak człowiek może zachować zdrowe zmysły w takim domu wariatów?

To wynurzenie było dla Sama doskonałą sposobnością do zapoznania Sapersteina z dobrodziejstwami oferowanymi przez CompuTel.

— Może pan skomputeryzować cały swój inwentarz i rachunkowość — wyjaśnił mu. — Kiedy już pan to zrobi, będzie pan miał wszystkie niezbędne informacje pod opuszkami palców. Księgowość pochłonie połowę tego czasu, co obecnie, a kierownicy pańskich sklepów będą mogli skoncentrować się na obsłudze klientów, zamiast robić ciągle inwentury. A co najważniejsze, będzie pan mógł połączyć koszty globalne wszystkich oddziałów w jeden system. Będzie pan dokładnie wiedział, jak poszczególne sklepy radzą sobie z danymi produktami. Uregulowanie tych spraw będzie pestką.

— A ile to będzie mnie kosztować? — spytał przebiegły przedsiębiorca.

W tym momencie Sam doznał natchnienia.

— Chyba najlepiej, jeśli Frances to z panem omówi — powiedział. — Frances zajmuje się finalizowaniem umów.

— Kiedy mogę się spotkać z tym Francisem?

— Kiedy pan zechce. Szczycimy się tym, że jesteśmy zawsze do dyspozycji klientów. Dzięki temu zaszliśmy tak daleko.

— Proszę mu w takim razie powiedzieć, żeby przyszedł do mnie w czwartek po lunchu.

Po chwili zastanowienia Sam postanowił nie wyprowadzać Sola Sapersteina z błędu co do płci kryjącej się za imieniem „Frances”.

Może i dobrze, jak będzie to dla niego zaskoczeniem.

W następny czwartek Sola Sapersteina zamurowało, kiedy o umówionym czasie do jego biura wkroczyła piękna, młoda kobieta w jasnym kostiumie, która roztaczając wokół zapach zmysłowych perfum, z przyjacielskim uśmiechem przedstawiła się jako Frances Bolfinger.

— Nie rozumiem — wyjąkał. — To znaczy... to pani jest Frances?

— Proszę mówić mi Francie — powiedziała, potrząsając jego ręką. — Wszyscy moi przyjaciele tak mnie nazywają.

— Ja... no jasne. Jasne, Francie — zdołał wystękać Saperstein. — Siadaj i opowiedz mi o CompuTelu.

Sol Saperstein nastawił się na to, że dziewczyna, która stawiała się na umówione spotkanie, zacznie go uwodzić swoją zdumiewającą aparycją. Nie był natomiast przygotowany na to, że ta chodząca piękność zasypie go gradem kuszących pro-

pozycji, oferując mu osiągnięcie takiego pułapu sprzedaży, o jakim w życiu nie słyszał.

Usługa, jaką CompuTel proponował jego firmie, była rewelacyjna i rzeczywiście gwarantowała zmniejszenie wydatków ogólnych o 20% w ciągu pierwszego roku. Co więcej, usługa ta była zaskakująco niedroga.

Sol mógłby z łatwością sobie na nią pozwolić, jak wyjaśniła mu Francie, demonstrując na poparcie swoich przekonywających argumentów różne tabele i wykresy.

Stary wyga był pod wrażeniem. Niemniej jednak wzdragał się na myśl o powierzeniu prowadzenia swoich interesów komputerowi. Jak większość ludzi, Sol bał się „elektronicznych mózgów”. Komputery nie były dla niego tym, czym były w rzeczywistości: prostymi kalkulatorami o wysokim poziomie skuteczności. Uważał je za skomplikowane techniczne potworki, których zadaniem jest myślenie za ludzi i prowadzenie spraw według własnego, elektronicznego uznania.

Francie wyprowadziła go z błędu, w czarujący i przystępny sposób tłumacząc wszystkie zawiłości, przy czym zaimponowała mu łapaniem w lot jego zawodowych problemów. Pod koniec spędzonej wspólnie godziny Sol był prawie zakochany w dziewczynie i połowicznie przekonany, że wyłącznie CompuTel jest w stanie uwolnić go od wrzodów, których nabawił się, prowadząc interesy.

Lecz „połowicznie” nie oznaczało „do końca”. Sol Saperstein był człowiekiem ostrożnym.

— To zbyt duże ryzyko, bym decydował sam — oświadczył. — Muszę przedyskutować to z Ireną. To ona zajmuje się księgowością. Jeśli uzna to za słuszne, możemy spróbować.

Francie od początku obawiała się, że w tym punkcie będzie tkwił szkopuł sprawy. Sol Saperstein nigdy nie podejmował decyzji bez konsultacji z żoną.

Teraz wszystko zależało od Ireny.

Pech chciał, że przebywała ona właśnie z wizytą u chorej matki w Miami. Umówili się więc, że po jej powrocie zjedzą wspólnie obiad, podczas którego Francie wyłoży swoją propozycję.

Francie spożytkowała mądrze czas dzielący ją od stawienia czoła Irenie. Nie tylko przygotowała drobiazgową wersję propozycji, dostosowaną specjalnie do potrzeb Discount Drugs. Przeprowadziła również na boku małe, prywatne śledztwo, o którym nie pisnęła słowa nawet Samowi.

27 marca Irena Saperstein wróciła z Florydy. Dwa dni później mąż zabrał ją na obiad z Francie i Samem. Umówili się w spokojnej restauracji, niedaleko filii Discount Drugs, w której Sam po raz pierwszy spotkał Sola.

Przez godzinę rozmawiali o ofercie CompuTelu. Irena, mała, wymagająca kobieta, przewiercała na wylot niebieskimi, inteligentnymi oczkami Francie i Sama, przysłuchując się ich wywodom. Traktowała ich grzecznie i z szacunkiem, lecz nie wahała się zadawać brutalnych pytań. Co będzie, jeśli system zawiedzie? Co się stanie, jeśli skomputeryzowany zapis ulegnie zniszczeniu wskutek awarii prądu lub jakiejś innej naturalnej katastrofy? Jakie gwarancje daje CompuTel, że wynagrodzi wszelkie potencjalne straty Discount Drugs w tych lub innych okolicznościach?

Irena zaimponowała Francie. Teraz wiedziała, dlaczego ta kobieta stanowi podporę interesów męża. W miarę upływu czasu doszła do przekonania, że szacunek, jakim obdarzyła panią Saperstein, był odwzajemniany.

Gdy zjedli, Irena wzięła Francie na bok.

— Miło jest spotkać młodą damę, która zna się na rzeczy i może konkurować w świecie mężczyzn — powiedziała.

— Przy okazji, czy nie będzie mi pani miała za złe, jeśli zapytam, jakich perfum pani używa?

— Oczywiście, że nie — uśmiechnęła się Francie. — To Le Bonheur. Kupiłam je w Discount Drugs.

Zaoszczędziłam przez to dwa i pół dolara, bo o tyle były droższe u waszej konkurencji.

— Dwa dolary i sześćdziesiąt jeden centów — poprawiła ją Irena. — A Phil Potamkin i jego Potamkin Pharmacies nigdy z nami nie wygrają, chyba że po moim trupie.

Francie pokiwała głową z podziwem, wyrażając w ten sposób akceptację dla takiej postawy i dodała, że w Discount Drugs kupuje wszystkie kosmetyki.

Młodzi zapaleńcy opuścili lokal pełni nadziei, że rezultatem obiadu będzie pierwszy kontrakt CompuTelu.

— Oboje cię polubili — odezwał się Sam. — Sol był już nasz, ale martwiłem się o Irenę, dopóki nie zobaczyłem, w jaki sposób na ciebie patrzy. Zdaje się, że obudziłaś w niej instynkt macierzyński. Mamy ten kontrakt w kieszeni, Francie!

Francie uśmiechnęła się tylko. Czas pokaże, pomyślała.

Trzy dni później nadeszła zła wiadomość. Sam odebrał telefon i zrelacjonował nieprzyjemną niespodziankę Francie. — To był Sol Saperstein. Powiedział, że jest mu przykro, ale nie czują się na siłach, by podejmować takie ryzyko. Jego konkurencja jest zbyt zaciekle, żeby angażował się w coś, w wyniku czego, przy jakimś nieszczęśliwym zbiegu okoliczności, może stracić całą dokumentację. Przykro mi, Francie. Wygląda na to, że Sol jest bardziej przyzwyczajony do starych metod, niż myślałem.

Francie pokiwała jedynie głową. Znała prawdziwą przyczynę porażki. Była nią Irena Saperstein. Kobięca intuicja od początku podpowiadała jej, że Irena jest zazdrosną, zaborczą żoną. Pod przykrywką matczynej serdeczności podejrzliwie patrzyła na entuzjazm, z jakim jej mąż podchodził do projektu atrakcyjnej dziewczyny. Fachowość Francie naprawdę zaimponowała przezornej żonie, lecz nie na tyle, żeby przeważać nad troską o myszkujące oczka męża.

Francie pomyślała, że może gdyby trzymała się od tej transakcji z daleka, Samowi w pojedynkę udałoby się zdobyć ten nieszczęsny kontrakt.

Z drugiej strony jeden Sam mógłby nie przyciągnąć zainteresowania Sola Sapersteina. Do tego konieczne były młodość i uroda Francie.

Była to dla niej pierwsza poważna lekcja osiągania sukcesu w interesach. Ta sama broń, za pomocą której zdobywa się cenne tereny na początku, może w efekcie okazać się przeszkodą niweczącą całe dzieło. Żeby odnieść zwycięstwo nad Discount Drugs, należało znaleźć dojście do obojga, Sola i Ireny. Jej i Samowi to się nie udało. Lecz Francie nie rozpaczała. Miała w rękawie jeszcze jedną kartę. Jej smykałka do interesów przeszła już chrzest bojowy w Magnus Industries, tak więc w swoim nowym „przedsiębiorstwie” była przygotowana na wszelkie ewentualności.

— Głowa do góry — powiedziała do Sama. — Idzie na lepsze. Jestem tego niemal pewna.

Sam nie miał pojęcia o tym, że kiedy Francie obwieszczała mu czekającą za rogiem dobrą nowinę, nie mówiła w kategoriach optymistycznej abstrakcji.

W niecały tydzień po porażce z Sapersteinem wkroczyła zamasyście do ich kantorka i położyła na biurku przed zasepionym Samem jakiś dokument.

— Niespodzianka — oznajmiła radośnie.

Sam rzucił okiem na papier. Był to kontrakt, na mocy którego CompuTel miał świadczyć usługi dla całej sieci Potamkin Pharmacies przez okres sześciu miesięcy.

— Podpisz obok mojego nazwiska — poleciała, wciskając mu pióro do ręki.

Sam gapił się na nią z niedowierzaniem.

— Czy to jakiś żart? — zapytał.

— Żadnych żartów — odpowiedziała. — Phil Potamkin oczekuje nas na lunchu u Sardiego, żeby uczcić transakcję.

Nie może się doczekać, żeby cię poznać. Dużo mu o tobie opowiedziałam.

Oszołomiony Sam podpisał dokument, a następnie udał się ze swą towarzyszką do sławnej restauracji przy Zachodniej 44 Ulicy, gdzie Francie przedstawiła go Philowi Potamkinowi, wysokiemu, opalonemu mężczyźnie dobiegającemu sześćdziesiątki.

— Jestem zachwycony, że mogę cię poznać, Sam — Potamkin wyszczerzył zęby w panoramicznym uśmiechu. — Ta mała dama opowiedziała mi wszystko o tobie i twoim komputerze. Muszę ci wyznać, że byłem wyjątkowo opornym klientem, ale ona zdołała mnie przekonać, że usprawnicie funkcjonowanie mojej sieci i pomożecie mi dopaść Solą i Irene. Od piętnastu lat depczę im po piętach i mam zamiar ich prześcignąć, choćbym musiał osobiście wdrapać się w tym celu na Empire State Building.

Sam spoglądał to na Potamkina, to na Francie. Przeczuwał niejasno prawdę, lecz żeby się dowiedzieć, co naprawdę zaszło, musiał poczekać do końca tego cukierkowego lunchu.

Skoro tylko zostali sami, zadał jej pytanie, które nie dawało mu spokoju.

— Jak ty to zrobiłaś? Dziewczyna uśmiechnęła się skromnie.

— Zwykle wycucie biznesu. Na każdym rynku mądry przedsiębiorca obserwuje konkurencję. Discount Drugs walczą od dawna o utrzymanie się przed Potamkin Pharmacies. Przyszło mi do głowy, że jeśli Sol i Irena nie wykazali ochoty na skorzystanie z naszych usług, żeby utrzymać wiodącą pozycję, to może Phil Potamkin zechce podjąć ryzyko, żeby ich

dogonić. Skontaktowałam się z nim w ubiegłym tygodniu, dałam mu próbę naszych możliwości i poszczyściło mi się. Sam kręcił głową, nie mogąc się nadziwić.

— Wiedziałem, że jesteś sprytna, ale nie wiedziałem, że aż tak. Czy knułś ten plan już wtedy, kiedy podchodziliśmy Sa-persteinów?

Przytaknęła z miną niewiniątka.

— No cóż, gratulacje — uściskał ją serdecznie. — Muszę przyznać, że z ciebie niezły kawał pokerzystki.

— Dzięki za komplement. Chcesz zgadnąć, co było moją kartą atutową?

Popatrzył na nią figlarnie.

— Poddaję się. Powiedz.

Francie spojrzała mu prosto w oczy.

— Phil Potamkin nie ma żony. Jest wdowcem.

Sam uniósł brwi. W tym momencie uświadomił sobie nie tylko, jak zasadniczą rolę odegrała Irena Saperstein w zniweczeniu szans CompuTelu, lecz także jak daleko Francie wybiegała myślami naprzód przez cały ten czas.

— Lepiej będą cię miał na oku — zażartował. — Jesteś przebiegła i niebezpieczna.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Jej oczy pełne były przyjaźni i szelmowskiego triumfu, lecz pod tym kryło się coś odległego i skomplikowanego, napełniając Sama dziwnym uczuciem, będącym mieszanką podziwu i niepokoju.

Zdecydowanie, we Francie Bollinger znalazł kobietę, z którą należało się liczyć.

ROZDZIAŁ 26

Nowy Jork, 10 kwietnia 1957

Julie Magnus uczestniczyła w imprezie dobroczynnej zorganizowanej przez Ligę Młodych w hotelu Waldorf-Astoria.

Była śmiertelnie znudzona i żałowała, że nie znajduje się gdziekolwiek indziej. W dusznej sali balowej panowała cisza, gdyż pani Chillingworth, fundatorka tej dorocznej imprezy, brnęła właśnie przez swoje niekończące się przemówienie na temat dzieci upośledzonych i odpowiedzialności bogaczy za pomoc społeczeństwu.

Julie sączyła z roztargnieniem herbatę i szukała sposobu na wcześniejsze urwanie się z tej farsy, kiedy goniec hotelowy z konfidencjonalnym szeptem przekazał jej bilecik.

— Niejaki pan Marrante chce się z panią zobaczyć. Jest w hallu.

Spojrzała na wiadomość i oczy pociemniały jej ze złości. Johnny, ty bydlaku, pomyślała. Co za tupet.

— To pomyłka — powiedziała oschle. — Nie znam nikogo o tym nazwisku.

— Rozumiem, proszę pani — odparł chłopak i znikł. Julie potrząsnęła głową z irytacją. To powinna być dla ciebie naučka, ogierze, zadumała się gorzko.

Niemniej jednak była zaniepokojona. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ten prostak mógłby mieć czelność nachodzić ją na jej własnym terenie.

Słuchała z roztargnieniem monotonnego brzęczenia pani Chillingworth. Mowa litościwie dobiegała końca. Wkrótce Julie wyrwie się stąd.

Goniec wrócił w momencie, kiedy zabrzmiały oklaski na zakończenie przemówienia.

— Pan Marrante nalega — powiedział. — Czy mam polecić komuś z hotelu, żeby z nim porozmawiał?

Zgodnie z odbytym przeszkoleniem, chłopak czuł się w obowiązku chronić Julie przed kimś, kogo oboje uważali za intruza. Nastawił się na to, że każe wyrzucić natręta z hotelu.

Coś jednak sprawiło, że Julie zmieniła zdanie.

— Zajmę się tym sama — powiedziała.

Przeprosiła towarzystwo i ruszyła jakoś ukradkiem w kierunku hallu. Na widok Johnny'ego poczuła dziwną słabość.

Stał, uśmiechając się do niej ze swojego miejsca, pośrodku wyściełanego dywanami pomieszczenia. Ubrany w sportowy płaszcz doskonale dopasowany do swej atletycznej sylwetki, w niczym nie przypominał typka z dołów społecznych. Pod płaszczem miał ciemną koszulę i jasny krawat oraz parę obcisłych spodni, w skandaliczny sposób reklamujących jego męskość. Kiedy ich oczy się spotkały, przesłał jej nieznacznie pocałunek.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła panią Lydecker, panią Bishop i inne, zmierzające w kierunku podwójnych drzwi sali balowej. Za chwilę wszystkie wsypią się do hallu. Musi działać szybko.

Pospiesznie podeszła do Johnny'ego.

— Jak mnie tutaj znalazłeś? — spytała z irytacją. Uśmiechnął się.

— Nietrudno cię znaleźć. Wiele ludzi cię zna, Kopciuszk. Julie rozejrzała się niespokojnie. Nie mogła sobie pozwolić,

by w miejscu takim jak to zobaczono ją w towarzystwie mężczyzny takiego jak Johnny.

— Chodźmy tędy — poleciła, ciągnąc go przez hall za filar, byle dalej od sali balowej.

Kiedy zniknęli z oczu znajomych pań, ofuknęła go:

— Co tu robisz?

— Stęskniłem się za tobą. Zdaje się, że Kopciuszek zapomniał o swoim przystojnym księciu. Czyżby powodem była tamta drobna sprzeczka?

Julie poczuła, że tutaj, w tym niedozwolonym miejscu, bliskość Johnny'ego powoduje, iż przechodzą ją ciarki. Jego nagłe pojawienie się zszokowało ją.

Lecz przemówiła przez nią duma.

— Wynoś się stąd. Nigdy więcej nie nachodź mnie w takich miejscach. Wiem, gdzie cię znaleźć, jeśli będę miała na ciebie chętkę. Trzymaj się swojego towarzystwa.

Zgniół jej ramię w żelaznym uścisku. Wyraz jego oczu przeraził ją. Bił z nich potężny, stłumiony gniew.

— Jak by się to spodobało twoim damulkom z wyższych sfer, gdyby dowiedziały się, w jakim towarzystwie obracasz się nocami? Ja nie jestem nieśmiałym, zahukanym mydłkiem, Kopciuszk.

Zbladła. Mówił zupełnie poważnie. Wierzyła, że jest zdolny do tego, by przewlec ją do sali balowej i przedstawić się jej znajomym. Zrobiła w życiu wiele niemoralnych, szalonych rzeczy, lecz zawsze z chłopcami z najlepszego towarzystwa. Nie wyobrażała sobie siebie wleczonej przez Johnny'ego Marrante do sali balowej w hotelu Waldorf. Szukała rozpaczliwie sposobu, żeby go spławić.

— Czy pójdziesz sobie, jeśli obiecuję, że spotkam się z tobą dziś wieczorem w „Ofelii”? — spytała błagalnie.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę z wyrazem twarzy, w którym podejrzliwość mieszała się z ironią. Potem powoli puścił jej ramię.

— O dziewiątej trzydzieści. I nie spóźnij się, księżniczko. Przełknęła to, potaknąwszy ruchem głowy. Odwracając się

dotknął palcem jej ust. W jakiś oburzający sposób wyglądał nieludzko przystojnie. Julie odczuła mimowolne ukłucie pożądania.

Musiał intuicyjnie wyczuć jej stan, gdyż chwycił jej rękę. Lustrując uważnie otoczenie, wprowadził jej szczupłe palce między swoje uda. Zaczerwieniła się jak burak, czując pod obcisłymi spodniami twardy, długi, prężący się seks.

— Johnny! — wysyczała przerażona.

— Do zobaczenia w godzinie czarów — uśmiechnął się szyderczo i puścił ją.

Odwróciła się od niego i na nogach jak z waty pospieszyła z powrotem do pań.

— Julie! — wykrzyknęła pani Bishop. — Szukałam cię wszędzie. Gdzie się ukrywałaś?

— Ja... pudrowałam nos — uśmiechnęła się nerwowo, nie mając odwagi zerknąć za siebie, by raz jeszcze zobaczyć Joh-nny'ego.

— Chodź — powiedziała starsza pani. — Jest tam ktoś, kto chce cię poznać.

Julie westchnęła i podążyła za nią na ciągle miękkich nogach.

Siedem godzin później była znów w ramionach Johnny'ego.

Otaczały ją zaciemnione ściany jego mieszkania z wiszącymi na nich zmysłowymi obrazami nagich postaci oraz znajomy zapach tego miejsca, zawierający w sobie woń papierosów, piwa, whisky i jego obnażonego ciała.

Łóżko było miękkie, umięśnione ramię spoczywające pod jej karkiem czarowne jak zawsze, a ciepłe pocałunki, jakimi pieścił jej sutki, wysyłały przez jej skórę dreszcze oczekiwania.

— Przykro mi, maleńka, że musiałem się dzisiaj zachować jak ostatni cham — zamruczał, naciskając językiem jedwabistą skórę jej piersi.

— Nie ma sprawy — westchnęła, przyciągając go bliżej. Uświadomiła sobie, jak bardzo jej ciało stęskniło się za nim od tamtej nocy walki. Jakaś część z niej czuła, że to obce, nędzne mieszkanie jest czymś w rodzaju bezpiecznej przystani dla jej namiętności, tak jak jego boskie ciało jest rozkoszą dla jej zmysłów. Z Johnnym mogła sobie pofolgować w sposób, w jaki nie robiła tego nigdy przedtem.

Była niemal zadowolona, że pozwoliła mu się dziś zaszantażować. Ostatecznie, ta otwarta groźba, wypowiedziana

przez niego w hotelu, zatriumfowała nad jej dumą i zmusiła ją do przyjścia tutaj. Inaczej nigdy by się na to nie zdobyła.

— Nigdy więcej nie chowaj się przede mną, maleńka — wyszeptał Johnny. — Za bardzo cię potrzebuję, żeby się w to bawić.

— Nie będę — obiecała.

Wargi zaczęły śmielej penetrować zakamarki jej ciała. Dołączyły do nich silne ręce. W jej głowie myśl zaczęła zmieniać się w przyjemność.

Zatraciła się zupełnie w jego pieszczotach. Nie mogła wiedzieć, o czym myślał Johnny.

Johnny odważył się pojawić w hotelu Waldorf nie tylko z czystej pyszałkowatości.

Zrobił to, gdyż jego pragnienie Julie było w punkcie wrzenia. I ponieważ nie mógł znieść dziwnego bólu w sercu, spowodowanego rozstaniem z nią w gniewie.

Julie nie wiedziała, że pod jego arogancją tego popołudnia kryło się błaganie, do którego nie ośmielił się przyznać.

Kiedy zobaczył, jak wyłania się z sali balowej, taka krucha i piękna w eleganckiej spódnicy i bluzce, miał wrażenie, że niesie z sobą cały świat, do którego pragnął należeć za każdą cenę, byle tylko być z nią.

Lecz to był jej świat, nie jego. I nawet wyłaniając się z niego, ze ślicznymi rysami zniekształconymi gniewem i zakłopotaniem, zatrzaśniwała mu drzwi przed nosem. Była niedostępną księżniczką, rzucającą mu mordercze spojrzenia przez pozbawioną mostu fosę. Ta świadomość, wbijająca się boleśnie w jego serce, przywróciła mu płonąca urazę i dodała odwagi do odegrania sceny męskiej dominacji w hallu w Waldorfie.

Jednak nawet teraz, kiedy trzymał ją w ramionach, nie było mu łatwo grać rolę bezwzględного uwodziciela, zabawiającego się obojętnie jej ciałem. Ponieważ w tym akcie odnowienia ich intymności przez jego zmysły przepływały fale nieopisanej ulgi.

Zastanawiał się, jak mógł bez niej tak długo wytrzymać i czy kiedykolwiek będzie jeszcze w stanie wytrzymać.

Dzisiejszy „występ” był następstwem walki stoczonej między pożądaniem a hardą dumą. Nie uśmiechała mu się perspektywa paradowania przed stadem damulek w charakterze ciekawostki z niższych sfer. Myśl o tym, jak unoszą brwi i rzucają mu protekcyjne spojrzenia, nie pociągała go zupełnie. Czuł się wybitnie nieswojo w eleganckich pomieszczeniach hotelu Waldorf, pełnych wyszukanie wystrojonych gości.

Zaryzykował jednak tę wyprawę poza własny świat ze względu na Julie. Zrobił to, gdyż wiedział, że nie może się zbliżyć do niej w jej domu i ponieważ ona świadomie nie pozwoliłaby mu zbliżyć się do siebie gdziekolwiek indziej. Upokarzała go myśl, że musiał uciec się do takiego sposobu, żeby znów ją mieć.

Ale teraz ją miał. I zamierzał cieszyć się tym faktem oraz sprawiać, by i ona się cieszyła.

— Chodź, księżniczko — mruknął, rozchylając jej delikatnie kolana. — Co było, to było, a teraz zabawmy się troszeczkę.

Dotykając palcami jej sekretnych miejsc, usłyszał jęk kapitulacji. Przesunął się, żeby położyć się na niej i bardzo wolno, zmysłowo, centymetr po centymetrze wślizgiwał się w nią aż po nasadę członka.

Jej rysy zniekształcił gwałtowny skurcz rozkoszy. Oczy miała zamknięte, dłońmi przyciskała jego pośladki.

Wiedział już, że ona też tęskniła za tymi miłosnymi uniesieniami.

Ale czy to jego potrzebowała? Czy chodziło jej o Joh-nny'ego, człowieka, czy tylko o bezosobową brawurę męskiego ciała? Przyjemność rozjaśniająca jej twarz nie dawała na to odpowiedzi.

Zadając sobie to pytanie, wbił się w nią głębiej, a gniew i frustracja nadały pchnięciom takiej gwałtowności, że znów zajęczała. Na dźwięk tego jęku jego tak długo tłumiona namiętność wybuchła jak wulkan i zespoliła się z jej namiętnością.

Objęli się mocniej, każde z nich wiedzione pożądaniem, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyło, lecz ślepe na to, co odczuwało drugie.

A mimo to oboje wiedzieli, że w tej drugiej osobie następuje jakiś przełom. I ta świadomość doprowadziła ich do niewyobrażalnych wyżyn namiętności.

Johnny poczuł, że zaczyna szczytować. Pchnął jeszcze głębiej, z ostatnim gorącym spazmem. Jego rysy wykrzywione były przez ekstazę. Łapał powietrze czując, jak dużo z niego przeszło na tę kobietę. Ogarnęło go uczucie mrocznego przeznaczenia.

Julie wygięła grzbiet, żeby go przyjąć. Jej drobne ciało dygotało w jego uścisku. Przyjemność, jaką odczuwała, zdawała się pochodzić z innego świata. Na długą chwilę zapomniała, gdzie jest. Istniało tylko męskie ciało i dawana przez nie rozkosz.

Potem uniesienie opadło, wrócił realny świat, domagający się uznania swoich praw. Kiedy kochanek przebiegał po jej ciele palcami i pokrywał jej czoło delikatnymi pocałunkami, ona zaczęła rozpatrywać sytuację, w jaką dobrowolnie się wpackowała i zastanawiać się, czy uda jej się z niej tak łatwo wyplątać, jak się wplątała.

ROZDZIAŁ 27

— Najważniejszy jest dobry początek — powiedziała Francie do Sama.

Tydzień po tym, jak Francie sfinalizowała umowę z Philem Potamkinem, Sol i Irena Saperstein zaczęli odczuwać, że ustąpili pola znienawidzonemu rywalowi. Zaskakującym rezultatem tego było, że Discount Drugs stały się drugim klientem CompuTelu, zaledwie w dwa tygodnie po tym, jak stały się jego wielką porażką.

Niemal z dnia na dzień Francie podjęła się skomputeryzowania dwóch największych sieci sklepów w Nowym Jorku. Na tak wczesnym etapie ery komputerów było to poważne wyzwanie. Lecz Francie wiedziała, że mu sprosta. Osobiście nadzorowała każdy aspekt procedury spisywania i porządkowania inwentarza, zaprogramowanej dla obu firm. Jej programy działały bez zarzutu. Sparzywszy się już raz na niepowodzeniu, jakim była próba uruchomienia europejskiej operacji Magnusa, wiele się od tamtego czasu nauczyła i zrozumiała dokładnie, jakich pułapek unikać w tego rodzaju pracy.

9292, wykonany chałupniczym sposobem komputer Sama, spisywał się znakomicie, wykorzystując do wykonania wymaganej od niego pracy zaledwie niewielki ułamek swojej ogromnej pamięci.

W ciągu kilku tygodni operacja zakończyła się całkowitym sukcesem dla obu firm. Chociaż rywalizacja między Potamkin Pharmacies a Discount Drugs teraz, kiedy każda z firm miała mniej spraw na głowie, stała się nawet bardziej zaciekle, obie sławiły głośno fachowość i przystępność usług świadczonych przez CompuTel.

Niewątpliwie dzięki rozpuszczanym przez Sapersteinów i Potamkina pogłoskom, Francie zaczęła zyskiwać nowych

klientów. W krótkim czasie zaczęła obsługiwać sieć sklepów obuwniczych i dużą nowojorską mleczarnię. Nie poprzestała na tym. Miała większe plany. Wkrótce oboje z Samem zapoczątkowali serię wywiadów handlowych z potencjalnymi klientami. W miarę upływu czasu nauczyli się udoskonalać swoją ofertę, wykorzystując sukcesy w przypadku starych klientów jako wabik dla nowych, których intrygował pomysł komputeryzacji, ale byli ciągle nieufni wobec nieznanego.

Uzupełniali się doskonale. Tam gdzie nie wystarczała przyjazna powściągliwość Sama, uroda i fachowość Francie zwykle doprowadzały do zwycięstwa.

Walka o przodownictwo między Sapersteinami a Potamki-nem była dla nich cenną lekcją. Kiedy podchodzili do odnoszącego sukcesy biznesmena, upewniali się najpierw, że komputeryzacja jego przedsiębiorstwa oznaczać będzie zwycięstwo nad najgroźniejszym rywalem. Coraz częściej zdarzało się, że ktoś zatrudniał CompuTel ze strachu, że jeśli tego nie zrobi, jego konkurent zrobi to pierwszy.

Kombinacja sprytu i talentu kupieckiego, niezawodność usług i przekazywane z ust do ust informacje, zaczęły w niedługim czasie procentować. Do klienteli CompuTelu dołączyła ważna sieć sklepów odzieżowych. Po niej zgłosił się właściciel hurtowni sprzętu elektronicznego, obracającego milionami dolarów.

Wówczas też Sam dokonał śmiałego posunięcia, które stało się przełomowym w ich działalności. Wspomniał kiedyś przypadkiem o naturze swojego biznesu wiceprezesowi banku First Federal na Manhattanie, w którym CompuTel miał swoje konto. Wiceprezes świadom gwałtownego wzrostu wkładów na koncie małej firmy, dostrzegł szansę zaimponowania przełożonym własną inicjatywą i z pomocą Sama naszkicował projekt tego, jak CompuTel mógłby skomputeryzować cały system rachunkowości banku, oszczędzając tym samym setki tysięcy dolarów na opłatach dla księgowych.

W miesiąc później, po wielorakich konsultacjach pomiędzy Radą Nadzorczą banku a Samem i Francie, podpisano kontrakt. CompuTel zajmował się teraz oficjalnie księgowością banku First Federal i wszystkich jego filii. Przed końcem zimy trzy kolejne banki na Manhattanie skontaktowały się z Francie, prosząc o takie same usługi w możliwie najkrótszym terminie.

Interes kwitł. Z dnia na dzień CompuTel zyskał rozgłos i stał się siłą, z którą należało liczyć się w manhattańskim świecie biznesu.

Francie prowadziła z Samem długie, strategiczne rozmowy o tym, jak pokierować gwałtownie rozwijającą się firmą. Klienci bogacili się coraz bardziej, pracy przybywało. Przez CompuTel przepływało coraz więcej pieniędzy i rosła odpowiedzialność. Firma zatrudniła już kilku sekretarzy i operatorów, którzy musieli sobie radzić z rosnącym napływem informacji.

Pierwszym krokiem było wydzierżawienie dwóch nowych komputerów IBM na Manhattanie. Był to ogromny wydatek, większy niż jeszcze sześć miesięcy wcześniej Francie mogła sobie wyobrazić. Lecz sam 9292 nie mógł już podołać nawałowi pracy. Tak więc CompuTel nadwyrężył się finansowo, by zafundować sobie nowy sprzęt, lecz Francie i Sam zdawali sobie sprawę, że jest to jedyny sposób na skuteczną rozbudowę firmy.

Zgodnie z sugestią Sama przenieśli się z kantorka do nowego, jasnego biura przy Cedar Street, niedaleko od Wall Street. Kazali urządzić to miejsce tak, żeby wyglądało nowoczesnie, błyszcząco i ekscytująco. Były więc pokryte dywanami podłogi, kolorowe malowidła na ścianach, małe pomieszczenia dla personelu i większa sala konferencyjna do spotkań z obecnymi i potencjalnymi klientami.

W tym nowym otoczeniu CompuTel bardziej przypominał to, czym w rzeczywistości był: młodą, prężną firmę z ogromnymi widokami na przyszłość.

Francie i Sam byli straszliwie przeciążeni pracą, jako że tylko oni odpowiedzialni byli za tworzenie nowych programów na potrzeby różnych dziedzin biznesu, jakie obsługiwał CompuTel. Każdy program był inny, a programowanie stanowiło nadal nową sztukę, której zasady nie były jasne.

Co dziwne, poprzez programowanie Francie lepiej poznała Sama. Często pracowali oddzielnie nad różnymi aspektami programu, a potem łączyli efekty swojej pracy w produkt końcowy. Przez to Francie mogła wywnioskować, jaki jest jego tok myślenia. Umysł Sama był cudownie logiczny, lecz nie agresywny. Zamiast przecinać węzły gordyjskie szybkimi, niecierpliwymi cięciami tak, jak to robiła Francie, Sam cierpliwie szukał sposobów, żeby je rozsypać. Cechowała go subtelność w podchodzeniu do problemów, gotowość do dopasowy-

wania cyfr i równań, której brakowało Francie. Ona atakowała problem na wprost, potrząsała nim jak pies kością i męczyła go, dopóki nie przyszło jej do głowy rozwiązanie.

Wewnętrzny spokój Sama pomagał Francie wytrzymywać codzienne napięcie związane z rozbudową firmy. Sam uznał, że długie godziny w biurze stanowią zagrożenie dla jej zdrowia. Tak więc wieczorami podczas weekendów zabierał ją na swój strych, gdzie kazał jej siedzieć i patrzeć, jak on dłubie przy 9292. Zwiększał ustawicznie zasób funkcji komputera, dążąc jednocześnie do zmniejszenia rozmiarów monstrualnej maszyny. Zastąpił rozbudowany zespół obwodów elektronowych lamp próżniowych tranzystorowym układem scalonym. Z każdym tygodniem 9292 stawał się coraz mniejszy i coraz potężniejszy.

Obserwując Sama, Francie odprężała się i zapominała o codziennych kłopotach. Wiedziała, że siedząc samotnie w domu nie byłaby w stanie przestać myśleć o pracy i zrelaksować się tak jak tutaj.

Gdy Sam pracował, gawędzili leniwie o jej młodości w Pensylwanii, o jej matce i ojcu, a także o jego rodzinie. Sam zdawał się z natury człowiekiem szczęśliwym, kochanym i chcianym przez rodziców jako dziecko. Nie ciągnęło go do sukcesu tak jak Francie, lecz dzielił swoje zainteresowania pomiędzy zdrową żądzą przygód i głębsze pragnienie własnego domu i rodziny, stanowiących schronienie przed światem.

Dlatego też, zdaniem Francie, największym cieniem na życiu Sama kładł się epizod koreański i powrót z wojny, kiedy okazało się, że jego małżeństwo nie istnieje. Choć Sam niechętnie o tym mówił, wiedziała, iż był to dla niego straszliwy cios. Zgadywała, że największym szczęściem byłaby dla niego kochająca żona i gromadka dzieci. To znaczyłoby dla niego o wiele więcej niż jakikolwiek sukces zawodowy.

Poznawanie historii jego życia sprawiało jej równie dużą przyjemność jak możliwość opowiadania o sobie. Ich przyjaźń pogłębiała się i nabierała nowych wymiarów.

Doszło do tego, że strych Sama stał się dla niej jedynym azylem. Uwielbiała przyglądać się jego dłubaniu. Z niezmaconym spokojem majstrował przy 9292 w swoim brudnym podkoszulku, a obok w popielniczkę na podłodze dymił nieodmiennie papieros. Z radia sączyła się cicha muzyka, odbijając się echem wśród mrocznych zakamarków strychu. Obecność Sama była jak płonący kominek, wnoszący domowe ciepło do tego bezosobowego miejsca.

Czasami w niedziele zabierał ją wynajętą łódką na ryby, na Long Island. Bawiły go te wyprawy, mimo iż wiedział, że ten rodzaj wypoczynku zupełnie jej nie pociąga. Brakowało jej cierpliwości do siedzenia i wyczekiwania, aż ryba zdecyduje się „wziąć”. Irytowało ją, że w tym przypadku nie może wpłynąć na bieg spraw, że inicjatywa należy do ryb.

— Jesteś doskonałym przykładem kogoś, kogo mój ojciec zwykł nazywać pracusiem — powiedział kiedyś Sam, wyciągając się leniwie w łódce i wystawiając twarz na pieszczotliwe podmuchy wiosennego wiatru. — Dokonasz wielkich rzeczy, Francie. Ale są takie sprawy, które udają się tylko wtedy, gdy umiesz czekać. A ja postawiłem sobie za cel nauczyć cię, jak być wędkarzem.

Westchnął z zadowoleniem.

— Tam, skąd pochodzę, jest małe jezioro, zwane Firefly. Jest tak małe, że z brzegu możesz zawołać kogoś, kto znajduje się na jego środku, żeby przyszedł na lunch. Dam głowę, że znam większość ryb w tym jeziorze.

Przeważnie są zbyt sprytne, by dać się złapać. A kiedy już je złapiesz, nie masz serca ich zjeść, więc kończy się na tym, że wyrzucasz je z powrotem do wody. Kiedy wróciłem z wojny, przez miesiąc chodziłem tam codziennie.

Wysiadywałem nad wodą po siedem godzin, a potem wracałem do domu i słuchałem radia z rodzicami. Dużo się nauczyłem od tego jeziora.

Francie nie rozumiała znaczenia tych słów. Zastanawiała się, czego człowiek może się nauczyć o prawdziwym życiu z ciszy jeziora położonego wśród lasów. Lecz znała Sama wystarczająco dobrze i wiedziała, że to, co mówi, musi mieć sens.

— Może zobaczę kiedyś to jezioro — powiedziała.

— Może zobaczysz — przytaknął.

Uśmiechnęła się do niego. Miała wrażenie, że udziela jej się jego wrodzony spokój. Wyczuwała, że Sam stara się ją tym spokojem zarazić, chociaż nigdy tak do końca mu się to nie udało.

Lubiła jednak obserwować, jak próbuje. I budząc się co rano, była zadowolona, że CompuTel nie należy jedynie do niej, lecz także do Sama. Jeśli kwintesencją jej osobowości było coś w rodzaju działania pod wysokim napięciem, prowokowanie świata do zadawania jej kopniaków, to Sam stanowił solidną przeciwwagę, łączącą ją z przyciąganiem ziemskim i przez to pozwalającą jej pchać się do przodu.

Dlatego z każdym dniem Francie coraz bardziej ceniła Sama Carpentera.

Pomimo zadowolenia z zawrotnego rozwoju CompuTelu, musieli przyznać, że nie są w stanie ciągnąć tego dalej bez pomocy. Zadanie opracowywania nowych programów i kontrolowania trzech dużych komputerów było dla nich zbyt dużym obciążeniem.

I właśnie w momencie, kiedy nawał pracy groził im przygnieceniem, przytrafiło się coś szczęśliwego.

Pewnego czwartkowego poranka Francie była po uszy pogrążona w pracy, kiedy odwiedziła ją niespodziewanie Dana Sallinger, najbliższa przyjaciółka i współlokatorka ze studiów. Nie zmieniła się ani trochę. Była nadal tą samą szczupłą, spokojną dziewczyną, ukrywającą swoje wdzięki za okularami, zaabsorbowaną matematyką i refleksyjnie usposobioną.

Wpadła jedynie, żeby się przywitać, ponieważ zauważyła w gazecie przy ogłoszeniu CompuTelu nazwisko „Frances Bollinger, Prezes” i zastanowiło ją, czy to może być jej dawna przyjaciółka. Zjadły lunch w pobliskiej restauracji rozmawiając o starych czasach. Francie opowiedziała jej całą swoją historię, pomijając jedynie nieprzyjemny epizod w Magnusie. Dana na swój lakoniczny sposób wyjaśniła, że po ukończeniu studiów i zrobieniu dyplomu w MIT, podjęła pracę w firmie konsultingowej w Connecticut.

— Jesteśmy konsultantami do spraw technicznych — powiedziała. — Zajmujemy się głównie elektroniką. Ja specjalizuję się w zastosowaniu modeli matematycznych. Nie jest tak źle. Ale tęsknię za komputerami. Tobie się udało, bo w tym siedzisz.

Francie pamiętała, że w Penn Dana była wspaniałym fachowcem od komputerów. Spędziły wspólnie przy maszynach wiele wieczorów, pracując pod okiem profesorów ze szkoły Moore'a.

Dana nie wyglądała ani starzej, ani inaczej. Nadal miała takie same puszyste, brązowe włosy, taką samą mleczną cerę z odcieniem naturalnej opalenizny, taką samą smukłą figurę i spokojne, brązowe oczy za okularami.

— Żadnych facetów? — spytała Francie.

— Nic, o czym warto by mówić — uśmiechnęła się Dana.

Zawsze taka sama, pomyślała Francie. Była stale tak zaabsorbowana pracą naukową, że pomimo wybitnej urody nie miała żadnych romantycznych przygód, żadnych sercowych rozterek. Zdawała się skrywać swe uczucia za drucianymi

oprawkami okularów i manierą intelektualistki. W Penn Francie nieraz zastanawiała się, czy Dana boi się mężczyzn, czy też po prostu nie bierze ich poważnie. Nigdy nie zbliżyła się do niej na tyle, by poznać odpowiedź.

— A co u ciebie, Francie? — spytała Dana. — Sprawiasz wrażenie szczęśliwej. Czy w twoim życiu jest ktoś szczególny?

Zadawanie takich osobistych pytań nie było w stylu Dany, lecz Francie sama je sprowokowała.

— Niestety, nie — odparła z nadzieją, że obojętny wyraz twarzy ukryje prawdę o przygodzie, jaką przeszło jej serce i bliznach, jakie po niej pozostały.

Rozmowa zeszła na inne tematy. Podczas pogawędki Francie doszła do wniosku, że Dana nie jest usatysfakcjonowana obecną pracą. To, a także fakt, że Dana nie jest związana z nikim uczuciowo, zdecydowało, że Francie wystąpiła ze śmiałą propozycją.

— Dana — odezwała się w pewnym momencie. — Sam i ja naprawdę potrzebujemy kogoś do pomocy w CompuTelu. Osoby na wysokim poziomie. Zaharowujemy się oboje na śmierć, żeby to wszystko funkcjonowało jak należy. To jest walka. Jesteśmy jedynymi programistami i ciężko nam być jednocześnie kierownictwem. A Sam musi dodatkowo obsługiwać 9292 i doglądać pozostałych komputerów. Posłuchaj, wiem, że to takie nagłe, ale czy mogłabyś pomyśleć o odejściu z tamtej firmy i przyłączeniu się do nas?

Dana nie wykazywała najmniejszych oznak zaskoczenia. To było dla niej typowe. Francie pamiętała to z czasów, gdy dzieliła z nią pokój w Penn. Nigdy nie okazywała swych uczuć. Nawet w kryzysach osobistych bywała niemal nieludzko opanowana.

Francie pomyślała, że to jest dokładnie to, czego teraz potrzebuje: chłodnej niezawodności i wysokich kwalifikacji w jednej osobie. Dana byłaby idealna.

Lecz ona zdawała się wahać.

— Daj mi trochę czasu na przemyślenie tego — poprosiła.

— Zgoda — uśmiechnęła się Francie, nie dodając nic więcej ani nie próbując przekonać jej pochlebstwami, gdyż wiedziała, że Dana jest dziewczyną konkretną, mówiącą dokładnie to, co myśli.

Jak się później okazało, Francie miała szczęście. Równo tydzień po spotkaniu Dana zadzwoniła z Connecticut.

— Jeśli podtrzymujesz swoją propozycję, za dziesięć dni mogę być do twojej dyspozycji. Muszę tylko skończyć tutaj projekt, a potem jestem wolna.

— Hurra! — wrzasnęła Francie do słuchawki. — Nie mogę się już doczekać! Będzie tak jak w starych, dobrych czasach. I z pewnością polubisz Sama.

Po dwóch tygodniach Dana doszłusowała do zespołu i od razu zaangażowała się całkowicie w pisanie programów dla rosnącej klienteli CompuTelu. Była tak przejęta tym, że znów zasiada przy ukochanej maszynie, iż jej entuzjazm nie opadał nawet przy najtrudniejszych zadaniach. Przychodząc teraz do pracy, Francie oddychała z ulgą wiedząc, że ma zaufaną współpracownicę, która zdejmuje z jej barków jedną trzecią pracy.

Dana nigdy nie narzekała, ani nie czuła się zagubiona w nowych warunkach. Kiedy napotykała jakieś trudności, przychodziła do Francie lub Sama, z którym szybko nawiązała serdeczne stosunki, i pytała, co robić. Z właściwą sobie wnikliwością pojmowała w lot otrzymaną radę i bez zbędnych słów wracała do pracy. Francie była zachwycona jej inteligencją i pieczołowitością w wykonywaniu obowiązków. Dzięki niej Com-puTel mógł się dalej rozrastać w oszałamiającym tempie, a jego właścicielom nie groziło już załamanie nerwowe.

Zdawało się, że wraz z przybyciem Dany kolejny jasny promyk słońca zaświecił dla CompuTelu — w momencie, kiedy ten najbardziej tego potrzebował. Po raz pierwszy od prawie dwóch lat Francie naprawdę czuła, że otaczają ją przyjaciele. Co więcej, zaczęła doświadczać uczucia, o istnieniu którego zapomniała, realizując swoją trudną misję. Francie była szczęśliwa.

ROZDZIAŁ 28

27 sierpnia, 1957

Belinda Magnus popatrzyła na zegar.

W tych dniach było to jej najczęstsze zajęcie.

Była dziewiąta trzydzieści wieczorem. Jack był, jak zwykle, w biurze. Przesiadywał tam do późna, pracując przez długie godziny. Ciężkie, obsesyjne godziny.

Wiedziała wystarczająco dużo o korporacji Magnusa, by rozumieć, że Jack jest odpowiedzialny za wielu ludzi i za wiele złożonych trudnych projektów. Wiedziała też, że nieuchronnie zbliża się dzień, kiedy przejmie odpowiedzialność za cały konglomerat. Ale to nie usprawiedliwiała jego przepracowywania się. Inny człowiek na jego miejscu zwałiby dowolną ilość obowiązków na podwładnych i cieszył się życiem, tym bardziej, że jako syn właściciela i przyszły spadkobierca biznesu nie musiał codziennie podpisywać listy obecności w pracy. Lecz Jack harował jak wół. Znał firmę na wylot, i to nie tylko w części podlegającej jego bezpośredniej kontroli. Współpracowników porażała jego energia i raził brak poczucia humoru w sprawach zawodowych. Wyprzedzał zawsze innych o kilka kroków, sprawdzając koncepcje, nawiązując kontakty, rewidując stare metody i wprowadzając nowe. Działal tak, jakby dźwigał całą korporację na własnych barkach. Belinda wiedziała, że praca nie daje mu szczęścia, że to nie satysfakcja z dobrze wykonanej roboty pcha go do coraz większych wysiłków. Za tymi długimi godzinami w pracy kryło się coś innego, coś niewidzialnego i niewypowiedzianego.

Prawda była taka, że Jack nie był szczęśliwy w małżeństwie, chociaż po mistrzowsku odgrywał szczęśliwego męża. Był bardzo troskliwy. Obsypywał Belindę uściskami, przyjacielskimi pocałunkami, drobnymi upominkami i tysiącami oznak czułości i szacunku, których mogłaby jej pozazdrościć niejedna żona. Żartował z nią, czytał z nią poranne gazety, pomagał jej przygotowywać obiad, kiedy kucharka miała wolne. Zabierał ją we wszystkie podróże służbowe oraz na weekendy na narty do Adirondacks czy wyprawy na wyspy Bahama, jeśli pozwalał mu na to nawet pracy.

Lecz jedynie Belinda wiedziała, jak fałszywe jest to przedstawienie.

Gdy tylko nadarzała się sposobność wspólnego spędzenia czasu, Jack zawsze manewrował tak, by uczestniczyły w tym osoby postronne. Wieczorami spraszał jakichś ludzi, udając, że właśnie mu to wpadło do głowy. Ich weekendy nieodmiennie kończyły się tym, że lądowali w towarzystwie przyjaciół i znajomych, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności przebywali w sąsiedztwie.

Sprytnie, wręcz genialnie, aranżował wszystko tak, żeby nie bywać sam na sam z żoną.

A jeśli trafiały im się chwile intymności, kierował rozmową w taki sposób, by ominąć tematy mogące mieć głębsze i bardziej osobiste znaczenie: ich związek, przemyślenia na temat życia i siebie nawzajem, a przede wszystkim możliwość posiadania dzieci.

Jack poprosił ją, żeby poczekała z dziećmi, dopóki on nie ustabilizuje swojej pozycji w korporacji, co zajmie około trzech lat. Zgodziła się, ponieważ chciała lepiej poznać męża, zanim zaczną powiększać rodzinę. Nigdy by jednak na to nie przystała, gdyby wiedziała wcześniej, jaką pustą skorupą ma się okazać to małżeństwo.

Owszem, była to ładna skorupka. Życie Belindy płynęło spokojnie i wygodnie. Jack był przystojnym mężczyzną i doskonałym mężem, a także cudownym kochankiem.

W łóżku był czuły i delikatny. W pieszczotach wspinał się na wyżyny mistrzostwa, docierając do wszystkich najczulszych punktów ciała swej żony. Ale całe to mistrzostwo w graniu na niej jak na harfie zdawało się świadczyć o tym, że nie wkłada w to serca.

A kiedy wchodząc w nią długim, twardym członkiem i doprowadzając powolnymi posuwami do spazmów podniecenia dawał jej swoje nasienie, wyglądało to tak, jakby nawet jego własne podniecenie było maską, oddzielającą ich ścianą. W takich momentach stawał się zwykłym samcem wykonującym mechanicznie zdyszane ruchy.

To nie był Jack, którego kochała. Nie ten Jack, którego pożądała i na którego czekała przez te wszystkie lata. To był ktoś obcy.

Lecz Belinda nie obarczała go całą winą za ten stan rzeczy. Ostatecznie dlaczego nie miałby być obcy? Od dnia, kiedy odkrył, że dobito targu, w wyniku którego ma zostać jego żoną, unikał jej jak ognia i nie miał najmniejszej ochoty poznawać jej bliżej. W jaki zatem sposób ona mogła poznać go tak, jak narzeczona poznaje młodzieńca, który zabiega o nią, dzieli się z nią sobą, przelewa na nią swoje tęsknoty i marzenia?

Tak, Jack był obcy. Lecz była to wina losu, nie samego Jacka.

Nie ma większej tortury dla młodej żony niż brak miłości męża, któremu oddała serce, a który tego serca nie chce. Belinda rozpamiętywała tę męczarnię, siedząc samotnie w domu, gdy Jack był w pracy, i walczyła z nią podczas długich, bezsennych nocy, obserwując go śpiącego u jej boku.

Była inteligentną młodą kobietą. Od chwili nagłych oświadczeń Jacka rok temu podejrzewała, że coś jest nie tak. Pomimo szczerości, a nawet namiętności tych oświadczeń wiedziała, że w tym wszystkim nie ma żadnego sensu, że niemożliwe jest, by po tak wielu latach uników Jack zapalał do niej gwałtowną miłością. Wyglądało to tak, jakby z jakiegoś utajonego planu wynikało, że nadszedł moment, by się z nią ożenić. Wyczuwała w tym jakiś podstęp. Lecz choć od pierwszych chwil obawiała się najgorszego, to jednak zbyt kochała Jacka, by mu powiedzieć „nie”. Kochała go na tyle, że skłonna była go zaakceptować na każdych warunkach, żywiąc wbrew wszystkiemu nadzieję, że ich małżeństwo będzie szczęśliwe.

I teraz, w oczach zewnętrznego świata, było rzeczywiście szczęśliwe.

Na wczesnym etapie ich związku, kiedy Belinda wyczuła, że tworzy się między nimi jakaś przepaść, powiedziała o tym Jackowi. Powiedziała, że czuje rosnący między nimi dystans.

— Przykro mi, kochanie — odparł wówczas. — To praca. Jestem przemęczony. Nie pozwalaj mi na to.

Wziął ją w ramiona i uciszył pocałunkami tak czułymi, że można by uznać je za dowody najgorętszej miłości.

Miesiąc później, kiedy ponownie poruszyła ten temat, jego odpowiedź zabrzmiała poważniej.

— Może mam w sobie więcej z Magnusów, niż chciałbym przyznać. Nie jesteśmy ludźmi wylewnymi, Belindo.

Zrozum po prostu, że cię kocham i pragnę. Niekiedy nie potrafię wyrazić siebie w taki sposób, jak bym chciał. Ale uwierz mi, kocham cię.

Powiedział to z taką stanowczością, że bała się wracać do tego tematu.

Odtąd wszystko toczyło się tak jak przedtem. Anton Magnus i jego żona starzeli się i zrzucali większość korporacyjnych i towarzyskich obowiązków na syna i synową. Jack wywiązywał się z nich skrupulatnie, ponieważ wiedział, że kiedyś to wszystko będzie jego i równie dobrze może już teraz cementować dobre układy z ludźmi Magnusa.

Belinda wzięła na siebie rolę doskonałej żony i gospodyni i dźwigała ją z instynktem właściwym swojej klasie społecznej, instynktem ostrzonym i doskonalonym przez pięć pokoleń w najlepszych szkołach Europy.

Nie miałyby nic przeciwko tym obowiązkom, gdyby jej małżeństwo było prawdziwe.

W okolicznościach znanych tylko jej, były one najgorszą torturą, jaką mogła znieść.

Belinda żyła na ostrzu brzytwy, pomiędzy dwoma sprzecznymi poglądami na samą siebie. Z jednej strony czuła się jak najpodlejsze stworzenie wykreowane przez Boga, aby unieszczęśliwić niewinnych mężczyzn. Przeklinała swoje tchórzostwo, w wyniku którego uległa woli rodziców i wyszła za Jacka, mimo iż wiedziała, że on jej nie chce. Czuła się jak puste naczynie, jak substytut kobiety, której on naprawdę pragnął.

Z drugiej strony była dotknięta i wściekła. Miała swoją dumę i znała swoją wartość. Wiedziała, że przez swoją inteligencję i kreatywność ma dużo do zaoferowania innym. Czuła obrzydzenie na myśl o tym, iż jest pionkiem w grze, w którą nie chciała grać. Nie mogła dopuścić do tego, by kłopotliwe położenie u boku Jacka zniszczyło jej morale. Nie zamierzała pozwolić, by jej życie przeobraziło się w tanią tragedię.

Tak więc była aktywna. Dużo czytała i chodziła na kurs przygotowawczy do doktoratu z literatury. Zgłosiła się jako ochotniczka do szkoły dla dzieci upośledzonych, gdzie uczyła czytać i pisać. Znalazła nawet w sobie dość ambicji, żeby pisać krótkie opowiadania i wierszyki okolicznościowe, które trzymała w prywatnym notesie zamkniętym na klucz w bibliotece. Utrzymywała wszystkie obowiązkowe kontakty towarzyskie, jakich wymagała jej pozycja jako żony Jacka, lecz nigdy nie traktowała ich poważnie, ani nie dała się zarazić ich płytkością.

Uczepiła się szacunku do siebie samej i stale go umacniała, jakby podświadomie wyczuwając, że jest to wartość najbardziej narażona na szwank w jej obecnym życiu.

Nie było to jednak łatwe, ponieważ co dnia czuła się trochę bardziej pusta, trochę bardziej bezradna, trochę bardziej pozbawiona nadziei na przyszłość.

Zastanawiała się, jakie byłoby jej życie, gdyby urodziła się w zwykłej amerykańskiej rodzinie, nie obciążonej wielkim bogactwem i pozycją w społeczeństwie.

Łzy napływały jej do oczu, kiedy myślała o tym skromnym, prostym, niebiańskim losie. Ponieważ gdyby była przeciętną dziewczyną, mogłaby poślubić kogokolwiek by chciała. On byłby zwyczajnym mężczyzną, mężczyzną, który by ją kochał i którego ona by kochała. Mogliby zamieszkać, gdziekolwiek by im się spodobało i wybierać sobie przyjaciół spośród sąsiadów. Mogłaby chodzić po zakupy, wozić swoje pierwsze dziec-

ko w spacerówce i kupować zasłonki do kuchni, zasłonki tanie, lecz takie, jakie by sama wybrała. Zasłonki, które nie miałyby imponować znajomym, lecz po prostu ładnie wyglądać. Zasłonki, za pomocą których tworzyłaby dom. Normalne, szczęśliwe życie! Jakimiż głupcami są prości ludzie, przyjmując takie szczęście za rzecz naturalną i wyobrażając sobie, że rozleniwieni bogacze mają coś lepszego, coś, czego należy im zazdrościć! Gdyby oni wiedzieli, czym było przymusowe małżeństwo i spędzanie życia na graniu roli pozbawionej treści. To była okrutna gra, w której jedynym prawdziwym zwycięzcą mogła być cena pewnych akcji na giełdzie, cena wygrana kosztem dwóch ludzkich serc.

Belinda byłaby rzuciła całą tę chorą szaradę dawno temu i wróciła z wdzięcznością do swego samotnego życia, gdyby nie paraliżujący fakt, iż kochała Jacka.

W tym tkwił sęk, nieszczęsna ironia osłabiająca jej wolę, by zmienić swoją sytuację.

Tak więc Belinda starała się być jak najlepszą żoną. Pokrywała wstyd i ból poczuciem humoru i troskliwością. Zmuszała się, żeby być mądrą i aktywną kochanką. Robiła wszystkie drobne rzeczy, jakie robi dobra żona, chcąc pokazać mężowi, że go pragnie i że jest od niego zależna.

Przyjmowała to, co jej dawał i czekała, czy czas przyniesie jej coś więcej.

Modliła się, żeby on ją w końcu zechciał. Łudziła się, że któregoś dnia jego doskonała imitacja miłości zamieni się w prawdziwe uczucie.

Dla tego jednego gotowa była pracować i czekać.

I, jak wiele innych żon z towarzystwa, śledziła męża.

Znała oczywiście jego reputację kobieciarza. Ale nie to było powodem zaangażowania dyskretnych detektywów, którzy rejestrowali dla niej wszystkie jego posunięcia.

Nieomylny kobiecy instynkt ostrzegał Belindę, że istnieje jakieś przyciąganie pomiędzy Jackiem a dziewczyną nazwiskiem Francie Bollinger. Zauważyła to już tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy spotkała oboje na przyjęciu u Magnusów. Mimowolny blask w oczach Jacka, kiedy patrzył na swoją towarzyszkę, nie pozostawiał co do tego cienia wątpliwości. A milczenie Jacka na temat wypadów do Paryża, w czasie, gdy pracowała tam Francie, wystarczało, by potwierdzić podejrzenia Belindy.

Belinda miała ciągle pod powiekami obraz Francie. Taka świeża i piękna, i wraz z Jackiem tworzyli taką dobraną parę!

Co więcej, łączyła w sobie wybitną inteligencję z niezepsutą, naturalną osobowością, której niepodobna było nie polubić.

Belinda była dość bystra, by wywnioskować, że jeżeli Jack ożenił się z nią wbrew własnej woli, to musi nadal widywać się z tą drugą dziewczyną.

A jednak tak nie było. . Agencja detektywistyczna doniosła jej, że Jack z nikim się nie spotyka. Wieczne godziny w biurze poświęcał ciężkiej harówce. Wyczerpanie na jego twarzy, gdy wracał do domu, brało się z pracy, a nie z miłosnych igraszek.

Pozornie był to dobry znak. Jack nie zdradzał jej. Lecz kiedy pomyślało się o tym wnikliwiej, mogło to oznaczać coś bardziej złowróżbnego. Być może część planu Jacka zakładała, że będzie wzorowym mężem i wzorowym pracownikiem, dodając do tego nawet wierność żonie, jako środek prowadzący do celu.

I to martwiło Belinę. Odgrywanie przez Jacka roli idealnego męża było bez skazy. To znaczy bez widocznej skazy. Rozwiązanie tej zagadki mógł przynieść jedynie czas. Belinda miała silną wolę, lecz krępowały ją prawa środowiska i miłość.

Tak więc czekała, kochała i miała nadzieję.

Jack wrócił z pracy o dziesiątej. Ucałował żonę, nalał sobie drinka i usiadł obok niej na kanapie, obejmując ją ramieniem. Pomimo uśmiechu, sprawiał wrażenie zmęczonego. Oczy miał zaczerwienione z przepracowania.

— Miałeś ciężki dzień? — spytała.

— Nie bardziej niż zwykle — odparł. — Może me jestem w formie. Powinienem uprawiać więcej sportu.

W milczeniu, jakie między nimi zapanowało, Belinda analizowała tę wykrętną odpowiedź. Po chwili Jack rozpromienił się.

— Ukończyliśmy dzisiaj plany dotyczące Kolumbii. Powinny wejść do realizacji z początkiem przyszłego roku. Jak będziesz grzeczna, zafunduję ci przyjemne wakacje gdzieś na południu.

— Cudownie — Belinda starała się, żeby jej entuzjazm brzmiał szczerze, ale już dziś wiedziała, jak będą wyglądać te „wakacje”. Jack będzie tak zapracowany, że ledwie będzie go widywała, a ona będzie snuła się całymi dniami, usiłując zna-

leżąc sobie jakąś rozrywkę. Wieczory będą oczywiście spędzać w towarzystwie jego kolegów. Biorąc jeszcze pod uwagę barierę językową, zapowiadało się to fatalnie.

Wiedziała jednak, jak dumny był z tej nowej filii w Kolumbii. Była ona od początku do końca jego wyłącznym dziełem. Stanowiła dowód jego inicjatywy, fachowości i niezależności od ojca.

Jednak wszystko to było małą pociechą dla Belindy.

— Hej — odezwał się nagle. — Dlaczego my właściwie tutaj siedzimy? Dlaczego nie świętujemy? Przecież me co dzień człowiek tworzy nową firmę!

Przyciągnął ją do siebie i zdumiewająco mocno pocałował. Wydawało jej się, że w tym pocałunku poczuła odległy dreszcz męskiej żądz. Skuliła się na jego kolanach i przytulona zaczęła gładzić delikatnie jego włosy. Było późno. Może mogliby się pokochać, zjeść późną kolację i cieszyć się sobą w samotności, a może nawet przegadać do świtu, jak kiedyś, w czasie miodowego miesiąca?

Samopoczucie Belindy zaczęło się poprawiać.

— To brzmi wspaniale — powiedziała. Puścił ją.

— A może zadzwonimy do BiUingtonów? — spytał z uśmiechem — Wiem, że jest późno, ale założę się, że i tak nie mają nic lepszego do roboty. Jestem głodny jak wilk. Może wybierzemy się razem do jakiejś restauracji? Możemy do „Plaža”? Tam dają dobrze jeść. Co ty na to? .

Belinda robiła wszystko, co w jej mocy, by pod dzielnym śmiechem ukryć rozczarowanie.

— W porządku, Jack, zatelefonuję do BiUingtonów.

ROZDZIAŁ 29

16 września 1957

Julie Magnus przyrzekła zachowywać się bez zarzutu.

Przyjęcie odbywało się w tak zwanym „bliźniaku” przy czcigodnej Piątej Alei. Wydawała je kuzynka matki na cześć ich siostry Eunice Childs, która obchodziła pięćdziesiąte urodziny. Ponieważ była bardzo schorowana, lekarze i rodzina obawiali się, że urodziny te mogą być jej ostatnimi.

Julie zawsze lubiła Eunice. Jako dziewczynka jeździła często do rezydencji Childsów na Hilton Head Island, gdzie pokazywano jej aligatory, oceaniczne ptaki i wiszące torfowisko. Eunice bardzo lubiła małą i okazywała jej dużo serca. Julie uwielbiała słuchać jej opowieści, kiedy przemierzały wspólnie bezkresne plaże, bawiąc się w poszukiwanie ukrytych w piasku skarbów. Wszystko to było niezwykle egzotyczne i romantyczne. Eunice i jej mąż Geoff prowadzili beztroskie, proste życie, grając godzinami w karty lub układając puzzle na werandzie oryginalnego starego domu.

Wizyty te skończyły się, gdy dziesięć lat temu Geoff zmarł na atak serca, a Eunice zamknęła się w sobie, nie zapraszając więcej gości. Nadal jednak prowadziły ożywioną korespondencję, a Julie lubiła wspominać Hilton Head, gdyż spędzony tam okres był dla niej ucieczką od domu rodzinnego.

Tak więc teraz przywitała się serdecznie z Eunice, która wcale nie wyglądała na chorą. O chorobie przypominała jedynie obecność pielęgniarki, pozostającej cały czas u jej boku na wypadek nagłego zaszlabnięcia. Przez godzinę Julie gawędziła z ciotką na obojętne tematy. Eunice była wesoła i dowcipna jak zwykle, jednak w jej oczach, gdy patrzyła na Julie, widniał wyraz zatroskania. Podobnie jak wszyscy, słyszała wiele plotek o skandalicznym prowadzeniu się dziewczyny i wiedziała, że przynajmniej niektóre z nich są prawdziwe.

Po godzinie Julie pożegnała ciotkę i zaczynała zbierać się do wyjścia, kiedy w tłumie gości mignęła jej twarz, której nie widziała od prawie dwudziestu lat.

Nazywał się Scott Monteagle. Pochodził z Filadelfii, a nazwisko jego rodziny było niegdyś bardzo pożądane w kręgach towarzyskich. Przystano o nich mówić po tym, jak ojciec stracił wszystko podczas Wielkiego Kryzysu i wyskoczył z okna na Broad Street.

Jako mała dziewczynka Julie spotykała Scotty'ego w czasie rodzinnych imprez i pałała do niego dziecięcym uczuciem. Był wrażliwym, raczej delikatnym chłopcem, a jego nieśmiałe zaloty bardzo przypadły małej damie do gustu. W miarę upływu czasu zaprzyjaźnili się ze sobą, stanowiąc nierozłączną parę na wszelkich rodzinnych uroczystościach. Po tym, jak matka zabrała go i jego siostry z powrotem do Anglii, skąd pochodziła jej rodzina, korespondowali ze sobą jeszcze przez jakiś czas, a później kontakt się urwał.

Julie ciągle miała przed oczyma obrazek, na którym ona i ten mały chłopiec, ukryci w cieniu starych kasztanowców na trawniku wiejskiej rezydencji krewnych Monteagle'ów, ściskają się i całują jak dorośli. To ona, jako dziewczynka nad wiek rozwinięta, była inicjatorką tej „miłosnej sceny”, lecz on, zafascynowany jej blond loczkami nie miał nic przeciwko temu i wyglądało to rzeczywiście nad wyraz romantycznie. Nigdy tego nie zapomniała.

Na dzisiejszym przyjęciu na cześć Eunice początkowo nie poznała Scotta. Zbyt dużo czasu minęło od ostatniego spotkania. Lecz, co dziwne, już po trzech minutach rozmowy przekonała się, że on także pamięta tamtą scenę pod kasztanami. Dawały to do zrozumienia jego oczy i czułość, jaką jej okazywał.

Wyrósł na kulturalnego i całkiem przystojnego młodzieńca. Lata spędzone za granicą sprawiły, iż mówił z angielskim akcentem, lecz im dłużej mówił, tym bardziej Julie rozpoznawała w nim tamtego marzycielskiego, nieśmiałego chłopca, którego tak kochała w dzieciństwie. Okazało się, że nieszczęście rodzinne wyszło mu na dobre. Sprawiał wrażenie zadowolonego ze swojej skromnej pozycji w świecie (był prawnikiem w Londynie) i wręcz tryskał humorem.

Jego towarzystwo działało na Julie uspokajająco. Złapała się na tym, że rozmowa z nim sprawia jej niesłychaną przyjemność. Przegadali ponad godzinę, opowiadając sobie o tym, jak żyją. Scott miał dwie siostry. Starsza wyszła za mąż, młodsza studiowała, a Scott pomagał finansować jej edukację. Matka pracowała w Londynie jako sekretarka i mieszkała w skromnym mieszkanku na przedmieściach. Opowieść Scotta była jasna, zwięzła i bynajmniej nie ekscytująca, lecz Julie słuchała jej zafascynowana, gdyż stanowiła dla niej obraz prawdziwego, uczciwego życia, na które składały się honor, odwaga i niewygórowane oczekiwania.

Co dziwne, słuchając go zaczęła odczuwać taki sam pociąg do niego jak wówczas, gdy była dzieckiem. To ją speszyło. Mówiąc o sobie omijała starannie prawdę o własnym stylu życia, ponieważ chciała zaprezentować mu się w jak najlepszym świetle. Czuła potrzebę bycia tą dziewczynką, którą znał dawno temu.

Było to dla niej zupełnie nowe doświadczenie, jako że przez całe życie dbała o to, by uchodzić za zuchwałą. Jednak to zakłopotanie nie było nieprzyjemne, wręcz przeciwnie. Uważ-

ne, pełne szacunku spojrzenie Scotta, zabarwione wspomnieniem ich dzieciennego „romansu”, rozgrzewało ją od środka i uspokajało. Nie chciała zepsuć nastroju tej chwili.

Pod koniec rozmowy zaskoczył ją, proponując ponowne spotkanie.

— Może zjadłabyś ze mną obiad? Wspaniale byłoby pogadać o starych czasach i poznać się bliżej na nowo.

Julie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Scott był sympatycznym, rozumnym i otwartym człowiekiem. Wyczuwała również, że ma w stosunku do niej poważne zamiary. Naprawdę próbował się do niej zbliżyć.

Wytracona z równowagi niespodziewanym obrotem sprawy wahała się przez moment, zanim wyjąkała swoje „tak”.

Jej zgoda ucieszyła go tak bardzo, że podskoczył z radości jak dziecko. Umówili się na następną wieczór.

Zgodziła się też, by Scott odwiózł ją dziś do domu.

Opuszczała Eunice z ukłuciem bólu. Ona nie należała już do tego świata. Być może było to ich ostatnie spotkanie.

Lecz Eunice zauważyła, jak Julie rozmawiała ze Scottem i teraz w jej udreńczonych oczach pojawił się błysk radości, jak w oczach swatki po uwieńczonej sukcesem misji. To poprawiło samopoczucie Julie. Odchodziła od ciotki z lżejszym sercem.

Obiad ze Scottem Monteagle okazał się punktem zwrotnym w jej życiu.

Podjechał po nią wynajętym samochodem, który przy najlepszych chęciach trudno było nazwać limuzyną i zabrał ją do atrakcyjnej, aczkolwiek skromnej restauracji w Village, nie uczęszczanej raczej przez ludzi z jej sfery, lecz którą, dziwnym zbiegiem okoliczności, odwiedziła kilkakrotnie podczas pijackich wypadów ze swoją paczką.

Obecność Scotta sprawiła, że miejsce to wydało jej się zupełnie inne. Skromne zasoby finansowe i Ocean Atlantycki stanowiły barierę oddzielającą go zupełnie od towarzystwa, w jakim obracała się Julie, tak więc przebywanie z nim było jak wyjście boczną furtką ze świata, który znała.

Scott opowiedział jej o życiu w Anglii. Określił je jako nudne („piłka nożna, metro i BBC”), lecz w jego ustach brzmiało to dziwnie romantycznie.

Studiowała uważnie jego twarz i figurę. Był szczupły, lecz wysportowany. Nie jakiś nadczłowiek, ale zwyczajny silny

mężczyzna, z silną osobowością. W odpowiedzi na jej pytania wyznał, że grywa w krykieta i jeździ konno, o ile stać go akurat na wynajęcie konia.

Miał szare oczy, miękkie brązowe włosy z rudawym odcieniem i jasną cerę świecąca alabastrowo w przyćmionym świetle lamp. Jego głos urzekał ją, gdyż pobrzmiewały w nim pewne odległe wspomnienia, zbyt mgliste, by je umiejscowić, lecz przez to jeszcze bardziej czarowne. Jego ręce były wypielęgnowane i delikatne. Na lewym nadgarstku nosił stary, tani zegarek, posiadający jednakowoż minimum elegancji wymaganej od prawnika.

Z całej jego postawy emanowało dumne ubóstwo, które oczarowało Julie chyba bardziej niż cała reszta. Ubóstwo pozbawione wstydu, co więcej, niemal szczęśliwe.

Wypytywał ją o różne sprawy, lecz powodowana wstydem odpowiadała niezbyt zrecznie i wymijająco. Nie był zbyt natarczywy. Z pewnością słyszał wiele plotek na jej temat, sprawiał jednak wrażenie, że nic go nie obchodzi.

Traktował ją dokładnie tak, jakby te dwadzieścia bez mała lat, dzielących ich od tamtego przyjęcia w ogrodzie, w ogóle nie istniało. Cechowała go ta sama szczerłość, ten sam chłopięcy respekt w stosunku do niej, co wówczas. Julie była zafascynowana jego ujmującą osobowością i jej wpływem na nią samą.

Kiedy odwiózł ją do domu, kazał kierowcy zaczekać, po czym odprowadził ją do drzwi. W panującym półmroku wziął ją w ramiona i pocałował.

— Miałem na to ochotę od dwudziestu lat — powiedział. Spojrzała na niego zaskoczona, zdobywając się na słaby uśmiech.

— Nic się nie zmieniłaś — mówił dalej. — Dotykając cię, przebywając z tobą, ciągle czuję zapach trawy z tamtego trawnika w Connecticut. Ciągle słyszę brzęk sreber na stołach i wołający nas głos mojej matki.

Julie zaparło dech. Teraz i ona przypomniała to sobie wyraźnie. Całowali się przytuleni do siebie, ona, mała elegantka w wizytowej sukience i on, przystojny chłopaczek w garnitur-ku, kiedy przez trawnik dobiegł ich głos jego mamy: Scotty! Gdzie on się znów zapodział?

Odżyło w niej tamto popołudnie. Tym samym odżył też wieczór, który po nim nastąpił. Jej powrót do domu, jej sypialnia, jej dziecinne rozmyślania o Scottym. Jack i Gretchen we własnych pokojach. A także mama i ojciec.

Ojciec...

Julie zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła, że Scott wpatruje się w nią intensywnie. Położył dłonie na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie.

Ich ciała zetknęły się. Przez skórę Julie przebiegł dreszcz pożądania. Jej dłonie drgnęły, by go dotknąć, zawahały się i opadły po bokach. Scott poczuł, jak sztywnieje w jego uścisku i puścił ją.

— Czy obraziłem cię czym? — spytał.

— Ani trochę, Scott — potrząsnęła głową w półmroku. To ja ciebie obraziłam.

Słowa te uformowały się w jej umyśle z okrutną ostrością, lecz nic nie powiedziała.

— Czy mogę cię znów zobaczyć?

— Oczywiście, Scotty — szepnęła.

— Zatem zadzwonię do ciebie. Jeśli można?

— Ależ tak. Kiedy tylko zechcesz.

Drżała na całym ciele, patrząc na Scotta schodzącego po marmurowych stopniach i wsiadającego do samochodu.

Nadrabiając miną, pomachała mu na pożegnanie.

Kiedy odjechał, weszła do salonu na dole i opadła na krzesło. Była zupełnie oszołomiona, niczym ktoś uwięziony na krawędzi przepaści i lękający się spojrzeć w dół.

Potem poszła na górę, zdjęła zieloną sukienkę, którą wybrała specjalnie dla Scotty'ego i stała przez chwilę w samej bieliźnie i pończochach. Potem, tknięta impulsem, otworzyła ogromne lustro, zrzuciła pończochy, stanik i majtki i zaczęła wpatrywać się w swoją nagość. Za sobą widziała pokój, w którym mieszkała od dzieciństwa, pokój, w którym jej sny zmieniały się w koszmary.

Studiowała odbicie w lustrze. A więc to było to ciało, które Scott czuł w swoich objęciach, ciało, którym się nie brzydził.

Wszyscy mówili, że Julie jest ładna. Kremowobiałe kończyny, śliczne, wysmukłe kostki u nóg i nadgarstki, długa szyja, jedwabiste włosy. Wszystkie te elementy łączyły się ze sobą w całość, którą świat nazywał piękną, młodą dziewczyną.

Dla Julie był to zwykły kawał mięsa, przynęta dla kruków, padlina. Jej ciało było dla niej tak odrażające jak pokryte strupami ciało trędowatego.

Lecz tylko ona widziała tę rzeczywistość. Horror bycia sobą niewidzialny był dla świata zewnętrznego jak nowe szaty cesarza.

Spojrzała w oczy pełne bólu i odrazy. Jakże ich nienawidziła! Jakże nienawidziła swego bólu i swych daremnych wysiłków, by tłumić go wszelkimi możliwymi ekscesami, jakie tylko mogła wymyślić.

I pomyśleć, że Scott Monteagle cofnął zegar, zobaczył w niej świeżą, niewinną dziewczynkę i zapragnął się do niej zbliżyć. Był ślepy na wszystko, co wydarzyło się przez minione lata, ślepy na zepsucie, upokorzenie, okropieństwa...

Nadal ją lubił.

Zadrżała na myśl o swojej odrażającej przeszłości i o dziwnej, spokojnej determinacji Scotta, by cofnąć czas i wymazać jej hańbę.

Czuła, jakby te dwie siły rozdzierały ją na strzępy. W następnej minucie ziemia otworzy się i pochłonie ją, o ile nie ucieknie z tego miejsca i od tych myśli.

Przeszła do biblioteki, znalazła butelkę starego burbona i pociągnęła z niej potężny łyk. Płyn palił jej gardło.

Następnie wróciła do sypialni i włożyła inną sukienkę, nisko odcinaną i seksowną. Dobrała do niej buty, rozpuściła włosy i umalowała oczy.

Alkohol grzał ją od środka, kiedy schodziła na palcach po schodach, wkładała płaszcz i zamykała za sobą drzwi.

Noc ogarnęła ją ramionami jak mackami zła, które mimo swej potworności były dla niej jak starzy towarzysze, przyjaciele znający jej sztuczki.

Drżąc lekko, ruszyła ulicą w poszukiwaniu taksówki.

Musiała zobaczyć się z Johnnym.

ROZDZIAŁ 30

„Wall Street Journal”, 9 maja 1958

Korporacja CompuTel z Nowego Jorku przekształciła się dziś w spółkę akcyjną, wystawiając na sprzedaż akcje w cenie 14,12 dolara.

Obroty tej komputerowej firmy konsultingowej wzrosły w ostatnich trzech kwartałach o 600%. Powstały filie w Atlancie,

San Francisco, Los Angeles i Chicago, planowane jest otwieranie dalszych we wszystkich ważniejszych miastach w najbliższym półroczu. Klientelę firmy tworzy kilkadziesiąt banków i firm inwestycyjnych, a także liczne sieci handlowe i przedsiębiorstwa hurtowe.

Frances Bollinger, prezes i dyrektor generalny tej dynamicznej, młodej firmy obwieściła sprzedaż akcji na specjalnym spotkaniu z pracownikami administracyjnymi CompuTelu, które odbyło się dziś rano w San Francisco. Egzemplarz „Wall Street Journal” leżał na podłodze obok Francie. Ona sama siedziała na starej kanapie na strychu Sama Carpentera, obserwując, jak Sam pracuje przy 9292.

Oczy zamykały się ze zmęczenia. Mimo to widok Sama majstrującego przy swojej ukochanej maszynie, ubranego jak zawsze w dżinsy i podkoszulek, z nieodłącznym papierosem palącym się w popielniczce, był tak swojski i uspokajający, że nie mogła oderwać od niego wzroku.

Wróciła z San Francisco o piątej. Sam przyjechał po nią na lotnisko La Guardia. Zamierzał zabrać ją gdzieś na obiad, lecz ubłagała go, żeby przywiózł ją tutaj i pozwolił upitrasić jakąś skromną kolacyjkę, tak jak to robili w dawnych czasach. Ugotowali więc spaghetti i przyrządzili sałatkę, a teraz on wycofał się na swoje stare miejsce, podświadomie wyczuwając, że Francie tego właśnie po nim oczekuje.

Pomyślała sobie, iż nic w tym dziwnego, że jest w nastroju, by przywołać dawne dni. Ostatnie osiem miesięcy dokonały rewolucji w jej życiu, takiej, która nie zostawiała czasu na refleksje czy nawet emocje.

CampuTel rósł na potęgę, wymykając się spod kontroli, liczba klientów przekraczała możliwości i tak już dużego personelu. Ponieważ firma odniosła tak błyskawiczny sukces i ponieważ praktycznie nie miała konkurentów, zapotrzebowanie na jej usługi było większe, niż mogła mu sprostać. Przedsiębiorcy z miast tak odległych jak San Francisco, Atlanta, Detroit, Chicago i Los Angeles, zasypywali CompuTel zamówieniami.

Konieczna była rozbudowa firmy. Idąc za radą radcy prawnego, Lee Nugenta, Francie zdecydowała się wystawić na sprzedaż akcje. CompuTelowi jako firmie prywatnej brakowało po prostu źródeł finansowania, które nadałyby za jego szokującym wzrostem.

Francie była teraz urzędniczką w pełnym wymiarze godzin. Nie starczało jej czasu na programowanie, musiała więc sędować tę pracę na Sama i Danę oraz programistów, których zwerbowała z college'ów i instytutów technicznych całego kraju. Ponad połowę czasu spędzała poza Nowym Jorkiem, albo otwierając nowe filie CompuTelu w różnych miastach, albo odwiedzając już istniejące, aby upewnić się, że jej starannie wyselekcjonowani dyrektorzy radzą sobie ze wszystkim bez zarzutu.

Rozwój CompuTelu był równie wyczerpujący co pobudzający. Wspaniale było widzieć, że firma kwitnie, lecz Francie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że siedzi w jakiejś rozpędzonej kolejce w lunaparku, którą nie jest w stanie kierować. Otwierając swoją jednoosobową firmę miała jakieś niejasne wyobrażenia o ewentualnym sukcesie, który jawił jej się jako stan stabilności i szczęścia. Nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że sukces może być taką szaleńczą pogonią, w celu dotrzymania kroku lawinowemu procesowi wymykającemu się spod kontroli.

Skutki tej gonitwy nie dały na siebie czekać. Francie była wychudzona, przemęczona i nie znajdowała czasu na relaks. Sukces był bezlitosnym panem.

Nic zatem dziwnego, że dziś, będąc na skraju wytrzymałości, zwróciła się do Sama.

Kiedy po krótkim postoju w sklepie spożywczym dotarli na jego strych i otworzył drzwi, miejsce to wydało jej się starym przyjacielem. Nie była tu od trzech miesięcy. Ciemne zakamarki były jak przytulne łono, a 9292 z jego obwodami, monitorami i mrugającymi światełkami miał w sobie coś z ciepła domowego kominka, które uspokajało nerwy Francie.

Jednakże dni, jakie spędzili tu razem w spokoju, minęły bezpowrotnie. 9292 nie pracował już faktycznie dla CompuTelu, zastąpiono go dwoma nowymi IBM. A Francie nie przychodziła już na strych, ponieważ wieczory spędzała w swoim nowym apartamencie przy Riverside Drive, odbywając zamiejscowe rozmowy telefoniczne z szefami filii CompuTelu oraz z najważniejszymi klientami.

Francie była zaskoczona, widząc, jak bardzo „skurczył” się 9292 w porównaniu ze swoimi poprzednimi rozmiarami. Korzystając z tego, że maszyna nie była już niezbędna firmie, Sam posuwał się szybko naprzód ze swymi eksperymentami, zastępując elektronowe lampy próżniowe obwodami scalony-

mi. Jako ekspert w sprawach oprzyrządowania, Sam był na bieżąco z mikroukładami i stale powtarzał Francie, jak głęboko wierzy, iż miniaturyzacja jest przyszłością komputerów.

— Już dziś — mawiał — istnieją mikrochipy wielkości paznokcia, potrafiące wykonać pracę, jaką w 1945 wykonywał ENIAC. Przyszłe możliwości są nieograniczone.

Dopiero teraz, widząc jak mały stał się 9292 bez straty dla mocy obliczeniowej, Francie uświadomiła sobie, że Sam ma rację. Patrząc na komputer, mający obecnie wielkość pięciu lub sześciu ustawionych w rzędzie zmywarek do naczyń, a nie jak poprzednio dziesięciu lub dwunastu, przyszło jej do głowy, że może nadejść dzień, gdy komputer będzie nie większy niż, powiedzmy, lodówka. Jakże uprości to sprawę operatorom i wszystkim, dla których usługi komputera są niezbędne.

Ale do tego jeszcze długa droga.

Po kolacji Francie była już tak wyczerpana, że nie miała siły mówić. Sam uszanował jej milczenie i umieścił ją na kanapie, stawiając obok filiżankę herbaty. Zabrał się do pracy, od czasu do czasu zerkając na nią i uśmiechając się, lecz z rzadka się odzywając. Zawsze było jej łatwo milczeć w jego obecności. W jego łagodnej naturze było coś, co eliminowało konieczność sztucznej konwersacji.

Pochylił się teraz, żeby zgasić dymiącego się w popielniczce, zapomnianego papierosa. Przy tym ruchu podkoszulek wysunął mu się zza paska spodni. Francie uśmiechnęła się. Przez ułamek sekundy wyglądał jak mały urwis, jak rozchełstany chłopiec.

Jednak Sam nie był chłopcem. Był w każdym calu mężczyzną, co stwierdziła, pracując z nim ramię w ramię przez prawie półtora roku.

Dopiero poznawszy wewnętrzną siłę i niezawodność Sama, można było zacząć doceniać jego walory fizyczne. Krzepkie ciało porośnięte jasnym owłosieniem, ujmująca twarz z rozmarzonymi, brązowymi oczyma i piegowatą cerą, silne ramiona i dłonie, tworzyły obraz przystojności różniący się radykalnie od tego, co widywało się u współczesnych gwiazd kina i reklamy. A mimo to był on zachwycający na swój szczególny sposób, ponieważ Francie wiedziała, jakim silnym mężczyzną Sam jest w rzeczywistości, pod swoją skromnością i luźnym podejściem do świata.

Spojrzał teraz na nią i uśmiechnął się. Odwzajemniła ten uśmiech, czerwieniąc się trochę w półmroku, gdyż złapał ją na tym, że myślała o nim w niepokojąco intymnych kategoriach.

— Zmęczona? — spytał. — Odwieźć cię do domu? Potrząsnęła głową.

— Dobrze mi tu.

To właśnie tutaj, bez względu na zmęczenie, chciała być dzisiaj wieczoru. Nie chciała zostać sama.

Sam wrócił do pracy. Była zadowolona, że przestał na nią patrzeć, ponieważ spotykając jego wzrok, czuła się zakłopotana. Może była to kwestia wyczerpania, a może coś innego, co bez udziału jej świadomości budowało się w niej przez ostatnie tygodnie. Uścisk Sama na lotnisku sprawił, że poczuła nie tylko ciepło domu, lecz także skumulowany ból rozłąki. Pragnęła skulić się w jego objęciach jak mała dziewczynka i zapomnieć o wszelkich kłopotach.

Z tą myślą oczy zaczęły jej się zamykać. Pod przymkniętymi powiekami zaczęły przesuwać się senne obrazy. Nie znajdowała się już na strychu, o kilka kroków od Sama, lecz na lotnisku, w jego ramionach. Choć jego uścisk był braterski, to działał na nią jak trujący narkotyk, sprawiający, że oderwała się od samej siebie i zaczęła szybować oszołomiona w kierunku dziwnych miejsc.

I oto nie była już na lotnisku. Byli nad jego jeziorem, jeziorem o nazwie Firefly, którego nigdy nie widziała. Łowili ryby. Słyszała ściszone odgłosy leśnych ptaków, odbijające się echem od wody, a na policzkach czuła słońce wczesnego poranka. W powietrzu unosił się zapach kawy i świeżej wody, a ścieżkę pokrywały igły sosnowe opadłe z drzew, których kępy obejmowały jezioro jak ramiona kochanka.

A Sam tulił ją mocno. Ciepłe, poranne słońce wywoływało w nich gwałtowną czułość, a on zamykał ją coraz ciaśniej w objęciach, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. Widziała swoje włosy opadające na jego ramię. Chłoneła jego czysty, naturalny zapach, zmieszany z wonią poranka.

A potem, ni stąd, ni z owąd, całowała go mocno. Martwiła się, że będzie tym zaszokowany, że odsunie się i powie, że tego się po niej nie spodziewał. Lecz nie: jego czułość zlewała się w jedno z jej namiętnością, a usta rozchyłały się, by odwzajemnić pocałunek. Silne, męskie dłonie, kojąco i pieszczotliwie obejmowały jej plecy. Wszystkimi jej zmysłami targnęła porażająca uległość, gorące poddanie się, którego nie musiała dłużej taić...

Francie spała.

Sam usłyszał jej równy oddech i uniósł głowę. Francie siedziała skulona na kanapie z twarzą przytuloną do poduszki i z zamkniętymi oczyma.

Obawiał się, że do tego dojdzie. Na lotnisku sprawiała wrażenie totalnie skonanej. Jego serce rwało się do niej, gdyż przechodząc przez bramę, wyglądała jak samotna i opuszczona, zagubiona dziewczynka.

Nalegał, by jechała prosto do domu i położyła się do łóżka, lecz w jej błaganiu, żeby zabrał ją do siebie, było coś tak przejmującego, że ustąpił. Zbyt długo przebywała w rozjazdach i pragnęła teraz odzyskać poczucie przynależności.

Podczas kolacji sprawiała wrażenie wykończonej, ale jednocześnie tak szczęśliwej, iż nie miał serca sugerować, że odwiezie ją wcześniej do domu. A teraz, co nietrudno zresztą było przewidzieć, zasnęła, obserwując go przy pracy.

Podniósł się cicho i podszedł do niej. Dotknął delikatnie jej policzka. Zamruczała coś przez sen.

Nie było sensu budzić jej po to, by odwieźć ją do domu. Byłoby to zbyt okrutne. Przeszedł do sypialni, przygotował dla niej swoje łóżko i wyszukał dla siebie jakąś starą kołdrę. Ułożył Francie w łóżku, a sam będzie spał na kanapie.

Wrócił do dużego pokoju, wsunął jedno ramię pod jej kark, a drugie pod kolana i uniósł ją najdelikatniej, jak potrafił. Była taka lekka! Kiedy pomyślał o nadzwyczajnym umyśle kryjącym się pod tą wymizerowaną buzią i o niezłomnej woli przyczajonej w tym kruchym ciałku, odczuł jednocześnie dumę i smutek.

Pracowała o wiele za ciężko. Nie miała dla siebie litości. Często zastanawiał się, dlaczego, ale nigdy tak do końca nie znalazł odpowiedzi.

Przeniósł ją do sypialni i ułożył troskliwie na łóżku. Jej ramiona opłotły jego szyję, kiedy niósł ją tutaj, a teraz nie puszczały. Przyłgnęła do niego z dziwnym, cichutkim pojękiwaniem. Czuł niezwykle słodczy jej ciała, złożony zapach, który zawsze go upajał.

Próbował wyswobodzić się z jej uścisku, lecz nie pozwoliła mu. Miał wrażenie, że nawet we śnie nie opuściło jej poczucie straszliwego osamotnienia.

Jego twarz była teraz tuż przy jej twarzy. Zakłopotany uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu. Czuł się absurdalnie, pochylony nad nią w półmroku, uwięziony przez jej ramiona i sny, które powodowały, że go obejmowała.

Znów zamruczała przez sen. Pod zamkniętymi powiekami nie było widać jej myśli, lecz jej ciało lgnęło do niego mocniej.

Sam ponownie spróbował się uwolnić, lecz bezskutecznie. A może tak naprawdę wcale tego nie chciał? Przyciągnęła go Jeszcze bliżej. Jej usta musnęły jego policzek, a ich ciepły dotyk sprawił, że ogarnęła go dziwna słabość.

W tym momencie poczuł ukłucie strachu. To była niebezpieczna gra. Francie była jedynym przyjacielem na świecie, którego cenił. Szanował jej prywatność. Dotąd, kosztem ogromnych wysiłków, ukrywał prawdziwe uczucia do niej, gdyż ujawnienie ich mogłoby na zawsze zrujnować ich przyjaźń.

A teraz ona leżała w jego łóżku, trzymając go kurczowo przez sen i nie dając mu odejść. To było ponad jego siły.

— Francie... — wyszeptał. — Wszystko w porządku. Zaśnij.

Lecz ona nie słuchała. Jej usta już znalazły drogę do jego warg i próbowały je rozchylić.

— Kochanie — zaoponował błagalnie. — Przecież wcale tego nie chcesz. Nie wiesz, co robisz.

Uciszyła go pocałunkiem tak szczerym, a jednocześnie tak śmiałym, że jego ciało zapłonęło. Była cała w jego ramionach. Na piersiach czuł jej drobne piersi, długie, piękne uda ocierały się o jego biodra. I nagle jej ręce odnalazły drogę do jego nagich pleców, tam, gdzie koszulka wysunęła się ze spodni.

Już dawno temu, w duchu, zrezygnował z opierania się urodzie Francie. Jej obraz gościł w jego snach od pierwszego tygodnia, kiedy ją poznał. A teraz to wspaniałe ciało oddawało mu się samo, a jego męski instynkt krzyczał przeraźliwie, by ulec pokusie.

Nie wolno mi, pomyślał resztkami zdrowego rozsądku. Ona śpi. Nie wie, co robi.

— Francie — szepnął słabo. — Nie... Proszę...

Jej pocałunek stał się bardziej delikatny, lecz przez to bardziej kuszący. Przesuwające się po jego nagiej skórze dłonie zatrzymały się na biodrach.

— Nie mów „nie” — szepnęła.

W tym momencie dotarło do niego, że jest na tyle przebudzona, by wiedzieć dokładnie, co robi.

Świadomość tego skruszyła resztki skrupułów. Przyciągnął ją bliżej. Poczuł, jak smukłe udo wślizguje się między jego

nogi, a język ponownie wciska się w jego usta. Kolano dotknęło jego rozporka. Usłyszał słodkie westchnienie wydobywające się z jej gardła, gdy poczuła pod spodniami sterczącą, twardą męskość, ożywioną pragnieniem wyjścia jej naprzeciw. Sam zaniechał dalszej walki.

Dwie godziny później Sam Carpenter leżał na łóżku obok Francie, wspierając policzek na dłoni i przypatrując się śpiącej dziewczynie.

Podróżując wzrokiem po delikatnym ciele, które teraz nie miało już dla niego tajemnic, znajdował się w dziwnym stanie ducha. Było to coś pośredniego między przerażeniem a triumfem. Francie nigdy przedtem nie wyglądała tak pięknie, tak naturalnie, tak zdumiewająco niewinnie.

Miała ciało bogini. Natura musiała była wspiąć się na szczyty perfekcji, rzeźbiąc wszystkie te wypukłości i dojrzałe kształty, szczupłe dziewczęce biodra, płaski brzuch, jędrne piersi oraz urzekającą twarz.

Sam wrócił myślami do miesiący, które poświęcił na pomaganie jej w spełnieniu marzeń, co w rezultacie zaowocowało dzisiejszą nocą. Chociaż każdy miesiąc jego ciała wyśpiewywał radość posiadania jej, czuł się jak złodziej, który ukradł jej to, czego tak naprawdę nie chciała mu dać.

Myślał o ich współpracy i przyjaźni. Byli ze sobą blisko jako koledzy. Lecz nigdy nie byli w prawdziwej zażyłości jako ludzie. I to prawdopodobnie z winy Sama. Niemal od początku wiedział, że jego serce nie będzie w stanie oprzeć się Francie, robił więc wszystko co w jego mocy, by trzymać się od niej na dystans.

Francie dokonała reszty. Zachowywała się tak, jakby pragnęła jedynie jego przyjaźni, niczego więcej. Utrzymywany przez niego dystans zwiększał zaufanie, jakim go darzyła. A jemu to zaufanie zastępowało głębsze uczucia, których łaknęło zakochane serce.

Nie było mu łatwo nie przekraczać wyznaczonej sobie linii w kontaktach z nią przez wszystkie te miesiące, lecz robił to dla jej dobra. I był przekonany, że postępuje słusznie.

Lecz teraz, tak po prostu, wszystkie jego wysiłki poszły na marne.

Zastanawiał się, co jej powie rano. Czy będą to przeprosiny? Obietnice, że to się już więcej nie powtórzy? A może mil-

czenie, jakie niekiedy zapada między dwojgiem ludzi, którzy zrobili coś, czego oboje żałują?
Czy będzie dla niego taka sama jak przedtem? To było najważniejsze pytanie. Czy będzie mu nadal ufała?
Sam nie miał odwagi o tym myśleć. Ból wynikający z tej niepewności był tak potworny, jak piękna była przyjemność
podarowana mu przez nią tej nocy.
Lecz nawet kiedy zamartwiał się o przyszłość ich związku, jakiś wewnętrzny głos zapytywał go, czy przypadkiem
dzisiejszej nocy nie zaświtała dla nich nowa era. Czy to możliwe, że ona od początku czuła do niego to, co on do
niej? Czy podobnie jak on, ukrywała to przez cały czas?
Myśl ta rozproszyła wyrzuty sumienia Sama. Serce biło mu jak oszalałe. Radosne uniesienie zapało mu dech.
Siedział, wpatrując się w dziewczynę, pragnąc papierosa, lecz nie mając odwagi oderwać się od niej. Był
zahipnotyzowany przez nią i przez nabrzmiewające w nim nadzieje.
Nagle poruszyła się przez sen, a z jej ust wyrwało się jakieś niewyraźne, niezrozumiałe dla niego słowo. Potem, w
zniekształconym, sennym jęku powtórzyła to słowo. I tym razem, na swoje wieczne nieszczęście, zrozumiał je.
— Jack...
Ten dźwięk był jak nóż, wbijający się w najczulsze punkty na ciele Sama. Poczł lodowate zimno i dojmujący wstyd.
— Jack... — wymknęło się znów z ledwo poruszających się warg. Odbiło się przenikliwym echem w sercu Sama.
Było to jak podzwonne najgorszej rzeczywistości, jak wyrok ogłaszający najwyższą karę.
Gdyż wiedział, o kim mówiła.
Potem odwróciła się na bok i odpłynęła w dal snów, których nie on był bohaterem. Sam czuł się tak, jakby
opuszczała go na zawsze.
Teraz znał już odpowiedź na wszystkie swoje pytania.

ROZDZIAŁ 31

*...Frances Bollinger, prezes i dyrektor generalny tej dynamicznej, młodej firmy, obwieściła sprzedaż akcji na
specjalnym spotkaniu z pracownikami administracyjnymi CompuTelu, które odbyło się dziś rano w San Francisco...*

Jack Magnus siedział przy śniadaniu, czytając „Wall Street Journal”.

Czuł na sobie wzrok siedzącej po drugiej stronie stołu Belindy. W gustownej podomce wyglądała ciepło i kobieco. To dla niego Belinda ubierała się tak pięknie.

Milczała. Szanowała jego potrzebę dokładnego przejrzenia porannej prasy. Dopiero kiedy odkładał ją na bok, rozpoczynała rozmowę o jego planach na dany dzień.

Lecz teraz Jack w ogóle nie myślał o Belindzie.

Wbił wzrok w artykuł na temat CompuTelu, młodej, mającej wzięcie firmy konsultingowej, która właśnie przekształcała się w spółkę akcyjną.

Wpatrywał się też w małe, lecz uderzająco piękne zdjęcie Francie Bollinger, towarzyszące artykułowi.

Miał nadzieję, że Belinda nie dostrzeże drżenia jego dłoni i targających nim emocji.

Nie był zupełnie przygotowany na efekt, jaki wywarło na nim to zdjęcie i wieści o sukcesach Francie w nowym życiu.

Dotąd myślał, że panuje nad sytuacją. Kosztem własnego szczęścia robił to, co było konieczne.

Musiał ożenić się z Belindą, ponieważ stanowiło to część jego mistrzowskiego planu. Wiedział, że ojciec nie zaakceptuje innego wyboru. Belinda lub nic. Gdyby próbował zatrzymać Francie, cała jego przyszłość ległaby w gruzach.

Był to najtrudniejszy wybór w życiu Jacka, lecz dokonał go i był zdecydowany z tym żyć.

Już od początku znajomości z Francie, od chwili gdy uległ czarowi jej uśmiechu, uczciwości i wielkiego umysłu, zdawał sobie sprawę, że nie ma dla niej miejsca w jego planie wielkiej gry.

Lecz to nie oznaczało, że musiał oprzeć się pokusie.

Po pierwszym pocałunku, wysoko nad głowami gości zgromadzonych na przyjęciu u ojca, ożyło w nim coś dziwnego i ekscytującego, coś, o czym myślał, że żadna kobieta nie jest w stanie mu dać. A kiedy już raz posmakował tego zakazanego owocu, nie mógł bez niego żyć.

Pojechał do niej do Paryża, gdyż wspomnienie tego pocałunku doprowadzało go do szaleństwa z pożądania. Użył wszelkich znanych sobie sztuczek, żeby ją zdobyć, a kiedy mu się oddała (ach, cóż to była za noc!), zrobił jedyną jego zdaniem rzecz, jaka mogła skłonić tę dumną i uczciwą dziewczynę do zostania jego kochanką. Obiecał jej małżeństwo.

W tamtym okresie był zbyt otumaniony jej ciałem i wdziękami, by myśleć przyszłościowo. Pragnął jedynie możliwie jak najdłużej kontynuować ten romans. Przekonał ją więc, żeby zachowała ich małżeńskie plany w tajemnicy, do chwili ukończenia prac nad systemem komputerowym. Wykalkulował sobie, że sprawę zaręczyn rozwiąże jakoś później, zabierze Francie do Stanów jako kochankę i stopniowo przyzwyczai ją do myśli, że niestety, nie mogą się jednak pobrać.

Wiedział oczywiście, że odejdzie od niego, kiedy ożeni się z inną. Była zbyt dumna na tego rodzaju kapitulację. Choć, z drugiej strony, była do niego głęboko przywiązana. Świadczył o tym dobitnie wyraz jej oczu, kiedy byli razem. I sposób, w jaki się z nim kochała... Jack zapadł jej mocno w serce. To dawało mu nadzieję, że może, mimo wszystko, zdoła ją przy sobie utrzymać.

Postanowił więc oszukiwać ją tak długo, aż nie znajdzie jakiegoś rozwiązania.

Potem wkroczył jego ojciec.

Przeprowadził z Jackiem rozmowę, w której bez ogródek wygarnął mu, że czas skończyć z bujaniem w obłokach i poślubić Belinę. Chodziło o interesy, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Ponadto szczególny błysk w oczach starego sugerował, że wie wystarczająco dużo o uczuciu Jacka do Francie, by zdawać sobie sprawę, że rezygnacja z niej będzie dla syna ogromnym poświęceniem. To było klasyczne działanie Antona Magnusa. Nigdy nie był pewien ludzi, dopóki nie zmusił ich do rezygnacji z czegoś, na czym im bardzo zależało. Dopiero wtedy był przekonany o ich lojalności i posłuszeństwie.

Jack poddał się. Nie miał wyboru.

A kiedy dowiedział się, że plan obejmuje wylanie Francie z pracy (kolejny typowy gest Antona, polegający na posypywaniu rany solą), nie protestował. Musiał pozwolić ojcu postawić na swoim niezależnie od tego, jak to bolało. Jednak postępując tak, myślał o przyszłości. O przejęciu kontroli nad Magnus Industries.

Wszystko musi zostać podporządkowane jego mistrzowskiemu planowi. Dopóki ojciec będzie stał na czele stworzonego przez siebie imperium, życie Jacka będzie niekompletne.

Była to gra na przeczekanie. Jack nauczył się wszystkiego o grach od Antona. Na dzień dzisiejszy Anton miał władzę.

Lecz kartą atutową Jacka był czas. Nawet Anton Magnus nie mógł oszukać Matki Natury. Niezależnie od tego, jak był sprytny i diaboliczny, nie był w stanie powstrzymać biegu czasu. Wcześniej czy później będzie musiał przekazać korporację synowi.

A wtedy wszystko się zmieni. Jack będzie mógł działać po swojemu, pomyśleć o własnym szczęściu. Być może nawet rozwiedzie się z Belindą.

Musiał poświęcić Francie dla większej sprawy. Jej utrata prawie go zabiła, ale zebrał się jakoś w garść, ponieważ nie było innego wyjścia. Gdyby wtedy ożenił się z Francie, straciłby wszystko.

Jego plan powiódł się. Siedząc tu dziś z Belindą, oddaną i atrakcyjną żoną, był o włos od nagrody, na którą czekał przez ten cały czas. Ojciec ma siedemdziesiąt dwa lata. Wkrótce będzie musiał przejść na emeryturę. Wówczas Jack przejmie wszystko.

Lecz teraz ten krótki artykuł w „Journalu” przypomniał Jackowi o jedynym słabym ogniwie całego planu, ogniwie, o którym starał się usilnie zapomnieć.

Nie mógł żyć bez Francie.

Chociaż Jack z zasady nie tracił czasu na roztrząsanie własnych uczuć, tym razem musi to zrobić. Ponieważ, gdy patrzył na fotografię Francie, wróciła fala gorącego pożądania. Tak, jakby ona była jądrem ziemi, emitującym magnetyczne przyciąganie, nieskończenie silniejsze niż jego wola.

Przypomniał sobie dni spędzone z nią w Paryżu. Choć miał w życiu wiele kobiet, nigdy nie doświadczył seksualnie niczego, co można by porównać z posiadaniem Francie. Była w niej jakaś słodczy i zmysłowa kobieca złożoność, której trudno się było oprzeć.

Próbował zapomnieć tamten okres, lecz obraz Francie stawał mu przed oczyma, ilekroć kochał się z Belindą.

Próbował zapobiec temu, odsuwając od siebie myśli o seksie, rzucając się w wir pracy i zatracając się w niej całkowicie.

Myślał, że mu się to w końcu udało.

Jednak teraz, gdy zobaczył fotografię Francie, uświadomił sobie, że ta dziewczyna nie zniknęła tak po prostu, kiedy ożenił się z Belindą. Nadal żyła własnym życiem. A obecnie wypłynęła w świecie piękniejsza niż kiedykolwiek, niezależna, realizująca własne zamierzenia, odnosząca sukcesy w pracy, mieszkająca gdzieś we własnym mieszkaniu, nosząca swoje proste, urocze sukienki, czarująca otaczających ją ludzi uśmiechem lub nawet głośnym śmiechem.

Ta myśl sprawiła, że Jack oślepl z pożądania. Przeżył wszystkie te miesiące, udając, że Francie przestała istnieć. Teraz wiedział, że ona nadal chodzi po świecie.

A on musi ją mieć.

Lecz jak? To było pytanie.

Jack wiedział, że nie może poświęcić wszystkiego co ma, wszystkiego, co wypracował i na co nadal pracował, dla zwykłej samczej żądzy.

Czy nawet dla miłości, o ile to było właściwe słowo.

Nie. Jego misja życiowa była jasna. Na srebrnym półmisku wręczano mu Magnus Industries, a wraz z tym może największą władzę, jaką mógł posiadać jeden człowiek w świecie biznesu. Anton Magnus już zrobił przeogromny użytek z tej władzy. To, co będzie mógł z nią zrobić Jack, było wręcz nieobliczalne. Będzie mógł kontrolować prezydentów, wyryć swoje piętno na całym świecie, wpłynąć na bieg historii.

Nie może z tego zrezygnować.

Z drugiej strony, jak sobie teraz uświadomił z bolesnym pragnieniem, nie może żyć bez Francie.

To tworzyło interesujący dylemat. Problem niemal tak złożony, jak problemy szachowe, które tak fascynowały Antona Magnusa i które wyjaśniał synowi dawno temu.

Jak zyskać Francie, nie tracąc nagrody, dla której już tak dużo poświęcił?

Nie mógł przeciwstawić się ojcu. Nie w tym punkcie. Dobili targu i zgodnie z tym musi postępować. Anton nie należał do ludzi lekko traktujących zdradę.

Nie było sposobu, by podejść starego. Był zbyt sprytny, zbyt nieustępliwy.

Lecz zachowując dostateczne środki ostrożności, można było ubić z nim pewien interes.

Byłaby to trudna transakcja, najniebezpieczniejszy ruch w całej jego grze. Przed przystąpieniem do działania musiałby pomyśleć daleko naprzód i przewidzieć wszystkie ewentualności. Mimo to Jack sądził, że znalazł wyjście.

Opuścił gazetę i spojrział na Belinę. Uśmiechnęła się.

Zrobiło mu się jej żal. W tym wszystkim ona była prawdziwym przegranym. Ale nic nie można na to poradzić.

Kobiety takie jak Belinę są pionkami. Zawsze przegrywają.

Przed Jackiem stało nowe zadanie.

Czas grał na jego korzyść. Jeśli prawidłowo wykorzysta ten fakt, zmiecie z szachownicy wszystkie figury. A Jack był nieodrodnym synem swego ojca. Wszystko albo nic. Magnusów nigdy nie zadowalało drugie miejsce. Gdyby Jack nie zagłębił się tak bardzo w rozmyślaniach o Francie i stojącym przed nim dylemacie, być może przyszłoby mu do głowy, że jeszcze ktoś może być równie jak on zainteresowany artykułem w „Journalu”. I mógłby zacząć podejrzewać, że stanie się coś, co, przynajmniej na jakiś czas, odsunie na bok jego długofalowe plany. Ponieważ dokładnie w tym samym momencie, gdy Jack dawał się zalewać zaślepiającym falom pożądania, Anton Magnus, siedząc przy kawie w sypialni swojego domu, czytał artykuł o CompuTelu i jego błyskawicznym sukcesie. Jego wnioski różniły się zasadniczo od tych, jakie wysnuł jego syn. Po dokładnej lekturze artykułu podniósł słuchawkę i zadzwonił do swojej osobistej sekretarki, która o tej porze była już w biurze.

— Vera — powiedział — przekaz panu Deckerowi z działu prawnego, żeby o dziesiątej był w moim biurze. Chcę mu coś pokazać.

ROZDZIAŁ 32

Był pierwszy czerwca, tydzień przed pierwszym zebraniem akcjonariuszy CompuTelu, mającym się odbyć w siedzibie najnowszej filii firmy w San Diego. Przez okna strychu Sama świat wyglądał w ten letni poranek kojąco i niewinnie.

Francie obudziła się pierwsza. Przez dłuższą chwilę siedziała na łóżku, obserwując śpiącego Sama, po czym wstała, by przygotować kawę i przynieść gazety.

Ruszyła przez główne pomieszczenie strychu, gdzie królował zmniejszony jeszcze bardziej niż miesiąc temu 9292. Francie uśmiechnęła się, gdyż wiedziała, że mimo żalostnego wyglądu komputer ten może wykonać ogromną pracę. Cudu tego dokonały mikroprocesory w połączeniu z wielkim talentem technicznym Sama.

Zerknęła za siebie do sypialni, gdzie Sam ciągle jeszcze spał. Oddychał spokojnie, z jednym ramieniem przerzuconym przez łóżko w miejscu, gdzie moment temu leżała. Jego ciało pachniało jej namiętnością. Przechodząc przez strych w jego koszuli, zastępującej jej koszulę nocną, cofnęła się pamięcią do tygodni, jakie minęły od ich pierwszej wspólnej nocy. Po tamtym pierwszym zbliżeniu Francie znajdowała się w stanie szoku. Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Co ją opętało?

Nie wiedziała. Kiedy to się stało, na wpół spała, a poza tym była ogłupiona przez miesiące przepracowania. Lecz to nie było dla niej usprawiedliwieniem. Była świadoma tego, co robi. Sam z całych sił starał się jej oprzeć, lecz pokonała go tą samą żądzą, która opętała jej zmysły.

Skąd się ta żądza wzięła i co naprawdę oznaczała, pozostawało dla niej zagadką. Ufała Samowi, szanowała go i była w dużym stopniu od niego uzależniona. Lecz czy go kochała?

Postawiła sobie to pytanie, ale nie potrafiła na nie odpowiedzieć, i to ją dręczyło. Bez Sama czuła się jakaś pusta. On wnosił w jej życie poczucie domowego ciepła i radości. Prawda była jednak taka, że nie uczucie do Sama było motorem jej ambitnych działań. To, co pchało ją naprzód, nie miało nic wspólnego z Samem.

Kiedy tamtego ranka Sam się obudził, przeprosiła go za swoje zachowanie i zapewniła, że to się już nie powtórzy. Zdawała sobie sprawę, że takie potraktowanie ich zbliżenia rani Sama, ale nic nie mogła na to poradzić. Staroświeckie podejście do seksu było w niej głęboko zakorzenione i opierało się na surowych zasadach. Co więcej, dostała już nauczki, jak śmiertelny w skutkach może się okazać związek seksualny bez prawdziwej miłości i oddania.

Sam zapewnił ją wtedy, że nie ma powodu, by jej było przykro i że ta jedna noc nie oznacza wcale zmiany jego stosunku do niej. Nic, powiedział, się nie zmieniło. Nadal pozostanie jej przyjacielem i wiernym współpracownikiem.

Mimo to widziała, że był zaniepokojony. Sprawiał wrażenie trawionego przez poczucie winy i nieszczęśliwego. Poruszona tym zarzuciła mu ramiona na szyję, ucałowała ciepło w policzek i poprosiła, by przestał się zamartwiać. Co się stało, to się nie odstanie. Ostatecznie muszą dalej prowadzić firmę i myśleć o jej przyszłości.

Potem udali się razem do pracy i nie wspominali o tym więcej. Lecz oboje czuli się nieswojo. Na ich platonicznej przyjaźni zaistniała jakaś skaza. W ciągu następnych dni zdawali się okręzać siebie nerwowo, jakby obawiając się zbyt blisko siebie zbliżyć.

A później „to” się znowu stało.

Któregoś popołudnia przeglądając z Samem i Daną dokumenty, napotkała na moment wzrok Sama. Ta krótka chwila spowodowała w niej trzęsienie ziemi. Zrozumiała, że znów go pragnie.

Wróciła do domu, płonąć ze wstydu. Przemierzając mieszkanie jak zwierzę w klatce usiłowała nie myśleć o Samie. Łapała się za kilka robót na raz, ale i to nie pomogło. W końcu, wbrew temu, co dyktował jej rozsądek, chwyciła za słuchawkę i zadzwoniła do niego z zapytaniem, czy może go odwiedzić.

Kiedy otworzył jej drzwi, niemal rzuciła się w jego ramiona. Nigdy dotąd nie odczuwała tak przemożnej fizycznej żądzy. Ku jej zaskoczeniu, tłumiona namiętność Sama wybuchła z siłą równą jej namiętności. Rozkosz, jakiej doświadczyli tym razem, była pełniejsza przez to, że tak długo usiłowali opierać się sobie nawzajem. Westchnienia ekstazy Francie były jednocześnie westchnieniami ulgi z odzyskania bliskości, której tak jej brakowało podczas długiej i ciężkiej próby trzymania się z dala od Sama.

Od tamtej pory kochali się wiele razy. Żadne z nich nie powiedziało słowa na temat ukrytego sensu ich związku. Żadne z nich nie było też w stanie oprzeć się sile dzielonego wspólnie pożądania. Nie było mowy o miłości czy przyszłości, lecz więź pomiędzy nimi zacieśniała się niepokojąco.

Francie nie wiedziała, co z tym zrobić. Sam nie był tym mężczyzną, o którym śniła jako dziewczynka. Był o wiele bardziej przyziemny, pospolity, a nawet niechlujny, niż księżę z jej marzeń.

Uczucie do Jacka Magnusa było czymś zupełnie innym. To była obsesja, dzikie zatracanie się. Natomiast przebywając z Samem odczuwała spokojne, gościnne ciepło, które tylko niekiedy zmieniało się w gorączkę, doprowadzając ją w sposób naturalny od afektu do pożądania.

Pomimo tego, co wyprawiała z Samem, Francie w głębi duszy pozostała staroświecka. To było powodem nękających ją ustawicznie wyrzutów sumienia. Lecz pragnienie Sama było silniejsze od niej. Chciała mieszkać z nim w jednym domu i mieć go tylko dla siebie. Jego atrakcyjność nie brała się wyłącznie z magii jego pieszczot, lecz z poczucia przynależności, jakiego doświadczała w jego ramionach.

Dlatego Francie balansowała na niepewnej linii pomiędzy przyjaźnią, którą ceniła najwyżej ze wszystkiego, a niespodziewanym seksualnym związkiem, który z tej przyjaźni wyrósł i który zdawał się jej zagrażać.

Tego ranka w głowie Francie szalała burza myśli. Nastawiła kawę i otworzyła drzwi, by zabrać poranne gazety. Z zaskoczeniem zauważyła leżący na gazetach urzędowy list. Adresowany był do Sama Carpentera, wiceprezesa firmy Compu-Tel. Nadawcą była duża firma prawnicza Coster, Coster i White-house z Nowego Jorku, której nazwa obijała się jej kiedyś o uszy.

Położyła przesyłkę na stole w kuchni. Niemal czuła promieniujące od niej zagrożenie. Nalewając sobie kawę, odczuła nieprzewartą pokusę, żeby ją otworzyć. Ale nie mogła. Była adresowana do Sama.

Siedziała przy stole, popijając nerwowo kawę, gdy za jej plecami zabrzmiał głos, na dźwięk którego prawie podskoczyła.

— Co się stało? Zdawało mi się, że słyszę jakiś hałas? To był Sam.

Francie zerwała się na równe nogi, przytuliła się do niego i wskazała na list.

— Może zwariowałam, ale przez niego jestem cała nerwowa. Otwórz to, proszę.

Zaspany Sam otworzył kopertę. Twarz mu pociemniała, kiedy przebiegał wzrokiem jej zawartość. Potem wręczył list Francie. Przeczytała go szybko, po czym zaczęła jeszcze raz od początku. Jego treść zaszokowała ją totalnie.

Coster, Coster i Whitehouse Radcy Prawni Magnus Industries

30 maja 1958 CompuTel, Inc.

Samuel Carpenter, wiceprezes 435 Cedar Street, Nowy Jork

POWIADOMIENIE O NARUSZENIU PRAW PATENTOWYCH

Szanowni Państwo!

Niniejszym informujemy o wniesieniu przeciwko Państwu sprawy do sądu o naruszenie praw patentowych do patentu nr 3647576857 dotyczącego systemów komputerowych, a będące-

go własnością Magnus Industries. Nasz klient twierdzi, że pewne programy komputerowe, wykorzystywane przez Państwa do prac konsultingowych, zawierają materiały techniczne, na które on posiada patent. Jako że nie wystąpiliście Państwo należycie o pozwolenie skopiowania tych materiałów, nasz klient domaga się, abyście zaprzestali i odstąpili od wszelkiej tego typu działalności do czasu decyzji Sądu Federalnego.

Z poważaniem

Graham S. Coster, prezes

Do wiadomości:

Frances M. Bollinger, Prezes

Martin W. Decker, Dział Prawny Magnus Industries Francie zbladła.

— Co to znaczy? — spytała Sama. Potrząsnął głową.

— Niech mnie diabli, jeśli wiem. Nie mam zielonego pojęcia, o czym oni piszą.

Francie uczepliła się kurczowo jego ręki.

— Mam złe przeczucia. Sądzę, że powinniśmy natychmiast zatelefonować do Lee Nugenta.

Sam skinął głową. Lee, radca prawny CompuTelu, będzie wiedział, co oznacza ten list.

Prawda przeszła najgorsze oczekiwania Francie i Sama.

Lee Nugent, mężczyzna średniego wzrostu z przeredzonymi blond włosami i przyjaznymi oczyma, powitał Francie i Sama w swoim biurze, formami grzecznościowymi maskując troskę.

— Francie, Sam, chcę, żebyście kogoś poznali — powiedział, wskazując dystyngowanego mężczyznę około pięćdziesiątki, który wstał, wyciągając rękę do Francie. — To Oliver Meinen z firmy Briggs, Lotman i Meinen. Specjalnością Olivera jest prawo patentowe. Przyszedł tutaj, żeby nas wesprzeć radą.

Wszyscy przywitali się i zasiedli przy stole konferencyjnym.

— Rozmawiałem telefonicznie z Grahamem Costerem — zaczął Lee. — Sprawa przedstawia się następująco.

Magnus Industries posiada patent na określony typ systemu kompute-

rowego, systemu, który obejmuje inwentarz, koszty globalne i produktywność przedsiębiorstw. Rozumiem, Francie, że pracowałaś z tymi materiałami, kiedy byłaś w Magnusie. Cóż, krótko mówiąc, Magnus i jego prawnicy uważają, że programy, z jakich korzystasz obecnie dla swoich klientów, zawierają tyle elementów z oryginału Magnusa, że kwalifikuje się to do zaskarżenia. Francie zrobiła się ze złości biała jak kreda.

— Lee — powiedziała — ja z tym nie pracowałam. Ja wynalazłam ten system. Ja osobiście. Bez niczyjej pomocy, sama zaprojektowałam to wszystko, o czym mówią, i wypracowałam wszystkie warianty z programu wzorcowego. Byłam o włos od wprowadzenia go w życie kiedy... wylali mnie.

Lee słuchał w skupieniu.

— Co było potem? — zapytał.

— No cóż, wystartowałam z CompuTelem, znalazłam Sama i jego komputer i zaczęłam pisać programy na znacznie mniejszą skalę, by służyły biznesmenom pragnącym poprzez komputeryzację rejestrów finansowych, fakturowania i tak dalej, obniżyć koszty globalne. To wszystko.

Lee odchrząknął.

— Czy jako ekspert od komputerów powiedziałaabyś, że twoje nowe programy zawierają elementy zaprojektowane pierwotnie dla systemu Magnusa?

Francie zmarszczyła czoło.

— Tak. Chyba tak. Mają wspólne elementy logiczne. W sposób naturalny wykorzystałam własny wynalazek w zmodyfikowanej formie do stworzenia programów CompuTelu.

Lee uniósł brwi.

— Rozumiem, że nie masz patentu na swój oryginalny program?

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie, nigdy nie przyszło mi to do głowy.

— Przyszło za to do głowy Magnusowi — powiedział Lee. — Wystąpili o patent na ten system... zaraz, niech spojrzę... 24 sierpnia 1956.

Francie zbladła.

— Zaraz po tym, jak mnie wyrzucili — wyjaśniła łamiącym się głosem.

— Ostatecznie otrzymali ten patent — kontynuował Lee. — Mają patent na całą procedurę logiczną związaną z tym systemem. Jeśli będą mogli udowodnić, że to, co robisz w Com-

puTelu, bazuje na tej samej koncepcji, wtedy będziesz musiała zapłacić odszkodowanie i być może odstąpić od korzystania z programów.

Palce Francie zaczęły drżeć. Nie dowierzała własnym uszom.

— Musisz mi uwierzyć, Lee. To ja wynalazłam prototyp, który oni opatentowali. Czy nie rozumiesz, że to oni mi ukradli go, po uprzednim wyrzuceniu mnie na bruk?

— Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby ich zaskarżyć lub żeby samej opatentować ten prototyp?

— To była dla mnie normalna praca. Nie myślałam o tym w kategoriach wynalazku. Nigdy nie wpadłam na to, że coś takiego można opatentować. Chyba nie wiem wystarczająco dużo o patentach.

— No tak, a oni wiedzieli. Nie sądzę, byś posiadała jakiekolwiek materiały dotyczące samego wynalazku, za pomocą których mogłabyś udowodnić, że jest on przede wszystkim twój? Jakieś notatki z codziennej pracy?...

Francie pomyślała o okresie spędzonym w Magnusie, zarówno w Nowym Jorku, jak i w Europie. Wszystkie notatki przepadły, gdyż zostały w budynku, do którego od chwili wypowiedzenia nie miała wstępu. Jeśli chodzi o wcześniejsze zapiski jej komputerowego pomysłu, takie jak prospekt, który dała Jackowi i referowała przed Zarządem, to zniszczyła je w przyływie niesmaku i złości po tym, jak ją zwolniono.

Mogła więc teraz jedynie potrząsnąć przecząco głową.

— Nie mam nic, Lee. Straciłam wszystkie.

— Czy w Magnusie byli jacyś ludzie, którzy mogliby potwierdzić twoją rolę w tworzeniu oryginalnych programów? Pomyślała o Jacku, o członkach Zarządu, o Rolandzie de Leaumes i o kolegach z Magnus-France.

— Wszyscy wiedzieli, że to była moja działka i mój wynalazek. Dlatego czułam się taka upokorzona, gdy za pierwszym razem nie wyszło. Ale czy to może być dowodem na moją rolę?... Po prostu nie wiem, Lee.

Lee zwrócił się do Olivera Meinena:

— Co o tym wszystkim sądzisz, Ollie?

— W przypadkach takich jak ten — odparł Meinen — prawo stoi po stronie posiadacza patentu. Jeśli istniała kwestia tego, kto ma do niego prawo, powinna była zostać wyprocesowana dwa lata temu, kiedy Magnus wystąpił o przyznanie patentu. Nawet wtedy musiałyby pani, panno Bollinger, posia-

dać niezbita dowody swojego udziału w wynalazku. Prawdopodobnie byłaby to zacięta walka, biorąc pod uwagę fakt, że dokonując wynalazku, była pani pracownikiem Magnus Industries. Magnus twierdziłby, że to oni mają prawo do patentu, gdyż pani praca została wykonana dla nich i na ich zlecenie.

— Czy miałabym wtedy jakieś szanse wygrać? Prawnik wzruszył ramionami.

— Mogłaby pani podjąć walkę. Lecz sprawy takie jak ta mogą ciągnąć się latami. Po prostu nie wiem.

Francie uśmiechnęła się z goryczą. Pomyślała o swoich początkach w Magnusie i o pracy dla Raymonda Wilbura. Jej pierwsze doświadczenia w korporacji wiązały się z przypisywaniem zasług za jej pracę komuś innemu. Teraz sprawy wykonały pełny obrót i znów znalazła się w punkcie wyjścia.

Zwróciła się do Lee:

— Co teraz zrobimy? Zapłacić im za ten patent? Możemy sobie chyba na to pozwolić, prawda? To nie może być aż tak dużo.

Lee zmarszczył czoło.

— Obawiam się, że to nie przejdzie. Ich prawnicy twierdzą, że według prawa federalnego uzurpowałaś sobie prawo Magnusa do czerpania zysków z patentu. Tak więc zaskarżają cię o utracone zyski. I nalegają, żebyś natychmiast zaprzestała wszelkiej działalności przynoszącej korzyści finansowe, a bazującej na tym systemie.

Francie miała wrażenie, że to jakiś koszmarny sen.

— Chcesz powiedzieć — spytała cicho, zerkając na. Sama — że próbują wysadzić nas z interesu?

Lee był wyraźnie zgnębiony.

— Chyba, niestety, tak to się przedstawia.

Zapadła cisza. Francie rzuciła Samowi spojrzenie spod oka. Przytłaczała ją wina połączona z wściekłością. Wina, ponieważ czuła, że wciągnęła Sama w przedsięwzięcie, które za jej przyczyną obróciło się wniwecz. Wściekłość, gdyż wiedziała doskonale, że pod postępowaniem prawnym ze strony Magnus Industries kryła się złośliwość, czysta, nieskończona złośliwość.

Lee próbował wyartykułować coś, co miało przypominać słowa otuchy.

— Możemy, oczywiście, podjąć walkę w sądach. Istnieją bezsporne dowody na twój udział w wynalezieniu tej koncepcji. Możemy wezwać do stawiennictwa w sądzie pod groźbą

kary pracowników Magnusa, którzy pracowali pod twym kierunkiem lub kontaktowali się z tobą w tamtym czasie. Oczywiście, nie ma pewności, co zeznają. I musimy założyć, że Magnus ściągnie ludzi, którzy stwierdzą coś wręcz odwrotnego. Poza tym, istnieje ciągle taki problem, że byłaś zatrudniona w Magnusie, kiedy dokonałaś odkrycia. Obawiam się, że to nasz najsłabszy punkt. Choćby na podstawie tego jednego, Magnus będzie sobie rościł prawo do patentu i płynących z tego zysków.

Francie popatrzyła najpierw na Sama, potem na dwóch prawników. Pomyślała o przerażającej potędze Magnus Industries.

— I tak byśmy nie wygrali, prawda? — spytała Lee. Uśmiechnął się ponuro.

— Z ich doświadczonymi prawnikami i z prawem stojącym po ich stronie? Nie mielibyśmy najmniejszych szans, Francie. Ich nie można pokonać. Są po prostu zbyt wielcy. Przez pół swojego czasu ustanawiają prawa. Przez drugie pół łamią je i uchodzi im to płazem. Przykro mi.

Przez chwilę Francie siedziała zatopiona w myślach. Cisza w pokoju stawała się nie do zniesienia.

W końcu podniosła się i uścisnęła dłoń Olivera Meinena.

— Dziękuję za pańską radę. I dziękuję tobie, Lee, że się tym zająłeś.

Odwróciła się do wyjścia.

— Co teraz zrobisz? — spytał niespokojnie Lee. Popatrzyła na niego ze smutnym uśmiechem.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

ROZDZIAŁ 33

Tamtej nocy Sam nie widział Francie.

Telefon w jej apartamencie nie odpowiadał. Sam pojechał sprawdzić, co się dzieje, lecz nikt nie otworzył drzwi.

Wrócił na strych i zaczął czekać na jakiś sygnał od niej. Było wiele szczegółów do przedyskutowania. Lee Nugent planował rozpoczęcie negocjacji z korporacją Magnusa, chcąc zawrzeć ugodę. Należało zadecydować, jak załatwić sprawę rozwiązania umów z aktualnymi klientami CompuTelu. Groziło bankructwo.

Było wiele do zrobienia.

Sam martwił się o Francie. Widział cień na jej twarzy w biurze Lee, wyraz, jaki nigdy dotąd nie przyćmiewał piękna jej rysów. Była to złość i coś jeszcze.

Musi ją znaleźć. Po raz pierwszy od czasu, kiedy ją poznał, autentycznie bał się, że coś z nią jest nie tak.

Francie spędziła tę noc w hotelu. Wprowadziła się bez bagażu, nawet bez szczoteczki do zębów. Przesiedziała całą noc, nie zmrużywszy oka.

Przez pierwsze godziny usiłowała pokonać niedowierzenie w to, co się stało. Nigdy w życiu nie wyobrażała sobie takiej perfidii, jaką wykazał Magnus, wyrzucając ją na bruk, by czerpać zyski z wynalezionej przez nią systemu. Systemu, którego stał się wyłącznym właścicielem w wyniku jawnej kradzieży.

Początkowo zgrozą napawała ją myśl, że potwór-Magnus pojawił się znikąd, by ją prześladować, wykorzystując zdobyty niegodnie patent do zrujnowania niewielkiego, lecz prężnego biznesu, który zbudowała z niczego własnymi rękoma. Katusze bezradności w obliczu takiej niesprawiedliwości zaślepiły ją na wszystko inne.

Później z dziwną satysfakcją przyszło jej do głowy, że Magnus Industries, przy całej swej przeogromnej potędze, nie mogą iść własną, odrębną drogą i zapomnieć o Francie. Goliat nie czuł się dość bezpieczny, by zapomnieć o Dawidzie. Wrócił, żeby ją prześladować, nie ufając w swoją przewagę.

Myśl ta zaintrygowała Francie i zaowocowała nowymi, dziwacznymi pomysłami.

Zacząła analizować przeszłość. Przed jej oczyma stawały postacie Raymonda Wilbura, Rolanda de Leaumes, Jacka Magnusa i jego ojca. Stopniowo jej rozumowanie zaczęło nabierać niezwyklej wyrazistości. Zrozumiała, że wściekłość, jaka ją dławiała od momentu przeczytania listu prawników Magnusa, była daremna i dowodziła jej słabości.

Nie czas teraz na złość.

Potrzebowała czegoś innego.

Następnego ranka, po bezsennej nocy, pojechała do domu, wzięła prysznic, ubrała się, wyszczotkowała starannie włosy, poprawiła makijaż i wyszła. Na dole złapała taksówkę, która zawiozła ją do siedziby Magnusa przy Szóstej Alei.

Dopiero kiedy dotarła do hallu, przypomniała sobie, że strażnicy jej nie przepuszczą.

Stała, wpatrując się w spis telefonów.

MAGNUS, ANTON 6511 MAGNUS, JACK 6134

Walcząc z narastającym napięciem nerwowym, zaczęła się zastanawiać, po co tu właściwie przyszła. Studiując te dwa nazwiska, nagle zrozumiała. Szaleńcza gonitwa myśli przez długą, samotną noc, zaowocowała jednym pytaniem. Nadszedł czas, by znaleźć odpowiedź.

Podeszła do jednego z automatów telefonicznych i wykręciła numer.

— Magnus Industries, czym mogę służyć? — dobiegł ją głos recepcjonistki.

Dopiero w tym ułamku sekundy Francie zdecydowała, z którym z Magnusów chce rozmawiać.

— Poproszę z biurem Antona Magnusa.

— Chwileczkę, łączę.

Nastała długa przerwa. Potem na linii zgłosiła się kolejna sekretarka.

— Biuro pana Magnusa. Panna Ober przy telefonie. Czym mogę służyć?

— Tu biuro pana Grahama Costera. Prowadzimy dla pana Magnusa sprawę dotyczącą firmy komputerowej CompuTel. Mam pilną rozmowę od pana Costera do pana Magnusa.

— Proszę chwilę poczekać.

Ponownie nastąpiła przerwa, po której na linii odezwał się trzeci głos.

— Biuro pana Magnusa. Kogo mam zaanonsować?

Francie uśmiechnęła się. Miało swój sens to, że ktoś usiłujący się dodzwonić i rozpoczynający od numeru centrali musiał pokonać kilka szczebli monolitu, jakim była korporacja, aby dotrzeć do osobistej sekretarki Antona Magnusa.

Powtórzyła swoją bajeczkę.

— Pan Coster mówi, że to zajmie tylko chwilę — zakończyła. — To ma związek z ich ostatnią rozmową.

— Proszę zaczekać. On jest właśnie na innej linii, ale sądzę, że zdołam panią połączyć.

Francie zacisnęła kciuki z nadzieją, że sekretarka nie zbędzie jej obietnicą, iż za kilka minut sama zadzwoni do pana Costera.

Lecz miała szczęście.

Po niespełna minucie usłyszała w słuchawce znajomy, niski głos.

— Graham, co mogę dla ciebie zrobić?

Francie nie odpowiadała. Wsłuchiwała się w ciszę na linii.

— Graham, halo? Jesteś tam?

Nadal milczała, przysłuchując się dokładnie głosowi.

Teraz pauza była dłuższa. Anton Magnus zapewne już zaczynał się niecierpliwić. Zastanawiała się, czy słyszy jej oddech.

Lecz jakoś nie odkładał słuchawki. Czekał. Być może domyślał się, kto jest po drugiej stronie.

— Pan Magnus? — zapytała powoli.

— Tak, kto mówi? Halo? Kto... — głos się załamał.

Cisza po obu stronach była teraz brzemienista. Francie wyczuwała, że Magnus zachodzi w głowę, kto do niego telefonuje. Podążyła jego tokiem myślenia. Wiedziała, że analizuje słowa sekretarki, myśli o firmie prawniczej i sprawie przeciwko CompuTelowi i przetrząsa zakamarki pamięci, by rozpoznać kobiecy głos, który wypowiedział do niego zaledwie dwa słowa.

Cisza pogłębiała się. Francie czuła dokładnie, jak na drugim końcu linii jej rozmówca stara się zachować równowagę. Wiedziała, że go ma, że zepchnęła go do defensywy, posiała w nim niepokój. Gdyby był całkowicie pewien siebie i swojego świata, powinien był już teraz odłożyć słuchawkę. Lecz on był zaintrygowany, podenerwowany, chciał się koniecznie dowiedzieć, kto dzwoni.

W jego milczeniu słyszała zwykłą ludzką słabość, wykradającą się chyłkiem zza murów potężnej twierdzy władzy. Nie powiedział więcej „halo”. Łączyło ich tylko milczenie.

Francie bardzo wolno odwiesiła słuchawkę.

Popatrzyła z budki na mijających ją ludzi. Teraz, sześćdziesiąt pięć pięter nad nią, Anton Magnus wypytuje sekretarkę o ten telefon i każe jej dzwonić do pana Costera, żeby sprawdziła, o co w tym wszystkim chodzi. Za kilka minut sekretarka poinformuje go, że pan Coster nie dzwonił.

Wtedy Magnus utwierdzi się w swoich podejrzeniach.

Zatem twierdza Magnusa nie jest wcale taka niezdobyta. Głęboko w jej murach zamknięta jest zwykła istota ludzka, z nerwami, instynktami i, być może, lękami, takimi jak u innych ludzi. Minotaur w samym sercu labiryntu jest tylko człowiekiem.

Francie miała już odpowiedź na pytanie ją nurtujące, kiedy weszła do hallu i stanęła przed dwoma nazwiskami figurującymi w spisie telefonów. Anton i Jack. Ojciec i syn.

To nie jest tak, jak się wydaje. Te słowa Jacka Magnusa wróciły do niej z najboleśniejzych głębin pamięci. Miały teraz zupełnie nowy wydźwięk. Francie przyszło do głowy, że wczorajsze prawdy mogą zostać zmienione przez czas w całkowicie nowe, zaskakujące prawdy jutra.

„Nie można ich pokonać”, mówił Lee Nugent. „Są po prostu zbyt wielcy”.

W jego słowach pobrzmiewała niezaprzeczalna prawda. Mimo to szybki umysł Francie dostrzegł coś, czego wczoraj nie mógł dostrzec Lee Nugent, i utwierdził się w tym poprzez zakończoną przed chwilą rozmowę telefoniczną.

Jakoś nie czuła się już wcale bezradna.

Zamiast pojechać do domu, wsiadła do metra, udając się na strych Sama. Otworzyła sobie drzwi i usiadła, czekając na jego powrót.

Kilka razy zadzwonił telefon, ale nie odbierała.

Sam przyszedł o piątej trzydzieści. Spędził dzień w siedzibie CompuTelu, czekając na próżno na jej telefon.

Bez słowa przeciął pokój i wziął ją w ramiona.

— Francie — powiedział, całując ją w policzek — tak się o ciebie martwiłem.

Nie odezwała się, tylko przytuliła się mocniej. Dotknęła palcem jego brody, zdobywając się przy tym na uśmiech.

Musiałaś wszystko przemyśleć, czy tak? — spytał.

Skinęła głową. Jej oczy miały błędny wyraz, równocześnie niepokojący i urzekający.

Siedzieli w milczeniu. Wokół wszystko pogrążało się w półmroku. Ciepło wypływające z bliskości Sama koło nieznośny ból, wypełniający całe ciało Francie. Choć w tym przełomowym momencie nie mógł znać jej myśli, jego uczucie znaczyło dla niej więcej niż zrozumienie. Istnienie Sama stało się dla niej nagle najistotniejszym wsparciem.

Tulił ją mocno. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, odsunął ją na odległość ramienia i popatrzył na nią.

— Szczęściarz ze mnie — stwierdził. — Chyba jakiś dobry duch czuwał nade mną, prowadząc mnie do ciebie tamtego dnia.

Francie nie odpowiedziała, lecz jej uśmiech mówił mu, co czuje.

— Mam pomysł — kontynuował Sam. — Chodźmy jak za dawnych, dobrych czasów do „Automatu” na obiad. To przywoła szczęśliwe wspomnienia.

— Pójdę za tobą wszędzie — odparła cicho. Przyciągnął ją bliżej i wskazał na 9292, który odpowiadał obecnie wielkością dwóm automatom do coca-coli.

— Cóż, może i zostaliśmy wystrychnięci na dudka i jesteśmy śmieszni jak ten tu 9292, ale nadal znamy się na swojej robocie. Mam uczucie, że to, co stało się wczoraj, nie jest końcem Francie Bollinger.

Francie popatrzyła na komputer, który od samego początku dzielił ich losy. Rozumiała słowa Sama. 9292 nie wyglądał imponująco, lecz jego możliwości wzrosły dziesięciokrotnie wraz ze zmniejszeniem się rozmiarów.

Czuła się tak jak ta maszyna. Była drobniejsza niż niegdyś i sfatygowana ciężkimi przejściami, lecz nadal mogła wykonywać swoją pracę. I potrafiła teraz myśleć o wiele jaśniej niż przedtem.

Przyjrzała się uważniej komputerowi. Był naprawdę dużo mniejszy, niż sobie uświadamiała. Przez ostatnie miesiące była tak zajęta, że nie zauważyła, jakie Sam zrobił postępy.

— Niedługo nie będzie większy niż lodówka — powiedziała.

— Może nawet mniejszy — dodał Sam. — Tu nie ma ograniczeń. Wierz mi, ja to wiem.

Nagle Francie wyprostowała się. Przeniosła wzrok z maszyny na Sama.

— Jak myślisz, ile czasu zabrałoby zmniejszenie 9292 do takich rozmiarów?

Sam gapił się na nią, zaskoczony.

— Nie wiem, pewnie niezbyt dużo. Rok, może mniej. Dlaczego pytasz?

— Czy to by dużo kosztowało? Sam uniósł brwi.

— Nie mam pojęcia. Wiesz, że robię to wszystko samodzielnie, zbieram tu i tam różne części i po prostu dłubię... Do czego ty właściwie zmierzasz?

Francie poklepała go po policzku.

— To co z tym obiadem? Mamy parę spraw do obgadania.

— No to ruszajmy.

Ujął jej rękę i poprowadził w kierunku drzwi. Kiedy pomagał jej włożyć płaszcz, czuł wyraźnie, że w tym szczupłym ciele zachodzi jakiś ważny proces. Było wręcz naelektryzowana inicjatywą, i choć jeszcze nie wiedział, co to znaczy, czuł, że Francie zrealizuje swoje zamierzenia. Zdecydowanie nic nie mogło jej powstrzymać. Podejrzewał to już wcześniej, lecz teraz był pewien.

Sam zaczynał uświadamiać sobie, że łącząc swój los z losem Francie, zaprzęgną! gwiazdę do swojego wozu.

ROZDZIAŁ 34

12 czerwca 1958

Scott Montegale trzymał Julie Magnus w ramionach.

Siedzieli z tyłu wagonu kolejki przejeżdżającej przez Central Park. Przez kolana mieli przerzucony ciepły wełniany koc. Wieczór był chłodny i w miarę trwania przejażdżki przytulali się do siebie coraz bardziej.

Julie zamknęła oczy. Było jej przyjemnie i ciepło. Czowała się bezpieczna w objęciach Scotta, który swój policzek przyciskał do jej czoła. Czowała się jak pensjonarka ze swoim adoratorem.

Od pierwszej wizyty Scotta w Nowym Jorku upłynęło osiem miesięcy. Ponieważ brakowało mu prywatnych finansów na ponowny przyjazd, zdołał jakoś wymanewrować swoją londyńską firmę prawniczą, by wysłała go w podróż służbową do Nowego Jorku. W tym czasie pisywał do Julie przynajmniej raz w tygodniu.

Jego listy opisywały malowniczo każdy aspekt jego życia. Dowiedziała się z nich dużo o jego poglądach i osobowości. Jednak najbardziej ze wszystkiego potwierdzały, jak bardzo zależy mu na Julie i jak strasznie cierpi z powodu rozłąki.

Wiadomości od niego coraz bardziej pogłębiały oczarowanie Julie jego osobą. A teraz, kiedy był znów przy niej, uświadomiła sobie, że Scott zajmuje w jej sercu miejsce, które nie istniało, zanim wkroczył w jej życie.

Nawet teraz, kiedy do obrazu, jaki hołubiła w myślach i do osobowości ożywającej w jego listach, dołączyła fizyczna obecność Scotta, przerażał ją własny, dziwny stan ducha.

Przez całe życie była martwa w środku i zadowolona z tego, że chodzi po ziemi jak duch poronionej istoty ludzkiej. Lecz Scott uwierzył w nią tak mocno, tak ślepo, że udało mu się przywrócić ją do życia. Był to nie lada wyczyn i Julie trudno było to zrozumieć. Przypominało to kurację jakiegoś zaczarowanego lekarza, który oderwał z ran gruby opatrunek i oczyścił je tak, że mogły się w końcu naprawdę zagoić.

Mimo to Julie bała się, że blizny są jeszcze tak świeże, iż byle draśnięcie może je na nowo rozjątrzyć.

I choć Scott wyczuwał ten strach, nie dawał się odwieść od wyznaczonego sobie celu.

Sprawiał wrażenie, że nie zna obecnej Julie, że dla niego jest ona ciągle tą samą ufną, niewinną dziewczynką, jaką była, zanim Anton Magnus i świat zrobili swoje. Tą Julie, którą ona sama już dawno uznała za straconą. A jednak Scott wierzył w jej istnienie, co więcej, zdołał nawiązać z nią kontakt, podał jej rękę i wyprowadził za pomocą swoich łagodnych metod na światło dzienne z mroku zapomnienia.

I chociaż przyglądanie się bitwie, jaką Scott toczył z jej obecnym *ja*, było przerażające, Julie zaczęła doświadczać uczucia najbardziej zakazanego ze wszystkich: nadziei.

Wagonik dojeżdżał do bramy parkowej od strony 59 Ulicy. Julie poczuła na czole ciepłe wargi Scotta.

Przytuliła się do niego jak dziecko.

— Jesteś taki dobry — powiedziała.

— Ty też — jego ściszony głos koił jak najlepszy lek.

W ciągu ostatniego tygodnia coraz częściej łapała się na tym, że pragnie Scotta tak, jak dziewczica pragnie swego pierwszego mężczyzny. Rozkoszowała się ciepłem jego ciała i pożądała go z dziewczęcym głodem. Budziły się w niej normalne instynkty dorastających dziewcząt, czyste, marzycielskie tęsknoty, których nigdy dotąd nie odczuwała.

Uniosła twarz ku niemu i nagle ich wargi zetknęły się w zmysłowym pocałunku. Scott tulił ją do siebie tak mocno, że czuła, jak jego żądza rośnie, podniecana jej pragnieniem.

Wbrew wszystkim nowym, cudownym uczuciom, jakie przyniósł jej ten tydzień, wzbraniała się przed tym gwałtownym przypiływem pożądania. Instynktownie zeszytywniała w jego ramionach. Było to tak odruchowe, jak napięcie człowieka, który cierpi na klaustrofobię, wchodzącego do windy. Nadeszło, nim zdążyła się powstrzymać.

Scott wyczuł to i rozluźnił uścisk. Zawstydzona swoim idiotycznym zachowaniem, próbowała przytulić się do niego mocniej, jakby chciała ciałem wytłumaczyć udręczoną ambi-walencję uczuć serca. To przedstawienie wydało jej się równie śmieszne, co tragiczne. Czuła się najpodlejszym z kłamców i najbardziej niegodną z kobiet.

Lecz Scott nie sprawiał wrażenia zażenowanego tym, co zaszło. Jego uścisk stał się przyjacielski i poczuła, jak zakazana gorączka zmienia się w czystą czułość.

Znów poczuła się bezpiecznie. Jednym łagodnym posunięciem przyjął do wiadomości jej zdenerwowanie, zaakceptował je i pozostawił jej swobodę działania.

Julie była do tego stopnia wdzięczna za jego wyrozumiałość, iż skłonna była nawet wybaczyć sobie własną bezwartościowość.

— Sobota będzie moim ostatnim dniem — odezwał się Scott. — Nie chcę jechać.

Kiedy to mówił, jego głos brzmiał jak głos rozkapryszonego chłopca. Julie spojrzała mu w oczy. Był taki przystojny! Studiując jego twarz z jej regularnymi rysami i łagodnymi oczyma, uświadomiła sobie, że od dzieciństwa nie przestała o niej marzyć.

Teraz ta dorosła już twarz zdawała się uzupełniać jej fantazje i ożywiać je. Smutne lata bez niego usuwały się w niepamięć. Scott był tak realny jak wszyscy, których znała. I otworzył drzwi do tej części z niej, która była dla niej nowa, gdyż istniała tylko dla niego.

Kiedy przekazywała mu jakieś myśli, odczucia, wspomnienia, nabierały one zupełnie innej treści. On, poprzez swoją uwagę i szacunek dla niej, czynił je bardziej interesującymi, bardziej ludzkimi i naturalnymi. W rozmowie z nim zaskakiwała ustawicznie samą siebie, ponieważ mówiła rzeczy, o które nigdy by siebie nie podejrzewała. Po prostu wypadały z niej, nowe, błyskotliwe i niespodziewane, jakby on uczynił z niej inną osobę.

Dobłą osobę...

Niemniej jednak za tymi przebłyskami normalności przyczaił się ocean wstydu, który w każdej chwili groził jej pochłonięciem. A ona byłaby niezdolnie rozdarta, spacerując po tej linii, gdyby nie sani Scott, który zdawał się wyczuwać głębię jej kłopotliwego położenia i łagodził je swoim taktem i delikatnością.

Obcowanie z nim było jak piękny sen. Albo nawet jak świetlana rzeczywistość, w której jej wcześniejsze życie wydawało się złym snem.

Sen czy jawa? Które z tych dwóch było prawdziwe? Czy Scott był zbyt dobry, aby być prawdziwym? Wstyd i strach powodowały, że Julie często zadawała sobie to pytanie. Lecz wyraz jego oczu i dotyk dłoni dodawały jej wiary w tę nową, piękną rzeczywistość, otwierającą się przed nią dokładnie w momencie, kiedy myślała, że już za późno na jakiegokolwiek uczucie.

Wagonik wiozł ich do końca parku i wieczoru.

— Co ja bez ciebie zrobię? — spytał Scott.

— Jak to co? — Uśmiechnęła się. — Wrócisz do pracy, dokończysz urządzenie gabinetu mamy, będziesz opiekował się małą córeczką Lucy, będziesz chodził do kina i czytał tych swoich: Szekspira, Thoreau i doktora Johnsona.

— Mój Boże, wiesz o moich stałych zajęciach tyle co ja. Wstyd mi, że zawracałem ci tym głowę.

— Nie wstydz się — roześmiała się. — To najciekawsze rzeczy, o jakich słyszałam od dwudziestu lat.

Popatrzył jej w oczy.

— A co ty będziesz robiła po moim wyjeździe? Zadumała się przez chwilę.

— Po twoim wyjeździe... będę spoglądać na zegar, dodawać pięć godzin do czasu nowojorskiego i myśleć o tym, gdzie jesteś i co robisz. Budząc się rano będę myślała o tym, że właśnie jesz lunch lub spotykasz się z klientami. W szkole (Julie zdecydowała wrócić do college'u i zrobić dyplom) będę myślała o tym, że kończysz pracę. W czasie lunchu będę udawała, że jem z tobą obiad. A kiedy nadejdzie weekend, będę myślała o twojej chacie na farmie i żałowała, że nie mogę być z tobą.

Była tak pochłonięta tym, co mówi, że nie pomyślała nawet o erotycznych eskapadach i innych ekscesach, jakich mogłaby się dopuścić po jego wyjeździe. Czuli się tak wyciszona jego bliskością, że zapomniała wstydz się swojego życia. Myślała wyłącznie o nim.

Chwycił ją gwałtownie za nadgarstek.

— Nie mów więcej — poprosił porywczo. — To za bardzo boli.

— Boli? — powtórzyła zaskoczona.

— Nie chcę wyjeżdżać. Nie chcę być trzy tysiące mil od ciebie. Nie chcę popadać w starą rutynę. Nie teraz. Nie teraz, kiedy wiem, że myślisz o mnie... To za bardzo boli...

Popatrzyła przenikliwie w jego oczy. To, co w nich zobaczyła, stopiłoby najtwardszy lód. Dotknęła ustami jego warg. Pocałunek był początkowo miękki, nieśmiały, później coraz bardziej namiętny. Czowała w jego ciele pożądanie i to, że hamuje je dla jej dobra. Dotknęła oburącz jego twarzy.

— Scotty...

Próbowała stłumić słowa cisnące się na jej usta, lecz było to niemożliwe. Zbyt jej na nim zależało, by ukrywać to, co leży jej na sercu.

— Rozmawialiśmy o tak wielu sprawach, lecz nigdy o mnie. To nieuczciwe z mojej strony. Nic o mnie nie wiesz. Spojrzał na nią, autentycznie zaskoczony.

— Czy jest coś, czego nie wiem, a powinienem wiedzieć, żebyś czuła się szczęśliwa?

Oczy Julie rozszerzyły się. W jego słowach kryła się niezaprzeczalna logika. Żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

Być może, interpretując sobie niewłaściwie jej milczenie, Scott uśmiechnął się.

— Wiem wszystko, co powinienem wiedzieć. Kiedy w to uwierzysz, zrozumiesz, że nic nie jest w stanie nas dzielić. Po raz pierwszy, patrząc na niego, Julie uświadomiła sobie, jaka siła drzemie pod tą spokojną powierzchownością. Lecz nie mogła zapominać o stojących przed nim przeszkodach.

— Nie jestem taka, jak sobie wyobrażasz.

— Ależ ja sobie nic nie wyobrażam. Biorę cię, jaką jesteś. Jesteś sobą. Jesteś moją Julie. Czekałem na ciebie przez całe życie, a teraz jesteś tu, ciałem i duchem, tak blisko, że mogę cię dotknąć. Tak blisko, że mogę cię kochać. Cóż jeszcze można dodać?

Na te słowa ciarki przeszły jej po plecach. W odpowiedzi pocałowała go ponownie. Niełatwo było utrzymać się na krawędzi, czując, jak on uparcie przywraca ją do życia, podczas gdy dla niej jedyną ucieczką wydawała się śmierć.

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął małą kopertę.

— Byłbym zapomniał. Mam tu coś, co cię zaskoczy. Biorąc kopertę z jego rąk zauważyła, że jest bardzo stara.

Najwidoczniej był to list wysłany i odebrany wiele lat temu. Wyglądał tak, jakby był przez długi czas noszony w czyjejs kieszeni.

Dopiero kiedy otworzyła kopertę i wyjęła zapisaną kartkę, przenikający ją do szpiku kości chłód powiedział jej, kto był nadawcą.

Zacząła odczytywać dziecięcy charakter pisma. *Drogi Scotty!*

Twój list otrzymałam w sobotę, tuż przed wyjazdem z cio-teczką na konie do East Hampton. Byłeś niegrzecznym chłopcem, nie odpowiadając mi tak długo, ale teraz Ci wybaczam, ponieważ Twój list był bardzo miły.

Mamusia kazała mi siedzieć w pokoju i porządkować moje przybory szkolne. Nienawidzę szkoły, bo dziewczynki są podle, a chłopcy głupi. Czy Ty też nienawidzisz szkoły? Jeśli tak, uciekniemy razem do Kanady lub Australii i nigdy więcej nie będziemy musieli tam chodzić.

Kiedy wreszcie przyjedziesz do Ameryki? Powiedz Twojej mamusi, żeby natychmiast przywiozła Cię z powrotem, bo chcę się z Tobą bawić, tak jak kiedyś w domu Twojej kuzynki.

Dzisiaj Gretchen idzie z mamusią kupować strój na swój debiut towarzyski. Zostanę sama porządkując swoje rzeczy, dopóki Jack nie wróci. Potem tatuś przyjdzie do domu i zjemy obiad. Mam nadzieję, że niania nie każe mi dzisiaj jeść tego wstrętnego groszku. Nienawidzę groszku. A Ty lubisz, nieznośny chłopaku?

Dziecinne pismo zlewało się przed oczyma Julie. Na stary papier listowy z jej inicjałami i zarysem profilu małej dziewczynki, jedna po drugiej spadały łzy.

Z gwałtownym szlochem przycisnęła list do piersi. Całe jej życie wirowało wokół niej, ciemny tunel, w którym niewinna dziewczynka jej wczesnej młodości tak długo błąkała się zagubiona.

A teraz, w rozdzierający serce sposób, tamto dziecko stanęło przed nią, wyprowadzone z mroków przeszłości przez Scotta.

— Co ci jest, Julie? Nie myślałem, że tak zareagujesz. Nie miałem zamiaru cię denerwować. Przepraszam, kochanie. Sądziłem, że po tylu latach uśmiejesz się z tego. Wybacz, proszę.

— To nie twoja wina — potrząsnęła beznadziejnie głową, niezdolna znaleźć słów na opisanie tego, co czuje. Oddając mu list, wydawała się prawdziwie wstrząśnięta.

— Dziwne — powiedział — czytałem ten list sto razy i nigdy nie przyszło mi do głowy, że któregoś dnia zostanie on skropiony twoimi łzami. Łzami ślicznej, młodej kobiety, która wyrosła z tamtej małej dziewczynki. Czas wyczynia takie dziwne sztuczki...

Szlochając rozpaczliwie, przyciągnęła go do siebie. Nagle wydał się jej jedyną szansą.

— Och, Scotty... Nie jedź! Proszę...

Poklepał ją pieszczotliwie, usiłując uciszyć jej rozterkę.

— Nie martw się. Muszę jechać, ale to nie będzie rozstanie. Jeśli nie rozdzieliło nas dwadzieścia lat, to na pewno nie rozdzieli nas Atlantyk: W każdym bądź razie, nie na długo.

Skinęła głową, zarzucając mu ramiona na szyję.

— Powiedz, że przyjedziesz do mnie na Boże Narodzenie — poprosił Scott. — Obiecuj mi.

— Przyjadę na pewno — przyrzekła. Uścisnęła ją mocniej.

— Będę za tobą tak straszliwie tęsknił...

Czując dławienie w gardle, pokiwała jedynie głową przytuloną do jego policzka.

Czas było wracać do domu. Wyszli z kolejki i Scott odwiózł ją na Park Avenue. Budynek był cichy. Świeciło się jedynie w skrzydle zajmowanym przez rodziców. Część domu, w której znajdował się jej pokój, pogrążona była w ciemnościach.

Na widok domu poczuła się spięta. Wyczuł to i przygarnął ją mocno.

— Odprowadzisz mnie na lotnisko? Chcę, żeby twoja buzia była ostatnią rzeczą, jaką zachowam w pamięci, zanim wejdę do samolotu.

— Tak, będę tam.

Podprowadził ją do drzwi i pocałował. Przywierające do niego dziewczęce ciało było ciepłe, miękkie i uległe. Z każdym mijającym dniem poznawał ją lepiej i bardziej pragnął.

Czuł jednak, że w jej żalu z powodu rozstania kryje się pierwiastek strachu przed wejściem do własnego domu. Było to dla niego aż nazbyt oczywiste.

— A zatem dobranoc — wyszeptał. — Do zobaczenia jutro. Popatrzył, jak znika we wnętrzu domu. W jej ruchach było

coś ze skradania się, jakby wchodziła do zamku zamieszkanego przez wilkołaka i bała się go zbudzić, żeby jej nie pożał. Zachowywała się więc cichutko jak myszka. W tym ułamku sekundy nie była tą Julie, którą znał, lecz obcą kobietą, znikającą w niezrozumiałej egzystencji.

Wrócił do samochodu i popatrzył raz jeszcze na ciemny dom. Zdawał się on kulić w sobie, masywny i złowieszczy w świetle księżyca.

W kieszeni czuł zmoczony łzami Julie list.

Co oni ci zrobili?, zastanawiał się w duchu. Co, u diabła, ci zrobili?

ROZDZIAŁ 35

Julie stała przy bramie na lotnisku Idlewild, z ręką w dłoni Scotta Montea.

Oboje byli smutni, lecz jednocześnie podekscytowani. Wiedzieli, że choć muszą się teraz rozstać, wkrótce znów się zobaczą. Miniony tydzień dodał ich związkowi nowej zażyłości, która wypełniła ich oczekiwaniem na przyszłość.

W oczach Julie, spoglądającej z oddaniem na człowieka, który w tak krótkim czasie stał się dla niej tak ważny, pojawiły się łzy.

— Jesteś taka piękna — powiedział Scott z podziwem i czułością. — Czy naprawdę muszę wracać do domu i oglądać tę twarz tylko w snach?

Pochyliła się i oparła głowę na jego piersi, ujmując obie jego dłonie.

— Tak bym chciała, żebyś został — jej głos brzmiał jak głos małej dziewczynki.

— Nie mów tak — rzekł, dotykając policzkiem jej włosów. — Nie rań mnie jeszcze bardziej. Skończy się na tym, że zostanę. A potem stracę pracę i wszyscy będziemy w kłopotcie.

Uśmiechnęła się z jego poczucia humoru. Lecz ból z powodu rozłąki sprawił, że zbladła.

— Nie chcę tu zostać sama bez ciebie. Boję się. Chcę być tam gdzie ty.

— Przecież przyjeżdżasz na Gwiazdkę — tak naprawdę nie rozumiał jej, nie rozumiał podłoża jej kryzysu. Lecz jego słowa odniosły pożądany efekt. Uspokoili ją.

— Tak, zobaczę cię na Gwiazdkę.

Głośniki zapowiadały właśnie jego lot. Scott spojrział w oczy dziewczyny i spoważniał.

— Nie martw się. Nie ma rzeczy niemożliwych. Czyż nie udowodniliśmy tego w ostatnim tygodniu?

Skinęła głową przez łzy.

— Osiem miesięcy temu byłem zwykłym człowiekiem wiodącym zwykłe życie. Nie miałem specjalnych wymagań, z wyjątkiem dobrej pracy, no i może któregoś dnia zwykłej kobiety za żonę. A teraz, popatrz na mnie. Czuję się jak dworzanin króla Artura. Zrobiłaś ze mnie księcia.

Zawsze byłeś księciem, pomyślała Julie ze łzami spływającymi po policzkach.

— Mam nadzieję, że doczekam dnia, kiedy będę mógł osuszyć te łzy, zamiast być ich przyczyną — powiedział miękko.

— Och, Scotty — przyłgnęła do niego całym ciałem. Nie mogła mu powiedzieć, jak cudownie jest czuć te łzy i jak cenny jest ból rozłąki połączony ze świadomością, że on chce ją znów zobaczyć i że będzie na nią czekał.

Pocałowali się. Był to długi, namiętny pocałunek, głębszy od wszystkich poprzednich. Po jej ciele rozlało się ciepło, ciepło niwelujące ból i zapewniające jej poczucie bezpieczeństwa.

W końcu niechętnie wypuścił ją z objęć.

— Będę pisał codziennie — obiecał.

— Będę czekać na listonosza — uśmiechnęła się. — Nigdy mi się to nie zdarzało, dopóki nie poznałam ciebie.

— Bądź szczęśliwa — powiedział, odsuwając się od niej. Dzięki tobie, pomyślała, machając mu na pożegnanie, z oczyma zalanymi łzami.

Nie przestawała machać, nawet kiedy zniknął za bramką.

Była tak zaabsorbowana rozstaniem ze Scottem, że nie pomyślała nawet, żeby obejrzeć się za siebie. Gdyby to zrobiła, zobaczyłaby ukrytego za filarem Johnny'ego Marrantee, z czarnymi oczyma utkwionymi w niej z ponurą intensywnością.

ROZDZIAŁ 36

11 sierpnia 1958

W Nowym Jorku była pełnia lata.

Pewnego parnego popołudnia na strychu Sama Carpentera zebrała się garstka osób zaproszonych przez Francie.

Była między innymi Dana ze swoją dotychczasową główną asystentką Barbarą Bettinger oraz Joel Gregg, wyśmienity fachowiec wiedzący wszystko o finansowaniu i zarządzaniu młodych przedsiębiorstw, który przed katastrofą, jaka przydarzyła się CompuTelowi, pełnił funkcję szefa zbytu.

Francie postanowiła nie dopuścić do bankructwa CompuTelu. Zleciła Lee Nugentowi, aby przeprowadził pokazową potyczkę z prawnikami Magnusa, starając się wszelkimi możliwymi metodami odwlec jak najbardziej proces sądowy. Firma kończyła działalność, zamykając konta ostatnich zawiedzionych klientów. Francie postanowiła jednak utrzymać nazwę CompuTel przy życiu. Miała ku temu własne powody. Powody, które zamierzała ujawnić dziś wieczór.

Barbara i Joel, co było zrozumiałe, szukali już nowej pracy, nadzorując jednocześnie likwidację kont CompuTelu. To samo odnosiło się do Dany, która odnowiła kontakt ze swoją Firmą w Connecticut, lecz obiecała pozostać przy Francie, jak długo będzie potrzebna.

Sam, podobnie jak Francie, znów znalazł się na lodzie. Jego twarz nie wyrażała jednak obaw, przeciwnie, był na niej wyraz tłumionego podniecenia.

Znajdowało się tu także dwoje ludzi, którzy pojawili się w tym gronie po raz pierwszy.

Francie przedstawiła ich.

— Chcę, żebyście poznali Terry'ego Gelmana i Quinna Metzlera. Są specjalistami od oprzyrządowania komputerowego. Przyszli na zaproszenie Sama. Quinn był z Samem w Korei. Terry pracuje obecnie z Quinem w New Jersey. Francie podała kawę. Wszyscy spoglądali na nią wyczekująco.

— Wiem, że zachodzicie w głowę, po co was tu poprosiłam — odezwała się wreszcie. — Nie będę was dłużej utrzymywać w niepewności. Zacznę od paru uwag na temat CompuTelu.

Przerwała, lustrując uważnie po kolei twarze zebranych. Rozsiedli się na kanapie, na starych fotelach i na poduszkach na podłodze. Wyglądali bardziej na przedstawicieli bohemy, zebranych po to, żeby sobie popić, niż na ekspertów z dziedziny biznesu i technologii.

— Z przyczyn prawnych — zaczęła — CompuTel został zmuszony do zaprzestania działalności. Żałujemy, naturalnie, że tak się stało, ponieważ szło nam doskonale. Niemniej jed-

nak, nie możemy rozwodzić się nad przeszłością. Dziś chcę porozmawiać o przyszłości.

Wszyscy wyglądali na zaskoczonych. Przecież CompuTel nie miał przyszłości. O czym ta Francie chce mówić?

— CompuTel — ciągnęła — był świetnym eksperymentem na wprowadzanie techniki komputerowej do biznesu. W krótkim czasie umożliwiliśmy średnim i dużym firmom skomputeryzowanie inwentarza i finansów, a przez to odjęcie z kosztów globalnych setek roboczogodzin. Nasz wysiłek został uwieńczony sukcesem, i to jest prawdopodobnie jedna z przyczyn, dla których popadliśmy w konflikt prawny z konglomeratem, który uważa, iż posiada patent na naszą własną inicjatywę.

W głosie Francie nie było śladu goryczki. Przeciwnie, był opanowany i suchy. W grancie rzeczy jej wystąpienie cechował imponujący, stalowy chłód.

— Pomimo sukcesu — mówiła dalej — firma nasza zawsze posiadała pewną słabość. Słabość ta była dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, sprzęt jest drogi. Kupno lub wdzierżawienie komputerów podnosiło cenę naszych konsultacji. Po drugie, jako że to my byliśmy w posiadaniu oprzyrządowania, klient musiał dostarczać nam swoje dane, a potem czekać na wyniki, bez możliwości dokonywania własnych obliczeń na bazie programu, którym mógłby operować samodzielnie. Innymi słowy, klient był nadal nieufny w stosunku do komputerów, ponieważ te pozostawały w rękach konsultantów. W przypadku pojawienia się problemów, aby uzyskać pomoc, musiał zdać się na łaskę konsultanta. Sumując, nigdy tak naprawdę nie postawiliśmy klienta twarzą w twarz z komputerem. Słuchacze byli wyraźnie zaintrygowani. Pierwsza odezwała się Dana.

— Ależ Francie, klienci byli zadowoleni z naszych usług. Byliśmy fachowcami nie mającymi sobie równych w tej dziedzinie. Skoro mieliśmy rezultaty, a mieliśmy, znaczyło to, że klienci byli usatysfakcjonowani.

— Masz rację, Dano, lecz tylko w dzisiejszym rozumieniu świata biznesu. Za parę lat technika komputerowa posunie się tak naprzód, że klient nie będzie usatysfakcjonowany rodzajem świadczonych przez nas usług. Nie będzie dłużej chciał ujawniać swoich danych osobom postronnym i czekać, aż oni je przeanalizują i rozwiążą jego problemy. Będzie chciał bezpośrednio wykorzystywać technikę komputerową i samemu kierować swoimi sprawami.

Dana milczała. Jej przenikliwy umysł już zgadywał, do czego Francie zmierza.

Jednak Lee Nugent, nie bardzo obeznany z komputerami, nie dostrzegął ukrytego sensu jej słów.

— Nie rozumiem, Francie. Założeniem CompuTelu było udostępnienie analitycznej mocy komputerów klientom, którzy inaczej nie mogliby z niej korzystać. To się wam udało. Nałożyliście niewygórowane opłaty i osiągnęliście efekty. Klienci uwielbiali was. Czego chcieć więcej? Ostatecznie klientów nie stać na własny sprzęt...

Francie uśmiechnęła się.

— I właśnie to zamierzamy zmienić, Lee. Lee wyglądał na zakłopotanego.

— Co masz na myśli?

— Zamierzamy dostarczyć klientowi komputer, na jaki go będzie stać i jaki będzie mógł sam obsługiwać.

W pokoju zrobiło się tak cicho, że słychać było przyspieszone oddechy gości.

— Niezupelnie nadażam — odezwał się Joel Gregg. — Czy mówisz o komputerze, jaki klient może wydzierżawić?

— Nie, mówię o komputerze, jaki klient może posiadać na własność.

Lee uśmiechnął się niedowierzająco.

— Z całym szacunkiem, Francie, czy nie sądzisz, że wyprzedzasz o ładnych kilkadziesiąt lat swoje czasy?

Komputery kosztują duże pieniądze, czyż nie?

— Kosztują, ale nie muszą — odparła.

Odwróciła się, wskazując gestem otaczające ich poddasze.

— Ci z was, którzy znają Sama i ten strych, zauważyli prawdopodobnie, że coś się tu zmieniło.

Dana i Joel pokiwali głowami. Główne pomieszczenie strychu wydawało się puste. Brakowało 9292, komputera, w którym Sam dłużył od czterech lat.

— Gdzie jest 9292? — spytał Joel.

— Pozwólcie za mną — powiedziała Francie. — Sam ma wam coś do pokazania.

Przeszli do kąta strychu, gdzie przykryty prześcieradłem stał jakiś przedmiot wielkości lodówki. Sam uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Nie odsłoń tego na razie — zaczął — bo nie chcę, żebyście się uprzedzili. To coś nie wygląda zbyt ładnie. W każdym razie, jeszcze nie teraz. Lecz zaobserwujcie, proszę, wymiary.

Zlustrował poszczególne twarze. Wszystkie wyrażały zainteresowanie.

— Przez kilka ostatnich lat — kontynuował — zastępowałem stopniowo elektronowe lampy próżniowe układami scalonymi. Jak niektórzy z was wiedzą, pierwsze tranzystory wynaleziono w roku 1947, lecz technika tranzystorowa w komputerach jest ciągle czymś nowym. Jednakże istnieją małe firmy badawcze, produkujące silikonowe chipy zwane półprzewodnikami, które posiadają ogromną moc obliczeniową i z godziny na godzinę są tańsze, ponieważ są łatwe w masowej produkcji.

Wskazał na podobny do skrzyni kształt pod prześcieradłem.

— Oto, co zostało z 9292. Ma w przybliżeniu jedną dwudziestą pierwotnych rozmiarów. A jego zdolność obliczeniowa i analityczna jest około dziesięć razy większa niż na początku. Wszystko dzięki układom scalonym i półprzewodnikom.

Przerwał, by jego słowa wywarły odpowiedni efekt.

— W tym miejscu muszę podziękować Quinnowi i Terry'emu za pomoc w przyspieszeniu tego procesu w ostatnich miesiącach. Musieliśmy użyć pewnych wpływów, żeby wejść w posiadanie układów scalonych, bez konieczności płacenia ceny rynkowej. Zawarliśmy też kilka nowych przyjaźni w biznesie tranzystorowym, przyjaźni, które mogą nam się przydać w przyszłym roku. Przedyskutowałem to z Francie i doszliśmy do niemal identycznych wniosków. Dał Francie znak, żeby kontynuowała.

— Krótko mówiąc — powiedziała Francie — Sam i ja uważamy, że za pomocą odpowiedniej technologii moglibyśmy produkować minikomputer o małych rozmiarach i niskiej cenie, na który stać by było tych, którzy stanowili klientelę CompuTelu, to znaczy banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, kupców detalicznych, firmy inwestycyjne i tak dalej.

Po chwili przerwy głos zabrał Joel Gregg, biznesmen w każdym calu.

— Jak szybko, według ciebie, można by uruchomić produkcję?

— Pytanie za sto punktów — odparła Francie. — Wiemy, że to może być zrobione wkrótce. Potrzebujemy jedynie wystarczającego kapitału inwestycyjnego do sfinansowania całej operacji i utrzymania ciągłości produkcji do momentu, aż produkt nie wejdzie na rynek. To duże ryzyko. Dlatego chcemy was zapytać, czy jesteście gotowi podjąć to ryzyko razem z nami. Będzie to oznaczało ogromną robotę i szcątkowe płace, przy-

najmniej na razie. Będziemy pracować dla czegoś, co może się powieść lub nie. Chciałabym, żebyście zdawali sobie z tego sprawę i dokładnie przemyśleli decyzję.

Przebiegła wzrokiem po twarzach zebranych.

— I jeszcze jedno. Powodem, dla którego właśnie wy, a nie kto inny, znaleźliście się tutaj, jest fakt, że jesteście jedynymi ludźmi, którym Sam i ja możemy całkowicie zaufać. Cała operacja będzie ściśle tajna. Sam, Quinn i Terry będą odpowiedzialni za badania i rozwój. Reszta będzie zbiorowo pracować nad programowaniem, organizowaniem, sprzedażą, ubezpieczeniem, sprawami patentowymi, krótko mówiąc nad wszystkim, co łączy się z tworzeniem firmy od podstaw. Do udziału w operacji nie zostanie dopuszczony nikt z zewnątrz, o ile jego kandydatura nie zostanie zaakceptowana przez nas wszystkich. Tak więc, moi drodzy, jeśli kiedykolwiek odczuwaliście nieprzepartą potrzebę przeżycia przygody z gatunku płaszcza i szpady, macie ku temu okazję.

Wyprostowała się z uśmiechem na krześle.

— Skończyłam. Jeżeli macie jakieś pytania, słucham. Ku jej zaskoczeniu nikt nie otworzył ust. Uniosła brwi.

— Czy chcecie zadecydować od razu?

Przez pokój przeszedł pomruk aprobaty, niektórzy kiwali głowami. Znali Francie i wiedzieli, że nie rzuca słów na wiatr. Pamiętali, czego dokonała z CompuTelem. I znali Sama.

— A więc — zapytała — ilu z was w to wchodzi? Wszystkie ręce uniosły się w górę.

— W porządku — uśmiechnęła się. — Wygląda na to, że mamy załogę. Jeżeli statek zatonie, wszyscy razem pójdziemy na dno. Jeśli utrzyma się na powierzchni, odbędziemy wspólnie diabelnie długą podróż.

W godzinę później wszystkie szczegóły były dopracowane. Wszyscy obecni zrezygnują ze swoich bieżących zajęć i przyjdą pracować dla CompuTelu. Nie będzie formalnej listy płac. Wszystko będzie robione w największej tajemnicy. Miejscem pracy będzie wynajęty magazyn w Brooklynie. Biuro CompuTelu przy Cedar Street pozostanie otwarte w charakterze parawanu, sygnalizując brak jakiegokolwiek działalności firmy. Dla świata zewnętrznego CompuTel będzie dogorywającą firmą, duchem.

Francie, Sam i Dana przeleją wszystkie środki uzyskane z dotychczasowej działalności CompuTelu na konto nowego

przedsięwzięcia. Nie było tego dużo, lecz wystarczająco, by utrzymywać biuro przy Cedar Street i wynająć magazyn.

Jeśli chodzi o rzeczywiste finansowanie projektu, Francie zamierzała nakłonić do tego skorych do podjęcia ryzyka kapitalistów. Oczywiście dopiero wtedy, kiedy prototyp będzie już gotowy. Ufała, że będzie w stanie przyciągnąć dostateczne fundusze, żeby wprowadzić produkt na rynek.

Zebranie zakończyło się o pierwszej nad ranem. Kiedy wszyscy wyszli, Francie oparła się o poduszki starej kanapy i westchnęła.

Sam popatrzył na nią.

— Jesteś piękna, kiedy jesteś szalona. Uniosła brwi, autentycznie zaskoczona.

— Czy wyglądam na szaloną?

— Szalona to zbyt słabe słowo. Nie chciałbym natknąć się na ciebie w jakiejś ciemnej uliczce, gdy wyglądasz tak jak teraz.

Francie uśmiechnęła się, podnosząc na niego wzrok.

— Przecież to nie ty doprowadziłeś mnie do takiego stanu. Nie musisz się bać.

Wstała i zbliżyła się do niego. Kiedy przytuliła się, Sam wyczuł, że emanuje z niej coś podniecającego i niebezpiecznego, jak ciche brzęczenie milionów woltów prądu elektrycznego w niewinnie wyglądającym drucie.

Przyciągnął ją bliżej, dziwiąc się, jak takie delikatne i kruche ciało może zawierać tak dużo skoncentrowanej siły.

Potem dotknął wargami jej ust i jego myśl zamieniła się w oszałamiającą przyjemność.

Dziewczyna w jego ramionach była dla niego teraz bardziej niż kiedykolwiek tajemnicą. Lecz kimkolwiek była i do-
kądkolwiek zmierzała, dzisiejszej nocy należała do niego.

Wziął ją delikatnie na ręce i zaniósł do sypialni.

ROZDZIAŁ 37

28 września 1958

Była druga nad ranem.

Apartament oświetlony był jedynie łuną bijącą od znajdującej się trzydzieści pięter niżej ulicy na Upper East Side.

Odległe odgłosy ruchu ulicznego mieszały się z cichą muzyką. Meble i dekoracje na ścianach majaczyły niewyraźnie w półmroku, niczym pogańskie ikony towarzyszące jakimś tajemnym obrządkom.

Od strony łóżka dobiegały jęki i westchnienia, których brzmienie było jednoznaczne.

Dziewczyna była naga. Kilka chwil temu, w świetle zgaszonej teraz lampki, odstawiła przed wygłodniałymi oczyma mężczyzny mistrzowski striptiz, pozbywając się ubrania w niezwykle prowokacyjny sposób. Światło lampki odbijało się złociście na delikatnej skórze, kiedy dotykała lekko majtek, zsuwając je w rytm muzyki na uda i kiedy leniwą pieszczotą powolnych palców rozluźniała zapięcie biustonosza.

Rozbierając się gładziła zmysłowo poszczególne części garderoby na ciele, sprawiając wrażenie, że kocha się sama z sobą. Jej dłonie zataczały małe koła na skórze nad jedwabnymi majtkami, zanim je zrzuciła, poruszając przy tym zapraszająco biodrami.

Skłoniła go, żeby rozebrał się pierwszy, tak by mogła obserwować reakcje jego ciała na jej taniec. Jej oczy prześlizgiwały się po nim, podziwiając tężyznę fizyczną, lecz za każdym razem wracały zafascynowane do penisa, sztywnego i drgającego w rytm jej wyuzdanych ruchów.

Zanim zdążyła pozbyć się wszystkich fatalaszków, był już tak wściekle napalony, że pociągnąłby ją na siebie siłą, gdyby nie rozumiał, iż to powolne obnażanie się było grą wstępną, która ją podniecała. A on chciał, żeby to zbliżenie było dla niej taką samą przyjemnością jak dla niego.

Wreszcie zgasiła światło i podeszła do niego.

— Maleńka — zamruczał.

Na tym etapie zażyłości wiedział już, że jest z natury dziewczyną małomówną. Jednak nieliczne wypowiedane przez nią słowa były tak przesiąknięte czystym erotyzmem, że wywoływały u niego pierwsze dreszcze orgazmu.

Wpełzła na niego i pocałowała go powoli, wsuwając długi, śliski język w jego usta. Jej palce dotykały lekko jego ramion i przesuwały się po piersi do brzucha, na tyle blisko penisa, by go podniecać nie stykając się z nim bezpośrednio.

Kiedy objęła kolanami jego biodra, poczuł, że jej ciepły, wilgotny seks zawisł nad jego naprężoną męskością.

— Mmmm — mruzczała jak kotka — lubię cię takiego.

Opadła na niego całym ciałem. Poczul swój gorący, napięty członek, drgający pod ciężarem jej płaskiego brzucha. Uśmiechając się chłodno, całowała jego oczy i policzki, pocierając go jednocześnie swoim kocim ciałem.

Znów mruknęła pieszczotliwie, wsuwając język w jego usta, i po raz drugi, tym razem z aprobatą dla podrygującego członka. Byli już oboje maksymalnie podnieceni i gotowi do stosunku, ale ona chciała go jeszcze trochę podrażnić. Była świadoma tego, jak potężną bronią jest jej ciało. Kiedy była ubrana, broń ta maskowała się sprytnie pod chłodnym sposobem bycia. Sprawiała wtedy wrażenie zamkniętej w sobie, a nawet bezbronnej. Poznawało się, jaką naprawdę jest kobietą, dopiero kiedy była naga, prowokacyjna i triumfująca w swej zmysłowości.

Teraz kucnęła nad nim. Jej słodki seks utrzymywał nadal swój minimalny dystans, lecz ręce odnalazły sztywny penis i zaczęły go pieścić. Słyszał jej niewyraźny szept, gardłowe pomruki zadowolenia, kiedy szczupłe palce zaciskały się na twardym trzonie. W pewnym momencie uświadomił sobie, zmieszany, że dziewczyna wprowadza go w siebie. To, co zabawiało się jego członkiem było nie tylko palcami, lecz także wargami. Sromowymi. Wpychała go w siebie centymetr po centymetrze, potem wyciągała, ugniatała i gładziła jego koniuszek, wślizgiwała go na powrót w siebie nieco głębiej, drażniąc go swoją mistrzowską grą tak, że nie sposób było odróżnić, co jest palcami, a co kobiecym seksem.

— Uch... och... — mruzczała, kiedy nie mogąc opanować podniecenia zaczął ją mozolnie posuwać. — Nie tak prędko...

Na jej wargach igrał uśmieszek. Nie przestawała się z nim droczyć, przymilając się i prowokując, wpuszczając go w siebie za każdym razem troszkę głębiej, szydząc z niego ciałem, które posiadało go, samo jednocześnie umykając, aż nie mógł tego dłużej wytrzymać.

Chwycił ją natarczywymi rękoma, przytrzymał w pasie i wepchnął się w nią do końca, nie zwracając uwagi na jej protesty. Wydała cichy okrzyk, pełen udawanej trwogi i jawnej przyjemności. Była to także część jej gry, gdyż wiedziała, że to go podnieca.

Pograżony w niej penis pracował szybko. Reagowała jękami i krzykami, hamowanymi tajemniczym poczuciem powściągliwości (była naprawdę bardzo spokojną dziewczyną), lecz przez to jeszcze bardziej zmysłowymi, gdyż brzmiały jak prze-

pełnione poczuciem winy szepty, nakierowane na spenetrowanie źródła jego żądz i rozpalenie go do czerwoności. Trudno było przy niej natychmiast nie szczytować. Rozkosz z podniecania go była tak perwersyjna, że nasienie powstrzymywało się na siłę, by nie oddać się od razu tym zgłodniałym lędzwiom. Starał się myśleć o czymś innym, żeby nie skupiać się na tym, co z nim wyprawiała.

To nie było takie trudne. Miał wiele pomysłów, wiele planów, każdy z nich na swój sposób niemal tak ekscytujący jak kobieta. Świat czekał na to, żeby go podbić, ale nie dawał się tak łatwo i chętnie jak ta zmysłowa dziewczyna. Skąpił swoich zaszczytów, a batalia o ich zdobywanie była bardziej wyrafinowana, aniżeli przyjemność płynąca z wypie-przenia tej chętnej dziewczyny.

Lecz ona była częścią tej batalii. Jej piękniejszą stroną. Jej ciało, szept, pieszczoty, stanowiły część tego większego wyzwania, jakim było dotarcie do szczytu.

I choć myśl o przyszłych wpływach i władzy była mu miła, nie mógł się na niej dłużej skupić. Przeszkadzały w tym jej ręce, penetrujące jego ciało i odkrywające z niezawodnym instynktem jego najczulsze punkty. Nie tylko te, które już znała z kilku wcześniejszych schadzek, lecz również nowe, których istnienia nie był świadom, dopóki ich teraz nie dotknęła.

Szczupła dłoń przesuwiała się powoli wzdłuż wewnętrznej strony jego uda, skradała się obok pulsujących jąder wzdłuż biodra do brzucha, by w końcu musnąć pępek, wywołując u niego potężny, nieoczekiwany dreszcz. Sprytny głosik wciąż gruchał przymilnie.

— No chodź... Jeszcze troszeczkę... Och! Kochany.. Kiedy wepchnął się w nią mocniej, usłyszał jęk zabarwiony urywanym chichotem rozkoszy. Kiedy odchyliła się w tył, widział jej drgające w półmroku piersi i wspaniałe zarysy podkurczonych ud. Gdy poruszała śliczną główką w przód i w tył, puszyste, rozpuszczone włosy tańczyły na jej ramionach i plecach. Była teraz w swoim żywiole, mobilizując wszystkie talenty w jedną wielką symfonię spółkowania. Po to żyła.

— Mmmm... och! Zaczekaj... Jeszcze...

Chciała więcej, bez końca, chciała, żeby był twardy przez całą noc. Lecz to był już finisz. Nadchodziła ostatnia fala, gorąca i łaskocząca, i wiedział, że nie jest już w stanie Jej powstrzymać. Zbyt dużo było tej nagości, tych miłosnych szeptów, tych palców, ust, rozkosznej pracy jej seksu...

Przytrzymał ją za biodra i pchnął najgłębiej, jak mógł. Wstrząsnął nim wielki spazm, a ona zadrżała jak liść, gdy sperma buchnęła w nią długimi, gorącymi falami. Jej palce trzepotały z rozkoszy na jego ramionach, brzuch i biodra dygotały w akompaniamencie gardłowych jęków.

Potem skuliła się na jego piersi, a on czubkami palców gładził jej pośladki, plecy i kark, delektując się perłową gładkością leżącego na nim ciała.

Leżeli tak przez kilka czarownych minut. Później zaczął się z niej stopniowo wycofywać. Równocześnie ona zaczęła również wycofywać się w siebie, chowając się za parawanem chłodu i stateczności. Poklepała go w podziękowaniu za otrzymaną przyjemność, lecz nie była to już pieśczoła. Znów była wyobcowana, niezależna, zaabsorbowana wyłącznie sobą. Zachowanie sprzed kilku minut było jedynie grą, wyrafinowaną grą, mającą na celu go podniecić. Nie było w niej uczucia. Tylko pożądanie, a może coś zimniejszego niż pożądanie.

Patrzył, jak znika w łazience. Zapaliło się światło. Usłyszał płynącą z kranu wodę. Kiedy wróciła, była ciągle naga, lecz jej ruchy nie były już zmysłowe. Były naturalne, płynne, energiczne.

Usiadła na krawędzi łóżka, wkładając pończochy. Gdy podniosła się, żeby poszukać majtek, widok pończoch w zestawieniu z nagim ciałem podniecił go niemal do tego stopnia, że miał ochotę pociągnąć ją z powrotem do łóżka. Włożyła majtki, potem skąpy biustonosz. Ani razu nie spojrzała na niego. Myślała prawdopodobnie o czekającej ją jeszcze dziś wieczorem pracy. Była ostatnio okropnie zapracowana. Nawet wieczorem trudno jej było się wyrwać, żeby się z nim spotkać.

Znalazła halkę, ubrała ją, a na nią gustowną, luźną sukienkę w pastelowym kolorze. Zebrała porozrzucane spinki do włosów, znów poszła do łazienki i stanęła przed lustrem. Upięła włosy z tyłu głowy, poprawiła makijaż i przyjrzała się sobie krytycznie.

Później wróciła do niego. Usiadła na brzegu łóżka i uśmiechnęła się.

— Kiedy się znów odezwiesz? — spytał.

— Kiedy będę miała coś dla ciebie.

— Nie wcześniej?

— Może. Jeśli będziesz grzecznym chłopcem.

Przez chwilę milczeli. Dotknęła palcem jego nosa, potem brody, później brodawki. Zatoczyła wokół niej kółko, po czym przesunęła dłoń w dół, do penisa. Już miała wziąć go do ręki, gdy ją powstrzymał.

— Chciałbym, żebyś była bardziej precyzyjna w niektórych sprawach.

— W jakich sprawach? — mała dłoń ciągle domagała się jego penisa. Nadgarstek naprężył się lekko w jego uścisku.

— Odnosnie do terminu. Jak długo.

— Twardy... twardy orzech do zgryzienia — uśmiechnęła się.

Jej dwuznaczność była zamierzona. Odnosiła się zarówno do jej misji, jak i do znajdującego się ponownie w stanie erekcji penisa.

— Wiem — przestał nalegać. Naciskanie na nią nie miało sensu.

— Nie mogę zrobić więcej niż robię — powiedziała. — Wszystko jest takie niepewne, chaotyczne. Sprawy z dnia na dzień przybierają inny obrót. Poza tym, nie jestem dopuszczana do wszystkiego. Są rzeczy, o których mi nie mówią. Zastanawiał się, czy może jej wierzyć.

— Ona jest sprytna, prawda? — zapytał.

— Tak. Bardzo sprytna.

Zadzwoń do mnie we wtorek. Niezależnie od tego czy będziesz miała jakieś informacje, czy nie — uśmiechnął się.

— Lubię słyszeć twój głos.

Pokiwała w milczeniu głową.

Zerknęła z pewną nostalgią na jego członek, westchnęła i energicznie wstała.

— Pamiętaj — ostrzegł ją. — Nigdy nie dzwoń do mnie do pracy. Nigdy.

Skwitowała tę kwestię wzgardliwym wzruszeniem ramion. Jakby nie wiedział, że może mieć do niej pełne zaufanie.

Otworzyła torebkę i wyjęła okulary. Były zawsze pierwszą rzeczą, jaką zdejmowała i ostatnią, jaką wkładała. W okularach na nosie była zupełnie inną kobietą. Stanowiły nieodłączny element chłodnej, beznamiętnej maski, która okazywała się niezwykle przydatna w środowisku pracy.

— Dobranoc — powiedziała.

Skinął niechętnie głową. Myśl o jej odejściu była mu wstrętna, z drugiej jednak strony rozumiał, że nie może być zbyt długo nieobecna w pracy. Jedna nieusprawiedliwiona nieobecność może stać się jej zgubą. I jego także.

— Dobranoc, Mato Hari — odpowiedział.

Uśmiechając się powściągliwie z jego żartu, zabrała płaszcz i wyszła z apartamentu.

ROZDZIAŁ 38

5 marca 1959

Francie poderwała się nieprzytomnie na łóżku.

Początkowo nie wiedziała, gdzie jest. Zaspiane oczy wpatrywały się w pogrążone w półmroku ściany nie rozpoznając ich.

Przez chwilę wydawało jej się, że jest w swojej sypialni w domu w Pensylwanii. Zapomniała o upływie czasu i zdawało jej się, że słyszy dobiegający z kuchni głos mamy rozmawiającej z ojcem.

Przymykając oczy, poczuła, że wracają dawne czasy. Rozespiane ciało zaczęły wypełniać wspomnienia o tym, gdzie znajdowały się stare ściany i okno wychodzące na podwórze, na którym leżał jej rowerek i zabawki. Czowała bezpieczeństwo domu. Dryfowała na powrót w kierunku snu, przekonana o tym, że kiedy się obudzi, dolatywać będzie zapach kawy i śniadania, a mama będzie czekała na nią ze swym wyrozumiałym uśmiechem i łagodnymi rękoma.

Lecz senność zaczęła przemijać i Francie uzmysłowiła sobie, gdzie jest.

Popatrzyła na ściany sypialni. Zniknęły gdzieś obrazy w ramach i pluszowe niedźwiadki z dzieciństwa. Te ściany były gołe. Zniknęło biurko, przy którym jako dziewczynka odrabiała lekcje. W tym pomieszczeniu znajdowała się jedynie szafa i duży segregator na różne dokumenty.

Odwróciła się i ujrzała śpiącego obok niej Sama. Czowała się zdezorientowana i wyprowadzona z równowagi.

Zapragnęła dotknąć go, może przygarnąć do piersi. Nie chciała jednak zakłócać jego snu, popatrzyła więc tylko na niego przez chwilę, po czym wysliznęła się z łóżka i przeszła na palcach do salonu.

Sen był ostatnio drogocennym towarem, którego brakowało zarówno im, jak i ich współpracownikom. Wszyscy sypiali co najwyżej pięć godzin na dobę, całymi dniami tyrając w gorączkowym pośpiechu.

A naj ciężej pracowała Francie.

Zmuszona była scedować większość obowiązków związanych z zakończeniem nowego projektu na Joela Gregga. Sam był odpowiedzialny wyłącznie za komputer. Ona natomiast poświęciła się bez reszty tworzeniu programu, który umożliwi maszynie rozumienie instrukcji i przetwarzanie danych.

Program wymagał od niej maksymalnego wysiłku intelektualnego. Ewentualny operator komputera, osoba przeszkolona w ciągu kilku krótkich godzin, jak używać maszynę w codziennej pracy, nie będzie miał zielonego pojęcia o tym, jak ogromnej wyobraźni i dokładności wymagało dopracowanie szczegółów tak, by wszystko funkcjonowało bezbłędnie.

Sam i Dana, będąc sami ekspertami od programowania, szczerze powiedzieli Francie, że jej program jest dziełem geniusza, innowacją, która uczyni ją sławną na cały świat. Lecz Francie nie miała czasu, by chełpić się tym, czego już dokonała. Było jeszcze dużo do zrobienia. Termin ukończenia prac nad komputerem zbliżał się z każdym dniem, a do tego czasu program musi także być gotowy.

Pracowali przez siedem dni w tygodniu. Nikt nie brał wolnego. Jedyne w niedziele zespół pojawiał się w magazynie dopiero około południa. To oznaczało, że w sobotni wieczór wszyscy mogli zażyć w miarę normalnego relaksu.

Francie spędzała wszystkie wieczory z Samem. Wracali razem po pracy na jego strych, jedli skromną kolację, kochali się, a potem leżeli w milczeniu, przytuleni do siebie.

Wyczerpani, zasypiali wcześnie. W chwilę później, tak się przynajmniej Francie zdawało, budziła się. Senność pierzchała szybko, kiedy uświadamiała sobie, że noc minęła i że zaraz zadzwoni budzik. Wstawała przed Samem i nastawiała kawę, po czym wskakiwała pośpiesznie pod prysznic i ubierała się w błyskawicznym tempie. Znow była napięta jak struna i gotowa do szaleńczego wyścigu z nadchodzącym dniem.

A słaba kobietka, która nocą kulila się w silnych ramionach Sama, odchodziła w zapomnienie, przestawała istnieć. Pojawi się ponownie po kolejnym dniu katorżniczej harówki, dniu, który przybliży ją o krok do finiszu.

Tak właśnie wyglądało życie Francie. Nigdy jednak nie pomyślała o tym, by zakwestionować jego straszliwe wymogi. Jej dni trawiła praca, rekompensowana gorącymi momentami przyjemności w krótkich godzinach nocy. Czuła, że tej nocy zbudziło ją coś istotnego. Normalnie sypiała jak zabita i nie budziła się, o ile nic jej nie męczyło. I choć żal jej było utraconych chwil snu, usiadła w salonie, żeby się zastanowić, co mogło stanowić przyczynę nagłego przebudzenia.

Popatrzyła na spoczywające w kącie resztki tego, co kiedyś nazywało się 9292. Teraz przypominały wybebeszone pudło, z którego różne druty i obwody wysypywały się jak trociny z rozprutej lalki. Plądrowano biedaka bezwstydnie, w celu ukończenia prototypu nowego, ciągle bezimiennego komputera.

I teraz Francie zrozumiała, co ją obudziło.

Produkt, nad którym ona i jej koledzy harowali w pocie czoła, nie miał jeszcze nazwy.

Zastanawiała się od dawna, jak go nazwać. Dyskutowała tę kwestię z Samem, Daną, Lee, Joelem i innymi, lecz bez rezultatu. Wszyscy sugerowali nazwy numeryczne, takie jak ERA 1103, lub akronimy, jak UNIVAC. Lecz Francie miała niejasne przeczucie, że takie nazwy są z gruntu niewłaściwe. Będą raczej hamować sprzedaż produktu, aniżeli w niej pomagać.

Lecz nie przychodziła jej do głowy żadna alternatywa.

Siedziała teraz w ciemnościach, po raz tysięczny przeszukując umysł. Jak powinien nazywać się komputer? Nie może to być nic przemądrałego i naukowego, lecz raczej coś realnego, bliskiego i przyjaznego. Biznesmeni byli już wystarczająco przerażeni techniką komputerową jako taką. Nazwy typu ENIAC czy IBM 702 odstraszały ich jeszcze bardziej i powodowały, że zaczynali myśleć o ogromnych wydatkach i skomplikowanej procedurze obsługi.

Francie myślała intensywnie. Senność ulotniła się już całkowicie, ustępując miejsca koncentracji. Nie doznała jednak żadnego objawienia.

Położyła się na kanapie, usiłując posegregować myśli. Ni stąd, ni z owąd przypomniała sobie dom w Pensylwanii, który tkwił w jej świadomości, kiedy się przed chwilą przebudziła.

Uzmysłowiła sobie, że to przebywanie z Samem przywołało w pamięci tamte dni. Poczucie przynależności i bezpieczeństwa, jakie jej zapewniał, miało swe odbicie we wspomnieniu dzieciństwa, z czasów, kiedy świat jawił jej się w osobie kochającej mamy, której ciepłe ramiona czekały na nią co rano po przebudzeniu i tuliły ją, kiedy ubrawszy się w dżinsy i koszulkę wychodziła się bawić lub pomagać tatusiowi w warsztacie.

Tak, to był szczęśliwy i beztroski okres. I był o całe lata świetlne oddalony od tego zwariowanego, pełnego stresów Świata, w jakim obecnie żyła. Jakim cudem zaszła tak daleko? Co zgubiła po drodze? Kiedy opuścił ją na dobre spokój dawnego życia?

Pomyślała o potwornych dniach poprzedzających śmierć matki. Chorowała bardzo długo, lecz nigdy się nie skarżyła. Siadywała w milczeniu w fotelu w salonie i czytała. Niekiedy rozmawiała z tatusiem, ukrywającym swoją udrękę tak dobrze, że Francie nie domyślała się, przez co przechodził.

Oboje przywykli do myśli, że ich życie z mamą dobiega końca. A Francie naśladowała dzielnie ojca, znosząc z pokorą to, co nieuniknione i nigdy o tym nie mówiąc. Cicha agonია, którą wszyscy przeżywali, związała ich ze sobą. Była walką ze śmiercią, walką, której nie zamierzali zaprzestać, choć stawali się coraz chudszy, coraz słabszy, coraz bardziej zdesperowani.

Potem, któregoś dnia, tak po prostu, matka odeszła. Przyjechała karetka, później przedsiębiorca pogrzebowy. Zawiadomiono rodzinę i przyjaciół, pastor wygłosił mowę pochwalną, wszyscy udali się na cmentarz, po czym Francie i tatuś wrócili sami do domu, by stawić czoła jego pustce.

Dopiero wówczas ból uderzył ich z całą mocą. Teraz, kiedy opadło sztuczne podekscytowanie przygotowaniami do pogrzebu, gośćmi i nabożeństwem żałobnym, zostali zupełnie sami, z pustką pozostawioną przez mamę. Przez kilka tygodni żyli w upiornym milczeniu, którego Francie nigdy nie zapomni. Przemowny ból był najgorszą rzeczą, jakiej doświadczyła. Miała wrażenie, że życie jest niemożliwe.

Potem, szczęśliwym trafem, nadszedł ratunek.

Mieszkający po sąsiedzku farmerzy Maguire'owie mieli owdowiałą ciotkę, która niedawno wyemigrowała z Irlandii i wegetowała u amerykańskich krewniaków, nie mając nic konkretnego do roboty. Była gospodynią domową bez zawodu. Jej

dzieci dorosły i pozakładały własne rodziny, zamieszkując z dala od niej. Nazywała się Mollie i wściekała się na bezczynność.

Ktoś zaproponował, żeby zamieszkała z Francie i jej ojcem jako gospodyni i kucharka. Ponieważ otrzymywała rentę po mężu i posiadała trochę oszczędności, zaakceptowała nędzną pensję, jaką był jej w stanie płacić Mac Bollinger. Polubiła małomówność Maca i szybko pokochała jego córkę.

Mollie uwielbiała narzekać. Miała żal do Ameryki, krewnych, swojego zaawansowanego wieku i wszystkiego, co tylko przychodziło jej do głowy. Lecz pod tymi utyskiwaniami, wyrażanymi cudownie śpiewnym irlandzkim akcentem i z użyciem prywatnej frazeologii, była kobietą o wielkiej sile i energii. Jako jedyna potrafiła zastąpić Helen Bollinger w sposób, który pocieszył Francie i jej ojca.

Pod jej egidą dom ponownie ożył. Pracowała w ogrodzie, dziergała dla Francie i Maca swetry i szale z wzorami ze Starego Kraju. Gotowała wołowinę z kapustą i irlandzką duszoną baraninę z kartoflami i cebulą, a kuchnia stale lśniła czystością. Nauczyła się sztuczek Helen na wyprowadzanie Maca z letargu i zaprzęganie go do jakiejś pożytecznej pracy. Nie mogła co prawda pomagać Francie w lekcjach, gdyż sama ledwo umiała czytać, ale to nie było konieczne, jako że oceny celujące były u dziewczynki na porządku dziennym. Umiała za to dbać o wygląd Francie i pomogła jej wyrosnąć z niezdarnej czternastolatki na piękną i dobrze ubraną licealistkę.

Mollie w subtelny sposób wypełniła ogromną lukę w życiu dwojga pogrążonych w smutku i zagubionych ludzi. Poczucie humoru, nieustanna ruchliwość i zrozumienie ich problemów czyniły z niej niezastąpiony dodatek do ich egzystencji. I, choć nigdy się do tego nie przyznała, związek z Francie i jej ojcem łagodził jej własny smutek z powodu utraty męża i odległości dzielącej ją od dzieci.

Był taki okres, kiedy Francie bawiła się myślą o odegraniu roli swatki i „wydaniu” tatusia za Mollie. Była za młoda, by zrozumieć istniejący między nimi układ. Mac nadal kochał Helen i ani myślał o poślubieniu innej kobiety. Mollie uświadomiła to sobie w ciągu pierwszej spędzonej z nim godziny i przyjęła na siebie rolę siostry, taką która, jej zdaniem, była jedynym sposobem na ulżenie jego cierpieniu.

Po wyjeździe Francie do college'u poczucie przyzwoitości nakazało Mollie wyprowadzić się od Maca. Zamieszkała na

powrót u krewnych. Nadal jednak przychodziła codziennie sprzątać, gotować, opierać i obszywać. Czytywali wspólnie listy Francie, a raz, kiedy Mac jechał do Filadelfii spotkać się z córką, Mollie zabrała się z nim. Tworzyli dziwną parę: Mac wystrojony w garnitur, który Mollie wygrzebała gdzieś za okazijną cenę i Mollie w ekstrawaganckim kostiumie. Kostium ten zaszokował Francie, która nigdy nie widziała jej w niczym innym poza fartuchem.

Cieszyła się, że tatuś miał Mollie. Kiedy ona przebywała z dala od domu, Mollie była dla niego łącznikiem z rzeczywistością i sprawiała, że stał obunóż na ziemi. Często właśnie Mollie odbierała telefon, gdy Francie dzwoniła do domu. Szorstki, irlandzki głos był najwspanialszą muzyką, muzyką domu.

Potem Mollie umarła.

Francie długo nie przyjmowała tego faktu do wiadomości, tym bardziej że nie uczestniczyła w pogrzebie, a wiadomość o jej śmierci dotarła do niej po drucie telefonicznym z odległości setek mil. Dopiero sekcja zwłok wykazała, że Mollie od lat cierpiała na ciężką cukrzycę, o czym nigdy nie poinformowała Maca ani Francie. Jej koniec nastąpił miłosiernie nagle, lecz Francie dowiedziała się, że przez te wszystkie lata musiała znosić straszliwe bóle.

Wtedy też zrozumiała prawdziwą przyczynę stałych, lirycznych narzekań Mollie. W ten sposób przynosiła sobie ulgę w autentycznych cierpieniach.

Po śmierci Mollie Mac został sam. Zatrudniał dorywczo do sprzątania jakąś miejscową kobietę, lecz sam gotował i robił zakupy. Choć nigdy tego nie okazał, prawdziwie bolał nad utratą Mollie, która stanowiła dla niego namiastkę ciągle uwielbianej żony. Podczas odwiedzin Francie często wspominali Mollie. Oboje byli jej wdzięczni za te bezcenne lata, jakie im podarowała.

Teraz, siedząc w salonie, Francie uśmiechnęła się na myśl o jej ciętym poczuciu humoru i niewzruszonej lojalności w stosunku do Maca i jego córki. Warto było przeżywać na nowo ból spowodowany jej śmiercią choćby po to, by przypomnieć sobie energię i odwagę, z jaką wkroczyła w ich życie i uporządkowała je, zaprowadzając na powrót normalność w osieroconym przez Helen domu.

Francie poczuła, że ogarnia ją senność. Wstała z kanapy, wróciła cichutko do sypialni i ułożyła się u boku Sama. Choć

nie rozwiązała problemu nazwy dla nowego komputera, rozmyślania o Mollie, tatusiu i domu sprawiły, że poczuła się lepiej.

Sam wyciągnął przez sen ramię i przygarnął ją do siebie. Była mu wdzięczna za ten odruch, gdyż przebywanie z nim napełniało ją takim samym wewnętrznym ciepłem jak wspomnienie domu. Emanujący z niego spokój i pewność nadawały pewnej stabilności ich szaleńczemu, pośpiesznemu życiu z dnia na dzień. W tym niezachwianym spokoju Sama odbijały się, jak w kryształowym lustrze, drzewa i pastwiska jej dzieciństwa oraz otoczone lasami ukochane jezioro jego młodości.

Już zasypiała, kiedy uderzyła ją myśl, że wspomnienie Mollie Maguire nie przyszło jej do głowy przez zwykły przypadek. Wiązało się z jej rozmyślaniami o komputerze i o tym, jak przekonać do niego uprzedzonych biznesmenów, odbierających komputery jako bezosobowe, elektroniczne mózgi, pozbawiające człowieczeństwa wszystko, z czym się zetkną.

Pomyślała o komputerze zaprojektowanym przez Sama jak o skromnym pomocniku, którego zadaniem będzie ułatwianie ludziom życia. Będzie to maszyna, o której nabywca będzie mógł myśleć z poufałością, a nawet żartobliwie, jako o przyjacielu stanowiącym część jego zawodowego życia.

I teraz dwa ciągi myśli, które dotąd przebiegały oddzielnie przez głowę Francie, zbiegły się ze sobą. Ujrzała komputer, ujrzała też nazwę, jaką mu nada. Była to najmniej spodziewana nazwa na świecie, lecz jednocześnie najbardziej sympatyczna i ludzka.

— Mollie... — pomyślała leniwie, zasypiając w ramionach Sama.

ROZDZIAŁ 39

Nazwa „Mollie” spełniła funkcję ostatniej iskry, koniecznej do wystrzelenia nowego komputera w kierunku świetlanej przyszłości. Spodobała się wszystkim bez wyjątku, od współpracowników Francie począwszy, na sceptycznych kapitalistach zainteresowanych projektem skończywszy.

Grupa niezdecydowanych dotąd bankowców podjęła w końcu decyzję o zainwestowaniu w Mollie i CompuTel ponad trzech milionów dolarów, w zamian za opcje akcyjne i miejsce

w Radzie Nadzorczej firmy. Niemal natychmiast ich śladem poszli inni, inwestując w przedsięwzięcie Francie znaczne kwoty.

Przez lato prace nad Mollie postępowały w zawrotnym tempie. 8 września Sam dał próbkę możliwości maszyny, demonstrując małej grupce prywatnych inwestorów jej zdumiewającą moc obliczeniową i łatwość wykonywania operacji. Rezultat był taki, że dokonano dalszych czterech wpłat, na sumę miliona dolarów każda.

Z tej też okazji wydano uroczysty lunch w „Czterech Porach Roku”. Uczestniczyli w nim nowi inwestorzy. W drodze powrotnej Francie pogratulowała Samowi.

— Jesteś bohaterem dnia. Gdyby Mollie nie spisała się tak dobrze, wyszlibyśmy na kompletnych idiotów.

— Nie mnie należą się podziękowania. Jestem jedynie trybikiem w kole. To ty jesteś motorem działania.

Francie uśmiechnęła się zmęczonym uśmiechem. Równie dobrze jak Sam wiedziała, że do mety jeszcze daleka droga. Jeśli mają wylansować Mollie na terenie całego kraju, będą potrzebowali dwukrotnie więcej kapitału inwestycyjnego, niż posiadają obecnie. W miarę posuwania się naprzód kampanii, zwiększało się ryzyko.

Zaangażowane były coraz większe pieniądze, coraz więcej ludzi oczekiwało na moment prawdy.

A co najgorsze, CompuTel nie zarabiał ani centa i nie zarobi, dopóki jego produkt nie trafi na rynek, a to wymagało dalszych pieniędzy. Tymczasem utrzymywanie całej kampanii w największej tajemnicy utrudniało w znacznym stopniu przyciąganie inwestorów. Mało prawdopodobne było, by obawiający się ryzyka przedsiębiorcy zdołali przekonać swoje zarządy do utopienia dużych sum w produkt, którego samo istnienie jest tajemnicą.

Francie rozumiała teraz, jak czują się producenci musicali na Broadwayu, którzy pakują miliony dolarów, całe zespoły aktorów i obsługi technicznej w jakieś genialne dzieło, a potem umierają ze strachu, że pierwsze przedstawienie okaże się jednocześnie ostatnim i że stanie się totalną klęską finansową dla wszystkich zainteresowanych.

W głębi ducha Francie odczuwała treść. Zbyt daleko zaszła z Mollie, by teraz się wycofać. Była również odpowiedzialna za wszystkich ludzi, których wciągnęła w realizację swojego projektu. Jeżeli jej statek zatonie, wszyscy pójną wraz z nią na dno.

Lecz nie starczało już ani czasu, ani energii na dalsze rozważania. Jedynym możliwym kierunkiem był kierunek naprzód.

W godzinę po lunchu na Manhattanie Francie i Sam byli z powrotem w magazynie, podzielonym obecnie na sektory, w których różne zespoły pracowały nad odrębnymi zagadnieniami. Byli wśród nich projektanci, specjaliści od oprzyrządowania, kreślarze i fachowcy do spraw marketingu.

Sam zabrał się od razu do pracy z Quinnem i Terrym. Dopracowywali ostatnie szczegóły w zespole obwodów elektrycznych Mollie. Uśmiechnął się z rozrzewnieniem na myśl o swoim ukochanym, starym 9292 oraz o jego nowym wcieleniu, które, o ile Francie postawi na swoim, zmieni sposób prowadzenia interesów w Ameryce i na całym świecie.

Wkrótce praca tak go zaabsorbowała, że nie spostrzegł, jak Francie wysliznęła się z magazynu.

Nie chciała, żeby zauważono jej wyjście. Sprawa, która była jego przyczyną, nie należała do przyjemnych. Wsiadła w metro na Manhattan, tam złapała taksówkę i podała kierowcy adres w śródmieściu.

W kilka minut później znalazła się w obskurnym biurze i usiadła naprzeciw młodego mężczyzny w spodniach i swetrze, którego nieformalny wygląd odpowiadał naturze wykonywanego zawodu.

Nazywał się Kevin Still i oficjalnie był właścicielem znajdującego się pod tym biurem magazynu ze sprzętem elektronicznym. Faktycznie zajmował się czymś zbyt drażliwym, by to rozgłaszać, mianowicie inwigilacją elektroniczną. Mówiąc prosto, zakładał podsłuchy.

Francie wynajęła go dwa miesiące temu i co tydzień odbierała jego sprawozdania. Jak dotąd, nie miał dla niej nic ciekawego. W ubiegłym tygodniu powiedział jej nawet, iż jego zdaniem niepotrzebnie traci pieniądze.

Lecz dziś rano zadzwonił do magazynu i zostawił jej zaszyfowaną wiadomość, że coś ma. Dlatego właśnie była tutaj.

— Co to jest? — spytała bez zbędnych wstępów.

— Sądzę, że to, czego pani szukała — odparł. — Proszę włożyć te słuchawki i posłuchać razem ze mną.

Kevin włączył wysokiej klasy niskoszumowy magnetofon i taśma zaczęła się przewijać.

Francie usłyszała odgłos sygnału telefonicznego. Potem na linii rozległ się męski głos.

— *Coś nowego?* — zapytał.

— *Tak* — odpowiedział głos kobiety. — *Wygląda na to, że Aronsen wejdzie w to. Za milion. Najnowszy prototyp zyskał sobie ich uznanie.*

Francie rozpoznała nazwisko jednego z inwestorów, z którymi jadła dziś lunch.

— *Jak to działa?* — spytał głos mężczyzny.

— *Doskonale* — odparła dziewczyna. — *Nawet lepiej, niż się spodziewaliśmy.*

— *Kiedy macie zamiar wejść na rynek?* — spytał on.

— *Nikt nie wie na pewno* — odpowiedziała — *ale mamy nadzieję, że wczesnym latem. Przedtem będzie wielka kampania reklamowa.*

— *Zatem żadnych problemów technicznych?*

— *Mc poważniejszego. Sam pracuje nad RAM. Program Francie jest rzeczywiście genialny. Żałuję, że to nie moje dzieło.*

Nastąpiła przerwa.

— *Przyniesiesz go?* — spytał mężczyzna.

— *Jak tylko będę miała czas skopiować. Jesteśmy potwornie zajęci.*

— *W porządku. Dobrze się spisałaś. Przynieś to do mnie do domu.*

— Rozmowa była skończona.

Francie zdjęła słuchawki. Była bardzo blada.

— *Czy usłyszała pani to, co chciała pani usłyszeć?* — zapytał Kevin Still.

. — *Nie chciałam tego usłyszeć, nie* — uśmiechnęła się blado. — *Ale odkryłam to, co musiałam wiedzieć. Dziękuję.*

— *Czy moi ludzie mają nadal pracować?*

— *Oczywiście. I jeszcze raz dziękuję.*

— *Czy wie pani, kim był ten facet przy telefonie?* Francie zawahała się przez sekundę, nim odpowiedziała.

— *To nie jest teraz istotne.*

— *A dziewczyna...*

— *Tak, dziewczyna tak... Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.*

Pożegnała się z nim i wyszła. Na ulicy rozejrzała się dookoła, wciągając głęboko w płuca miejskie powietrze. Nie było szczególnie czyste, lecz w tych okolicznościach wydało jej się orzeźwiające.

Pomyślała, że to samo odnosi się do pojedynku szachowego, jaki rozgrywała z niewidzialnym, lecz potężnym przeciwnikiem. Gra nie była zbyt czysta, a rzeczy, jakich się dowiadywała, niezbyt smakowite. Lecz trzeba grać do końca. Grać tak, żeby wygrać.

Dano, zadumała się gorzko, nigdy nie przepuszczałam, że to będziesz ty.

ROZDZIAŁ 40

Następnego popołudnia Francie zwołała pilne zebranie swoich najbliższych współpracowników, czyli Sama, Joela, Barbary, Terry'ego, Quinna i Lee Nugenta.

Pytanie Quinna wyprzedziło oświadczenie, jakie zamierzała złożyć.

— Gdzie Dana?

— Zwolniłam ją dziś rano. Nie należy już do zespołu. W związku z tym, Barbaro, na twoje barki spadnie nieco więcej obowiązków. Wspólnie zajmiemy się programowaniem. Mam nadzieję, że podołasz.

W pokoju zapadła martwa cisza. Wszyscy byli zszokowani. Znali dobrze Danę i cenili jej energię i fachowość, których będzie im brakować. Mollie była dziełem zaledwie garstki specjalistów. Utrata każdego z nich stanowiła dotkliwy cios.

— Czy zechcesz nam powiedzieć, dlaczego Dana musiała odejść? — spytał Terry.

— Wolałabym nie, nie teraz. Ale chcę, żebyście zapamiętali, iż w nadchodzących tygodniach zachowanie tajemnicy jest bezwzględnie na pierwszym planie. Zagrożenia natury technicznej Mollie ma już za sobą. Teraz największe zagrożenia są natury strategicznej. Czy to jasne?

Milczeli, zdeprymowani rzeczowym, beznamiętnym tonem Francie i jej lodowatym, sztucznym uśmiechem. Nie dawała po sobie poznać, że właśnie" została zdradzona przez najbliższą przyjaciółkę. Wyglądała jak szef, który obwieścił pracow-

nikom nowy termin pikniku. Była urzędowa i nieludzko wręcz opanowana.

Po zebraniu Sam odciągnął ją na bok.

— Jak się dowiedziałas? — spytał wprost.

Francie pomyślała przez chwilę, zanim odpowiedziała.

— Kazałam nagrać jej rozmowy telefoniczne.

Sam był wyraźnie poruszony. Nigdy nie przyjaźnił się blisko z Daną, lecz przez ostatnie dwa lata pracowali wspólnie nad setkami rozwiązań technicznych i wydawało mu się, że poznał ją raczej dobrze.

— Dlaczego ją podejrzewałaś?

— Nie podejrzewałam.

— Nie?

— Kazałam nagrywać wszystkie wasze rozmowy — wyraz jej oczu pozbawiony był jakichkolwiek emocji.

Sam patrzył na nią zaskoczony. Sprawiał wrażenie, jakby jej słowa, wskazujące na niezdrową podejrzliwość, zmartwiły go. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że jej działanie, choć dla wielu z nich krzywdzące, przyniosło rezultaty.

— Powiedz mi tylko jedno: kto ją kupił? Magnus? Zahałała się.

— Sam, twój dociekliwy umysł jest teraz potrzebny do ważniejszych zadań, niż zamartwianie się Daną i tym, co się stało. Pozwól, że sama się tym zajmę. Kiedy będzie po wszystkim, otrzymasz odpowiedź na twoje pytania. Zgoda? Popatrzył głęboko w jej oczy. Teraz dostrzegł w nich ból. Ukrywała go skrzętnie przed innymi, lecz jego nie była w stanie oszukać. Dotknął lekko jej ramienia.

— Przykro mi, Francie. Uśmiechnęła się smutno.

— W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Bierzmy się do roboty.

Chwilę później Sam zagłębił się w pracy nad prototypem, a Francie zamknęła się w maleńkim kantorku w rogu magazynu, służącym jej za biuro.

Raz jeszcze pomyślała o Danie. Dana była ostatnią osobą, po której spodziewałaby się zdrady. Lecz teraz popatrzyła na to inaczej. Epizod z Daną dowodził, że musi się jeszcze wiele nauczyć o naturze ludzkiej. I to w jak najkrótszym czasie.

A teraz należy wziąć się w garść i ostro zabrać do pracy. Zamknęła oczy i skupiła myśli na tym, co ją czeka.

Teraz pański ruch, panie Magnus, pomyślała.

ROZDZIAŁ 41

Przez kilka następnych tygodni nikt nie powiedział słowa na temat Dany.

Sam wygospodarował sobie trochę czasu, żeby przemyśleć dokładnie cały incydent i zastanowić się, jakie znaczenie może to mieć dla Francie.

Wiedział, że Francie i Dana były kiedyś współlokatorkami i najbliższymi przyjaciółkami. Setki razy widział je pracujące razem w atmosferze takiej zażyłości, jakby były siostrami.

A teraz, tak po prostu, Dana odeszła.

A Francie nic się nie zmieniła. Lub raczej pozostała tą samą nieugiętą kobietą, w którą przeistoczyła się w dniu rozpoczęcia kampanii dla Mollie. Sam zrozumiał, że przekroczyła wtedy jakąś niewidzialną linię, co zmusiło ją do wykreowania siebie na nowo tak, by mogła sprostać stojącemu przed nią wyzwaniu.

Ta dzisiejsza Francie niemal przerażała go, tak była zamknięta w sobie i tajemnicza. Nie była tą Francie, którą poznał dwa i pół roku temu. Tamta Francie, którą zaprosił pierwszego wieczoru do „Automatu” sprawiała wrażenie głęboko skrzywdzonej, lecz poza tym była normalną, uprzejmą, zdrową dziewczyną, z normalnymi ludzkimi słabościami.

Kiedy dołączył do niej i wspólnie zaczęli rozwijać CompuTel, miał świadomość, że stanowi dla niej podporę w trudnym okresie.

Odkąd został jej przyjacielem, zbliżał się powoli do źródła jej niewidzialnego bólu i obsesji pchającej ją do sukcesu.

Zaczynał się domyślać, co to może być, ale nie traktował tego jako przeszkody w jego układach z Francie.

Ostatecznie był tylko jej przyjacielem i nie rościł sobie praw do ingerowania w jej życie osobiste.

Potem spadła na niego kara.

Pierwszej nocy, kiedy kruche i nieśmiałe uczucie zaprowadziło ich do łóżka i przekroczyli zakazaną granicę, zostając kochankami, los ujawnił mu nieszczęsną prawdę o tym, co cały czas leżało jej na sercu.

— *Jack...*

To krótkie słowo otworzyło drzwi dla koszmaru, który odtąd nawiedzał Sama na jawie i we śnie. Zadręczał się myślą, że oddając mu się wówczas, marzyła cały czas o tym drugim mężczyźnie.

Z powodu tego małego słówka cierpiał nieopisane katusze. Od tamtej pory obsesyjnie obserwował Francie we śnie, ale imię to nie padło już ani razu.

Lecz tamten jeden raz wystarczył.

Sam zadawał sobie pytanie, czy sypiając z nią w sytuacji, gdy ona w głębi serca kocha innego, jest wykorzystywaniem jej i oszukiwaniem zarówno jej, jak i siebie. Analizował dokładnie ich związek. Wiedział, że ona mu ufa i polega na nim.

Lecz czy w jego sercu było coś, co towarzyszyło uległości ciała, gdy uprawiała z nim miłość?

Sam stawał przed tym pytaniem przy każdym fizycznym zbliżeniu. Tym sposobem największe cierpienie łączyło się z największą rozkoszą, tworząc przyprawiającą go o zawrót głowy mieszankę.

Kochanie się z nią było jak zeskakiwanie z krawędzi świata. Odreagowanie trwającego w ustawicznym napięciu ciała było jak rozpętanie się burzy po całodniowym gromadzeniu się chmur. Jej nagość była dla niego cudem, objawieniem. Nie mógł nasycić oczu, kiedy w półmroku jej nogi pieściły jego uda, a jej słodkie, jędrne piersi muskały jego tors.

Kochała się z ujmującą naturalnością, a jednak jej ciepłe i delikatne pieszczoty zawierały w sobie tę samą dziwną intensywność, jaka kierowała nią w życiu zawodowym. Intensywność, która jednocześnie skupiała się na Samie i zdawała się go omijać, jakby nie była dla niego przeznaczona.

Dziwna to była dwoistość i dziwne uczucie. Obcowanie ze skomplikowaną dziewczyną, którą znał tak dobrze i której nie znał wcale. Wszystko to sprowadzało się do imienia, które padło nieświadomie z jej ust.

Od początku znajomości wiedział, że korporacja Magnusa głęboko ją zraniła. Wiedział też, że Jack Magnus pozostawił na niej piętno, które miało jakiś niejasny związek z jej walką przeciwko jego firmie. Kiedy Magnus wszczął przeciw Com-puTelowi postępowanie sądowe, Francie odebrała to jak uderzenie rękawicą w twarz. Z furją stanęła do pojedynku. Nie będzie oddychać, nie będzie żyć, dopóki nie zakończy ostatniej batalii o sukces, który, jak podejrzewał Sam, miał być zemstą za jakieś okrutne krzywdy.

Mimo to dziś, tak jak i dwa lata temu, nie mówiła o Magnus Industries. Skupiła się na Mollie i na przyszłości, uparcie powtarzając, że przeszłość jest zamkniętą księgą.

Jej milczenie było tak gruntowne, że Sam odnosił niekiedy dziwne wrażenie, iż jest coś, czego nie wie o Mollie i operacji, nad którą pracowali. Było to oczywiście niemożliwe, gdyż znał każdy obwód i każdą śrubkę w nowej maszynie, lecz mimo to, to dziwne uczucie go nie opuszczało. Tak, jakby nie wiedząc wszystkiego o Francie nie mógł także znać jej planów.

Co więcej, to milczenie stanowiło najgorszą część jego kary za to, że wykorzystywał jej ciało, nie mając prawdziwych dowodów, iż za jej pieszczotami stoi jej serce.

Okrutna to była kara, a jej żądło kłuło go coraz dokuczliwiej z każdym tygodniem pracy, z każdą urokliwą nocą, gdyż pragnął jej coraz mocniej i już prawie nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej.

Jack... Słowo to ciągle wisiało nad Samem jak talizman zła, rzucając urok na jego zażyłość z Francie. Zdawało się, że imperium Magnusa i jego spadkobierca Jack, usidlają ją jak pajęczyna i odciągają od niego na każdym kroku. Chwilami miał wrażenie, że jest jedynie małym trybikiem w maszynie napędzanej nienawiścią Francie do mężczyzny, który niegdyś posiadał ją w większym stopniu niż Sam i którego dominację udowadniała siła jej wrogości.

Nie uśmiechała mu się rola pionka jej złości i nienawiści. Nienawiści skierowanej przeciw drugiemu mężczyźnie, którego prawdopodobnie kochała i być może nadal kocha.

Z drugiej strony, Sam był przekonany, że ta jej piekielna kruczata i ta twarda, zdeterminowana kobieta, jaką się stała, są sztucznymi tworem. Były jak cechy charakteru pochodzące od innej osoby i przypadkowo nałożone na jej osobowość w wyniku pomyłki losu i nieszczęśliwych okoliczności.

Patrząc na dzisiejszą Francie, nadal widział tę subtelną dziewczynę, w której zakochał się w „Automacie”, niewątpliwie niespokojną i energiczną, lecz stworzoną raczej do szczęścia, niż pogoni za sukcesem. A jeszcze głębiej dostrzegał niewinne dziecko, jakim była wiele lat temu, figlarną i genialną dziewczynkę oddaną rodzinie i palącą się do zbadania otaczającego ją świata.

To była Francie, która zawładnęła sercem Sama. Wierzył, że jest prawdziwa. Nie mógł się mylić, zwłaszcza że trzymając ją tylekroć w ramionach wyczuwał niewinność, ufność i słodycz, z jaką mu się oddawała.

Jednak od pewnego czasu do tej osobowości dobrego dziecka dołączyło coś nieskończenie niebezpiecznego. Kochając się z Francie, odnosił wrażenie, że trzyma w objęciach dwie kobiety: jedną słodką i uległą, z którą pragnął spędzić resztę życia, drugą bezlitosną bojowniczkę, obsesyjnie dążącą do zniszczenia wyznaczonego sobie celu. Musi dojść do tego, która z tych dwóch jest prawdziwa. Po odejściu Dany podjął decyzję. Poczeka do ukończenia Mollie, a potem spyta Francie wprost, kim dla niej jest. Rezultat jej batalii będzie już wtedy znany i dlatego będzie mogła zdecydować, gdzie ulokować swoje uczucia i co ze sobą zrobić w życiu. Tak, do tego momentu może poczekać. Lecz ani chwili dłużej. Był zbyt dumny na to, by oddawać całe serce kobiecie, która go nie kocha. Nawet miłość, jaką ją darzył, nie wytrzymałaby tego. Nadszedł czas, żeby odkryć, jaka ona jest naprawdę. I chociaż Sam bał się jej odpowiedzi, to nie mógł się jej doczekać.

ROZDZIAŁ 42

15 grudnia 1959

Julie Magnus leżała w ramionach Scotta Monteagle.

Znajdowali się w małej sypialni wiejskiego domu w Surrey. Dom ten należał do rodziny od pięciu pokoleń. Niegdyś mieszkał w nim dozorca dużej posiadłości będącej własnością przodków Scotta.

Od ukończenia szkoły prawniczej Scott opiekował się matką i siostrami, próbując na wszelkie sposoby łątać rodzinny budżet. Udało mu się umieścić matkę w małym, lecz przytulnym mieszkanku w Londynie, niedaleko jej krewnych. Pomagał finansować edukację siostr i osobiście wydał starszą z nich za męża.

Odkładał każdego pensa, którego zarobił jako adwokat i zdołał zakupić niewielki kawałek ziemi w pobliżu starej posiadłości rodzinnej. Zatrudnił farmera, który zamieszkał tam wraz z rodziną. Był to sympatyczny, młody człowiek o nazwisku Ned Templer. Mężczyźni zaprzyjaźnili się i pracowali ciężko ramię w ramię, uprawiając taką ilość ziemniaków i buraków cukrowych, żeby mała farma przynosiła dochód.

Poza domkiem, reliktem zamierzchłej przeszłości, maleńka farma była wszystkim, co Monteagle'owie posiadali. Mieszkanie Scotta w Londynie, podobnie jak mieszkanie jego matki, było wynajęte, a Moira mieszkała wspólnie z trzema innymi studentkami w Bloomsbury, w pobliżu uniwersytetu.

Monteagle'owie oddalili się nieskończenie od epoki dawnej świetności i bogactwa. Jednak nawet kiedy musieli zaciskać pasa, byli wypłacalnymi Anglikami z klasy średniej. A Scott miał plany na polepszenie bytu rodziny. Był doskonałym adwokatem, no i jego prace z zakresu prawa międzynarodowego zyskały mu uznanie w macierzystej firmie. Jeśli wszystko ułożyłoby się dobrze, istniały widoki na to, że w najbliższych latach stanie się współwłaścicielem firmy.

Lecz Scott nie pozwalał, by praca pochłaniała go bez reszty. Z właściwym sobie poczuciem humoru podchodził do finansowych tarapatów rodziny i z hartem ducha grał rolę jej głowy i głównego żywiciela. Często żartował na temat swojej pracy. Julie odnosiła wrażenie, że on faktycznie lubi swój pozbawiony romantyzmu styl życia i z ulgą przyjmuje uwolnienie od wielkiego bogactwa, które przyniosło tak mało szczęścia pokoleniu jego ojca.

Ta nietypowa mieszanka trzeźwej powagi i trzpiotowatej obojętności wobec zmiennych kolei losu oczarowała Julie. Niezależność Scotta i rzetelny, choć lekki sposób traktowania życia, były jej zupełnie obce, ponieważ wyrosła w ciepłarnianym świecie, w którym najważniejszą jakością stanowiły majątek i pozycja społeczna rodziny oraz nieograniczone wpływy jej ojca.

Po jej przyjeździe do Londynu Scott zdecydował, że najpierw zapozna ją ze swoją rodziną. Zabrał ją na spotkanie z matką, zmęczoną lecz atrakcyjną kobietą po sześćdziesiątce, dla której syn zdawał się wszystkim. Potem odwiedzili jego starszą siostrę Lucy, zameżną z maklerem giełdowym i mającą maleńkie dziecko, a na końcu Moirę, ładniutką studentkę uniwersytetu, której Julie od razu przypadła do serca.

Moira była osobą bardzo skupioną na sobie i intelektualistką. Jej głównym kierunkiem studiów była historia i stosunki międzynarodowe. Głosiła lewicujące, feministyczne poglądy, które czasami doprowadzały do sprzeczek z bratem.

— Jesteś taki konserwatywny, Scott — powiedziała kiedyś. — Obudź się wreszcie i zobacz, jak wygląda prawda o kobietach w Wielkiej Brytanii. Dopóki kobiety nie uzyskają praw, nie uzyskają ich także żadne inne dyskryminowane grupy.

Scott uśmiechnął się, podziwiał bowiem swoją siostrę, nawet gdy wyrażała opinie sprzeczne z jego poglądami. — To nie jest tak, że się z tobą nie zgadzam — odparł. — Uważam po prostu, że żadne zapatrywania polityczne nie powinny służyć za pretekst do wywoływania zamieszek. Musimy żyć w tym świecie, ze wszystkimi jego niedociągnięciami. Nie mam nic przeciwko zmianom. Ale nie możemy wstrzymać oddechu, dopóki te zmiany nie nadejdą. Musimy żyć dniem dzisiejszym i pomagać sobie nawzajem najlepiej, jak potrafimy. — Dokładnie o to mi chodzi — oświadczyła triumfalnie śliczna Moira, błyskając ciemnymi oczyma spod grzywy kasztanowych włosów. — Pomagać sobie nawzajem. Nie możemy odsuwać od siebie tej moralnej odpowiedzialności do czasu, aż świat stanie się lepszy, Scotty. Musimy robić to teraz. Odwlekanie nigdy nie wyszło nikomu na dobre. Czyż nie tak, Julie? — zwróciła się do niej z uśmiechem. — Wesprzyj mnie. Wytlumacz mi, w czym tkwi przyczyna.

Julie wymamrotała jakąś dyplomatyczną odpowiedź, sympatyzującą z obu stronami. Nie mogła powiedzieć Moirze, jak zaskoczyła ją ta prosta prośba o wyrażenie własnego zdania i jak była wdzięczna za to, że włączono ją do tej przyjacielskiej, rodzinnej sprzeczki. Postrzegała rodzinę Scotta jako najszcześliwszych ludzi na świecie, ludzi, którym okoliczności pozwalały być ludzkimi i kochać się nawzajem. A co najważniejsze, ludzi, którzy ją akceptowali.

Scott oprowadził ją po Londynie, a ona starała się ukryć fakt, że widziała już Londyn podczas podróży z rodziną. Okazało się jednak, że nie musiała specjalnie udawać, gdyż Londyn Scotta był Londynem hałaśliwego jarmarku przy Portobello, ogrodów w Kensington i najskromniejszych herbaciarni w Soho, podczas gdy Londyn Magnusów był Londynem Sotheby, Savile Row, Wimbledonu i najwytworniejszych sklepów.

Scott pokazał jej Londyn klasy robotniczej, zmęczone miasto wylizujące się do tej pory z wysiłkiem z ran wojennych, lecz nacechowane upartą dumą historycznego narodu, którego tradycje były tak silne, jak zawsze. — Ten kraj jest taki jak my, Monteagle'owie — powiedział. — Utracił swoje imperium i swoją buńczuczność, lecz przywiązany jest do starych tradycji i wygod.

Julie nigdy w życiu nie czuła się tak dobrze. Każda chwila, spędzona ze Scottem i jego rodziną, była dla niej jak wypełniony rzeźką świeżością poranek Bożego Narodzenia. Wzmac-

niała ją i orzeźwiała. Jej dobrego samopoczucia nie psuła nawet wilgotna i zimna londyńska mgła. Chciała oglądać wszystko oczyma Scotta.

Po zwiedzeniu miasta Scott zawiózł ją na wieś, do Surrey. Trzymając się za ręce spacerowali po łąkach, na których hasał w dzieciństwie. Zabierał ją na przejażdżki po malowniczych wioskach i pokazał jej stary, rodzinny cmentarz w Abinger Common, z grobami pochodzącymi aż z XVI wieku.

— Widzisz, wróciliśmy do naszych korzeni — powiedział jej. — Może wielkie bogactwo nie pasuje do nas. Może Opatrzność ma względem nas inne plany. Ta myśl przemawia do mnie.

Z pewnością przemawiała ona do Julie. Z każdą spędzoną z nim chwilą stawała się bardziej świadoma tego, jak hermetyczny i zatęchły jest nowojorski świat jej rodziny i jak radośnie prawdziwe są alternatywy oferowane przez życie.

W tydzień po przybyciu Julie do Anglii Scott pokazał jej wiejski dom. Było to urocze miejsce z węglowym piecem, dwoma małymi sypialniami oraz salonikiem z dużym kominkiem i wyściełanymi krzesłami. Na ścianach wisiało kilka starych portretów i pejzaży malowanych w młodości przez ojca Scotta. Kiedy od kominka zaczynało promieniować gościnne ciepło, robiło się tu nieopisanie przytulnie.

Scott pokazał Julie, gdzie może znaleźć przybory do parzenia herbaty i z dumą obserwował, jak przygotowywała imbryk.

— Może moglibyśmy zjeść tutaj obiad? — W jego głosie brzmiał cień onieśmienia.

Zrozumiała podtekst zawarty w tej propozycji. Nie przyszło jej nawet do głowy odmówić.

Przed obiadem udali się na długą przechadzkę po okolicy. Po powrocie zjedli z apetytem posiłek i rozpalili ogień w starym kominku. Słuchali pogwizdującego za oknami wiatru, trzepotu ptasich skrzydeł i popiskiwania polnych myszy. Julie przytuliła się mocno do Scotta.

Czuła jego delikatne pocałunki na brwiach i jego palce we włosach. Pod jej skórę, zaczęło wkradać się zakazane ciepło. Jeszcze kilka miesięcy temu to doznanie przepełniłoby ją takim wstydem, że odepchnęłaby Scotta ze strachu przed skalaniem go własnym brudem. Lecz teraz, zobaczywszy go we

własnym kraju, poznawszy jego rodzinę i upewniwszy się, co do niej czuje, mogła spróbować niemożliwego: zerwać z przeszłością i zacząć żyć na nowo jako normalna kobieta u jego boku. Bała się tego, lecz to był dobry, zdrowy strach.

Kiedy jego ręka zawahała się przy jej piersi, zdobyła się na odwagę i poprowadziła ją do napęczniałego sutka pod bluzką. W jego pieszczotach było coś tak prostego i przyzwoitego, że po krótkim czasie zaczęła odczuwać dojmujące drżenie całego ciała.

Widziała, że on również jest podniecony. Poznawała to po jego pocałunkach i gwałtowności pieszczot. Zdawała sobie sprawę, że są na krawędzi ostatecznego odkrycia siebie nawzajem. I w tym momencie stchórzyła. Oderwała się od niego na tyle, by spojrzeć mu w oczy. Pogłaskała go po policzku, zawierając w tym geście całą swoją udrekę.

— Julie — powiedział miękko. — O co chodzi? Nie jesteś pewna?

Uśmiechnęła się smutno.

— Ciebie tak. Ale dręczy mnie pytanie, czy jestem dla ciebie odpowiednia. Nie chcę cię stracić.

Przygarnął ją do siebie i zamknął jej oczy pocałunkami.

— Jesteś piękną dziewczyną. Wspaniałą i uczciwą osobą, wewnątrz i na zewnątrz. A ja cię kocham. Marzyłem o tobie przez całe życie i wreszcie cię odnalazłem. Nie pozwolę ci odejść.

Drżała w jego objęciach. Nigdy nie śniła o tym, że może usłyszeć takie słowa. Były jak drzwi otwarte do innego świata.

Pocałował ją powoli i łagodnie. Potem wyjął skądś małe pudełeczko.

— Otwórz — poprosił.

Otworzyła i jej oczom ukazał się prześliczny pierścionek z granatem, osadzonym w pięknie wymodelowanej, złotej plecionce.

— Należał do mojej babci. Tym pierścionkiem zaślubiła mojego dziadka. Pochodzi skądś z rodziny, lecz to było tak dawno, że nikt nie jest w stanie dojść skąd. W każdym razie było to na długo przed tym, zanim Monteagle'owie stali się bogaci. Teraz, kiedy znów jesteśmy przeciętnymi ludźmi, to cacko jest łącznikiem z przeszłością. Chcę, byś go nosiła.

Przerwał.

— Chcę, żebyś wyszła za mnie, Julie.

Popatrzyła na pierścionek i w jego oczy. Mówił absolutnie szczerze i poważnie. Nie wątpiła w to, że ją kocha. Podobnie jak pierścionek łączący go z czasami, do których nie sięgał pamięcią, Scott był dla niej łącznikiem z czasem sprzed jej hańby, z czasem, kiedy jeszcze nie była wyuzdana i zepsuta. Znał ją wówczas, a teraz proponował jej powrót do tamtego utraconego jestestwa.

Przez straszną chwilę Julie zawisała nad przepaścią przyszłości i bezradności. Scott Monteagle trzymał dla niej linę ratunkową, za pomocą której mogłaby przeskoczyć nad ziejącą otchłanią, nie pogrążając się w niej na wieki. Być może trzymał tę linę po raz ostatni. Los dawał jej jedną, jedyną szansę na uratowanie się.

Nie odrzucił tej szansy. Musi pokonać wstyd i obrzydzenie do samej siebie. Uśmiechnęła się.

— Wyjdę za ciebie, Scotty.

Włożyła pierścionek na palec i spojrzała mu w oczy. Potem, nie spuszczać wzroku, zdjęła bluzkę, rozpięła biustonosz i położyła obie jego ręce na swoich piersiach. Zdumiony złocistym pięknem jej ciała, wpatrywał się w nią z zachwytem. Następnie pochylił się i pocałował ją.

Kochali się na starej kanapie przed strzelającym płomykami ognia kominkiem. Scott był dobrym i czułym kochankiem, niemal zbyt delikatnym w podejściu do niej. Lecz nie mógł wiedzieć, jak drogocenną rzeczą był dla Julie jego szacunek. Oddanie mu ciała było dla niej taką świętością, jak włożenie na palec jego pierścionka.

Julie objęła go mocno i przytuliła do siebie.

— Nigdy mnie nie opuszczaj — wyszeptała mu do ucha. — Przyrzekasz?

— Przyrzekam. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Julie usiłowała przekonać Scotta, żeby uciekli gdzieś daleko i wzięli cichy ślub. Wiedziała, że na drodze do ich małżeństwa piętrzą się poważne przeszkody. Była pewna, że ojciec nigdy się nie zgodzi, ponieważ Monteagle'owie byli rodziną bez pieniędzy i pozycji, rodziną zhańbioną ubóstwem. Scott nie zamierzał bogacić się na siłę, ani przywracać świetności nazwisku. Wszystkim, czego pragnął, było normalne życie. Z Julie.

Odrzucił jej propozycję pobrania się w tajemnicy. Nie chciał urazić swojej matki z jej staromodną dbałością o konwenanse. Co ważniejsze, pragnął wprowadzić Julie do rodziny

oficjalnie, w tradycyjny sposób. Rodzina polubiła ją i będzie chciała ją przyjąć z należyтым ceremoniałem. Ogłosili swoje zaręczyny na kameralnym przyjęciu w mieszkaniu matki. Ślub zaplanowano na czerwiec. Będzie to skromna uroczystość z udziałem najbliższych przyjaciół Scotta oraz dalszej rodziny Monteagle.

Nikt nie wiedział, że Julie nie powiadomiła swojej rodziny o małżeńskich planach. Chciała się przez jakiś czas nacieszyć swoją niezależną przyszłością, zanim podzieli się tym z Magnusami. Wysłała jedynie telegram, zawiadamiając domowników, że zostaje w Londynie o dziesięć dni dłużej.

Lecz jedną sprawę musiała przedyskutować ze Scottem bezzwłocznie. Była to kwestia jej dziedziczenia.

— Ojciec wydziedziczy mnie, jak tylko usłyszysz o tym małżeństwie — oświadczyła Scottowi. — Ma względem mnie własne plany, tak jak to było z moją siostrą i Jackiem. Ojciec nie przyjmuje odmowy. Musisz zrozumieć, Scotty. Od dnia, kiedy się dowie, będę skazana sama na siebie. Zresztą, nie wzięłabym jego pieniędzy, nawet gdyby mi je dawał. Mam nadzieję, że potrafisz to zaakceptować.

Ku jej zaskoczeniu, Scott był zachwycony tym oświadczeniem.

— Zdjęłaś mi ciężar z serca — powiedział. — Zawsze utrzymywałem się sam. Wyzbyłem się raczej nawyku posiadania ogromnych ilości pieniędzy. Chyba by mi się to nie podobało. Łamałem sobie głowę, jak cię przekonać, żebyś żyła jak Angielka, a nie jak amerykańska milionerka.

— Kocham cię, Scotty! — krzyknęła, rzucając mu się na szyję i okrywając pocałunkami jego uśmiechniętą twarz.

— Po raz pierwszy kobieta dziękuje mi za to, że zamykam jej drzwi do wielkiej fortuny — zażartował. — Zdaje się, że to dobry znak na nasze wspólne życie.

Julie Magnus poczuła się nareszcie panią własnego losu. Scott stanął jak mur obronny między nią a jej prywatnymi demonami. Czowała już niemal, jak Monteagle'owie gromadzą się wokół niej jako nowa rodzina, żeby chronić ją przed przeszłością. A teraz, kiedy zrezygnowała z pieniędzy Antona Magnusa, co mógł zrobić, aby ją powstrzymać?

Uda się, pomyślała. Po prostu musi się udać. Bóg w swej mądrości i miłosierdziu oszczędzi im dalszych nieszczęść. Scott przeżył już swoje i ona swoje. Razem będą szczęśliwi.

Los musi się odwrócić.

W wieczór przyjęcia zaręczynowego w mieszkaniu pani Monteagle Julie poczuła nagle, że wybuchnie, jeśli nie podzieli się z kimś tą dobrą nowiną. Nie miała jednak przyjaciół. Mogła zaufać jedynie komuś, kto nie zdradzi jej przed rodzicami.

Pomyślała o Gretchen. Już nie raz powierzała starszej siostrze swoje sekrety. Wiedziała, że Gretchen nie powie nikomu.

Podeszła do telefonu i wybrała jej numer. W Nowym Jorku było wczesne popołudnie. Gretchen była w domu sama z dzieckiem i ucieszyła się niewymownie, słysząc głos siostry.

Jeszcze bardziej ucieszyła ją radosna nowina.

— Gratuluję, kochanie — powiedziała. — Jestem taka podekscytowana! Kiedy ślub?

— W czerwcu. Mam nadzieję, że będziesz na nim, Gretchen— głos Julie zabarwiony był wyraźnym podnieceniem.

— Nie przepuszczę takiej okazji. Ale słuchaj, Julie. Ja też mam dla ciebie nowinę. Nie uwierzysz.

— Co to takiego? Mów szybko!

— Jack i Belinda rozeszli się. Było to kompletnym zaskoczeniem dla wszystkich. Wydało się dopiero kilka dni temu. Początkowo nikt nie mógł uwierzyć.

Julie zamurowało. Sądziła, że zna swojego brata na tyle dobrze, by wiedzieć, że taki krok nie wchodził u niego w rachubę.

— No cóż, świadczy to o tym, że to chłop z jajami — powiedziała, używając bezwiednie wulgarnego języka, jakim posługiwała się w domu. — Nie przypuszczałam, że go na to stać.

— Ale to nie wszystko — dodała Gretchen. — Trzymaj się mocno: on się żeni ponownie.

— Ponownie? — wykrzyknęła Julie. — Tak od razu? Niewiarygodne!

— I nigdy, nawet za milion lat, nie zgadniesz, kto jest tym razem szczęśliwą wybranką!

ROZDZIAŁ 43

21 grudnia 1959

Prace nad Mollie zbliżały się z wolna ku końcowi. Podniecenie w CompuTelu sięgało zenitu. Podczas ostatnich czterech demonstracji komputer działał kapitalnie,

wprawiając w osłupienie inwestorów mnogością funkcji oraz łatwością dokonywania operacji.

To ostatnie, jak wszyscy wiedzieli, zależało od programu, doprowadzonego przez Francie do niewiarygodnego wręcz poziomu sprawności. Wszyscy byli szczerze zdumieni jej dokonaniem, tym bardziej, że ostatnio stała się niesłychanie tajemnicza i odpowiadała wymijająco na wszelkie pytania dotyczące tajników funkcjonowania i dokumentacji technicznej programu.

Najtrudniejszym zadaniem stojącym obecnie przed zespołem CompuTelu było ustalenie ceny detalicznej Mollie. Nie powinna ona przekraczać możliwości finansowych przeciętnej firmy średniej wielkości, gwarancja serwisowa powinna być bardzo liberalna, tak by pierwsza, decydująca fala klientów, nie czuła się narażona na ryzyko, nabywając nowy produkt.

Udało się jednak rozwiązać i tę kwestię, przy kolosalnym poświęceniu całego zespołu. Francie i jej najbliżsi współpracownicy zarabiali grosze i wkładali w operację własne pieniądze. Wszyscy oni posiadali udziały w firmie i wiedzieli, że ewentualny zysk z wykonywanej przez nich pracy zależy od ich wyrzeczeń i poświęcenia.

Tak więc wkrótce Francie mogła przedstawić inwestorom cenę detaliczną na Mollie, mieszczącą się w ramach możliwości finansowych każdego w miarę dobrze prosperującego biznesu oraz zapewnić ich, że cena ta nie pójdzie w górę do dnia rozpoczęcia dystrybucji komputera.

— Kraj jest gotowy do komputeryzacji — powiedziała im. — Wszystkie firmy pracują według przestarzałych metod rachunkowości i technik inwentarzowych. Trzeba jedynie w skuteczny i przekonujący sposób rozpowszechnić wśród krajowych biznesmenów informację o łatwym w obsłudze komputerze. Zainteresowanie i chęć zysku zrobią resztę.

Inwestorzy dali się przekonać. Włożyli w Mollie dalsze setki tysięcy dolarów i modlili się w duchu, żeby cała operacja zakończyła się powodzeniem. Ryzyko, jakie podejmowali, było duże, ale z każdym dniem szansa na sukces stawała się bardziej realna.

Tempo prac w CompuTelu było obłądne. Wszyscy, jak żołnierze w boju, przestali się troszczyć o siebie i parli szaleńczo naprzód. Wycieńczeni, bladzi, niemal niezdolni uśmiechnąć się do siebie rankiem na powitanie, harowali bez wytchnienia po osiemnaście, dwadzieścia godzin na dobę. Bliska już perspektywa wielkiego dnia „objawienia” dodawała im siłę i sprawiała, że zapominali o zmęczeniu.

Było to w samym środku tego szaleństwa, któregoś rzeźkiego wieczoru w tygodniu poprzedzającym święta Bożego Narodzenia. Francie wracała do domu po długim dniu pracy. Wolnymi krokami zbliżała się do budynku, w którym mieściło się jej mieszkanie. Nie miała już siły chodzić w dawnym, szybkim tempie. Z każdego jej ruchu emanowało zmęczenie. Czyniła ogromne wysiłki, by nad nim zapanować i nie dopuścić do tego, by ją zmoгло. Znajdowała się w stanie ustawicznego otumanienia, ledwie świadoma tego, co się wokół działo, zaabsorbowana wyłącznie Mollie i przyszłością.

Wkładała klucz w drzwi budynku, gdy za jej plecami rozległ się niski głos.

— Czy możesz poświęcić mi minutę? Odwróciła się i zobaczyła Jacka Magnusa.

Ugięły się pod nią kolana. Jack należał do najmroczniejszych, najtragiczniejszych epizodów jej przeszłości. Nie spodziewała się go jeszcze kiedykolwiek spotkać.

Być może dlatego wydał jej się taki przystojny. Nigdy nie wyglądał równie wielkopańsko i elegancko. Pod prochowcem miał spodnie i sweter. Nieoficjalność stroju podkreślała jeszcze jego niemal nieziemski urok.

Przyjrzawszy mu się dokładniej, stwierdziła, że on również wygląda na zmęczonego i przepracowanego. Nadal jednak emanował męskością, która ją niegdyś tak urzekła. A jego oczy żarzyły się jak węgle, które za chwilę mają wybuchnąć płomieniem. Jego uczucie było oczywiste. Jej również.

Wysiłkiem woli zdołała opanować drżenie głosu i przemówić do niego jasno i dobitnie.

— Idź sobie, Jack. Nie mamy o czym rozmawiać.

— Zajmę ci tylko minutę — nalegał prawie bez tchu. — Zrób mi tę uprzejmość i odczekaj minutę z otwarciem tych drzwi. Chcę ci powiedzieć tylko trzy rzeczy.

Zawahała się. Spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich odbicie całego świata Magnusów. Wiedziała, że jeśli go wysłucha, potraktuje jak człowieka, będzie zgubiona.

Nagle przypomniała sobie list, który przysłał jej trzy lata temu, list, którego treść miała nadal wyrytą w sercu.

To nie jest tak, jak się wydaje.

To, co się wydarzyło, nie jest prawdziwe. Nie tak jak my byliśmy i jesteśmy prawdziwi.

Kocham cię bardziej niż siebie samego, bardziej niż własne życie.

Stała bez ruchu z kluczami w dłoni.

— Masz dziesięć sekund — powiedziała.

— Rozszedłem się z Belindą. Wyrok orzekający rozwód zapadnie za sześć tygodni. Nie pracuję już dla Magnus Industries. Odszedłem miesiąc temu. Zerwałem raz na zawsze z rodziną. Zostałem wydziedziczony. Jestem wolny, Francie. To są te trzy sprawy.

Popatrzyła przeciągle i twardo w jego oczy. Nigdy nie widziała wyrazu podobnej intensywności. W jego spojrzeniu błaganie łączyło się z czymś nad wyraz gniewnym. Wiedziała jednak, że nie był to gniew na nią.

— Lepiej będzie, jak wejdziesz do środka — powiedziała.

Podążył za nią. W milczeniu pojechali windą na górę. Wpuściła go do mieszkania. Nie zdejmując płaszcza, usiadł we wskazanym przez nią fotelu obok kanapy.

Odłożyła aktówkę i powiesiła płaszcz na wieszaku. Poruszała się powoli, starając się wykorzystać ten czas na myślenie.

— Napijesz się czegoś? — spytała.

— Cokolwiek podasz.

Zrobiła kawę. Kiedy krzątała się po kuchni, jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Z salonu nie dochodził żaden dźwięk. Jack najwyraźniej dawał jej czas na ocenę tego, co usłyszała.

Przeszła do łazienki i upudrowała nos. Oczy w lustrze przeraziły ją. Choć należały do niej, nie pojmowała ich wyrazu. Ledwie się rozpoznawała.

Po dłuższej chwili wróciła do salonu z kawą na tacy. Postawiła ją na stoliku przed nim i przycupnęła na brzeжку fotela.

— Dlaczego mi to wszystko opowiadasz? — spytała. — Co to ma wspólnego ze mną? Z nami już skończone, Jack. Cieszę się razem z tobą, że wreszcie możesz sam decydować o własnym losie, ale poza tym nic mnie to nie obchodzi. Widzisz, mam swoje życie.

Obserwowała efekt tych słów. Jack wyglądał, jakby otrzymał cios nożem w plecy. Prawdopodobnie zastanawiał się, czy ona kocha innego.

Po chwili otrząsnął się i przemówił wystudiowanym tonem.

— Rozeszliśmy się z Belindą jak przyjaciele. Nigdy jej nie kochałem. Oczywiście, wiesz o tym. Belindą też wiedziała. Nie

pobraliśmy się z wyboru. Usiłowaliśmy grać tę farsę, lecz szybko uświadomiliśmy sobie, że to jedynie niszczy nas oboje. Co dziwne, staliśmy się prawdziwymi przyjaciółmi dopiero, kiedy zdecydowaliśmy się rozstać. Oboje zapłaciliśmy za to małżeństwo i to więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Francie studiowała go zimnymi, badawczymi oczyma.

— Jacy ludzie pobierają się bez wyboru, bez miłości? — spytała.

— Zrobiliśmy to, a raczej ja to zrobiłem, żeby przetrwać — odparł. — Niełatwo wytłumaczyć komuś z normalnego środowiska, na przykład tobie, na czym polegała siła wywieranej na nas presji. Nie oczekuję przebaczenia. Chcę jedynie, żebyś spróbowała spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Wtedy może zrozumiesz.

W jego oczach widniało autentyczne cierpienie. Zaczynała tracić równowagę, nie tylko z powodu krańcowego wyczerpania, lecz także pod wpływem jego osobliwej logiki. Dziś wiedziała więcej o świecie Magnusów niż trzy lata temu. Wiedziała, jak bezlitosny jest ten świat w pożeraniu swoich ofiar.

Lecz trzymała się mocno.

— Nie, nie rozumiem.

Krótkotrwały płomień buchnął w jego ciemnych źrenicach. Pojął, iż jest wyrzucany za drzwi i że zasłużył na to.

— Popatrz na siebie — odezwał się. — Jesteś młoda, piękna, wolna. Masz intelekt, umiejętności, własną przyszłość. Możesz robić, co zechcesz.

Zawahał się, jakby szukając odpowiednich słów. Francie nie dała mu dokończyć. To, co powiedziała, zaskoczyło ją samą.

— Czy mam za to podziękować twojemu ojczulkowi? Ukradł moją krwawicę i wylał mnie za to, że dobrze pracowałam. Później, kiedy myślałam, że wreszcie mam z nim spokój, i z tobą także, podał mnie do sądu o to, że korzystałam z mojego własnego wynalazku. Zrujnował firmę, którą zbudowałam od podstaw. Czy mam mu być za to wdzięczna?

Jack pochylił się gwałtownie do przodu.

— Posłuchaj, Francie. Spróbuj zrozumieć. Gdybym nie zrobił wtedy tego, czego ode mnie chciał, wszystko mogłoby wyglądać o wiele gorzej. Dla ciebie i dla mnie.

Roześmiała się pogardliwie.

— Jak mogłoby być gorzej? Jack potrząsnął głową.

— Nie znasz go. Nie wiesz, do czego jest zdolny. Jego potęga nie zna granic. Wierz mi, miałaś szczęście, że udało ci się wyjść jedynie z takim uszczerbkiem. My, którzy musieliśmy z nim żyć, nosimy gorsze blizny.

Francie wyłączyła się, próbując spojrzeć na niego z większego dystansu. Jego słowa spowodowały chaos w jej myślach. Wiedziała, że to, co powiedział o potędze i nieskończonej złośliwości Antona Magnusa, jest prawdą. Lecz ta prawda nie usprawiedliwiała Jacka. Wręcz przeciwnie. Wiedziała, że musi się trzymać tego faktu i nie zapominać o nim.

— Tak czy inaczej — powiedział — to już skończone. Belinda ma własną przyszłość. Poradzi sobie. Jeśli chodzi o mnie, jestem dużo biedniejszy, ale wolny. Oszczędzałem zresztą na tę chwilę od lat. Mam dość pieniędzy, żeby założyć własną firmę. Może nie będzie to nic wielkiego, ale będzie moje.

Przerwał, wpatrując się w nią z czułością.

— Chcę cię mieć z powrotem, Francie. Kocham cię. Jesteś wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem.

Zapadło milczenie. Francie wlepiła w niego zwięzione gniewem oczy. Kiedy w końcu się odezwała, jej głos był pełen zaskakująco głębokiej nienawiści.

— Ty bydlaku.

Słowa te wywarły na nim piorunujący efekt. Wyglądał, jakby został spoliczkowany.

— Nie nazywaj mnie tak — poprosił cicho.

— Ty bydlaku — powtórzyła. — Wydaje ci się, że przyszedłeś tutaj nieskalany jak świeży śnieg, by żądać tego, co ci się słusznie należy. Przypuszczam, że dla ciebie jest to logiczne. Ale powiedziałeś jedną prawdziwą rzecz, Jack. Jestem wolną kobietą. Żaden mężczyzna nie ma nade mną takiej władzy, żeby to zmienić. Ani twój ojciec, ani z pewnością ty. A teraz wynoś się stąd.

— Nic nie rozumiesz. Zrezygnowałem z wszystkiego dla ciebie. Tak, jak napisałem w liście, w dniu... w dniu, w którym on cię wyrzucił z pracy. Wróciłem do ciebie, gdyż stałem się wolny. Zerwałem z tamtym światem, Francie. Już nigdy go nie zobaczysz. Mamy przed sobą całą przyszłość.

— Powiedziałam, żebyś się wynosił! — krzyknęła z nagłą gwałtownością. — Myślisz, że kobiety to przedmioty, które zużywasz i wyrzucasz? Cóż, ja jestem tą jedyną zabawką, której nie możesz dostać z powrotem.

Zdawała sobie sprawę, że dając się ponieść złości, powiedziała za dużo. Lecz nie była w stanie powstrzymać tego wylewającego się samorzutnie potoku słów.

Jack poderwał się na równe nogi. Jednym susem pokonał dzielącą ich przestrzeń i chwycił ją w żelaznym uścisku. — Więc tak o mnie myślisz? — wysyczał jej w ucho. — Po tym wszystkim, co było między nami? Że bawiłem się tobą? Bo jeśli tak, jeżeli tak właśnie odbierałaś to w Paryżu, to jestem skończony. Powiedz prawdę! Mów!

Jego głos naładowany był gniewem, lecz także natarczywym błaganiem. Uświadomiła sobie, jak głęboko go zraniła. Z wolna rozluźnił uścisk. Patrzyła na niego oczyma pełnymi bólu i zawodu.

Bardzo powoli potrząsnęła głową. Nie umiała go okłamać. Nie potrafiła być do końca aktorką w tym potwornym momencie.

Wykorzystał jej chwilową dekoncentrację i objął ją nieoczekiwanie, zbyt nieoczekiwanie, by zdołała się obronić. Na jej ustach znów zagościł ten namiętny, pełen czaru i tajemniczości pocałunek, który niegdyś rozpałił tysiące fantazji w jej dziewczęcym umyśle. Przez ułamek sekundy poczuła w sobie dawną uległość.

Opanowała się jednak błyskawicznie i odepchnęła go z furją.

— Myślisz, że tym coś zmienisz... — wysyczała. — Niczego nie zmienisz...

— Mylisz się — powiedział, chwytając ją mocno za nadgarstki. — Nie muszę niczego zmieniać. Nic się nigdy nie zmieniło między nami. Przez ostatnie trzy lata ani na sekundę nie przestałem o tobie myśleć. Twój obraz stawał mi przed oczyma, kiedy najmniej się tego spodziewałem, w natłoku pracy, na ulicy, podczas obiadu, we śnie. Żyłem z tą męczarnią na co dzień. I ty też. Wiem to. Nie próbuj zaprzeczać. Powiedz mi, że nie czułaś tego. No już, zaczynaj... Nim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją ponownie. Wiła się szaleńczo w jego uścisku, walcząc z nim każdą cząstką ciała. Lecz jej zmagania skażone były dreszczem mimowolnego podniecenia, a krzyki protestu nie różniły się zbyt od jęków ekstazy. Bliskość kruchego, rozzłoszczonego, pobudzonego ciała, prężącego się w jego ramionach sprawiła, że Jack oszalał z pożądania.

W jego gardle zabrzmiał ochryply jęk. Zmysły przepełnione były jej zapachem, jej słodkimi wargami, jej płochliwym, małym językiem odwzajemniającym jego pieszczoty wbrew największym wysiłkom, by nie ustawać w nienawiści. Czuł jędrne piersi ocierające się o jego tors i piękne, długie uda, miotające się w walce. Wyczuwał wręcz jej podniecenie, magiczny aromat kobiecego pragnienia wymieszany z wściekłością i bezradnością. Myślał, że zaraz zwariuje. Bał się, że weźmie ją siłą, nawet gdyby miał przez to utracić ją na zawsze, ponieważ namiętność, jaką w nim wyzwalala, była po prostu zbyt wielka, żeby się jej oprzeć.

W którymś jednak momencie Francie szarpnęła się tak mocno, że zdołała przerwać obręcz jego ramion. Wskoczyła na kanapę. Stała, patrząc na niego z góry, wysoka i gibka, z włosami w nieładzie, z piersią falującą po walce, z oczyma ożywionymi złożonym, hipnotycznym wyrazem. Nigdy nie wyglądała równie pięknie. W tej sekundzie Jack uświadomił sobie, że nie utracił władzy nad jej zmysłami, ale także, że jej władza nad jego sercem wzrosła przez lata rozłąki.

— Kocham cię — powiedział. — Mój Boże, tak cię kocham...

Spojrzenie dziewczyny spochmurniało. Była jakby zażenowana. Jej gniew nie stracił na sile, a jednak zaczynała się wahać.

— Wyjdź za mnie — poprosił.

— Wynoś się! Wynoś się z mojego życia! — odpowiedziała, lecz ton jej głosu stracił poprzednią stanowczość.

— Nie mogę żyć bez ciebie. Popatrz na mnie. Nie widzisz, że to prawda?

— Odejdź — zacisnęła mocno powieki. — Idź! Proszę... Błagalna nuta w jej słowach podsunęła Jackowi desperacki pomysł.

— Posłuchaj mnie. Za sześć tygodni otrzymam rozwód. Czy jeśli obiecuję, że cię nie dotknę, dopóki się nie pobierzemy, powiesz „tak”? Dopóki nie pobierzemy się w kościele, przed całym światem? Nie wcześniej. Czy zgodzisz się, jeśli to przyrzeknę! Żadnych więcej tajemnic, żadnych niedomówień. Zostań moją żoną, Francie. Zrobię dla ciebie wszystko. Oddałbym nawet życie...

We Francie szalała burza, a raczej trzęsienie ziemi. Cała rozdygotana spoglądała na niego z wysokości kanapy.

— Czy to wszystko prawda? — spytała.

Pochylił się do przodu. Malująca się na jego twarzy namiętność sprawiła, że wyglądał dziko i niebezpiecznie, jak lampart szykujący się do skoku.

— Prawda — odrzekł. — Każde słowo. Powiedz „tak”. Popatrzyła na niego przeciągle i twardo. Przez jej buzię, jak w kalejdoskopie, przewijały się tysiące sprzecznych emocji. Widział dokładnie cenę, jaką płaciła za jego wyznanie. Niszczła dosłownie na jego oczach. Potem to wszystko zniknęło, zastąpione odległym, zamyślonym, niemal zimnym spojrzeniem.

Po chwili, bardzo powoli, w zielonych oczach zaświeciło coś na kształt czułości. Czułości i przyzwolenia.

Opadła na kolana na dywan. Z potarganymi włosami, kuląc smukłe ciało na podłodze, podniosła na niego wzrok.

Była niezaprzeczalnie najpiękniejszą samicą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi. I wypowiedziała słowa, po których omal nie zemdlął.

— Dobrze. Wyjdę za ciebie.

— Och, Francie...

— Ale umowa obowiązuje. Będzie tak, jak powiedziałeś.

— Dokładnie. Zrobię wszystko, wszystko. Poświęcę dla ciebie swoje życie.

— Poza tym ja też mam pewną sprawę do ukończenia. Potrzebuję trochę czasu. Kilka miesięcy.

— Co tylko zechcesz.

— A zatem w porządku.

Kłęczeli na dywanie, oboje w pewien sposób zaszokowani i patrzyli sobie w oczy, połączeni przez tysiąc katuszy i zapamiętanych radości, a teraz przez obietnicę czegoś, co jeszcze kilka dni temu wydawało się niemożliwe, a co zmieni ich życia.

Potem Jack przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Miał nadzieję, że Francie nie słyszy przyspieszonego oddechu i kołatania jego serca, ani nie wyczuwa ogromu jego pożądania. Lata czekania zrobiły swoje. Lecz dziś trzymał ją wreszcie w ramionach.

Jest teraz moja, pomyślał.

Był pijany ze szczęścia. A ona szeroko otwartymi, jasnymi oczyma spoglądała spod jego ramienia, przez półmrok pokoju, w przyszłość, o której nie śmiała dotąd marzyć.

Księga III
SZACH — MAT

ROZDZIAŁ 44

Nowy Jork, 19 stycznia 1960

Scott Monteagle siedział przy wypolerowanym, mahoniowym biurku, naprzeciw Antona Magnusa.

Znajdowali się w gabinecie rezydencji przy Park Avenue. Przed chwilą zakończył się przebiegający w sztywnej, aczkolwiek znośnej atmosferze obiad, w którym uczestniczyły Julie i jej matka. Kiedy panie wycofały się do salonu, Anton zabrał Scotta na górę, by odbyć z nim poważną rozmowę.

Julie targały sprzeczne uczucia wobec konfrontacji narzeczonego z ojcem. Z jednej strony była dumna, prezentując go obojgu rodzicom. Z drugiej, czuła się zaniepokojona i zdegustowana, narażając ukochanego na stawianie czoła Antonowi Magnusowi. Strach przed ojcem był u niej tak zakodowany jak oddychanie. Nie chciała, by Scott wchodził na jego orbitę.

Nienawidziła rodziny tak głęboko, iż usiłowała przekonać Scotta, żeby po prostu czekał na nią w Londynie.

Wydziedziczenie i tak było nieuniknione, więc posłałaby tylko rodzicom uprzejme zaproszenie na ślub. Ich sprawą byłoby, czy na niego przyjadą.

Dla Julie był to najłatwiejszy sposób. Lecz Scott wywodził się ze starej szkoły i życzył sobie formalnie poprosić starego o rękę córki. Tak był wychowany przez wiele pokoleń Monteagle'ów. Chociaż rodzina utraciła pozycję społeczną, nadal kultywowała tradycje.

W rezultacie Julie była zadowolona, że Scott uparł się stanąć twarzą w twarz z jej ojcem. Była dumna z jego odwagi. Wiedziała, że ojciec wymyślił sobie dla niej lepszego partnera na życie i na pewno nie zaakceptuje takiego golca jak Scott. Ponieważ jednak Scottowi nie zależało na fortunie Magnusów, akceptacja jej rodziny nie była dla niego istotna. Julie już widziała konsternację ojca, kiedy jego życzenia i potęga zostaną zignorowane. Myśl ta sprawiała jej przyjemność.

Ponadto uczciwość Scotta i jego miłość sprawia, że sprzeciw starego będzie śmieszny. Silny charakter Scotta czynił go godnym przeciwnikiem dla Antona. Nie da się zastraszyć obrosłej legendą broni Magnusów, jaką był ich majątek.

W każdym razie i tak poślubi Scotta, niezależnie od wszystkiego. Nic jej nie powstrzyma.

— Tak długo, jak mnie chcesz — oświadczyła mu — jestem twoja.

Tak więc sytuacja nie była przegrana, choć dla Julie wysoce nieprzyjemna. Wprowadzenie Scotta do świata Magnusów wydawało jej się czymś grzesznym, przynoszącym mu ujmę. Nawet, jeśli robiła to na tak krótko.

Podczas obiadu, kiedy rodzice wypytywali Scotta o jego środowisko i życie, była opanowana.

— To wszystko stało się tak nagle — powtarzała raz po raz matka z wyrazem źle maskowanego niepokoju, gdyż polubiła chłopaka i zdawała sobie jednocześnie sprawę, iż jego ubóstwo nigdy nie przypadnie do gustu jej mężowi. Jej zachowanie było czymś pośrednim między zachowaniem wesołej swatki a przestraszonego królika.

Scott reagował na jej paplaninę z uprzejmością, w której wyczuwało się już serdeczność kochającego zięcia. Prawił jej komplementy, wypytywał o zainteresowania, a nawet odkrył, że mają ze sobą coś wspólnego: malowanie akwareli.

— Jak tylko przyjedzie pani w odwiedziny, wybierzemy się razem do Hyde Parku — obiecał.

— Możemy pójść tutaj, do Central Parku — zaproponowała matka pospiesznie, rzucając przestraszone, ukradkowe spojrzenie mężowi. — Zrobimy sobie miłą wycieczkę. Będzie zabawnie...

Anton Magnus mówił niewiele. Widocznie moment prawdy miał nadejść później. Kiedy podano kawę i brandy, matka i córka przeszły do salonu, podczas gdy Scott podążył za Antonem do wykładanego drewnem orzechowym gabinetu, którego okna wychodziły na tylny trawnik.

Pomieszczenie to cechował zaskakująco powściągliwy wystrój. Jediną ozdobę stanowiły umieszczone na biblioteczce fotografie rodziny oraz zdjęcie prezydenta z autografem, podkreślające rangę gospodarza tego pokoju. Scott wygłosił komplement pod adresem wspaniałości rezydencji i gustu domowników. Zrobił to tonem grzecznym i pełnym szacunku, choć nieco bezosobowym.

Usadowiwszy się za biurkiem, Magnus przyjął pozę łagodnego ojczulka, tak dobrze znaną jego przyjaciółom i wrogom. Spojrzał na Scotta badawczo.

— Czy mogę zadać panu pytanie, panie Monteagle?

— Ależ oczywiście. Niech pan pyta.

— Jak pan się czuł, kiedy pański ojciec stracił majątek? Scott pomyślał przez chwilę.

— Chce pan przez to powiedzieć, gdy się zabił? Magnus obserwował przez moment unoszący się do sufitu dym z cygara.

— No dobra, jak pan się czuł, kiedy się zabił? Młody człowiek spoważniał.

— Byłem smutny. Smutny i zły. Smutny, że go utraciłem i zły, że człowiek może odebrać sobie życie z tak błahego powodu jak pieniądze.

Był zadowolony ze swojej odpowiedzi. Jego pogarda dla pieniędzy datowała się od dnia, w którym usłyszał o śmierci ojca. Magnus wyraźnie się zainteresował.

— Nie zależy panu zbyt na pieniądzach, prawda? Scott potrząsnął głową.

— Nie bardzo. Za pieniądze nie można kupić szczęścia. Magnus spojrzął mu w oczy.

— Na świecie są miliony ludzi żyjących w skrajnej nędzy, którzy powiedzą panu, żeby im pan nie opowiadał o szczęściu, sprawiedliwości czy prawdzie, dopóki nie będą mogli postawić na stole solidnego posiłku. Dla nich pieniądze coś znaczą. Tak jak i dla moich przodków, mógłbym dodać.

Scott pokiwał głową w zadumie. Rozumiał intencje swojego rozmówcy.

— Ci ludzie głodują — powiedział — są ofiarami niesprawiedliwości i obojętności. Gdyby jednak mieli za co najeść się do syta, to i tak musieliby szukać szczęścia i spełnienia, jak reszta bardziej szczęśliwych ludzi. A wtedy pieniądze by im nie pomogły. To prawda, że bez pieniędzy, podobnie jak bez zdrowia, życie jest niemożliwe. Lecz zdrowie nie stanowi o sensie życia. Pieniądze też nie.

Teraz Magnus musiał mu w duchu przyznać rację. Widział, że wybranek Julie jest inteligentny.

— A co by pan czuł, gdyby Julie musiała zrezygnować ze spadku, żeby pana poślubić?

— Ulgę. Szczerze mówiąc, nie chciałbym, żeby między nami stała taka fura pieniędzy. Ufam we własne możliwości i jestem w pełni przekonany, że będę w stanie zapewnić Julie godziwe życie. Nie wymagam niczego więcej, ona też nie. Oboje wolelibyśmy, żeby przeznaczył pan te pieniądze na jakiś bardziej szczytny cel.

Magnus uniósł brwi.

— Nie boi się pan mówić tego, co pan myśli, prawda?

— To, co myślę, jest bardzo proste — uśmiechnął się Scott. — Kocham pańską córkę. Chcę przeżyć z nią życie.

Magnus odwzajemnił uśmiech. — A więc miłość jest dla pana aż tak ważna?

— Tak, to jedno jest dla mnie naprawdę ważne. Zamilkli. Magnus sprawiał wrażenie nieobecny duchem.

Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt zadumy, zamigotało i znikło. Zwrócił się na powrót do młodego człowieka.

— Co byłoby dla pana najgorsze w tym świecie?

— Utrata Julie — odparł Scott bez wahania.

— Bardzo wiele dla pana znaczy.

— Tak.

— Co pan o niej wie?

— Wszystko, co powinienem.

— Wie pan, że miała, mówiąc ogólnie, burzliwą przeszłość?

— Wiem.

— I to panu nie przeszkadza?

— Dlaczego miałoby mi przeszkadzać?

Scott zauważył z niepokojem, że wyraz oczu starego zmienił się gruntownie. Zniknęła gdzieś ojcowska gościnność. Ich głębia była mroczna, pusta jak oczy drapieżnika. Żadnego błysku ludzkiego zainteresowania, ludzkiej słabości czy bezradności.

Instykt mówił mu, że między Julie a jej ojcem stało coś strasznego. Przyszło mu do głowy, że jej młodzieńcze szaleństwa miały coś wspólnego ze stosunkami pomiędzy nią a Antonem. Jeden wieczór spędzony w towarzystwie jej rodziny uwidaczniał to aż nadto.

Nadszedł czas, żeby uwolnić ją od Magnusów. Scott był tutaj, by tego dokonać. I nie wycofa się. Wyczuwał, jak niebezpieczny jest Magnus. Był jednak pewien, że jego miłość do Julie może zmierzyć się z tym, co kryło się w czarnych oczach jej ojca. Siedzieli w milczeniu. Magnus próbował przeświecić młodego człowieka wzrokiem. Scott przyjmował świdrujące spojrzenie bez mrugnięcia. W końcu stary przemówił.

— Julie jest mi bardzo droga. Myślę, że w pewien sposób jest najbardziej wyjątkowa z całej mojej trójki. Czuję się za nią szczególnie odpowiedzialny, panie Monteagle. Jej życie

nie było dotąd łatwe. Chcę, żeby od tej pory było spokojne i szczęśliwe.

— Widzę, że chcemy tego samego — powiedział Scott z uśmiechem.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Wwiercające się w Scotta oczy były hipnotyczne, niewymownie intensywne.

Niespodziewanie Magnus uśmiechnął się i odsunął krzesło. Wyciągnął rękę nad biurkiem.

— Witaj w naszej rodzinie. Sądzę, że będziesz świetnym zięciem i wspaniałym mężem dla Julie.

Uścisnęli sobie dłonie i ruszyli w kierunku drzwi.

— Na kiedy ustaliliście datę ślubu? — spytał Anton.

— Na czerwiec.

— Pod koniec maja czeka mnie operacja. Nic poważnego, zastarzały uraz kręgosłupa. Będę jednak musiał poleżeć przez parę tygodni. Czy moglibyście z tego powodu odłożyć ślub o miesiąc lub coś koło tego? Bardzo chciałbym w nim uczestniczyć.

— Czemu nie. Porozmawiam o tym z Julie. Jestem pewien, że się zgodzi.

— I jeszcze jedno. Niestety, muszę się sprzeciwić twojej woli w kwestii pieniędzy. Czuję się bardzo związany z córką. Pragnę, by jej niczego nie brakowało. Nie chcę jej wydziedziczać. Chcę, żeby zawsze czuła się częścią tej rodziny i moją ukochaną córeczką.

— To pańska decyzja, proszę pana. Mam nadzieję, że zrozumie pan, iż nasza decyzja o utrzymywaniu się z własnych dochodów nie była objawem braku szacunku do pana. Chcieliśmy po prostu być samodzielni.

Przewidział ten moment, choć nie przedyskutował tego z Julie. Ostatecznie mogą zawsze zostawić pieniądze Magnusa jako fundusz powierniczy dla swoich dzieci. Scott nigdy ich nie dotknie. Wiedział, że Julie też nie. Niemniej jednak przemyślał nad talentem Antona Magnusa jako negocjatora. Położył po prostu pieniądze z powrotem na stole, kiedy Scott i Julie usiłowali wykreślić je jako kwestię sporną. I zdołał nakłonić Scotta do odłożenia ślubu, aczkolwiek tylko na jakiś czas.

Przypomniał sobie ostrzeżenia Julie. Anton Magnus jest przebiegłym i niebezpiecznym człowiekiem.

Ale zgodził się na ich małżeństwo. Może dlatego, że uświadomił sobie odporność Scotta na broń, za pomocą której

mógłby z łatwością zniechęcić innych młodych zalotników. A może dlatego, że rzeczywiście dostrzegł potęgę miłości Scotta do Julie i wyczuł, że Scott będzie dla niej odpowiednim partnerem.

Tak czy inaczej, poddał się.

Kiedy wychodzili, żeby podzielić się dobrą nowiną z paniami, Scott pomyślał, że dopiął swego.

Anton Magnus nie jest taki twardy, jak o nim mówiono.

ROZDZIAŁ 45

„New York Times”, 21 stycznia 1960

OGŁOSZONO ZARĘCZYNY MAGNUS — BOLLINGER *Ogłoszono zaręczyny panny Frances M. Bollinger, córki pana Marcusa Bollingera i Helen Bollinger, z panem Johanem F. Magnusem z Nowego Jorku.*

Panna Bollinger ukończyła Uniwersytet w Pensylwanii i jest obecnie prezesem firmy CompuTel w Nowym Jorku. Pan Magnus posiada dyplomy uniwersytetów Yale i Harvard i do niedawna pełnił funkcję wiceprezesa do spraw rozwoju międzynarodowego w Magnus Industries. Kilka miesięcy temu zrezygnował na rzecz innych interesów.

Francie i Jack spleceni byli tak ciasnym uściskiem, że ich ciała płonęły.

Siedzieli na kanapie w apartamencie Jacka. To tutaj, całe wieki temu, Francie wyniszczyła Jackowi plan komputeryzacji filii europejskich Magnusa. Jakże daleko odeszli oboje od tamtego momentu! Tamto wydawało się zamierzchną historią.

Umieśnione ciało Jacka nigdy nie było bardziej pociągające niż teraz. Długie ramiona trzymały Francie blisko, tak że¹ czuła go całego, napiętego jak struna i spragnionego. Upajał ją smak jego warg, a język ocierający się o jej język wywoływał dreszcze pożądania.

Kiedy jej sutki zaczęły już nabrzmiewać i prężyć się pod oddzielającą ich od siebie tkaniną, zdołała oderwać się od niego.

— O rany! — łapała powietrze z niewyraźnym uśmiechem. — Proszę, Jack! Wystarczy! Już dość...

W jego wyrazie twarzy było coś pośredniego między cierpieniem a rozkoszą.

— Trudno ci się oprzeć — powiedział. — Nigdy nie było mi tak trudno kontrolować siebie.

— To już niedługo — uśmiechnęła się.

Oboje znali reguły. Nie zostaną małżeństwem jeszcze przez co najmniej pięć miesięcy. Choć Jack za dwa tygodnie uzyska rozwód, Mollie była nadal na etapie ostatecznego wygładzania i wejdzie na rynek nie wcześniej niż w czerwcu. Francie dała Jackowi wyraźnie do zrozumienia, że nie zostanie jego żoną, dopóki jej wielki eksperyment nie dobiegnie końca, niezależnie od rezultatu.

A Jack, aczkolwiek niechętnie, zaakceptował to.

— Powiem pani coś, przyszła pani Magnus — powiedział, przesuwając ręką po włosach. — Nikt nigdy nie pragnął ukończenia jakiegokolwiek przedsięwzięcia tak bardzo, jak ja pragnę ukończenia tej twojej Mollie. Niekiedy wydaje mi się, że eksploduję, zanim ta cholerna maszyna wejdzie na rynek.

— Robię, co w mojej mocy — odparła, odchylając się do tyłu.

Podziwiał jej smukłe ciało ukryte dziś pod spodniami i miękkim swetrem, dzięki któremu sprawiała wrażenie cieplejszej i przystępniejszej niż zwykle.

— Nikt nie wie o tym lepiej niż ja — przytaknął jej słowom. — Spędzasz osiemnaście godzin na dobę w tym swoim przeklętym magazynie. Trudniej cię spotkać niż samego Antona Magnusa.

— A mimo to nie mogę się pochwalić takimi sukcesami jak on — zażartowała.

— Jeszcze trochę — pocieszył ją. — Widzę twoją przyszłość w różowych barwach. Z każdym dniem idzie ci lepiej, a więc sukces murowany. Mam do tego nosa jako stary wyga w biznesie.

Chociaż spotykali się rzadko (co było nawet dobre, gdyż ich wspólne wieczory nieodmiennie kończyły się takimi właśnie momentami niedosytu i zawodu), Francie opowiedziała mu bardzo dużo o koncepcji i ogólnym projekcie Molliej robiąc z niego swego gorącego zwolennika.

Jack zdecydował rozpocząć nowe życie w biznesie od założenia firmy inwestycyjnej. Powiedział Francie, że Mollie będzie dla niego idealnym narzędziem w tym nowym przedsięwzięciu.

— Nie tylko stanę się osobiście twoim klientem, ale posiadam też duże wpływy w tym mieście i w całym kraju. Jestem w stanie napędzić ci całe tabuny klientów, i zrobię to.

— Każda pomoc w tej kwestii jest dla mnie cenna — odparła.

Przedyskutowała z Jackiem obawy o to, że Mollie zbyt wyprzedza swój czas i że koszt maszyny oraz strach przedsiębiorców przed samodzielnym obsługiwaniem komputera mogą doprowadzić do tego, iż cała operacja okaże się niewypałem.

Lecz Jack podtrzymywał ją na duchu.

— Kluczową sprawą jest to, że wychodzisz naprzeciw zapotrzebowaniu. Wszystkie firmy w tym kraju pracują według przestarzałych metod. Cały świat biznesu aż krzyczy o usprawnienia, żeby skończyć z marnotrawieniem roboczogodzin i zawyżaniem kosztów. Mollie jest receptą na to wszystko. Wyprzedza naturalnie swój czas, ale tak samo było z telefonem, dalekopisem czy radiem tranzystorowym. Na tym polega urok tego, co robisz, Francie: stoisz na krawędzi przyszłości.

Podziękowała mu za słowa otuchy, dodając przy okazji kilka szczegółów na temat funkcjonowania Mollie. Lubił jej słuchać, choć musiał przyznać, że niekiedy to, co mówiła, brzmiało dla niego jak czarna magia.

— Kiedy się pobierzemy i ludzie będą mnie pytać, czym zajmuje się żona, będę odpowiadał, że jestem ekspertem od komputerów. To brzmi nieźle. Choć z drugiej strony mógłbym mówić, że jestem żonaty z przedsiębiorcą, prezesem własnej firmy. To mi się nawet bardziej podoba.

Ileć raz jednak pojawiał się temat małżeństwa, nie mógł się powstrzymać, by jej nie przytulić i nie zadać sakramentalnego pytania.

— Jak długo jeszcze? Nigdy w życiu nie czekałem na nic tak długo.

Wtedy ona zapewniała go, że już niedługo.

Lecz sącący się do jego ucha cichy głos i bliskość jej warg zabijały w nim samokontrolę i przyciskał ją do siebie w kolejnym z upojnych, szaleńczych pocałunków, które ich oboje tak bardzo podniecały.

Małżeństwo zdominowało ich rozmowy. Dyskutowali kwestię zamieszkania i planowali, gdzie spędzą miodowy miesiąc. Jack znalazł nowe mieszkanie przy Piątej Alei, ze wspaniałym widokiem na park. Już teraz urządzali je wspólnie, dowiadu-

jąc się przy okazji więcej o swoich gustach i upodobaniach. Uzgodnili, że miejsce to powinno wyglądać nowoczesnie, funkcjonalnie i skromnie. Spędzili kilka godzin w galeriach, szukając obrazów i w magazynach meblowych, dobierając umeblowanie.

Miesiąc miodowy zamierzali spędzić w rejsie na Wyspy Dziewicze, z dłuższym przystankiem na Karaibach, gdzie Jack znalazł willę, w której przeżyją dziesięć dni odcięcia od świata i ludzi.

Tak więc pozostawało im jedynie czekać, aż Mollie będzie gotowa do zaprezentowania szerokiej publiczności, a potem będą mogli cieszyć się wolnością i sobą nawzajem, jako mąż i żona.

Jack zaakceptował co prawda warunki Francie, lecz fakt przebywania w bliskości tak pięknej kobiety bez możliwości zdjęcia ubrania z tego cudownego ciała i napawania się jej wdziękami, wyprowadzał go z równowagi.

Przypominało mu to okres dorastania, czas, kiedy dla nieśmiałego nastolatka dziewczyny były magicznymi obiektami westchnień, niedostępnymi przez fakt swojej młodości i jego dziewictwa. Czas, kiedy młodzieńcy idealizują dziewczęta, wielbią je platonicznie i zatracają się w erotycznych fantazjach na ich temat.

Tak właśnie czuł się teraz przy Francie. Choć zaznał już niegdyś przyjemności jej ciała, wspomnienia te kryły się za nieprzezroczystą zasłoną. Obecnie pełna była tajemniczości. Kiedy się wreszcie pobiorą i posiadzie ją, będzie to tak, jakby kochali się po raz pierwszy.

Czekanie zabijało go. Z każdym dniem jego pożądanie osiągało trudniejszy do zniesienia poziom. Lecz proporcjonalnie do tego rosła jej uroda i gratulował sobie, że ta niewiarygodnie piękna, utalentowana, olśniewająca istota, będzie należała do niego.

Być może dlatego też nie mógł się powstrzymać przed zapytaniem jej o jej życie erotyczne po tamtych pierwszych, zerwanych zaręczynach.

— Wiem, że nie mam prawa o to pytać, ale czy miałaś... to znaczy... czy był ktoś?..

— Jestem wolną kobietą, Jack — odpowiedziała.

— Masz rację. Nie powinno mnie to interesować. Przepraszam. Zapomnij, że o tym wspomniałem—poprosił zawstydzony.

— Ale odpowiadając na twoje pytanie, nie, nie było i nie ma nikogo — jej słowa brzmiały prosto i szczerze.

Twarz Jacka rozjaśniła się.

— Zresztą, kiedy miałabym na to czas, skoro Mollie zabiera mi osiemnaście godzin dziennie — roześmiała się. Przytulił ją mocno. Myśl o tym, że mógłby jej pożądać jakiś inny mężczyzna sprawiła, że szczupłe ciało w jego ramionach stawało się jeszcze bardziej tajemnicze i egzotyczne. Była teraz starsza, bardziej zamknięta w sobie niż wtedy, kiedy spotkał ją po raz pierwszy. Nawet jej pocałunki miały nowy posmak, czyniący ją tym bardziej atrakcyjną. Wiedział, przez co przeszła w ciągu ostatnich lat i widział, jak dzięki temu dojrzała. Kiedy ją poznał, była bardziej dziewczynką niż kobietą. Genialną i pewną siebie, lecz ciągle niewinną. Teraz posiadała enigmatyczny urok wywodzący się z prawdziwej kobiecości. Stała się o wiele bardziej zmysłowa, a przez to o wiele bardziej nieodparta.

Jack miał wrażenie, że wybuchnie z pożądania, o ile ten jej przeklęty komputer nie zejdzie wreszcie z desek projektantów na rynek.

Tak więc czekali, zbliżając się do siebie coraz bardziej, rozdzieleni jedynie przez czas i kotarę, która w sposób nieunikniony oddziela od siebie myśli dwóch istot ludzkich.

ROZDZIAŁ 46

Belinda Devereaux siedziała samotnie przy kuchennym stole, z zawiadomieniem o zaręczynach Jacka i Francie w dłoni.

Patrzyła na nie spokojnie, zupełnie nieświadoma łez spływających po jej policzkach.

Belinda mieszkała teraz sama. Znalazła pracę jako nauczycielka angielskiego w prywatnej szkole na East Side. Wynajęła apartament w eleganckim budynku nie opodal szkoły i dojeżdżała do Uniwersytetu Columbia, gdzie rozpoczęła pracę nad doktoratem z literatury romantycznej.

Dzieliła swoje wypełnione pracą dni pomiędzy nauczanie i poszukiwanie materiałów w bibliotece w Columbii, a wieczorami i w weekendy pisała rozprawę doktorską.

Nie przestawała się zastanawiać, czy wzięła na siebie tyle zajęć, żeby uniknąć rozmyślania o tym, co utraciła. Żyła z dnia na dzień, nie troszcząc się o przyszłość.

Nie była zaskoczona, kiedy Jack poprosił o rozwód. Ich małżeństwo stało się tak jałowe, że torturą byłoby ciągnięcie tego dalej. Szczerze mówiąc, Belinda odczuła ulgę, że wyplątała się z tego nieznośnie kłopotliwego położenia.

Co innego jednak rozum, a co innego serce. Pokochała Jacka od pierwszego wejrzenia i kochała go nadal. Jego utrata była utratą części siebie samej. Lecz już dawno poznała tragiczną prawdę, że bycie jego żoną nie jest lekarstwem na fatalną dolegliwość, jaką była miłość do niego. Równie dobrze mogła pozwolić mu odejść. Tak czy tak, musiałyby nauczyć się żyć na własną rękę. Lepiej zatem, żeby ułożyła sobie życie zupełnie bez niego.

Była właśnie w trakcie realizacji tego pracochłonnego, beznadziejnego przedsięwzięcia, kiedy jej wzrok przyciągnęło zawiadomienie w porannym „Timesie”.

To, że Jack wybrał piękną Francie Bollinger, nie zaskoczyło Belindy. Kobięca intuicja mówiła jej już dawno, że ta dziewczyna zajmuje szczególne miejsce w jego sercu.

Teraz wreszcie będzie szczęśliwy. Stanowiło to dla niej pewną pociechę. Skoro nie mogła go mieć dla siebie, chciała, żeby był szczęśliwy z kobietą, która może mu dać to, czego pragnie.

To były pierwsze myśli, jakie przyszły Belindzie do głowy po przeczytaniu nowiny. Pierwsze, ale nie jedyne.

Przez ostatnie trzy lata dowiedziała się dużo o Jacku, o jego stosunkach z ojcem i o Magnus Industries. Belinda była inteligentna, o wiele bardziej inteligentna, niż to sobie uświadamiała. Przywykła do analizowania subtelnych podtekstów najbardziej genialnych powieści i do penetrowania ukrytych motywacji złożonych charakterów powieściowych.

A teraz miała przeczucie, że w tych zaręczynach kryje się coś więcej, niż można dostrzec gołym okiem.

Lecz co?

Belinda przypomniała sobie spotkanie z tą Bollinger na przyjęciu u Magnusów. Uderzyły ją wówczas jej uczciwość i szacunek do samej siebie. Była dumną dziewczyną.

A potem została głęboko zraniona przez Jacka, tak głęboko, jak może być tylko kobieta porzucona dla innej, w tym wypadku dla samej Belindy.

Wylano ją z pracy w tym samym czasie, kiedy Jack się ożenił. Belinda słyszała też, że później, kiedy założyła i rozbu-

wała własną firmę, prawnicy Magnusa wnieśli przeciw niej sprawę do sądu o naruszenie praw patentowych. Belinda dowiedziała się o tym nie od Jacka, lecz z dokładnej lektury „Wall Street Journal”, stanowiącej jeden z pośrednich sposobów śledzenia kariery zawodowej męża.

Francie Bollinger nie mogła mieć bardziej zajadłego wroga niż Magnus Industries i straszniejszej urazy niż ta, jaką żywiła do Antona Magnusa.

Dlaczego zatem przyjęła Jacka z powrotem?

Oto było pytanie.

Z tą myślą Belinda odłożyła gazetę. Później wytnie z niej zawiadomienie o zaręczynach i wklei do pamiętnika jako ostatni zapisek dotyczący jej związku z Jackiem. Przez resztę jej życia będzie on czymś w rodzaju tragicznego, lecz niezbędnego kamienia milowego na jej drodze.

Teraz jednak zamknęła oczy i przywołała na myśl obraz Francie Bollinger i Jacka.

Musiała przeanalizować parę spraw.

ROZDZIAŁ 47

Sam Carpenter siedział samotnie na swoim strychu.

Ogromny salon był teraz pusty. Przestrzeń zajmowana niegdyś przez jego ukochany 9292 była wolna, gdyż 9292 stał się Mollie, a Sam ostatecznie pozbył się jego zdewastowanego kadłuba.

Powłoki, która przeżyła swoją użyteczność, podobnie jak marzenia Sama.

Rozejrzał się po mieszkaniu, kontemplując jego przeraźliwą pustkę. Z półki w łazience zniknęły przybory toaletowe Francie, jej szczotki, perfumy, szminki. W kuchni pozostał prezent od niej, nowy dzbanek do kawy, jako rozziewające serce wspomnienie spędzonych wspólnie poranków, filiżanek aromatycznego płynu wypijanych w spokoju po przebudzeniu się obok siebie.

Na starym stole w salonie nie było śladu po stertach notatek i wydruków komputerowych, które Francie zwykła przeglądać w nielicznych wolnych chwilach. Stała na nim tylko popielniczka i butelka pitego właśnie piwa.

Dwa wieszaki w szafie, na których wisiały wiosenny prochowiec i wełniana jesionka Francie, były teraz nagie.

A co najgorsze, ulotnił się gdzieś subtelny zapach jej obecności. Utrzymał się w powietrzu przez kilka dni po jej odejściu, niemal zabijając Sama swą słodyczą, a potem zniknął. Teraz nie było już nic prócz Sama, jego pustego życia i jego wspomnień.

Francie powiadomiła go o swoich zaręczynach ucziwie i bez owijania w bawełnę. Słuchał w milczeniu, skrywając dojmujące cierpienie. Później pogratulował jej i pomógł się spakować. Oboje wiedzieli, że spędzi tutaj ostatnią noc i nigdy więcej nie wróci.

Spytał ją, czy nie byłoby lepiej, gdyby odszedł z firmy. To była jego pierwsza myśl. Chciał uciec jak najdalej od niej. Perspektywa spotykania jej w pracy, ze świadomością, że nigdy już nie będzie trzymał jej w ramionach, była dla niego nie do zniesienia.

Poprosiła, żeby został.

— Oczywiście, zrobisz, jak zechcesz — powiedziała — lecz proszę, zostań, dopóki nie skończymy Mollie. Ona jest tak samo twoja, jak i moja. Pragnę, żebyś był przy mnie, kiedy ona ujrzy światło dzienne.

Dostrzegła wyraz oczu Sama i ujęła go za rękę.

— Jeszcze trochę, Sam. Wiem, że nie powinnam nalegać. Ale ja i tak nie wyjdę za mąż, dopóki Mollie nie będzie gotowa. Trzymajmy się razem do tego czasu. Potem zrobisz to, co uznasz za słuszne.

Zgodził się.

W związku z tym musiał teraz znosić torturę obcowania z nią. Codziennie oglądać ją przy pracy z upiętymi wysoko włosami, w fartuchu narzuconym na bluzkę i dżinsy, z rękoma ubrudzonymi od tuszu, z ołówkiem zatkniętym za śliczne uszko... Była uosobieniem wdzięku. A on przypominał sobie nieustannie, że niegdyś posiadał cząstkę z niej, a teraz utracił ją na zawsze.

Nie skomentował ani słowem jej zaręczyn. Był przekonany, że nic gorszego nie mogła zrobić. Wiedział wystarczająco dużo o Jacku Magnusie, by orientować się, że nie jest on odpowiednim mężczyzną dla Francie i niewątpliwie dla żadnej innej kobiety. Poza tym, ón już wyrządził Francie nieobliczalną krzywdę, bezpośrednio i pośrednio.

Lecz nic nie jest w stanie zmienić serca kobiety. Jeśli Francie chciała Jacka, musi go mieć.

Sam spojrział wstecz, na swoje wątpliwości odnośnie do Francie i uświadomił sobie, że przez cały czas miał rację. Jej nienawiść do Magnusów, jej zaciekle walka o sukces firmy, która mogła oznaczać jedynie zemstę, zawierała piekący wewnętrzny żar, który nie był nienawiścią, lecz miłością. Nigdy tak naprawdę nie wyrzuciła Jacka poza nawias. A kiedy wrócił wolny, by ją poślubić, nie była w stanie mu odmówić.

Być może popełniła straszliwy błąd. Lecz miłość jest błędem nie dającym się naprawić, nieuleczalną chorobą. Nikt nie rozumiał tego lepiej od Sama, którego serce będzie należało do Francie do ostatnich jego dni. Miłość jest na zawsze. Nie można podchodzić do niej z rozsądkiem, wołą, czy nawet umiarem. Kiedy już raz serce złoży sobie w darze, nie ma odwrotu.

Tak więc Sam pozostanie tylko incydentem w życiu Francie. Był jej podporą i przyjacielem. Był też kochankiem, zastępując jej Jacka w przerwie między jego odejściem a powrotem. Lecz teraz, kiedy Jack wrócił, jej serce zwróciło się ku niemu jak magnes w kierunku północy.

Podczas gdy Sam poszedł w zapomnienie...

Obecnie pracował jak szaleniec, próbując w ten sposób zapomnieć o nożu tkwiącym w jego sercu. Kiedy wracał późnym wieczorem do domu, wypijał kilka szybkich piw i walił się jak kłoda na łóżko. Niekiedy sen nadchodził szybko, lecz bywało i tak, że całe noce rzucał się i przewracał z boku na bok, dręczony myślami o Francie i rozdzierającym dylematem jak żyć, skoro jego dusza jest martwa.

O piątej rano zwlekał się z łóżka i jechał do Mollie po zapomnienie, wiedząc, że kiedy dzień dobiegnie końca, czeka go znów samotność jego poddasza.

Nigdy nie wyobrażał sobie takich męczarni. Co wieczór zadawał sobie pytanie, jak długo jeszcze to wytrzyma.

Lecz Francie wymogła na nim obietnicę pozostania.

— Tylko dopóki nie skończymy Mollie — powiedziała wówczas. — Potem będziesz wolny. Zrób to dla mnie, Sam. Proszę...

Zrobi to dla niej.

A kiedy już skończą, przystąpi do daremnej próby zapomnienia o niej.

ROZDZIAŁ 48

We wtorek 25 stycznia Scott Monteagle wyszedł z hotelu udając się na spotkanie z przedstawicielem nowojorskiej firmy prawniczej, będącej partnerem jego macierzystej firmy. Zamierzali omówić kilka kontraktów i porozmawiać o paru klientach, korzystających z usług zarówno amerykańskiej, jak i brytyjskiej firmy. Potem Scott miał się spotkać z Julie na lunchu w Rockefeller Plaza.

Wcześniej zadzwonił do portiera z prośbą o sprowadzenie taksówki. Kiedy zszedł do hallu, taksówkarz już czekał. Był to wysoki, muskularny facet o regularnych rysach i długich, ciemnych włosach.

— Dzień dobry. Róg Pięćdziesiątej Piątej f Madison, tak? Scott skinął głową. Kierowca poprowadził go do żółtej taksówki zaparkowanej przed hotelem. Portier obserwował obojętnie, jak przytrzymał drzwi dla Scotta. Chwilę później ruszyli.

Taksówkarz manewrował sprytnie na przepelnionej pojeźdźni.

— Co pan sądzi o tych korkach? — rzucił przez ramię, spoglądając w tylne lustro na swego pasażera. — Z każdym miesiącem gorzej, jak mi Bóg miły.

— Pan radzi sobie całkiem nieźle — zaobserwował Scott uprzejmie, zauważywszy, jak zręcznie śmigają z jednego pasa jezdni na drugi.

— Cóż, częściowo to kwestia wprawy, lecz także bezwzględność. Jeśli pozwolisz tym wszystkim kierowcom autobusów i taksiarzom wleźć sobie w drogę, będziesz starcem z siwą brodą, zanim przejedziesz przez miasto.

Zamilkli. Taksówkarz ledwie dotykając klaksonu krótkimi, prawie niesłyszalnymi trąbnięciami, torował sobie drogę wśród setek pojazdów.

— Pan jest z Anglii? — spytał po chwili. — Mam dobre ucho do akcentu.

— Zgadza się — uśmiechnął się Scott.

— Przyjechał pan w odwiedziny czy w interesach?

— W tej chwili załatwiam interesy. Muszę się spotkać z kilkoma amerykańskimi prawnikami. Ale to jest marginalna sprawa. Tak naprawdę, to przyjechałem się zareczyć.

— Hej, moje gratulacje — rozpromienił się gwałtownie taksówkarz. — To się nazywa szczęście!

— Dla mnie na pewno — odparł Scott, ubawiony ciekawością kierowcy. Słyszał o tym, że taksiarze w Ameryce są niezmordowanymi gadułami.

— Mam w gruncie rzeczy romantyczną naturę — kierowca uśmiechnął się od ucha do ucha. — Sam jestem żonaty od dziewięciu lat. Mam dwie małe córeczki. Niech mi pan wierzy, nie ma nic lepszego niż dobra kobitka, która czeka w domu. Czy zabiera pan narzeczoną do Anglii?

— Tak. Zamieszkamy w Londynie. Mam tam pracę.

Przerwali rozmowę, gdyż kierowca z przechyłem samochodu zmieniał pas ruchu, trąbiąc głośno na ciężarówkę z pralni. Zaczął spuszczać okno z zamiarem posłania tamtemu odpowiedniej wiązanki, ale w końcu się rozmyślił.

— Niektórym się wydaje, że droga należy do nich — mruknął. — Założę się, że w Londynie nie ma aż takich wariatów.

— To zależy od tego, gdzie się jeździ. W dzielnicy Mayfair policja pilnuje porządku. Ale jeśli zaryzykujesz wjazd na Piccadilly w środku dnia, twoje życie jest w twoich rękach. Ja osobiście nie prowadzę w Londynie. Jeżdżę metrem.

— Czy pańska narzeczona jest Amerykanką?

— Tak.

— Poznał pan ją tutaj czy tam?

Widząc, że Scott nie kwapi się z odpowiedzią, pokiwał głową z ubolewaniem nad sobą samym.

— Wie pan co? Fakt, powinienem pilnować własnego nosa. Przepraszam, bracie. Ale człowiekowi nudzi się przez cały dzień w tej gablocie.

— Nie ma sprawy. Prawdę mówiąc, poznaliśmy się kupę lat temu, jako dzieci — uśmiechnął się na myśl o Julie. — Nasze rodziny były ze sobą związane na gruncie towarzyskim. Potem moja rodzina... no cóż, poszliśmy na dno, można by powiedzieć. Przez wiele lat nie widziałem jej, ani nie miałem od niej wiadomości. Lecz pamiętałem ją bardzo dobrze. Potem, przypadkowo, spotkaliśmy się ponownie. Przedstawiłem się jej, przypomniałem o przeszłości i nasze stosunki nawiązały się od nowa. Tak od spotkania do spotkania, no i teraz zamierzamy się pobrać.

— Piękna historia — westchnął kierowca. — Uwielbiam historie z happy endem. Ale niech mi pan powie, co rodzina myśli o jej wyjeździe z kraju? Wie pan, niektórzy ludzie nie lubią, kiedy dzieci oddalają się za bardzo.

— Z rodzinami różnie bywa. W jej przypadku nie są specjalnie zachwyceni tym pomysłem. Szczególnie ojciec.

Przy-

wykł do tego, że ma ją blisko i nie uśmiecha mu się zmiana tego stanu rzeczy. Ale zgodził się na małżeństwo. Sądzę, że bardziej mu zależy na szczęściu córki niż na postawieniu na swoim.

— Miło to słyszeć. Zawsze powtarzam, że należy pozwolić dzieciakom opuścić gniazdo, kiedy nadejdzie czas.

Kiedy ślub?

— W lipcu.

— Tutaj czy w Anglii?

— Tutaj.

— Tak, to piękna historia. Wie pan, zawsze chciałem pojechać do Anglii. To przecież nasza pra-matka. Każdy Amerykanin o tym pamięta.

— Powinien pan kiedyś przyjechać i zobaczyć. Oczywiście nie jest tak duża i ekscytująca jak wasz kraj. Ale ma własny urok i tradycję.

— Tak, tradycję. Czy rodzina pańskiej żony pochodzi z Anglii?

— Ależ ona nie jest jeszcze moją żoną — roześmiał się Scott. — Ale dzięki, że ujął pan to w ten sposób. Jej przodkowie ze strony ojca są Szwajcarami. Ale rodzina matki, jeśli się nie mylę, to Anglicy i Irlandczycy.

Kierowca nagle zamilkł. Przedarł się przez korki do dużego biurowca z szeregiem obrotowych drzwi.

— No to jesteśmy — obwieścił. — Pięćdziesiąta Piąta i Madison.

— Dziękuję bardzo — Scott podał mu ponad oparciem siedzenia niewielki napiwek.

— Miło się z panem gawędziło. Życzę miłego pobytu. I gratulacje z okazji zaręczyn. Jestem pewien, że będzie pan bardzo szczęśliwy.

— Dzięki za dobre słowo — odpowiedział Scott, wysiadając z samochodu.

Wchodząc do biurowca, uśmiechnął się. Paplanina i życzenia kierowcy wprawiły go w dobry humor. Cała Ameryka wydała się cieszyć jego szczęściem.

Pchnął obrotowe drzwi.

Na zewnątrz, w taksówce Johnny przekreślił lusterko, żeby zobaczyć swoją twarz.

— Dobry jesteś, staruszkę — powiedział do siebie. — Bardzo dobry.

Nietrudno było przekupić recepcjonistkę i portiera w hotelu oraz pożyczyć żółtą taksówkę od zaprzyjaźnionego taksów-

karza. Widząc wielokrotnie Scotta Monteagle w towarzystwie Julie, zapragnął przyjrzeć mu się bliżej. Dlatego zafundował sobie tą małą wycieczkę.

Popatrzył na obrotowe drzwi biurowca.

— Baw się dobrze, bracie — powiedział. — Będę cię miał na oku.

Jego usta wykrzywiła nienawiść. Pomyślał z pogardą o chuderlawej sylwetce Anglika, jego ciemnym garniturku i aktówce. Był dokładnie typem bubka, jakiego Johnny często wyobrażał sobie w charakterze przyszłego męża Julie.

Gdy kiedyś zobaczył ją całującą tego mięczaka na ulicy, krew zawrzała mu w żyłach.

Na wspomnienie tamtego obrazka jego zmysły zaczęły znów pulsować morderczymi zamiarami. Nagle zauważył zbliżającego się policjanta, który dawał mu znaki, żeby odjechał.

Skinąwszy gliniarzowi głową Johnny zaczął wycofywać taksówkę. Pomyślał, że lepiej się niepotrzebnie nie narażać.

Nie był to najlepszy moment na to, żeby dociekliwy glina sprawdzał jego nie istniejącą licencję.

Miał sprawy do załatwienia. Nie może po drodze pakować się w żadną kabałę.

ROZDZIAŁ 49

18 lutego 1960

Victoria Wetherell Magnus siedziała w salonie na piętrze, obserwując męża i córkę.

W ciągu ostatnich ośmiu czy dziewięciu lat takie okazje zdarzały się nieczęsto. Rzadko spędzali wspólnie czas poza godziną przeznaczoną na obiad. Większość wieczorów Victoria szydełkowała w swoim fotelu, podczas gdy Anton, o ile nie zamykał się w gabinecie, czytał, słuchał muzyki lub oglądał telewizję.

Julie nigdy nie zaszczycała tych wieczorów swoją obecnością. I choć już nie wychodziła z domu w poszukiwaniu swoich grzesznych uciech, zamykała się we własnym pokoju, nie dopuszczając rodziny do swego prywatnego życia.

Victoria od dawna przywykła do tej dezintegracji rodziny. Ale przywykła też do gorszego.

Pamiętała burzliwe dni dorastania Gretchen, kiedy ta wykorzystywała całą swoją inteligencję i spryt, by przechytryć rodzinę w pogoni za własnym szczęściem, a potem została zredukowana do roli pustej skorupy, kiedy Anton nie dopuścił do małżeństwa z jej ukochanym chłopcem z Chicago.

I pamiętała o wiele wcześniejszy okres, kiedy Gretchen zmieniała się ze zdrowego, choć może nieco zbyt otyłego szkraba w zamkniętą w sobie, markotną, wyraźnie nieszczęśliwą nastolatkę.

Pamiętała też jak Julie, wesoły, słodki berbec, a potem mała dziewczynka, przeistoczyła się niemal z dnia na dzień w estrawaganckie, zdiczące, dążące do samounicestwienia stworzenie, staczające się coraz niżej aż do dnia, kiedy na horyzoncie pojawił się Scott Montegale.

Miała wrażenie, że jedynie Jackowi oszczędzono potworności tamtych wczesnych lat. Czy to dlatego, że był chłopcem? A może dlatego, że on i Anton zdawali się tak dobrze rozumieć nawzajem?

Niezależnie od przyczyny, Jack pozostał inteligentnym, wysportowanym i zupełnie normalnym chłopcem. Ukończył kolejno szkołę średnią, college i szkołę biznesu z najlepszymi cenzurkami, po czym wszedł do Magnus Industries, mając przed sobą wielką przyszłość.

Oczywiście, Jack miał także swoje problemy. Jego małżeństwo z Belindą okazało się niewypałem. W gruncie rzeczy od samego początku skazane było na niepowodzenie, co wszyscy w rodzinie podejrzewali. Lecz Anton chciał tego związku, więc musiało do niego dojść.

A jednak teraz to już należało do przeszłości, a Jack znów był szczęśliwy i przejęty jak mały chłopiec, zaręczony z Francie Bollinger.

Victoria nie lubiła, kiedy jej syn sprzeciwiał się Antonowi. Z drugiej jednak strony, zawsze lubiła Francie. Prawdę mówiąc wolą ją od Belindy, gdyż Francie była promykiem światła i szczęścia, podczas gdy Belinda roztaczała wokół siebie aurę męczennicy, którą już i tak nacechowane były obie córki Magnusów.

Jack, oczywiście, odszedł z korporacji przed zaręczynami z Francie. I wszystko wskazywało na to, że Anton go wydziedziczył. Mimo to w powietrzu unosiły się pewne zwiastuny pojednania. Anton zaczął gwałtownie obstawać przy wyprawieniu wesela. To dawało Victorii nadzieję, że z biegiem czasu rany

się zabliznią i Anton przyjmie Jacka wraz z nową żoną na powrót do rodziny.

Poza tym Anton udzielił wspaniałomyślnie błogosławieństwa małżeństwu Julie ze Scottem. To był gest, który wszystkich wprawił w osłupienie. Panna Magnus i taki biedak! A Anton wysłał serdeczne pozdrowienia do Monteagle'ów w Anglii i wydawał się zachwycony tym związkiem.

To dlatego Julie siedziała tu dzisiaj, oglądając program telewizyjny, raz po raz, kiedy popisy ekranowe zaczynały ją nużyć, zerkając do rozłożonej na kolanach książki. Zdawało się, iż pragnie przebywać w towarzystwie rodziców, mając świadomość, że wkrótce Scott zabierze ją od nich. Miała upragnioną wolność i nie musiała ukrywać się w swoim pokoju.

Victoria popatrzyła na córkę. W jej twarzy była jakaś nowa niewinność, nowa świeżość. Wyglądało to tak, jakby ktoś cofnął zegar, ścierając tym samym maskę gorzkiego cynizmu, która przez tak wiele lat pokrywała te śliczne rysy. Serce matki radowało się na widok szczęścia córki. Szczęścia, które znów zagościło w jej życiu po tylu latach nieobecności.

Zerknęła ponownie znad robótki na swoich najbliższych. Tak straszliwie pragnęła cieszyć się szczęściem dzieci. Choć tego jednego wieczoru chciała być optymistką. Mimo wszystko, Jack wkrótce ponownie się ożeni, i to z cudowną dziewczyną. Julie znalazła w końcu idealnego, młodego człowieka, który ją uwielbiał i którego nie odstraszała jej burzliwa przeszłość. Zdawało się, że zaświtała nowa era, era, która przywróci trochę szczęścia i bliskości wyniszczonej rodzinie Magnusów. Za parę miesięcy odbędą się dwa wesela, które usuną w cień niedole przeszłości.

Lecz Victoria Magnus, nauczona przykrymi doświadczeniami, podejrzewała, że to wszystko jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Znała Antona Magnusa od czterdziestu lat. Jej pierwsze doświadczenie z nim miało miejsce, kiedy jako młody i bezwzględny przedsiębiorca zdołał przechytrzyć i zastraszyć jej zaborczego ojca, wymuszając jej rękę. Nikt z towarzystwa nie wyobrażał sobie, że dziedziczka Wetherellów może poślubić takie zero, imigranta. Lecz Anton przerażającą siłą woli i sprytu dopiął swego, stając się tym samym pośrednio przyczyną przedwczesnej śmierci tatusia.

Od tamtego pierwszego aktu przemocy dokonanego na jej osobie, Victoria wietrzyła podstęp we wszystkich posunię-

ciach męża. Stała się uległa, pozwalala mu robić, co chciał i żyła pod jego dachem jak ptak w pozłacanej klatce. Nie umiała walczyć. Był dla niej o wiele za silny.

Jednak znała go. Dziesiątki lat małżeństwa wyrobiły w niej spostrzegawczość i intuicję.

I wiedziała, że nie jest człowiekiem, który pozwoliłby synowi rozwieść się z dziewczyną, którą osobiście dla niego wybrał, i poślubić jakieś zero z zapadłej dziury w Pensylwanii.

Nie był też człowiekiem, który pozwoliłby Julie, swojej chlubie, swojej ulubienicy, wyjść za golca, w dodatku Anglika, zamierzającego wywieźć ją z kraju.

O nie. To nie było tak. Czuła, że on coś knuje. Obrzuciła przeciągłym spojrzeniem udręczoną córkę, którą tak głęboko kochała. Zawsze podziwiała Julie za jej ducha, niezależnie od jej wybryków. I chociaż wiedziała, że Julie nią pogardza, może nawet nienawidzi, nie przestawała jej kochać.

Jack potrafił zadbać o własne interesy. Lecz Julie była jak zraniony ptaszek, śmiertelnie przerażony, a Scott był jej szansą na wolność, wolność, którą Victoria utraciła czterdzieści lat temu.

Tak więc Victoria drżała na myśl o przyszłości.

Żeby te kilka następnych miesięcy już minęło i Julie stała się bezpiecznie mężatką! A Jack...

Lecz czasu nie można było pogonić. Posuwał się własnym tempem, pozwalając, by działania ludzi takich jak Anton Magnus zbierały obfite żniwo z innych istnień ludzkich.

Victoria Magnus bała się. I to nie tylko dlatego, że wiedziała, do czego zdolny jest mąż. Zdawała sobie także doskonale sprawę, choć udawała, że nie przyjmuje tego do wiadomości, z tego, co działo się pod tym dachem przez ostatnie dwadzieścia lat. Z tego, co zmieniło jej córki z wesołych, żywych dzieci w zaszczute, zastraszone młode kobiety.

Wiedziała, jak niebezpieczny jest Anton.

I podejrzewała, że ostatnia danina, jakiej zażąda od rodziny, jest kwestią przyszłości. Nie ośmielała się myśleć, jak może być ona potworna.

Gdyby Victoria Magnus miała silny charakter, to teraz właśnie nadszedł czas na stawienie ostatecznego oporu dla dobra dzieci. Na przeciwstawienie się choć raz Antonowi.

Lecz już dawno utraciła możliwość takiego działania.

Mogła jedynie siedzieć i obserwować, jak los dokonuje ostatniego zwrotu dla rodziny, którą kochała. I myśleć.

ROZDZIAŁ 50

6 marca 1960

Był niedzielny ranek.

Francie stała z Jackiem w ogromnym pomieszczeniu brooklyńskiego magazynu, gdzie montowano Mollie.

Prócz nich nie było nikogo. Cały personel korzystał z krótkiego wypoczynku, jakim był sobotni wieczór i niedzielne przedpołudnie. Były to ich jedyne wolne chwile w tygodniu. Po południu, wszyscy, łącznie z Francie, wrócą do pracy.

Spędziła ubiegły wieczór, jedząc z Jackiem obiad, a potem udając się z nim do teatru. Obejrzelili *My Fair Lady*. Było to pierwsze wyjście Francie do teatru od blisko roku. Praca pochłaniała ją bez reszty.

Umówili się dziś rano na śniadanie, po czym spontanicznie zaproponowała, by przyjechali tutaj.

— Chcę ci pokazać potwora, który pożera moje życie — powiedziała.

Otworzyła kluczem drzwi do pustego magazynu i wpuściła go do środka. Miejsce to było cudem kontrolowanego chaosu. Na wszystkich stanowiskach pracy panował nieopisany bałagan, wszędzie walały się jakieś wykresy, tablice, części oprzyrządowania. Francie wiedziała jednak, że ten nieład jest pozorny, że stanowiska te obsadzone są ekspertami w swoich dziedzinach, ekspertami, którzy w przeciągu kilku miesięcy zamierzali wprowadzić na rynek rewelacyjny produkt.

Pokazała Jackowi prototyp Mollie, ulokowany pośrodku koncentrycznego koła uformowanego z warsztatów techników. Maszyna posiadała emaliowaną, aluminiową obudowę, która nadawała jej nowoczesny, lśniący wygląd. Kształtem przypominała, jak to pierwotnie przewidział Sam, zwykłą, domową lodówkę.

Wyposażona była w monitor kontrolny, wejście taśmy magnetycznej, drukarkę i klawiaturę, która przypominała klawiaturę maszyny do pisania. Całość wyglądała atrakcyjnie i jakoś swojsko.

— Zaprojektowaliśmy ją tak, żeby raczej przyciągała, niż onieśmiała — wyjaśniła Francie, wskazując na kilka najważniejszych szczegółów. — Biznesmen, który kupi Mollie, będzie w stanie w jeden dzień przeszkolić kogoś ze swoich pracowników do obsługi komputera. Potem ten pracownik

może szkolić innych. Zapewniamy takie darmowe szkolenie w ramach ceny zakupu. Piszemy też podręcznik, który będzie zrozumiały dla największego laika. Cały pomysł polega na tym, żeby usunąć z komputerów otoczkę tajemniczości.

Zaprezentowała Jackowi materiały promocyjne, projekty reklam i kilka broszur.

— Próbujemy dobić targu z dwiema dużymi firmami zajmującymi się zaopatrzeniem przedsiębiorstw — powiedziała mu. — Jednocześnie tworzymy własną sieć sprzedaży. Centra usługowe w strategicznych punktach, we wszystkich większych miastach kraju. To wszystko zostanie zsynchronizowane, by ruszyć w tym samym czasie.

Naturalnie, siedzimy wszyscy jak na szpilkach.

— Tak czy inaczej, macie już jednego klienta — uśmiechnął się Jack. — Nie mogę się doczekać, żeby nauczyć się obsługiwać Mollie.

— Jeśli chcesz, mogę ci udzielić pierwszej lekcji. Usiadła przed maszyną i pokazała mu kilka podstawowych funkcji. Pozwoliła mu nawet użyć klawiatury.

— Cały trik z Mollie polega na programie głównym — wyjaśniła. — To właśnie on pozwala maszynie zrozumieć proste polecenia operatora. Potem dodajemy programy dodatkowe, które będą napisane zgodnie z potrzebami poszczególnych firm. Będą one nakładane na program główny, a Mollie zrobi resztę. Chcesz, żebym wyjaśniła ci to bardziej szczegółowo?

— Nie, dzięki — roześmiał się Jack. — Komputery to twoja działka. To przekracza znacznie moje możliwości.

Wystarczy mi, jak będę wiedział, który guzik do czego służy i w jakiej kolejności je naciskać.

Spojrzał na zegarek.

— Obawiam się, że musimy już iść. Czas ucieka.

Wziął ją w ramiona. Namiętność uścisku zabarwiona była smutkiem, gdyż wiedział, że nie zobaczy jej przed następnym weekendem.

— Jestem taki dumny z ciebie. Dokonałaś tego wszystkiego sama. Pod tą delikatną skórką masz piekielny charakter.

— Ależ nie wszystko zrobiłam sama — zaproponowała. — Pomagało mi wielu ludzi.

— Nie to miałem na myśli. Widzisz, dla kogoś takiego jak ja osiągnięcie czegoś nie jest trudne. Korzystam z wszelkich przywilejów wynikających z bogactwa. Najlepsze szkoły, najlepsze przygotowanie do tego, co robię.

Miejsce w Magnusie

czekało na mnie, zanim jeszcze skończyłem studia. Zrobiłem jedynie to, czego ode mnie oczekiwano. Ale ty, Francie... Ty przyszłaś znikąd i w pocie czoła wypracowałaś sobie własną pozycję. Nawet potęga Magnusa nie była w stanie cię pohamować. Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię za to podziwiam...

Przytulił ją mocniej i pocałował. Odwzajemniła pocałunek. Jakby stojąc z boku, obserwowała, jak pod wpływem jego dotyku tłący się w niej żar wybucha gorącym płomieniem. I po raz pierwszy w życiu poczuła, że może opanować ten płomień, nie pozwalając, by ją strawił.

Francie panowała teraz nad sytuacją.

— Chodźmy już — powiedział Jack niechętnie. — Jeśli zostanę tu minutę dłużej, przeistoczę się w dziką bestię. A wtedy w twoim magazynie zrobi się jeszcze większy bałagan.

Ujęła go za rękę, prowadząc do wyjścia.

Nie widziała jego oczu myszkujejących po zakamarkach pomieszczenia i zatrzymujących się z uwagą na zamku frontowych drzwi.

W chwilę później byli w samochodzie, w drodze powrotnej na Manhattan.

ROZDZIAŁ 51

2 kwietnia 1960

Julie Magnus z uśmiechem przyciągnęła twarz Scotta Monteagle do własnej. Pocałowała go powoli z nową poufałością, wynikającą z gruntownej znajomości ciała kochanka.

Siedzieli w wynajętym samochodzie, stojącym przed bramą domu jej ojca. Spędzili razem cudowny wieczór. Zjedli obiad w skromnej restauracji w dzielnicy teatrów, a potem poszli do kina. Julie nie pamiętała jednak treści filmu, tak była zaabsorbowana bliskością Scotta.

Była w siódmym niebie. Dzisiejszy wieczór był dla niej zapowiedzią setek podobnych wieczorów, czekających ją w przyszłości u boku przystojnego męża. Trzymając się, jak dziś, za rękę, będą cieszyć się wspólnie drobnymi przyjemnościami tego świata. I przez resztę życia będzie patrzyła w oczy Scotta, dostrzegając ten sam wyraz absolutnego zaufania i miłości.

— Mmmm... — zamruczała, gdy ich usta rozdzieliły się. — Chciałabym, żebyśmy mogli teraz... no, wiesz co... Uśmiechnął się w jej policzek.

— Ja też. Nawet bardziej niż ty.

— Żyję nadzieją, że wkrótce będziemy mieć na to mnóstwo czasu. Nienawidzę czekania.

— Niedługo nie będziesz musiała na nic czekać. Jeszcze tylko kilka tygodni, kochanie. Tylko kilka tygodni...

Przyłgnęła do niego mocno. Nawet ból pożądania czynił ją szczęśliwą, ponieważ wiedziała, że w jego miłości znalazła dom.

— A zatem do jutra — powiedział, ujmując obie jej ręce.

— I zrób coś, żeby to było szybko — poprosiła. — Będę myśleć o tobie przez całą noc.

— Zgoda, ale przez sen. Chcę, żebyś wypoczęła.

— Tak jest, królu. Będę zatem śniła o tobie.

— Będziemy śnić o sobie nawzajem. Ciekawe, czy moglibyśmy się komunikować przez nasze sny? Może spróbujemy?

— Tak, najdroższy. Tak. Powiem ci wtedy wszystko — po policzku spłynęła jej samotna łza szczęścia. — Dobranoc, Scotty.

— Dobranoc, Julie.

Odczekał, aż otworzyła bramę i zniknęła w półmroku otaczającym dom. Potem z westchnieniem polecił kierowcy, by zawiózł go z powrotem do hotelu.

Julie weszła do domu i minęła główny hall. Wyglądał ciemno i niesamowicie, gdyż służba była już w łóżkach i wszystkie światła były pogaszone. Kiedy wracała późno, otwierała zawsze własnym kluczem, nie chcąc nikogo budzić.

Poczuła, że nachodzi ją refleksyjny nastrój i usiadła na wyłożonych dywanem schodach, wpatrując się w milczące meble w salonie. Pomyślała, że w tym pomieszczeniu bawiła się jako dziecko, płatając różne, dawno zapomniane figle.

Wkrótce opuści to miejsce na zawsze. Będzie wracała do niego myślami jak do koszmaru, od którego udało jej się szczęśliwie uciec. Zło świata Magnusów rzeczywiście mogło zabić, lub przynajmniej uruchamiało takie złowieszcze mechanizmy. Nim pojawił się Scott, Julie była na najlepszej drodze do samounicestwienia się alkoholem i złym towarzystwem.

Lecz teraz, gdy wolność była w zasięgu wzroku, mogła spojrzeć wstecz na swoje życie z czymś więcej niż tylko przerażeniem i obrzydzeniem. W tym domu wyprawiano z nią straszne rzeczy, to prawda. Niemniej jednak to tutaj doświadczyła dziecięcych radości odkrywania świata, poznała fantazję dorastającej dziewczynki. To tu rozwijała się intelektualnie, przeistaczając się stopniowo w twórczą i błyskotliwą młodą osobę.

I przetrwała. Dowodem na ten cudowny fakt było znalezienie Scotta, a przez niego wyjście z tego bagna ku prawdziwie własnej przyszłości.

W pewien sposób będzie tęskniła za domem. Będzie tęskniła za dniami, kiedy Gretchen zabierała ją na zakupy i stroiła na bale w Grosvenor. I kiedy Jack układał z nią puzzle, kupował lalki, zabierał na pływalnię i na konie i uczył grać w tenisa. Będzie tęskniła nawet za mamą, która czytywała jej na głos i która kiedyś zrezygnowała z codziennej sjeisty, by upiec z nią w kuchni piernik z imbirem.

Tak, życie przy Park Avenue było skomplikowane, a nawet w pewien sposób piękne. To nie było wyłącznie piekło. To nie był wyłącznie ojciec.

Z tą myślą podniosła się i ruszyła na górę. Wspinała się po ciemnych schodach, rezygnując z windy, ponieważ nie chciała, by jej odgłosy obudziły domowników.

Kiedy dotarła do swojego pokoju na czwartym piętrze, najwyższym piętrze budynku, czuła się zmęczona. Musiało być już dobrze po drugiej. Na ustach czuła ciągle pocałunek Scotta. Jego uczucie sprawiało, że była czysta, młoda i piękna. Nie mogła się doczekać, by wskoczyć do łóżka i jak pensjonarka, skrycie delektować się myślami o nim, zanim zmorzy ją sen. Zaledwie dziewięć godzin dzieliło ją od jutrzejszego spotkania z ukochanym. Ta świadomość była jak błogosławieństwo i wypełniała ją niemal religijną wdzięcznością za szczęśliwy los. Macki świata Magnusów słaby. Przyzywała ją wolność.

Gdy otworzyła drzwi do pokoju, otoczył ją mrok. Przekreśliła od wewnątrz klucz w zamku. Żałowała, że nie ma zatrasku, ale ojciec już lata temu polecił go usuwać za każdym razem, gdy próbowała go instalować. Tłumaczył to tym, że musi zapewnić służbie stały dostęp do niezrównoważonej i postrzelonej dziewczyny, na wypadek gdyby zachciało jej się jakichś nieodpowiedzialnych ekscesów. Prawda była taka, że to on sam chciał zachować nieskrępowany dostęp do ciała córki.

Lecz teraz Julie nie myślała o ojcu.

W nikłym świetle nocnej lampki zdjęła sukienkę, halkę i stanik. Odwróciła się, żeby poszukać nocnej koszuli. Zanim zdążyła po nią sięgnąć, jakaś ręka owinęła się wokół jej szyi i zasłoniła jej usta. Narastający w gardle krzyk nie znalazł ujścia.

Od razu wiedziała, że to Johnny. Znała jego dziki, ostry zapach równie dobrze, jak zmysłową woń własnej namiętności.

Przez ostatnie tygodnie tak usilnie starała się o nim nie myśleć, że w końcu weszło jej to w nawyk. Nigdzie nie wychodziła sama i przekupiła sekretarkę, by ta, w razie telefonu od pana Marrante twierdziła, iż Julie wyjechała do Europy.

Johnny był dla niej przeszłością. Wkrótce Scotty zabierze ją ze sobą, a Johnny zostanie tutaj, oddzielony od niej oceanem, kulturą, a także pozycją społeczną. Jego miejsce będzie wyłącznie we wspomnieniach.

Lecz nie doceniła go. I zbyt późno uświadomiła sobie, że on jej nie zapomniał.

Walczyła z nim w ciemnościach, tłukąc na oślep. Wzrok jej. padł na dzwonek do wzywania służby. Spróbowała go dosięgnąć. Na próżno. Zatrzymał ją z łatwością potężnym ramieniem. Gdyby chciał, jednym gwałtownym ruchem tego ramienia mógłby ją zabić.

Nie mogła wydobyć głosu. Zresztą słowa nie odniosłyby żadnego skutku. Mogła jedynie szarpać się bezradnie w jego uścisku.

Zdawał się rozkoszować jej przymusowym unieruchomieniem i milczeniem. Triumfował, gdyż przebywał w jej pokoju, w samym środku tego bastionu potęgi Magnusa, przed którym ostrzegała go szyderczo, zabraniając się zbliżać choćby na milę.

Pomyślała o jego inteligencji i pomysłowości. Nic dziwnego, że mu się udało. Powinna była uzmysłwić sobie wcześniej, do czego jest zdolny. Powinna była się zabezpieczyć.

Szaleńczo próbowała go ugryźć. Lecz ogromna dłoń zamykająca jej usta pozostawała poza zasięgiem zębów.

Zaczął zmieniać taktykę, tak, że niewola jego uścisku stawała się jednocześnie rodzajem seksualnego ataku. Przyciągnął ją mocniej do siebie i znów, jak przy ich pierwszym zbliżeniu, poczuła twardy seks wciskający się między jej pośladki.

To było uwodzenie, ta niewola i ten barbarzyński uścisk. I pomimo żelaznych palców zaciskających się na jej ustach, pomimo pragnienia krzyku, nawet gdyby miał on postawić na nogi cały dom, nie mogła powstrzymać dreszczy pożądania. Przyciągał ją coraz bardziej bliżej i bliżej. Wyczuł, że jej przerażenie miesza się z podnieceniem i cichym, gardłowym śmiechem dał jej do zrozumienia, jak bardzo go to bawi.

Jego lewa dłoń, zamknięta dotąd wokół jej nadgarstków, rozluźniła uścisk. Widocznie doszedł do wniosku, że pośrodku pokoju, dokąd zabrnęli w ferworze walki, nie będzie mogła już niczego dotknąć, ani nic zrzucić.

Położył tę wolną dłoń na jej brzuchu, po czym przesunął ją łagodnie w górę, zaczynając pieścić jej piersi. Palce z łatwością sięgały obu sutków jednocześnie, gdyż Julie była drobniutka, a jego ręka bardzo duża.

Wciśnięty między pośladki członek zaczął podrygiwać niecierpliwie i gwałtownie. Brutalna bliskość jego ciała miała tamtą dawną delikatność, ten niezwykły talent Johnny'ego do odgadywania jej reakcji, niemal zanim jeszcze sama zaczynała je odczuwać. Teraz dłoń wędrowała w dół jej brzucha, musnęła pępek i spłynęła dalej w dół, znajdując nieomylnie drogę do majtek, stanowiących jej ostatnią obronę przed nim.

Znieruchomiała. Musi znaleźć sposób, by pozbyć się go stąd, nie budząc nikogo. Nie mogła dopuścić do konfrontacji z rodzicami, gdyż nie potrafiła przewidzieć rezultatów takiej sceny.

Johnny czytał w jej myślach i wyraźnie delektował się jej strachem przed zdemaskowaniem. Siła jego uścisku zelżała. Jego dotyk stał się bardziej leniwy, bardziej zmysłowy.

Poczuła jego usta na uchu i w czułym miejscu poniżej, które zawsze jako pierwsze wysyłało dreszcze namiętności. I usłyszała szept, kiedy szorstki język lizał to miejsce.

— O co chodzi, Kopciuszku? Czyżby dzisiejsza randka wyczerpała cię tak, że nie masz już ochoty na swego księcia? Zwinne palce wśliznęły się pod majtki i pieścił teraz samo centrum jej kobiecości, badając reakcję pomiędzy jej ściśniętymi nogami.

— Mmmm — wyszeptał. — Oto cała moja dziewczynka... Złapała powietrze, próbując spazmatycznie poderwać się do dalszej walki. Ale to nie miało sensu. Był dla niej zbyt sprytny. Nie mogła krzyczeć ani uwolnić się od niego.

Wszystko, co mogła, to dusić się w jego uścisku jak w piecyku i czuć rosnącą w sobie temperaturę, kiedy on ją badał, drażnił, na-

igrawał się z niej od tyłu swoim okropnym, naprężonym członkiem. Słabła.

Powoli zsunął jej majtki do kolan. Ciągłe trzymając ją mocno, przesuwiał ją krok po kroku w kierunku łóżka i nie wypuszczając z objęć, ułożył na pościeli.

Czuła, jak ślina zwilża jej policzki pod zakleszczającą usta łapą. Przypomniła sobie tamtą noc, kiedy się kochali, a pocałunki zabarwione były smakiem jej krwi. Pomyślała, jak genialnie Johnny zamienia wszystko, od czułości po złość, przemoc, a nawet krew, w seks. Na tym polegało jego mistrzostwo, z którego teraz robił użytek w najbardziej okrutny i triumfalny sposób.

— Myślałaś, że się mnie pozbyłaś, co? — wyszeptał. — To nie takie proste, księżniczko. Johnny ma swoje sposoby, czyż nie?

Leżała na łóżku z majtkami opuszczonymi do kolan. Czuła, jak Johnny zdejmuje z siebie ubranie. W nozdrza uderzył ją unikalny, samczy zapach, zmieszany z alkoholem, tytoniem i wulgarną wodą kolońską, wszystko przytłumione teraz piżmową wonią pożądania.

A gdzieś pod tym wszystkim ciągle tkwił w niej słodki, czysty aromat Scotta, stłumiony przez ohydną, zwierzęcą seksualność Johnny'ego.

Ten kontrast był czymś więcej, niż Julie mogła znieść. Leżała jak niewolnica zawiedzionych nadziei i uległości.

Bezradna, czuła, jak władcze dłonie pieszczą, gładzą i dotykają każdy kawałek jej skóry. Silne palce ślizgały się w górę i w dół po wewnętrznych stronach jej ud, zatrzymując się przy kolanach, by zmierzyć ich drzenie. A język mężczyzny sondował bezustannie jej ucho.

— Moja dziewczynka — mruczał. — Moja dziewczynka jeszcze nie zapomniała, kto jej robi najlepiej, prawda?

Żaden facet na ziemi nie znał jej ciała tak dobrze, jak Johnny. Żaden nigdy nie pozna. Nawet planując życie bez niego, nie oczekiwała, że inny mężczyzna pozna ją tak do końca. I gdzieś głęboko w środku wiedziała, że będzie to wspomnienie perwersyjnie hołubić. Ponieważ każda kobieta, niezależnie od swego przeznaczenia, stworzona jest po to, aby jakiś Johnny poznawał najskrytsze zakątki jej namiętności i ożywił je, czyniąc z niej przez to swoją niewolnicę.

Tak więc teraz bez znaczenia był fakt, że walczyła o tamto inne życie i o to, żeby się go pozbyć. On i tak wiedział, że na-

leży do niego i zawsze będzie należeć. Jej protest, jej zmagania, były po prostu jeszcze jedną odmianą poddaństwa. Nadal tkwiąc w pułapce jego uścisku, poczuła, jak twarda kołatka zaczyna dobijać się do jej bramy. Przerwała na chwilę stukanie, po czym niespiesznie wśliznęła się do środka, posuwając się spokojnie i dumnie śliską dróżką przygotowaną przez jej mimowolne podniecenie. Wstrzymała oddech z rozkoszy, nadal się opierając, lecz już nie ciałem.

A on delektował się tym buntem serca w uległym ciele. Powoli wpełchnął się w nią głębiej i zaczął pracować coraz szybszymi, rytmicznymi posuwami, do chwili, aż zakazane falowanie sprawiło, że zaczęła popiskiwać z podniecenia. Wbita tak na jego pal sprawiała wrażenie małej dziewczynki, a jej namiętność była wzruszająco niewinna, kiedy z każdym zrywem do walki dawała mu z siebie więcej.

Poczuła, jak Johnny uśmiecha się z uznaniem w jej policzek. Wiedział już, jak bliska była orgazmu. Posuwając ją wolno, z każdym pchnięciem bardziej świadomie i perwersyjnie, poczuł następujące jeden po drugim słodkie, bezradne kobiece skurcze.

I dopiero kiedy upewnił się, że ona nie potrafi się przed nim obronić, że pękły w niej wszystkie bariery, wszedł w nią do końca i płynnymi ruchami doprowadził do ostatecznego szczytowania. Dopiero wtedy też pozwolił sobie na wytrysk.

Z jej ust wyrwał się krótki, oszalały krzyk. Łzy zaczęły spływać po jej policzkach, mocząc jego palce.

Kiedy było już po wszystkim, stał się nader delikatny. Teraz mógł już sobie na to pozwolić. Rozluźnił uścisk, pieścąc jej piersi, obojczyk i ramiona, podczas gdy jego twarda szpada nadal ukryta była w jej pochwie.

Nie opierała się już i nie walczyła. Osiągnął swój cel. Był w jej domu, w jej sypialni, w jej ciele, pod samym nosem straży pałacowej groźnego króla Magnusa.

Julie postanowiła zachowywać się spokojnie.

— Musisz teraz iść — powiedziała. — Nakryją nas. Potrząśnął głową.

— Wystarczająco długo mnie unikałaś, księżniczko. Zadałem sobie dużo trudu, żeby się tutaj dostać. Wyjdę przed świtem, lecz do tego czasu będziesz musiała zrekompensować mi poniesione koszty.

Serce Julie zamarło. A więc on oczekuje wynagrodzenia za to, co mu zrobiła. Chce się nią bawić i pokazać jej ogrom swej dominacji nad nią.

Naga w jego ramionach zaniechała myśli o ucieczce. Zatem pogrążony w niej ohydny męski narząd ma mieć dzisiaj swoje święto. A Johnny musi mieć niezbity dowód, że ona należy do niego.

Ciepła ręka poklepywała jej biodro, a palce przebiegały płynnie w dół jej uda. Zegar zapowiadał jeszcze długie godziny mroku.

— Nie martw się — powiedział Johnny. — Zniknę, zanim komukolwiek przyjdzie do głowy tu zajrzeć. Mogę przychodzić i odchodzić, jak mi się podoba. Ale nie chcę cię wpędzić w kłopoty, maleńka. Trzymam twoją stronę. Musisz to zrozumieć.

Nagle chwycił ją gwałtownie za włosy, przygiął ją i wcisnął jej buzię w poduszkę.

— Rozumiesz, słodziutka? — zapytał.

Przytaknęła rozpaczliwym ruchem głowy. Wszystko, żeby tylko pozbyć się go stąd bez żadnych scen.

— To dobrze — odparł. — Urządzimy sobie maleńkie przy-jątko, a potem sobie pójdę. Nikt się o niczym nie dowie.

Ponownie pokiwała głową. Odwrócił ją twarzą do siebie.

— Ale jest jeszcze jedna rzecz, księżniczko — powiedział złowróżbnym tonem.

Podniosła na niego pytający wzrok.

— Należysz do mnie. Do nikogo więcej. A już najmniej do tego twojego lalusiowatego, angielskiego przyjaciela Mon-teagle. Najmniej do niego.

Zaśmiał się złowieszczym, gardłowym śmiechem.

— Nie wyjdiesz za mąż. Nie pojedziesz do Anglii, złotko ty moje. Zostaniesz tutaj, gdzie będę cię mógł mieć, jak tylko przyjdzie mi na to chętko. Jasne?

Jej oczy otworzyły się szeroko w przerażeniu. Nie powiedziała nic. Dłoń w jej włosach pociągnęła nieco mocniej, potrząsając głową we wszystkie strony.

— Widzisz, maleńka, nigdy ode mnie nie uciekniesz. Jestem twoim księciem z bajki. Jestem twój Romeo, cukiereczku. A każdy gnojek, który wejdzie mi w paradę, jest martwy. Dociera to do ciebie?

To był jakiś obłęd. Julie była zbyt zszokowana, by odpowiedzieć.

— A więc? — spytał przez zaciśnięte zęby, ponownie wpychając jej twarz w poduszkę.

Wykonała coś na kształt skinięcia, chociaż ledwie mogła poruszyć głową.

Zbyt późno, o wiele za późno uzmysłowiła sobie, jak dużo znaczy dla Johnny'ego i jakim niebezpiecznym typem jest on w rzeczywistości. Świat, który jeszcze niedawno otwierał przed nią swoje podwoje, został zamknięty ogromnymi łapskami obłapiającymi jej drobne ciało oraz kolosalną siłą woli Johnny'ego. A może jego miłością? Julie milczała w zadumie, kiedy dłoń kochanka pieściła jej kark.

ROZDZIAŁ 52

20 kwietnia 1960

Francie siedziała na ganku przy szachownicy. Naprzeciwko siedział jej ojciec.

Był piękny, wiosenny dzień. Wysoka jak na tę porę roku temperatura powodowała, że nabrzmiące pączki drzew zaczynały pękać, puszczając nieśmiałe listki. Powietrze było tak balsamiczne, że grali na zewnątrz, zamiast w salonie.

Francie podniosła wzrok znad szachownicy, czując na sobie badawcze spojrzenie ojca. Uśmiechnęła się.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy nie wyglądałaś piękniej. Po drugie, w tym świetle tak bardzo przypominasz mi swoją mamę.

Westchnął, pykając wygasłą fajkę. Francie zauważyła wystrzępiony rękaw znoszonej, flanelowej koszuli i postanowiła kupić mu nową. Uświadomiła sobie, że ojciec postarzał się. Posiwiął, a skóra wokół jego oczu była bardziej pomarszczona. Przez ostatnich pięć lat była zbyt zaabsorbowana gorączkowymi zmianami zachodzącymi w jej własnym życiu, żeby zauważyć, że czas nie oszczędza również Maca Bollingera.

— Siadywaliśmy tu we dwoje z matką — powiedział — i obserwowaliśmy cię huśtającą się na huśtawce na podwórzu. Helen siedziała naprzeciw mnie, tak jak ty teraz. Szkoda, że nie widziałas, jak ona na ciebie patrzyła... Zamilkł na to wspomnienie. Namiętna miłość do zmarłej żony promieniowała wzruszająco z pooranej zmarszczkami twarzy. Francie wiedziała, jak gorąco kochał Helen nie tylko przed ślubem, lecz przez cały okres trwania ich małżeństwa.

Pochyliła się i dotknęła jego ręki.

— Kocham cię, tatusiu.

— Ja też cię kocham, Francie.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Zdawali się szacować wzajemne zrozumienie, a także ostatnie wydarzenia, które w jakiś sposób stanęły między nimi.

— Jesteś taka szczuplutka — odezwał się Mac. — Wyobrażam sobie, jak ciężko pracujesz. Nigdy nie pracowałem aż tak ciężko. Nie wierzyłem w pracę. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Lecz ty masz w sobie tak dużo z matki. Ona była ciągle w ruchu. Nigdy nie siedziała beczynnio.

Kiedy patrzył na córkę, malująca się na jego twarzy duma pełna była pamięci o żonie. Po śmierci Helen na Francie, początkowo samą, potem z pomocą Mollie Maguire, spadł obowiązek utrzymywania w ryzach marzycielskiej osobowości Maca i dopilnowania, by troszczył się on także o praktyczne strony życia. Francie musiała w tym celu maksymalnie zmobilizować odziedziczoną po matce zdolność do trzeźwego myślenia.

Lecz kiedy spoglądała na niego teraz, widząc, jak pogodzony jest ze sobą i swoim życiem, zastanawiała się, czy tamto roztaczanie nad nim skrzydeł było rzeczywiście konieczne. Może nawet opiekuńcze zabiegi Helen były bardziej jej samej potrzebne niż Macowi.

W pewnym momencie jego twarz spochmurniała.

— To, co robisz... Czy jesteś naprawdę pewna, że właśnie tego chcesz?

Uścisnęła jego rękę i pokiwała głową.

— Tak, tatusiu. To jest właśnie to.

Oboje wiedzieli, co miał na myśli. Praca w Magnus Industries i cierpienia utrzymywane w tajemnicy przed ojcem zrobiły z niej zupełnie inną kobietę. I, niezależnie od tego, jak subtelna była tkana przez nią pajęczyna kłamstw, nie mogła ukryć tej zmiany. Podświadomie wyczuwał, że została okrutnie zraniona.

Była szczuplejsza i bardziej spięta. Tak, jakby kawałek po kawałku pożerała jej siły kruczata, na którą wyruszyła, kruczata, która dobiegała już końca.

Trzymając jej dłoń, sondował ją wzrokiem.

— Ten twój młody człowiek... Jack... Kiedy go poznam?

— Wkrótce, tatusiu. Jesteśmy oboje tacy zapracowani. Jack zakłada własną firmę, a ja po uszy siedzę w Mollie. Ale to już niedługo, obiecuję.

— Bardzo chcę go poznać. Muszę wiedzieć, w jakie ręce oddaję swój skarb.

Zrozumiała podtekst zawarty w tej uwadze. Tatuś znał ją na tyle, by wiedzieć, że jeśli zaangażuje się w jakiś poważny związek, związek prowadzący do małżeństwa, nie zawaha się sprowadzić młodego człowieka do domu i przedstawić go ojcu. I faktycznie, była to jej pierwsza myśl.

Podejrzliwość Maca spowodowaną faktem, że nie przywiozła Jacka, pogłębiała pozycja społeczna oraz sława Magnusów i ich imperium. Przez dwa lata obserwował, jak córka angażuje się w coś poza jego światem, coś technicznie i finansowo dla niego niezrozumiałego. A teraz miała poślubić potomka jednej z największych fortun na ziemi, człowieka, którego nigdy nie widział.

Francie opowiedziała mu oczywiście całą historię. Pracowała z powodzeniem w Magnusie, dopóki nie postanowiła założyć własnej firmy. Od tamtej pory odnotowywała na swoim koncie same sukcesy, a teraz stała na krawędzi wielkiego przełomu w biznesie komputerowym. Nie zapomniała jednak o młodym Jacku Magnusie, z którym pracowała w Magnus Industries. Jack rozwiódł się po przyjacielsku z pierwszą żoną i poprosił Francie o rękę. Przyjęła jego oświadczenia.

Ta historia niby trzymała się kupy. Byłaby jednak bardziej prawdopodobna, gdyby Francie przywiozła narzeczonego do domu.

Mac puścił jej rękę i oparł się na krzesło.

— A twój przyjaciel, Sam...? Widujesz go jeszcze?

— Codziennie. Spędzamy ze sobą tyle czasu w tym przeklętym magazynie, że niedobrze nam się robi na nasz widok. Jej przedstawienie było zręczne, lecz Mac wyczuł w nim pewną nerwowość.

Sama Carpentera spotkał tylko raz. Francie przywiozła go do domu na weekend. Przyjechali w piątek wieczorem, a w sobotę Mac zabrał ich na ryby. Sam spał, oczywiście, w pokoju gościnnym. Był kulturalnym, realnie patrzącym na świat młodzieńcem. Mac widział, jak głęboko był wciągnięty w interesy Francie i szczerze ciekawiło go, czy ta więź dotyczy również sfery osobistej.

Obserwował oczy Francie, kiedy wówczas na jeziorze patrzyła na Sama. Był w nich jakiś skrywany błysk, wyraz żartobliwej zaborczości, który przypominał Macowi sposób, w jaki patrzyła na niego Helen.

Lecz nie wiedział, co to znaczyło u Francie.

Mac był zachwycony podejściem Sama do łowienia ryb. Sam był cierpliwy i umiał czerpać przyjemność z jeziora, wody falującej wokół łódki i towarzyszy. I to on złapał ich jedyną tamtego dnia dużą rybę. Mac polubił go. Bez trudu znaleźli wspólny język.

Spojrzał teraz uważniej na córkę. Wzmianka o Samie wytrąciła ją najwyraźniej z równowagi.

Znał ją na tyle dobrze, by dostrzec, że w pewnym sensie jest teraz bardziej samotna, niż tamtego dnia, kiedy przyjechała z Samem. Było to widoczne w spokojnie zdeterminowanym wyrazie jej oczu. Była teraz mniej sobą. Spięta, ostrożna, bardziej zmęczona utrzymywaniem czujności niż nawąłem pracy.

— Ta operacja z Mollie... — odezwał się. — Dałaś z siebie tak dużo. Czy będziesz szczęśliwa, kiedy doprowadzisz to do końca?

Francie uśmiechnęła się. Był to uśmiech pełen tajemniczości, po części być może celowej, a po części wchodzącej w skład skomplikowanej struktury charakteru jego córki.

— Zawsze byłam szczęśliwa. Kiedy to się skończy, również będę szczęśliwa.

Zapadło długie milczenie. Mac wpatrywał się w jej śliczną, tak mizerną teraz buzię i w szczupłą rękę, na której wspierała brodę, spoglądając na szachownicę. Słyszał szum drzew. W oddali rozległ się gwizd pociągu. W powietrzu unosił się zapach wiosny. Francie była częścią tej ziemi, cenną częścią, i dla Maca pozostanie nią na zawsze.

Lecz teraz wymykała się do własnego życia, coraz dalej i dalej. Miał jedynie nadzieję, że jest to życie dla niej odpowiednie. Wiedział, że jest silną dziewczyną. Ale czy wystarczająco silną, by przetrwać w świecie Magnusów i im podobnych?

Nie mógł już chronić jej przed złem. Możliwość ta minęła wraz z jej dzieciństwem, a może nigdy naprawdę nie istniała. Nie możemy obronić naszych dzieci przed życiem, zadumał się. Możemy tylko je kochać.

Rozmyślenia przerwał mu ruch jej ręki, która opadła na szachownicę, przesuwając króla.

— Szach — powiedziała. Uśmiechnął się.

— Nigdy nie mogłem z tobą wygrać. Masz za dobrą głowę na karku.

— Ach, ty biedaku — pożałowała go żartobliwie, chcąc jednocześnie tym tonem rozproszyć wszelkie jego obawy.

— Chodźmy do środka. Zrobię ci za to coś dobrego do jedzenia. Niedługo muszę wyjechać. Gdybym cię nie podkarmiła, zmarniałbyś mi na amen.

Popatrzył, jak otwiera szklane drzwi. W tym momencie wyglądała jak mała dziewczynka, którą tak kochał i podziwiał w dawnych czasach. A jednak była już kobietą, pełną sekretów i niewidocznych gołym okiem blizn. Ukrywała coś przed nim, z całą odwagą nowo nabytej dojrzałości.

Ale co?

Mac Bollinger pokręcił głową. Nie potrafił jej rozszyfrować. Była dla niego zbyt dobrą szachistką.

ROZDZIAŁ 53

Podczas gdy Francie siedziała z ojcem na frontowym ganku w Pensylwanii, Anton Magnus siedział za biurkiem na Manhattanie, patrząc w twarz syna.

Jack sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie. Anton zauważył z satysfakcją, że w ciągu ostatnich lat zrobił się z niego dojrzały mężczyzna. Człowiek, z którym należało się liczyć.

W tych ciemnych oczach była cierpliwość. Cierpliwość, z którą Anton Magnus się urodził i którą starał się wpoić synowi. Cierpliwość, która podpowiadała mu, kiedy uderzyć, a kiedy czekać. Jack robił z niej teraz użytek.

Lecz w oczach tych była też namiętność, którą usiłował bezskutecznie ukryć pod maską tupetu. Źródłem tej namiętności była Francie Bollinger. Anton nigdy nie widział jej w oczach syna, zanim ta dziewczyna wkroczyła w jego życie.

I właśnie dlatego, niezależnie od swych zdolności, Jack nie był dziś godnym przeciwnikiem dla ojca. Osłabiało go uczucie.

Nie zdradzając swoich domysłów, Anton przemówił:

— Zakładam, że wszystko jest pod kontrolą?

— Najzupełniej — uśmiechnął się Jack. — Oczywiście, nie było łatwo. Trzyma wszystko w największej tajemnicy. Ale na początek wyciągnąłem dużo z Dany, a moi ludzie zrobili resztę. Ani na chwilę nie spuszczaemy jej operacji z oka. Rejestrujemy postępy prac. Sytuacja jest pod kontrolą.

— Czy możemy ją pokonać przy wejściu na rynek?

— Bez trudu. Znam dokładnie jej plany. Poza tym mamy dziesięć razy większe zasoby finansowe. Moi ludzie w sześciu fabrykach pracują nad tym produktem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Agencja reklamowa tylko czeka na rozpoczęcie kampanii. A ośrodki sprzedaży i usług są gotowe, by ruszyć w każdej chwili. Wystarczy, że nacisnę guzik.

Uśmiech Antona był powściągliwy, ostrożny.

— Czy ona cię nie podejrzewa?

— Przecież zamierza za mnie wyjść, czyż nie? — roześmiał się Jack. — W tej sytuacji chyba mi ufa, nie sądzisz? Skrzyżował ręce na piersiach.

— Jej zdaniem na Danie się skończyło. A kiedy ja się pojawiłem, tematem numer jeden był romans, a nie komputery. Nie ma zielonego pojęcia, że jeszcze tu pracuję. Wierzy, że Magnus należy do mojej przeszłości.

Anton pokiwał głową.

— A co do daty ślubu, czy nadal upierasz się przy tym, żeby się ożenić, zanim wprowadzimy nasz produkt na rynek?

— w pytaniu tym było coś uszczypliwego, jakby chciał zirytować syna.

Jack uniósł brwi.

— A czy wydaje ci się, że w przeciwnym wypadku wyszła-by za mnie? Ta dziewczyna ma żelazny charakter. Nigdy by już się do mnie nie odezwała.

— A skąd pewność, że zostanie z tobą po tym wszystkim?

— Nie będzie miała pojęcia, że byłem w to zamieszany. Zwałę wszystko na ciebie. Uwierzy. Wiesz, co do ciebie czuje. Sądzę, że w związku z tym przez jakiś czas nie będziemy ci składać wizyt rodzinnych. Ale ona przylgnie do mnie. Małżeństwo zmienia kobiety. One potrzebują miłości. Spójrz na matkę. Wierz mi, z czasem Francie pogodzi się ze wszystkim.

— Z pewnością masz rację, synu. Zamyślił się.

— A zatem, doskonale — odezwał się po chwili. — Odwaliłeś swoją część roboty. Teraz ja przejmuję pałeczkę. Chciałem dla ciebie co prawda lepszej żony, ale skoro się upierasz, nie będę ci stawał na drodze.

Jack pokiwał głową. Był zadowolony z siebie. Dawno temu uświadomił sobie, że ojciec nigdy nie pozwoli mu na rozwód z Belindą i poślubienie Francie bez jakiejś straszliwej akcji odwetowej. Anton Magnus mógł dokonać wszystkiego, bez wzglę-

du na to, jak byłoby to potworne, jak perwersyjne. Jedyнным sposobem na przechytrzenie go było z nim współpracować.

Tak więc Jack ubił z nim ten interes. Obiecał dostarczyć mu nowy komputer Francie w zamian za samą Francie. Rozstał się z Belindą, odszedł z korporacji i podjął kroki w celu założenia własnej firmy, zerwawszy uprzednio wszelkie powiązania finansowe z ojcem.

Oczywiście, wszystko to stanowiło zręczny kamuflaż. Faktycznie nigdy nie przestał pracować dla Magnusa. Nawiązał kontakt ze śliczniutką Daną Salinger, zrobił z niej swoją kochankę i przekonał, by szpiegowała dla niego. Dana była ciekawą osobowością, z głową pełną formułek i równań oraz z sercem przepelnionym wyłącznie głodem władzy. Wykorzystał genialnie jej umysł, a przy okazji zażył rozkoszy oferowanej przez drobne, zmysłowe ciało. Od Dany dowiedział się najważniejszych rzeczy o nowym komputerze Francie, będącym niezaprzeczalnie rewelacją na skalę światową. Był przekonany, że kiedy produkt wejdzie na rynek, przyniesie zyski w wysokości grubych milionów dolarów.

Przy pomocy Dany śledził krok po kroku postępy prac. Gdy Dana została zdemaskowana (co należało przewidzieć, ale co jakoś nie przyszło mu do głowy), Jack osobiście wkroczył do akcji ze swoją historyjką o uwolnieniu się od ojca i z propozycją małżeństwa. Wszystko poszło jak z płatka. Francie zaakceptowała go. Był teraz na tyle blisko całej operacji, by poznać luki w jej zabezpieczeniu i instruować swoich ludzi o najpewniejszych sposobach docierania do dokumentacji Mollie. Dokumentacji, która wkrótce zostanie wbudowana w lśniący, nowy komputer Magnusa. Komputer, który podbije rynki świata, zanim Mollie zdąży wejść choćby na rynek krajowy.

Jack precyzyjnie naszkicował swój plan. Kiedy wszystko wyjdzie na jaw, będą już po ślubie, a wtedy znajdzie sposób na wytłumaczenie Francie kradzieży komputera. Zrzuci to na jakiegoś szpiega, kreta, o istnieniu którego nie mieli pojęcia. Na wszechobecne, potężne macki Magnus Industries... Cokolwiek...

Po tym, jak Magnus pokona Francie na rynku za pomocą tego samego produktu, nad wytworzeniem którego tak ciężko pracowała, CompuTel umrze śmiercią naturalną. Jack pocieszy Francie, podniesie ją na duchu i okaże współczucie z po-

wodu zła wyrządzonego jej przez korporację ojca. Może nawet zagrozić czymś szalonym, na przykład zamordowaniem ojca. Francie będzie musiała go przed tym powstrzymywać, przekonywać, by był rozsądny i pomyślał przede wszystkim o własnym szczęściu.

Może nawet pomóc jej we wszczęciu procesu przeciw Magnus Industries. Tym udowodni jej swoją lojalność. Lecz ona i tak nie wygra. Prawnicy Magnusa są zbyt potężni dla takiej parweniuszki. Jack był tego w stu procentach pewien.

Będzie trzymał ją za rękę, opiekował się nią, dodawał jej otuchy, może nawet wciągnie ją we własne interesy. Oczywiście, kiedy już otrząśnie się po utracie Mollie.

A potem Francie zajdzie w ciążę. Dzieci dużo znaczą dla kobiet. A skoro będzie miała dziecko, które będzie mogła kochać i wychowywać, bez wątpienia zapomni o jakichkolwiek interesach.

Upłynie więcej czasu. Wówczas, w odpowiednim momencie, Jack wróci do Magnus Industries. Francie będzie już wtedy przykładną, oddaną żoną. Nie będzie protestować. Zgodzi się na wszystko dla dobra ukochanego męża.

Tak się przedstawiał cyniczny plan Jacka.

Był przekonany, że plan ten zadziała. Ponieważ stały za nim całe zasoby finansowe korporacji Magnusa.

W rezultacie zabiegów Jacka Magnus Industries położy łapę na najbardziej rewolucyjnym przeboju rynkowym od czasu telefonu. Minikomputery Francie spowodują zmiany we wszystkich aspektach życia, nie tylko w biznesie.

Wpływy pieniężne z tego tytułu będą wprost nieobliczalne. Proporcjonalnie do nich wzrośnie potęga korporacji.

To wszystko przypadnie w udziale Magnus Industries.

A Magnus Industries będzie za kilka lat należeć do Jacka.

Czas płynie nieubłaganie. W końcu Anton stanie się za stary, za bardzo zmęczony, a może i schorowany, by stać u steru korporacji. Wtedy ustąpi. Albo umrze. Jack przejmie wszystko.

Francie nie będzie przeszkadzała mężowi w dojściu do władzy, na którą czekał całe życie. Podda się. Jej wola zostanie złamana.

Jack znał kobiety. Plan zadziała.

I tym niesamowicie zagmatwanym i skomplikowanym sposobem pokonał ojca, dając mu komputer w zamian za Francie.

Uśmiechnął się na myśl, jak okrutny jest stary, jak małostkowy. Zadowala się łatwo pieniędzmi, niczym przebiegły wieśniak. Wystarczy podstawić mu pod nos dostatecznie dużą przynętę, a natychmiast dawał się wyprowadzić w pole.

Upragniona nagroda była w zasięgu ręki. Wkrótce Jack przejmie władzę w Magnusie i poślubi najpiękniejszą kobietę świata.

Jeśli chodzi natomiast o system komputerowy Francie, to po przejęciu Magnus Industries będzie on, podobnie jak wszystko inne, należał do Jacka. Tak, zgarnie wszystko, bez wyjątku, dokładnie jak zaplanował.

— A więc — powiedział, podnosząc się z zamiarem opuszczenia biura — będę z tobą w kontakcie. Jeśli w ostatniej chwili zdarzy się coś nieprzewidzianego, dam ci znać.

— Dziękuję, synu.

Anton widział zadowolenie malujące się na twarzy Jacka, kiedy ten zamykał za sobą drzwi.

Gdy został sam, potrząsnął rozbawiony głową.

Jakiż głupiec z tego Jacka! Przypisuje sobie wszystkie rozumy i wielki charakter, a nie ma ani jednego, ani drugiego. W głębi duszy to mięczak, zwykła baba.

Wstał i podszedł do stojącej pod oknem szachownicy. Popatrzył na pełne dostojeństwa figury, tak milczące i spokojne, a mimo to reprezentujące władzę w najczystszej i najokrutniejszej formie.

Anton Magnus uśmiechnął się. Jego największe zwycięstwo było tuż tuż.

ROZDZIAŁ 54

„New York Daily News”, 2 maja 1960

Magnus i Monteagle zwiążą się latem węzłem małżeńskim. *Julie Baker Magnus, niegdyś jedna z najbardziej ekstrawaganckich panien z towarzystwa, ustatkowała się. Wybrankiem, któremu udało się ją usidlić, jest Scott Monteagle, londyński prawnik. Rodziny narzeczonych znają się od wielu lat.*

Ślub planowany jest na lipiec, po czym śliczna Julie i jej mąż zamieszkają w Londynie. Życzymy ci dużo szczęścia, Julie. Naszemu miastu będzie brakowało twoich bohaterskich wyczynów i twojej radości życia...

Johnny Marrante odłożył egzemplarz *Daily News* na stolik do kawy. Na nim położył załadowany rewolwer kaliber 38.

Ze szklaneczką burbona w dłoni zapatrzył się w broń i zamkniętą gazetę.

Był to już jego trzeci drink. Chociaż normalnie nie pił dużo, artykuł w gazecie wytrącił go zupełnie z równowagi. Zimny trunek uspokajał i pomagał mu odzyskać panowanie nad sobą.

Na myśl przyszedł mu Scott Monteagle. Co za peda! Łagodny, przyzwoity Anglik! Baba, tchórz, ciepłe kluchy! Cholerny palant! I to ma zostać mężem Julie!?

Grymas pogardy wykrzywił jego usta, lecz znikł, kiedy pomyślał o dziewczynie.

Ostrzegła ją. Wyjaśnił jej dobitnie, jak sprawy stoją. A ona, jak wynikało z gazety, zlekceważyła to.

Dlatego właśnie potrzebował tych trzech drinków. Ponieważ uświadomił sobie, iż Julie uważa, że nie jest mu nic winna. Nie przekonała jej nawet scena w jej sypialni przed miesiącem. Nazywa się Magnus i wierzy, że może robić, co chce.

Nadszedł czas, by jej udowodnić, że tak nie jest.

Zapukała do jego drzwi o dziewiątej.

Uśmiechając się kwaśno wstał, żeby otworzyć. Przychodziła jak zwykle, „po godzinach”, kiedy kończyły się obowiązki towarzyskie w jej własnym gronie. Przychodziła dać mu jałmużnę... A dzisiaj przyszła z musu. Ostrzegł ją, że jeśli się nie pokaże, narazi się na przykre konsekwencje. Tak więc zjawiała się, żeby potwierdzić swoje posłuszeństwo.

Uśmiechał się nadal, stojąc w otwartych drzwiach, kiedy wchodziła do środka.

Gdy drzwi się zamknęły, uderzył ją w twarz.

Siła uderzenia rzuciła ją na kanapę. Siedziała, patrząc na niego, z dłonią przy policzku. Potem spuściła wzrok i spostrzegła artykuł w „Daily News”. I rewolwer.

Sprawiła wrażenie przestraszonego winowajcy.

— A więc już wiesz — powiedziała.

— Wiem, kochana. Wiem. — Wysyczał przez zaciśnięte zęby, zbliżając się do niej.

Julie nie wiedziała, co powiedzieć. W jego oczach czaiła się jakaś dzikość. Znała jego obsesję na swoim punkcie. Kiedy zobaczyła dzisiaj ten artykuł, zastanawiała się, czy on też go czytał.

Teraz widok broni i wyraz jego oczu rozwiały jej wątpliwości. Musi szybko coś wymyślić.

— Posłuchaj, Johnny. Nie wyjeżdżamy do Anglii. To zwykła plotka. Ojciec nie chce, żebym wyjeżdżała z kraju.

Zamierza zaproponować Scottowi posadę prawnika w Magnusie. Scott jest dumnym mężczyzną, chciał mnie zabrać do siebie do domu, ale w tej sytuacji przeniesie się tutaj. Będzie musiał. Mój ojciec go zmusi. Tak więc, jak widzisz, zostajemy w Nowym Jorku. Będę cię mogła widywać do woli.

Zmusiła się do bojaźliwego uśmiechu. Przećwiczyła tę scenę w domu i teraz chciała sprawiać wrażenie wesołej trzpiotki, zachwyconej możliwością obcowania z Johnnym. W rzeczywistości była jednak tak przerażona i pewna, że on przejrzy jej kłamstwo na wylot, iż jej gra była zupełnie nieprzeko-nywająca.

Johnny łykał na nią oczyma pełnymi zarozumiałego, chytrego sceptycyzmu. Widziała, że jest podpity.

Nagle, z nieprawdopodobną nagłością, wyraz jego oczu uległ diametralnej zmianie. Stał się znowu starym, uśmiechniętym Johnnym. Ta gwałtowna metamorfoza wyprowadziła ją z równowagi.

— Jasne, dziecinko. Wszystko, co powiesz. Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą. Żyję ostatnio pod ciągłą presją. Wiesz, interesy...

Podszedł i pocałował ją. Zaskoczyła ją nietypowa czułość, z jaką to zrobił.

— Pogadamy później — powiedział.

Podniósł ją jak lalkę i zaniósł do sypialni. Tam, na łóżku, zdjął z niej sukienkę, potem pończochy, na końcu stanik i majtki. Robił to tak, jak troskliwy rodzic rozbiera dziecko. Nie spieszył się, napawając wzrok objawiającą się kawałek po kawałku słodką, dziewczęcą nagością. Wdychał z lubością woń jej kosztownych perfum.

Potem zaczął ją pieścić. Długie, wprawne palce ślizgały się po jej ciele zmysłowo, lecz delikatnie. Podniosła na niego oczy, próbując ukryć lęk. Lecz nawet strach nie był w stanie

stłumić podniecenia wywoływanego jego dotykiem. Zanim skończył, ręka drżała z pożądania.

Zauważyła w obcisłych spodniach wybrzuszenie, będące dowodem jego podniecenia. Przebiegła palcami wzdłuż męskiego uda do krocza i nakryła dłonią gorącą, pulsującą wypukłość. Johnny wstał i rozebrał się. Kiedy zdjął slipy, przed jej oczyma wyprężył się ogromny, dumny penis. Jakimż on był wspaniałym zwierzęciem! Miał ciało wyciosane z czystej, samczej seksualności, ciało warte pomnika płodności.

Schylił się i pocałował szparę między jej nogami. Zamknęła oczy. Język, znający tak doskonale tajniki jej ciała, lizał teraz, w sobie tylko znany sposób, ukryte w futerku wargi.

Podniecenie odbierało jej dech. Prawie natychmiast dała mu swój pierwszy orgazm, potem jeszcze jeden i jeszcze... Czowała, że on odwzajemnia jej przyjemność.

Podniósł się i klęknął przed nią, rozsuwając jej nogi. Duże, ręce uniosły jej biodra. Wyprężony organ wszedł w nią, sondując drażniąco jej pochwę, a potem wepchnął się cał po calu do samego końca. Wydawał się większy niż zwykle, bardziej niebezpieczny. Mimo woli jęknęła.

Z wolna zaczął ją posuwać, przy każdym pchnięciu wciskając ją swym potężnym ciałem w poduszki. Oczy dziewczyny przymknęły się z rozkoszy.

— Tak, tak, maleńka — mruknął.

Skrecała się pod nim, jęcząc cichutko w ekstazie, gdy nagle jego dłonie zacisnęły się wokół jej gardła.

Zaskoczona, nie zareagowała wystarczająco szybko. Nie mogła oddychać. Uścisk zacieśniał się.

— Nie wyjeżdżasz, co? Nie jesteś dobrą kłamczuchą, księżniczko. Twój przyjaciel Scott wyjeżdża, no nie? A ty jedziesz z nim. Wykryłem to. Johnny wykrył. Johnny ma swoje sposoby. A teraz, o ile chcesz jeszcze sobie pooddychać, gadaj całą prawdę. Mam rację, tak?

Nacisk na tchawicę sprawiał, że zaczynała tracić przytomność. Przed jej oczyma rozpościerała się czerń. Oślepiąca, zdesperowana, resztkami sił zdobyła się na ledwo widoczne skinienie.

— Zamierzałaś z nim uciec, prawda? — ciągnął bezlitośnie. — Okłamywałaś mnie, tak?

Ponownie skinęła, z oczyma rozszerzonymi panicznym błaganiem.

— Lecz teraz wiem wszystko, czyż nie? A ty wiesz, że niczego nie możesz przede mną ukryć, co, kochanie? Wiesz?

Wiesz? — powtarzając pytanie, uderzał rytmicznie jej głową w poduszkę.

Skinęła oszalała ze strachu, z dłońmi trzepoczącymi się bezradnie na prześcieradle. Huk w jej głowie powodował, że ledwie go słyszała.

Nagle, jakby wyrażając swój triumf, penis w niej eksplodował i poczuła w sobie gorące uderzenie jego nasienia. Był to wybuch czystej złości, bez miłości, bez przyjemności.

Uścisk na jej szyi zelżał. Zaczęła łapczywie chwytać powietrze. Johnny ciągle gapił się na nią, lecz nie miała odwagi spotkać jego wzroku.

Brutalnym szarpnięciem wyciągnął ogromny organ, pozostawiając w niej bolesną pustkę. Wstał i z ciągle sterczącym członkiem powlókł się do salonu. Kiedy wrócił chwiejnym krokiem, w jednej ręce niósł dużą szklankę burbona, a w drugiej rewolwer.

— Po co to? — wyszeptała przerażona, wskazując wzrokiem broń.

Zignorował jej pytanie. Przez chwilę nic nie mówił, potem spojrzał na trzymaną w ręku szklankę.

— Napijesz się? — spytał obojętnym tonem.

Nie wiedziała, na co się zdecydować. Widok broni paraliżował ją zupełnie.

— Tak, chętnie — wyjąkała w końcu, mając nadzieję zyskać na czasie.

Nie wypuszczając rewolweru, wyszedł i wrócił ze szklaneczką dla niej. Pociągnęła mały łyk. Trunek palił jej gardło, lecz spowodował, że w jej rozdygotanych wnętrznościach zaczęło się rozchodzić przyjemne ciepło.

Po chwili z jej ust padło oczywiste pytanie.

— Co zamierzasz zrobić?

Pociągnął w zadumie ze szklanki i popatrzył na nią. Potem odłożył broń na nocny stolik i wolną ręką zaczął pieścić jej piersi.

— Cóż, księżniczko. Trudno powiedzieć. Jeszcze tak do końca nie zdecydowałem. Uczciwie mówiąc, podoba mi się twój przyjaciel. To nie jest zły facet.

Julie otworzyła szeroko oczy.

— Co to znaczy? Chcesz przez to powiedzieć, że go widziałeś?

— Jasne. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. Bardzo mu na tobie zależy. Gotów jest całować ziemię, po której stąpasz.

Julie zaczerwieniła się w półmroku. Gwałtowna wściekłość, jaka ją opanowała, była równie wielka jak strach. Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że te dwa odrębne korytarze jej egzystencji mogą się kiedykolwiek zbiec. Sama myśl o Johnnym rozmawiającym ze Scottem sprawiła, że ciarki przeszły jej po plecach.

Johnny spostrzegł jej reakcję i uśmiechnął się ironicznie.

— Nic się nie martw. Nie powiedziałem mu o nas. Byłem uosobieniem taktu. Chociaż ciekaw jestem, jak by zareagował, gdyby się dowiedział...

— Nie odważysz się — słowa wysliznęły jej się z ust, nim zdążyła je powstrzymać. Zobaczyła narastającą w jego oczach wściekłość. Ręka na jej piersi zacisnęła się tak boleśnie, że Julie krzyknęła.

Potem jego gniew opadł, stłumiony pijacką zuchowatością. Odslonił w uśmiechu wszystkie zęby.

— Szkoda by było, gdybym musiał go zabić.

Julie zbladła. Kątem oka widziała leżący na stoliku rewolwer.

— Co takiego? — szepnęła.

— Zabić. Skasować. Wykończyć. Łapiesz, maleńka? Wyprawić go na tamten świat. Nie ma już pana Monteagle. Teraz rozumiesz?

— Żartujesz — powiedziała zbielełymi wargami. Wzruszył ramionami.

— Twój tatuś by mi prawdopodobnie podziękował. Wyczuwała siłę inteligencji, kryjącą się za tymi słowami.

Trafił w samo sedno. Nawet sama Julie czepiając się nabożnie ojcowskiej zgody na ślub, nie pozwalała sobie na roztrząsanie prawdziwych uczuć ojca.

Lecz Johnny, choć rozsierzony i pijany, rozumiał wszystko aż nazbyt dobrze.

Starła się myśleć logicznie. Znała Johnny'ego i rozumiała jego uczucia. Musi przemówić mu do rozsądku, zanim będzie za późno.

— Johnny, pomyśl, co ty mówisz. Wpakujesz się w kłopoty. A wtedy możemy się już nigdy nie spotkać. Nie chciałabym tego.

Obserwowała efekt swoich słów. Mimo pijackiego otumanienia słuchał jej uważnie.

— Posłuchaj, Johnny — błagała. — Musisz zrozumieć. Gdybyś zrozumiał, nie chciałbyś tego wszystkiego spieprzyć. Scott

jest najlepszym wyjściem... Dla mnie... dla nas obojga. Znajdę sposób, żeby tu zostać. Nie pojedę do Anglii. Scott zrobi to, co zechcę. Ale musisz mi uwierzyć, Johnny: on jest dla mnie jedynym rozwiązaniem. Oczywiście, nigdy nie będzie dla mnie tak ważny jak ty. Lecz jest jedynym wyjściem.: Boże, nie potrafię ci tego inaczej wytłumaczyć! Musisz mi uwierzyć! Proszę...

Johnny pokręcił głową.

— I tu się mylisz, maleńka — powiedział. — Ja jestem twoim jedynym wyjściem. Johnny jest twoim jedynym wyjściem. Rozumiesz?

Popatrzyła na niego. Nie było sensu go przekonywać. Jej argumentacja zupełnie do niego nie docierała, rozbijała się o mur obsesji i nienawiści.

— Chcesz się ze mną ożenić? — spytała pchnięta desperackim impulsem.

Spojrzał na nią dziwnie.

— Nie da rady, dziecinko — roześmiał się wulgarnie. — Nie mógłbym z tobą żyć. Krępowałabyś mój styl. Wy, bogate dziwki, jesteście wszystkie takie same.

Zmarszczyła czoło, przetykając obelgę.

— A zatem, dlaczego nie mogę wyjść za Scotta? Pokiwał głową z politowaniem nad jej naiwnością.

— Nie życzę sobie, żebyś wychodziła za kogokolwiek. Rozumiesz, moja słodka? Nikt prócz Johnny'ego nie będzie grzebał w twojej uroczej cipce. Żaden palant z towarzystwa nie będzie siał tam bachorów. Dopóki ja żyję.

Teraz go zrozumiała. Chciał ją mieć całą dla siebie.

Nie liczyło się to, że nigdy nie wyjdzie za męża, nie zazna miłości ani szczęścia. Nie obchodziło go, że Nowy Jork, pod dachem ojca, jest dla niej piekłem na ziemi. Myślał wyłącznie o własnej przyjemności i własnej zazdrości.

Chciał ją upokorzyć.

Tłumaczenie mu, co naprawdę znaczy dla niej Scott, nie miało najmniejszego sensu. Scott był jej jedyną szansą na ludzkie życie. Z Johnnym czekała ją niesprecyzowana przyszłość, nacechowana degradacją i strachem. W dodatku, zupełnie nieświadomie, oferował jej przyszłość, w której i tak będzie musiał się nią dzielić. Z Antonem Magnusem. Nie mógł wiedzieć, że w tej jego przyszłości rodzony ojciec Julie będzie przyprowadzał mu rogi.

Na myśl o tym odruchowo sięgnęła po broń na nocnym stoliku. Podniosła ją i wycelowwała w pierś Johnny'ego.

— Nie pozwolę, żebyś zrujnował mi życie — rzuciła tonem ostrzeżenia.

Johnny uśmiechnął się drwiąco.

— Ty zepsuta, mała, bogata dziwko — syknął. — Czyżby ci się wydawało, że możesz wykręcić się z tego wszystkiego? No dalej! Pociągnij za spust, jeśli jesteś taka sprytna.

Używając całej swojej inteligencji, zachęcał ją, by wykorzystwała największą szansę w swoim życiu. Przez niego od miesięcy balansowała na niebezpiecznej linii. Teraz dodawał jej odwagi, by z niej zeszła.

— No już — mówił dalej. — Przekonajmy się, z jakiej gliny jesteś naprawdę ulepiona. Założę się, że twój papcio byłby dumny. Dalej! Śmiało!

Przykucnął i pochylił się bliżej, przyciskając lufę do swojej piersi.

— Dopilnuję, żeby ten twój kochaś dowiedział się wszystkiego o nas, moja mała. Wszystkie pikantne szczególiki. Moja w tym głowa, żeby przejrzał, jaką dziewczynką jest naprawdę Kopciuszek. W końcu to dla jego dobra. Jak ma być z tobą szczęśliwy, skoro nie wie, co cię najbardziej hajcuje?

Julie słuchała wstrząśnięta. Rewolwer dygotał w jej dłoni.

— I założę się, że twój tatulek mi podziękuje...

Przy tych słowach broń wystrzeliła, jak gdyby z własnej woli. Eksplozja odbiła się głośnym, lecz krótkim echem w ciemnym mieszkaniu. Szybko rozplynęła się w dochodzącym z zewnątrz zgiełku klaksonów i syren. Lecz w głowie Julie zabrzmiała jak wybuch bomby.

Gapiała się na zaskoczzonego Johnny'ego. Coś w jego postawie mówiło, że jest ciężko ranny. Nie stracił jednak swej prowokacyjnej zuchowatości.

— No, no, no — powiedział, unosząc brwi w uznaniu dla jej odwagi. — Nie doceniłem cię. Jesteś naprawdę nieodrodną córką swego ojca, co, księżniczko? Jesteś całkiem...

Zakrztusił się. Jego ciało naprężyło się jak struna. Potem zakasłał. Z ust buchnęła krew, zbryzgując nagie ciało Julie i brudne prześcieradła.

Zerwała się na równe nogi. Johnny nadal się uśmiechał, lecz jego oczy pełne były dziecinnej trwogi. Popatrzył na dziurę w swojej piersi. Próbował coś powiedzieć, ale krew zablokowała mu tylko w gardle, a oczy zrobiły się szkliste.

Wyciągnął rękę, jakby ostatnim dotykiem chciał udowodnić swoją tezę, udowodnić, do jakiego stopnia miał

rację, jak bardzo go zdradziła, jak w pełni zasługiwała na karę.

Lecz w tej sekundzie nadeszła śmierć, unieważniając swoją pustką wszelkie ludzkie zamiary. Upadł na twarz.

Jeszcze przez moment jego ręce drgały spazmatycznie, a krew z ust zalewała łóżko i nagie nogi Julie.

Nadal ściskając w zdętwiałej dłoni rewolwer, gapiała się na niego przerażona.

Mój Boże, zabiłam go.

Z jej gardła wyrwał się krótki, urywany szloch. Johnny był zawsze tak pełen życia. A teraz z jego zakrwawionej twarzy łypała obrzydliwym okiem śmierć.

Odsunęła się od zwłok, kuląc się na poduszkach. Zauważyła, że jej nogi zostawiają na pościeli krwawe plamy.

Widok ten obudził w niej instynkt samoobrony. Zaczęła analizować sytuację.

Nadal trzymała broń w prawej ręce. Lewa zaciśnięta była na piersi.

Na broni były jej odciski palców. I na szklance. I oczywiście w całym mieszkaniu.

Lecz nie było ich w krzepnącej na pościeli krwi. Jeszcze nie.

I nie będzie. O ile zachowa ostrożność. Jej umysł zaczął pracować szybko.

Musi się stąd wydostać, zabierając rewolwer ze sobą. Policja znajdzie Johnny'ego po jakimś czasie. Może po kilku dniach. Wykryją alkohol w jego krwi. Znajdą w łóżku ślady kobiety. Będą przypuszczać, że doszło do pijackiej awantury pomiędzy brooklyńskim Casanovą a jedną z jego kobiet. Awantury zakończonej strzelaniną.

Nie znajdą broni.

Zbiorą odciski palców. Znajdą ich całe mnóstwo. Johnny sprowadzał tu dziesiątki kobiet. Wśród nich będą i odciski Julie.

Lecz odciski Julie nie figurują w kartotekach policyjnych. Anton Magnus zadbał o to, choć kilkakrotnie aresztowano ją za różne pijackie wybryki.

Nikt nie widział, jak tutaj wchodziła. W tym domu nie ma oczywiście portiera. Inni lokatorzy tego ogromnego budynku mogli kiedyś zauważyć ją w przelocie, lecz żaden z nich nie miał pojęcia, kim jest. Nie będą w stanie wyodrębnić jej spośród dziesiątek pańienek Johnny'ego.

Policja skupi się na innych jego przyjaciółkach. Odciski palców niektórych z nich znajdują się w kartotekach. Policja odnajdzie je i przesłucha. Będą potencjalnymi podejrzanyymi.

Gliniarze nie znajdą dostatecznych dowodów, by kogoś aresztować. W końcu machną na to ręką, stwierdzając, że podrzędny lowelas dostał za swoje w pijackiej burdzie z kochanką lub jej alfonsem. Zabraknie im pieniędzy i środków na poszukiwanie zabójcy, ponieważ Johnny nie będzie dla nich znaczącą ofiarą. Po upływie kilku dni lub tygodni umorzą sprawę.

Tak dedukując Julie wstała z łóżka. Sprawdziła, czy w zastygającej krwi nie ma odcisków śladów jej stóp. Nie było. Przeszła na palcach do łazienki, żeby obmyć krew z nóg. Uważała, aby na żadnym z przedmiotów w łazience nie zostawić odcisków palców.

Wróciła do sypialni, wzięła swoją szklankę z nocnego stolika i zaniósła do kuchni.

Na blacie obok zlewu zobaczyła kilka brudnych szklanek. To podsunęło jej pewien pomysł.

Trzymając przez chusteczkę butelkę burbona naląa alkohol do dwóch szklanek. Trzymając każdą z nich ostrożnie, by nie zamazać odcisków ostatniego użytkownika, zabrała je do sypialni i salonu, stwarzając pozory, że w mieszkaniu przebywało kilka osób.

Opróżniła i umyła używaną przez siebie szklankę i wstawiła ją do kredensu.

Ponownie wróciła do sypialni i oszacowała sytuację. Widok trupa przyprawiał ją o mdłości, lecz świadomość tego, co musi zrobić, przywróciła jej zimną krew. Podniosła rewolwer i włożyła do torebki. Zbierając rozrzucone przez Johnny'ego po podłodze rzeczy zaczęła się ubierać. Na szczęście nie było na nich krwi.

Policja skupi się na szklankach. Będą szukać ich użytkowników. Jedyne przedmioty mogące ujawnić jej obecność, szklanka i broń, zostały usunięte.

Julie pomyślała o narzeczonym. Dla niego dokonała dziś morderstwa. Zrobiła pierwszy krok, by uratować ich wspólne życie, ich szczęście. Teraz musi brnąć dalej.

Po raz ostatni popatrzyła na Johnny'ego. Leżał jak martwe zwierzę, ze szklistymi oczyma, zdeformowanym ciałem, rozrzuconymi bezwładnie nogami. Pośrodku pleców

widniała rana wyjściowa jej pocisku, ohydne, poszarpane rozdarcie.

Czuła ciągle na sobie jego dotyk. Dziesięć minut temu był żywą istotą, opanowaną obsesyjną miłością do niej.

Siłą woli zdławiła ogarniającą ją słabość i z lodowatym już spokojem po raz ostatni zlustrowała pokój. Był pełen jej śladów. Lecz policja nigdy nie pójdzie za tymi śladami, ponieważ ich właścicielka pochodziła ze świata o lata świetlne oddalonego od tego obskurnego mieszkania.

Nigdy nie będą w stanie powiązać jej z tym miejscem.

Była kryta.

Zaczęła otwierać drzwi. Nagle coś ją zatrzymało. Jej wzrok padł na stolik z egzemplarzem „Daily News”, otwartym na stronie z artykułem mówiącym o jej zaręczynach ze Scottem.

Rzuciła się z powrotem do pokoju, złapała gazetę, włożyła pod ramię i wróciła do drzwi.

Upewniwszy się, że korytarz jest pusty, wycofała się ostrożnie z mieszkania. Nie zostawiła odcisków na klamce ani na drzwiach. Nie widząc nikogo na ulicy wysliznęła się przez frontowe drzwi. Przeszła kilka przecznic, sprawdzając, czy nikt za nią nie idzie. Potem wsiadła do jakiegoś autobusu.

Po przejechaniu kilku przystanków wysiadła i przesiadła się do metra. Dojechała do Lexington Avenue, gdzie złapała taksówkę. Poleciała kierowcy zatrzymać się o kilka przecznic od domu. Resztę drogi przejdzie pieszo.

Kiedy otworzyła torebkę, żeby zapłacić za kurs, zobaczyła w niej broń.

Ogarnęła ją panika, lecz myśl o ukochanym powstrzymała drżenie jej rąk. Walczyła teraz dla niego, walczyła o ich przyszłość.

Dobiegła do domu, przekradła się na górę do swojego pokoju i długo stała pod gorącym prysznicem. Potem schowała rewolwer. Wpełzła między prześcieradła i przez jakiś czas leżała dygocząc.

Była teraz morderczynią. Do tego doprowadziło ją całe to wszawie życie.

Lecz u wylotu ciemnego tunelu czekał na nią Scott ze swoimi uśmiechami i miłością. Nie pozwoli, by cokolwiek na ziemi oderwało ją od niego.

Z tą myślą Julie Magnus zapadła w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 55

15 maja 1960

Zegar na ścianie wskazywał 3:15 nad ranem. Francie siedziała samotnie w swoim kantorku w magazynie, studiując schemat instrukcji zaprogramowanych w pamięci Mollie. Była tak skoncentrowana, że zatraciła poczucie czasu i zmęczenia.

Francie pracowała nad najbardziej skomplikowanym przystosowaniem programu komputerowego, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia. Prowadzone cztery lata temu prace nad komputerowym połączeniem filii Magnusa były w porównaniu z tym dziecinną igraszka.

Niejednokrotnie już traciła nadzieję na pomyślne doprowadzenie sprawy do końca. Pojechała specjalnie do Bostonu, żeby skonsultować się z jednym z najwybitniejszych ekspertów komputerowych w kraju, geniuszem programowania, Karlem Eccles. Lecz nawet wielki Eccles, zaprzysiężony przez Francie do zachowania tajemnicy, nie mógł tego rozgryźć. Doradził jej jedynie w najbardziej ogólnych sprawach i życzył szczęścia. Wróciła do domu bez wskazówek, lecz za to z własnym planem, który tymczasem zrodził się w jej głowie.

Była pewna, że tym razem jest to strzał w dziesiątkę. Kiedy przenosiła ten plan na papier w swoim mieszkaniu, a potem najgłębszą nocą wprowadzała go, element po elemencie, do komputera, tutaj, w magazynie, stwierdziła, że jest to coś więcej niż tylko intelektualny koncept. To będzie działać w praktyce.

Jedyną rzeczą, jaka dręczyła ją i podkopywała jej siły, była samotność. Nie miała nikogo, kto mógłby jej pomóc w tym, co robiła. Ani Sama, ani Dany, którzy wysłuchaliby jej pomysłu, dodawali otuchy, służyli radą.

Była zdana wyłącznie na siebie.

Zaczęła odczuwać zmęczenie. Wyciągnęła się na krześle, rozprostowała bolące plecy i zamknęła oczy. Niemal natychmiast pod powiekami zaczęły jej się kłębić liczby i równania. Szarpnęła się resztką sił, by odzyskać świadomość, zwróciła się do maszyny i wprowadziła do pamięci drobne zmiany z przyniesionego ze sobą schematu. Potem sprawdziła działanie komputera. Kazała mu wykonać kilka rutynowych obliczeń, potem bardziej skomplikowane analizy, jakich będzie musiał dokonywać na co dzień. Próba wypadła pomyślnie. Mollie pracowała bez zarzutu.

Francie wstała, zgasiła światło i wyszła z kantorka, kierując się do zaimprovizowanej w kącie magazynu maleńkiej sypialenki. Urządziła ją sobie miesiąc temu, kiedy po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że będzie musiała przychodzić tu nocami. Zdjęła dżinsy i bluzkę, włożyła bawełnianą nocną koszulę i wśliznęła się w pościel. Nastawiła budzik na siódmą. Wiedziała, że kiedy się obudzi, magazyn będzie tętnił pracą, ponieważ wszyscy pracownicy CompuTelu w pośpiechu kończyli realizację poszczególnych zadań.

Żaden z jej kolegów nie był świadom zmian w trybie jej pracy. Zauważyli jedynie, że przychodziła teraz w mniej regularnych godzinach. Być może Sam, i może Quinn, domyślali się, że niekiedy tu sypia. Przypuszczali jednak, że jest to jej sposób na pracę w nadgodzinach.

Nikt nie podejrzewał prawdziwego powodu, dla którego to robiła.

Ani szef ochrony, którego zatrudniła trzy miesiące temu i wydała specjalne instrukcje odnośnie do nadzoru budynku, instrukcje niepodobne do żadnych otrzymywanych wcześniej, które sprawiały, iż czuł się bardziej szpiegiem niż strażnikiem.

Ani Kevin Still, ekspert od podsłuchu, który pomógł jej niegdyś zdemaskować Danę, a któremu Francie zleciła regularne przeczesywanie magazynu pod kątem „pluskiew” i innych urządzeń podsłuchowych, prosząc go, by meldował jej o tym, co znalazł, nie usuwając jednak niczego.

Tak, instrukcje Francie były równie precyzyjne i stanowcze, co zagadkowe. Nikt z otaczających ją osób nie wiedział, o co jej naprawdę chodzi. I nikt nie domyślał się, jakiego rodzaju pracę wykonywała tutaj samotnie do świtu.

I tak miało być. Francie nigdy w życiu nie czuła się tak samotna, ale też nigdy nie miała tak pełnej kontroli nad sytuacją.

Leżała teraz w łóżku na pograniczu jawy i snu. Pod przymkniętymi powiekami przesuwwały się na wpół senne marzenia. Niektóre z nich były obrazami Jacka, uśmiechniętego i przystojnego w eleganckich garniturach. Inne przedstawiały Sama, niechlujnego i kochanego, w podkoszulku i dżinsach, majstrującego przy komputerze. Jeszcze inne były wyobrażeniami ojca, spoglądającego na nią zmartwionymi oczyma sprzed kilku tygodni, czy tatusia sprzed dwudziestu lat, kiedy zabierał ją, małą dziewczynkę, na przejażdżki po okolicy swoją półciężarówką.

Ostatni obraz przedstawiał siedzącą cicho w salonie mamę, w końcowym stadium choroby, z dziwnym, nieobecnym wyrazem twarzy i kochającymi oczyma. Ta milcząca demonstracja miłości w obliczu zagłady uspokoiła teraz Francie i zdawało jej się, że dotyka matki przez przepaść śmierci, że unosi się na zaczarowanym dywanie snu do miejsc, gdzie nikt nie umiera, nikt nie jest krzywdzony czy zdradzany, nikt nie jest przegrany. Jeszcze tylko parę tygodni, pomyślała resztkami świadomości. Kilkadziesiąt nocy takich jak ta, kilka regulacji w pamięci Molli i wszystko będzie gotowe. Potem będzie mogła odpocząć. Potem ten rozpędzony pociąg zatrzyma się. Potem... Myśl zamarła wraz ze świadomością. Francie zasnęła.

ROZDZIAŁ 56

20 maja 1960

Scott Monteagle znajdował się na pokładzie samolotu lecącego do Anglii.

Rozmyślał nad ostatnimi poprawkami w nowym mieszkaniu, które wynajął dla Julie i siebie w Londynie (Julie odmówiła przyjęcia od ojca luksusowego domu w Wilton Place jako prezentu ślubnego) i nad przygotowaniami do miodowego miesiąca w małym kurorcie na wybrzeżu Anglii.

Wesele będzie huczne, gdyż wydaje je Anton Magnus. Ślub odbędzie się w kościele św. Bartłomieja na Manhattanie i niewątpliwie zgromadzi wszystkich znaczących przedstawicieli wyższych sfer i biznesu. To będzie sposób Antona Magnusa na utarcie nosa tym, którzy plotkując o ekstrawagancji Julie powątpiewali, czy kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Anton zdawał się być prawdziwie dumny ze zrównoważonego zięcia i w ostatecznym rozrachunku jego brak fortuny zrekompensował sobie faktem, iż nazwisko Monteagle było stare i szanowane.

Młodzi zgodzili się na tę całą galę ze względu na rodziców Julie, którzy twierdzili, że prawem i obowiązkiem rodziny narzeczonej jest wyprawić wesele. Scott poszedł na ustępstwo, drobne przecież w zestawieniu z faktem, że potem będzie miał Julie dla siebie na zawsze. Zamieszkają w Londynie i będą

widywali starych Magnusów sporadycznie, jak każda szczęśliwa młoda para niezbyt lubianych teściów. Poza tym, przez resztę życia będą się napawać wolnością.

Rozwiązali też dyplomatycznie kwestię pieniędzy, które Anton uparł się podarować córce. Oboje rozumieli, że stary próbuje przez to wyrzucić pewien wpływ na ich przyszłość. Przedyskutowali to z Julie i zdecydowali, że przyjmą pieniądze, ale nie zgodzą się na ingerowanie w ich życie. Włożą tę kwotę na fundusz powierniczy dla dzieci i wnuków i zapomną o niej.

Znaczenie tego małżeństwa było jasne i bardzo tradycyjne: Julie opuszcza Magnusów, by wejść do rodziny Scotta. Nie odwrotnie.

Samolot wystartował dwadzieścia minut temu. W dole Scott widział jedynie zimny, lekko wzburzony ocean, oznaczony grzywiastymi falami. Niemal czuł, jak Anglia przybliża się, ponieważ po drodze nie było nic, prócz tej lodowatej, szarej wody.

Opuszczał właśnie oparcie siedzenia, żeby zrelaksować się i zamknąć na chwilę oczy, kiedy podeszła do niego jedna ze stewardes z dużą kopertą w dłoni.

— Posłaniec doręczył to dla pana jeszcze na lotnisku. Zawieruszyło się gdzieś w tym całym zamieszaniu przedstarto-wym. Przepraszam za zwłokę.

Scott uniósł zaskoczony brwi.

— Dziękuję.

Koperta była bez znaczka, z wypisanym ciemnym atramentem nazwiskiem Scotta. Otworzył ją.

Ręce zaczęły mu drżeć, zanim jeszcze zapoznał się z całą zawartością.

Były to fotografie Julie.

Na wszystkich była naga. Towarzyszący jej mężczyzna ukazany był ze wszystkich możliwych kątów, lecz nie ulegało wątpliwości, że to jedna i ta sama osoba. Duży facet o atrakcyjnej fizjonomii, z przydługawymi, ciemnymi włosami i ogromnym „wyposażeniem” seksualnym.

Na zdjęciach kochał się z Julie w różnych pozycjach. Jego organ zdawał się docierać do każdego zakątka jej ciała. A Julie patrzyła na niego i na jego właściciela pożądliwie, z wyrazem

ekstazy w oczach. W jej rysach było coś więcej, niż zwykła przyjemność. Był to wyraz przerażonego upokorzenia. Jakby była jego niewolnicą.

Najbardziej wymowne zdjęcia przedstawiały ją leżącą na brzuchu, podczas gdy facet wchodził w nią od tyłu. Jej ciało pomniejszone przez jego potężną sylwetkę było wciśnięte w pościel. Małe piąstki zaciskały się, a śliczne rysy zniekształcało podniecenie.

Scott słyszał o ekscesach erotycznych Julie, ale nigdy nie wyobrażał sobie czegoś tak groteskowego, tak koszmarnego jak to. I nie była to kwestia tego, co robiła z tym kochankiem, facetem z nizin społecznych, sądząc po tatuażu na przedramieniu. Była to kwestia rozkoszy, jaką to jej sprawiało, jej lubieżnego zaabsorbowania, jej poniżenia wobec męskiego ciała, które ją posiadało.

Przez ułamek sekundy Scott pomyślał, że skądś zna tego mężczyznę. Potem odsunął tę myśl. Skąd mógłby znać takiego typka z marginesu. Niemożliwe, żeby ich drogi się kiedyś skrzyżowały.

Alę teraz już nigdy nie zapomni tej twarzy. Nie po obejrzeniu tych fotografii.

Odłożył zdjęcia i zamknął oczy. Ta Julie, która zajmowała miejsce w jego myślach przez te wszystkie lata, ta Julie, którą kochał, na którą czekał i o której śnił, zniknęła, zastąpiona przez potworny obraz bielejącego, kobiecego ciała, ofiarowywanego perwersyjnie, ochoczo, najbardziej lubieżnemu z samców, zwierzęciu w okresie rui, plującym w nią spermą jak bohater filmów pornograficznych. A ona z oczyma na wpół przymkniętymi w ekstazie, uwielbiająca go, rozkoszująca się nim...

Zajrzał do koperty, szukając jakiejś informacji. Nie był zdziwiony, kiedy nic nie znalazł.

Same zdjęcia stanowiły wiadomość.

Zmusił się do popatrzenia na nie jeden, ostatni raz. Przez krótką chwilę poczuł ukłucie współczucia dla małej dziewczynki, którą niegdyś poznał na trawniku u ciotki na Long Island. Dziewczynki, której życie upływało w cieniu straszliwej siły, siły pieniądza. Scottowi udało się szczęśliwie uciec przed tą siłą w zubożałą egzystencję, ona doświadczyła wszelkich jej okropieństw. Poczuł błysk zrozumienia dla tej dziewczyny, która została tak straszliwie splamiona przez własny los, że musiała w ten okropny sposób szukać dla siebie najbardziej perwersyjnej kary.

Jednak współczucie Scotta przytłumione było przez mdłości, na które mu się zebrało, kiedy zobaczył wyraz niewolniczej rozkoszy w jej oczach. To nie była ta Julie, której szukał przez ocean, na którą czekał dwadzieścia lat, Julie, w której ulokował wszystkie nadzieje. To była kurwa. Nie mógłby się z nią już nigdy kochać, mając w pamięci te obrazy.

Samolot nabierał prędkości, zostawiając Stany Zjednoczone coraz dalej w tyle. Scottowi wydawało się, że zamykają się za nim na zawsze drzwi prowadzące do szczęścia. W najgorszych snach nie przyszło mu do głowy, że jego marzenia mogą zostać zniweczone tak totalnie, tak gwałtownie. A jednak to była prawda. Tego, co zobaczył na zdjęciach, nic nie wymaże z jego pamięci. A z tą trucizną w sercu nigdy nie będzie mężem dla Julie.

Nigdy.

Kiedy czarny Atlantyk zionął pod nim w dole, oddzielając go coraz bardziej od Julie, Scott Monteagle płakał.

ROZDZIAŁ 57

5 lipca 1960

Do ślubu pozostało dziesięć dni.

Do mieszkania Francie zawitał niezapowiedziany gość. Głos w domofonie zaskoczył ją do tego stopnia, że bez namysłu wpuściła gościa do środka.

Kiedy otworzyła drzwi, ujrzała stojącą na klatce schodowej Belindę Devereaux.

Wyglądała mizerniej, niż podczas pamiętnego przyjęcia u Magnusów. Mizerniej i starzej. Lecz było w niej coś atrakcyjnie niezależnego. Ubrana była w prostą spódnicę i bluzkę, a przez ramię miała przewieszony prochowiec.

Francie uśmiechnęła się wyczekująco.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — powiedziała Belinda. — Może to idiotyczne, że pokazuję się tutaj, ale nie mogłam się powstrzymać. Mogę wejść?

Francie zrobiła krok do tyłu, wpuszczając ją do mieszkania. Obecność Belindy w tym miejscu wydawała jej się wysoce niestosowna. Nie pasowała do tego otoczenia.

Być może dlatego, że, poza Jackiem, była jedyną osobą z wyższych sfer, która przestąpiła jej próg. Pomimo prostoty

w wyglądzie i zachowaniu, nie była w stanie ukryć pochodzenia, które prześwitywało w sposobie, w jaki siadała, składała ręce na kolanach i uśmiechała się do Francie. Niemal promieniowała takim samym blichtrzem jak Jack. A jednak to Belinda była tą, z którą się rozwiódł, a Francie tą, którą miał poślubić. Była w tym ironia, która nie umknęła uwadze Francie.

— Napije się pani czegoś? — spytała.

Belinda pokręciła przecząco głową. Odłożyła prochowiec na kanapę obok siebie. Najwyraźniej nie zamierzała zabawić długo.

— Jest pani piękną dziewczyną — powiedziała do Francie. — Nawet piękniejszą niż wtedy, kiedy się poznałyśmy. Nic dziwnego, że Jack oszalał na pani punkcie.

Francie nie odpowiedziała. Jej uśmiech pozbawiony był wrogości czy triumfu.

— Czuję się zabawnie — mówiła dalej Belinda. — Jest pani tą, którą Jack poślubi po tym, jak odszedł ode mnie, ale w pewnym sensie była pani również przede mną. Widzi pani, wiem wszystko. Wiedziałam o waszym... romansie przed naszym ślubem. Wiedziałam lub domyślałam się czegoś o waszym zerwaniu. Przypuszczam, że wiedziałam więcej, niż miałam prawo wiedzieć. I to nie wyszło mi na dobre.

Francie nadal milczała.

— A jednak, patrząc z jeszcze innej strony, to ja byłam przed panią. Byliśmy nieformalnie zaręczeni od bardzo dawna. Oczywiście, on bronił się przed ślubem rękoma i nogami, ponieważ decyzja zapadła za jego plecami.

Ponieważ miał być to związek interesów, zawarty pomiędzy ludźmi z tej samej sfery. Jak pani wiadomo, w końcu skapitulował. I choć nasze małżeństwo nie trwało długo, dowiedziałam się wiele o nim i o Magnusach.

Przerwała. Była zamyślona i opanowana. Wyraźnie przyszła powiedzieć coś ważnego i chciała wyłożyć to możliwie naj-objektywniej. Nagle w jej oku pojawiła się samotna łza i po-turlała się po policzku. Rumieniąc się, otarła ją chusteczką.

— Zdaję sobie sprawę, że nie jestem tu mile widzianym gościem. Chciałabym jednak, żeby moje gorzkie doświadczenia posłużyły jako przestroga dla innych. Stoi pahi u drzwi do świata Magnusów. Przyszłam zapytać, czy jest pani pewna, że chce przez nie przejść.

— Pewna? — spytała Francie. — Oczywiście, że jestem pewna, pani...

— Mów mi Belinda.

— Belindo. Oczywiście, że jestem pewna. Inaczej nie zaręczałabym się z Jackiem.

— Wiesz, czego chcesz, prawda? Francie pokiwała powoli głową.

— Uważam, że należy to wiedzieć. Belinda westchnęła.

— Chcę ci powiedzieć jedną rzecz. Być może nie zabrzmie to zbyt szlachetnie i niewątpliwie nie powinno wyjść ode mnie. Ale chcę, żebyś, kiedy nadejdzie czas, przypomniała sobie, że byłam tutaj. Chcę mieć spokojne sumienie. Czy wyrażam się jasno?

Francie przytaknęła.

— Co mi musisz powiedzieć?

— Jack może ci się wydawać inny od swojego ojca, ale to tylko pozory. Obaj są ulepieni z tej samej gliny. Chcę, żebyś to wiedziała. I żebyś miała oczy szeroko otwarte.

Zarumieniła się. Zdawała się wstydzić własnych słów, a mimo to sprawiały jej wyraźną ulgę, jakby wyrzucała z siebie coś, co paliło jej wnętrze.

Francie popatrzyła przeciągle i twardo na swojego gościa. Pod wpływem tego spojrzenia rumieniec Belindy zmienił się w błądź.

Słowa, jakie potem wypowiedziała, zaskoczyły Belinę.

— Czy gdybym nie wyszła za Jacka, przyjąłabyś go z powrotem?

Belinda popatrzyła w dal, później znów na Francie. Zwlekąła z odpowiedzią.

— Jack nigdy mnie nie kochał — odparła w końcu. — Nie tak, jak mąż kocha żonę. On tylko udawał. Robił to elegancko, wspaniałomyślnie. Lecz dla mnie to była tortura. Każda minuta. Czy przyjąłabym go z powrotem? To byłoby szaleństwo. Skazałabym się na życie w takiej samej męczarni. Jednak, żeby być do końca szczerą, powiem ci, że może bym to zrobiła. Nie dlatego, że to byłoby słuszne, lecz dlatego, że... miłość czyni dziwne rzeczy.

Zamilkła. Kiedy znów się odezwała, w jej głosie pobrzmiwała determinacja.

— Uwierz mi, proszę, że nie przyszedłam po to, żeby cię odwieźć od małżeństwa, po to, by go odzyskać. On i tak nie wróciłby do mnie. To pewne.

— Po co zatem przyszłaś?

— Już mówiłam. Dla spokoju sumienia. Czy to brzmi wystarczająco uczciwie?

Francie uśmiechnęła się. W jej uśmiechu było współczucie i stanowczość.

— Nie sądzę, byś miała podstawy, by martwić się własnym sumieniem. Ale jeśli to poprawi twoje samopoczucie, to pozwól, że powiem tak: wiem wszystko, co powinnam wiedzieć o Jacku Magnusie. Czy to wyjaśnia sprawy między nami?

Belinda skinęła głową. Myślała o pewnej teczce zamkniętej w szufladzie jej biurka. Teczka ta zawierała fotografie zrobione przez jej detektywów. Przedstawiały one Jacka w trakcie miłosnych igraszek z dziewczyną nazwiskiem Dana Salinger, która niegdyś pracowała z Francie w CompuTelu i została nagle zwolniona w niejasnych okolicznościach.

Była o krok od przyniesienia tych zdjęć ze sobą, ale coś ją powstrzymało. Uświadomiła sobie teraz, jak dobrze zrobiła, nie podtykając ich Francie pod nos. Z jednej strony, nie przystawało jej roznoszenie takich wiadomości. Z drugiej zaś wyczuwała, że Francie nie potrzebuje tego typu informacji, gdyż dokładnie wie, co robi.

Z dziwnym uśmieszkiem podniosła się, podeszła do drzwi i wyciągnęła rękę.

— Życzę ci szczęścia. Naprawdę. A jeśli... jeżeli będziesz potrzebowała kiedyś przyjaciółki, to masz ją we mnie. Nie wahaj się tego sprawdzić. Wierzysz mi?

— Tak — Francie uścisnęła jej dłoń. — I dziękuję. Otworzyła drzwi. W krokach Belindy, mimo targających nią emocji, była stanowczość. Francie mogłaby zaryzykować twierdzenie, że Belinda jest bliżej definitywnego zerwania z Jackiem, niż sobie to uświadamiała.

Kiedy winda zamykała się, oczy dwóch kobiet spotkały się raz jeszcze. Belindy pełne były ulgi i ustępującego bardzo powoli bólu. Francie spokojne, czujne, lecz nie pozbawione sympatii.

Zamknąwszy za sobą drzwi Francie odczuła nagły przyływ zmęczenia. Skierowała się prosto do łóżka i przespała osiem tak bardzo potrzebnych godzin. W jej snach pojawiał się bezustannie obraz udręczonej Belindy, na przemian z obrazami Jacka i jego ojca.

Nie były to przyjemne sny. Niemniej jednak, kiedy zbudziła się rano, czuła się odświeżona.

Miała mnóstwo do zrobienia.

ROZDZIAŁ 58

11 czerwca 1960

Była druga nad ranem.

Anton Magnus siedział na brzegu łóżka swojej córki.

Julie wyglądała na oszołomioną. I choć oczy miała pełne łez, na twarzy nie było smutku, tylko wyraz ponurej, nieskończonej beznadziejności.

Na nocnym stoliku leżał krótki list od Scotta Monteagle. Dostarczono go popołudniową pocztą. Scott zrywał w nim zaręczyny z Julie, uprzejmością i sympatią przecząc jakby faktowi, iż ta wiadomość jest końcem wszystkiego.

Wiedziała, że już go nigdy nie zobaczy.

Anton Magnus tłumaczył jej łagodnie.

— Kiedy będziesz starsza zrozumiesz, że nie miałem wyboru. Nie mogłem dopuścić do tego małżeństwa, Julie. Byłoby ono zgubne nie tylko dla naszej rodziny, ale także dla ciebie i Scotta. Któregoś dnia to sobie uświadomisz. Nie odezwała się.

— Zawsze starałem się pozostawić ci swobodę wyboru. Być może zabrzmiało to pompatycznie, ale zapłaciłem za to twoim zachowaniem. Obróciło się ono w końcu i przeciw tobie. Gdybyś się nie szlajała z byle kim... To to cię zarzęnęło, Julie. Możesz winić wyłącznie siebie.

Jej wzrok wlepiony był beznamiętnie w ścianę.

— Ale jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możesz rozpocząć nowy rozdział. Pamiętaj, że należysz do jednej z najświetniejszych rodzin. Jest wielu młodych ludzi, którzy byliby szczęśliwi, mogąc...

Julie pochyliła się gwałtownie do przodu i splunęła z nienawiścią w twarz ojca, przerywając jego wywód.

Gest ten całkowicie zaskoczył Antona, tym bardziej, że od momentu, gdy wszedł do pokoju, sprawiała wrażenie absolutnie biernej.

Wyjął chusteczkę i wolno, dokładnie wytarł twarz. Kiedy schował chustkę i popatrzył ponownie na Julie, w jego oczach widniał niebezpieczny błysk.

— A teraz posłuchaj mnie. Policja może nie wiedzieć, kto zabił Johnny'ego Marrante w jego mieszkaniu, ale ja wiem.

Czuł, że zareagowała na jego słowa. Pogardę w jej wzroku zabarwił strach.

— Byłabyś naiwna sądząc, że nie miałem na ciebie oka przez ostatnie lata. Mając na względzie twoje dziecinne, skandaliczne zachowanie, pilnowałem cię na każdym kroku. Zawsze miałaś anioła stróża. Mój człowiek był też w tamtym mieszkaniu w kilka minut po twoim wyjściu. Twoje patetyczne próby zatarcia śladów swojej obecności były niewiele warte. Gdyby nie fachowa robota mojego człowieka, policja już by cię miała.

Czuł, jak pod wpływem jego słów opór córki kruszeje.

— Mam dowody twojej obecności na miejscu zbrodni. Dodatkowo posiadam dokumentację całego tego plugawego związku ze świętej pamięci panem Marrante. Chociaż broń zniknęła, jest tego dosyć, żebyś zadyndała na szubienicy, moja droga. Tak więc, zanim przyjdzie ci do głowy zrobić coś głupiego, rozważ sobie tę alternatywę.

Odczekał, żeby zrozumiała należycie wagę jego słów.

— Myślę, że lepiej będzie, jak mi powiesz, co zrobiłaś z rewolwerem.

Julie uparcie milczała. W jej oczach tliła się nienawiść, ale także uległość.

— Powiedz mi.

— Pozbyłam się go — mruknęła.

Anton popatrzył na nią z ojcowską czułością.

— Kiedy wreszcie zrozumiesz, że twojemu tatusiowi zależy wyłącznie na twoim bezpieczeństwie i szczęściu?

Wszystko, co robię, moja droga, robię dla ciebie, dla twojego dobra.

Ujął jej rękę. Nie wyrwała jej. Jego wola zatriumfowała nad wolą córki. Jak zwykle, Anton Magnus trzymał wszystkie karty.

— A teraz spróbuj wziąć się w garść. Masz zacząć wychodzić z matką i spotykać się z ludźmi. Właściwymi ludźmi. Chcę też, żebyś poznała pewnego młodego człowieka. Pochodzi z jednej z najlepszych rodzin na Wschodzie, rodziny, która aż się pali, żeby znaleźć dla niego taką partię jak ty. Już z nim rozmawiałem. Gotów jest przymknąć oko na twoją przeszłość. Rozumie, co zyska na tym małżeństwie.

Spojrzał na córkę. Jego srogie oblicze złagodniało.

— Poddaj się, Julie. Zaniechaj walki ze mną. Zaniechaj walki z tym, co nieuniknione.

Milczała w dalszym ciągu. Po jej policzkach spływały łzy.

— Przestań być małą dziewczynką. Czas najwyższy, byś stała się kobietą.

Starcze, lecz silne ręce dotknęły góry jej pizamy, torując sobie drogę do delikatnej, tak dobrze znanej skóry. Nie napotkały oporu. Wola córki została zgodnie z jego zamiarem złamana. Dla Antona Magnusa była to najśłodsza miłosna gra wstępna.

ROZDZIAŁ 59

13 czerwca 1960

Do ślubu pozostało czterdzieści osiem godzin.

Kościół św. Bartłomieja był już przygotowany na tę historyczną okazję. Ceremonia będzie relacjonowana przez dziennikarzy z czterdziestu krajów. Przyjęcie odbędzie się w hotelu Waldorf Astoria. Scenariusz imprezy został opracowany przez Petera Dysona, autora wielkich gali w Buckingham Palace i w Elysee. Scenografią zajmie się Henri Descombes, natomiast za kuchnię odpowiedzialny będzie Jacques Mercier. Wesele Jacka Magnusa przejdzie do historii zarówno ze względu na styl, jak i listę gości. Ponieważ stanowił on jedną z najlepszych partii w kraju, jego nowe małżeństwo musi być świętowane w należytej oprawie.

Jack stał przy oknie w swoim apartamencie przy 68 Wschodniej ulicy i próbując uspokoić rozdygotane nerwy wpatrywał się w rysujące się na tle nieba wieżowce Manhattanu.

Burza w jego zmysłach była nieporównywalna do czegokolwiek. Za czterdzieści osiem godzin Francie Bollinger zostanie panią Magnus. Wreszcie będzie należała do niego i skończą się męczarnie niezaspokojonego pożądanego. Jack z trudem zbierał myśli. Niczego dotąd nie pragnął tak rozpaczliwie jak tej pięknej, młodej kobiety. W tych ostatnich miesiącach było w niej coś głęboko tajemniczego, nawet gdy odwzajemniała jego pocałunki. To coś doprowadzało go do szaleństwa.

Czuł się napalony jak uczeń. Trudno było to ukryć, kiedy omawiał dziś z ojcem ostatnie szczegóły.

Po długich dyskusjach zdołał przekonać Francie, żeby pobrali się już teraz, nie czekając na wylansowanie jej nowego komputera. Argumentował to tym, że w czasie miodowego miesiąca Francie wypocznie i będzie mogła ze zdwojoną energią

zabrać się za wprowadzanie swojego produktu na rynek. Po wstępnych wahaniach przyznała mu rację. Jack w skrytości ducha odetchnął z ulgą. Wcześniejszy ślub i miesiąc miodowy były konieczne nie tylko ze względu na jego plany, ale też na plany Antona Magnusa.

Jak tylko Jack i Francie znajdą się bezpiecznie poza krajem, szerokiej klienteli zostanie zaoferowany nowy komputer Magnusa, kradnąc tym samym rynek Mollie.

Komputer Magnusa ma się nazywać MC 2000 i zostanie wylansowany w trakcie bezprecedensowej, ogólnokrajowej „wojny błyskawicznej” w godzinę po tym, jak nowożeńcy opuszczą nowojorski port.

W czterdzieści osiem godzin od tego momentu rozpocznie się światowa rewolucja w biznesie, prowadzona przez specjalistów z Magnus Industries pod wodzą samego Antona Magnusa, możliwa jednak tylko dzięki pracy Jacka, który od chwili zaręczyn z Francie dostarczał im wszystkich niezbędnych danych.

Na pokładzie statku Jack jako pierwszy usłyszy tę wiadomość. Nadejdzie ona telegraficznie w kilka dni po ich wyjeździe. Jack niezwłocznie poinformuje o wszystkim Francie.

Odegra największe przedstawienie swojego życia. Zagrozi zabiciem ojca. Będzie nalegał na natychmiastowe przerwanie rejsu i powrót do Nowego Jorku. Obieca wsparcie w walce o odzyskanie własności Francie.

Nie będzie nawet musiał zbytnio udawać, gdyż w gruncie rzeczy nienawidził starego niemal tak bardzo jak ona. Niemniej jednak nie może przesadzać w tej nienawiści, żeby Francie nie zaczęła czegoś podejrzewać.

Kolejne tygodnie nie będą przyjemne. Jack będzie robił wszystko, co w jego mocy, by pomóc Francie pokonać Magnusa-sowego potwora kruchymi siłami jej firmy. Będą procesy sądowe, bitwy o patenty. Pociągnie się to przez wiele miesięcy, może lat. Rezultat, oczywiście, jest z góry przesądzony. Magnus wygra.

Lecz Francie będzie przez cały ten czas u boku Jacka.

Wszystko zależało od tej początkowej fazy. Ponieważ, kiedy już zostaną małżeństwem i Jack będzie twierdził, że jest sojusznikiem Francie przeciwko firmie ojca, ona przyłgnie do niego, a on uwolni się jednocześnie od wpływów domu.

Lecz nie był teraz w stanie rozmyślać o tych niuansach. Za dwa dni Francie będzie w jego ramionach. Ta myśl sprawiała, że Jack był ślepy na wszystko inne.

Na górze, w swoim biurze, Anton Magnus nie był ślepy na nic. Jego umysł nigdy nie był jaśniejszy. Wylansowanie MC 2000 będzie jednym z najważniejszych wydarzeń historii amerykańskiego biznesu. Kampania reklamowa w telewizji, radiu i prasie obwieści światu nowy, rewelacyjny, przystępny komputer dla dużych i małych firm. Natychmiast otwarte zostaną punkty sprzedaży i serwisu, z których każdy zostanie spopularyzowany na swoim terenie przez szumne, lokalne kampanie reklamowe.

Przez ostatnie pół roku dwustu ludzi z Działu Badań i Rozwoju pracowało wyłącznie nad komputerem. Ludzie za to odpowiedzialni zapewnili Antona, że jest to dzieło geniusza, bazujące na najnowocześniejszej technologii mikroprocesorowej i niewiarygodnie wyrafinowanym programie głównym, który czynił maszynę łatwą w obsłudze dla naprawdę każdego pracownika o przeciętnej inteligencji.

Anton uruchomił swoje kontakty wśród liderów amerykańskiego biznesu, sprawdzając, czy zakupią nowy produkt dla siebie i swoich filii. Wstępne nieoficjalne zamówienia na MC 2000 szły w tysiące.

Dodatkowo wykorzystał swoje poufne powiązania z dziesiątkami gazet oraz sieci telewizyjnych i radiowych, żeby upewnić się, że pojawienie się MC 2000 będzie przez nie szeroko komentowane.

Nastąpi epokowe wydarzenie, wydarzenie, które z dnia na dzień zmieni kształt światowego biznesu, a Anton Magnus będzie jego autorem.

Usiadł, studiując sytuację na swojej szachownicy. Tę partię rozgrywano na Mistrzostwach Świata w 1937 pomiędzy Alekinem a Euwe. Nie mógł jednak skoncentrować się na niej, do tego stopnia pochłaniała go własna mistrzowska gra. Gra, która nie toczyła się na maleńkiej planszy z martwymi figurkami, lecz na arenie świata, z tysiącami istnień ludzkich i setkami milionów dolarów, stanowiącymi jej stawkę.

Było to mistrzowskie posunięcie, zagranie, które uczyni z Magnus Industries najpotężniejszy koncern na tej planecie.

Anton był dziś szczęśliwy. Szczęśliwszy niż kiedykolwiek.

Julie, po krótkotrwałym epizodzie ze Scottem Monteagle, wróciła znów na swoje miejsce. Nie będzie więcej sprawiała kłopotów. Jej duch został ewidentnie złamany. Wszystkie szaleństwa należały do przeszłości. W niedługim czasie Anton zaaranżuje dla niej odpowiednie małżeństwo.

Jeśli chodzi o Jacka, to miał wobec tego samowolnego, krnąbrnego chłopaka daleko bardziej wyrafinowany plan. Za kilka tygodni małżeństwo Jacka z Francie Bollinger będzie już tylko wspomnieniem. Anton zezwolił, oczywiście, na to małżeństwo. Jack spisał się doskonale, dostarczając korporacji tajną dokumentację nowego komputera, tak więc będzie miał swoją Francie. Lecz w odpowiednim czasie Anton dopilnuje, żeby Francie poznała rolę Jacka w kradzieży jej projektu. To będzie proste. Istniała obszerna dokumentacja szpiegowskiej działalności Jacka na szkodę CompuTelu. Dokumentacja, która ukazywała, jak dzięki Jackowi Magnus Industries kontrolowały postępy prac nad Mollie i kopiowały specyfikacje maszyny we własnych laboratoriach. Anton zamierzał osobiście przekazać Francie tę informację. Chciał widzieć wyraz jej twarzy, kiedy odkryje, że jej mąż był zdrajcą i złodziejem. Że zrujnował jej firmę i ukradł jej najbardziej genialny pomysł. Znając prawdę Francie rozwiedzie się z Jackiem, chociaż złamie to jej serce i upokorzy do granic. Co do tego Anton Magnus nie miał żadnych wątpliwości. Rozumiał ludzi lepiej niż jego syn. Dlatego też znał lepiej od niego jego dziewczynę, chociaż nigdy nie baraszkował z nią w zmiętej pościeli. Poznał ją przez cztery lata walki, walki, którą prowadził bez pardonu i nie przebierając w środkach. Ta Francie była dziewczyną o żelaznej woli i niewzruszonym poczuciu dobra i zła. Gdy się dowie, że Jack ją zdradził, rzuci go jak śmiecia. A to załamię Jacka. Ponieważ Jack ją kocha. Tego Anton był stuprocentowo pewien. Kiedy zakończy się pierwszy etap gry, Magnus Industries będzie największą korporacją na świecie. Ten fakt zapoczątkuje drugi etap, grę środkową. Jack nie będzie zdolny do odrzucenia przynęty w postaci tak wielkiej władzy. Wyliże swoje rany i niewątpliwie będzie nienawidził ojca z taką pasją, z jaką teraz kocha Francie. Ale w końcu przyczołga się z powrotem. Taka była natura Jacka. Anton wspaniałomyślnie ofiaruje mu swoje stanowisko, lecz w zamian za to zarezerwuje sobie prawo wyboru jego kolejnej żony. Kogoś z odpowiedniej rodziny. I Jack się podda. Ponieważ, jeśli tego nie zrobi, straci Magnus Industries.

Tym sposobem Anton da synowi szacha i mata, raz na zawsze.

To było tak proste i piękne jak wielkie mecze, które Anton lubił rozgrywać na marmurowej szachownicy w swoim gabinecie. Lecz w tej grze pionkami byli Francie Bollinger ze swoim intelektem, energią i ambicją oraz Jack ze swą chciwością i miłością do Francie.

Były to śliczne pionki, cieszące oko i pełne możliwości. Lecz służyły tylko jako figurki do przestawiania wprawna i precyzyjną ręką. Ręką Antona Magnusa.

Wkrótce gra się skończy.

Z tą myślą Anton zamknął temat syna i zabrał się za roztrząsanie innych spraw.

Piętro niżej jego żona oglądała z roztargnieniem jakiś telewizyjny show.

Victoria Magnus siedziała jak na szpilkach. Po zerwaniu zaręczyn Julie uświadomiła sobie, że stało się coś strasznego, ale coś jeszcze straszniejszego wisi w powietrzu.

Wiedziała, że jej mąż jest zdolny do najohydniejszych podłości. Od początku przeczuwała, że nie podoba mu się pomysł małżeństwa Julie ze Scottem. Dlatego, tak nieuniknienie jak to, że po dniu następuje noc, małżeństwo nie doszło do skutku.

To było smutne, gdyż Victoria autentycznie lubiła Scotta i nie mogła się doczekać, kiedy ten zostanie jej zięciem. Co więcej, Julie naprawdę go kochała. Był jej jedyną realną szansą na szczęście.

Lecz jeśli znało się Antona, z tego smutnego obrotu sprawy można było wydedukować więcej. Choćby to, że Anton nie aprobował także związku Jacka z Francie. Nie dopuścił do ślubu już za pierwszym razem i dopilnował, żeby Jack ożenił się z Belindą. A teraz, choć pozornie zgadzał się na to małżeństwo, jego żona wiedziała, że nie ma ono szans. Dlatego, że Anton nie akceptował Francie, dziewczyny, którą w przeszłości strasznie skrzywdził. Małżeństwo tej dziewczyny z jego synem będzie dla niego policzkiem.

Anton na to nie pozwoli.

Lecz co może tym razem uknuć? To było pytanie. Przecież Jack był, praktycznie biorąc, niezależny.

Victoria Magnus nie dorównywała mężowi przebiegłością, nie wspominając o możliwościach. Nie wiedziała, jak postąpi. Lecz nie przyjmie Francie do rodziny. O tym była przekonana.

A to zniszczy szczęście Jacka tak, jak utrata Scotta zniszczyła Julie, a małżeństwo z Elliotem Trowbridge zniszczyło Gretchen. Ponieważ Jack zupełnie oszalał na punkcie Francie. Wszyscy to widzieli.

Anton nigdy nie czuł się usatysfakcjonowany, dopóki nie miał wszystkich pod pantoflem. I wolał, żeby wszyscy byli nieszczęśliwi, gdyż to potwierdzało jego wielkość. Był nie tylko tyranem, ale też sadystą.

Victoria była bezradna. Podejrzewała, co szykuje jej mąż, lecz nie potrafiła go powstrzymać. Nie mogła też ostrzec zagrożonych, w jakim są niebezpieczeństwie.

Tak więc siedziała beczynn timer, obserwując nic nie znaczące obrazy na ekranie telewizora i czekała na kataklizm, który może zniszczyć to, co pozostało z jej małego światka.

Na górze, w swoim pokoju, Julie siedziała bez ruchu na łóżku z oczyma utkwionymi w trzymany w ręku rewolwer. Była to broń Johnny'ego, broń, z której go zabiła. Lufa skierowana była w jej usta. Nie drżała. Był to efekt działania środków uspokajających, które zażywała w niebezpiecznie dużych dawkach od momentu otrzymania listu Scotta.

Była zadowolona, że zatrzymała broń. W odebraniu sobie nią życia będzie jakaś poetyczna sprawiedliwość.

Przybliży ją to do Johnny'ego, który w perwersyjny sposób był jedynym mężczyzną znającym ją na wylot. Szkoda tylko, że nie może być pogrzebana obok niego. Wtedy osiągnęłaby szczyt perwersji.

Ta broń skróci jej cierpienia. Nie będzie musiała dłużej stawiać czoła świadomości, że żyje na co dzień w świecie, który oddziela ją od Scotta.

Jej śmierć będzie ostatnim kłopotem dla rodziców. Lecz jej już nie będzie, żeby się tym cieszyć. Zresztą dawno przestały ją bawić takie małosłowne buntury.

Nie, pragnęła po prostu z tym skończyć.

Spojrzała na rewolwer i... zawahała się.

To nie był odpowiedni moment. Za wcześnie. Nadchodzące dni miały przynieść rodzinie Magnusów ważne wydarzenia. W grę wchodziła cała przyszłość Jacka.

Julie chciała zobaczyć, co z tego wyniknie.

Pożyje zatem jeszcze trochę. Z czystej ciekawości.

Z gorzkim uśmiechem na ustach odłożyła broń z powrotem na kolana.

Francie była w swoim kantorku w magazynie. Było późno, więc miejsce to zupełnie opustoszało. Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Rozległy się trzy dzwonki. Potem odezwał się męski głos.

— Sam Carpenter.

— Sam... — przez moment Francie poczuła się słabo. Głos odmówił jej posłuszeństwa.

— Halo? Kto mówi? — Sam był nieco poirytowany.

— Tu Francie, Sam. Przepraszam, że niepokoję cię w domu...

— Nie ma sprawy. Co mogę dla ciebie zrobić?

Mówił spokojnym, urzędowym tonem, jaki przybrał od dnia ogłoszenia zaręczyn Francie z Jackiem Magnusem. Nie było w nim cienia wymówki. Nie było też smutku. Jedynie pusta obojętność, od której krajało jej się serce.

Do tej pory była silna. Musi nadal pozostać silna.

— Sam, chciałam się tylko upewnić, czy będziesz jutro wieczorem w domu. Chcę z tobą omówić kilka ostatnich szczegółów przed moim... przed wyjazdem. Nie chcę zwoływać żadnego dużego zebrania. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym, żebyś to ty pilotował dalej całą sprawę.

— Nie widzę problemu. Będę tu.

Zapadło milczenie. Jego słowa, tak zimne i rzeczowe, wisały gdzieś na łączącej ich przez miasto linii telefonicznej. Francie zastanawiała się, czy Sam wyczuwa jej smutek. Ona wyczuwała jego aż nadto dobrze. Łamał jej serce.

Lecz dziś, bardziej niż kiedykolwiek, musiała wziąć się w garść.

— Dzięki, Sam. A zatem porozmawiamy jutro.

— W porządku, Francie. Do widzenia.

— Do widzenia.

Kiedy odkładała słuchawkę, jej oczy zaszły mgłą. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej samotna. Przez tak wiele miesięcy samotnej misji wyczerpująca praca utrzymywała ją w ruchu i pozwalała zapomnieć. Lecz dzisiejszego wieczoru czuła się jak mała dziewczynka, beznadziejnie spragniona miłości.

Jeszcze tylko trochę, powiedziała sobie. Wytrzymaj. Uda się.

Potem ponownie podniosła słuchawkę i zmuszając się do uśmiechu, wybrała numer Jacka.

ROZDZIAŁ 60

15 czerwca 1960

Dzień ślubu Jacka Magnusa zapowiadał się pięknie. Był słoneczny czerwcowy poranek, pełen delikatnych, młodych listków, oznak nadchodzącego płodnego lata.

Jack przebudził się i leżał w łóżku, odczuwając dziecinne podniecenie, jakby to był ranek Bożego Narodzenia, a on miał za chwilę zbiec na dół i otworzyć prezenty pod choinką.

Po jakimś czasie wstał, ogolił się i wziął prysznic, po czym włożył ciemne, prążkowane spodnie, szarą kamizelkę oraz elegancką marynarkę i pojechał do rezydencji rodziców.

W eleganckich pokojach panowała atmosfera umiarkowanego podekscytowania.

Jack wszedł na górę, żeby zobaczyć się z Julie. Martwił się

o nią, ponieważ matka uprzedziła go, że Julie może się nie czuć na siłach, by pójść na ślub.

Lecz Julie sprawiała wrażenie spokojnej, a nawet w dobrym humorze.

— Poczekaj, aż zobaczysz mój prezent dla ciebie — powiedziała. — Przyda ci się podczas miodowego miesiąca.

Jej oczy miały jakiś dziwny wyraz. Pomyślał, że chyba, mimo tak wczesnej pory, jest na proszkach. Włożyła jednak na tę okazję piękną sukienkę i zapewniła, że będzie się zachowywać przyzwoicie. Chłód i determinacja w jej zachowaniu mówiły mu, że dotrzyma słowa.

Matka krzątała się nerwowo po domu, jakby zatrwożona,

i podejmowała rozpaczliwe próby, by wyglądać na zadowoloną. Już raz była świadkiem ślubu syna i nie chciała dać się zwariować po raz drugi. Z typowym dla siebie zakłopotaniem dzwoniła do kościoła oraz do kierownika przyjęcia, upewniając się, że wszystko będzie gotowe do ceremonii na jedenastą i na mające się rozpocząć godzinę później przyjęcie.

Jack zapukał do drzwi ojca. Anton powitał go uściskiem i filuternym mrugnięciem.

— A więc to dziś jest ten wielki dzień. — On sam wydał się zaskakująco przejęty.

Jack żałował, że nie może zadzwonić do Francie, lecz pamiętał o jej stanowczym zakazie.

— U nas, w Pensylwanii, mówią, że to przynosi pecha — powiedziała wówczas. — Zobaczymy się przed ołtarzem, przy-stojniaczkę.

Wyczekiwanie Jacka rosło z każdą chwilą. Dziś wieczorem Francie będzie w jego ramionach, na pokładzie statku płynącego na Wyspy Dziewicze. Rozkosze, o których marzył przez wszystkie te miesiące narastającego napięcia, staną się wreszcie rzeczywistością. Będzie najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem.

Z każdą przepełnioną frustracją minutą zbliżającą go do jedenastej czuł się bardziej podminowany.

Przez cały ranek w kwaterach Magnus International setki specjalistów dokonywały ostatnich zabiegów przy największym przeboju rynkowym w historii firmy. W ośrodkach dystrybucyjnych w New Jersey, Chicago i San Diego stały spakowane w skrzyniach i gotowe do wysyłki setki egzemplarzy MC 2000. Armia fachowców od sprzedaży czekała w pogotowiu na rozpoczęcie największej i najbardziej tajemniczej kampanii w ich karierze. Jutro rano w „Timesie”, „Chicago Tribune” i „Los Angeles Times” oraz w najważniejszych fachowych gazetach i czasopismach pojawią się całostronicowe ogłoszenia. Główne artykuły poświęcone MC 2000 ukażą się w najbliższych wydaniach „Time”, „Newsweeka” i „Look”, obwieszczając komputeryzację amerykańskiego biznesu i analizując epokowe znaczenie innowacji Magnusa. Wkrótce po nich wyjdą główne publikacje międzynarodowe. W przeciągu paru tygodni cały świat dowie się o MC 2000. Nigdy dotąd żaden produkt nie był tak długo utrzymywany w tajemnicy i ujawniony z takim hukiem.

Tego właśnie chciał Anton Magnus.

O dziesiątej rodzina zebrała się w salonie na dole. W asyście dwóch sekretarzy prasowych Magnusa wyszli przez frontowe drzwi, minęli setki reporterów, wsiedli do rolls-royce'a i rozpoczęli powolną podróż przez korki uliczne do kościoła św. Bartłomieja.

W samochodzie rozmawiano niewiele. Wszyscy wiedzieli, jaką rangę ma ten dzień. Był to dzień Jacka, dzień, na który czekał, o który walczył i ostatecznie wygrał.

Anton Magnus trzymał rękę żony. Jack trzymał Julie. Julie gapiała się obojętnie przez okno.

Sam Carpenter siedział na swoim strychu przy Spring Street z filiżanką zimnej kawy i wygasłym papierosem, wpatrując się w porannego „Timesa”.

DZIŚ WESELE U MAGNUSÓW — krzyczał nagłówek w dziale towarzyskim, nad ckliwą historią związku pomiędzy przystojnym Jackiem Magnusem oraz genialną i piękną Frances Bollinger, historią niczym żywcem wyjętą z książkowego romansu.

Sam po raz setny popatrzył na artykuł i towarzyszące mu zdjęcie.

A więc dziś był ten dzień.

Bał się go i czekał na niego przez te wszystkie miesiące, jak pacjent nieuleczalnie chory czeka z niedowierzaniem na śmierć. Próbował sobie wmówić, że wydarzy się coś, co temu przeszkodzi lub że Francie odzyska zdrowy rozsądek.

Nigdy nie uwierzył do końca w to, że straci Francie na zawsze. Nie pozwalał mu na to ból w sercu.

Rozejrzył się po przeraźliwie pustym strychu. Przypomnił sobie pierwszy tydzień spędzony w Nowym Jorku, siedem lat temu, kiedy odejście żony było świeżą, palącą raną i czuł się zupełnie samotny. To wtedy wynajął to poddasze i zaczął zapełniać je częściami do komputera tylko po to, żeby nie oszaleć. Z tych części powstała później Mollie.

Lecz smutek, jaki odczuwał w tamtych dniach, był niczym w porównaniu z pustką, jakiej teraz doświadczał.

Wczoraj wieczorem Francie wpadła do niego, żeby przekazać specjalne instrukcje dla CompuTelu na czas jej miodowego miesiąca. Wysłuchał cierpliwie tych poniekąd zaskakujących wskazówek, usiłując skoncentrować się raczej na jej słowach, niż na fakcie, że gdy następnym razem będą rozmawiać, ona będzie już mężatką.

Pomyślał o przyszłym mężu Francie, człowieku, który był w jej życiu przed Samem i po nim, człowieku, z którym nigdy nie będzie w stanie rywalizować. Jaki był naprawdę Jack Magnus? Czy tak zły, jak podpowiadał instynkt Sama? A może to wrażenie było rezultatem straszliwej zazdrości, o jaką Sam nigdy siebie nie podejrzewał?

Wzruszył ramionami. Co za różnica? I tak była to walka z wiatrakami. Gra skończona.

Bądź szczęśliwa, Francie, pomyślał spoglądając na jej zdjęcie w „Timesie”.

Organy grały cicho w kościele wypełnionym po brzegi gośćmi, których prześwietne nazwiska szły w parze z kosztownymi, wyszukаныmi kracjami. Przybyli wszyscy, których Magnus zaprosił, nikt nie ośmielił się odmówić. W przedśionku piętrzyły się prezenty ślubne od prezydentów, rodzin królewskich, filarów biznesu i elity towarzyskiej. Trudno było oszacować ich wartość. Przed kościołem czekały dziesiątki limuzyn i tłum dziennikarzy. Magnusowie siedzieli z przodu. Jack i jego drużba, przyjaciel, z którym dzielił pokój podczas studiów w Yale, czekali przy wejściu.

Ktoś zauważył, że miejsce zarezerwowane dla ojca Francie jest puste. Pan Bollinger nie przybył cztery dni temu na próbę z powodu choroby. Nikt z Magnusów nigdy go nie widział.

Była za dziesięć jedenasta. Anton zaczynał się niepokoić.

— Czy ktoś rozmawiał dziś z Francie? — zapytał żonę. Victoria wyjąkała, że nic jej o tym nie wiadomo.

— Julie — zwrócił się do córki. — Idź pogadać z bratem. Dowiedz się, czy miał jakieś wiadomości od Francie?

Julie poszła. Jack przestępował nerwowo z nogi na nogę.

— Julie — szepnął na jej widok. — Niebo mi cię zsyła. Poszukaj Francie. Sprawdź, co ją zatrzymuje.

Julie zniknęła, a on czekał, prowadząc wymuszoną konwersację z przyjacielem.

Po pięciu minutach Julie wróciła z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Nie ma jej tutaj — oświadczyła. Jack zbladł.

— Co ty, u diabła, gadasz? Jak to nie ma? Musi być! Co się tutaj dzieje?

Julie wzruszyła ramionami.

— Rozmawiałam z księdzem i z człowiekiem nadzorującym cały ten cyrk. Nikt jej nie widział. Jej druhny też się jeszcze nie pokazały.

Usta Jacka wykrzywił dziwny grymas.

— Może jej się coś przytrafiło. Ktoś powinien pojechać jej poszukać. To niemożliwe.

Z wnętrza kościoła wyłonił się Anton Magnus. Usłyszawszy o całym zamieszaniu ruszył z Jackiem do najbliższego telefonu. Julie podążała za nimi z dziwnym, czujnym wyrazem twarzy. Jack zadzwonił do mieszkania Francie, wsłuchując się nerwowo w dzwonki na drugim końcu linii. Julie z kamienną miną patrzyła w oczy ojca.

W końcu Jack odwiesił słuchawkę. Wykręcił kolejny numer. Odebrano niemal natychmiast.

— CompuTel, czym mogę służyć?

— Mówi Jack Magnus. Muszę rozmawiać z Francie Bollinger lub przynajmniej dowiedzieć się, gdzie ona jest. To bardzo pilne.

— Panny Bollinger nie ma — odpowiedziała obojętnie sekretarka. — Przykro mi.

— Na miłość boską, to dzień jej ślubu! — krzyknął Jack do słuchawki. — Muszę się z nią skontaktować. I to natychmiast! Gdzie ją mogę złapać?

— Panny Bollinger nie ma w biurze. Czy chciałby pan zostawić wiadomość, panie Magnus?

Bladość Jacka ustąpiła miejsca rumieńcowi wściekłości. Ręka trzymająca słuchawkę dygotała. Za plecami czuł obecność czekającej w napięciu rodziny. Zaczynała mu świtać straszliwa prawda.

— I pani nie wie, gdzie ona jest? — spytał zduszonym głosem.

— Panna Bollinger wyjechała z miasta — odparł beznamiętny głos. — Nie można się z nią skontaktować. Z przyjemnością przekażę jej pańską wiadomość.

Jack rzucił słuchawkę.

Kiedy się odwrócił, zobaczył uśmiechniętą Julie.

— Braciszku kochany — powiedziała ironicznie — wygląda na to, że zostałeś wystrychnięty na dudka.

Spojrzała na ojca.

— Niech ktoś lepiej zawiadomi gości. — W jej głosie brzmiał bezsporny triumf.

Anton Magnus poczerwieniał. Dopiero teraz zaczynało do niego docierać, że został przechytrzony. I to jak!

— Ty i twoja matka możecie tym pokierować — powiedział do Jacka z gorzkim grymasem na ustach. — Ja idę do biura.

Zabiję ją za to, myślał, oddalając się dużymi krokami od kościoła.

Zrozumiał, do jakiego stopnia jego syn i rodzina zostali ośmieszeni w oczach zgromadzonych gości, nie wspominając o prasie. Dzisiejsze popołudniówki poinformują cały kraj, że Jack Magnus został przed ołtarzem wystawiony do wiatru przez takie nic, przez wsiową dziewuchę.

W ciągu trzydziestu lat na czele legendarnej korporacji Anton Magnus nigdy nie otrzymał takiego policzka. Zemści się za to na tej dziwce, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

W biurze zastał oczekujący go telegram.

— Zdaje się, że to coś ważnego — powiedziała sekretarka wyciągając rękę z depeszą. — Chyba... cóż, może lepiej niech pan sam przeczyta.

Anton wyrwał jej telegram. Treść brzmiała:

SZANOWNY PANIE MAGNUS,

KRÓLOWA BIJE PIONKA. NIE WĄTPIĘ, ŻE TERAZ PAŃSKI RUCH. Nie było podpisu.

Anton zmiął telegram i rzucił na podłogę. Sekretarka patrzyła na niego bezradnie, podziwiając w duchu jego wykwinny strój i jaskrawoczerwony kwiat w butonierce.

Magnus zagapił się w okno. Stał nieruchomo ze zmiętym telegramem u stóp i intensywnie myślał. Uświadomił sobie, że trafił na zdeterminowanego i cholernie inteligentnego przeciwnika, kogoś na tyle sprytnego, by uwieść jego syna i zaimprovizować całą tę groteskową sytuację jedynie po to, by dopaść jego samego. Spokojny triumf w telegramie był tego dowodem.

Lecz Anton Magnus już zaczynał odzyskiwać panowanie nad sobą i gromadzić siły. To Jack został uwiedziony i porzucony, nie Anton. Młoda Francie Bollinger, wżgardzona, kiedy Jack poślubił Belinę, wzięła odwet. Zemściła się w babski sposób. Niech jej będzie!

Jednak jutro rano Magnus Industries zemszczą się na małej Francie na jedynym polu, jakie się liczyło, na rynku.

Jutro nie będziemy brać jeńców, powiedział do siebie. Niech gra się zaczyna.

Zostawiając bez słowa gapiącą się na niego z otwartymi ustami sekretarkę, wszedł do prywatnego gabinetu i trzasnął drzwiami.

ROZDZIAŁ 61

Nazajutrz po niedoszłym ślubie Jacka Magnusa, nowy MC (Magnus Computer) 2000 rozpoczął zmasowany atak na świat biznesu. Magnus rozdmuchał kampanię reklamową do tego stopnia, że informacje o nowym komputerze pojawiały się we wszystkich wydaniach wiadomości radiowych i telewizyjnych, ale także w serwisach prasowych. MC 2000 był największą

sensacją od czasu wynalezienia telewizji. Anton Magnus osobiście udzielił wywiadu w programie „Spotkaj się z prasą”, a personel Działu Badań i Rozwoju, który pracował nad MC 2000 stał się z dnia na dzień sławny.

W całym tym zgiełku wokół rewelacyjnego wynalazku, zaledwie kilku obserwatorów zauważyło, że w dwa tygodnie później na rynek komputerowy wszedł skromnie konkurencyjny produkt o dziwacznej nazwie „Mollie”, wyprodukowany przez maleńki CompuTel z Brooklynu.

Poinformowany o tym Anton Magnus uśmiechnął się pod nosem. Mollie nie miała żadnych szans w rywalizacji z MC 2000, zainstalowanym już w setkach miejsc i nadal zamawianym przez tysiące dalszych klientów. CompuTel został pobity, zanim jeszcze wszedł na rynek.

Co jednak intrygowało Magnusa to fakt, że CompuTel nie wniósł przeciwko niemu sprawy do sądu o kradzież tajemnic handlowych i patentu. Zaskoczyło to zarówno jego, jak i dział prawny Magnusa, który od dawna przygotowywał linię obrony przeciwko takiemu oskarżeniu.

Anton ze spokojem mistrza szachowego przeanalizował sytuację. Jeśli ta Bollinger dowiedziała się jakimś cudem wcześniej o podwójnej grze Jacka i dlatego go porzuciła, to dlaczego nie postawiła Magnusa przed sądem? To był pierwszy ruch, jakiego Anton się po niej spodziewał. W końcu proces był jej jedyną szansą na przetrwanie, gdyż idiotycznie nazywająca się Mollie nie mogła liczyć na konkurowanie z potężnym MC 2000.

Co ta dziewczyna trzyma w rękawie?

Na swoje nieszczęście, Anton Magnus miał się już wkrótce dowiedzieć.

Początkowo MC 2000 święcił ogromne sukcesy. Firmy z całego kraju rywalizowały ze sobą o prawo pierwszeństwa do skomputeryzowania swojej działalności. Traktowano to jako „nowoczesny” sposób prowadzenia interesów i żaden biznesmen nie chciał być napiętnowany jako staroświecki dupek. MC 2000 wyposażony był w obszerną instrukcję obsługi, więc firma mogła-wykorzystywać do obsługiwanie maszyny własnych operatorów, bez konieczności wynajmowania profesjonalnych programistów.

W miesiąc po wylansowaniu MC 2000 funkcjonował skutecznie w ponad dwóch tysiącach punktów. Kilka egzemplarzy

wysłano również do Europy, Ameryki Południowej i Australii. Sprzedawano od ręki wszystko, co schodziło z taśmy produkcyjnej. Dzięki MC 2000 korporacja spodziewała się rekordowych zysków w następnych trzech kwartałach. Magnus Industries okrzyknięto największym w świecie producentem komputerów, który jednym pociągnięciem zajął miejsce IBM.

O skromnej „Mollie” z CompuTelu nie było słyhać. Potem coś się zaczęło psuć.

Mniej więcej w sześć tygodni od daty zakupu, mała firma z Virginii złożyła zażalenie, że jej komputer beznadziejnie miesza wszystkie dane. Ponieważ polityka serwisu na MC 2000 była niezwykle liberalna, specjaliści Magnusa ruszyli niezwłocznie na miejsce zdarzenia, by za darmo naprawić maszynę i zrekompensować wszelkie straty firmy. Lecz komputera nie dało się zreperować. Fachowcy pracowali nad nim przez trzy dni, przeglądając kawałek po kawałku całą maszynę i sprawdzając programy. Nie znaleźli jednak żadnych nieprawidłowości ani w mechanizmie komputera, ani w programach.

Wszystko było w porządku. A jednak komputer nie działał.

Handlowcy z Magnusa wymienili więc maszynę na nową, a uszkodzoną przeznaczono na złom. Jej błędne operacje przypisano wadliwym obwodom i przepalonemu tranzystorowi.

Epizodu tego nie udało się jednak odłożyć *ad acta*, gdyż niebawem nadeszło nowe zażalenie z firmy odzieżowej z Chicago. Problem był ten sam. MC 2000 pracował bez zarzutu przez kilka tygodni, a potem „oszalał”. Żonglował w niekontrolowalny sposób liczbami, drukował jakieś kretyńskie rachunki, dezorganizując totalnie działalność firmy. Zanim odpowiednia ekipa dotarła do Chicago, reklamacji było już więcej. Wszystkie identyczne. MC 2000 po kilkutygodniowym okresie idealnego funkcjonowania zaczynał wyczyniać różne przedziwne rzeczy i nie można go było naprawić.

W krótkim czasie Magnus Industries zalała powódź skarg. Co gorsza, firmy, które jako pierwsze składały reklamacje i otrzymywały w zamian nowe egzemplarze, zgłaszały teraz, że te nowe są również wadliwe.

Zwołano pilne zebranie w Dziale Badań i Rozwoju. Polecono ekspertom pracować aż do skutku, by znaleźć źródło problemów. Nie było to łatwe. Zarówno oprzyrządowanie, jak i programy MC 2000 były niesłychanie skomplikowane i wyrafinowane.

Zanim eksperci zdążyli dojść do jakichś wniosków, bank z Ohio wniósł do sądu precedensową sprawę o szkody spowodowane wadliwym funkcjonowaniem komputera. Bank oskarżał Magnusa o to, że w świetle prawa federalnego i stanowego pogwałcone zostały warunki zawarte w kontrakcie sprzedaży, przez co narażono bank na dotkliwe straty finansowe.

Za przykładem banku poszły inne firmy. W wyniku tego Magnus został nie tylko zmuszony do wycofania tysięcy MC 2000, ponosząc przy tym kolosalne straty, lecz dział prawny nie mógł nadążyć z przygotowywaniem obrony w niezliczonych procesach sądowych, gdzie suma roszczeń szła w setki milionów dolarów.

MC 2000 okazał się klęską. Pod koniec trzeciego miesiąca od wprowadzenia go na rynek Dział Komputerowy wypłacał klientom rekompensaty za wszystkie sprzedane egzemplarze, a Magnus tonął w aktach procesowych. W prasie pojawiały się artykuły wykpiwające „niedonoszoną próbę komputeryzacji świata”. Magnus Industries stało się pośmiewiskiem. Prasa fachowa roiła się od historyjek o przedwczesnej dystrybucji niedostatecznie przetestowanego produktu przez gigantyczny konglomerat. Niektóre publikacje sugerowały, że Magnus „cofnął erę komputerową o dwadzieścia lat”.

Jednak ta przepowiednia okazała się błędna.

Ponieważ z wolna, bez rozgłosu, drogę na rynek, zdewastowany magnusowskim MC 2000, torowała sobie skromna Mollie z małego CompuTelu.

I chociaż MC 2000 okazał się totalną porażką, raz zapoznani z techniką komputerową biznesmeni zdawali sobie sprawę, do jakiego stopnia może ona ułatwić im życie. Toteż kiedy odwiedzali ich sympatyczni specjaliści od spraw zbytu z CompuTelu, wyjaśniając, że mogliby nabyć Mollie za sumę mniejszą niż zapłacili za MC 2000, z bezwarunkową gwarancją na funkcjonowanie i bezpłatnym serwisem, niektórzy z nich decydowali się podjąć ryzyko.

Mollie działała bez zarzutu. Żaden z klientów nie był rozczarowany. Pod koniec trzymiesięcznego okresu, w którym MC 2000 poniósł bezprecedensową klęskę, sprzedanych było 7500 egzemplarzy, a interes rozwijał się z każdym dniem. Na gruncie wypalonym upadkiem MC 2000 ziarno Mollie rodziło owoce.

Teraz, kiedy zbyt usprawiedliwił główną kampanię reklamową, CompuTel zamieścił we wszystkich najważniejszych publikacjach z dziedziny biznesu duże ogłoszenia pod wymownym sloganem: MOLLIE. KOMPUTER, KTÓRY DZIAŁA.

Cały kraj oglądał sprytnie zrobioną reklamę telewizyjną, w której zręczna, lecz wysoce kompetentna gospoia w średnim wieku porządkowała sprawy swoich chlebobawców. Sympatycznie rozczochrana kobieta (kapitałna aktorka, wybrana do tej roli po długich poszukiwaniach przez Francie i jej ludzi) mówiła przed kamerą o tym, o ile łatwiejsza stała się jej praca i sugerowała przekonującym głosem, że biznesmen z głową na karku powinien kupić Mollie, aby pomogła mu usprawnić jego działania i uwolnić jego pracowników od nużącej papierkowej roboty. Kampania odniosła natychmiastowy sukces. Nazwa „Mollie” uwydatniała swojskość nowego produktu i uczłowieczała erę komputerów.

Akcje CompuTelu szły z każdym dniem w górę. Sprzedaż zwiększała się w zawrotnym tempie.

I dopiero teraz prasa zauważyła skromnego nowicjusza, który święcił sukcesy tam, gdzie potężna korporacja Magnusa poniosła totalną klępkę. W czasopiśmie fachowych zaczęły się pojawiać artykuły na temat nowej firmy i jej kompetentnego Zarządu.

Z dnia na dzień CompuTel stał się wysoce wyspecjalizowanym przedsiębiorstwem.

17 września Anton Magnus został poinformowany przez swój Zarząd, że nie pozostaje nic innego, jak tylko zlikwidować linię produkcyjną MC 2000, pokryć wysokie koszty toczących się procesów sądowych i rozwiązać natychmiast cały Dział Komputerowy Magnus Industries. Sprawa z komputerami okazała się niewypałem. Stracono setki milionów dolarów. Akcje Magnusa spadały na łeb, na szyję, ponieważ katastrofa MC 2000 odbiła się na firmie jako całości. Należało zapobiec dalszym stratom.

Anton Magnus zgodził się, aczkolwiek niechętnie. Jego kapitulacja stała się krajową i międzynarodową informacją nr 1 ze świata biznesu. Anton czytał upokarzające artykuły, pojawiające się niekiedy perfidnie obok dużych reklam Mollie, która sprzedawała się coraz lepiej. UPADEK Z WYSOKIEGO

KONIA JEST BARDZIEJ BOLESNY — krzyczał nagłówek o klęsce Magnusa. KAPRYS ANTONA SZANSĄ DLA MOLLIE, głosił inny.

Bitwa była przegrana. Nie pozostawało nic innego, jak przejść z twarzą na emeryturę i żyć po to, by któregoś dnia znów stanąć do walki. Wycofywanie się nie leżało w naturze Antona, lecz tym razem nie miał wyboru.

Anton Magnus uświadomił sobie, że został pokonany.

Lecz nie wiedział jeszcze, jak sromotnie został przechytzony. Najgorsze miało dopiero nadejść.

1 października w magazynie „Fortune” pojawił się obszerny wywiad z Francie Bollinger. Wywołał taką sensację, że jego fragmenty cytowano w głównych serwisach radiowych, a skrócona wersja przedrukowana została przez całą krajową prasę. Sylwetkę Francie zaprezentowały „Time”, „Newsweek” i „Journal”, a po nich dziesiątki zagranicznych publikatorów.

Z wywiadu wyłaniała się niewiarygodna historia.

Frances Bollinger jako prezes i dyrektor generalny Com-puTelu wynalazła i stworzyła Mollie z pomocą najbliższych współpracowników, mówił artykuł. W trakcie badań i prac nad konstruowaniem maszyny zorientowała się, że jej główny konkurent, ogromna korporacja (odmówiła ujawnienia jej nazwy) przygotowuje się do kradzieży jej projektu. W grę wchodziły najnowsze techniki wykorzystywane w szpiegostwie przemysłowym. Zasoby finansowe podstępного konglomeratu znacznie przerastały kruche środki obronne CompuTelu.

— Tak więc zdecydowaliśmy — powiedziała Francie reporterowi — pozwolić im wykopać własny grób.

Wiedzieliśmy, że Mollie nadal posiada kilka poważnych niedociągnięć, choć były one widoczne wyłącznie dla najbardziej fachowego oka. Zastosowaliśmy więc specjalne środki bezpieczeństwa wobec produktu finalnego, pozostawiając wcześniejszy prototyp bez szczególnych zabezpieczeń.

— I rzeczywiście — mówiła dalej — ta duża korporacja ukradła naszą pracę i weszła z produktem na rynek przed nami. Lecz ich maszyny po kilku tygodniach zaczęły się psuć z powodu wad w projekcie. Na szczęście dla nas, klienci są nadal zainteresowani komputeryzacją na tyle, by zwrócić się w kierunku Mollie. Tymczasem, oczywiście, usunęliśmy wszelkie niedociągnięcia i udoskonaliśmy naszą maszynę.

Szczerze uśmiechnęło się do nas, wypinając się na nich. Na tym polegał nasz niezwykle sposób pokonania rywala o przeważającej potędze finansowej i wątpliwej uczciwości.

Francie nie mogła oczywiście ujawnić całej prawdy, mianowicie tego, że ona i tylko ona dokonywała celowego sabotażu w dokumentacji Mollie, skutkującego tym, że komputer początkowo działał bez zarzutu, a potem „wysiadł” na amen. Jej największe i najbardziej przebiegłe dokonanie jako programistki nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Lecz jego efekty już tworzyły historię.

Wywiad wywołał burzę. DAWID POKONUJE GOLIATA — krzyczał jeden nagłówek. OSZUSTWO KOMPUTEROWE MAGNUSA UJAWNIONE — wtórował mu drugi. FRANCIE, ZABÓJCZYNI GIGANTA — głosił jeszcze inny.

Żaden z dziennikarzy zajmujących się sprawami biznesu nie miał wątpliwości, o kim mówiła Francie, otwarcie oskarżając konkurencję o kradzież tajemnic handlowych i patentów. Magnus stał się sławny jako bestia usiłująca pożreć mniejszego i bardziej rzetelnego konkurenta. Bestia srodze ukarana za swoje łakomstwo.

Po lekturze wszystkich tych artykułów Anton Magnus się wściekł.

Zwołał specjalne zebranie swoich najwyższych rangą prawników i Zarządu. Nakazał wnieść przeciwko CompuTelowi sprawę do sądu, z żądaniem odszkodowania za straty poniesione wskutek fiaska MC 2000, za które ta mała firma była pośrednio odpowiedzialna.

Eksperci od prawa kręcili głowami.

— Nie możemy pozwać CompuTelu za to, że podsunął nam wadliwy produkt wiedząc, że go ukradniemy — powiedział główny radca prawny. — Robiąc to musielibyśmy się przyznać, że faktycznie go ukradliśmy, a tego nie możemy zrobić.

— Zatem dobrze, ale czy nie możemy ich przynajmniej zaskarżyć o zniesławienie, bazując na oszczerczym wywiadzie, jakiego ta dziewczucha udzieliła prasie? — spytał Magnus. — Nasi prawnicy powinni wygrać z łatwością taką sprawę.

— Panna Bollinger odmówiła podania nazwy firmy — potrząsnął głową główny radca. — Ona nie oskarża nas bezpośrednio. A jeśli będziemy usiłowali zarzucić jej kłamstwo,

przyznamy, że chodziło o nas i potwierdzimy jej oskarżenie. Pokona nas w sądzie.

Z kolei głos zabrał jeden z głównych asystentów Magnusa.

— A czy nie możemy zrobić na odwrót, to znaczy zaskarżyć CompuTel, że to on ukradł nasz produkt? Może to brzmieć jak przyjęcie brutalnej pozycji do ataku, ale ostatecznie mamy najsilniejszych prawników, niech coś robią. Radca pokręcił głową.

— Z jednej strony, ich maszyna funkcjonuje, podczas gdy nasza nie. Nasz pozew okazałby się bezpodstawny i naraził nas na śmieszność. Z drugiej strony, nie muszę chyba dodawać, że nie posiadamy dokumentacji z badań i sukcesywnych postępów w powstawaniu komputera, żeby udowodnić, że pomysł był od początku nasz. To — odchrząknął — to dlatego, że pomysł w istocie nie był nasz.

Westchnął ciężko.

— Szczerze mówiąc, obawiam się, że przegramy na wszystkich frontach. Jedyne, co możemy zrobić, to siedzieć cicho i czekać, aż cała sprawa przyschnie. I, moim zdaniem, powinniśmy być zadowoleni, że CompuTel nie zaskarżył nas o nieuczciwe praktyki i kradzież tajemnic zawodowych.

Anton Magnus rozejrzał się ze złością po zgromadzonych. Przegrał.

Podziękował Zarządowi i prawnikom i zwolnił ich do własnych zajęć.

Dławił się z wściekłości. Mała Francie Bollinger, takie zero, nikt, przybłąda ze wsi, którą zamierzał rozdeptać jak pluskwę, wymanewrowała całą korporację Magnusa i samego Antona.

I, co było jeszcze bardziej upokarzające, użyła biednego, głupiego Jacka jako pionka w tej sprytniej grze. Wpuściła go do swojego życia, ułatwiła kradzież tajemnic, lecz chytrze zaaranżowała wszystko tak, żeby komputer pracował dla niej, a nie dla Magnusa. To wymagało nadzwyczajnej, genialnej wręcz inteligencji i umiejętności technicznych.

Lecz wymagało to także instynktu niewiarygodnie wyczulonego na ludzkie słabości oraz nieugiętego pragnienia zemsty. Przez cały czas Francie Bollinger wyprzedzała wszystkich o krok. A dziś mogła obserwować, jak jej wypieszczona Mollie odnosi coraz większe sukcesy i delectować się faktem, że Magnus jest bezsilny, że jedyne, co mu pozostało, to gotować się w zalewającej go żółci.

Jako szachista Anton spotkał godnego siebie przeciwnika. Jego największa siła obróciła się w słabość. Mury obronne jego potęgi przeistoczyły się w domek z kart.

Nie był zatem zbyt zaskoczony, kiedy wkrótce po tym, jak w świecie biznesu rozniosło się, że MC 2000 nadaje się tylko na złom, nadszedł drugi anonimowy telegram.

Jego treść brzmiała: SZANOWNY PANIE MAGNUS, SZACH — I MAT.

Teraz Anton był ostatecznie upokorzony.

Goliat został pokonany.

ROZDZIAŁ 62

Sam siedział samotnie na łódce.

Wyszedł z domu wcześniej, a teraz było już późne popołudnie, lecz myśl o powrocie na brzeg napawała go wstrętem. Co prawda nic nie złowił, ale pluskanie wody o burtę i kołysanie łódki sprawiało mu przyjemność i koło nerwy.

Wrócił na stare śmiecie. Jezioro było ciągle takie samo, tereny wokół niego też. Pływające pod łódką ryby znały go. Wyczuwał to w sposobie, w jaki skubały przynętę i krążyły wokół ludzi. Zarówno w zgotowanym mu powitaniu, jak i w samym jeziorze było coś stałego, niezmiennego.

Już po raz drugi Sam wracał tu utraciwszy szczęście, jakie próbował wykuć sobie w innym świecie. Za pierwszym razem wrócił rozgoryczony, z przeświadczeniem, iż jego małżeństwo nigdy nie było warte swego miana.

Tym razem wracał z głębszą raną do zaleczenia. Ponieważ wyrwano mu serce. Zostało przy Francie.

Nigdy nie czuł się równie pusty i zmęczony. Pragnął ukryć się na zawsze w tym bezpiecznym miejscu i nie rzucać się już w żadne nierówne bitwy tego świata.

Lecz woda jeziora szemrała mu, że nie jest skończony. Będzie jakoś żył. Istniały jeszcze rzeczy do nauczenia, wyzwania do podjęcia.

A blizna pozostawiona mu przez Francie była sama w sobie szlachetną pochodnią, która rozświetli mu drogę. Nie żałował niczego. Możliwość podarowania serca Francie była czymś tak nadzwyczajnym, że warto było dla niej cierpieć.

Przypomniął sobie, jak blisko cztery lata temu los sprawił, iż natknął się przypadkiem na maleńkie ogłoszenie w gazecie — COMPUTEL, INC., KONSULTANCI KOMPUTEROWI. Później ten sam los skierował jego kroki do obskurnego biura przy 40 Ulicy, gdzie za sfatygowanym biurkiem w równie sfatygowanym fotelu urzędowała Francie. Pamięta, jak podniosła na niego wzrok, gdy wszedł przez obłazące z farby drzwi. Cóż za nieprawdopodobna sceneria dla najwspanialszego spotkania jego życia! Uśmiechnął się, przypominając sobie tamten moment. Nagle coś wyrwało go ze smętnej zadumy. Tym czymś był odgłos uderzenia wiosła o wodę i zgrzyt dulki. Uniósł głowę i zobaczył nadpływającą łódź. Z tej odległości i w zapadającym już zmroku trudno było rozpoznać jej pasażera.

Łódka zbliżała się szybko i już po chwili Sam wiedział, kto nią płynie.

Widok Francie w dzinsach, flanelowej koszuli i zupełnie nie pasującym do niej rybackim kapeluszu zaparł mu dech. Nie wierzył własnym oczom. Siedział oniemiały, obserwując, jak z każdym pociągnięciem wiosła zmniejsza się odległość między nim a największą miłością i tęsknotą jego życia.

Po chwili Francie przyciągała wiosłem jego łódkę do swojej. Chwyciła się jego burty i uśmiechnęła się.

— Czy to tutaj najlepiej biorą?

Sam gapił się na nią przez mgłę, która nagle przysłoniła mu oczy. Francie była dla niego najpiękniejszym zjawiskiem na ziemi. A uśmiech na jej twarzy mówił wyraźnie, po co przyjechała.

— Jeszcze nie zaczęły — odpowiedział, dostosowując się do jej tonu. — Ale ciągle mam nadzieję. Dzień się nie skończył.

— Oczywiście że nie. Od dziś mamy dla siebie cały czas tego świata, ty i ja. Bo przecież dobry rybak wie, że cierpliwość jest zawsze nagradzana. Kto umie czekać, doczeka się.

Sam pokiwał głową. Ciężkie łódki były połączone jedynie jej szczupłą dłonią, szczupłą, lecz tak silną, że żaden nurt nie byłby w stanie ich rozdzielić.

Pochylił się i chwycił mocno tę drobną rączkę.

— Chcesz wejść na pokład?

— Już na nim jestem, kapitanie.

ROZDZIAŁ 63

„Wall Street Journal”, 1 listopada 1960

Rekordowy spadek wartości akcji Magnusa Borykający się z kłopotami Magnus Industries, nękane setkami procesów sądowych wynikających z niepowodzenia przereklamowanego komputera MC 2000 i oskarżone przez Departament Sprawiedliwości o nieuczciwe praktyki handlowe i oszustwa, miał najgorszy kwartał w ciągu dwudziestu lat, a wartość ich akcji spadła do 77,82 dolara.

Zła passa gigantycznego konglomeratu wywołała poważne zaniepokojenie w międzynarodowej sieci jego akcjonariuszy, którzy nagminnie wyprzedają tak rozchwytywane uprzednio akcje.

Rzecznik prasowy chwiejącej się w posadach korporacji zapewnił wczoraj akcjonariuszy, że załamanie spowodowane fiaskiem MC 2000 jest tylko chwilowe i że stabilna baza ekonomiczna firmy wyprowadzi ją wkrótce na prostą. Niemniej jednak krążą pogłoski o zmianach szykujących się na najwyższych szczeblach korporacji. Mówi się, że Zarząd domaga się ustąpienia prezesa i dyrektora generalnego, Antona Magnusa, który jest bezpośrednio odpowiedzialny za przystąpienie do realizacji projektu z MC 2000.

To, czy Magnus odbije się od dna, pozostaje kwestią nierozstrzygniętą. Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że dni świetności sławnego konglomeratu dobiegają końca.

Wielka kropla starego koniaku spadła na gazetę i wsiąkała powoli w porowaty papier. Nieco niepewny palec zawisł na sekundę nad płamą, dotknął jej i powędrował na blat biurka.

Anton Magnus siedział w swoim gabinecie.

Był pijany. Od wczesnego popołudnia sączył trzydziestoletni Armagnac. Kiedy teraz patrzył na gazetę, linijki druku zamazywały mu się przed oczyma. Z trudem rozróżniał kształty otaczających go przedmiotów.

Nie zwykł nadużywać alkoholu. Nie pozwalał sobie na tę słabość przez cały czas swej kariery. Lecz dziś, kiedy zobaczył, jak gazety trąbią na cały świat o rekordowo niskich dochodach jego korporacji za trzeci kwartał, coś w nim pękło. Odmówił zjedzenia obiadu i wzburzony udał się na górę z butelką koniaku. Zamknął się w gabinecie, żeby pomyśleć.

Jednak przemożna wściekłość uniemożliwiała logiczne rozumowanie. Siedząc przy biurku i wlewając w siebie kolejne porcje alkoholu, zatracił zupełnie wrodzoną wnikliwość i spryt, które pomogły mu przetrwać przez te wszystkie lata.

Po raz pierwszy w życiu Anton Magnus stracił panowanie nad sytuacją.

Jego myśli krążyły ustawicznie wokół totalnej klęski, jaką poniósł z rąk smarkuli, którą dawno temu powinien był zniszczyć. Nigdy mu się nie śniło, że zostanie wywiedziony w pole przez tak miernego przeciwnika. A jednak tak się stało i teraz wiedział już o tym cały świat. Stał się bohaterem tysięcy złośliwych dowcipów krążących po Wall Street. Niezliczeni wrogowie mieli nareszcie okazję, by drwić z niego w żywe oczy.

A wszystko było zasługą Francie Bollinger.

Czując, jak wściekłość sięga zenitu, pociągnął kolejny, duży łyk alkoholu. Jego wzrok padł na stojący na biurku zegar. Druga nad ranem. A zatem zatracił się w pijaństwie już siedem godzin.

W domu panowała cisza. Rodzina zrażona jego wybuchem gniewu już dawno leżała w łóżkach, nie mając nawet odwagi powiedzieć mu dobranoc.

Podniósł złożoną gazetę i rzucił w kierunku kosza na śmieci. Chybił, choć kosz znajdował się zaledwie kilkanaście centymetrów od niego. To spotęgowało jego złość. Nawet najmniej odporne z reguły przedmioty przeciwstawiały się jego woli.

Nagle pomyślał o Julie.

Nie dotknął jej od nocy ich ostatniej rozmowy o Angliku. Dał jej czas, by przyszła do siebie, zanim znów ją odwiedzi. Poza tym wyniknęła sprawa z niedoszłym ślubem Jacka oraz ten potworny obrót spraw w Magnusie, co odciągnęło go od niej. Był tak zajęty rozpaczliwymi próbami ratowania firmy i zahamowania nadciągającej klęski, że nie miał czasu myśleć o córce.

Lecz pomyślał o niej teraz.

Podniósł się ciężko z krzesła i z kieliszkiem koniaku w jednej, a pustą butelką w drugiej ręce, oparł się o biurko. Choć jego ciało chwiało się jak drapacz chmur na huraganowym wietrze, umysł funkcjonował sprawnie.

Wyszedł z gabinetu, zataczając się przeszedł przez hall i pojechał windą na czwarte piętro. Mając świadomość, że jego kroki są niepewne, starał się zachowywać cicho, by nie zbudzić domowników.

Drzwi Julie były zamknięte. Zaczął gmerać w kieszeniach w poszukiwaniu klucza, tego ulubionego klucza, który zawsze symbolizował jej dziewczęce wdzięki. Znalezienie go sprawiało mu więcej trudności, niż przypuszczał. Rozzłościł się jeszcze bardziej. Wreszcie poczuł w palcach upragniony kształt.

Włożył klucz do zamka i przekręcił.

Drzwi ustąpiły.

Zamknął je za sobą najciszej jak potrafił i przekręcił gałkę. Popatrzył na łóżko. Śpiące w nim słodkie stworzenie było niewidoczne w ciemnościach.

— Julie — wymamrotał ochryple. W łóżku coś się poruszyło.

— Nie zbliżaj się do mnie — usłyszał jej głos.

— Julie, bądź rozsądna — usiłował perswadować jej na swój stary, przymilno-pieszczotliwy sposób.

— Wynoś się stąd. Ostrzegam cię...

Tego już było dla Antona za wiele. Bunt córki dopełnił miary upokorzeń, jakie przyniósł mu ostatni miesiąc. Ta mała nie przeszkodzi mu w zdobyciu tego, na co ma ochotę.

Ruszył w jej kierunku.

— Nie stawiaj się za bardzo, młoda damo — wycharczał. — Jeszcze jedno słowo, a skręcę ci ten śliczny karczek.

Usiadł na krawędzi łóżka i wyciągnął rękę w kierunku jej piersi. Nagle coś mignęło mu przed oczyma i poczuł mocne uderzenie w twarz. Napalony i wściekły oddał. Odpłaciła mu kolejnym policzkiem. Uderzył jeszcze mocniej.

Ni stąd, ni zowąd wywiązała się między nimi walka. Walka na śmierć i życie. Czuł w ciemnościach siłę jej nienawiści oraz pełnię własnego szaleństwa i zawiedzionych nadziei. Wymieniali ciosy w przesyconym ciężką ciszą pokoju. Te zmagania podsycaly jego pożądanie i podsuwały mu osobliwą myśl, że mimo wszystko bardzo kocha córkę.

Usłyszał jakiś hałas, lecz ogarnięty furią nie zwrócił na to uwagi. Atakował Julie z całą siłą swego gniewu, odrywając wszystkie guziki od jej pizamy, wbijając się pazurami w jej piersi, tłukąc z furią każdą część jej ciała, jaką był w stanie dostrzec.

Był podniecony i gotowy, by ją pojąć. Zaczął wspinać się na łóżko. Nagle zobaczył coś w jej ręku. Broń?

Niemożliwe. Kobiety z jej sfer nie noszą broni.

Raptem przypomniał sobie faceta, którego zabiła, tego Marrante. Ale mówiła przecież, że pozbyła się rewolweru.

Czyżby kłamała?

Ta myśl przyszła o ułamek sekundy za późno.

Gdzieś w środku poczuł rozpalony do białości wybuch. Wcześniej usłyszał głośny huk.

Zrobił się zupełnie bezwładny. W pochylonej nad nim twarzy Julie zobaczył oczy otwarte szeroko w przerażeniu i pewnego rodzaju triumfie.

Jego ciało było lekkie, bez czucia. Osunął się na córkę.

Spojrzał na nią z ostatnim przeblyskiem nienawiści. Potem stracił przytomność.

W progu, patrząc ponad jego bezwładnym kształtem w oczy córki, stała Victoria Wetherell Magnus.

EPILOG

Pocisk, który wbił się w tułów Antona Magnusa, szczęśliwie nie naruszył żadnych ważniejszych organów wewnętrznych. Niemniej jednak utkwiał w rdzeniu kręgowym, powodując nieodwracalny uraz. Po operacji stwierdzono, że Magnus pozostanie do końca życia kaleką przykutym do wózka.

Z tego też względu Anton Magnus zmuszony był zrezygnować z kierowania Magnus Industries. Pozostał członkiem Zarządu, lecz stan zdrowia uniemożliwiał mu uczestniczenie w zebraniach czy odgrywanie aktywnej roli w założonej przez siebie firmie.

Prezesem i dyrektorem generalnym został Jack Magnus. W rok po objęciu tej posady ożenił się z Priscillą Knowlton, spadkobierczynią rodziny wielkich fabrykantów.

Francie Bollinger stała się panią Carpenter w miesiąc po tym, jak jej firma CompuTel została wpisana na listę pięciuset największych firm świata. Piastowała nadal funkcję prezesa CompuTelu, a niebawem okrzyknięto ją najświetniejszą bizneswoman Ameryki. CompuTel rozwijał się bez przeszkód jako przodujący krajowy producent komputerów i ostatecznie dorobił się piętnastu filii zagranicznych.

Anton Magnus żył w odosobnieniu, spędzając pół roku w swoim domu na wyspie Hilton Head, a drugą połowę w Nowym Jorku. Opiekowała się nim wyłącznie córka Julie, która nigdy nie wyszła za mąż.

W sprawie wypadku Magnusa nie przeprowadzono żadnego oficjalnego dochodzenia.

Oficerowie policji obecni na miejscu wypadku stwierdzili, iż rana spowodowana została przez strzał oddany z bliskiej odległości. Widoczne w pokoju ślady walki oraz siniaki i zadrapania na ciele Julie stwarzały poszlaki, że między ojcem a córką doszło do kłótni, zakończonej nieszczęśliwym wypadkiem. Broni, z której padł strzał, nigdy nie znaleziono. W wyniku presji ze strony wpływowych czynników, śledztwo umorzono.